



MICHEL  
FABER

KSIĘGA DZIWNYCH  
NOWYCH RZECZY



Michel Faber

# KSIĘGA DZIWNYCH NOWYCH RZECZY

przełożył Tomasz Kłoszewski



Tytuł oryginału: *The Book of Strange New Things*

Copyright © Michel Faber, 2014

Published by arrangement with Canongate Books Ltd, 14 High Street, Edinburgh EH1 1TE

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kłoszewski, MMXV

Wydanie I

Warszawa, MMXV

# Spis treści

## Dedykacja

### I. Bądź wola Twoja

1. Czterdzieści minut później był już wysoko na niebie
2. Już nigdy nie będzie w stanie patrzeć na ludzi tak jak poprzednio
3. Wielka przygoda mogła poczekać
4. Witam wszystkich – powiedział
5. Właśnie wtedy, kiedy rozpoznał, czym były
6. Całe życie prowadziło go właśnie tutaj
7. Zatwierdzone, przesłane
8. Weź głęboki oddech i policz do miliona
9. Chór podjął pieśń

### II. Na Ziemi

10. Najszczęśliwszy dzień mojego życia
11. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że ona także jest piękna
12. Kiedy wspominam tę chwilę, jestem pewna, że to się stało właśnie wtedy
13. Silnik zaskoczył
14. Zniknął w potężnym unisono
15. Bohater chwili, król dnia
16. Oderwała się od ciała i poszybowała w przestrzeń
17. Ciągłe migotał pod słowem „tu”
18. Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała
19. Nauczy się go, choćby miał paść trupem
20. Wszystko będzie dobrze, jeśli nadal to potrafi

### III. Tak jak jest

21. Boga nie ma, napisała
22. Samotna przy twoim boku
23. Nie chce się ze mną napić

24. Technika Jezusa

25. Niektórzy z nas mają robotę

26. Wiedział, że komuś należy podziękować

27. Zostań tam, gdzie jesteś

28. Amen

Podziękowania

Przypisy

*Dla Ewy, jak zawsze*

# I

## Bądź wola Twoja

# Czterdzieści minut później był już wysoko na niebie

– Chciałem ci coś powiedzieć.

– Więc powiedz.

Milczał, uważnie obserwując drogę. Na pograżonym w ciemnościach przedmieściu widział w oddali tylne światła samochodów, nieskończenie rozciągniętą wstęgę asfaltu i olbrzymie elementy instalacji świetlnej autostrady.

– Może zawiodłem Boga. Tym, że tak pomyślałem.

– No cóż. – Westchnęła. – On już to wie, więc równie dobrze możesz powiedzieć i mnie.

Zerknął na nią, aby ocenić, w jakim jest nastroju, ale górną część jej twarzy skrywał cień rzucany przez obramowanie przedniej szyby. Dół twarzy oświetlony był srebrną poświatą. Widok policzka, ust i podbródka – tak mu bliskich i drogich, stanowiących część jego dotychczasowego życia – sprawił mu ostry ból. Wiedział, że ją straci.

– Świat wygląda ładniej w blasku światel, które stworzył człowiek – powiedział.

Jechali dalej w milczeniu. Oboje nie znosili gładzenia prezenterów radiowych i nie lubili słuchać muzyki z odtwarzacza. Jedną z wielu rzeczy, w których byli zgodni.

– O tym myślałeś? – spytała.

– Tak – odparł. – Nieskazona natura powinna być szczytem doskonałości, prawda? A wszystko, co stworzył człowiek, musi być gorsze, bo wprowadza chaos. Ale nie moglibyśmy nawet w połowie tak cieszyć się światem, gdybyśmy sami... gdyby człowiek... to jest istoty ludzkie...

Chrzęknęła w typowy dla siebie sposób, co miało oznaczać „streszczaj się”.

– ...gdybyśmy nie oświetlili go światłem elektrycznym. Światła elektryczne są naprawdę ładne. Sprawiają, że taka nocna podróż jest przyjemna. A nawet piękna. Wyobraź sobie, że jedziemy w całkowitej ciemności, bo przecież taka jest natura nocnego świata, prawda? Całkowita ciemność. Wyobraź to sobie. Jesteś zdenerwowana, bo nie masz pojęcia, po czym jedziesz, widoczność ogranicza się do kilku metrów. Jeżeli kierujesz się do miasta... chociaż w świecie bez rozwiniętej technologii pewnie nie byłoby miast... no to jeżeli udajesz się do miejsca, gdzie mieszkają ludzie, którzy prowadzą proste, zwyczajne życie, spędzając wieczory przy ogniskach, dostrzeżesz je dopiero, kiedy tam dotrzesz. Nie zobaczysz tego magicznego widoku, jaki roztacza się w odległości kilku mil od naszych miast, zwłaszcza tych położonych na zboczach wzgórz. Ich światła mrugają jak gwiazdy.



– No tak.

– Nawet we wnętrzu samochodu, zakładając, że w tym pierwotnym świecie miałybyś do dyspozycji samochód, albo w jakimś innym pojeździe, być może w wozie ciągniętym przez konie, zimową nocą jest ciemno jak w grobie. I lodowato. Tymczasem spójrz na to. – Wyciągnął jedną rękę (zawsze prowadził, trzymając symetrycznie obie dłonie na kierownicy) i wskazał na deskę rozdzielczą, gdzie jarzyły się znajome małe światełka. Temperatura silnika. Zegar. Woda w chłodnicy. Poziom oleju. Prędkościomierz. Wskaźnik paliwa.

– Peter...

– Popatrz! – Kilkaset metrów przed nimi w kałuży światła rzucanego przez latarnię stała drobna, obładowana bagażami postać. – Autostopowicz. Zatrzymam się, dobrze?

– Nie.

Ton jej głosu sprawił, że nie zaprotestował, chociaż rzadko pomijali sposobność, by okazać życzliwość obcym.

Autostopowicz uniósł z nadzieją głowę. Kiedy ogarnęły go światła reflektorów, jego ciało na moment zmieniło się z ledwie widocznego humanoidalnego kształtu w rozpoznawalną sylwetkę ludzką. Trzymał w dłoniach tabliczkę z napisem HETHROW.

– Dziwne – mruknął Peter, kiedy przemknęli obok. – Dlaczego po prostu nie pojechał metrem?

– Ostatni dzień w Anglii – powiedziała Beatrice. – Ostatnia okazja, żeby się zabawić. Pewnie chciał wydać resztę brytyjskich pieniędzy w pubie i zostawić sobie tylko trochę drobnych na pociąg. Sześć drinków później wychodzi na świeże powietrze, trzeźwieje i ma przy sobie tylko bilet lotniczy i funt siedemdziesiąt reszty.

Brzmiało przekonująco. Ale jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego mieli zostawić tę zagubioną owieczkę na pastwę losu? Bea nie odmawiała nikomu pomocy, to nie w jej stylu.

Znów spojrzął na częściowo ukrytą w cieniu twarz i przestraszył się, kiedy zobaczył łyzy lśniące na policzku i w kącie ust.

– Peter... – zaczęła.

Ponownie zdjął jedną rękę z kierownicy, tym razem, by ścisnąć Beę za ramię. Przed nimi nad autostradą pojawił się znak z symbolem samolotu.

– Peter, to nasza ostatnia szansa.

– Ostatnia szansa?

– By się kochać.

Kierunkowskaz delikatnie zamrugał i zaczął tykać, kiedy Peter skręcił na pas prowadzący w kierunku lotniska. Słowa „kochać się” brzęczały mu w uchu, starały się przebić do środka głowy, chociaż nie było tam dla nich miejsca. O mało nie powiedział „chyba żartujesz”. Miała duże poczucie humoru i uwielbiała się śmiać, ale nigdy nie żartowała ze spraw, które naprawdę miały znaczenie.

Jechali dalej, a świadomość, że nie nadają na tych samych falach, że każde z nich potrzebuje czego innego w tej decydującej chwili, krępowwała ich, jakby w samochodzie pojawiła się obca osoba. Wydawało mu się, że to dzisiejszy ranek był ich prawdziwym pożegnaniem, a ta podróż na lotnisko to zaledwie... postscriptum. Ten poranek był taki... jak trzeba. Wreszcie udało im się dojść do ostatniej pozycji na ich liście „rzeczy do zrobienia”. Torba była już spakowana, Bea wzięła wolny dzień, zasnęli jak kłody i obudzili się w cudownych promieniach słońca pod przyjemnie nagrzaną żółtą kołdrą. Kot Joshua leżał w komicznej pozie przy ich stopach. Zgonili go i kochali się w milczeniu, bez pośpiechu, z wielką czułością. Po wszystkim Joshua znów wskoczył na łóżko i ostrożnie oparł jedną łapę na gołej nodze Petera, jakby chciał powiedzieć „nie jedź, zostań przy mnie”. Przejmująca chwila, wyrażająca więcej niż wszystkie słowa. Może osobliwy koci wdzięk otulił futrem obnażony ludzki ból i uczynił go znośniejszym. To, co zrobił Joshua, było doskonałe. Leżeli w swych ramionach, słuchali jego gardłowego mrużenia, pot z ich ciał parował pod wpływem słońca, a tętno powoli wracało do normy.

– Jeszcze raz – powiedziała tu i teraz, przełamując dźwięk silnika na pępek autostradzie, w drodze do samolotu, do Ameryki i o wiele dalej.

Spojrzał na zegar w desce rozdzielczej. Musiał stawić się do odprawy za dwie godziny, a na lotnisku będą za kwadrans.

– Jesteś cudowna. – Gdyby wypowiedział te słowa we właściwy sposób, być może zrozumiałaby, że nie powinni poprawiać tego, co było wczoraj, że należy zostawić wszystko tak, jak jest.

– Nie chcę być cudowna – odparła. – Chcę poczuć cię w sobie.

Jechał przez chwilę w milczeniu, starając się szybko dostosować do nowej sytuacji. Umiejętność natychmiastowej adaptacji do zmieniających się okoliczności była ich kolejną wspólną cechą.

– W okolicy lotniska jest mnóstwo tych okropnych sieciowych hoteli. Możemy wynająć pokój na godzinę. – Żałował, że użył słowa „okropny”. Zabrzmiało, jakby w zakamuflowany sposób próbował ją odwieść od tego pomysłu. A chciał tylko przypomnieć, że zawsze unikali tego typu miejsc.

– Znajdź po prostu jakiś ustronny parking. Możemy to zrobić w samochodzie.

– Chryyyzantemy! – powiedział i oboje się roześmieli.

Kiedy został chrześcijaninem, nauczył się używać tego słowa zamiast wykrzyknika „Chryste!”. Brzmiało na tyle podobnie, że mógł rozbroić błuźnierstwo, kiedy tylko zaczynało rodzić się w ustach.

– Mówię poważnie – zapewniła. – Może być byle gdzie. Nie parkuj tylko tam, gdzie ktoś może wpaść na nas z tyłu.

Jechali dalej, ale teraz widział autostradę inaczej. W zasadzie była to ta sama wstęga asfaltu, z tymi samymi instalacjami drogowymi i cienkimi metalowymi barierami, ale nagle została przekształcona przez ich pragnienia. To już nie była prosta droga na lotnisko, tylko tajemnicza strefa mrocznych objazdów i kryjówek. Kolejny dowód, że rzeczywistość jest subiektywna,

zawsze podatna na transformacje i zmiany pod wpływem twojej postawy.

Rzecz jasna każdy jest władny zmieniać rzeczywistość. To była jedna ze spraw, o której Peter i Beatrice dużo rozmawiali. Uświadamianie ludziom tego faktu było męczące i dość ogłupiające, bo trudno sprawić, by wszyscy nagle zrozumieli, że świat realny nie jest mimo wszystko jedyny i oczywisty. I ciągle szukali prostszych ekwiwalentów skomplikowanych słów.

– Może tutaj?

Beatrice w milczeniu położyła dłoń na jego udzie. Skręcił i wjechał powoli na parking dla tirów. Muszą zaufać Bogu, że nie zamierza ich zgnieść na miazgę za pomocą czterdziestoczerotonowej ciężarówki.

– Nigdy czegoś takiego nie robiłem – powiedział, kiedy zgasił silnik.

– A myślisz, że ja tak? Damy sobie radę. Przejdźmy do tyłu.

Otworzyli boczne drzwi i po kilku sekundach byli obok siebie na tylnym siedzeniu. Usiedli ramię w ramię, jak zwykli pasażerowie. Tapicerka pachniała ludźmi – przyjaciółmi, sąsiadami, członkami ich kościoła, autostopowiczami. To dodatkowo zwiększało wątpliwości Petera, czy powinien, czy będzie mógł się tu kochać. Chociaż... było w tym także coś podniecającego. Wyciągnęli ramiona, próbując objąć się delikatnie, ale w ciemnościach ich ręce były dość niezdarne.

– Czy akumulator się wyładuje, jeżeli zapalimy światło? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Lepiej nie ryzykować. Poza tym dalibyśmy przedstawienie dla wszystkich, którzy tędy przejeżdżają.

– Wątpię – powiedziała, zwracając twarz w kierunku przelatujących obok świateł reflektorów. – Czytałam kiedyś artykuł o małej dziewczynce, która została porwana. Udało się jej wyskoczyć z samochodu porywacza, kiedy zwolnił na autostradzie. Przesępca dopadł ją, ale wyrwała się, wołała o pomoc. Sznur samochodów przejeżdżał obok i nikt się nie zatrzymał. Przesłuchiowano później jednego z tych kierowców. Powiedział: „Jechałem szybko, nie byłem w stanie uwierzyć w to, co zobaczyłem”.

– Co za okropna historia. I chyba wybrałaś nie najlepszy moment, żeby ją opowiedzieć. – Wzdrygnął się.

– Wiem, przepraszam. Jestem teraz trochę... rozkojarzona. – Roześmiała się nerwowo. – To takie trudne... stracić cię.

– Nie tracisz mnie. Po prostu wyjeżdżam na trochę. Będę...

– Peter, proszę. Już to przerabialiśmy. Próbowaliśmy najlepiej, jak się dało.

Pochyliła się i pomyślała, że zacznie płakać. Ale sięgała po coś, co leżało pomiędzy przednimi siedzeniami. Mała latarka na baterie. Włączyła ją i położyła na zagłówku fotela, ale latarka stoczyła się i spadła. Bea wetknęła ją w szczelinę pomiędzy siedzeniem a drzwiami i skierowała snop światła na podłogę.

– Miłe kameralne oświetlenie – powiedziała. Jej głos był znowu spokojny. – Tyle wystarczy, żebyśmy się widzieli.

– Nie jestem pewien, czy dam radę to zrobić.

– Spróbujmy, zobaczymy, co z tego wyjdzie – powiedziała i zaczęła rozpinąć

bluzkę, odsłaniając biały stanik i nabrzmiałe piersi. Pozwoliła jej zsunąć się z ramion i potrząsnęła lekko rękami, by całkowicie oswobodzić dłonie z jedwabnej tkaniny.

Jednym silnym pociągnięciem kciuków ściągnęła spódnicę razem z figami i rajstopami. Jej ruchy były naturalne i pełne gracji.

– Teraz ty.

Kiedy rozpiął spodnie, pomogła mu je zdjąć. Potem wyciągnęła się na plecach i wykręciła ręce, aby odpiąć stanik. Starał się przesunąć tak, by nie przygnieść jej kolanami, i walnął głową o dach.

– Zachowujemy się jak para niewprawnych małych – jęknął. – To jest...

Zbliżyła dłoń do jego twarzy i zasłoniła mu usta.

– Jesteśmy ty i ja – powiedziała. – Ty i ja. Mąż i żona. Wszystko jest dobrze.

Była teraz naga, zostawiła tylko zegarek na smukłym przegubie i sznur pereł wokół szyi. W świetle latarki naszyjnik nie przypominał już eleganckiego podarunku na rocznicę ślubu – stał się pierwotną erotyczną ozdobą.

– Pośpiesz się – szepnęła. – Zrób to.

Zaczęli się kochać. Przyciśnięci do siebie, już się nie widzieli i latarka stała się zbędna. Ich usta połączyły się, oczy zamknęły, ciała mogły należeć do jakiegokolwiek pary z tych, które istniały od początków wszechświata.

– Mocniej – jęknęła po chwili. W jej głosie zabrzmiał szorstki ton, brutalny i wyzywający, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Zawsze kochali się przyzwoicie i łagodnie, przepełnieni czułością. Czasami byli powściągliwi, czasem pełni wigoru, a nawet pasji, ale nigdy nie było w tym rozpacz. – Mocniej!

Brakowało mu tchu, było tak niewygodnie. Palcami nóg uderzał w szybę, a szorstkie obicie kanapy obcierało kolana i chociaż starał się najlepiej, jak potrafił, rytm i pozycja nie były najlepsze. Nie wiedział, ile czasu jeszcze jej potrzeba i jak długo sam będzie w stanie wytrzymać.

– Nie przestawaj! Nie kończ!

Ale już było po wszystkim.

– Było dobrze – powiedziała wreszcie, wydostając się spod niego, lepka od potu. – Było dobrze.

Kiedy przyjechali na Heathrow, mieli jeszcze mnóstwo czasu. Kobieta zajmująca się odprawą obejrzała paszport Petera.

– Podróż w jedną stronę, do Orlando na Florydzie, zgadza się?

– Tak – odpowiedział.

Spytała go, czy ma jakieś bagaże. Wrzucił na taśmę sportową torbę i plecak. To nie była do końca prawda, ale logistyka jego podróży była zbyt skomplikowana i niedookreślona, by mógł zarezerwować bilet powrotny. Żałował, bo Beatrice stała obok niego i słyszała, jak jej mąż potwierdza, że ulotni się jak kamfora. Chciał, by oszczędzono jej słów „w jedną stronę”.

I oczywiście potem, kiedy już dostał kartę pokładową, ale zanim zaczęto wpuszczać pasażerów do samolotu, nie musieli się śpieszyć. Szli obok siebie, oddalając się od stanowiska odprawy, nieco oszołomieni intensywnym oświetleniem i monstrualnymi rozmiarami terminalu. Twarz Beatrice wydawała się mizerna i smutna, ale mógł to być skutek oślepiającego jarzeniowego światła. Peter objął ją ramieniem. Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy, ale nie poczuł się pokrzepiony. ZACZNIJ WAKACJE JUŻ NA TYM PIĘTRZE! – migotały billboardy. MAMY CORAZ WIĘCEJ SKLEPÓW, MOŻE NIE BĘDZIESZ CHCIAŁ NIGDZIE WYJEŹDZAĆ!

Wieczorem o tej godzinie lotnisko nie było zatłoczone, ale nadal znajdowało się na nim sporo ludzi; ciągnęli za sobą bagaże i myszkowali po sklepach. Peter i Beatrice usiedli w pobliżu tablicy informacyjnej, żeby poczekać, aż pojawi się na niej numer wyjścia do samolotu. Nie patrzyli na siebie, trzymali się za ręce i obserwowali przechodzących obok podróżnych. Grupka ładnych młodych dziewcząt ubranych jak tancerki z nocnego lokalu wychodziła ze sklepu wolnoctwowego obładowana torbami. Stąpały niepewnie na wysokich obcasach, z trudem unosząc swoje zdobycze. Peter nachylił się do Beatrice i szepnął:

– Po co lecą gdzieś z takimi tobołami? Pewnie kiedy dotrą na miejsce, kupią jeszcze więcej rzeczy. Tylko popatrz, ledwo idą.

Przytaknęła.

– A może właśnie o to im chodzi – ciągnął Peter. – Może to wszystko jest na pokaz, specjalnie dla pozostałych pasażerów. Przecież są absurdalne, łącznie z tymi idiotycznymi butami. Wszyscy dookoła muszą zobaczyć, że te dziewczyny są bogate i nie muszą przejmować się prawdziwym światem. Ich zamożność czyni z nich inną rasę, egzotyczne stworzenia, które nie potrafią zachowywać się jak zwykli ludzie.

Bea potrząsnęła głową.

– Te dziewczyny nie są bogate – powiedziała. – Bogaci ludzie nie podróżują w stadzie. A bogate kobiety potrafią chodzić w szpilkach. Te dziewczyny są po prostu młode i uwielbiają zakupy. Przeżywają przygodę. Popisują się przed sobą, nie przed nami. Jesteśmy dla nich niewidzialni.

Peter patrzył, jak dziewczyny chwiejnie zmierzają do Starbucksa. Ich pośladki drgały pod pomiętymi spódniczkami, głosy stały się ochryple, zdradzając prowincjonalny akcent. Bea miała rację.

Westchnął i ścisnął ją za rękę. Co pocznie tam bez niej? Jak da sobie radę, nie mogąc z nią porozmawiać o swoich spostrzeżeniach i przeżyciach? To ona zawsze powstrzymywała go przed wygłaszaniem bzdur, hamowała jego skłonność do konstruowania ogólnych teorii wszystkiego, ściągała go na ziemię. Mieć ją przy sobie podczas tej misji – to było warte milion dolarów.

Co prawda jego podróż kosztowała o wiele więcej. Za wszystko płacił USIC.

– Jesteś głodny? Mam ci coś kupić?

– Jedliśmy w domu.

– Może chociaż batonik?

Uśmiechnęła się, ale wyglądała na zmęczoną.

– Niczego nie potrzebuję, naprawdę.

– Tak mi przykro, że cię zawiodłem.

– Zawiodłeś?

– Wiesz... w samochodzie. To takie niesprawiedliwe, niedokończone, i to właśnie dzisiaj... Nie chcę cię tak zostawiać.

– To jest okropne – powiedziała. – Ale nie z tego powodu.

– To przez tę niewygodną pozycję, nie jestem przyzwyczajony i dlatego...

– Peter, proszę, nie musisz. Nie prowadzę rejestru ani nie robię bilansu.

Kochaliśmy się. To mi wystarczy.

– Czuję, że...

Położyła mu palec na wargach, a potem pocałowała go.

– Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. – Znów go pocałowała, tym razem w czoło. – Jeśli chcesz wszystko rozkładać na czynniki pierwsze i przeprowadzać sekcję, to jestem pewna, że podczas misji będziesz miał lepsze okazje.

Zmarszczył brwi, ciągle czując na sobie jej usta. O co jej chodziło z tymi czynnikami i sekcją? Czy miała na myśli czekające go przeszkody i komplikacje? Czy może była przekonana, że cała misja skończy się niepowodzeniem? Śmiercią?

Podniósł się, a ona wstała razem z nim. Objęli się mocno. Do hali wtargnęła prosto z autokaru duża grupa turystów, którzy już nie mogli doczekać się podróży ku słońcu. Rozgadana, hałaśliwa rzeka pędząca w kierunku wyznaczonego jej wyjścia podzieliła się na dwa strumienie i otoczyła Petera i Beę. Kiedy wszyscy zniknęli i hol znów pograżył się we względnej ciszy, z głośników rozległ się komunikat: „Prosimy pilnować bagaży. Pozostawione rzeczy zostaną usunięte i mogą ulec zniszczeniu”.

– Czy instynkt ci podpowiada, że... moja misja się nie powiedzie? – zapytał.

Potrząsnęła głową i uderzyła się lekko o jego podbródek.

– Nie czujesz w tym ręki Boga? – nie ustępował.

Przytaknęła.

– Czy myślisz, że On wysłałby mnie tak daleko...

– Peter, proszę cię, nie mów nic. – Jej głos był ochryply. – Omawialiśmy to już tyle razy. Teraz to bez znaczenia. Musimy wierzyć.

Usiedli znowu, starając się usadowić jak najwygodniej. Bea położyła mu głowę na ramieniu. Myślał o historii, skrytych ludzkich pragnieniach i niepokojach leżących u źródeł wszystkich doniosłych wydarzeń. Błahe, trywialne sprawy, które prawdopodobnie dawały się we znaki Einsteinowi, Darwinowi czy Newtonowi, kiedy formułowali swoje teorie. Być może jakaś sprzeczka z gospodynią lub kłopoty z dymiącym kominkiem. Piloci, którzy zbombardowali Drezno, gryzący się jakimś zdaniem z ostatniego listu z domu. Co chciała przez to powiedzieć? A co z Kolumbem, kiedy żegłował do Nowego Świata? Kto wie, o czym myślał. Może o ostatnich słowach, które powiedział

mu jego stary przyjaciel, ktoś, o kim nawet słowem nie wspominają podręczniki historii...

– Zdecydowałeś już – spytała – jakie będą twoje pierwsze słowa?

– Pierwsze słowa?

– Do nich. Kiedy ich spotkasz.

Zastanowił się.

– To zależy... – odparł niepewnie. – Nie mam pojęcia, co tam zastanę. Bóg mnie poprowadzi. Podsunie mi właściwe słowa.

– Ale kiedy to sobie wyobrażasz... spotkanie... Jak to będzie?

Popatrzył przed siebie. Pracownik lotniska w kombinezonie z jaskrawożółtymi paskami odblaskowymi otwierał drzwi, na których widniał napis NIE OTWIERAĆ.

– Nie wyobrażam sobie tego – powiedział. – Znasz mnie, nie potrafię przeżywać rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły. A poza tym to zawsze wygląda inaczej, nie tak, jak się tego spodziewamy.

Westchnęła.

– Ja to widzę. Mam to przed oczyma.

– Opowiedz mi.

– Ale obiecaj, że nie będziesz się śmiał.

– Obiecuję.

Zaczęła mówić ze wzrokiem spuszczonego na jego pierś.

– Widzę, jak stoisz na brzegu ogromnego jeziora. Jest noc, na niebie pełno gwiazd. Na wodzie są setki małych rybackich łódek, kołyszą się na falach. W każdej łódce siedzi co najmniej jedna osoba, w niektórych trzy lub cztery, ale nie widzę dokładnie, jest zbyt ciemno. Żadna z tych łodzi nigdzie nie płynie, każda rzuciła kotwicę, ponieważ wszyscy słuchają. Powietrze jest nieruchome, nie musisz krzyczeć. Twój głos po prostu niesie się po wodzie.

Pogłaskał ją po ramieniu.

– To taka ładna wizja. – Chciał powiedzieć „sen”, ale mogłoby to zabrzmieć lekceważąco.

Wydała dźwięk, który mógł być równie dobrze śpiewnym wyrazem aprobaty, jak i stłumionym okrzykiem bólu. Poczul na sobie ciężar jej ciała i pozwolił, by ułożyła się wygodnie; starał się nie kręcić.

Po drugiej stronie hali, na ukos od miejsca, w którym siedzieli, był sklepik ze słodyczami. Pomimo późnej godziny ciągle panował tam duży ruch. Pięciu klientów stało w kolejce do kasy, a kilku innych oglądało towary. Peter widział, jak młoda, elegancko ubrana kobieta nabrała z półek całe naręcze produktów – wielkie pudła pralinek, podłużne kartony herbatników i czekoladę Toblerone w rozmiarze policyjnej pałki. Przyciskając to wszystko do piersi, powoli przeszła za filar, jakby chcąc sprawdzić, czy znajdzie tam jeszcze jakieś wystawione na sprzedaż smakołyki. A potem zwyczajnie odeszła, wmieszała się w tłum przechodniów i ruszyła do damskiej toalety.

– Właśnie byłem świadkiem przestępstwa – wyszeptał Peter z ustami we

włosach Bei. – Też to widziałaś?

- Tak.
- Myślałem, że usnęłaś.
- Nie, też ją widziałam.
- Może powinniśmy ją ująć?
- Ująć? Chodzi ci o zatrzymanie obywatelskie?
- Albo chociaż powiadomić obsługę sklepu.

Beatrice przycisnęła mocniej głowę do jego ramienia. Obserwowali, jak kobieta znika za drzwiami toalety.

- Co by to dało?
- To mogłoby jej uświadomić, że kradzież jest zła.
- Wątpię. Gdyby wpadła, znenawidziłaby tylko ludzi, którzy ją złapali.
- I jako chrześcijanie mamy pozwolić, żeby dalej kradła?
- Jako chrześcijanie powinniśmy krzewić miłość do Chrystusa. Jeśli dobrze wykonamy naszą pracę, to stworzymy ludzi, którzy nie będą chcieli czynić zła.
- Stworzymy?

– Wiesz, o co mi chodzi. O inspirację. Nauczanie. Wskazywanie drogi. – Uniosła głowę i pocałowała go w czoło. – Dokładnie o to, co ty będziesz robił na misji, mój bohaterze.

Zarumienił się. Ucieszył się z tego komplementu jak dziecko z nową zabawką. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był mu potrzebny, właśnie teraz. Wzruszenie rozsadzało mu piersi.

- Idę się pomodlić – powiedział. – Chcesz też pójść?
- Za chwilę. Idź pierwszy.

Wstał i pewnie ruszył w kierunku kaplicy. To było miejsce, które zawsze i bez trudu potrafił znaleźć na lotniskach Heathrow, Gatwick, w Edynburgu, Dublinie czy Manchesterze. Było to zazwyczaj najbrzydsze, najbardziej obskurne pomieszczenie w całym kompleksie dworcowych budynków, zupełne przeciwieństwo błyszczących gwarnych sklepów. Ale było obdarzone duszą.

Tym razem przeczytał uważnie tabliczkę na drzwiach. Chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie trafił na moment, kiedy udzielano komunii. Jednak najbliższa była zaplanowana dopiero na czwartek, o trzeciej po południu. O tej porze będzie już niewyobrażalnie daleko, a dla Beatrice rozpoczną się długie miesiące samotnych nocy z Joshuą.

Ostrożnie otworzył drzwi. Trzej muzułmanie znajdujący się w środku nie zwrócili na niego uwagi. Klęczeli przed przyczepioną do ściany kartką papieru, na której wydrukowany był komputerowy piktogram, duża strzałka podobna do znaku drogowego. Wskazywała kierunek, gdzie znajdowała się Mekka. Muzułmanie skłonili się, wypinając do góry zadki, i ucałowali jaskrawokolorowe dywaniki stanowiące wyposażenie kaplicy. Byli nienagannie ubrani, mieli drogie zegarki i szyte na miarę garnitury. Obok nich leżały błyszczące lakierki. Obciążone skarpetkami podeszwy stóp wyginały się w takt składanych z zapałem pokłonów.



Peter zerknął za kotarę przedzielającą pomieszczenie. Tak jak się spodziewał, zobaczył tam kobietę, także muzułmankę, spowitą w szatę z szarego materiału, która odprawiała ten sam niemy rytuał co mężczyźni. Miała przy sobie dziecko, niewiarygodnie grzecznego chłopczyka ubranego jak mały lord Fauntleroy. Siedział przy nogach matki i obojętny na jej modły czytał komiks o Spidermanie.

Peter podszedł do szafki, w której przechowywano święte księgi i broszury. Biblia (wydanie gedeonitów), osobne tomy Nowego Testamentu i Psalmów, Koran, jakaś podniszczona książka indonezyjska (prawdopodobnie także Nowy Testament). Na niższej półce, obok „Strażnicy” i czasopism Armii Zbawienia, zobaczył upchnięty stos broszurek. Logo wydawało mu się znajome, więc schylił się, żeby im się przyjrzeć. Były wydane przez wielką amerykańską sektę ewangelicką, której londyński pastor także brał udział w przesłuchaniu kandydatów na misję. Peter spotkał go w holu USIC. „Banda nierobów”, wysyczał rozdrażniony pastor, kierując się do wyjścia. Peter także spodziewał się, że zostanie odrzucony, tymczasem... został wybrany. Dlaczego właśnie on, a nie ktoś z jakiegoś bogatego kościoła z silnymi wpływami politycznymi? Nadal nie mógł tego zrozumieć. Otworzył jedną z broszurek i od razu zobaczył typowe bzdury o znaczeniu liczby 666, kodach kreskowych i babilońskiej nierządnicy. Może to właśnie była odpowiedź. USIC nie potrzebował fanatyków.

Ciszę panującą w pokoju zakłócił komunikat nadany przez interkom. Głos popłynął z małego głośnika, który tkwił przy suficie jak przyczepiony do skóry kleszcz. „Linie lotnicze Allied z przykrością zawiadamiają, że zwiększyło się opóźnienie lotu numer AB31 do Alicante. Opóźnienie spowodowane jest problemami technicznymi. Następny komunikat zostanie nadany o dwudziestej drugiej trzydziści. Pasażerowie, którzy jeszcze nie otrzymali voucherów na posiłek, proszeni są o ich odebranie. Linie lotnicze Allied jeszcze raz przepraszają za utrudnienia”.

Peterowi wydało się, że z zewnątrz dobiega chóralny jęk zawodu, ale pewnie była to tylko gra jego wyobraźni.

Otworzył księgę pamiątkową, wielką jak rejestr handlowy, i zaczął przewracać kartki. Czytał umieszczone w rzędach komentarze podróźnych z całego świata. Po raz kolejny poczuł satysfakcję; te zapiski jeszcze nigdy go nie zawiodły. Same wpisy z dzisiejszego dnia zapełniały aż trzy strony. Niektórych dokonano chińskimi znakami, innych alfabetem arabskim, ale większość była po angielsku. Pisali to różni ludzie swoimi pewnymi lub drżącymi dłońmi. Pan był tutaj, obecny w tym oceanie tuszu z długopisów i mazaków.

Zawsze, kiedy był na lotnisku, Peter uświadamiał sobie, że cały ten ogromny, nasycony sklepami obiekt jest jakby placem zabaw, rajem świeckich przyjemności, galaktyką konsumpcjonizmu, w której nie ma miejsca dla wiary i religii. Każdy sklep, każdy billboard, każdy cal tej budowli aż do ostatniego gwoźdźcia i odpływów toalet emanował przeświadczeniem, że nikt tu nie

odczuwa potrzeby obcowania z Bogiem. Tłumy stojące w kolejkach po przekąski i bezużyteczne bibeloty, nieprzerwany strumień pasażerów, których nagrywały kamery telewizji przemysłowej, stanowiły zdumiewający dowód na bezsporną różnorodność ludzkich istot. Łączyło je tylko to, że wszystkie z pozoru były pozbawione wiary – zwolnione z cła, w pełnym znaczeniu tych słów. A jednak te hordy myszkujące po wyprzedażach, tabuny ruszające w podróże poślubne, miłośnicy opalenizny, szefowie firm zajęci swoimi interesami, hipsterzy poszukujący najnowszych gadżetów... nikt by nie zgadł, jak wielu z nich zaglądało do tego pokoju i pisało płynące z głębi serca wiadomości do Wszechmocnego i do swoich braci w wierze.

*Kochany Boże, proszę Cię, żebyś usunął wszystko, co złe, ze świata. Jonathan  
Jakieś dziecko, domyślił się Peter.*

*Yuko Oyama z prefektury Hyoyo, Japonia. Modłę się za chore dzieci i pokój na świecie. I o to, żebym znalazła dobrego męża.*

*Gdzie jest KRZYŻ CHRYSZTUSOWY naszego ZMARTWYCHWSTAŁEGO PANA?  
Obudźcie się!*

*Charlotte Hogg, Birmingham. Proszę o modlitwę, aby moja ukochana córka i wnuk pogodzili się z moją chorobą. I o modlitwę za cierpiących.*

*Marijn Tegelaars, Londyn/Belgia. Za moją najdroższą przyjaciółkę G, aby miała odwagę pozostać sobą.*

*Jill, Anglia. Proszę o modlitwę za moją zmarłą matkę, aby jej dusza zaznała spokoju. I za moją rodzinę, w której nie ma zgody, a panuje nienawiść.*

*Allah jest najlepszy! Bóg rządzi!*

Kolejny wpis był całkowicie zamazany. Prawdopodobnie paskudna, szowinistyczna riposta na muzułmańskie słowa, usunięta przez innego muzułmanina lub przez zarządcę kaplicy.

*Coralie Sidebottom, Slough, Berks. Dzięki Ci, Panie, za cuda stworzenia.*

*Pat & Ray Murchiston, Langton, Kent. Za naszego ukochanego syna Dave'a, który zginął wczoraj w wypadku samochodowym. Pozostaniesz na zawsze w naszych sercach.*

*Thorne, Frederick, hrabstwo Armagh, Irlandia. Modłę się za uzdrowienie planety i przebudzenie WSZYSTKICH ludzi.*

*Matka. Mam złamane serce, bo mój syn nie odezwał się do mnie od czasu, kiedy siedem lat temu ponownie wyszłam za mąż. Proszę o modlitwę za nasze pojednanie.*

*Okropny zapach taniego odświeżacza powietrza. Stać was na więcej.*

*Moira Venger, Afryka Południowa. Bóg czuwa.*

*Michael Lupi, Hummock Cottages, Chiswick. Może coś innego zamiast tych środków odkażających?*

*Jamie Shapcott, 27 Pinley Grove, Yeovil, Somerset. Proszę, żeby mój samolot British Airways się nie rozbił. Dziękuję.*

*Victoria Sams, Tamworth, Staffs. Ładny wystrój, ale światła ciągle migoczą.*

*Lucy, Lossiemouth. Proszę, żeby mój mąż wrócił szczęśliwie.*

*Peter zamknął księgę drżącymi rękami. Wiedział, że jest spore*

prawdopodobieństwo, że umrze w ciągu najbliższych trzydziestu dni, a nawet jeśli przeżyje podróż, to może nigdy nie wróci. To było jego Getsemani. Zaciśnął powieki i zaczął się modlić, żeby Bóg powiedział mu, czego od niego chce. Czy nie lepiej Mu się przysłuży, jeśli chwyci Beatrice za rękę, pobiegnie z nią do wyjścia i wróci prosto do domu, zanim Joshua spostrzeże jego nieobecność?

W ramach odpowiedzi Bóg pozwolił mu wysłuchać histerycznego bełkotu – jego własnych, płynących z podświadomości słów, które zadudniły mu pod sklepieniem czaszki. Nagle Peter usłyszał za sobą pobrząkiwanie monet. Jeden z muzułmanów wstał i wkładał buty. Peter odwrócił się. Wychodząc, muzułmanin skinął mu grzecznie głową. Kobieta za zasłoną malowała usta, małym palcem wygładzała rzęsy i wciskała niesforne włosy z powrotem pod hidżab. Strzałka na ścianie zakołysała się lekko, kiedy mężczyzna otworzył drzwi.

Ręce Petera przestały drżeć. Została mu ukazana nowa droga. To nie było Getsemani, nie kroczył na Golgotę. Wyruszał na wielką przygodę, został wybrany spośród tysięcy, by zrealizować najważniejszą misję od czasów, kiedy apostołowie wyruszyli na podbój Rzymu uzbrojeni jedynie w potęgę miłości. Postanowił zrobić wszystko, co jest w jego mocy.

Beatrice nie było tam, gdzie ją zostawił. Przez chwilę myślał, że straciła nad sobą panowanie i wołała uciec z lotniska niż pożegnać się z nim po raz ostatni. Zrobiło mu się smutno i wtedy ją zobaczył. Była przy następnym rzędzie foteli, bliżej kiosku z kawą i muffinami. Klęczała na podłodze, jej twarz zasłaniały rozpuszczone włosy. Przed nią, też na czworakach, przycupnęło dziecko – tłusty berbec w elastycznych spodenkach naciągniętych na pieluchę.

– Spójrz! Mam... dziesięć palców! – mówiła Bea do dziecka. – A ty ile masz palców?

Maluch przesunął się do przodu na rękach, prawie na nią wpadając. Pokazała mu, jak liczy swoje palce, i powiedziała:

– Sto! A wcale nie, bo dziesięć! – Chłopczyk się roześmiał. Starsze dziecko, dziewczynka, stało nieśmiało z tyłu i ssało kciuk. Odwracało się ciągle, spoglądając na matkę, ale ta nie zwracała uwagi ani na dzieci, ani na Beatrice. Była skupiona na przedmiocie, który trzymała w dłoni.

– O, cześć! – powiedziała Beatrice, kiedy zobaczyła zbliżającego się Petera. Zgarnęła włosy z twarzy i założyła je za uszy. – To są Jason i Gemma, lecą do Alicante.

– Mamy taką nadzieję – odezwała się znużonym głosem ich matka. Przedmiot w jej dłoni wydał cichy pisk, kończąc mierzyć poziom glukozy we krwi kobiety.

– Czekaają tu już od drugiej po południu – wyjaśniła Beatrice. – Są wykończeni.

– Nigdy więcej – mruknęła kobieta, szukając w podróżnej torbie zastrzyków z insuliną. – Przysięgam. Biorą od ciebie pieniądze, a potem mają wszystko gdzieś.

– Joanne, to mój mąż Peter. Peter, to jest Joanne.

Joanne skinęła głową na powitanie, ale była zbyt przejęta swoimi kłopotami, by wypowiedzieć banalne, zdawkowe pozdrowienie.

– Z ulotek wydaje się, że to taniocha – stwierdziła z goryczą – ale płacisz za to zdrowiem.

– Nie przejmuj się tak – pocieszała ją Beatrice. – Będziecie mieli cudowne wakacje. Przecież nic złego się nie stało. Pomyśl, gdyby samolot miał wylecieć planowo dopiero za osiem godzin, robiłabyś to samo co teraz. Też byś czekała, tylko że w domu.

– Tylko tych dwoje byłoby wtedy w łóżku – burknęła kobieta. Odstłoniła fragment ciała na brzuchu i wbiła igłę.

Jason i Gemma poczuli się dotknięci bezpodstawnym oskarżeniem – wcale nie są senni, a tylko najzwyczajniej w świecie gnębieni. Zamierzali ponownie wpaść w złość. Beatrice znów opadła na kolana.

– Chyba zgubiłam stopy – powiedziała, rozglądając się uważnie po podłodze. Zmrużyła oczy jak krótkowidz. – Gdzie one się podziały?

– Są tutaj! – krzyknął mały Jason, kiedy odwróciła się tyłem do niego.

– Gdzie? – zapytała, odwracając się z powrotem.

– Dzięki Bogu! – westchnęła Joanne. – Freddie wraca z jedzeniem.

Pojawił się mężczyzna. Miał słabo zarysowany podbródek, ubrany był w brązową wiatrówkę, a w dłoniach ścisnął kilka papierowych torebek. Wyglądał na wykończonego.

– Największy przekręt w dziejach świata – oznajmił. – Trzymają cię w kolejce po vouchery warte jakieś dwa funty. Jak po odbiór zasiłku w urzędzie pracy. Mówię ci, że jeśli za pół godziny ten cholerny...

– Freddie – odezwała się pogodnie Beatrice. – To mój mąż, Peter.

Mężczyzna położył torebki i uścisnął mu dłoń.

– Pete, twoja żona to anioł. Pewnie zawsze zajmuje się bezpiecznymi psami.

– My... oboje wierzymy, że przyjaźń popłaca – powiedział Peter. – To nic nie kosztuje, a życie jest ciekawsze.

– Kiedy zobaczymy morze? – zapytała Gemma, ziewając.

– Jutro, kiedy się obudzisz – odpowiedziała jej matka.

– Czy ta miła pani też tam będzie?

– Nie, ona leci do Ameryki.

Beatrice skinęła na dziewczynkę, żeby usiadła przy jej boku. Berbec już zasnął, rozciągnięty na wypchanym do granic możliwości płóciennym plecaku.

– Chyba nastąpił błąd na łączach – powiedziała Beatrice. – To mój mąż leci, nie ja.

– Ty zostajesz w domu z dziećmiakami?

– Nie mamy dzieci. Jeszcze nie.

– Dobrze wam radzę – westchnął mężczyzna – dajcie sobie spokój.

– Na pewno tak nie myślisz – odparła Beatrice.

Peter, widząc, że mężczyzna ma ochotę odpowiedzieć jej bez ogródek, dodał:

– Żartuje.

I rozmowa potoczyła się dalej. Beatrice i Peter wpadli w zgodny rytm, połączeni jednym celem. Robili to już setki razy. Zwykła, niewymuszona konwersacja, która ma potencjał, żeby przerodzić się w coś o wiele ważniejszego, kiedy nadarzy się okazja, by wspomnieć Jezusa. Taki moment może nadejść lub nie. Możliwe, że powiedzą tylko „niech was Bóg błogosławi” na pożegnanie. I tyle. Nie każde spotkanie owocowało przemianą. Niektóre rozmowy były zaledwie przyjazną wymianą oddechów.

Ukojona pogawędką para podróżnych rozluźniła się. Już po kilku minutach potrafili nawet się roześmiać. Byli z Merton, ona cierpiała na cukrzycę, a on na depresję. Oboje pracowali w wielkim sklepie z narzędziami i oszczędzali na te wakacje przez cały rok. Nie byli zbyt bystrzy ani interesujący. Kobieta miała nieprzyjemny śmiech, a mężczyzna śmierdział okropną piżmową wodą po goleniu. Ale byli istotami ludzkimi i Bóg ich kochał.

– Zaraz będzie mój samolot – powiedział w końcu Peter.

Beatrice ciągle siedziała na ziemi z oczami szklanymi od łez. Na jej udzie spoczywała głowa córki nieznajomej pary.

– Jeżeli pójdę z tobą do bramki kontrolnej i uścisknę cię, zanim znikniesz, przysięgam, że nie będę w stanie się powstrzymać. Zepsuję to, zrobię scenę. Pocałuj mnie tutaj na pożegnanie.

Peter poczuł, jak pęka mu serce. To, co w kaplicy wydawało się wielką przygodą, teraz pogrążyło go w ogromnym smutku, jakby składał w ofierze coś najcenniejszego. Starał się myśleć o słowach Apostoła – „Ty zaś czuwaj we wszystkim, znoś trudy, wykonaj dzieło ewangelisty, spełnij swe posługiwanie! Albowiem krew moja już ma być wylana na ofiarę, a chwila mojej rozłąki nadeszła”<sup>1</sup>.

Pochylił się, a Beatrice pocałowała go szybko, przyciągając dłonią jego głowę do swoich warg. Wyprostował się oszołomiony. To spotkanie z nieznajomymi – zaplanowała je, teraz widział to jasno.

– Napiszę – obiecał.

Skinęła głową i ten ruch sprawił, że łzy potoczyły się po jej policzkach. Poszedł szybko do wyjścia dla pasażerów. Czterdzieści minut później był już wysoko na niebie.

## Już nigdy nie będzie w stanie patrzeć na ludzi tak jak poprzednio

Szofer z USIC wyszedł ze sklepu na stacji benzynowej z butelką napoju pomarańczowego Tang i nienaturalnie żółtym bananem. Oślepiiony słońcem poszukał wzrokiem swojej zatankowanej limuzyny i drogocennego ładunku. Ładunkiem był Peter, który korzystając z postoju, rozprostowywał nogi i usiłował po raz ostatni zadzwonić.

– Przepraszam – powiedział – czy możesz pomóc mi z tym telefonem?

Mężczyzna wydawał się zbity z tropu. Wyciągnął ręce, żeby pokazać, że obie są zajęte. Miał na sobie granatowy garnitur i krawat, nieodpowiedni strój na panujący na Florydzie upał. Nadal był lekko urażony tym, że samolot się spóźnił, i zachowywał się tak, jakby to Peter był osobiście odpowiedzialny za burzę nad północną częścią Oceanu Atlantyckiego.

– Co jest z nim nie tak? – zapytał, odkładając napój i banana na dach limuzyny.

– Pewnie nic – powiedział Peter i zerknął na przedmiot, który trzymał w dłoni. – Prawdopodobnie nie umiem się nim posługiwać.

Była to prawda. Nie najlepiej radził sobie z takimi gadżetami i korzystał z telefonu komórkowego tylko w wyjątkowych okolicznościach. Rzadko wyjmował go z kieszeni i po pewnym czasie okazywało się, że aparat jest już przestarzały. Mniej więcej raz na rok Beatrice kazała mu zapamiętać nowy numer, ponieważ kolejny operator stawiał zbyt uciążliwe warunki lub bankrutował. W dzisiejszych czasach firmy padały jak muchy. Bea nadążała za tymi zmianami, on nie. Wiedział tylko, że niełatwo mu zapamiętać co roku dwa nowe numery telefoniczne, chociaż bez trudu potrafił opanować długie ustępy Pisma. Nie radził sobie z technologią do tego stopnia, że kiedy naciskał guzik z symbolem słuchawki i nic się nie działo – tak jak teraz, na tej zapierającej dech w piersiach Florydzie – nie miał pojęcia, co powinien zrobić.

Szofer śpieszył się, chciał już ruszać, bo mieli przed sobą długą drogę. Odgryzł wielki kawał banana, wziął do ręki telefon i obejrzał go nieufnie.

– Czy ma porządną kartę? – wymamrotał z pełnymi ustami. – Taką, żeby się dodzwonić do... Chcesz zadzwonić do Anglii?

– Chyba tak – odpowiedział Peter. – Tak mi się wydaje.

Szofer oddał mu telefon i powiedział wymijająco:

– Mi tam wygląda, że komórka jest w porządku.

Peter wszedł w cień rzucany przez blaszany daszek znajdujący się nad dystrybutorami. Spróbował jeszcze raz wystukać sekwencję cyfr. Tym razem

jego wysiłek nagrodziło staccato dźwięków – komórka zaakceptowała międzynarodowy kod kierunkowy i numer Bei. Przyłożył telefon do ucha i utkwiał wzrok w bajkowo błękitnym niebie i przystrzyżonych drzewach otaczających parking dla ciężarówek.

– Halo?

– To ja – powiedział.

– ...alo?

– Słyszysz mnie?

– ...słyszę cię... – Głos Bei zanikał w szumie zakłóceń. Pojedyncze słowa sypały się z maleńkiego głośniczka aparatu jak iskiereki z ogniska.

– Jestem na Florydzie.

– ...środek... nocy – odpowiedziała.

– Przepraszam. Obudziłem cię?

– ...kocham cię... jak się... wiesz, że...?

– Jestem cały i zdrowy – powiedział. W spoconej dłoni telefon zrobił się śliski. – Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale potem mogę już nie mieć okazji. Samolot miał opóźnienie i musimy się śpieszyć.

– ...y... o...w tym... mnie... wie coś o...?

Odszedł dalej od samochodu, opuszczając cię.

– Ten facet nie ma o niczym pojęcia – powiedział cicho. Miał nadzieję, że jego słowa słyhać lepiej niż odpowiedzi, które ledwo do niego docierały. – Nawet nie jestem pewien, czy pracuje dlaUSIC.

– ...spytała...?

– Nie, jeszcze go nie spytałem. Ale to zrobię. – Zawstydziała go. Spędził w samochodzie z tym mężczyzną już prawie pół godziny, a do tej pory nie wiedział, czy jest on pracownikiemUSIC, czy tylko wynajętym kierowcą. Dowiedział się za to, że fotografia małej dziewczynki na desce rozdzielczej przedstawia jego córkę, że szofer niedawno rozwiódł się z jej matką, a jego była teściowa jest adwokatem i bardzo się stara, żeby pożałował dnia, w którym się urodził.

– Wszystko dzieje się tak szybko. Nie mogłem zasnąć w czasie lotu. Napiszę do ciebie, kiedy... wiesz, kiedy będę już po drugiej stronie. Wtedy będę miał mnóstwo czasu i dokładnie ci o wszystkim opowiem. Będzie tak, jakbyśmy podróżowali razem. Zakłócenia wzmożyły się i nie był pewien, czy Bea zamilkła, czy też jej słowa zniknęły w eterze. Podniósł głos:

– Jak się ma Joshua?

– ...kilka ...on tylko... o... li... stronie...

– Przepraszam, zanikasz. A ten człowiek chce, żebym skończył rozmawiać. Muszę się rozłączyć. Kocham cię. Chciałbym... Kocham cię.

– To była twoja żona? – zapytał kierowca, kiedy Peter usadowił się z powrotem w samochodzie i ruszyli sprzed parkingu dla ciężarówek.

W zasadzie miał ochotę odpowiedzieć: To nie była moja żona, tylko elektroniczny chaos, szum, który wydostawał się z tego małego metalowego urządzenia.

– Tak – powiedział jednak. Miał wręcz obsesję na punkcie rozmów telefonicznych, potrafił rozmawiać tylko twarzą w twarz, ale trudno to było wyjaśnić obcej osobie. Nawet Beatrice czasem nie mogła tego zrozumieć.

– Twój dzieciak ma na imię Joshua? – Kierowcy najwyraźniej nie krępowało, że podsłuchiwał jego rozmowę.

– Joshua to nasz kot – odpowiedział Peter. – Nie mamy dzieci.

– Mniej kłopotów na głowie.

– Jesteś kolejną osobą, która mi to mówi. Ale na pewno kochasz swoją córkę.

– Nie mam wyboru! – Szofer wykonał nieokreślony ruch ręką w kierunku przedniej szyby. Może miał na myśli swoje życiowe doświadczenie, przeznaczenie, a może coś zupełnie innego. – Co robi twoja żona?

– Jest pielęgniarką.

– Dobry fach. W dzisiejszych czasach to lepsze niż prawnik. Pomaga ludziom, a nie zatruwa im życie.

– Mam nadzieję, że pastor też potrafi pomóc.

– No pewnie – odpowiedział zdawkowo i bez przekonania.

– A ty? – zapytał Peter. – Pracujesz na stałe dla USIC czy tylko na zlecenia?

– Pracuję dla nich jako kierowca już prawie dziesięć lat. Przewożę głównie towary, czasem naukowców. USIC organizuje dużo konferencji. A od czasu do czasu trafia się astronauta.

Peter skinął głową. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak szofer odbiera astronautę z lotniska Orlando. Dryblas z kwadratową szczęką w baniastym kombinezonie kroczący niezdarnie przez halę przylotów w stronę kierowcy, który trzyma w dłoniach tabliczkę z jego nazwiskiem. Potem zrozumiał.

– Nigdy nie uważałem się za astronautę – powiedział.

– To staroświeckie określenie – zgodził się szofer. – Używam go, bo szanuję tradycję. Świat zmienia się za szybko. Wystarczy spuścić coś z oka, a za moment już tego nie ma.

Peter spojrzał przez boczną szybę. Szosa była podobna do angielskich autostrad. Zobaczył gigantyczne metalowe tablice informujące, że w pobliżu znajdują się wspaniałe atrakcje turystyczne. Rzeka Econlockhatchee i rezerwat przyrody Hall Scott były gdzieś niedaleko, ukryte za ekranami ochronnymi ciągnącymi się wzdłuż drogi. Stylizowane obrazki na billboardach przedstawiały uroki jazdy konnej i życia na biwakach.

– Trzeba oddać sprawiedliwość USIC – powiedział kierowca. – Starają się szanować tradycję. A może doceniają wartość marki. Kupili przylądek Canaveral, wiedziałeś o tym? Teraz to ich własność, musiał kosztować fortunę. A mogli zbudować swoją bazę kosmiczną, gdzie tylko chcieli, tyle jest teraz nieruchomości do kupienia za bezcen. Ale woleli przylądek Canaveral, mają



klasę.

Peter przytaknął niepewnie. Nie miał wyrobionej opinii na temat klasy – lub jej braku – międzynarodowych korporacji. O USIC wiedział między innymi to, że kupił mnóstwo pozamykanych fabryk w podupadłych miastach byłego Związku Sowieckiego. Określenie „mieć klasę” jakoś nie pasowało jego zdaniem do tego, co tam się działo. Co do przylądka Canaveral, to historia lotów kosmicznych nigdy go nie interesowała, nawet kiedy był dzieckiem. Nie wiedział, że NASA przestała istnieć. Była to bezużyteczna informacja. Beatrice wynajdywała podobne wiadomości w gazetach, które potem lądowały pod miskami Joshuy.

Zaczął już za nim tęsknić. Beatrice często wychodziła do pracy o świcie, kiedy kot spał jeszcze smacznie w łóżku. Nawet jeśli zaczynał się wiercić i miauczał, znikąca szybko, mówiąc „tatusz cię nakarmi”. I oczywiście godzinę lub dwie później Peter siedział w kuchni nad słodkimi płatkami, a Joshua pałaszował swoje (słone), siedząc na podłodze obok tatusia. Potem wskakiwał na stół i wylizywał resztki mleka z miski Petera. Tego nie wolno mu było robić, kiedy mama była w pobliżu.

– Trening jest ciężki, prawda? – zapytał kierowca.

Peter wiedział, że powinien teraz opowiedzieć kilka historyjek w stylu weteranów sił specjalnych, na przykład coś o testach na wytrzymałość. Ale nie miał nic takiego w zanadrzu.

– Jest trochę ćwiczeń fizycznych – przyznał – ale przesiew kandydatów to głównie odpowiedzi na pytania.

– Tak? – zdziwił się kierowca. Po kilku chwilach włączył radio.

– ...w Pakistanie – rozległ się poważny głos – siły antyrządowe... – Szofer przełączył radio na stację nadającą muzykę. Popłynęły dźwięki starego przeboju zespołu A Flock of Seagulls.

Peter oparł się na siedzeniu i przypomniał sobie pytania, które padały podczas rekrutacji. Każda sesja trwała godzinę i odbywała się w sali posiedzeń na dziesiątym piętrze szpanerskiego hotelu w Londynie. Zawsze obecna była jedna Amerykanka, elegancka drobna anorektyczka, która zachowywała się jak słynna choreografka lub była tancerka baletowa. Miała jasne oczy, mówiła nosowym głosem i zawsze podczas pracy trzymała w dłoniach kubek z bezkofeinową kawą. W przesłuchaniach pomagał jej zmieniający się co jakiś czas zespół. Słowo „przesłuchanie” nie oddawało charakteru tych spotkań, ponieważ wszyscy zachowywali się przyjaźnie. Peter miał niejasne uczucie, że kibicowali mu, chcieli, żeby odniósł sukces.

– Jak długo możesz się obejść bez ulubionych lodów?

– Nie mam ulubionych lodów.

– Jaki zapach najbardziej kojarzy ci się z dzieciństwem?

– Nie wiem. Może sosu waniliowego.

– Lubisz sos waniliowy?

– Jest dobry. Teraz zwykle jadam go z puddingiem na Boże Narodzenie.

– Z czym kojarzy ci się Boże Narodzenie?

– Z mszą, ze świętowaniem narodzin Jezusa, z obchodzonym w Rzymie świętem zimowego przesilenia, z Janem Chryzostosem, synkretyzmem, Świętym Mikołajem, śniegiem.

– Obchodzisz to święto?

– Przykładamy do niego wielką wagę w naszym kościele. Organizujemy prezenty dla niepełnosprawnych dzieci, przygotowujemy wieczerzę w naszym schronisku... Mnóstwo ludzi czuje się wtedy bardzo źle, jest tylu przygnębionych. Trzeba im pomóc przez to przejść.

– Jak ci się śpi w obcych łóżkach?

Nad tym musiał się zastanowić. Przypominał sobie tanie hoteliki, w których mieszkali z Beą, kiedy uczestniczyli w spotkaniach ewangelizacyjnych w różnych miastach, rozkładane sofy u przyjaciół. I wcześniejsze czasy, trudne decyzje, czy użyć płaszcza jako poduszki i położyć go na betonie pod głową, czy pozostawić na sobie, by nie trząść się z zimna.

– Zwyczajnie, pewnie jak każdemu – powiedział. – Jeżeli leżę w jakimś łóżku w pozycji horyzontalnej, to zazwyczaj wszystko jest w porządku.

– Czy łatwo się irytujesz, zanim wypijesz pierwszą poranną kawę?

– Nie piję kawy.

– A herbatę?

– Czasem.

– Czasem się irytujesz?

– Niełatwo mnie wyprowadzić z równowagi.

To była prawda, a te przesłuchania stanowiły najlepszy dowód. Podobał mu się ten sparing, czuł, że chcą go wypróbować, a nie osądzić. Grad pytań był ożywczą odmianą po nabożeństwach w kościele, kiedy musiał wygłaszać godzinne kazania, podczas gdy inni mogli milczeć. Chciał tej pracy, pożył jej, ale wszystko było w ręku Boga i nic by nie zyskał, gdyby okazał zaniepokojenie, odpowiadał nieszczerze lub starał się przymilać. Postanowił, że będzie sobą, i miał nadzieję, że to wystarczy.

– Jak byś się czuł, gdybyś musiał chodzić w sandałach?

– Będę musiał?

– Być może – odezwał się mężczyzna, który miał na nogach drogie czarne lakierki, tak błyszczące, że Peter mógł się w nich przejrzeć.

– Jak byś się czuł, gdybyś przez jeden dzień nie miał dostępu do mediów społecznościowych?

– Nie korzystam z mediów społecznościowych. Przynajmniej wydaje mi się, że nie. Co dokładnie rozumiecie przez „media społecznościowe”?

– W porządku. – Kiedy pytanie było niejasne, zmieniali temat.

– Którego polityka nienawidzisz najbardziej?

– Żadnego. Nie interesuje mnie polityka.

– Jest dziewiąta wieczorem i wysiada prąd. Co robisz?

– Naprawię, jeżeli dam radę.

- Ale jak byś spędził ten czas, gdyby ci się nie udało?
- Porozmawiałbym z żoną, jeśli byłaby wtedy w domu.
- Jak sobie poradzi, kiedy nie będzie cię przez pewien czas?
- Jest bardzo niezależna i zaradna.
- Czy ty też jesteś niezależny i zaradny?
- Mam taką nadzieję.
- Kiedy ostatnio się upiłeś?
- Jakieś siedem czy osiem lat temu.
- Czy masz ochotę teraz się napić?
- Poproszę jeszcze o trochę tego soku z brzoskwini.
- Z lodem?
- Tak.

– Wyobraź sobie taką sytuację – powiedziała kobieta. – Przyjeżdżasz z wizytą do obcego miasta, a osoby, które cię zaprosiły, zabierają cię na kolację. Restauracja jest miła i pełna ludzi. Pośrodku sali stoi przeszklony kojec, w którym śliczne białe kacuszki biegają wokół swojej matki. Co kilka minut kucharz łapie jedną kacuszkę i wrzuca do kotła z wrzącym olejem. Po pewnym czasie serwuje ją gościom. Wszyscy są zachwyceni i w doskonałych humorach. Twój gospodarz zamawiają kacuszkę, mówią, że jest doskonała i musisz jej spróbować. Co robisz?

- Czy w menu jest coś innego?
- Oczywiście, mnóstwo rzeczy.
- Więc zamówiłbym coś innego.
- Mógłbyś tam siedzieć i jeść?
- To by zależało od tego, dlaczego przebywam w towarzystwie tych ludzi.
- A gdybyś się z nimi nie zgadzał?
- Zacząłbym rozmawiać o dzielących nas różnicach i szczerze wyjaśnić, dlaczego uważam, że się mylą.
- Ta historia z kacuszkami by ci nie przeszkadzała?
- Ludzie jedzą różne zwierzęta. Szlachtują świnie, które są inteligentniejsze niż ptaki.
- Jeżeli zwierzę jest głupie, to można je zabić, tak?
- Nie jestem rzeźnikiem ani kucharzem. Zdecydowałem się robić coś innego w życiu. To był mój wybór, który świadczy też o tym, że jestem przeciwny zabijaniu.
- Ale co z kacuszkami?
- Nie rozumiem.
- Nie chciałbyś ich uratować? Nie stłukłbyś szyby w klatce, żeby mogły uciec?

– Mógłbym to zrobić, kierując się pierwszym odruchem. Ale to pewnie nie uratowałoby kacuszek. Gdyby to, co zobaczyłem w restauracji, później mnie prześladowało, pewnie poświęciłbym życie na przekonywanie ludzi, żeby zabijali kaczkę w sposób bardziej humanitarny. Jednak wolałbym poświęcić

życie na to, żeby to ludzie traktowali się nawzajem bardziej humanitarnie. Bo ludzie cierpią o wiele bardziej niż kaczkę.

– Nie wiadomo, czy myślałbyś podobnie, gdybyś był kaczką.

– Nie wydaje mi się, że bym dużo myślał o czymkolwiek, gdybym był kaczką.

To dzięki wyższej świadomości czujemy ból i cierpienie, prawda?

– Mógłbyś rozgnieść świerszcza?

– Nie.

– A karalucha?

– Możliwe.

– Nie jesteś więc buddystą.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem buddystą.

– Nie uważasz, że każde życie jest święte?

– To piękna koncepcja, ale za każdym razem, kiedy się myję, zabijam mikroskopijne stworzenia, które miały nadzieję, że znalazły sobie na mnie swój dom.

– Gdzie więc według ciebie przebiega granica? – Tym razem pytanie padło z ust kobiety. – Psy? Konie? Co by było, gdyby w restauracji smażyono żywcem małe kotki?

– Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie – powiedział. – Czy wysyłacie mnie w miejsce, gdzie ludzie robią straszne, okropne rzeczy innym istotom?

– Oczywiście, że nie.

– To skąd takie pytania?

– W porządku, to może coś takiego: płynąłeś statkiem wycieczkowym, który zatonął. Znalazłeś się w szalupie ratunkowej z bardzo niemiłym mężczyzną, który okazuje się homoseksualistą...

I tak to się ciągnęło, dzień po dniu. Tak długo, że Bea straciła cierpliwość i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinien powiedzieć USIC, że jego czas jest zbyt cenny, by marnować go na takie szarady.

– Nie, oni mnie potrzebują – zapewnił ją. – Czuję to.

Peter uzyskał aprobatę korporacji i teraz oddychał balsamicznym powietrzem Florydy. Odwrócił się do kierowcy i zadał pytanie, na które przez te wszystkie miesiące nie otrzymał jasnej odpowiedzi.

– Czym dokładnie jest USIC?

Szofer wzruszył ramionami.

– W dzisiejszych czasach im większa firma, tym mniej wiadomo, czym się zajmuje. Kiedyś firmy motoryzacyjne produkowały samochody, a kopalnie wydobywały surowce. To już się skończyło. Jak spytasz w USIC, czym się zajmują, to powiedzą ci, że logistyką, rekrutacją pracowników i pracami badawczo-rozwojowymi. – Kierowca wysłał resztki soku przez słomkę. Rozległ się niemiły bulgoczący dźwięk.

– Ale skąd mają na to wszystko pieniądze? – zapytał Peter. – Nie są

finansowani przez rząd.

Kierowca zmarszczył brwi. Upewnił się, że jada po właściwym pasie jezdni, i odpowiedział:

- Inwestycje.
- W co?
- W mnóstwo rzeczy.

Peter przesłonił oczy dłonią. Oślepiające światło przyprawiało go o ból głowy. Przypomniawszy sobie, że zadał to samo pytanie przesłuchującym go pracownikom USIC już na wczesnym etapie rekrutacji, kiedy Bea chodziła tam jeszcze razem z nim.

– Inwestujemy w ludzi – odpowiedziała elegancka kobieta. Potrząsnęła artystycznie przystrzyżoną siwą grzywką i położyła szczupłą, delikatną dłoń na stole.

– To samo mówią wszystkie korporacje – zauważyła Bea. Pomyślał, że powiedziała to zbyt szorstko.

– My naprawdę tak robimy – powiedziała stara kobieta. W jej szarych inteligentnych oczach malowała się szczerłość. – Bez ludzi nie da się niczego osiągnąć. Bez wybitnych jednostek obdarzonych wyjątkowymi talentami. – Odwróciła się do Petera. – Dlatego rozmawiamy z tobą.

Uśmiechnął się nad zręcznością tej frazy. Można było potraktować ją jak pochlebstwo – rozmawiają z nim, ponieważ zaliczał się do wybrańców; mogła też usprawiedliwiać odmowę – rozmawiają z nim, ale by zachować wysokie standardy, będą musieli go odrzucić. Jedno nie ulegało wątpliwości – wszelkie próby sugestii, że razem z Beą mogliby stworzyć doskonały zespół, idealny na taką misję, spełżyły na niczym.

– Zresztą jedno z nas musi zostać, żeby opiekować się Joshua – powiedziała Bea, kiedy rozmawiali o tym później. – Byłoby okrutne zostawić go samego na tak długo. Poza tym jest kościół i dom, i wydatki. Muszę pracować. – To były słuszne zastrzeżenia, chociaż zaliczka od USIC, a nawet jej niewielka część, wystarczyłaby na mnóstwo kociego jedzenia, opiekunkę i rachunki za ogrzewanie. – Po prostu byłoby miło, gdyby nas wybrali, to wszystko.

Tak, byłoby miło. Jednak nie zmarnowali tej okazji. Peter został wybrany, inni nie.

- Jak poznałeś ludzi z USIC? – zapytał kierowcę.
- Bank zajął nam dom.
- Bardzo mi przykro.

– Cholerny bank zajął wszystkie domy w Gary. Przejął prawo własności, ale nie mógł ich sprzedać, nikt nie miał pieniędzy. A USIC zaproponował nam układ. Przejęli nasz dług, zatrzymaliśmy dom, a za to pracowaliśmy dla nich. Za drobniaki na zakupy. Niektórzy moi starzy kumple mówili, że to niewolnictwo. Ja uważam, że to... filantropia. Ci moi starzy kumple mieszkają teraz w przyczepach, a ja jeżdżę limuzyną.

Peter skinął głową. Zapomniał już, jak nazywała się miejscowość, z której

pochodził ten gość, i niewiele wiedział o kondycji amerykańskiej gospodarki, ale doskonale rozumiał, co to jest ostatnia deska ratunku.

Limuzyna łagodnie skręciła w prawo; wjechali w orzeźwiający cień rzucany przez rosnące na poboczu sosny. Drewniany znak w stylu tych, jakie informowały o polach namiotowych, przydrożnych grillach czy domkach kempingowych, pokazywał, że właśnie tu należy skręcić do USIC.

– W każdym podupadłym mieście w tym kraju – ciągnął kierowca – można znaleźć mnóstwo ludzi, którzy jadą na tym samym wózku co ja. Mogą mówić, że pracują dla tej czy innej firmy, ale gdyby podrażyc głębiej, to okaże się, że zatrudnia ich USIC.

– Nawet nie wiem, co oznacza ten skrót – powiedział Peter.

– Też nie mam pojęcia. Teraz mnóstwo firm dziwacznie się nazywa. Wszystkie stare nazwy, które miały jakąkolwiek wartość handlową, zostały już sprzedane. Chodziło o prawa do znaków towarowych.

– Domyślam się, że US oznacza United States.

– Pewnie tak. Chociaż to spółka międzynarodowa. Ktoś mi nawet mówił, że zaczęli w Afryce. Jedno wiem, opłaca się dla nich pracować. Nigdy mnie nie wyrolowali. Jesteś w dobrych rękach.

„Ojczy, w Twoje ręce powierzam ducha mego”<sup>2</sup>. „Oczywiście, pomyślał Peter, Ewangelia według świętego Łukasza, słowa wypełniające proroctwo Psalmu 31. Tylko nie do końca było jasne, w czyje ręce on sam się dostanie”.

– Ukłucie zabolilo – powiedziała czarnoskóra kobieta w białym laboratoryjnym kitlu. – To będzie bardzo niemiłe. Poczujesz, jakby w twoje żyły spływało pół litra zimnego jogurtu.

– Dzięki, nie mogę się już doczekać. – Poruszył niepewnie głową. Leżał w wyłożonej plastyczną masą płytkiej kolebce przypominającej trumnę i starał się nie patrzeć na igłę. Zbliżała się do jego ramienia, na które założono opaskę uciskową.

– Nie chcemy, żebyś pomyślał, że dzieje się coś złego.

– Jeżeli umrę, powiedzcie mojej...

– Nie umrzesz. Na pewno nie od tego. Rozluźnij się i pomyśl o czymś miłym.

Wenflon utkwiał w żyłę, kobieta otworzyła zawór i półprzezroczysty płyn zaczął wpływać w jego ciało. Pomyślał, że ten paskudny widok to wystarczający powód, by wymiotować. Powinni mu podać jakiś środek uspokajający. Zastanawiał się, czy jego trzej towarzysze podróży są odważniejsi. Tkwili w takich samych kolebkach jak on, w tym samym budynku, ale nie wiedział dokładnie gdzie. Spotka ich za miesiąc, kiedy się obudzi.

Kobieta, która przeprowadzała zabieg, stała spokojnie obok i obserwowała Petera. Nagle bez ostrzeżenia (ale kto miałby go ostrzec?) umalowane usta przesunęły się na jej twarzy i zaczęły płynąć po lewym policzku jak mały czerwony kajak. Dotarły do czoła i zatrzymały się ponad brwiami. Potem jej

oczy, powieki i rzęsy popęzły aż na krawędź szczęki. Zamrugały, jakby nic się nie stało.

– Nie walcz z tym, poddaj się – poradziły usta na czole. – To zaraz minie.

Był zbyt przestraszony, żeby coś powiedzieć. To nie były halucynacje. Tak wygląda wszechświat, kiedy nie można go kontrolować. Wiązki atomów i promienie światła przenikały się, tworzyły efemeryczne kształty. Kiedy rozpływał się w ciemnościach, najbardziej się bał, że już nigdy nie będzie w stanie patrzeć na ludzi tak jak poprzednio.

## Wielka przygoda mogła poczekać

– Stary, hej, stary! – Niski, żalony głos dobiegający z bezkształtnej pustki. – Co to za straszne gówno, do kurwy nędzy?

– Uważaj, co mówisz, BG. Jest tu z nami ktoś pobożny.

– Cmok mu w krok. Pomóż mi wyleźć z tej trumny, stary.

I trzeci głos.

– Mi też. Najpierw mi.

– Będziecie tego żałować, dzieci. – Ten głos był śpiewny, a słowa brzmiały protekcjonalnie. – No dobra. – Usłyszał szelest, stękanie, sapanie i mamrotanie, jakby ktoś wykonywał wyjątkowo ciężką pracę.

Peter otworzył oczy, ale zbyt go mdliło, żeby odwrócić głowę w stronę głosów. Zdawało mu się, że sufit i ściany drgają, a światło faluje. Wszystkie powierzchnie wyginały się i podrygiwały, jak gdyby sztywna konstrukcja pokoju zmieniała się w gumę. By uciec przed tą deliryczną wizją, zamknął oczy, ale wtedy poczuł się jeszcze gorzej. Konwulsje przeniosły się do wnętrza czaszki. Gałki oczne nadymały się jak balony, ciało pod skórą na twarzy zmieniło się w papkę, która w każdej chwili mogła wytrysnąć przez nos. Miał wrażenie, że jego mózg zasysa – a może wydala – jakiś ohydny żący roztwór.

Z kabiny w dalszym ciągu dobiegało stękanie i posapywanie. Towarzyszyły mu wybuchy szaleńczego śmiechu.

– Wiecie, to całkiem zabawne – zauważył szyderczy trzeźwy głos, wyraźnie różniący się od dwóch pozostałych. – Rozciągnięci na podłodze wyglądacie jak robale, które ktoś potraktował sprayem na insekty.

– To nieuczciwe! Ten cholerny system powinien nas obudzić jednocześnie. Wtedy byśmy zobaczyli, kto jest w lepszej formie.

– No cóż... – znów ten dominujący głos – ktoś musi być pierwszy. Żeby zrobić kawę i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Więc idź i sprawdź, Tuska. A mnie i BG zostaw w spokoju, powalczymy o drugie miejsce.

– Róbcie, co chcecie. – Rozległ się odgłos kroków, a potem otwierania drzwi. – Nie liczcie na to, że spuszczę was z oka, będę was widzieć w kamerach monitoringu. Uśmiech, proszę!

Trzask zamykanych drzwi.

– W dupie mu się poprzewracało – wymamrotał głos z podłogi.

– Bo zawsze masz ochotę go tam pocałować, stary.

Peter leżał nieruchomo i zbierał siły. Intuicja podpowiadała mu, że jego ciało wróci do normalnego stanu w odpowiednim czasie. Nie da się przyśpieszyć tego procesu, nie warto próbować, no chyba że ktoś ma żyłkę do sportowej



rywalizacji. Dwaj mężczyźni na podłodze w dalszym ciągu gderali, chichotali i próbowali się podnieść mimo krążących w ich organizmach substancji chemicznych, które pozwoliły im przeżyć Skok.

– Kto pierwszy wstanie, ja czy ty?

– Ja już stoję, brachu... widzisz?

– Pieprzysz, stary. Ty nie stoisz, tylko klęczysz. Chodź tam, usiądziemy sobie. Odgłos padającego na podłogę ciała. Znowu śmiech.

– Widzę, brachu, jak sobie radzisz...

– Spokojnie.

Słychać, jak kolejne ciało pada na ziemię, i głupkowaty atak śmiechu.

– Ale to był syf, stary.

– Kilka puszek coli postawi cię na nogi.

– Pieprzę to, wolę kreskę koki.

– Jeżeli po czymś takim chce ci się jeszcze dragów, to musisz być głupszy, niż myślałem.

– Tylko silniejszy, brachu, silniejszy.

Ciągnęli to dalej. Dwaj mężczyźni ścierali się na słowa, popisywali brawurą, próbowali przeczekać, aż wreszcie udało im się stanąć na nogi. Stękali, sapali, szperali w plastikowych torbach, nabijali się ze swoich ubrań, wkładali buty, sprawdzali, czy potrafią się poruszać o własnych siłach, czy nie zapomnieli, jak się chodzi. Peter leżał w swojej kolebce, oddychał płytko i czekał, aż pokój przestanie wirować. Przynajmniej sufit znieruchomiał.

– Hej, brachu.

Wielka głowa pojawiła się w jego polu widzenia. Peter przez chwilę nie wiedział, czy to ludzka twarz. Wydawało mu się, że przytwierdzona jest na opak – brwi na podbródku, broda na górze. A jednak to był człowiek, chociaż twarz była zupełnie niepodobna do twarzy Petera. Ciemna, brązowa skóra, bezkształtny nos, małe uszy, nieco przekrwione, piękne piwne oczy. Muskularna szyja, która byłaby w stanie unieść i opuścić kabinę windy w dwudziestopiętrowym szybie. A to coś, co wziął za brwi na podbródku? Broda. Niezbyt długa i gęsta, w stylu tych ekstrawaganckich, wymodelowanych przez drogiego fryzjera. Lata temu, w czasach młodości tego faceta, musiała wyglądać jak precyzyjna kreska narysowana czarnym markerem. Teraz mężczyzna był w średnim wieku, a broda zmierzwiona i poprzetykana siwizną. Postępująca łysina zostawiła mu na głowie tylko kilka kłębków poskręcanych włosów.

– Miło mi – wychrypiał Peter. – Jestem Peter.

– A ja BG, brachu – powiedział czarnoskóry facet, wyciągając dłoń. – Chcesz, żebym cię stąd wyciągnął?

– Chyba... chyba wolę jeszcze trochę poleżeć.

– Byle nie za długo, brachu. – BG błysnął w uśmiechu białymi zębami. – Narobisz w gacie, a to mały statek.

Peter też się uśmiechnął. Nie był pewien, czy uwaga BG odnosiła się do tego,

co może się stać, czy do tego, co już się stało. Wiskozowy całun, który go spowijał, był ciężki i wilgotny, ale wydawał się już taki, kiedy otulała go nim kobieta w laboratorium.

Zobaczył drugą twarz. Spalony słońcem biały mężczyzna, koło pięćdziesiątki, z przerzedzonymi siwymi włosami, ostrzyżony na jeża jak wojskowy. Oczy przekrwione jak u BG, ale niebieskie, przepełnione bólem nieszczęśliwego dzieciństwa, ciężkiego rozwodu i poważnych problemów w pracy.

– Severin.

– Słucham?

– Artie Severin. Musimy cię stąd wyciągnąć, koleś. Im szybciej zaczniesz coś pić, tym szybciej poczujesz się jak człowiek.

BG i Severin podnieśli go z kolebki, jakby wyciągali z pudełka nowy, dopiero co kupiony sprzęt – niezbyt troskliwie, ale na tyle delikatnie, aby niczego nie połamać i nie uszkodzić. Kiedy nieśli go przez pomieszczenie, a potem krótkim korytarzem do łazienki, stopy Petera ledwo dotykały podłogi. Tam zdjęli z niego przepaskę biodrową, którą miał na sobie przez ostatni miesiąc. Spryskali go niebieską pianką i wytarli od szyi po kostki papierowymi ręcznikami. Kiedy skończyli, wielki przezroczysty plastikowy worek wypełnił się do połowy niebiesko-brązową mazią.

– Czy tu jest prysznic? – zapytał Peter, kiedy było po wszystkim, a on ciągle czuł się lepki. – Taki z wodą?

– Woda jest na wagę złota, brachu – wyjaśnił BG. – Każda kropla ląduje tutaj. – Poklepał się po gardle. – Tam nie przyda się na nic. – Wskazał głową na ścianę, zewnętrzną skorupę statku, barierę pomiędzy nimi a ogromem pozbawionej powietrza pustki, w której byli zawieszeni.

– Przepraszam – powiedział Peter. – Głupie pytanie.

– Nie ma sprawy – rzucił BG. – Wszyscy musimy płacić frycowe. Ja lecę już drugi raz. Za pierwszym też ni cholery nic nie kumałem.

– Będziesz miał wody pod dostatkiem, kiedy dotrzemy na Oazę – powiedział Severin. – Teraz wypij chociaż tyle.

Peter dostał plastikową butelkę z zakrętką. Wziął potężny łyk i po dziesięciu sekundach zemdlął.

Nie spodziewał się, że rekonwalescencja po Skoku zajmie mu tyle czasu. Miał ochotę poderwać się jak bokser po przypadkowym ciosie i zrobić wrażenie na pozostałych mężczyznach. Ale pozostali mężczyźni szybko otrząsnęli się po następstwach Skoku i zajęli się tym, co do nich należało, podczas gdy on zaległ bezradnie na koi i tylko od czasu do czasu udawało mu się przełknąć łyk wody. Przed startem ostrzeżono go, że będzie się czuł, jakby rozłożono go na czynniki pierwsze, a potem poskładano z powrotem. Nie był to naukowy opis mechanizmu Skoku, ale dobrze oddawał doznania Petera.

Spędził popołudnie... no nie, te słowa były bez sensu. Tutaj nie było czegoś

takiego jak popołudnie, poranek lub noc. Leżał otumaniony snem w zaciemnionym pokoju, do którego BG i Severin zanieśli go po ablucji. Od czasu do czasu otwierał oczy i patrzył na zegarek. Cyfry stały się nic nieznaczącymi znakami. Prawdziwy czas powróci dopiero, kiedy Peter znów poczuje ziemię pod stopami, kiedy zobaczy wschód i zachód słońca.

Na Oazie będzie aparatura, która umożliwi wysłanie wiadomości do Beatrice. Będę pisał do ciebie codziennie, obiecywał. Każdego dnia, jeśli tylko Bóg pozwoli. Zastanawiał się, co ona teraz robi, jak jest ubrana, czy włosy ma spięte, czy rozpuszczone opadają jej na ramiona. Zrozumiał, że właśnie do tego potrzebny mu jest zegarek – nie powie mu nic o jego obecnym położeniu, ale pozwoli mu wyobrazić sobie Beatrice, która istnieje równie realnie jak on.

Ponownie spojrzął na zegarek. W Anglii była druga czterdzieści trzy w nocy. Beatrice pewnie śpi. Obok, na jego części łóżka, wyleguje się Joshua, stary spryciarz. Na pewno drzemie w lubieżnej pozie (Joshua, nie Beatrice). Ona leży na lewym boku, jedna ręka zwisa poza krawędzią łóżka, druga jest odrzucona do góry, łokieć zakrywa ucho, palce tuż obok jego poduszki, może je pocałować, sięgnąć do nich bez trudu ze swojego miejsca na łóżku. Nie teraz, oczywiście.

A może Beatrice nie śpi, może martwi się o niego? Nie mieli ze sobą kontaktu od miesiąca, a byli przyzwyczajeni, że codziennie są razem.

– A jeśli mój mąż umrze w drodze? – zapytała ludzi z USIC.

– Nie umrze w drodze – padła odpowiedź.

– A jeśli?

– Wtedy natychmiast cię powiadomimy. Innymi słowy, brak wiadomości to dobra wiadomość.

Więc wiadomości były dobre. Chociaż... Bea spędziła trzydzieści ostatnich dni w pełni świadoma, że nie ma go razem z nią, a on nie zdawał sobie sprawy z jej nieobecności.

Przypomniał sobie ich sypialnię, przytłumione światło lampy stojącej przy łóżku, jasnoniebieski kitel Bei przewieszony przez oparcie krzesła, leżące w nieładzie buty i żółtą kołdrę, całą w sierści Joshuy. Beatrice siedząca u wezłowania, w swetrze, ale z nagimi nogami, czytająca bez końca broszurki przysłane przez USIC, które zawierały niewiele konkretnych informacji.

„USIC nie może zagwarantować i nie gwarantuje bezpieczeństwa pasażerom swoich pojazdów ani osobom przebywającym w należących do firmy pomieszczeniach lub podejmujących jakiejkolwiek czynności związane lub niezwiązane z działalnością USIC. Słowem «bezpieczeństwo» określa się zarówno zdrowie fizyczne, jak i psychiczne. Obejmuje ono przeżycie i/lub powrót z Oazy, czy to w okresie, na jaki zawarta jest ta umowa, czy też wykraczającym poza ten okres, ale nie ogranicza się do tych dwóch kwestii. USIC podejmie wszelkie działania, aby zminimalizować ryzyko dla wszystkich osób uczestniczących w projektach firmy, ale złożenie podpisu pod tym dokumentem oznacza przyjęcie do wiadomości, że wysiłki USIC w tym

względnie (to jest zminimalizowania ryzyka) podlegają ograniczeniom ze względu na okoliczności, które nie zależą od USIC. Ponieważ okoliczności tych nie da się przewidzieć, muszą być traktowane jako wydarzenia bezprecedensowe i nie można ich wyszczególnić. Mogą obejmować: choroby, nieszczęśliwe wypadki, awarie sprzętu, niesprzyjające warunki atmosferyczne i wszelkie inne zdarzenia powszechnie określane mianem siły wyższej”.

Drzwi do kabiny sypialnej otworzyły się i Peter zobaczył masywną sylwetkę BG.

– Hejka, brachu.

– Cześć. – Peter wiedział z doświadczenia, że lepiej posługiwać się własnymi zwrotami niż próbować na siłę naśladować styl i akcent rozmówcy. Rastafarian i mówiących cockneyem Pakistańczyków nie przyciągali do Chrystusa protekcyjnie, którzy w błazeński sposób próbowali mówić tak jak oni. Nie sądził, żeby inaczej było z czarnoskórymi Amerykanami.

– Jak chcesz zjeść z nami, brachu, to czas wyskoczyć z wyra.

– Interesująca propozycja – powiedział Peter i przerzucił nogi przez brzeg koi. – Chyba jestem gotowy.

BG wyciągnął masywne ramiona, by mu pomóc.

– Makaron – rzucił. – Wołowina z makaronem.

– Interesująca propozycja – powtórzył Peter.

Boso, w slipach i rozpiętej koszuli, wyszedł chwiejnie z pokoju. Jakby znów miał sześć lat i złożyła go gorączka, a mama pozwoliła mu wstać z łóżka, bo akurat obchodził urodziny. Perspektywa rozpakowania prezentów nie była dostatecznie podniecająca, by całkowicie zlikwidować osłabienie spowodowane wietrzną ospą.

BG poprowadził go korytarzem, którego ściany zostały wytapetowane ogromnymi fotografiami zielonych łąk. Tego rodzaju ogromnymi zdjęciami bywały oklejane miejskie autobusy. Jakiś zmyślny projektant musiał dojść do wniosku, że widok trawy, wiosennych kwiatów i lazurowego nieba może zneutralizować klaustrofobiczny efekt ciasnych pomieszczeń.

– Nie jesteś czasem wegetarianinem, co, brachu?

– Nie – odpowiedział Peter.

– A ja tak – oznajmił BG. Skręcili za róg. Tam też na ścianach dominowała nieco rozmyta zieleń. – Ale kiedy wybierasz się w taką podróż, możesz sobie odpuścić niektóre zasady.

Obiad podano w sterowni, pomieszczeniu, w którym umieszczono aparaturę do nawigacji. Wbrew swoim przewidywaniom Peter nie ujrzał tam zapierającego dech widoku. Nie było wielkiego iluminatora, za którym mógłby zobaczyć niezmierną przestrzeń pełną mgławic i gwiazd. Żadnego okna, które przyciągałoby wzrok, tylko plastikowe ściany z otworami klimatyzatorów, lampkami kontrolnymi, wskaźnikami wilgotności i kilkoma zalaminowanymi

plakatai. Peter widział podobne obrazki w ulotkach USIC, kiedy zgłosił się do nich po raz pierwszy. Plakaty były banalnymi wytworami przemysłu reklamowego. Przedstawiały stylizowany pojazd kosmiczny, stylizowanego ptaka ze stylizowaną gałązką w dziobie i krótki opis zachwalający wysokie standardy USIC i nieograniczone korzyści, jakie firma mogła zapewnić całej ludzkości.

Pulpit sterowniczy statku nie był tak imponujący, jak można się było spodziewać. Peterowi brakowało mnóstwa pokręteł, tarcz, wskaźników i błyskających światełek. Zobaczył tylko kilka niewielkich klawiatur, płaskich monitorów i jeden wolno stojący serwer, podobny do automatu z kanapkami lub bankomatu. Szczerze mówiąc, sterownia bardziej przypominała byle jakie biuro niż sterownię. Nie było tu niczego, co sugerowałoby, że znajdują się w obcym systemie słonecznym, miliardy mil od domu.

Pilot Tuska siedział na obrotowym krześle, tyłem do monitorów, z nonszalancko skrzyżowanymi gołymi owłosionymi nogami w za dużych szortach. Na bosych stopach miał tenisówki. Nachylał twarz nad parującą plastikową miseczką.

– Witaj wśród żywych – powiedział, opuszczając miskę na wydatny brzuch. – Dobrze się spało?

– Sam nie wiem, czy naprawdę spałem – odpowiedział Peter. – Raczej czekałem, żeby znów poczuć się jak człowiek.

– To musi zająć trochę czasu – przyznał Tuska i znów uniósł miskę z makaronem. Miał jasnobrażową brodę i najwyraźniej dobrze opanował sztukę transportowania pożywienia przez gęstwinę włosów na twarzy. Nawinał trochę makaronu na widelec i wsunął go do zgrabnych czerwonych ust.

– To dla ciebie, Pete – powiedział Severin. – Odpakowałem z folii.

– Dziękuję – odparł Peter, siadając przy czarnym stoliku ze sztucznego tworzywa, na którym stały trzy zamknięte puszki coli. BG i Severin zajęli się już swoimi porcjami makaronu, pochłaniając go przy użyciu plastikowych sztućców. Peter zamknął oczy i odmówił w myślach modlitwę w podziękowanie za dary, które miał spożyć.

– Jesteś chrześcijaninem, prawda? – zapytał BG.

– Tak.

Makaron z wołowiną był podgrzany w mikrofalówce. Jak się okazało, nierównomiernie – część aż parzyła usta, w drugiej chrupały kawałki lodu. Peter zaczął mieszać jedzenie, aż uzyskał znośną letnią temperaturę.

– Ja byłem członkiem Narodu Islamu, dawno temu – powiedział BG. – Pomogło mi to przetrwać trudny czas. Stary, mają niezłe wymagania. Nie możesz robić to tego, to tamtego. – BG nabrał na widelec kopiastą porcję makaronu i wsunął ją do ogromnych ust. Trzy razy poruszył szczęką i połknął. – Musisz nienawidzić żydów. I białych. Twierdzą, rzecz jasna, że to nie jest obowiązkowe. Gównem jest prawda, od razu dobrze wiesz, co jest grane, stary. Bez dwóch zdań. – Porcja makaronu. – To ode mnie zależy, kogo będę nienawidził,

kapujesz? Jak ktoś chce mnie wyruchać, to go nienawidzę. Może być biały, czarny albo fioletowy, stary, mi tam bez różnicy.

– Rozumiem, że od ciebie zależy też, kogo kochasz.

– Jak cholera. Biała cipka czy czarna, każda się nada.

– Nie wątpię, że zrobiłeś dobre wrażenie na naszym kaznodziei – parsknął Tuska. Skończył jeść i wycierał twarz i brodę chusteczką odświeżającą.

– Nie tak łatwo mnie zgorszyć – powiedział Peter. – Na pewno nie słowami. Na Ziemi jest wystarczająco dużo miejsca, żeby każdy mógł mówić, co mu się podoba.

– Nie jesteśmy na Ziemi – przypomniał Severin i uśmiechnął się ponuro. Otworzył gwałtownie puszkę coli i spieniony brązowy płyn wytrysnął do góry. Tuska o mało nie spadł z krzesła.

– Jezu! – krzyknął.

BG zarechotał.

– Dobra, zaraz posprzątam. – Severin wyciągnął z pojemnika naręcze papierowych ręczników. Peter pomógł mu zetrzeć lepką ciecz ze stołu.

– Za każdym razem mi się tak robi – wymamrotał Severin, wycierając pierś, przedramiona, krzesła i lodówkę, w której trzymano colę. Pochylił się, żeby osuszyć podłogę, na której leżała poplamiona brązowa wykładzina.

– Ile razy odbyłeś już tę podróż? – zapytał Peter.

– Trzy. Za każdym razem przysięgałem sobie, że to ostatni raz.

– Dlaczego?

– Na Oazie można zwariować.

– Ty już masz nierówno pod sufitem, brachu – burknął BG.

– Panowie Severin i Graham są osobnikami wysoce niezrównoważonymi – powiedział Tuska z powagą sędziego ogłaszającego wyrok. – Znam ich od lat. Oaza to idealne miejsce dla takich jak oni. Dzięki niej trzymamy ich z daleka od pokus i spokojni obywatele mogą czuć się bezpieczni. – Wrzucił pustą miseczkę po makaronie do pojemnika na śmieci. – A poza tym są świetni w tym, co robią. Najlepsi. Dlatego USIC tyle im płaci.

– A ty, brachu – spytał BG. – Ty też jesteś najlepszy?

– W czym?

– Jesteś najlepszym kaznodzieją?

– Nie myślę o sobie jak o kaznodziei.

– To kim jesteś?

Peter przełknął ślinę, zbity z tropu. Część jego mózgu nadal odczuwała skutki działania tych samych brutalnych sił, które wstrząsnęły puszkami coli. Żałował, że nie ma z nim Beatrice. Pomogłaby mu stawić czoła pytaniom, odmieniła tę samczą atmosferę i skierowała rozmowę na bardziej przyjazne tory.

– Jestem tylko kimś, kto kocha ludzi i chce im pomóc. Bez względu na to, kim są.

Na wielkiej twarzy BG znów pojawił się szeroki uśmiech. Już chciał zrobić kolejną uszczypliwą uwagę, ale zmienił zdanie.

– Mówisz prawdę, bez kitu?

Peter spojrzął mu prosto w oczy.

– Bez kitu.

BG skinął głową. Peter wyczuł, że właśnie zdał coś w rodzaju egzaminu, któremu poddawał go ten wielki mężczyzna. Otrzymał świadectwo. Może nie jest „swoim chłopem”, ale i nie jakimś egzotycznym indywiduum, które może sprawiać kłopoty.

– Hej, Severin! – zawołał BG. – Nigdy cię nie spytałem, stary, jakiego ty jesteś wyznania.

– Ja? Ja w nic nie wierzę – odpowiedział Severin. – I nie zamierzam się nawrócić.

Severin dokończył sprzątanie rozlanej coli i wycierał papierowymi ręcznikami dłonie poplamione niebieskim detergentem.

– Palce mi się lepią – poskarżył się. – Zwariuję, jeśli zaraz nie dostanę mydła i wody.

Serwer wydał z siebie cichy dźwięk.

– Wygląda na to, że twoje modlitwy zostały wysłuchane – powiedział Tuska. Spojrzął na jeden z monitorów. – System właśnie nas zlokalizował.

Tuska przeglądał dane, a wszyscy mężczyźni zachowywali milczenie. Nie chcieli mu przeszkadzać, jakby czytał mejle lub podbijał stawkę na internetowej aukcji. W rzeczywistości sprawdzał, czy zginą, czy przeżyją. Statek jeszcze nie rozpoczął tej fazy lotu, w której prowadzi go pilot. Został katapultowany w czas i przestrzeń przez podatną na awarię technologię Skoku. W tym momencie wirowali w nie do końca określonym punkcie przestrzeni, mniej więcej w pobliżu miejsca, w które powinni byli dotrzeć. Ich pojazd kosmiczny miał kształt opitego kleszcza. Nabrzmiały, pełen paliwa odwłok z malutką główką, a w niej czterech pasażerów zużywających ograniczone zasoby tlenu, azotu i argonu. Oddychali szybciej, niż powinni. W filtrowanym powietrzu zawisł niewypowiedziany lęk, że Skok mógł ich rzucić zbyt daleko od celu i może zabraknąć paliwa na ostatnią część podróży. Margines błędu, niewiarygodnie mały na początku, na końcu mógł się okazać za duży. To oznaczałoby dla nich zagładę.

Tuska analizował informacje, stukał w klawiaturę zwinnymi lepkimi palcami, przeglądał rysunki techniczne, które w rzeczywistości były mapami białych kosmicznych plam.

– Dobre wieści, ludziska – powiedział wreszcie. – Wygląda na to, że praktyka czyni mistrza.

– To znaczy?

– To znaczy, że powinniśmy zmówić modlitwę w intencji techników z Florydy.

– Co to znaczy dokładnie tu, dla nas?

– To znaczy, że jeśli podzielimy ilość paliwa przez odległość, którą mamy przed sobą, okaże się, że go nie zabraknie. Nie musimy oszczędzać wahy, jest

jej jak piwa na darmowym ochlaju.

– Tuska, za ile dni?

– Dni? – Tuska urwał, żeby zrobić większe wrażenie. – Najwyżej dwadzieścia osiem godzin.

BG zerwał się na nogi i wyrzucił w górę ręce.

– Hurra!

W sterowni zapanował tryumfalny nastrój, atmosfera na pograniczu hysterii. BG nie mógł sobie znaleźć miejsca, chodził w kółko jak pomyłony i wymachiwał rękami. Severin uśmiechał się, ukazując pożółkłe od nikotyny zęby, i wybijał na kolanach takt do bezgłośnej melodii. Podrywał od czasu do czasu dłonie, naśladując uderzenia w talerze perkusji, i wykrzywił się, jakby opętany przez radosne dźwięki. Tuska poszedł się przebrać, być może dlatego, że pobrudził sweter makaronem, a może uważał, że czekające go obowiązki pilota wymagają uroczystej oprawy. Odświeżony, w odprasowanej białej koszuli i szarych spodniach, zasiadł przy klawiaturze, na której miał wystukać parametry trajektorii prowadzącej na Oazę.

– Zrób to wreszcie, Tuska – niecierpliwił się Severin. – Na co czekasz, na orkiestrę dętą? Na cheerleaderki?

Tuska przesłał mu całusa i energicznie uderzył w jeden z klawiszy.

– Panowie i ciury – rozpoczął kpiącą przemowę. – Witajcie na pokładzie kosmicznych linii lotniczych USIC. Zbliżamy się do Oazy. Proszę uważnie wysłuchać instrukcji bezpieczeństwa, nawet jeśli macie za sobą wiele lotów. Pasy bezpieczeństwa zapina się i odpina jak na załączonym obrazku. Nie macie pasów przy swoich fotelach? Mniejsza z tym.

Uderzył w kolejny klawisz. Podłoga zaczęła wibrować.

– W przypadku rozszczelnienia kabiny zostanie podany tlen. Bezpośrednio do ust pilota. Pozostali powinni wstrzymać oddech i siedzieć bez ruchu. (Wybuch śmiechu Severina i BG). W razie zderzenia światła umieszczone przy podłodze wskażą drogę do wyjścia ewakuacyjnego, które wysie was na pewną śmierć. Proszę pamiętać, że najbliższa zdatna do zamieszkania planeta znajduje się w odległości trzech miliardów mil.

Walnął w kolejny klawisz. Wykres na ekranie monitora zaczął falować.

– Statek jest wyposażony w jedną tratwę ratunkową. Znajdziecie ją na dziobie. Z tyłu i pośrodku niczego takiego nie ma. Jest w niej miejsce dla pilota i pięciu gorących lasek. (Głośny śmiech BG, chichot Severina). Dziewczyny, proszę zdjąć szpilki przed wejściem. Cholera, macie zdjąć wszystko. Żeby napompować tratwę, proszę skorzystać z mojego sprzętu. Jeśli wolicie, możecie dmuchać same. Na wyposażeniu są latarki i gwizdki, w razie czego wzywajcie pomocy. Ale bez obaw, obsłużę wszystkie po kolei. Proszę zapoznać się z załączoną instrukcją, która dokładnie opisuje, jaką pozycję trzeba przyjąć na komendę „ssać!”. Należy trzymać przez cały czas nisko pochyloną głowę.

Nacisnął jeszcze jeden klawisz i uniósł zaciśniętą pięść.

– Zdajemy sobie sprawę, że nie mieliście do wyboru innego przewoźnika, ale



i tak dziękujemy za skorzystanie z oferty USIC.

Severin i BG nagrodzili go oklaskami i okrzykami radości. Peter tylko bezgłośnie składał dłonie. Liczył, że będzie mógł przypatrywać się biernie temu, co się działo. Chciał pozostać częścią załogi, ale nie miał ochoty znaleźć się w centrum zainteresowania. Zdawał sobie sprawę, że to nie najlepszy początek misji, podczas której miał zamiar zawładnąć sercami i duszami wszystkich mieszkańców tej planety. Miał nadzieję, że zostanie mu to wybaczone. Był daleko od domu, bolała go głowa, dzwoniło mu w uszach, makaron z wołowiną zalegał w żołądku jak kamień. Ciągle miał halucynacje, wydawało mu się, że został rozłożony na czynniki pierwsze i trochę niedokładnie poskładany na nowo. Pragnął jedynie wślizgnąć się do łóżka z Beatrice i Joshua i zasnąć. Wielka przygoda mogła poczekać.

## Witam wszystkich – powiedział

Kochana Beo,

wreszcie mam okazję, żeby napisać do Ciebie obszerniej! Może powinienem to nazwać Pierwszym Listem do Joshuan? Wiem, że oboje mamy wątpliwości co do świętego Pawła i jego podejścia do niektórych spraw, ale ten gość naprawdę potrafił pisać listy. Będzie mi potrzebna solidna dawka natchnienia, zważywszy na stan, w jakim się znajduję. (Jestem półprzytomny z wyczerpania). Tak więc na początek, zanim wpadnę na coś wspanialszego i oryginalnego: „Łaska wam i pokój od Boga, Ojca naszego, i Pana, Jezusa Chrystusa!”<sup>3</sup>. Biorąc pod uwagę problemy Pawła z kobietami, wątpię, czy myślał o jakiejś konkretnej damie, kiedy przesyłał te pozdrowienia, ale gdyby znał CIEBIE, byłoby inaczej!

Bardzo chciałbym dokładnie zapoznać Cię z moją obecną sytuacją, ale na razie niewiele się dzieje. Na statku nie ma okien. Tam, na zewnątrz, są miliony gwiazd i pewnie inne cudowne widoki, ale ja widzę tylko ściany, sufit i podłogę. Dobrze, że nie mam klaustrofobii.

Piszę ołówkiem na papierze. (Miałem kilka piór i mazaków, ale musiały eksplodować podczas Skoku - całe wnętrze mojej torby jest poplamione atramentem. Nic dziwnego, że nie przetrwały podróży, biorąc pod uwagę stan mojej głowy...) Nieważne! Kiedy zawodzi wyrafinowana technologia, wracamy do starych wypróbowanych metod. Z powrotem do zaostrzonych patyczków ze srebrzystym grafitem i kawałków sprasowanej masy drzewnej...

Zastanawiasz się, czy nie zwariowałem? Nie bój się, (jeszcze) nie. Nie mam złudzeń, że włożę ten list do koperty i nakleję znaczek. Jestem nadal w drodze - mamy przed sobą jeszcze dwadzieścia pięć godzin lotu. Jak tylko dotrę na Oazę i urządzę się tam, przepiszę to. Ktoś podłączy mnie do sieci i będę mógł wysłać wiadomość do tego czegoś, co USIC zainstalował w naszym domu. Możesz go już nie nazywać „konsolą terminalu Zhou-23” (jak nam polecono). Użyłem tego określenia przy ludziach na statku. Śmiali się. Mówią na to Sztoś. Krótko i zwięźle (i wpada w ucho).

Zamiast czekać całą dobę, mógłbym użyć Sztośu, który mamy na statku. Zwłaszcza że jestem zbyt podekscytowany, żeby zasnąć. To byłby dobry sposób, aby wypełnić czas, który pozostał do lądowania. Ale brakuje tu prywatności koniecznej ze względu na to, co będę chciał Ci przekazać. Pozostali pasażerowie nie są, delikatnie mówiąc, wzorem

dyskrecji i wrażliwości. Gdybym napisał to na ich sprzeczcie, najprawdopodobniej jeden z nich przeczytałby te słowa na głos, ku uciesze reszty.

Beo, przepraszam, że wracam do tego, ale ciągle jestem zmartwiony tym, co się zdarzyło w samochodzie. Czuję, że Cię zawiodłem. Chciałbym wziąć Cię w ramiona i to naprawić. Głupia obsesja, która pewnie bierze się stąd, że jesteśmy tak daleko od siebie. Czy kiedykolwiek jakiegoś męża i żonę dzieliła tak ogromna przestrzeń? Jeszcze niedawno byłaś tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Ostatniego ranka w naszym łóżku leżałaś taka szczęśliwa i pogodna, ale w samochodzie wyglądałaś na zrozpaczoną.

Prześladuje mnie to, a na dodatek brakuje mi wiary we własne siły. Chodzi oczywiście o misję. To pewnie przejściowe, spowodowane stanem fizycznym, ale zastanawiam się, czy się do tego nadaję. Pozostali członkowie załogi, chociaż szorstcy, są dla mnie bardzo mili. W dość protekcyjny sposób. Ale jestem pewien, że zachodzą w głowę, dlaczego USIC wydał fortunę, by przerzucić mnie na Oazę. Muszę przyznać, że ja też się w tym gubię. Każdy z nich ma jasno określoną rolę. Tuska (nie wiem, jak ma na imię) jest pilotem, a na Oazie zajmuje się komputerami. Billy Graham, w skrócie BG, jest inżynierem, wcześniej pracował przy wydobywaniu ropy. Arthur Severin, też inżynier, ma coś wspólnego z hydrometalurgią. To mnie przerasta. Mówią i zachowują się jak robotnicy na budowie (pewnie kiedyś nimi byli!), ale są o wiele mądrzejsi, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, i w przeciwieństwie do mnie mają doskonałe kwalifikacje.

Dobrze, wystarczy na dziś tych wątpliwości!

Skończyłem przepisywać tę część listu, którą zacząłem pisać na statku. Niewiele dokonałem za pomocą ołówka i papieru, prawda? Od tego miejsca stukam w klawiaturę, na Oazie. Tak, jestem już na miejscu! I od razu zabieram się do pisania listu!

Udało się! Lądowanie poszło zupełnie gładko, nie poczułem nawet tego lekkiego wstrząsu jak przy lądowaniu samolotu, kiedy koła stykają się z ziemią. Przypominało to raczej windę zatrzymującą się na właściwym piętrze. Wolałbym coś bardziej dramatycznego, nawet przerażającego, coś, co rozwiałoby poczucie nierzeczywistości. Zamiast tego pada komunikat, że lądowanie skończone. Otwierają się drzwi i wychodzi się przez coś w rodzaju rękawa, takiego jak na lotniskach. I nagle znajdujesz się w brzydkim budynku, podobnym do setek innych pospolitych budynków. Spodziewałem się czegoś bardziej egzotycznego, jakiejś wymyślnej architektury. Pewnie projektowali to ci sami ludzie, którzy wybudowali siedzibę USIC na Florydzie.

Teraz jestem w swoim pokoju. Zakładałem, że tuż po przylocie zostanę od razu wysłany gdzieś indziej, że czeka mnie podróż wśród

niesamowitych krajobrazów. Budynek lotniska (jeżeli można je tak określić, bo przypomina raczej olbrzymi parking) ma kilka skrzydeł, w których znajdują się nasze kwatery. Zostałem przerzucony z jednego pudełka do drugiego.

Nie mogę narzekać na brak miejsca. Właściwie ta sypialnia jest większa niż nasza, znajduje się tu porządna łazienka z prysznicem (czuję się jeszcze zbyt zmęczony, by z niego skorzystać), lodówka (zupełnie pusta, jest tylko tacka na lód, też pusta), stół, dwa krzesła i oczywiście Sztos, na którym teraz piszę. Wystrój jak w sieciowym hotelu, na przykład w centrum konferencyjnym w Watford. Pewnie niedługo zasną. Severin powiedział, że to normalne po Skoku. Najpierw kilka dni bezsenności, a potem dwudziestoczterogodzinny sen. Jestem pewien, że wie, o czym mówi.

Rozstaliśmy się z Severinem w nie najlepszych stosunkach. Fakt, że Skok został przeprowadzony z wielką dokładnością, większą, niż można się było spodziewać, oznaczał, że nie musieliśmy się troszczyć o zużycie paliwa. Mogliśmy dotrzeć na Oazę, lecąc z największą prędkością, a i tak pozostawał nam wielki zapas. Więc zrzuciliśmy go po prostu. Wyobrażasz to sobie? Tysiące litrów paliwa tryskające w przestrzeń, razem ze ściekami, brudnym papierem i pustymi pojemnikami po makaronie. Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem, że musi być inny sposób. Severin się obraził (myślę, że bronił Tuski, który formalnie był odpowiedzialny za tę decyzję; tych dwóch łączy skomplikowane stosunki, uwielbiają się i nienawidzą). Tak czy inaczej, Severin spytał mnie, czy potrafię wylądować z taką ilością paliwa w tyłku. Powiedział, że to jak zrzucić butelkę mleka z drapacza chmur z nadzieją, że nic jej się nie stanie, kiedy uderzy w ziemię. Odpowiedziałem, że skoro nauka potrafi wymyślić coś takiego jak Skok, to z pewnością może rozwiązać i taki problem. Severin przyczepił się do słowa „nauka”. Nauka, powiedział, to nie żadna tajemnicza, nadprzyrodzona siła. To tylko nazwa, którą nadajemy błyskotliwym pomysłom rodzącym się w głowach ludzi, kiedy leżą nocą w swoich łóżkach. Jeżeli ta sprawa z paliwem tak mnie denerwuje, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wymyślił coś, co temu zaradzi, i przekazał to USIC. Powiedział to niby od niechcienia, ale wyczułem wrogość w jego głosie. Wiesz, jacy potrafią być ludzie.

Nie mogę uwierzyć, że piszę o tej sprzeczce z inżynierem! Dzięki łasce Boga zostałem wysłany do innego świata jako pierwszy chrześcijański misjonarz w dziejach ludzkości, a plotkuję o swoich towarzyszach podróży!

Moja kochana Beatrice, potraktuj, proszę, ten Pierwszy List jako preludium, próbę, nawóz rzucony pod przyszłe plony. Między innymi dlatego zdecydowałem się przepisać notatki zrobione ołówkiem na

statku i wysłać je bez zmian i poprawek. Gdybym zastąpił choć jedno zdanie, kusiłoby mnie, żeby zrobić to samo z resztą. Gdybym pozwolił sobie na ominięcie jakiegoś nudnego szczegółu, wyrzuciłbym wszystko. Lepiej, żebyś dostała tę mętną, chaotyczną pisaninę niż nic.

Idę teraz do łóżka. Jest noc. Będzie trwała przez najbliższe trzy dni, rozumiesz, o co mi chodzi. Właściwie nie widziałem jeszcze nieba, mignęło tylko w przezroczystym suficie w hali przylotów, kiedy prowadzili mnie na kwaterę. Bardzo troskliwa pani, oficer łącznikowy USIC (zapomniałem, jak się nazywała), zagadywała mnie, chciała nieść moją torbę, a ja byłem na wpół przytomny i gapiałem się w niebo. W pokoju mam olbrzymie okno, ale żaluzje są opuszczone. Pewnie otwierają się elektronicznie, ale jestem zbyt zmęczony i zdezorientowany, by rozgryźć, jak to działa. Powinienem się przespać, zanim zacznę naciskać jakieś guziki. Oprócz tego, który zaraz wcisnę, żeby wysłać do Ciebie te słowa.

Wystrzelą w przestrzeń malutkimi świetlistymi promieniami i odbijane przez kolejne satelity pomkną w stronę kobiety, którą kocham! Jak taka wiadomość, przełożona na migoczące cyferki kodu binarnego, może pokonać tę ogromną przestrzeń? Nie uwierzę w to, dopóki nie dostanę od Ciebie odpowiedzi. Jeżeli dany mi będzie ten jeden mały cud, pojawią się kolejne. Jestem tego pewien.

Kocham Cię  
Peter

Zasnął. Obudził go deszcz.

Przez dłuższy czas Peter leżał w ciemnościach, zbyt zmęczony, by się poruszyć, i nasłuchiwał. Odgłos różnił się od tego, jaki zapamiętał z domu. Natężenie wzmagало się i zanikało w szybkim cyklicznym rytmie. Pomiedzy kolejnymi falami upływały najwyżej trzy sekundy. Zsynchronizował falowanie ze swoim oddechem, wdech, kiedy deszcz słabnął, wydech, kiedy się nasilał. Co wprawiało go w takie pulsowanie? Czy było to naturalne, czy spowodowane konstrukcją budynku? Wywietrznik, wylot wentylatora, trzaskanie źle zabezpieczonych drzwi? Czy może coś tak banalnego jak niedomknięte okno w pokoju? Listewki zaciągniętych żaluzji zasłaniały widok.

W końcu ciekawość przewyciężyła zmęczenie. Wygramolił się z łóżka, po omacku zapalił światło w łazience i oślepił go silny blask jarzeniówki. Zmrużył oczy i zerknął na zegarek, jedyną rzecz, którą zostawił na sobie, kiedy się kładł. Spał... jak długo?... Tylko siedem godzin... chyba że przespał trzydzieści jeden. Sprawdził datę. Nie, tylko siedem. Co go obudziło? Erekcja?

Łazienka nie różniła się niczym od podobnych pomieszczeń w hotelach. Wyjątek stanowiła muszla klozetowa. Nie była wyposażona w spłuczkę, ale w urządzenie na sprężone powietrze, które wysysało ze świstem zawartość sedesu. Peter siusiał powoli i z trudnościami, oczekując chwili, kiedy sztywny penis

zmięknie. Mocz był ciemnopomarańczowy. Zaniepokojony napełnił szklanę wodą z kranu. Była jasnozielona. Czysta i klarowna, ale jasnozielona. Nad umywalką zobaczył przyklejoną do ściany kartkę z wydrukowanym tekstem: KOLOR WODY JEST ZIELONY. TO NORMALNE. WODA JEST PRZEBADANA I BEZPIECZNA. W RAZIE WĄTPLIWOŚCI WODA W BUTELKACH I NAPOJE BEZALKOHOLOWE SĄ (W MIARĘ MOŻLIWOŚCI) DOSTĘPNE W SKLEPIE USIC. CENA 50 \$ ZA 300 ml.

Peter wpatrywał się w szklanę z zielonym płynem. Pragnienie walczyło z nieufnością. Te wszystkie opowieści o brytyjskich turystach, którzy pili wodę na wakacjach za granicą i się zatruli. Biegunki w Delhi itp. Przypomnił sobie dwa krzepiące cytaty z Pisma. „Nie troszczcie się zbytnio o to, co macie pić”<sup>4</sup> z Ewangelii świętego Mateusza i „Dla czystych wszystko jest czyste”<sup>5</sup> z Listu do Tytusa, ale odnosiły się one bez wątpienia do czegoś zupełnie innego. Popatrzył jeszcze raz na napis. Pięćdziesiąt dolarów za trzysta mililitrów. Wykluczone. Rozmawiali z Beą, co zrobią z pieniędzmi, które zarobi na misji. Spłacą hipotekę. Przebudują pokój dla dzieci w kościele, żeby maluchy miały więcej słońca. Kupią furgonetkę przystosowaną do przewozu wózków inwalidzkich. Lista była długa. Każdy dolar wydany tutaj wykreśli coś niezbędnego. Uniósł szklanę i wypił.

Smakowała dobrze. Wręcz bosko. Czy to było bluźnierstwo? Odpuść sobie, powiedziała by na pewno Beatrice. Na świecie są ważniejsze sprawy, którymi trzeba się martwić. Jakimi sprawami trzeba się martwić na TYM świecie? Niedługo się dowie. Wstał, opróżnił sedes i napił się jeszcze zielonej wody. Miała jakby lekki posmak miodowego melona, ale może tak mu się tylko zdawało.

Nagi podszedł do okna w sypialni. Musi być jakiś sposób, żeby podnieść żaluzje, chociaż nigdzie nie ma żadnych przycisków czy pokręteł. Pomacał palcami krawędzie listewek i zahaczył o linkę. Pociągnął za nią i żaluzje podjechały do góry. W chwili, kiedy pociągał za linkę, uświadomił sobie, że wystawia swą nagość na widok publiczny, ale było już za późno, żeby się tym przejmować. Okno – pojedyncza wielka szyba z pleksi – zostało całkowicie odsłonięte.

Na zewnątrz jeszcze panowała ciemność. Lądowisko USIC otoczone było pustkowiem, martwą strefą bezkształtnych skał bitumicznych, ponurych budynków przypominających hangary i sterczących stalowych latarni. Jak bezkresny parking przy supermarkecie. Serce Petera zabiło mocniej, oddychał szybko w podnieceniu. Deszcz! Nie padał prostymi strugami, tylko... tańczył! Czy można tak powiedzieć o deszczu? Woda, choć pozbawiona inteligencji, falowała na boki; setki tysięcy srebrzystych strug wyginały się w dystygowanych ruchach. To nie miało nic wspólnego z tym, co widuje się na Ziemi, kiedy spadające krople nierównomiernie rozrzuca wiatr. Nie, powietrze wydawało się spokojne, a ruch deszczu był pełen wdzięku, nieśpiesznie

przetaczał się z jednej strony nieba na drugą. Stąd te rytmiczne uderzenia w okno.

Peter przycisnął czoło do szyby i poczuł błogosławiony chłód. Uświadomił sobie, że ma lekką gorączkę, i zastanowił się, czy krzywizna deszczu nie jest wynikiem halucynacji. Wpatrywał się w mrok i starał skoncentrować na mglistej poświacie otaczającej latarnie. Wewnątrz przypominających świetliste aureole sfer krople deszczu rysowały się wyraźnie, jak confetti z folii aluminiowej. Dokładnie widział ich zmysłowe, wijące się kształty.

Odsunął się od okna. W szybie zobaczył swoje upiorne odbicie poprzecinane nieziemskimi strugami deszczu. Na pogodnej twarzy z różowymi policzkami malowało się przerażenie. Wolframowe światło odległych latarni zapłonęło na jego tułowiu, nagie genitalia rysowały się jak u alabastrowych greckich posągów. Uniósł dłoń, chciał, żeby czar prysnął, pragnął znów odzyskać swoją normalną postać. Nieznajomy w okiennej szybie podniósł rękę i pomachał do niego.

Kochana Beatrice,

ani słowa od Ciebie. Trwam jak w zawieszeniu, dosłownie. Jakbym nie mógł wypuścić powietrza z płuc, dopóki nie dostanę dowodu, że będziemy mogli się ze sobą komunikować. Czytałem kiedyś opowiadanie fantastycznonaukowe, w którym młody człowiek zostawia żonę i leci na odległą planetę. Po kilku tygodniach wraca na Ziemię. Puenta tej historii polega na tym, że czas biegł dla niego w innym tempie niż dla niej. Kiedy wrócił do domu, odkrył, że minęło siedemdziesiąt pięć lat, a jego żona zmarła przed kilkoma dniami. Zdążył w ostatniej chwili na pogrzeb, gdzie wszyscy starzy ludzie zastanawiali się, kim jest ten zrozpaczony młody człowiek. To była kiepska, sztamkowa historyjka SF, ale przeczytałem ją w wieku, kiedy łatwo ulega się wpływom, i naprawdę zrobiła na mnie ogromne wrażenie. I teraz boję się, że może się sprawdzić. BG, Severin i Tuska podróżowali na Oazę i z powrotem po kilka razy, więc powinienem potraktować to jak dowód, że Twoja twarz nie przypomina jeszcze suszonej śliwki. (Chociaż nadal bym cię kochał, gdybyś tak wyglądała!)

Po tym bełkocie możesz się domyślić, że nadal odczuwam skutki Skoku. Spałem dobrze, ale o wiele za mało. Tu ciągle jest ciemno, tkwię sam jak kołek pośrodku trzydniowej nocy. Nie byłem jeszcze na zewnątrz, ale widziałem deszcz. Był niesamowity! Kołysze się i faluje, jak załona z paciorków.

Jest tu dobrze wyposażona łazienka, przed chwilą brałem prysznic. Woda jest zielona! Podobno można ją pić bez obaw. Cudownie było się wreszcie porządnie umyć, chociaż nadal dziwnie pachnę (na pewno byś się uśmieła, gdybyś zobaczyła, jak siedzę ze zmarszczonymi brwiami i wącham własne pachy), a mój mocz ma osobliwy kolor.

Cóż, nie tak chciałem skończyć tę wiadomość, ale teraz nic innego nie przychodzi mi do głowy. Muszę dostać od Ciebie odpowiedź! Jesteś tam? Odezwij się, proszę!

Kocham  
Peter

Po wysłaniu tej epistoły zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Był w rozterce, nie wiedział, co ma teraz zrobić. Przedstawicielka USIC, która odprowadziła go do kwatery, mówiła ze sztucznym uśmiechem, że będzie do jego dyspozycji, gdyby czegoś potrzebował, ale nie sprecyzowała, na czym polega jej dyspozycyjność. Czy chociaż zdradziła mu swoje imię? Nie mógł sobie przypomnieć. Na stole nie leżał powitalny list, w którym mógłby znaleźć wskazówki, jak się z nią skontaktować. Na ścianie był czerwony przycisk z napisem ALARM, ale nie było guzika z napisem NIE WIEM, CO ROBIĆ. Peter strawił dużo czasu na poszukiwaniach kluczy do swojej kwatery, pamiętając, że wcale nie muszą wyglądać jak zwykłe klucze. Mogła to być plastikowa karta, jakie wydają w hotelach. Nie znalazł niczego, co chociaż trochę przypominałoby klucz. W końcu otworzył drzwi i obejrzał zamek, a raczej miejsce, w którym powinien się znajdować. Spostrzegł staromodną obrotową gałkę, którą zamontowano zamiast klamki. Jakby sypialnia była częścią ogromnej willi. „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”<sup>6</sup>. Najwyraźniej USIC nie dbał o poczucie bezpieczeństwa i prywatności swoich pracowników. W porządku, może personel nie ma nic do ukrycia ani niczego, co można ukraść, ale mimo to... Dziwne. Zlustrował wzrokiem korytarz. Był pusty i nie było widać innych drzwi.

Peter wrócił do pokoju i otworzył lodówkę. Upewnił się, że w środku jest tylko opróżniony pojemnik na lód. Czy jabłko to zbyt wygórowane żądanie? Kto wie, ciągle zapominał, jak daleko od domu się znajduje.

Nadszedł czas, by wyjść i się z tym zmierzyć.

Włożył ubranie, które miał na sobie poprzedniego dnia. Slipy, flanelową koszulę, dżinsową kurtkę i spodnie, skarpetki i sznurowane buty. Uczesał się i wypił jeszcze jedną szklankę zielonkawej wody. Strawił już i wydalil zjedzony na statku makaron, a z pustego żołądka dobiegało burczenie i bulgotanie. Podszedł do drzwi, zawahał się, po czym opadł na kolana i pochylił głowę w modlitwie. Nie podziękował jeszcze Bogu za bezpieczną podróż. Dziękował mu teraz także za inne rzeczy, gdy raptem poczuł z całą mocą, że Jezus stoi tuż za nim i szturcha go w plecy, dobrotliwie dając do zrozumienia, że Peter gra na zwłokę. Więc zerwał się na nogi i natychmiast wyszedł.

W dużej kantynie USIC huczało jak w ulu. Nie był to gwar ludzkich głosów, ale dźwięki muzyki. Jedna ze ścian była cała ze szkła, a melodia dobiegająca z otworów w suficie rozlewała się i snuła jak mgła. Nie licząc ledwie widocznych



lśniących kropel na szybie, deszcz padający na zewnątrz dawało się bardziej wyczuć niż zobaczyć. Dzięki temu w sali panował bezpieczny przytulny nastrój.

Upiorny kobiecy głos nucił:

*Widziałam płaczącą wierzbę,*

*Jak na poduszkę lała łzy.*

*Może też opłacze mnie...*

Brzmiał, jakby został przepuszczony przez kilometry podziemnych rur, zanim wy dostał się w końcu przez jakąś przypadkową szczelinę.

*Kiedy mrok pokrywa niebo,*

*Kwiaty nocy szepczą mi,*

*Tak samotna jesteś ty...*

W stołówce siedziało czterech pracowników USIC. Byli to młodzi mężczyźni, których Peter nie znał. Jeden z nich, gruby, ostrzyżony na jeża Chińczyk, oparł twarz na dłoni i drzemał w fotelu obok dobrze zaopatrzonego stojaka z czasopismami. Drugi, wysoki chudzielec w za dużym podkoszulku, obsługiwał bar. Z przejęciem bawił się dotykowym ekranem ustawionym na kontuarze, stukając w niego metalowym ołówkiem. Przygryzał spuchnięte wargi wielkimi białymi zębami. Na włosach miał mnóstwo żelu lub odżywki; wyglądał na Słowianina. Dwaj pozostali byli czarni. Siedzieli przy jednym ze stolików i wspólnie przeglądali książkę. Zbyt cienka jak na Biblię, była chyba jakimś specjalistycznym podręcznikiem technicznym. Obok nich stały duże kubki z kawą i talerzyki z okruszkami deseru. Peter nie wyczuł zapachu jedzenia.

*Idę na spacer po północy*

*Przy świetle gwiazd*

*I może także ty...*

Trzej mężczyźni, którzy nie spali, zauważyli go i skinęli lekko głowami w powściągliwym powitaniu, ale nie przerwali swoich zajęć. Drzemający Azjata i siedzący przy stole pracownicy USIC ubrani byli tak samo, w obszerne koszule w stylu arabskim i luźne bawełniane spodnie. Na gołych stopach mieli tenisówki. Jak muzułmańscy koszykarze, pomyślał Peter.

– Cześć, nazywam się Peter – powiedział, podchodząc do baru. – Jestem nowy. Chciałbym coś zjeść, jeśli to możliwe.

Młodzieniec o słowiańskim wyglądzie pokręcił przecząco głową. Miał mocno zarysowaną szczękę.

– Za późno, brachu.

– Za późno?

– Inwentaryzacja. Zaczęła się godzinę temu, potrwa dwadzieścia cztery.

– W USIC mówili, że jedzenie jest dostępne przez cały czas, kiedy tylko będę miał ochotę.

– Zgadza się, brachu. Tylko trzeba mieć ochotę o odpowiedniej porze.

Peter przetrwał odpowiedź. Piosenka z głośników się skończyła. Teraz jakiś mężczyzna zmysłowym teatralnym głosem oznajmił:

„Przedstawiamy audycję *Nocne kwiaty*, zapis wszystkich wykonań przeboju

Patsy Cline *Walkin' After Midnight* od 1957 roku aż do ostatnich duetów z 1999, nagranych przez innych wykonawców już po śmierci artystki. Drodzy słuchacze, czy zrobiliście to, o co prosiłem? Zapamiętaliście dziewczęcą nieśmiałość brzmiącą w głosie Patsy w wersji, którą wykonała, debiutując w programie *Arthur Godfrey's Talent Scouts*? Jedenaście miesięcy i jaka różnica! Druga wersja, którą właśnie usłyszeliście, została nagrana 14 grudnia 1957 roku dla Grand Ole Opry. Artystka miała już wtedy przecucie niesamowitej siły, która drzemie w tej piosence. Ale mądrość i nieukojonny smutek przebijające z kolejnej wersji były wynikiem osobistej tragedii. W 1961 roku, 14 czerwca, Patsy o mało nie zginęła w wypadku samochodowym. To niesamowite, ale już w kilka dni po opuszczeniu szpitala wykonała *After Midnight* w Cimarron Ballroom w Tulsie w Oklahomie. Posłuchajcie uważnie, a usłyszycie ból spowodowany tym strasznym wypadkiem, cierpienie, które musiała odczuwać, patrząc na niezagojone rany na czole...”.

Upiorny kobiecy głos znów popłynął spod sufitu.

*Wyszłam na spacer po północy*

*W świetle księżycy, jak kiedyś z tobą,*

*Zawsze przechadzam się po północy,*

*Szukając ciebie...*

– Kiedy będzie nowa dostawa jedzenia? – zapytał Peter.

– Jedzenie już tu jest, brachu – powiedział Słowianin, poklepując kontuar. – Będzie dopuszczone do konsumpcji za sześć godzin i... dwadzieścia siedem minut.

– Przepraszam, jestem tu nowy. Nic nie wiem o tych procedurach. Jestem naprawdę bardzo głodny. Nie mógłbyś... hmm... dopuścić czegoś do konsumpcji trochę wcześniej, a zapisać, że zostało wydane w odpowiednim czasie?

Słowianin zmrużył oczy.

– To by było... poświadczenie nieprawdy, brachu.

Peter uśmiechnął się i zwiesił głowę na znak porażki. Patsy Cline śpiewała: *W ten sposób mówię, że cię kocham...* Odszedł od kontuaru i usiadł w jednym z foteli przy stojaku z czasopismami, tuż za śpiącym mężczyzną.

Gdy tylko dotknął plecami miękkiej wykładziny, poczuł ogarniające go zmęczenie. Wiedział, że jeśli szybko nie wstanie, zaśnie. Pochylił się w stronę czasopism, rejestrując w pamięci wyłożone tytuły. „Cosmopolitan”, „Retro Gamer”, „Men’s Health”, „Twój Pies”, „Vogue”, „Stare Samoloty”, „Kurwy i Sperma”, „Dom i Ogród”, „Problemy ze Zdrowiem”, „Auto-Sport”, „Science Digest”, „Jedzenie Mistrzów”... Pełna gama. Mocno sfatygowane, ale stosunkowo nowe numery.

– Hej, kaznodziejo!

Obrócił się. Dwaj czarnoskórzy mężczyźni siedzący razem przy stoliku skończyli już lekturę. Książka leżała zamknięta. Jeden z nich trzymał w wyciągniętej ręce zawinięty w folię przedmiot wielkości piłki tenisowej i

machał nim ostentacyjnie. Kiedy zwrócił na siebie uwagę, zamachnął się i rzucił. Peter złapał lecący obiekt bez trudu, pewnym chwytem. Zawsze był świetnym łapaczem. Mężczyźni unieśli do góry kciuki w geście uznania. Peter odwinął folię i zobaczył muffina z jagodami.

– Dziękuję! – Głos zabrzmiał dziwnie w specyficznej akustyce kantyny, nakładając się na słowa spikera kontynuującego egzegezę życiorysu Patsy Cline. Doszedł właśnie do chwil, kiedy Patsy zginęła w katastrofie lotniczej.

„...osobistych przedmiotach pozostałych po sprzedaży domu. Taśma z nagraniem przechodziła z rąk do rąk. Kolejni nabywcy nie zdawali sobie sprawy z jej wartości i w końcu na wiele lat wylądowała w szafce pewnego jubilera. Wyobrażacie to sobie? Te boskie dźwięki, które przed chwilą słyszeliście, uśpione na niepozornej rolce taśmy, zamknięte w ciemnej szufladzie, mogły już nie ujrzeć dziennego światła! Mamy powody do bezgranicznej wdzięczności, bo jubiler wreszcie przejrzał na oczy i wynegocjował umowę z MCA Records...”

Jagodowy muffin był przepyszny. Peter nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek coś tak mu smakowało. I cudownie było wiedzieć, że nie znajduje się w całkowicie wrogim otoczeniu.

– Witamy w niebie, kaznodziejo! – zawołał jeden z dobroczyńców. Wszyscy, oprócz śpiącego Azjaty, się roześmieli.

Peter popatrzył na nich i posłał im promienny uśmiech.

– Sprawy wyglądają coraz lepiej, o wiele lepiej, niż myślałem.

– Do przodu i w górę, pasterzu! Tak, zdaje się, brzmi motto USIC.

– To jak, podoba się wam tutaj? – zapytał Peter.

Czarny mężczyzna, który rzucił mu muffina, zamyślił się. Potraktował pytanie z pełną powagą.

– Jest w porządku, stary. Nie gorzej niż gdzie indziej.

– Klimat jest cool, jakby powiedzieli niektórzy – włączył się do rozmowy jego towarzysz.

– Chodzi mu o to, że jest ciepło i przyjemnie.

– To znaczy czadowo, stary, jakby powiedzieli goście ze starszego pokolenia.

– Nie byłem jeszcze na zewnątrz – wyznał Peter.

– Powinieneś wyjść – powiedział pierwszy mężczyzna, jakby poważnie brał pod uwagę możliwość, że Peter woli spędzić cały swój czas na Oazie, nie wychodząc z kwatery. – Przekonaj się, jak tam jest, zanim wzejdzie słońce.

Peter wstał.

– Chciałbym bardzo. Gdzie są... hm, najbliższe drzwi?

Chłopak za barem wskazał długim kościstym palcem podświetlony napis na plastikowej tabliczce. Wielkimi literami głosił: DOBREJ ZABAWY!, a poniżej mniejszym drukiem: JEDZ I PIJ Z UMIAREM. PAMIĘTAJ, ŻE BUTELKOWANA WODA, NAPOJE GAZOWANE, CIASTA, SŁODYCZE I WSZYSTKIE PRODUKTY OPATRZONE ŻÓŁTYMI NAKLEJKAMI NIE SĄ WLICZANE DO PRZYDZIAŁU RACJI ŻYWNOŚCIOWYCH I ICH KOSZT BĘDZIE ODLICZONY OD TWOICH

## ZAROBKÓW.

– Dzięki za dobre rady – powiedział Peter, ruszając do wyjścia. – I za jedzenie!

– Miłego dnia, brachu.

Ostatnim dźwiękiem, jaki słyszał, wychodząc, był głos Patsy Cline. Tym razem śpiewała w duecie ze znanym współczesnym piosenkarzem. Nagrania dokonano dzięki cudom współczesnej techniki, dziesiątki lat po jej śmierci.

Peter wyszedł przez rozsuwane drzwi i otoczyło go powietrze Oazy. Wbrew swoim obawom nie umarł na miejscu, nie został wessany przez wirujący lej utworzony przez próżnię ani nie skurczył się jak kawałek tłuszczu na rozgrzanej blasze. Spowiła go delikatna, wilgotna, ciepła bryza. Była jak kojący balsamiczny powiew, przypominała parę wodną, z tą różnicą, że nie drapała w gardło. Ruszył w ciemnościach rozjaśnianych jedynie przez kilka odległych latarni. W posępnych okolicach lotniska nie było zresztą wiele do zobaczenia prócz setek akrów mokrego czarnego asfaltu. Ale Peter chciał się przejść na zewnątrz, więc ruszył na spacer.

Niebo było ciemne, koloru akwamaryny. Akwamariiiny, jakby powiedział BG. Widać było tylko kilkadziesiąt gwiazd w jasnozielonych aureolach, o wiele mniej niż z Ziemi; wszystkie świeciły jasno i nie migotały. Nie było księżycy.

Deszcz przestał padać, ale powietrze nadal zdawało się składać głównie z wody. Gdyby zamknął oczy, mógłby sobie wyobrazić, że wskoczył do ciepłego basenu. Wiatr owiewał policzki, łaskotał w uszy, prześlizgiwał się po wargach i dłoniach. Wciskał się w ubranie, przenikał pod koszulę i spływał wzdłuż kręgosłupa. Plecy i piersi pokryły się kropelkami wilgoci, rękawy koszuli lepiły się do nadgarstków. Temperatura powietrza – było bardzo ciepłe, ale nie parzące – sprawiła, że spotniała skóra stała się wrażliwa, i teraz Peter wręcz zmysłowo wyczuwał włosy pod pachami, zakamarki krocza i kształt palców u nóg w mokrych butach.

Był fatalnie ubrany. Ci goście z USIC w luźnych arabskich ciuchach bez wątplenia znali się na rzeczy. Musi się do nich jak najszybciej upodobnić.

Szedł dalej i starał się rozróżnić, które z niecodziennych zjawisk zachodzą wewnątrz organizmu, a które są spowodowane czynnikami zewnętrznymi. Serce biło trochę szybciej, ale złożył to na karb podniecenia. Poruszał się chwiejnym krokiem, jakby był zamoczony alkoholem. Zastanawiał się, czy to tylko skutki Skoku, zespołu długu czasowego i ogólnego wyczerpania. Stopy przy każdym kroku odbijały się sprężysto, jakby asfalt zrobiony był z gumy. Peter ukląkł i postukał w ziemię knykciami. Podłoże było twarde, nie ugięło się. Bez względu na to, z czego je wykonano – prawdopodobnie z połączenia lokalnego gruntu i przywiezionych substancji chemicznych – przypominało zwyczajny asfalt. Wstał. Ta czynność wydała mu się zbyt łatwa, jakby dodano efekt sprężynującej trampoliny. Przeciwwagę stanowiła wilgotność powietrza.

Uniósł rękę i poruszył dłonią, sprawdzając, czy stawia opór. Nic nie wyczuł, a jednak łaskoczący wiatr owiewał mu nadgarstek i przedramię. Nie wiedział, czy podoba mu się to odczucie, czy raczej należy je uznać za odrażające. W jego dotychczasowym doświadczeniu pojęcie atmosfery było pustą abstrakcją. Tu powietrze stało się jawnie obecne, wręcz namacalne. Gdyby się przewrócił, zamortyzowałoby upadek jak poduszka. Oczywiście było to tylko złudzenie, ale kiedy czuł na skórze ten pieścizotliwy dotyk, wydawało mu się prawdziwe.

Odetchnął głęboko i gdy powietrze wypełniło mu płuca, skupił się na jego strukturze. Smakiem i zapachem nie różniło się od ziemskiej atmosfery. Wiedział z broszurek USIC, że składało się z podobnej mieszaniny tlenu i azotu, jaką oddychał przez całe życie. Zawierało nieco mniej dwutlenku węgla, trochę więcej ozonu i śladowe ilości pierwiastków, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknął. Ulotki nie wspominały o parze wodnej, chociaż klimat Oazy określano jako tropikalny, więc opis był zgodny z rzeczywistością.

Poczuł łaskotanie w lewe ucho i odruchowo potarł je dłonią. Coś gąbczastego, jak wilgotny płatek kukurydziany lub gnijący liść, prześliznęło się po palcach i pozostawiło na nich lepki płyn. Spadło, zanim zdołał to pochwycić i podnieść do oczu, aby przyjrzeć się dokładnie. Krew? Nie, to nie była krew. A jeśli tak, to nie jego. Ciecz była zielona jak szpinak.

Odwrócił się i popatrzył na budynek, z którego wyszedł. Był niewyobrażalnie brzydki, jak wszystkie projekty architektoniczne, które nie zostały stworzone przez ludzi religijnych bądź szalonych ekscentryków. Jedynym znośnym elementem była przejrzysta przeszklona ściana stołówki, świecąca w ciemnościach jak ekran telewizora. Chociaż oszczędził już spory kawałek, nadal mógł rozpoznać bar i stojak z czasopismami. Wydawało mu się nawet, że dostrzega wciśniętego w fotel Azjatę. Z tej odległości takie detale wyglądały jak starannie uporządkowane produkty za szybą dworcowego dystrybutora. Podświetlone pudełeczko zanurzone w oceanie dziwnego powietrza. A ponad tym miliardy mil ciemności.

Peter doświadczał już wcześniej takich chwil, na planecie, która podobno była jego domem. Gdy nie mógł zasnąć, włączył się o drugiej bądź trzeciej nad ranem po uliczkach posępnych brytyjskich miast i zatrzymywał w różnych miejscach. Na przystanku autobusowym w Stockport, w przygnębiającym centrum handlowym w Reading lub, tuż przed świtem, na zaśmieconym resztkami warzyw rynku Camden. Właśnie o takich porach i w takich miejscach z całą wyrazistością uświadamiał sobie znikomość i niewyobrażalny tragizm człowieka losu. Ludzie i ich siedziby były zaledwie cienką warstewką kurzu na powierzchni Ziemi, jak niewidoczne gołym okiem mikroskopijne bakterie na owocu pomarańczy, a marne światła budek z kebabem i supermarketów nie były w stanie zaznaczyć swej obecności w nieskończonych przestrzeniach kosmosu. Gdyby nie Bóg, przygniatający ciężar wszechmocnej pustki byłby nie do zniesienia, ale wszystko się zmienia, kiedy Pan jest z tobą.

Peter znów ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że wreszcie skończy się nudne asfaltowe lotnisko i zobaczy krajobraz Oazy. Tej prawdziwej Oazy.

Dżinsowa kurtka przesiąknięta wilgocią robiła się coraz cięższa, flanelowa koszula była mokra od potu. Nogawki spodni z szorstkiego wilgotnego płótna ocierały się o siebie, wydając komiczny dźwięk przypominający suchy kaszel. Pasek wrzynał mu się w biodra, a strumyczki potu ściekały pomiędzy pośladkami. Zatrzymał się, by podciągnąć spodnie i otrzeć twarz. Przycisnął palce do uszu, żeby pozbyć się syczącego, przytłumionego dźwięku. Przez chwilę wydawało mu się, że szum wywołały zatłkane zatoki, jednak odgłos dochodził z zewnątrz. Powietrze szeleściło, jakby wypełniał je niemy szepot trzepoczących liści, chociaż wokół nie było żadnych roślin. Jakby prądy powietrza na wzór wodnych wirów nie potrafiły poruszać się bezgłośnie, ale kotłowały się niczym syczące fale oceanu.

Był pewien, że po jakimś czasie organizm zdoła się dostosować do tego otoczenia. To tak, jakby zamieszkał obok linii kolejowej lub nad prawdziwym oceanem. Przyzwyczai się i przestanie go słyszeć.

Szedł dalej, opierając się pokusie, by zrzucić ubranie i zostawić je na ziemi. Mógłby je zabrać, kiedy będzie wracał. Asfaltowa przestrzeń zdawała się nie mieć końca. Do czego USIC potrzebował tyle pustej przestrzeni? Może planowali budowę nowych mieszkań, kortów do squasha albo centrum handlowego? Reklamowali Oazę jako miejsce, które „w najbliższej przyszłości” ma się stać „kwitnącym ośrodkiem nowej społeczności”. Oczywiście mieli na myśli kwitnący ośrodek ziemskich osadników. O rdzennych mieszkańcach tego świata rzadko wzmiankowano w materiałach wydawanych przez USIC. Wyjątek stanowiły solenne zapewnienia, że bez ich przyzwolenia żaden projekt nie zostanie zrealizowany. USIC będzie prowadzić „politykę partnerstwa i współpracy z mieszkańcami Oazy” – kimkolwiek byli.

Peter nie mógł się doczekać, by wreszcie ich spotkać. W końcu stanowili jedyny prawdziwy powód, dla którego tu przybył.

Z kieszeni kurtki wyciągnął mały aparat fotograficzny. Kupił go, chociaż materiały szkoleniowe przestrzegały, że używanie aparatów na Oazie było „niewykonalne”. Co to słowo miało znaczyć? Czy było zawołaną groźbą? Czy jego aparat mógł zostać skonfiskowany przez jakieś władze? No cóż, nie będzie się martwić na zapas. Teraz chciał zrobić kilka zdjęć. Dla Bei. Kiedy wróci do niej, każda fotografia będzie warta tysiąc słów. Uniósł aparat do oka i uwiecznił upiorną tafłę asfaltu, budynki i poświatę stołówki. Spróbował nawet uchwycić kolor nieba, tę niesamowitą akwamarynę, ale na ekranie zobaczył tylko czarny prostokąt.

Schował aparat do kieszeni i poszedł dalej. Jak długo już tak maszerował? Jego zegarek nie miał podświetlanej cyfrowej tarczy. Był staromodny, ze wskazówkami, dostał go w prezencie od ojca. Zbliżył do twarzy nadgarstek, przekrzywiając go, żeby uchwycić światło latarni. Ale najbliższa znajdowała się w odległości co najmniej stu metrów.

Coś połyskiwało na jego przedramieniu, tuż obok paska od zegarka. Coś żywego. Komar? Nie, za duże. Ważka lub jakieś stworzenie podobne do ważki. Małeńkie drżące ciało wielkości zapałki z przyczepionymi półprzezroczystymi skrzydłami. Potrząsnął ręką i stworzenie spadło. A może zeskoczyło, odleciało lub zostało wessane przez wir powietrza. W każdym razie zniknęło.

Do Petera dotarło nagle, że szept powietrza został wzbogacony o nowy dźwięk. Za plecami usłyszał mechaniczne brzęczenie, a po chwili zobaczył, że zbliża się do niego jakiś pojazd. Był stalowoszary, opływowa karoseria w kształcie pocisku spoczywała na dużych kołach z głębokim bieżnikiem, zaprojektowanym do poruszania się w trudnym terenie. Za przyciemnioną przednią szybą kierowca był słabo widoczny, ale kształtem przypominał człowieka. Samochód zwolnił i zahamował tuż obok Petera. Światła rozświetliły ciemność, w którą zmierzał, ukazując ogrodzenie z drucianej siatki. Doszedłby tam za kilka minut.

– Cześć.

Kobięcy głos z amerykańskim akcentem.

– Hej – odpowiedział.

– Podrzucę cię z powrotem.

To była kobieta z USIC, którą spotkał po przylocie, ta sama, która zaprowadziła go do kwatery i powiedziała, że będzie do jego dyspozycji, gdyby czegoś potrzebował. Otworzyła drzwi od strony pasażera i czekała, aż wsiądzie, nerwowo stukając palcami w kierownicę.

– Miałem ochotę przejść się trochę dalej – wyjaśnił Peter. – Może spotkałbym tutejszych... hm... ludzi.

– Pojedziemy tam po wschodzie słońca – powiedziała. – Osada znajduje się pięćdziesiąt mil stąd. Będzie ci potrzebny jakiś pojazd. Umiesz prowadzić?

– Tak.

– To dobrze. Czy zgłosiłeś zapotrzebowanie na samochód?

– Chyba nie.

– Chyba?

– To... moja żona zajmowała się większością formalności z USIC. Nie wiem, czy to uwzględnili.

Chwila ciszy, a potem wybuch serdecznego śmiechu.

– Proszę, wsiadaj szybciej, bo klimatyzacja zwariuje.

Wsunął się do samochodu i zamknął drzwi. Powietrze wewnątrz było suche i chłodne, więc natychmiast poczuł, że jest kompletnie przemoczony. Rozprostował zmęczone nogi. Jego stopy w wilgotnych skarpetkach przy każdym ruchu wydawały nieprzyjemny mlaszczący dźwięk.

Kobieta miała na sobie luźny biały chałat, cienkie bawełniane spodnie w tym samym kolorze i szarobrązową chustę, której końce zwisały niedbale na piersiach. Nie była umalowana, a na czole, tuż pod linią włosów, ciągnęła się długa nieregularna blizna. Matowe kasztanowate włosy miała krótko obcięte i można by ją wziąć za młodego żołnierza, gdyby nie delikatne brwi, małe uszy i

ładne usta.

– Przepraszam – powiedział Peter. – Zapomniałem, jak się nazywasz. Byłem taki zmęczony...

– Grainger.

– Grainger – powtórzył.

– Pracownicy USIC rzadko używają imion. Chyba zdążyłeś to zauważyć.

– Owszem.

– Trochę tak jak w armii. Z tą różnicą, że nie krzywdzimy ludzi.

– Mam nadzieję.

Zwiększyła obroty silnika i zawróciła samochód w stronę kompleksu budynków lądowiska. Prowadziła pochylona do przodu, skoncentrowana, ze ściągniętymi brwiami i chociaż kabina była słabo oświetlona, Peter zauważył na jej gałkach ocznych charakterystyczne krawędzie soczewek kontaktowych. Beatrice też nosiła szkła kontaktowe, dlatego tak łatwo je rozpoznał.

– Przyjechałaś specjalnie po mnie?

– Tak.

– Śledzisz mój każdy krok? Wiesz o każdym kęsie muffina?

Aluzja nie zrobiła na niej wrażenia.

– Przypadkiem zajrzałam do kantyny i jeden z chłopaków powiedział mi, że poszedłeś na spacer.

– Czy to powód do niepokoju? – Starał się, żeby jego głos brzmiał miło i przyjaźnie.

– Dopiero przyjechałeś – powiedziała, nie odrywając oczu od drogi. – Nie chcielibyśmy, żeby coś ci się stało na pierwszej wycieczce.

– A co z oświadczeniem, które podpisałem? Te dwanaście punktów, które dokładnie określają, że USIC nie ponosi odpowiedzialności za to, co się ze mną stanie?

Zirytowała się.

– To był formalny dokument napisany przez paranoicznych prawników, którzy nigdy tu nie byli. Ja jestem miła, mieszkam tutaj, przywitałam cię po przylocie i powiedziałam, że będę się tobą opiekować. I to właśnie robię.

– Doceniam to – powiedział.

– Troszczę się o ludzi. Czasem mam przez to kłopoty.

– Nie będę ci sprawiał kłopotów – zapewnił. Niesamowicie oświetlona stołówka zdawała się zbliżać do nich w ciemnościach, jakby inny pojazd pędził im naprzeciw i groziło im zderzenie czołowe. Żałował, że wraca tak szybko. – Mam nadzieję, że rozumiesz. Nie przyjechałem tu, by siedzieć w stołówce i przeglądać czasopisma. Chcę znaleźć mieszkańców Oazy, bez względu na to, gdzie są. Prawdopodobnie będę żył wśród nich, jeżeli się zgodzą. Więc chyba będzie lepiej, jeżeli... hm... przestaniesz się mną opiekować.

Wprowadziła samochód do garażu. Byli na miejscu.

– Chcesz postawić wszystko na jedną kartę?

– To nie hazard. Wiem, co robię. – Nadal starał się być miły. – I chcę to



zrobić jak najszybciej. Nie chcę być natrętny, ale... Kiedy będziesz mogła mnie stąd wywieźć?

Zgasiła silnik i zdjęła z pedałów swoje małe stopy.

– Daj mi godzinę, muszę przygotować kilka rzeczy.

– Rzeczy?

– Przede wszystkim jedzenie. Pewnie zauważyłeś, że kantyna nic teraz nie wydaje.

Skinął głową i strużka potu spłynęła mu po twarzy.

– Nie wiem, w jaki sposób ustalić porządek dnia i nocy, jeżeli ciemność trwa przez trzy dni. Teraz oficjalnie jest noc, prawda?

– Tak, teraz jest noc. – Potarła ostrożnie oczy. Uważała, żeby nie przesunąć soczewek.

– Więc to zegar decyduje, kiedy zaczyna i kończy się doba?

– Jasne. Przypuszczam, że podobnie jest za kołem podbiegunowym. Musisz przestawić rytm snu, żeby spędzać dzień razem z innymi.

– A co z tymi ludźmi, którzy teraz są w stołówce?

Wzruszyła ramionami.

– Stanko musi tam być, bo ma nocną zmianę. Pozostali... cóż, niektórzy ludzie cierpią na bezsenność. A są i tacy, którzy wolą wszystko przespać.

– A co z mieszkańcami Oazy, hm... krajowcami? Czy teraz śpią? Chodzi mi o to, czy nie powinniśmy poczekać, aż wszędzie słońce?

Posłała mu nieufne spojrzenie.

– Nie mam pojęcia, kiedy śpią. Czy w ogóle śpią. Będę z tobą szczerą, prawie nic o nich nie wiem, chociaż i tak wiem więcej niż inni. Są... Trudno ich poznać. Nie jestem pewna, czy tego chcą.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ja jednak... jestem tu, by ich poznać.

– W porządku – westchnęła. – Ty decydujesz. Ale wyglądasz na zmęczonego. Jesteś pewien, że wystarczająco odpocząłeś?

– Tak, a ty?

– Ja też, ale jak powiedziałam, potrzebuję godziny. Jeżeli w ciągu tego czasu zmienisz zdanie i uznasz, że chcesz się jeszcze przespać, daj znać.

– W jaki sposób?

– Sztosem. Pod ikoną USIC jest menu z listą nazwisk. Możesz mnie tam znaleźć.

– Miło słyszeć, że jest tu jakieś menu, w którym można coś znaleźć. – Miała to być gorzka aluzja do sytuacji w kantynie, ale nagle przestraszył się, że zostanie źle zrozumiany.

Otworzyli drzwi i wysiedli w wilgotną wirującą czerń.

– Jeszcze jakieś rady? – zawołał ponad dachem samochodu.

– Tak – odkrzyknęła. – Nie noś dżinsowej kurtki.

Siła sugestii? Kiedy powiedziała, że wygląda na zmęczonego, nie odczuwał znużenia. Teraz to się zmieniło. Co gorsza, czuł się kompletnie oszołomiony, jakby otaczająca go wilgoć przedostała się do mózgu i zaćmiła myśli. Miał nadzieję, że Grainger odprowadzi go do pokoju, ale tak się nie stało. Weszli do budynku innym wejściem i po niecałej minucie pożegnała go w rozwidleniu korytarza.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach (zgodnie z jej wyraźną sugestią), ale nie miał pojęcia, gdzie idzie. Korytarz był pusty i cichy, Peter nie przypominał sobie, żeby wcześniej go widział. Ściany pomalowane na niebiesko (w ciepłym odcieniu błękitu, który wydawał się ciemniejszy z powodu przyćmionego światła), bez żadnych znaków czy strzałek, nie wyróżniały się niczym. Nie spodziewał się zresztą, żeby specjalnie oznaczono drogę do jego pokoju. W USIC stawiali sprawę jasno. Podczas jednego z przesłuchań powiedziano mu, że „pod żadnym pozorem ani w jakikolwiek formalny sposób” nie będzie traktowany jak oficjalny pastor i nie powinien być zdziwiony, jeżeli nie znajdzie zapotrzebowania na swoją posługę. Jego prawdziwa praca miała być związana z rdzennymi mieszkańcami Oazy. I taki zakres obowiązków był zapisany w kontrakcie: „Pastor (religia chrześcijańska) rdzennej ludności”.

– Ale z pewnością macie też pastora dla personelu? – zapytał.

– Właściwie to nie mamy w tej chwili nikogo takiego – odpowiedziała jedna z przesłuchujących go kobiet.

– Czy to oznacza, że kolonia jest formalnie ateistyczna? – spytała Bea.

– To nie jest kolonia – odezwała się dość ostrym tonem inna przedstawicielka USIC. – To społeczność. Nie używamy słowa „kolonia” i nie krzewimy wiary bądź niewiary. Szukamy najlepszych ludzi, to wszystko.

– Specjalny pastor dla personelu USIC to w zasadzie dobry pomysł – zapewniła ich pierwsza pracownica. – Zwłaszcza jeśli posiada on, lub ona, inne przydatne umiejętności. Takie osoby wchodziły w przeszłości w skład naszego zespołu. Obecnie nie jest to naszym priorytetem.

– Ale moja misja jest priorytetowa? – chciał wiedzieć Peter. Ciągle jeszcze nie mógł w to uwierzyć.

– Lepiej zaklasyfikować ją jako pilną. W istocie tak pilną, że muszę cię prosić... – Pochyliła się do przodu i spojrzała mu prosto w oczy. – Jak szybko możesz wyjechać?

Za kolejnym zakrętem korytarza zobaczył jarzące się światła i usłyszał ciche harmonijne dźwięki. Po chwili rozpoznał w nich muzykę instrumentalną. Poszedł za daleko, przegapił swój pokój i ponownie znalazł się w stołówce.

Zauważył kilka zmian. Upiorny głos Patsy Cline został zastąpiony przez kawiarniany jazz, nijaki i nudny. Dwaj czarni mężczyźni już wyszli, Chińczyk obudził się i przeglądał czasopismo. Filigranowa kobieta w średnim wieku, Koreanka albo Wietnamka, z pomarańczowym pasemkiem w czarnych

włosach, zamyślona wpatrywała się w kubek, który trzymała na kolanach. Słowianin nadal stał za barem. Nie zwrócił uwagi na Petera. Jak zahipnotyzowany manewrował dwiema plastikowymi butelkami z keczupem i musztardą, starając się balansować nimi w taki sposób, żeby stykały się zakrętkami pod odpowiednim kątem. Jego długie palce unosiły się nad chwiejną konstrukcją gotowe pochwycić butelki, kiedy tylko zaczną spadać.

Peter zatrzymał się w drzwiach. Miał przepecone dżinsy, mokre włosy i nagle zrobiło mu się zimno. Na pewno wygląda idiotycznie! Przez moment doznawał przejmującego uczucia obcości, całkowitego braku związku z tymi ludźmi. Za chwilę jego duszę sparaliżuje strach i porazi go nieśmiałością i przerażeniem, takim, jakie odczuwa dziecko, kiedy musi stawić czoła nieznanym w nowej szkole. Ale wtedy Bóg natchnął go odwagą i spłynęło na niego ukojenie. Zrobił krok do przodu.

– Witam wszystkich – powiedział.

## Właśnie wtedy, kiedy rozpoznał, czym były

W oczach Boga wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety są nagie. Ubranie to jedynie listek figowy, a ciało jest kolejną warstwą odzienia, strojem skrojonym z mięsa pokrytego niepraktyczną cienką skórą o wielu odcieniach różu, żółci i brązu. Tylko dusze są prawdziwe. Kiedy na to spojrzeć w ten sposób, znika zakłopotanie, nieśmiałość i wstyd, jakie odczuwamy na widok innych ludzi. Wystarczy normalnie przywitać się ze swoimi bliźnimi.

Peter pozdrowił wszystkich. Stanko ustawił butelki szyjkami do góry, podniósł wzrok i uśmiechnął się, Chińczyk uniósł kciuk, tylko kobieta, która drzemała z otwartymi oczami, przestraszyła się, gwałtownie wyprostowała nogi i rozlała kawę na kolana.

– O mój...! – zawołał Peter i podbiegł do niej. – Tak mi przykro!

Obudziła się już zupełnie. Podobnie jak Grainger, miała na sobie luźną koszulę i spodnie, ale w beżowym kolorze, teraz z dużą brązową plamą.

– Nic się nie stało – powiedziała. – Nie była gorąca.

Obok głowy Petera przeleciał jakiś przedmiot i wylądował na kolanach kobiety. Była to ścierka do naczyń, którą rzucił Stanko. Kobieta spokojnie zaczęła czyścić i osuszać spodnie. Uniosła brzeg bluzki, odsłaniając dwie mokre plamy na zwiewnych bawełnianych spodniach.

– Mógłbym jakoś pomóc? – zapytał Peter.

Roześmiała się.

– Raczej nie.

– Moja żona plamy po kawie usuwa octem – powiedział, patrząc jej w oczy. Nie chciał, by pomyślała, że zerka pożądliwie na jej uda.

– To nie jest prawdziwa kawa, nie przejmuj się tym.

Powolnym, pedantycznym ruchem zwinęła ścierkę, położyła ją na stoliku i z powrotem usiadła na krześle. Najwyraźniej nie zamierzała od razu iść się przebrać. Jazzowy muzak zamilkł na chwilę, ale już po kilku sekundach saksofon westchnął, a talerze i werble zaszumiały pocierane szczotkami perkusisty. Leniwa improwizacja zaczęła się od nowa. Stanko znów bawił się jakimiś przedmiotami, starając się dostosować swoje ruchy do rytmu muzyki, a Chińczyk w dalszym ciągu przeglądał czasopismo. Chcieli, żeby Peter poczuł się swobodnie, i był im za to wdzięczny.

– Czy przekreśliłem swoje szanse, żeby się przedstawić? – zapytał. – Jestem Peter.

– Moro, bardzo mi przyjemnie. – Kobieta wyciągnęła prawą dłoń. Zawahał się, bo zauważył, że jeden z jej palców był ucięty na wysokości stawu, a małego brakowało w całości. Ujął jej dłoń, a ona oddała mu uścisk z dużą pewnością

siebie.

– Wiesz, to dość niezwykle – powiedział, siadając obok niej.  
– Wypadek w fabryce, zdarzają się każdego dnia.  
– Chodzi mi o to, w jaki sposób podałaś rękę. Znam wiele osób, które nie mają wszystkich palców prawej dłoni. Zawsze na powitanie wyciągają lewą. Nie chcą, żeby ludzie czuli się zakłopotani.

Wydawała się lekko zdziwiona.

– Naprawdę? – Potem uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Niektórzy ludzie są dziwni”. Patrzyła na niego swobodnie, ale z pewną rezerwą; może szukała jakichś znaków szczególnych, które pozwoliłyby go zaszeregować do (pustej jeszcze) przegródki opatrzonej etykietką „Misjonarz z Anglii”.

– Właśnie wróciłem ze spaceru – powiedział i wskazał na ciemność panującą za oknem. – Mój pierwszy raz.

– Niewiele tu do oglądania.

– Jest noc.

– Nawet w dzień nie ma tu nic ciekawego. Ale pracujemy nad tym. – Nie zamierzała się chwalić ani go zbyć, była tylko rzeczowa.

– Czym się tu zajmujesz?

– Jestem inżynierem technologiemi.

Speszył się. Nie starał się tego ukryć i popatrzył na nią, jakby mówił: „Poproszę o wyjaśnienia”.

Odpowiedziała spojrzeniem: „Jest późno i jestem zmęczona”.

– Poza tym – powiedziała – pracuję trochę w kuchni. Co dziewięćdziesiąt sześć godzin gotuję i piekę. – Przeczesała włosy palcami. Pod lśniąca czernią i pomarańczowym pasemkiem dostrzegł siwe odrosty. – Całkiem fajna robota, lubię ją.

– To wolontariat?

– Nie, należy do moich zadań. Przekonasz się, że wielu z nas ma różne dodatkowe funkcje. – Wstała, ale dopiero kiedy ponownie wyciągnęła dłoń, Peter zrozumiał, że ich spotkanie dobiegło końca.

– Powinnam pójść się przebrać – wyjaśniła.

– Miło było cię poznać, Moro.

– Nawzajem – powiedziała i wyszła.

– Robi dobre pierożki na parze – odezwał się Chińczyk, kiedy zniknęła.

– Słucham?

– Niełatwo zrobić dobre pierożki. Ciasto się rwie, a musi być cienkie, bo inaczej to nie będą prawdziwe chińskie pierożki na parze. Trudna sprawa. Ale ona to potrafi. Zawsze można poznać, kiedy przypada jej dyżur w kuchni.

Peter przesiadł się na krzesło obok fotela mężczyzny.

– Jestem Peter.

– Werner – odpowiedział Chińczyk. Jego pulchna dłoń miała wszystkie pięć palców, a uścisk świadczył o drzemiącej w niej sile. – Więc zwiedzałeś okolicę.

– Na razie niewiele widziałem. Jestem ciągle bardzo zmęczony, dopiero przyleciałem.

– Trochę to trwa, zanim się człowiek przyzwyczai. Te wszystkie molekuly muszą z powrotem trafić we właściwe miejsca. Kiedy masz pierwszą zmianę?

– Hm... ja nie... Jestem pastorem. Chyba powinienem być na służbie przez cały czas.

Werner skinął głową. Na jego twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie, jakby Peter wyznał, że bez konsultacji z prawnikiem podpisał trefny kontrakt.

– Służenie Bogu to przywilej i radość – powiedział Peter. – Nie potrzebuję żadnych przerw w pracy.

Werner przytaknął, a Peter zerknął na czasopismo, które czytał Chińczyk. „Systemy Pneumatyczno-Hydrauliczne”, z kolorową fotografią wnętrza jakiejś maszyny i chwytliwym nagłówkiem: *Niezawodny sprzęt podstawą sukcesu.*

– Ta praca pastora... – zaczął Werner. – Co właściwie będziesz robił? Tak na co dzień?

– Zobaczą, jak to się ułoży – uśmiechnął się Peter.

– Musisz się przekonać, co w trawie piszczy – dopowiedział Werner.

– Właśnie.

Zmęczenie znów dawało o sobie znać. Peter poczuł, że zaraz zemdleje na krześle, osunie się na podłogę, a Stanko zmiecie go mokrym mopem.

– Przyznam, że niewiele wiem o religii – wyznał Werner.

– A ja o hydraulice i pneumatyce.

– To też nie moja broszka – odpowiedział. Pochylił się z wysiłkiem, odkładając czasopismo na stojak. – Wziąłem to z ciekawości. – Znów popatrzył na Petera. Chciał mu coś wyjaśnić. – W Chinach przez długi czas nie było żadnej religii. Pod rządami takiej jednej dynastii.

– Jaka to była dynastia? – Z niewiadomych przyczyn w głowie Petera zakołatała nazwa „Tokugawa”, ale uświadomił sobie, że myli historię japońską z chińską.

– Dynastia Mao. Było paskudnie, stary. Zabijali ludzi, jak popadło. Potem się poprawiło. Wszyscy mogli robić to, co chcieli. Chciałeś wierzyć w Boga? W porządku. W Buddę? Też dobrze. Albo w szinto czy cokolwiek.

– A ty? Interesowała cię jakaś wiara?

Werner popatrzył w sufit.

– Czytałem kiedyś taką grubą książkę, miała ze czterysta stron. O scjentologii. Nawet ciekawe, dała mi do myślenia.

„Och, Bea – pomyślał Peter – tak bardzo cię potrzebuję”.

– Musisz zrozumieć – ciągnął Werner – przeczytałem dużo książek. Uczę się z nich nowych wyrażań, poszerzam słownictwo. Nie dam się zaskoczyć, jak natrafie na jakieś dziwne słowo, a są sytuacje, w których to może mieć znaczenie.

Saksofon zaryzykował i wydał z siebie skrzeczący dźwięk, który można by

nawet uznać za ochryply, ale natychmiast spuścił z tonu i rozplynął się w przesłodzonej melodii.

– Dzisiaj w Chinach jest mnóstwo chrześcijan – zauważył Peter. – Miliony.

– Tak, ale w stosunku do całej ludności to tylko jeden procent, może nawet mniej. Jest ich coraz więcej, a ja nie spotkałem żadnego. To egzotyczne istoty.

Peter odetchnął głęboko, mdliło go. Czuł, jak jego mózg zmienia pozycję, porusza się i dopasowuje do oślizgłego wnętrza czaszki. Miał nadzieję, że to tylko efekt rozbudzonej wyobraźni.

– Chińczycy... Chińczycy przywiązują dużą wagę do rodziny, prawda?

Werner się zamyślił.

– Tak mówią.

– Ty nie?

– Ja byłem adoptowany. Przez niemieckie małżeństwo. On był wojskowym, stacjonowali w Chengdu. Kiedy miałem czternaście lat, przenieśli się do Singapuru. – Urwał, a potem, jakby chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości, dodał:

– Razem ze mną.

– To dość niezwykła historia jak na Chiny.

– Nie mogę podać statystyk, ale tak. Bardzo niezwykła. To byli mili ludzie.

– Co myślą o twoim pobycie tutaj?

– Nie żyją – powiedział Werner bez emocji. – Zmarli, zanim zostałem wybrany.

– Przykro mi.

Werner skinął głową, zgadzając się, że śmierć jego przybranych rodziców rzeczywiście była godnym pożałowania wydarzeniem.

– Porządni z nich byli rodzice. Oddani. Jest tu dużo takich, którzy nie mieli tyle szczęścia. Ja miałem.

– Masz kontakt z kimś w domu, tam, na Ziemi?

– Jest mnóstwo osób, z którymi chętnie zamieniłbym kilka słów. Świetnych ludzi.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

Werner wzruszył ramionami.

– Nie chcę nikogo wyróżniać, każdy jest kimś, wiesz, wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. Wszyscy mają to coś. Niektórym zawdzięczam naprawdę dużo. Pomagali mi, doradzali, wskazywali, jak wykorzystać... możliwości. – Na chwilę połączył się z odległą przeszłością i jego oczy zrobiły się szkliste.

– Kiedy wracasz?

– Wracam? – Werner potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć pytanie, jakby Peter zadał je w niezrozumiałym narzeczu. – Nic takiego nie figuruje w planach na najbliższą przyszłość. Niektórzy goście, jak Severin, latają tam i z powrotem, co kilka lat tam i z powrotem. Ja jestem... jak by to powiedzieć? Żeby odnaleźć tu swój właściwy rytm, muszą minąć trzy, cztery lata. Trzeba się w to wgryźć, przejść aklimatyzację, zdobyć specjalistyczną wiedzę, skoncentrować się na celu. To wielki projekt. Po jakimś czasie dochodzisz do

punktu, w którym widzisz, że wszystko się z sobą łączy. Praca inżyniera zajął się z robotą hydraulika, elektryka, kucharza i... ogrodnika. – Jego pulchne dłonie objęły niewidzialną kulę, jakby chciał unaocznić jakąś holistyczną koncepcję.

Nagle ręce Wenera nabrzmiały, każdy palec nadał się jak balon, osiągając rozmiar kończyny niemowlęcia. Jego twarz zmieniła kształt, pączkujące usta i oczy oderwały się od ciała i rozpełzły po całym pomieszczeniu. I wtedy Peter poczuł, że coś uderzyło go w czoło. To była podłoga.

Po kilku sekundach albo minutach czyjeś silne ręce uniosły go za ramiona i przewróciły na plecy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Stanko zupełnie niewzruszony szaleńczym tańcem otaczających ich ścian i sufitu. Wener, którego twarz i dłonie odzyskały normalny wygląd, także nie uświadamiał sobie istoty sprawy. Jedyny ich problem stanowił rozciągnięty na podłodze, ociekający potem, za grubo ubrany misjonarz.

– Jesteś tu, brachu?

Peter z wysiłkiem zamrugał oczami. Przestrzeń wokół wirowała coraz wolniej.

– Jestem.

– Powinieneś być w łóżku – powiedział Stanko.

– Pewnie masz rację – odparł Peter – ale... nie wiem gdzie...

– Znajdziemy w spisie – rzucił Stanko i poszedł to sprawdzić.

Po minucie wynieśli go z mesy na ciemnoniebieski korytarz. Żaden z nich nie był tak silny jak BG, więc musieli zatrzymywać się co kilka metrów, by poprawić chwyt. Kościste palce Stanka wpijały się w ramiona Petera, zostawiając siniaki. Wener miał łatwiejsze zadanie – trzymał go za kostki u nóg.

– Mogę iść sam – zapewnił Peter, ale nie był przekonany, czy mówi prawdę, a dwaj samarytanie nie zwracali uwagi na jego słowa. Na szczęście jego kwatery była niedaleko stołówki. Zanim się zorientował, położyli go, a raczej rzucili, na łóżko.

– Miło się z tobą gadało – powiedział Wener z lekką zadyszka. – Życze powodzenia w... robocie.

– Zamknij teraz oczy i odpocznij, brachu – poradził Stanko w drodze do drzwi. – Odeśpij to.

„Odeśpij to”. W swoim życiu słyszał te słowa wiele razy, nawet od ludzi, którzy zbierali go z podłóg i rzucali w znacznie mniej przyjemne miejsca niż łóżko. Czasami tacy faceci, kiedy już wywlekli go z nocnego klubu lub jakiejś speluny, w której właśnie się upadł, częstowali go na pożegnanie kilkoma kopniakami. Kiedyś porzucili go w bocznej uliczce i prawie przejechała po nim furgonetka dostawcza. Koła o milimetr minęły jego ramiona i głowę,



wydzierając tylko kępkę włosów. To było w czasach, kiedy Peter nie był jeszcze gotów przyznać, że istnieje jakaś wyższa siła, która utrzymuje go przy życiu.

Niesamowite, jak bardzo kac po Skoku przypominał skutki ostrego pijaństwa. Był jednak gorszy, jak matka wszystkich kociokwików połączona z efektem magicznych grzybków. Severin ani BG nie wspominali o halucynacjach, ale może byli po prostu uodpornieni. Albo obaj spali teraz głęboko, regenerując siły, zamiast robić z siebie widowisko.

Począł, aż pokój przybierze kształt geometrycznej bryły trwale zakotwiczonej w polu ciężenia. Wstał i sprawdził, czy w Sztosie są jakieś wiadomości. Ciągłe ani słowa od Bei. Być może powinien poprosić Grainger, żeby przysłała i zobaczyła, czy on odpowiednio obsługuje to urządzenie. Ale była noc, a Grainger jest kobietą, którą on ledwie zna. Ich znajomość pewnie nie zaczęłaby się tak obiecująco, gdyby nagle zauważył, że jej oczy i usta rozmnażają się przez pączkowanie, a potem zemdłał i padł u jej stóp.

Poza tym Sztos był tak prosty w obsłudze, że Peter nie mógł sobie wyobrazić, by ktoś, nawet taki technofob jak on, mógł sobie z nim nie poradzić. Maszyna wysyłała i odbierała wiadomości, to wszystko. Nie wyświetlała filmów, nie robiła hałasu, nie próbowała niczego mu sprzedać ani nie informowała go o niedoli maltretowanych osłów czy zagładzie deszczowych lasów w Brazylii. Nie oferowała możliwości sprawdzenia pogody w południowej Anglii, aktualnej liczby wyznawców chrześcijaństwa w Chinach lub nazw i dat panowania królewskich dynastii. Po prostu potwierdzała, że jego wiadomość została wysłana. I że nie ma odpowiedzi.

Nagle zobaczył – nie na matowym szarym ekranie Sztosa, ale oczami wyobraźni – obraz poskręcanego wraku na angielskiej autostradzie. Jest noc, rozbity samochód jaskrawo oświetlają reflektory karetek pogotowia. Bea leży martwa gdzieś na drodze pomiędzy lotniskiem Heathrow a ich domem. Perły z rozerwanego naszyjnika rozsypały się po asfalcie i zmieszały z czarnymi plamami krwi. Obrazek z przeszłości, sprzed miesiąca. To się zdarza. Ktoś wybiera się w szaleńczo niebezpieczną podróż i przybywa do celu bez szwanku, a ktoś inny ma przed sobą banalną, krótką przejażdżkę i ginie. „Bóg ma porąbane poczucie humoru”, powiedziała kiedyś matka pewnego zmarłego dziecka, która niedługo potem porzuciła Kościół. Przez kilka chwil koszmarna wizja martwej Beatrice leżącej na drodze była tak realna, że dreszcz przerażenia skreślił Peterowi wnętrzości. Zrobiło mu się niedobrze.

Nie. Nie pozwoli się zwieść wyimaginowanym makabreskom. Bóg nie jest okrutny. Życie może być okrutne, ale nie Bóg. W świecie, który jest niebezpieczny, bo człowiek został obdarzony wolną wolą, Bóg jest opoką, na której zawsze można się wesprzeć. On docenia możliwości i ograniczenia wszystkich swoich dzieci. Peter wiedział, że jeśli coś okropnego przydarzy się Bei, nie poradzi sobie tutaj. Misja dobiegnie końca, zanim w ogóle się zacznie. W ciągu miesięcy rozmyślał i modlitw poprzedzających podróż na Oazę przekonał się o jednym – Bóg naprawdę chciał, żeby on tu przyleciał. Był

bezpieczny w Jego rękach. I Bea też.

Co do Sztosu, był prosty sposób, żeby przekonać się, czy używał go poprawnie. Znalazł na ekranie ikonę USIC – przedstawiała stylizowanego zielonego skarabeusza – i rozwinął menu. Były tam tylko trzy pozycje: konserwator (naprawy), admin i Grainger. Błąd w nazwisku pewnie wziął się z pośpiechu Grainger. Jeśli Peter chciał mieć bardziej rozbudowaną listę korespondentów, musiał sam o to zadbać.

Otworzył stronę nowej wiadomości i napisał:

Droga Grainger. Wykasowałem „Droga” i wpisałem „Cześć”, usunąłem to i zostawiłem samo „Grainger”, następnie znów wpisałem „Droga” i ponownie skasowałem to słowo. Lepsza będzie bezpodstawna zażyłość czy niezyczliwa oschłość? Nie mógł się zdecydować. Ten nadmiar skomplikowanych gestów przed nawiązaniem prawdziwej znajomości! Pisanie listów musiało być łatwiejsze w dawnych czasach, kiedy wszyscy, nawet pracownicy banku czy urzędu skarbowego, byli „drodzy”.

Cześć, Grainger,

miałaś rację, jestem zmęczony. Powinienem się jeszcze przespać. Przepraszam za kłopot.

Wszystkiego dobrego

Peter

Rozbierał się mozolnie. Każda część jego garderoby była przesiąknięta wilgocią, jakby wrócił ze spaceru w ulewnym deszczu. Skarpety kleiły się do mokrych stóp jak zabłocone liście. Spodnie i kurtka opinały ciasno ciało i trudno było się z nich wyswobodzić. Ciuchy były ciężkie i padały na podłogę z głuchym tąpnięciem. Pomyślał przez chwilę, że ubranie kruszy się i rozsypuje po całym pokoju, ale kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że rozsypane drobinki to martwe owady. Podniósł delikatnie jednego z nich. Skrzydła nie były już półprzezroczyste, straciły srebrzystą barwę i pojawiły się na nich czerwone plamki. Nogi odpadły i trudno było uznać tę zdeformowaną łupinę za owada. Przypominała bardziej zgniecione resztki ręcznie skręconego papierosa. Dlaczego te stworzenia zdecydowały się na podróż na jego ubraniu? Zginęły prawdopodobnie podczas marszu, w fałdach trącej o siebie tkaniny.

Przypomniał sobie o aparacie i wyciągnął go z kieszeni. Był śliski i wilgotny. Włączył go, chcąc obejrzeć zdjęcia ze spaceru i zrobić w pokoju kilka nowych. Pokaże Bei, jak mieszka, przemoczone ubrania, a może i jednego owada. Z aparatu strzeliła iskra i sparzyła mu palce, ekran zgasł. Aparat stał się martwym przedmiotem. Jak ptak, którego maleńkie serduszko pękło ze strachu. Peter wiedział, że nie da się go naprawić, ale łudził się, że jeśli trochę poczeka, aparat drgnie i sam wróci do życia. Jeszcze przed chwilą był małym przemyślnym składzikiem pamiątek dla Bei, skarbnicą obrazów, które przydadzą mu się w niedalekiej przyszłości. Wyobrażał już sobie te chwile. On i

Bea w łóżku, przed nimi rozjaśniony ekran. Ona wskazuje palcem, a on mówi: „To? A, to było... A tu... Popatrz...”. Teraz nic z tego. W jego dłoni leżał bezużyteczny metalowy przedmiot.

Mijały minuty i nagle Peter zdał sobie sprawę, że jego nagie ciało dziwnie pachnie. Była to ta sama delikatna woń miodowego melona, którą wyczuł w wodzie z kranu. Wirujące strugi powietrza owiewające go podczas spaceru nie tylko sprawiły, że spłynął obfitym potem, lecz także przesyciły jego skórę specyficznym zapachem.

Był zbyt zmęczony, żeby się umyć, a lekkie falowanie idealnie prostej przypodłogowej listwy ostrzegło go, że jeśli zaraz się nie położy i nie zamknie oczu, pokój znów zacznie wirować. Zwalił się na łóżko i spał przez całą wieczność. Kiedy ponownie otworzył oczy, okazało się, że trwała czterdzieści kilka minut.

Sprawdził Sztos. Nie było nic nowego, nawet od Grainger. Może jednak nie potrafił obsługiwać tego urządzenia. Wiadomość, którą jej wysłał, nie była prawdziwym testem niezawodności, bo nie napisał jej w taki sposób, żeby wymagała natychmiastowej odpowiedzi. Zastanowił się i wystukał na klawiaturze:

Halo, Grainger, to znowu ja.

Przepraszam, że zawracam Ci głowę, ale nie zauważyłem tu telefonów ani niczego, co pozwala skontaktować się bezpośrednio. Jesteś tam?

Najlepszego

Peter

Wziął prysznic, wytarł się z grubsza ręcznikiem i nagi położył na łóżku. Jeżeli jego wiadomości nie dotarły i za chwilę zjawi się tutaj Grainger, owinie się prześcieradłem i porozmawia z nią przez drzwi. Chyba że wejdzie bez pukania. Czy może tak zrobić? Czy towarzyski *savoir-vivre* w bazieUSIC odbiega tak bardzo od normy? Rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł niczego, czym można by zabarykadować drzwi.

Kiedyś, przed laty, kiedy zmagał się ze skomplikowanymi zamkami kościoła (zasuwki, kłódki, klucze, a nawet łańcuch), powiedział Beatrice, że powinni wprowadzić politykę otwartych drzwi.

– Przecież ją stosujemy – odparła zdziwiona.

– Chodzi mi o to, żeby w ogóle nie było zamków. Drzwi otwarte przed każdym, przez cały czas. „Nie wiedząc, aniołom dali gościnę”<sup>Z</sup>, mówi Pismo.

Pogłaskała go po głowie jak dziecko.

– Jesteś słodki.

– Nie żartuję.

– Narkomani też nie żartują.

– Nie trzymamy tu narkotyków. I niczego, co dałoby się sprzedać, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki. – Wskazał dłonią wiszące na ścianach dziecięce

rysunki, ławki z wygodnymi starymi poduszkami, chybotliwy pulpit i sterty podniszczonych Biblii. Nie mieli srebrnych świeczników, cennych rzeźb ani drogocennych ozdób.

Bea westchnęła.

– Wszystko można sprzedać na narkotyki. A ktoś na głodzie na pewno spróbuje. – Posłała mu spojrzenie mówiące: „Sam wiesz o tym najlepiej, prawda?”.

Istotnie, wiedział o tym aż za dobrze. Tylko wolał nie pamiętać.

Pomimo postanowienia, żeby czuwać, dopóki nie zjawi się Grainger (bo jednak mogła nie dostać jego wiadomości), zasnęła. Kiedy obudził się po dwóch godzinach, pokój nie wykonywał żadnych niepokojących ruchów, a widok za oknem był taki sam: odludny bezmiar ciemności pocętkowany upiornym światłem lamp. Peter zwłóknął się z łóżka i natrafił stopą na coś lekkiego i cienkiego. Wysuszona i sztywna bawełniana skarpetka zmieniła się w tekturę. Usiadł przy Sztosie i odczytał odpowiedź od Grainger. Jako nagłówek wykorzystano jego słowa „przepraszam, że zawracam ci głowę”; umieścił je w swojej wiadomości, żeby sprowokować szybką odpowiedź.

To telefon dopiero byłby zawracaniem głowy, pisała, zwłaszcza gdybym spała. Nie, tu nie ma telefonów. USIC początkowo próbował je instalować, ale połączenia były kiepskiej jakości albo w ogóle niemożliwe. Tutejsze powietrze się nie nadaje, atmosfera jest podobno zbyt gęsta. Radzimy sobie bez nich. Szczerze mówiąc, większość rozmów telefonicznych to kompletna strata czasu. Wszędzie mamy czerwone guziki alarmowe (i nigdy nie musimy ich używać!). Rozkład zajęć jest wydrukowany na grafikach, więc wiemy, gdzie i co mamy robić. Jeśli chcemy sobie pogadać i mamy na to czas, robimy to osobiście, a jak jesteśmy zajęci, to nie powinniśmy gadać. Wszystkie specjalne komunikaty ogłaszane są przez radiowęzeł. Możemy też używać Sztosów, ale większość woli załatwiać swoje sprawy w bezpośrednich rozmowach. Tu są sami fachowcy, dyskusje dotyczą głównie spraw technicznych i wtedy trzeba rozwiązywać problemy od ręki. Opisywanie tego wszystkiego w zrozumiały sposób, a potem czekanie na odpowiedź to koszmar. Mam nadzieję, że to Ci pomoże, Grainger.

Uśmiechnęła się. Jednym zdaniem spłukiwała do toalety tysiące lat pisemnych form komunikowania się, a wcześniej wyrzuciła do kosza półtora stulecia rozmów telefonicznych. „Mam nadzieję, że to Ci pomoże” na końcu, jak ozdobnik, to był sprytny chwyt. Właściwie była bezczelna.

Uśmiechając się ciągle i mając przed oczyma chłopięcą twarz Grainger, sprawdził bez specjalnej nadziei, czy nie ma odpowiedzi od Beatrice. Na

ekranie pojawił się długi tekst. Ponieważ ukazał się natychmiast, bez ostrzeżenia i fanfar, Peter nie od razu skojarzył, co to jest. Ekran zapełnił się od góry do dołu, a on zaczął wpatrywać się w gęstwinę słów i wyłowił imię Joshua. Zbitka sześciu liter, nic nieznacząca dla większości ludzi, poruszyła czułą strunę i przywołała wymowne obrazy. Łapy kota z komicznymi białymi kępkami sierści pomiędzy różowymi poduszczkami; Joshua cały pokryty gipsowym pyłem po remoncie u sąsiadów; jego skok – cyrkowe salto mortale z lodówki na deskę do prasowania; Joshua drapiący w kuchenne okno, jego ciche miauczenie zagłuszane przez uliczny hałas; Joshua śpiący w koszyku z wysuszonym praniem; Joshua na stole kuchennym, ocierający się o ceramiczny czajniczek do herbaty, który nigdy nie był wykorzystany zgodnie ze swoim przeznaczeniem; Joshua w łóżku razem z nimi. I nagle przed oczyma stanęła mu Bea. Na wpół przykryta żółtą kołdrą nie rusza się, bo kot śpi na jej udzie. Piersi rysujące się pod znoszonym bawełnianym podkoszulkiem, jej ulubionym, zbyt starym, żeby nosić go przy ludziach, ale idealnie nadającym się do łóżka. Szyja, długa i gładka, z dwiema bladymi zmarszczkami przypominającymi blizny. Jej usta, jej wargi.

Peter, kochany – tak zaczynał się list.

Och, te słowa, tak mu drogie! Gdyby wiadomość skończyła się na tym, byłby usatysfakcjonowany. Odczytywałby „Peter, kochany” bez końca, nie z próżności, ale dlatego, że były to jej słowa do niego.

Peter, kochany,

płaczę z ulgi, kiedy to piszę. Wiadomość, że żyjesz, sprawiła, że cała się trzęsę, czuję się jak ogłupiała, jakbym wstrzymywała oddech przez miesiąc i wreszcie mogła odetchnąć. Chwała Panu, że zachował Cię w zdrowiu.

Jak tam jest? Na zewnątrz, nie w Twoim pokoju. Jakie to w ogóle miejsce? Proszę, napisz mi, umieram z ciekawości. Czy udało Ci się zrobić zdjęcia?

Nie obawiaj się, nie postarzałam się o pięćdziesiąt lat i nie mam nowych zmarszczek. Tylko worki pod oczami z braku snu (ale o tym później).

A tak poważnie, to te cztery ostatnie tygodnie były bardzo trudne. Nie wiedziałam, czy dotrzesz tam na miejsce w jednym kawałku. Myślałam, że może już nie żyjesz, a mnie nikt o tym nie powiedział. Bez przerwy kręciłam się koło tej maszyny, chociaż wiedziałam, że minie wieczność, nim coś przyjdzie.

Kiedy nadeszła Twoja pierwsza wiadomość, nie było mnie w domu. Zatrzymali mnie w pracy. Miałam poranną zmianę, minęła bez niespodzianek, już miałam iść do domu, ale o 14.45 okazało się, że zabraknie trzech osób. Leah i Owen zadzwonili, że są chorzy, a Susannah po prostu nie przyszła. Agencja pielęgniarska nikogo nie przysłała i poproszono mnie, żebym została. Zgodziłam się. I zgadnij, co

się stało? O 23 pół nocnej zmiany też nie stawiało się w pracy. Więc naciskali i musiałam znowu zostać, chociaż to wbrew przepisom. Ale kto się tym przejmuje?

Tony z naprzeciwka wpadł i nakarmił Joshuę, ale nie był zachwycony, kiedy zadzwoniłam. Wszyscy mamy swoje problemy, powiedział. O mało nie odpowiedziałam, że tym bardziej powinniśmy sobie pomagać. Wydawał się taki zestresowany. Jeżeli to się powtórzy, będę musiała poprosić studentów z domu obok. Trzeba będzie ich nauczyć, jak posługiwać się otwieraczem do konserw.

Jeśli chodzi o Joshuę, to kiepsko znosi Twoją nieobecność. Budzi mnie o 4 nad ranem, miauczy mi do ucha i demonstracyjnie układa się na Twojej części łóżka. Potem nie mogę już zasnąć i leżę tak do chwili, kiedy muszę wstać do pracy. Takie są rozkosze bycia samotną matką.

Obsesyjnie sprawdzam w telefonie wiadomości ze świata, licząc, że będą jakieś informacje o Tobie. Wiem, to idiotyczne. O USIC niewiele się mówi, prawda? Nigdy o nich nie słyszeliśmy, dopóki się do nas nie zgłosili. A jednak...

Nieważne, teraz jesteś bezpieczny i czuję nieopisaną ulgę. Wreszcie przestałam się trząść i jestem spokojniejsza. Wciąż na nowo, bez końca, czytam Twoje dwie wiadomości. I tak, masz rację, lepiej pisz do mnie, nawet kiedy czujesz, że nie możesz zebrać myśli, niż miałbyś nie pisać wcale. Nie musimy być perfekcyjni!

To mi przypomniało: proszę, przestań się martwić tym ostatnim razem, kiedy się kochaliśmy. Powiedziałam Ci, że było dobrze, bo było (i jest). Orgazm nie był najważniejszą rzeczą, której wtedy pragnęłam, uwierz mi.

I przestań przejmować się tym, co ci faceci (Severin i reszta) myślą o Tobie. To nieważne. Nie poleciałeś na Oazę, żeby zrobić na nich wrażenie. Znalazłeś się tam, żeby dać świadectwo istotom, które nigdy nie słyszały o Jezusie. A poza tym ci ludzie z USIC mają swoją pracę i pewnie rzadko będziesz ich widywał.

Mimo Twojego opisu nie mogę sobie wyobrazić tego deszczu na Oazie, ale zielona woda brzmi niepokojąco. Tu pogoda jest straszna, od chwili kiedy wyjechałeś, leje każdego dnia. Nie przypomina to zastłon z paciorków, ale pełne wiadra wody, które ktoś wylewa ci na głowę. W niektórych miastach środkowej Anglii były powodzie, samochody płynęły ulicami etc. U nas wszystko w porządku, tylko po użyciu splotki woda w toalecie wolno spływa, tak samo zresztą jak w kabinie prysznicowej. Nie wiem, co się stało, jestem zbyt zajęta, żeby się tym zająć.

W naszej parafii jak zwykle sporo napięć. Sytuacja pomiędzy Mirah (czy Meerah?) a jej mężem osiągnęła punkt krytyczny. Powiedziała mu w końcu, że chodzi do naszego kościoła, a jemu odbiło. Dokładniej

mówiąc, pobił Mirah. Dotkliwie. Ma spuchniętą twarz, ledwie widzi na oczy. Mówi, że chce od niego odejść, i potrzebuje naszej (mojej) pomocy przy różnych formalnościach - mieszkanie, praca, zasiłek etc. Wykonałam kilka wstępnych telefonów (kilka godzin temu), ale głównie lecę ją wypróbowanym, najlepszym sposobem - czułością i przytulaniem. Ma kiepskie widoki na niezależne życie. Ledwo mówi po angielsku, nic nie umie i szczerze mówiąc, nie jest zbyt rozgarnięta. Chcę przy niej być, dopóki nie zagoi się jej twarz i nie wróci do męża. Do tego sprowadza się moja rola i mam nadzieję, że nasz dom nie stanie się sceną arabskiego zabójstwa honorowego. Tego już Joshua mógłby nie wytrzymać.

Wiem, opisuję to zbyt lekko, ale w gruncie rzeczy nie wierzę, że Meerah (czy Mirah, muszę sprawdzić, jak się to pisze, zanim zacznę wypełniać podania o zasiłek) jest gotowa oddać swoje serce Chrystusowi i czerpać z Niego siłę i wsparcie. Myślę, że nasz kościół przyciąga ją przyjazną, tolerancyjną atmosferą, a ona się łądzi, że dzięki nam może się stać wolną kobietą. Mówi o chrześcijaństwie jak o jakimś klubie fitness, do którego można się po prostu zapisać.

Widzę, że jest już 1.30 w nocy, co nie jest najlepsze, bo Joshua na pewno obudzi mnie za dwie i pół godziny, a nawet jeszcze się nie położyłam. Słyszę, że znowu pada deszcz. Kocham Cię i tęsknię. O nic się nie martw, zaufaj Jezusowi. Towarzyszył Ci w podróży (szkoda, że ja nie mogłam). Pamiętaj, On działa poprzez Ciebie, nawet kiedy wydaje Ci się, że tracisz grunt pod nogami.

Co do naszego starego znajomego, świętego Pawła, myślę, że nie pochwalałby tego, jak bardzo pragnę przytulić się do Ciebie w łóżku. To nic, zacytuję jego mądrą radę w innej sprawie. Kochany, oboje wiemy, że kiedy miną już niedomagania związane z podróżą i dojdiesz do siebie, nie będziesz mógł dłużej siedzieć w swoim przytulnym pokoju, pisać do mnie i podziwiać deszczu. Będziesz musiał wyjść i zabrać się do pracy. Jak mówi Paweł: „Wobec obcych postępujcie mądrze, wyzyskując każdą chwilę sposobną”<sup>8</sup>. Pamiętaj, że myślę o Tobie!

Całusy, uściski i pomruki od Joshuy  
Beatrice

Peter przeczytał list osiem albo dziewięć razy, zanim mógł się od niego oderwać. Potem wziął torbę, tę samą, którą stewardesa z linii lotniczych Virgin uznała za zbyt małą na podróż przez Atlantyk, położył na łóżku i otworzył. Nadszedł czas, by ubrać się do pracy.

Oprócz Biblii, notatników, drugiej pary dżinsów, lśniących czarnych butów, adidasów, sandałów, trzech podkoszulków, kilku par skarpet i bokserek w torbie był jeszcze jeden element garderoby. Kiedy go pakował, wydawał mu się ekscentryczny i całkowicie zbędny, równie bezsensowny jak smoking czy spódniczka baletnicy. Od ludzi z USIC dowiedział się, że na Oazie nie

obowiązuje jakaś szczególna etykieta dotycząca stroju, ale jeżeli zamierza spędzać dużo czasu na zewnątrz, to najlepiej nabyć coś w stylu arabskim. W ich słowach kryła się wyraźna sugestia, że naprawdę musi zaopatrzyć się w coś takiego (w przeciwnym razie pożałuje, że tego nie zrobił), więc Beatrice kupiła mu diszdaszę na wyprzedazy w miejscowym sklepie z odzieżą muzułmańską.

– Tylko ta była bez ozdób – powiedziała, pokazując mu ją kilka dni przed odlotem. – Mieli zdobione brokatem, z cekinami, haftowane...

Przyłożył ją do ciała.

– Jest za długa.

– Nie będziesz musiał nosić spodni. – Uśmiechnęła się lekko. – Możesz być nago pod spodem, jeśli chcesz.

Podziękował jej, ale nie przymierzył nowego nabytku.

– Chyba nie myślisz, że to kobiece? Ja uważam, że to bardzo męski strój.

– Jest w porządku – powiedział, odkładając szatę. Nie obawiał się posądzenia o zniewieściałość, po prostu nie chciał wyglądać jak aktor w starych biblijnych filmach. Byłaby w tym próżność, tak obca duchowi współczesnego chrześcijaństwa.

Jeden spacer w atmosferze Oazy zmienił wszystko. Dżinsowa kurtka leżała zmięta na podłodze – po wyschnięciu upodobniła się w dotyku do brezentowej plandeki. Arabska koszula i luźne spodnie jak od pidżamy, które widział u kilku pracowników USIC, byłyby idealne, ale sięgająca kostek diszdasza też się nada, przy tym pasuje do sandałów. I co z tego, że będzie wyglądał jak ktoś przebrany za szejka na balu kostiumowym? Liczy się funkcjonalność. Wyciągnął diszdaszę z torby, niech się rozprostuje.

Ku swemu przerażeniu odkrył, że jest poplamiona czarnym atramentem, bo wieczne pióra które eksplodowały podczas lotu, spryskały białe płótno. Co gorsza, kiedy pakował się przed opuszczeniem statku, wcisnął ubranie głębiej do torby i atrament rozmazał się, tworząc dziwne wzory przypominające plamy z testu Rorschacha. Chociaż... Przyjrzał się szacie, trzymając ją w wyciągniętych rękach. Stało się coś niezwykłego. Stworzony przez przypadek atramentowy wzór przybrał kształt krzyża, chrześcijańskiego krzyża, który znajdował się dokładnie pośrodku, na piersiach. Gdyby był czerwony, a nie czarny, wyglądałby jak znak na tunice średniowiecznego krzyżowca. Prawie, bo atramentowe plamy układały się niechlujnie, liczne kropki i przypadkowe linie psuły doskonałość rysunku. Jednak te dwie delikatne kreski pod poprzeczną belką krzyża można uznać za wychudzone ramiona ukrzyżowanego Chrystusa... a te kolczaste plamy powyżej są jak ciernie w koronie. Potrząsnął głową. Zawsze próbował dostrzec więcej, niż było do zobaczenia, to była jego słabość. A jednak to jawa, nie sen, krzyż na jego ubraniu, znak, którego wcześniej tam nie było. Dotknął atramentu, żeby sprawdzić, czy pobrudzi palce. Na samym środku odnalazł jedno lekko wilgotne miejsce, poza tym szata była sucha. Mógł ją włożyć.

Zarzucił diszdaszę na głowę, a chłodna tkanina spłynęła po skórze i okryła



jego nagość. Odwrócił się, by ocenić swoje odbicie w oknie, i stwierdził, że wybór Bei był trafny. Ubiór leżał na nim, jakby krawiec z Bliskiego Wschodu wziął miarę, skroił materiał i uszył ubranie specjalnie dla niego.

Na zewnątrz rozbłysły światła i obramowany kwadrat, który posłużył mu za lustro, znów stał się oknem. Dwa świecące punkty zbliżały się jak oczy jakiegoś ogromnego stworzenia. Podszedł do szyby i wyjrzał, ale reflektory pojazdu zniknęły właśnie wtedy, kiedy rozpoznał, czym były.

## Całe życie prowadziło go właśnie tutaj

Mroczne godziny przedświt, spotkanie żonatego mężczyzny z nieznaną kobietą, z których każde przebywało daleko od domu... Nawet jeśli było w tym coś niewłaściwego, grożącego powikłaniami, Peter nie chciał marnować energii i martwić się na zapas. On i Grainger mieli swoje zadania, a Bóg czuwał.

Poza tym jej zachowanie po tym, kiedy zapukała do drzwi, a on wpuścił ją do środka, było mało zachęcające. Kompletnie zaskoczona, zareagowała jak postać z kreskówek. Cofnęła gwałtownie głowę i o mało nie zatoczyła się w głąb korytarza. Stojąc niepewnie, wpatrywała się w wielki atramentowy krzyż na jego piersi. To właśnie ten znak sprowokował gwałtowną reakcję. Peter spróbował spojrzeć na to z jej punktu widzenia i poczuł zażenowanie.

– Poszedłem za twoją radą – zażartował, pociągając za rękawy diszdaszy – i włożyłem coś przewiewnego.

Wpatrywała się w niego bez uśmiechu.

– Mogłeś pójść do jakiegoś punktu, gdzie robią nadruki na koszulkach – odezwała się w końcu – i zrobić to, hmm, profesjonalnie.

Sama nie zmieniła stroju – była ubrana tak jak przy pierwszym spotkaniu. Biały chałat, białe bawełniane spodnie i chusta na głowie. Nie był to z pewnością konwencjonalny strój kobiety Zachodu, ale wyglądała w nim o wiele naturalniej niż on w swoim.

– Ten krzyż... to wypadek – wyjaśnił. – Eksplozja kilku wiecznych piór.

– No tak – powiedziała. – Właściwie... sprawia wrażenie amatorskiego rękodziela. Ale w dobrym guście.

Uśmiechnął się. Nie chciała być niemiła, ale zabrzmiało to trochę protekcjonalnie.

– Uważasz, że wyglądam jak jakiś bubek?

– Jak kto?

– Pozer.

Spojrzała w głąb korytarza.

– Dla mnie nie. Jesteś gotowy?

Ruszyli obok siebie i wyszli na zewnątrz, w ciemność. Powietrze otuliło ich kojącym ciepłym tchnieniem i Peter od razu poczuł się pewniej w swojej nowej szacie. Doskonale się sprawdzała w tym klimacie. Zrozumiał, że niepotrzebnie zabrał na Oazę swoje stare ubrania. Musi się zreformować i zacząć już od tego poranka.

Samochód Grainger był zaparkowany tuż obok budynku, w miejscu oświetlonym przez przytwierdzoną do betonowej fasady latarnię. Duży, wyglądający na wojskowy pojazd był o wiele potężniejszy niż skromny

samochodzik Petera i Bei.

– Naprawdę jestem ci wdzięczny, że załatwiłaś dla mnie samochód – powiedział Peter. – Musiałaś mieć z tym dużo zachodu, a paliwo pewnie jest racjonowane.

– Dobrze im robi, jak sobie trochę pojeżdżą. Psują się od stania w garażu. Ściślej mówiąc, psuje je wilgoć. Pokażę ci coś.

Podeszła do samochodu i otworzyła maskę. Peter nachylił się posłusznie i zajrzał do środka, chociaż nie miał pojęcia o działaniu silnika. Nie nauczył się nawet podstawowych zasad obsługi – uzupełniania oleju, płynu do spryskiwacza czy mocowania przewodów akumulatora. Za to Bea całkiem sprawnie sobie z tym radziła. Ale nawet on potrafił dostrzec, że coś tu jest nie w porządku.

– To... obrzydliwe – powiedział i roześmiał się zawstydzony swoim brakiem taktu.

Miał rację, cały silnik pokrywała warstwa kleistej mazi, która śmierdziała jak zepsute kocie jedzenie.

– Jasne – zgodziła się Grainger – ale to lekarstwo, a nie choroba. Warstwa ochronna smaru.

– O.

Zatrzasnęła maskę lekkim, ale zdecydowanym ruchem.

– Smarowanie takiego samochodu zajmuje godzinę. Jak obsłużysz kilka sztuk, to potem śmierdzisz przez cały dzień.

Odruchowo spróbował wyczuć jej zapach lub chociaż przypomnieć sobie, jak pachniała, zanim otoczyło ich parne powietrze. Chyba miło.

– Tym też się zajmujesz? Smarowaniem samochodów?

Skinęła na niego, żeby wsiadał.

– Od czasu do czasu wszyscy musimy to robić.

– Prawdziwa demokracja. Nikt się nie skarży?

– Tu nie ma dla takich miejsca – powiedziała, siadając za kierownicą.

Otworzył drzwi pasażera. Jak tylko usadowił się w fotelu, uruchomiła zapłon i zwiększyła obroty silnika.

– A co z kierownictwem? Czy oni też smarują samochody?

– Kierownictwo?

– No... administracja. Szefowie. Nie wiem, jak ich tu nazywacie.

Grainger zamrugła oczami, jakby zapytała ją o poskramiaczy lwów lub o kłownów.

– Tu nie ma kierowników – powiedziała. Wrzuciła bieg i ruszyła. – Wszyscy dzielimy się obowiązkami, sami wiemy, co mamy robić. Jeśli są jakieś różnice zdań, głosujemy. Najczęściej po prostu stosujemy się do wytycznychUSIC.

– Brzmi zbyt pięknie, by było prawdziwe.

– Zbyt pięknie, by było prawdziwe? – Potrząsnęła głową. – Bez obrazy, ale coś takiego można powiedzieć o religii, a nie o prostym grafiku naprawy samochodów.

Zręcznie powiedziane, ale ton jej głosu wydał mu się podejrzany. Chyba nie wierzyła w to, co mówiła. Peter był wyczulony na takie zachowania, potrafił wyczuć zwątpienie pod pozorną brawurą.

– Ale musi być ktoś – nie ustępował – kto jest odpowiedzialny za całość projektu.

– Jasne – odparła. Samochód zwiększył prędkość i światła budynków szybko znikwały w mroku. – Są tacy, ale daleko stąd. Nie możemy liczyć, że będą prowadzić nas za rączkę, prawda?

Jechali w ciemności w kierunku niewidzialnego horyzontu i pałaszowali chleb z rodzynekami. Grainger położyła spory świeży bochenek pomiędzy siedzeniami, opierając go o drążek zmiany biegów. Brali po kolei, kromka po kromce.

– Bardzo dobry – ocenił.

– Tutejszy – powiedziała z nutką dumy.

– Rodzynki też?

– Nie, rodzynki nie. Ani jajka. Ale mąka, tłuszcz, słodzik i soda oczyszczona tak. Mamy tu piekarnię.

– To świetnie. – Przeżuł kolejny kęs i przełknął. Piętnaście minut temu przekroczyli granicę bazy i nic szczególnego jeszcze się nie wydarzyło. W promieniach reflektorów niewiele było widać, a stanowiły jedyne źródło światła w całej okolicy. Nie pierwszy już raz Peter uzmysłowił sobie, że przez większą część życia ludzie uwięzieni są na malutkich skrawkach przestrzeni wykrojonych przez blask elektrycznych żarówek, ślepi na wszystko, co znajduje się poza nim.

– Kiedy wzejdzie słońce? – zapytał.

– Mniej więcej za trzy, cztery godziny. A może za dwie, nie jestem pewna, nie powołuj się na mnie. To się będzie działo stopniowo, nie nagle.

Jechali cały czas prosto, przez niezagospodarowane, nieuprawne tereny. Nie było drogi ani traktu, żadnego śladu, że ktoś jechał lub siedł tu przed nimi, chociaż Grainger zapewniła go, że regularnie przemierza tę trasę. Przy braku jezdni i latarni czasami trudno było uwierzyć, że są w ruchu, pomimo delikatnych wibracji podwozia samochodu. Widok we wszystkich kierunkach był taki sam i Grainger zerkała od czasu do czasu na umieszczony na desce rozdzielczej komputerowy system nawigacyjny, który ostrzegał ją przed zboczeniem z kursu.

Biorąc pod uwagę klimat, krajobraz był zadziwiająco ubogi, z tego, co Peter mógł dostrzec w ciemnościach. Ziemia miała kolor ciemnej czekolady i była mocno ubita, tak że koła toczyły się gładko, nie powodując większych wstrząsów zawieszenia. Gdziekolwiek grunt był upstrzony plamkami białych grzybów i zielonkawymi smugami przypominającymi mech. Żadnych drzew, krzaków, ani nawet trawy. Ciemny wilgotny step.

Wziął kolejną kromkę chleba z rodzynekami. Nie smakował mu już tak

bardzo, ale Peter nadal był głodny.

– Nigdy bym nie pomyślał – zauważył – że jajka przetrwają wstrząs Skoku. Ja sam czułem się po nim jak jajecznicą.

– Proszek jajeczny – powiedziała Grainger. – Używamy proszku.

– No jasne.

Przez boczną szybę zauważył na pustym niebie pojedynczy wir deszczu. Składający się z migoczących kropli okrąg wielkości diabelskiego młyna przetaczał się po horyzoncie. Poruszał się po innym torze, więc Grainger musiałaby skrócić, żeby przez niego przejechać. Zastanowił się, czy jej o to nie poprosić. Mogliby to zrobić po prostu dla zabawy, jak dzieci, które gonią za wodą rozpylaną przez ogrodowy zraszacz. Ale Grainger była zbyt skupiona na nawigacji, wpatrywała się w przestrzeń bez drogi, zaciskając obie dłonie na kierownicy. Wirujący krąg błysnął intensywniej omieciony światłem reflektorów, a potem zszarzał i zniknął w ciemnościach, jakby pochłonięty przez niewidzialny kilwater.

– No więc – zaczął Peter – powiedz mi, co wiesz.

– O czym? – Natychmiast stała się czujna.

– O ludziach, do których jedziemy.

– To nie są ludzie.

– Cóż... – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Mam pomysł, Grainger. Może będziemy używać terminu „ludzie” w jego szerszym znaczeniu, obejmującym także tutejszych mieszkańców? Etymologia tego słowa nie jest do końca jasna i może oznaczać różne rzeczy. Oczywiście moglibyśmy mówić „stworzenia”, ale budzi to pewne wątpliwości. Mnie osobiście bardzo się to słowo podoba. „Stworzenie” jako istota stworzona, jak łacińska „kreatura”. Bo wszyscy zostaliśmy stworzeni, prawda? Niestety, to słowo przez wieki straciło pozytywne znaczenie. Większości kojarzy się ze zwierzętami, jeżeli nie z czymś gorszym, potworami na przykład. Przy okazji, „zwierzę” to także piękna nazwa, zawiera w sobie rdzeń „wiara”, czyli to, co dla nas najważniejsze.

W kabinie zapanowała cisza. Grainger prowadziła, wciąż skupiona na świetle reflektorów. Po mniej więcej trzydziestu sekundach, które w tych okolicznościach ciągnęły się całą wieczność, powiedziała:

– Miło wiedzieć, że nie jesteś nawiedzonym bożym prostaczkiem z jakiegoś zadupia.

– Nigdy tak nie twierdziłem.

Spojrzała na niego i odwzajemniła jego uśmiech.

– Powiedz mi, Peter, co sprawiło, że zdecydowałeś się tu przyjechać i robić właśnie to?

– Bóg.

– Wysłał ci mejla?

– Jasne. – Uśmiechnął się szerzej. – Budzisz się rano i sprawdzasz skrzynkę w swoim sercu. Czasami znajdujesz wiadomość.

– Brzmi dość ckliwie.

Przestał się uśmiechać. Nie dlatego, że poczuł się urażony, ale rozmowa zaczynała robić się poważna.

– Prawda często jest cikliwa, ale staramy się o niej mówić w sposób wyrafinowany. Bo się wstydzimy, chcemy prostej prawdy w skomplikowanym przebraniu. Językowe udukiwienia są po to, żeby ludzie, którzy mają szansę spojrzeć w obnażone umysły i serca, nie mówili „ale obciach”.

– Obciach? – Uniosła brwi.

– Mówimy tak na coś banalnego i trywialnego albo jak coś jest nudne i fałszywe. Kaszana. Ściema.

– No, no. Nie wiedziałam, że na studiach teologicznych uczą takich słów.

Peter napił się wody z butelki.

– Nie studiowałem teologii. Skończyłem Wyższą Szkołę Chłania i Ćpania. Zrobiłem dyplom z Aranżacji Przestrzennej Wnętrz Muszli Klozetowych i, hm... ze Znajomości Poczekałni Pogotowia Ratunkowego.

– A potem znalazłeś Boga?

– Potem znalazłem kobietę o imieniu Beatrice. Zakochaliśmy się w sobie.

– Faceci rzadko mówią o tym w ten sposób.

– To znaczy?

– Mówią „byliśmy razem” albo „reszty możesz się domyślić”, czy coś w tym stylu. Coś, co nie brzmi tak...

– Obciachowo?

– Właśnie.

– Tak, zakochaliśmy się w sobie. Rzuciłem picie i ćpanie, bo chciałem zrobić na niej wrażenie.

– Mam nadzieję, że się udało.

– Tak. – Wziął kolejny łyk, zakręcił butelkę i położył na podłodze przy swoich nogach. – Ale powiedziała mi o tym dopiero po wielu latach. Nałogowcy źle znoszą pochwały. Presja, żeby na nie zasłużyć, często powoduje powrót do alkoholu i narkotyków.

– Jasne.

– Miałaś z tym jakieś doświadczenia?

– Tak.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie teraz. – Poprawiła się na siedzeniu i dodała gazu; jechali trochę szybciej. Rumieniec na jej twarzy sprawił, że wyglądała bardziej kobieco, chociaż podkreślał też białą bliznę na czole. Ściągnęła chustę z głowy i owinęła ją luźno wokół szyi. Miękkie, krótko obcięte kasztanowate włosy powiewały w podmuchach klimatyzacji.

– Twoja dziewczyna musi mieć poukładane w głowie.

– Jest moją żoną. Ma poukładane w głowie, a na pewno jest mądrzejsza ode mnie.

– To dlaczego ty zostałeś wybrany na tę misję?

Peter oparł się wygodniej.

– Zastanawiałem się nad tym. Pewnie Bóg ma inne plany względem Bei. Ona ma coś do zrobienia tam, w domu.

Grainger milczała. Peter wyrzwał przez boczną szybę. Niebo jakby pojaśniało, ale może to było tylko złudzenie. Minęli wyjątkowo dużą kępę grzybopodobnych roślin. Zakołysały się poruszone podmuchem pędzącego samochodu.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Powiedziałam, że nie chcę o tym mówić.

– Chodzi mi o ludzi, do których jedziemy. Co o nich wiesz?

– Są... – Przez kilka chwil z wysiłkiem szukała właściwych słów. – Cenią sobie prywatność.

– Mogłem się tego domyślić. W broszurach i raportach, które dostałem od USIC, nie było nawet jednego zdjęcia. Spodziewałem się, że zobaczę choć takie, na którym wasi szefowie ściskają sobie z nimi dłonie.

Zaśmiała się.

– To by było trudne.

– Dlaczego? Nie mają rąk?

– Jasne, że mają. Po prostu nie lubią, jak się ich dotyka.

– Więc opisz ich.

– To nie takie proste – westchnęła. – Nie jestem w tym dobra. Niedługo ich zobaczymy.

– Postaraj się. – Przymknął oczy. – Byłbym wdzięczny.

– Oni... noszą długie szaty i kaptury. Jak mnisi.

– Więc kształtem przypominają ludzi?

– Chyba tak. Trudno powiedzieć.

– Ale mają dwoje ramion, parę nóg, tułów...

– Jasne.

Potrząsnął głową.

– To mnie zadziwia, przez cały czas. Pamiętałem, że nie wolno przyjmować ludzkiej postaci jako uniwersalnego wzorca. Więc wyobrażałem sobie coś pajakopodobnego albo oczy na nóżkach lub gigantyczne łyse oposy...

– Gigantyczne łyse oposy? – Uśmiech rozjaśnił jej twarz. – Piękne, jak z science fiction.

– Ale dlaczego przy tylu możliwych formach istnienia mieliby być podobni do ludzi? Czy właśnie to nie jest prawdziwa science fiction, Grainger?

– Chyba tak. A może religia. Czy Bóg nie stworzył mężczyzny na swoje podobieństwo?

– Nie użyłbym słowa „mężczyzna”. Po hebrajsku to *ha-adam* i będę się przy tym upierał, określa zarówno rodzaj męski, jak i żeński.

– Miło to słyszeć – powiedziała ze śmiertelną powagą.

Znów jechali przez kilka minut w milczeniu. Peter był pewien, że horyzont pojaśniał. Delikatna świetlista mgiełka odmieniała barwy pogranicza nieba i ziemi, seledyn stykający się z czernią przeistaczał się w zieleń przylegającą do

brązu. Wpatrując się w to zbyt długo, traciło się pewność, czy nie było to tylko złudzenie optyczne, halucynacja, żałosna tęsknota za końcem nocy.

Wewnątrz tej niedookreślonej poświaty była... Tak, na horyzoncie widać było coś jeszcze, jakieś sterczące kontury. Góry? Skały? Budynki? Osada? Miasto? Grainger mówiła, że „osada” znajduje się w odległości pięćdziesięciu mil. Na pewno do tej pory przebyli już połowę drogi.

– Czy mają płęć? – zapytał w końcu.

– Kto?

– Ludzie, do których jedziemy.

– Dlaczego nie powiesz wprost: obcy? – Była wyraźnie zniecierpliwiona.

– Bo to my jesteśmy obcymi.

Roześmiała się głośno.

– Bosko! Politycznie poprawny misjonarz! Wybacz, ale to kompletne pomieszanie pojęć.

– Wybaczam, Grainger. – Zamrugął. – Ale w moim stosunku do nich nie ma nic sprzecznego. Bóg kocha wszystkie swoje stworzenia.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Mam inne doświadczenia – powiedziała.

W samochodzie znów zapadła cisza. Peter zastanawiał się, czy ma dalej naciskać. Uznał, że nie. Nie w ten sposób, jeszcze nie teraz.

– No więc – podjął łagodnie – czy mają płęć?

– Nie mam pojęcia – odparła Grainger oschłym, rzeczowym tonem. – Będziesz musiał zajrzeć im pod ubrania.

Przez kilkanaście minut nie zamienili ani słowa. Przylepka – ostatni kawałek chleba z rodzynkami – zupełnie wyschła. Świetlista mgiełka na horyzoncie stawała się coraz jaśniejsza. Tajemnicze kontury przed nimi to z pewnością jakieś budowle, ale było ciągle zbyt ciemno i Peter nie mógł rozpoznać kształtów i rozróżnić szczegółów.

W końcu się odezwał:

– Muszę zrobić siku.

– W porządku – powiedziała Grainger. Zwolniła i po chwili zatrzymała samochód. Na desce rozdzielczej znajdował się elektroniczny wskaźnik pokazujący zużycie paliwa. Diody na tarczy zamigotały i wyświetliły jakiś abstrakcyjny symbol.

Peter otworzył drzwi. Na zewnątrz natychmiast otoczyło go wilgotne szmerzące powietrze. Po spędzeniu tylu godzin w klimatyzowanej bańce samochodu odzwyczaił się od niego. To było miłe, poczuć nagle obecność atmosfery. Choć jednocześnie było w tym coś agresywnego: sposób, w jaki powietrze wciskało się przez rękawy koszuli, muskało oczy i uszy, sprawiało, że pierś pokrywała się wilgocią. Podciągnął diszdaszę i wysikał się na ziemię, tam, gdzie stał, bo w okolicy nie było drzew ani głązów, za którymi mógłby się schować. Grunt był wilgotny, ciemnobrązowy i mocz wsiąkał weń od razu, nie zmieniając jego barwy ani konsystencji.



Usłyszał, jak Grainger otwiera i zamyka drzwi samochodu. By dać jej trochę czasu, zatrzymał się i rozejrzał po okolicy. Rośliny, które brał za grzyby, okazały się kwiatami. Były szarawobiałe, z lekkim odcieniem fioletu i zdawały się świecić w mroku. Rosły w niewielkich regularnych kępkach. Nie można było rozróżnić kwiatów, liści i łodyg, całą roślinę pokrywało coś w rodzaju futrzanej skórki, cienkiej, nieomal przezroczystej, jak uszy małego kotka. Najwyraźniej w tej części planety nie było innych roślin, a może po prostu przybył tu w nieodpowiedniej porze roku.

Grainger trzasnęła drzwiami. Odwrócił się i dołączył do niej. Kiedy wsiadł, wciskała właśnie tekturowe pudełko jednorazowych chusteczek do skrytki pod deską rozdzielczą.

– Okej – powiedziała. – Mamy przed sobą ostatnie mile.

Zamknął drzwi i klimatyzacja natychmiast przywróciła w kabinie właściwy mikroklimat. Peter usadowił się na fotelu i zadygotał, kiedy uwięziona pod diszdaszą porcja balsamicznego powietrza Oazy prześlizgnęła się pomiędzy łopatkami i wy dostała przez kołnierz.

– Muszę przyznać, że zbudowaliście lądowisko i bazę w odpowiedniej odległości – powiedział. – Ludzie, którzy planowali lotnisko w Londynie, nie przejmowali się tak bardzo pobliskimi mieszkańcami.

Grainger odkręciła butelkę z wodą, wzięła duży łyk i zakaszła. Kropelki płynu spłynęły jej po brodzie; wytarła je końcem chustki.

– Właściwie... – Odchrząknęła. – Właściwie, kiedy zbudowaliśmy bazę, tutejsi... hm, mieszkańcy żyli zaledwie o dwie mile od nas. Potem przeprowadzili się, zabrali wszystko ze sobą. Dosłownie wszystko. Kilku naszych oglądało starą osadę, kiedy już się wynieśli, mieli nadzieję, że dowiedzą się czegoś z pozostałości. Ale wszystko było wyczyszczone do cna. Zostały tylko szkielety budynków, poza tym nie było tam nawet jednego grzyba. – Zerknęła na wskaźnik na desce rozdzielczej. – Ile czasu zajęło im przejście tych pięćdziesięciu mil?

– Rzeczywiście wygląda na to, że cenią sobie prywatność. Chyba że... – Zawahał się. Chciał w jakiś dyplomatyczny sposób zapytać, czy USIC zrobił coś oburzającego, coś, co mogło ich obrazić. Zanim zdążył zadać pytanie, otrzymał odpowiedź.

– To się stało zupełnie nagle. Po prostu powiedzieli, że się przeprowadzają. Zapytaliśmy, czy robimy coś złego, może jest jakiś problem, który da się naprawić, i wtedy zmienią zdanie. Powiedzieli, że nie, nie ma żadnego problemu.

Grainger zwiększyła obroty silnika, ruszyli.

– Kiedy mówisz „zapytaliśmy”, to pod „my” rozumiesz też siebie?

– Nie, ja nie brałam bezpośrednio udziału w tych negocjacjach.

– Mówisz w ich języku?

– Nie.

– Ani słowa?

– Ani słowa.

– Więc... hm... jak dobrze mówią po angielsku? Próbowałem się tego dowiedzieć przed przyjazdem, ale nie dostałem jasnej odpowiedzi.

– Nie ma jasnej odpowiedzi. Niektórzy z nich... może większość z nich, nie...

– Urwała i zagryzła wargi. – Posłuchaj, to może zabrzmieć niedobrze, ale to nie wynika ze złych intencji. Chodzi o to, że nie wiemy, ilu ich jest. Częściowo dlatego, że nie lubią się pokazywać, a my nie potrafimy ich odróżnić... To nie przez brak szacunku, po prostu nie umiemy. Jest kilkoro osobników, z którymi mieliśmy styczność, może z tuzin. A może to pięciu lub sześciu tych samych gości zmieniających stroje, nie wiemy. Mówią trochę po angielsku, niewiele, ale wystarczy.

– Kto ich nauczył?

– Myślę, że po prostu podłapali trochę słów i zwrotów, zresztą nie wiem. – Zerknęła we wsteczne lustro, jakby wokół panował gęsty ruch, który przeszkadzał jej w bezpiecznym prowadzeniu. – Musiałbyś spytać Tartaglione. Gdyby nadal był z nami.

– Słucham?

– Tartaglione był lingwistą, przyjechał tutaj studiować ich język. Miał zamiar napisać słownik czy coś takiego. Ale, hm, zniknął.

Peter przez kilka chwil zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– W porządku – powiedział. – Serwujesz mi informacje w malutkich porcjach i gdybym dostatecznie długo...

Znów westchnęła poirytowana.

– Powiedziałam ci większość tego, co wiem, za pierwszym razem, kiedy odprowadzałam cię ze statku na kwaterę.

To go zaskoczyło. Starał się przypomnieć sobie ich spotkanie pierwszego dnia. Słowa ulotniły się, pamiętał tylko mgliście jej postać idącą obok niego.

– Wybacz mi, byłem bardzo zmęczony.

– Wybaczam.

Jechali dalej. Kilkaset metrów przed nimi kolejny wir deszczu przetaczał się po ziemi; przypominał gimnastyka robiącego gwiazdę.

– Czy możemy przez to przejechać? – zapytał Peter.

– Jasne.

Skręciła lekko i wpadli w lśniące kropelki wody, które otoczyły ich natychmiast, rozświetlając pojazd jak choinkę.

– Dość psychodeliczne, co? – rzuciła Grainger z kamienną twarzą. Włączyła wycieraczki.

– Piękne.

Jeszcze kilka minut jazdy i kontury na horyzoncie jednoznacznie przybrały kształty budynków. Nie było w nich niczego wymyślnego ani imponującego. Zwykłe prostokątne klocki, jak brytyjskie bloki mieszkalne z tanimi praktycznymi mieszkaniami. Miały niewiele wspólnego z diamentowymi iglicami fantastycznego nieziemskiego miasta.

– Jak oni sami siebie nazywają? – zapytał Peter.

– Nie mam pojęcia – odparła Grainger. – Pewnie i tak nie dalibyśmy rady tego wymówić.

– Więc kto nazwał to miejsce Oazą?

– Mała dziewczynka z Oskaloosy w Iowa.

– Żartujesz?

Rzuciła mu speszzone spojrzenie.

– Nie słyszałeś o tym? To podobno jedyna rzecz, którą przeciętni ludzie wiedzą o tym miejscu. W czasopismach były artykuły o tej dziewczynce, pokazali ją w telewizji...

– Nie czytam czasopism i nie mam telewizora.

Tym razem to ona spytała:

– Żartujesz?

Uśmiechnął się.

– Nie żartuję. Pewnego dnia dostałem wiadomość od Pana. Powiedział: „Pozbądź się telewizora, Peter. To taka strata czasu”. I tak zrobiłem.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem, jak powinnam cię traktować.

– Zwyczajnie. Zupełnie normalnie. Wracając do tej małej dziewczynki z...

– Oskaloosy. Wygrała konkurs „Nazwij Nowy Świat”. Naprawdę jestem zaskoczona, że o tym nie słyszałeś. Były setki tysięcy propozycji, w większości koszmarnych, jakby zgłaszali je sami popaprańcy. Personel USIC z budynku, gdzie pracowałam, miał swoją wewnętrzną listę najgorszych nazw. Każdego tygodnia pojawiał się kolejny faworyt. Skończyło się na tym, że użyliśmy ich w naszym własnym konkursie na nazwę pakamery dla dozorczy. Nuvo Opportunus, to było dobre. Syjon II, Atlanto i Arnold – też niezłe, prawda? I jeszcze Pychota, no i Einsteinia. Nie pamiętam reszty. A, prawda, jeszcze były Odpoczynek Podróżnika, Nowa Planeta, Łono, Hendrix i Elvis. Ciągłe dosyłali nowe.

– A ta dziewczynka?

– Chyba miała po prostu szczęście. Oaza, setki osób musiały wpaść na tę nazwę. Wygrała pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Rodzina ich potrzebowała, bo matka właśnie straciła pracę, a u ojca zdiagnozowano jakąś rzadką chorobę.

– I jak skończyła się ta historia?

– Tak, jak można było się spodziewać. Ojciec zmarł, matka opowiadała o tym w programach telewizyjnych i została alkoholiczką. Potem media przestały się tym interesować i nie wiadomo, co było dalej.

– Możesz sobie przypomnieć, jak ta dziewczynka miała na imię? Chciałbym się za nią pomodlić.

Grainger z irytacją zacisnęła dłonie na kierownicy i przewróciła oczami.

– Błagam. Miliony Amerykanów modliły się za nią, a jej życie i tak skończyło się w szambie.

Umilkł i patrzył nieruchomo przed siebie. Jechali bez słowa przez mniej

więcej czterdzieści sekund.

– Coretta – powiedziała wreszcie.

– Dzięki.

Peter starał się wyobrazić sobie Corettę, żeby nie była tylko imieniem, kiedy będzie się za nią modlił. Jakakolwiek twarz będzie lepsza niż żadna. Pomyślał o dzieciach, które znał, tych z jego kościoła, ale te, które przywoływał w pamięci, były albo za duże, albo za małe, albo nie były dziewczynkami. Zresztą w swoim zgromadzeniu miał niewiele do czynienia z najmłodszymi. Podczas kazań Bea zabierała je do innego pomieszczenia, gdzie mogły się bawić. W trakcie nabożeństwa nie dawały o sobie zapomnieć. Ściany były cienkie i gdy dla większego efektu zawieszał głos pomiędzy frazami, ciszę zakłócał śmiech lub fragmenty piosenek, a nawet tupot małych stóp. Ale osobiście nie znał bliżej żadnego dziecka.

– Ta Coretta – zaryzykował, wiedząc, że wystawia Grainger na próbę – jest biała czy czarna? – Jedno dziecko przypomniało mu się wyraźniej. Córka tej nowej pary z Somalii, pyskata dziewczynka, zawsze ubrana jak miniaturowa piękność z amerykańskiego Południa... Jak miała na imię? Lulu, urocze stworzenie.

– Biała – powiedziała Grainger. – Blondynka albo może ruda, nie pamiętam. To było dawno temu i teraz nie można tego sprawdzić.

– Nie można jej zobaczyć?

– Zobaczyć? – Zamrugła oczami.

– Na przykład w komputerze? – Już w chwili, kiedy to mówił, zrozumiał, że palnął głupstwo. Oaza leżała poza zasięgiem infostrady. Tu nie było sieci internetowej, stron przepelnionych smakowitymi kąskami bzdurnych ciekawostek, tu nie działały komercyjne wyszukiwarki oferujące dostęp do milionów Oskaloos i Corett. Jeśli ktoś chciał się dowiedzieć czegoś, czego nie było w rzeczach, które zabrał ze sobą – książkach, dyskach, pendrive'ach, starych numerach miesięcznika „Hydraulik” – był bez szans.

– Przepraszam – rzucił. – Nie myśle zbyt jasno.

– To sprawa tutejszej atmosfery – powiedziała. – Nie znoszę tego uczucia, kiedy się we mnie wciska. Czuję to nawet głęboko w uszach, bez przerwy. Czasami po prostu chce się... – Nie dokończyła. Westchnęła i wypuściła powietrze, zdmuchując z czoła wilgotny kosmyk włosów. – Nie ma sensu rozmawiać o tym z naszymi ludźmi. Przyzwyczaili się, nie sprawia im to kłopotu, nawet już tego nie zauważają. Może nawet im się to podoba.

– A może nie znoszą tego, ale nie chcą się skarżyć.

Jej rysy stwardniały.

– W porządku, rozumiem.

Peter jęknął w duszy. Powinien przewidzieć, jakie wrażenie sprawią jego słowa, i siedzieć cicho. Co się z nim dzisiaj działo? Zazwyczaj był taki taktowny. Czy to wpływ atmosfery, tak jak mówiła Grainger? Zawsze wyobrażał sobie swój mózg jako coś w pełni zamkniętego, ukrytego bezpiecznie

pod osłoną czaszki, ale może w tym dziwnym nowym środowisku pieczęć nie była tak szczelna i przepuszczała zdradzieckie opary. Wytarł pot z powiek i spróbował w pełni się skoncentrować. Patrząc przed siebie przez brudną szybę. W miarę zbliżania się do celu podróży grunt, po którym jechali, stał się jakby kruchy i mniej stabilny. Częsteczki lepkiej ziemi wyrzucane przez opony otaczały pojazd chmurą wilgotnych drobinek. Widok tubylczego osiedla zdawał się ponury i mało zachęcający.

Nagle Peter uświadomił sobie ogrom stojącego przed nim wyzwania. Do tej chwili zajmował się przede wszystkim sobą, swoją zdolnością przetrwania. Wytrzymać podróż, dojść do siebie po Skoku, przyzwyczać się do dziwnego nowego powietrza i wstrząsu wywołanego oddaleniem od Bei. Ale przecież chodziło o coś znacznie większego. Skala nieznanego pozostawała niezmienna bez względu na to, czy czuł się dobrze, czy źle. Zbliżał się do litej ściany, za którą było coś obcego, istniejącego niezależnie od tego, w jakim on jest nastroju – przymulony czy rześki, pełen zapachu czy znudzony.

Jak zwykle, gdy potrzebował wsparcia, przyszedł mu na myśl Psalm 139. Ale dzisiaj wspomnienie o Boskiej wszechwiedzy nie przyniosło ulgi, a tylko wzmogło niepokój. „Jak nieocenione są dla mnie myśli Twe, Boże, jak jest ogromna ich ilość! Gdybym je przeliczył, więcej ich niż piasku”<sup>9</sup>. Każda drobina pyłu wzbita przez koła samochodu była jak nowa prawda, której musiał się nauczyć. Absurdalnie wielka liczba prawd, na których pojęcie nie miał ani czasu, ani umiejętności. Nie był Bogiem, a chyba tylko Bóg mógł poradzić sobie z tym, czego należało tu dokonać.

Grainger ponownie włączyła wycieraczki. Przez chwilę nic nie było widać zza rozsmarowanego brudu, ale gdy szyba została oczyszczona, tubylcze osiedle ukazało się ponownie, teraz oświetlone wschodzącym słońcem. To właśnie słońce przyniosło odmianę.

Tak, misja była beznadziejna. Tak, nie był w najwyższej formie. Ale był tutaj, za chwilę miał poznać nowy rodzaj istot, a spotkanie wyznaczył mu sam Bóg. Cokolwiek miało się zdarzyć, na pewno będzie bezcenne i niezwykle. Jego całe życie – rozumiał to teraz, kiedy wyłoniła się przed nim fasada nieznanego miasta, za którą skrywały się niewyobrażalne cuda – jego całe życie prowadziło go właśnie tutaj.

## Zatwierdzone, przesłane

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Grainger.

Czasami stwierdzenie czegoś tak cholernie oczywistego jest najlepszą rzeczą, jaką można zrobić. Trzeba dać życiu uroczysty znak, że może kontynuować.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Hm... tak – odparł. Wydawało mu się, że lekko kołysze się na fotelu. Zawroty głowy, które odczuwał w bazie, wróciły. – Prawdopodobnie jestem za bardzo podniecony. W końcu to mój pierwszy raz.

Posłała mu spojrzenie, które dobrze znał. Jako pastor widywał je na tysiącach twarzy, przez całe lata swej pracy. Mówiło: „Nie ma się czym podniecać, i tak czeka cię rozczarowanie”. Będzie musiał coś zrobić z tym jej spojrzeniem, jeśli tylko da radę. Ale nie teraz.

Tymczasem musiał przyznać, że otoczenie nie sprawia najlepszego wrażenia. Oazjańską osadę trudno było nazwać miastem. Bardziej przypominała przedmieście wzniesione gdzieś na pustkowiu. Nie było tradycyjnych ulic, chodników, znaków, pojazdów ani – pomimo półmroku i głębokich cieni przedświtów – latarni czy jakichkolwiek śladów światła elektrycznego lub ognia. Po prostu grupa budynków postawiona na gołej ziemi. Ile było tu mieszkań? Trudno zgadnąć. Może pięćset, może więcej. Ciąg chaotycznie rozrzuconych różnej wielkości sześcianów, od parterowych po trzypiętrowe, wszystkie z płaskimi dachami. Budynki były z cegieł zrobionych prawdopodobnie z gliny wchodzącej w skład tutejszego gruntu, ale wypalonych na karmelowy brąz. Były gładkie jak marmur. Nigdzie żywego ducha, wszystkie drzwi i okna pozamykane – jeśli można w ogóle użyć tego słowa, bo Peter widział tylko otwory w ścianach przesłonięte zasłonami z paciorków, sznurami kryształowych koralików przypominających ekstrawagancką biżuterię. Kołysały się delikatnie, poruszane podmuchami powietrza. Ale nie było nikogo, kto próbowałby rozchylić te zasłony, nikogo, kto wyszedłby na zewnątrz.

Grainger zaparkowała pojazd przed jednym z budynków. Był podobny do innych, wyróżniała go tylko namalowana na ścianie biała gwiazda. Nadmiar farby na dolnym ramieniu spłynął, tworząc zaschniętą strużkę. Wysiedli i powietrze natychmiast oblepiło ich ciała. Grainger owinęła twarz chustą, zakrywając usta i nos, jakby uważała, że atmosfera planety jest skażona. Z kieszeni spodni wyjęła metalowy przedmiot, który Peter uznał za broń. Skierowała go w stronę samochodu i nacisnęła dwukrotnie spust. Silnik zamilkł i otworzyła się tylna klapa.

Kiedy ucichł dźwięk pojazdu, brzmienia oazjańskiej sadyby wypełniły przestrzeń niczym odgłosy pierwotnej, dziewiczej przyrody. Szmer wody

płynącej z niewidzialnego źródła, stłumione pobrzękiwania i stukoty nasuwające skojarzenia z codziennymi pracami i domowymi przedmiotami. Odległe popiskiwanie i skrzeczenie, które mogły wydawać ptaki, dzieci lub maszyny. I gdzieś bliżej niezrozumiały szept głosów, delikatny i rozproszony, wyływający z budynków jak brzęczenie z ula. Pomimo pozorów to miejsce nie było miastem duchów.

– Co zrobimy, powiemy po prostu dzień dobry? – zapytał Peter.

– Wiedzą, że tu jesteśmy. Dlatego się schowali. – W jej głosie, stłumionym przez chustę, słychać było napięcie. Skrzyżowała ramiona i dojrzał ciemne plamy potu pod pachami chałatu.

– Ile razy tu byłaś?

– Mnóstwo. Dostarczam im lekarstwa.

– Żartujesz.

– Jestem farmaceutką.

– Nie wiedziałem.

Westchnęła.

– Wygląda na to, że niepotrzebnie zdzieralam gardło, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie dotarło do ciebie ani jedno słowo, prawda? Moja wielka mowa powitalna, mój szczegółowy opis, w jaki sposób można dostać lekarstwa z apteki.

– Wybacz, musiałem mieć kompletnie zapętlony mózg.

– Niektórzy tak reagują na Skok.

– Słabeusze?

– Tego nie powiedziałam. No już, chodź tu, miejmy to z głowy. – Ostatnie słowa nie były skierowane do niego. Wpatrywała się w budynek z namalowaną gwiazdą.

– Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Peter oparł się o zderzak samochodu i dokładniej przyjrzał się osiedlu. Budynki, z pozoru prostokątne, były zaokrąglone. Wszystkie cegły miały kształt rombu, zostały gładko wypolerowane i przypominały oszlifowane bryłki szklatego bursztynu. Połączone były czymś w rodzaju plastikowego szczeliwa, niemającego nic wspólnego z jakimkolwiek znanym mu murarskim spoiwem. Nigdzie nie dostrzegł ostrych krawędzi ani niczego szpiczastego czy kanciastego, jakby zmysł estetyczny architekta uformowały wspomnienia z dziecinnych placów zabaw. Jednak budynki nie były infantylne ani prostackie, przeciwnie, cechowała je swoista godność, zostały z pewnością wzniesione solidnie, a ciepłe kolory, na które pomalowano ściany, były... no cóż... były ciepłe. Mimo wszystko Peter nie mógłby stwierdzić, że ogólne wrażenie jest pozytywne. Jeśli Bóg mu pobłogosławi i da mu szansę zbudować tu kościół, postawi go w innym stylu, by się wyróżniał wśród tych przysadzistych domostw. Powinien przynajmniej... Tak, o to chodziło. Wiedział już, dlaczego to miejsce tak go przygnębiało. Nie widać było żadnego starania, aby sięgnąć

ku niebu. Brakowało choćby jednej wieży, baszty czy masztu, nie dostrzegł ani jednego szpiczastego dachu. Och, gdyby mógł zobaczyć choć jedną iglicę!

W umyśle Petera rozbłysła wizja strzelistej wieży kościelnej. Był nią pochłonięty na tyle długo, że nie zauważył poruszenia zasłony z paciorków w najbliższych drzwiach. Kiedy zamrugał i skoncentrował się na otaczającej go rzeczywistości, postać była już na zewnątrz i stała naprzeciw Grainger. Peter miał wrażenie, że to wszystko dzieje się za szybko, brakowało dramatyzmu, który miał towarzyszyć pierwszemu spotkaniu z mieszkańcem Oazy. To powinno się wydarzyć z całym ceremoniałem, nieśpiesznie, w jakimś amfiteatrze lub na szczycie wysokich schodów. Tymczasem spotkanie już się zaczęło, a on przegapił jego początek.

Istota (osoba?) stała wyprostowana. Nie była wysoka, miała może pięć stóp i trzy cale wzrostu, na pewno nie więcej niż pięć stóp i cztery cale. (Zabawne, jak te imperialne miary – cale i mile – uporczywie tkwiły w jego słowniku). Tak czy inaczej, był (była?) delikatnej budowy. Drobne kości, wąskie biodra, niepozorny wygląd. Zupełnie nie przypominał budzącej trwogi postaci, na której spotkanie przygotowywał się Peter. Tak jak mówiła Grainger, istota ubrana była w mnisi habit z kapturem z pastelowiebieskiej tkaniny, zaskakująco przypominającej ręcznik. Szata skrywała prawie całe ciało, a jej skraj opadał na miękkie skórzane buty. Peter nie zauważył wypukłości piersi, więc postanowił – zdając sobie sprawę, że ten wniosek jest mało uprawniony, ale nie chcąc zawracać sobie głowy niewdzięcznymi powtórzeniami „on czy ona?” – myśleć o tej postaci jak o mężczyźnie.

– Cześć – powiedziała Grainger, wyciągając rękę.

W odpowiedzi na ten gest Oazjanin wysunął swoją, ale nie objął dłoni kobiety, tylko delikatnie dotknął jej przegubu koniuszkami palców. Nosił rękawiczki. Pięciopalczaste.

– **py pu...** – odparł. – **Niesposianka.** – Jego głos był miękki i piskliwy, jak u astmatyka. Tam, gdzie powinien wymawiać niektóre zgłoski, zwłaszcza „t”, „s” i „z”, wydawał odgłos, jaki towarzyszy przepoławianiu dojrzałego owocu.

– Mam nadzieję, że to nie jest niemiła niespodzianka – powiedziała Grainger.

– **Mysłę jak py.**

Oazjanin odwrócił się, by spojrzeć na Petera. Przekrzywił lekko głowę i cień rzucany przez kaptur zniknął. Peter, uśpiony przez znajomy kształt pięciopalczastej dłoni i spodziewając się mniej więcej ludzkiej twarzy, wzdrygnął się.

Miał przed sobą coś, co w ogóle nie było twarzą, ale masywnym białoróżowym jądrem orzecha włoskiego. Chociaż nie, bardziej przypominało łożysko z dwoma płodami, trzymiesięcznymi bliźniętami, łysymi i ślepyimi, przytulonymi do siebie głowami i kolanami. Mówiąc ściślej, to właśnie napuchnięte głowy płodów tworzyły rozszczepione czoło Oazjanina. Rachityczne tułowia z wyrazistymi żebrami formowały coś na kształt policzków, patykowate ramionka i pokryte błoną nóżki zlewały się w



mieszaninę półprzezroczystego ciała, które mogło zawierać – chociaż w formie, której Peter nie rozpoznawał – usta, nos i oczy.

Oczywiście nie było tam żadnych płodów, tak po prostu wyglądała twarz – zwyczajne oblicze Oazjanina. Pomimo wielu prób Peterowi nie udało się jednak zobaczyć w niej czegoś innego, nie potrafił jej opisać właściwymi dla niej pojęciami. Mógł tylko porównywać ją z czymś, co znał. Widział groteskową parę płodów częściowo okrytych kapturem i osadzonych na ramionach Oazjanina. Gdyby nie pozwolił sobie na taką paralełę, prawdopodobnie już zawsze musiałby gapić się na nią oniemiały i bez końca przeżywać początkowy wstrząs. Był oszołomiony, kręciło mu się w głowie, żołądek podchodził mu do gardła i ledwo trzymał się na nogach. Uratował się dopiero tym trafnym porównaniem.

– **py** i ja – powiedział Oazjanin. – Nigdy do **peraz**. – Gdy mówił, pionowa szczelina pośrodku twarzy skręcała się lekko, jakby płody pocierały się kolanami. Peter uśmiechnął się, ale nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Chodzi mu o to, że nigdy wcześniej cię nie spotkał – wyjaśniła Grainger. – Innymi słowy, mówi dzień dobry.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem Peter.

Oazjanin skinął głową.

– **py** **Peper**. Ja pamię**am**. – Odwrócił się do Grainger. – **Ma**s lekar**spwa**?

– Trochę.

– Mało?

– Pokażę ci – odparła Grainger i podeszła do otwartej tylnej klapy samochodu. Zaczęła szperać w stosie różnych przedmiotów – butelek z wodą, rolek papieru toaletowego, płóciennych toreb, narzędzi, kawałków brezentu – i wyciągnęła plastikowy pojemnik, nie większy niż pudełko śniadaniowe ucznia. Oazjanin śledził jej każdy ruch, chociaż Peter ciągle nie mógł się zorientować, która część twarzy była oczami tego czegoś. „Przepraszam, pomyślał, jego oczami”.

– To wszystko, co mogłam znaleźć w naszej aptece – powiedziała Grainger. – Dzisiaj to nie jest oficjalna dostawa, rozumiesz? Jesteśmy tu z innego powodu, ale nie chciałam przyjeżdżać z pustymi rękami. Więc to jest coś ekstra, prezent. – Podała mu pojemnik.

– **po** mało – powiedział Oazjanin. – Ale my **sadowoleni**.

Zapadła chwila ciszy. Oazjanin stał, trzymając pojemnik, a Grainger i Peter patrzyli na niego. Promień słońca zamigotał na dachu samochodu.

– Tak więc... hm... jak się macie? – odezwała się Grainger. Kropelki potu błyskały na jej policzkach i brwiach.

– Ja **sam**? – zapytał Oazjanin. – Cy ja i my **ra****s**em? – Wykonał lekki ruch dłonią, wskazując osiedle.

– Wy wszyscy.

Wydawało się, że Oazjanin zamyślił się głęboko. Wreszcie powiedział:

– **Dob****se**.

Kolejna chwila ciszy.

– Czy ktoś jeszcze wyjdzie dzisiaj? – chciała wiedzieć Grainger. – Żeby spotkać się z nami?

I znów Oazjanin rozważał długo odpowiedź, jakby pytanie było bardzo skomplikowane.

– Nie – zdecydował. – **pylko** ja **sam**. – Wykonał uroczysty gest, jakby przepraszając Petera i Grainger za ujemny bilans pomiędzy gośćmi a komitetem powitalnym, za stosunek dwa do jednego.

– Peter jest specjalnym gościem USIC – powiedziała Grainger. – Jest... jest chrześcijańskim misjonarzem. Chce... z wami zamieszkać. – Spojrzała niepewnie na Petera, szukając potwierdzenia. – Jeśli dobrze go zrozumiałam.

– Tak – powiedział radośnie Peter. Uznał, że lśniące grzybopodobne coś mniej więcej w połowie szczeliny biegnącej przez środek twarzy jest okiem Oazjanina. Spojrzał w nie, starając się, by jego wzrok promieniał życzliwością. – Mam dla was dobrą wiadomość. Najlepszą, jaką kiedykolwiek słyszeliście.

Oazjanin przechylił głowę. Dwa płody (nie, nie płody, błagam! – pomyślał Peter – jego policzki i czoło) zaróżowiły się, ujawniając tuż pod skórą pajęczą sieć naczyń krwionośnych. Jego głos zabrzmiał tym razem jeszcze bardziej astmatycznie.

– **słowo** Boga?

Te dwa słowa zawisły przez chwilę w szemrzącym powietrzu, zanim ich sens dotarł do Petera. Nie mógł uwierzyć, że dobrze usłyszał. Wtedy spostrzegł dłonie Oazjanina złożone jak do modlitwy.

– Tak! – wykrzyknął, oszołomiony euforią. – Chwała Jezusowi!

Oazjanin ponownie zwrócił się do Grainger. Dłonie w rękawiczkach ściskające pojemnik drżały.

– Długo cekali my na człowieka **Pepera** – powiedział. – **siękuje**, Grainger.

I bez dalszych wyjaśnień pośpieszył do drzwi. Krystaliczne paciorki zakołysały się, kiedy zniknął w budynku.

– Niech mnie – sapnęła Grainger. Opuściła chustę i wytarła nią twarz. – Nigdy przedtem nie wymówił mojego nazwiska.

Stali tam i czekali około dwudziestu minut. Słońce wznosiło się coraz wyżej, przypominało plasterek jaskrawo rozpalonej pomarańczy lub wielki bąbel lawy unoszący się nad horyzontem. Ściany budynków rzucały poświatę, jakby każda cegła płonęła wewnętrznym światłem.

Wreszcie Oazjanin powrócił. Nadal trzymał plastikowy pojemnik, teraz już pusty. Oddał go Grainger powoli i ostrożnie, wypuściwszy z ręki dopiero wtedy, gdy upewnił się, że kobieta mocno go trzyma.

– **Lekarspwa posły** – powiedział. – Do **wnępsa spragnionych**.

– Przykro mi, że mam tylko tyle – odparła Grainger. – Następnym razem będzie więcej.

Oazjanin skinął głową.

– Cekamy.

Grainger, sztywna i skrępowana, poszła do samochodu, aby wrzucić pojemnik do bagażnika. Kiedy tylko się odwróciła, Oazjanin przysunął się niepostrzeżenie do Petera i zbliżył do niego twarz.

– **Maś księęę?**

– **Księęę?**

– **Księęę siwnych Nowych secy.**

Peter zamrugał, starał się oddychać normalnie. Z bliska poczuł słodką woń wydzielaną przez ciało Oazjanina. Nie był to fetor zgnilizny, ale zapach świeżych owoców.

– Chodzi ci o Biblię? – zapytał.

– Nie wymawiamy imienia. Moc **księgi sabrania**. Płomień daje ciepło... – Z rozpostartymi rękami odegrał pantomimę, jak ogrzewa się przy ogniu, zbliża się za bardzo i parzy.

– Ale chodzi ci o Słowo Boże.

– **słowo Boga, pechnika Jesusa.**

Peter skinął głową, chociaż potrzebował kilku chwil, nim rozszyfrował ostatnie słowo, które wydostało się ze szczeliny w głowie Oazjanina.

– Jezusa – powtórzył zdumiony.

Oazjanin wyciągnął jedną rękę i dotknął głowy Petera koniuszkami palców. Gest był bez wątpienia czuły.

– Modlimy **się do Jesusa i py pu** – powiedział.

Powód, dla którego Grainger do nich nie wracała, stał się teraz oczywisty. Peter spojrział za siebie i zobaczył ją, jak opiera się o pojazd i uważnie przygląda się przedmiotowi, którym zamykała i otwierała bagażnik. W ułamku sekundy, zanim znów popatrzył na Oazjanina, wyczuł z całą intensywnością jej zakłopotanie.

– **Księga? Maś księęę?** – powtórzył Oazjanin.

– Och... nie przy sobie – odpowiedział Peter, zły na siebie, że zostawił swoją Biblię w bazie. – Ale tak, oczywiście. Oczywiście!

Oazjanin złożył ręce w geście zachwyty lub modlitwy, a może jednego i drugiego.

– **Ulga i weśele! Weselny sień. Wracaj sybko, Peper, sybko. Cypaj nam Księęę siwnych Nowych secy, cypaj i cypaj, as srosumiemy.** W nagrodę damy ci... damy ci... – Oazjanin trzął się z wysiłku, szukając właściwych słów, i w końcu rozłożył szeroko ręce, jakby starając się wskazać wszystko, co znajdowało się pod słońcem.

– Tak – powiedział Peter i położył dłoń na jego ramieniu w geście otuchy. – Już wkrótce.

Czoło Oazjanina – czyli bliźniacze głowy płodów – lekko nabrzmiało. Peter uznał, że u tych cudownie nowych ludzi jest to uśmiech.

Peter, najdroższy, pisała Beatrice.

Kocham Cię i mam nadzieję, że masz się dobrze, ale muszę zacząć ten

list od złych wiadomości.

Poczuł się tak, jakby biegł w stronę otwartych drzwi w skrajnej euforii i nagle zderzył się z przezroczystą szybą. Podczas powrotnej podróży do bazy prawie lewitował z podniecenia, to cud, że nie przebił głową dachu samochodu. Kochana Beo... chwała Panu... Prosimy o chwilę wytchnienia, a Bóg zsyła nam cud... w taki lub podobny sposób chciał zacząć list do Beatrice, kiedy tylko wróci do pokoju. Jego palce gotowe były do pisania z zawrotną prędkością, pragnął wystrzelić swój zachwyt w kosmiczną przestrzeń, nie bacząc na przypadkowe błędy w tekście.

Na Malediwach wydarzyła się straszna tragedia. Fala tsunami, w samym środku sezonu turystycznego. Miejsce roło się od przyjezdnych, a samych mieszkańców jest tam trzy czwarte miliona. Wiesz, kiedy zdarza się katastrofa, media zazwyczaj mówią o tym, ilu ludzi mogło zginąć. W tym wypadku mówią o tym, ilu ludzi mogło PRZEŻYĆ. To miejsce to teraz jedno ogromne bagnisko pełne ciał. Widzę to na zdjęciach w wiadomościach, ale nie jestem w stanie tego pojąć. Ci wszyscy ludzie, każdy ze swoimi kaprysami, rodzinnymi sekretami, ulubionymi fryzurami etc., zredukowani do czegoś, co wygląda jak wielkie, ciągnące się milami trzęsawisko ludzkiego mięsa.

Malediwy składają się (SKŁADAŁY SIĘ) z wielu wysp, w większości zagrożonych powodzią, więc rząd od lat naciskał, by część mieszkańców przeniosła się na największy, najbezpieczniejszy atol. Przez przypadek na miejscu była ekipa telewizyjna, która kręciła film o kilku wyspiarzach z małego atolu protestujących przeciwko przesiedleniom. Kiedy uderzyło tsunami, kamery były włączone. Oglądałam migawki na swoim telefonie. Nie chce się w to wierzyć. W jednej chwili słychać głos amerykańskiego prezentera, który opowiada coś o gajach papai, a w następnej sekundzie przez ekran przewalają się miliardy ton morskiej wody. Zespoły ratowników uratowały kilkoro Amerykanów, paru turystów i nielicznych krajowców. I oczywiście kamery. To brzmi cynicznie. Myślę, że zrobili, co było w ich mocy.

Nasz kościół rozważa, jak możemy pomóc. Wysyłanie ludzi nie wchodzi w grę. To na nic. Większość wysp została zmieciona z powierzchni oceanu, nad wodą pozostały tylko nieliczne wzniesienia. Nawet największe wyspy pewnie nigdy nie zostaną przywrócone do stanu sprzed katastrofy. Wszystkie zapasy słodkiej wody są zanieczyszczone. Nie ostał się nawet jeden budynek w nienaruszonym stanie. Nie ma gdzie bezpiecznie wylądować, nie można zorganizować szpitala, pochować zmarłych. Helikoptery krążą wokół jak mewy nad plamą ropy naftowej pełną martwych ryb. Na tym etapie możemy tylko modlić się za krewnych ofiar, którzy mieszkają poza krajem. Może za jakiś czas pojawią się uchodźcy.

Przykro mi, że zaczynam w ten sposób. Możesz sobie wyobrazić, że

głowę i serce pełne mam tych obrazów. Co nie znaczy, że nie myślę o Tobie.

Peter oparł się w fotelu i popatrzył na sufit. Światło było nadal włączone, zupełnie niepotrzebnie, zważywszy na wpadające przez okno słońce, które powoli stawało się uciążliwe. Poczł dreszcze. Pod wpływem powietrza z klimatyzatora zrobiło mu się za zimno w wilgotnym ubraniu. Współczuł mieszkańcom Malediwów, ale jednocześnie – co konstatawał z zawstydzieniem – żał mieszał się z całkowicie samolubnym uczuciem zazdrości. Peter uświadomił sobie, że on i Beatrice po raz pierwszy od początku ich znajomości nie przeżywają razem tego samego. W przeszłości wszystkie wydarzenia dotyczyły ich obojga. Awaria elektrowni, nocna wizyta zrozpaczonego przyjaciela czy łomot okiennicy, kiedy próbowali zasnąć. Lub seks.

Brakuje mi Ciebie, pisała Beatrice. Ta sprawa z Malediwami nie przygnębiłaby mnie tak bardzo, gdybyś był ze mną. Opowiedz mi więcej o swojej misji. Czy jest horrendalnie trudna? Pamiętaj, że kiedy wszystko wydaje się niemożliwe, czasem następuje niespodziewany przełom. Ci, którzy uparcie twierdzą, że nie potrzebują ani nie chcą Boga, są tymi, którzy najbardziej Go pragną.

Joshua nadal uprawia swoje gierki. Zupełnie poważnie zastanawiam się, czy nie dodać mu wieczorem do mleka Mickey Finna<sup>10</sup>. Lub nie walnąć go w głowę młotkiem, kiedy znów obudzi mnie o czwartej rano. Jako alternatywę rozważam ułożenie obok siebie w łóżku kukły, Twojej podobizny naturalnej wielkości. Może da się zwieść – ja niestety nie.

Sytuacja z Mirah jest opanowana. Poznałam muzułmańską pracownicę opieki społecznej, Khadiję. Ma kontakty w meczecie w naszej dzielnicy i zna imama Mirah. W zasadzie staramy się przedstawić jej sprawę imamowi jako kwestię ludzkiej przyzwoitości (przemoc ze strony męża, brak szacunku), a nie spór dotyczący religii. Jak sobie możesz wyobrazić, to dość ekstremalna dyplomacja, coś w rodzaju negocjacji pokojowych pomiędzy Syrią a USA. Ale Khadija jest doskonała.

Dostałam wiadomość z USIC, piszą, że z Tobą wszystko w porządku. Skąd mogą wiedzieć? Przypuszczam, że chodzi im o to, że nie uległeś anihilacji. Informację wysłał Alex Grainger. Poznałeś go? Powiedz mu, że napisał z błędem słowo „kooperacja”. A może Amerykanie stosują teraz uproszczoną ortografię? Niezła ze mnie suka, ale do tej pory przez cały dzień byłam bardzo tolerancyjna, słowo! (Mamy nową pacjentkę na oddziale, bardzo trudny przypadek. Rzekomo przenieśli ją do nas z psychiatrika z powodów zdrowotnych, ale myślę, że po prostu chcieli się jej pozbyć). A w ogóle to zdarzają mi się krótkie napady szalonej złości i mam wtedy ochotę po kimś się przejechać. Oczywiście nie robię tego, postanowiłam być miła dla wszystkich, nawet dla Joshuy, kiedy znowu będzie mnie budził o świcie.

Strasznie tęsknię za Tobą, naprawdę. Marzę, żeby spędzić choć kilka chwil w Twoich ramionach (no, może z godzinkę). Pogoda się poprawiła, dziś mamy piękne słońce, ale to wcale nie podnosi mnie na duchu. Poszłam do supermarketu, żeby kupić sobie coś na pocieszenie (wiesz, tiramisu, mus czekoladowy etc.). Okazało się, że mnóstwo osób wpadło na ten sam pomysł. Zabrakło moich ulubionych rzeczy, półki były wymiecione. Musiałam zadowolić się tymi paskudnymi rurkami ze śmietaną z mleka w proszku.

Mam głowę pełną tragedii Malediwów, a żołądek pełen słodczy. Jakie mamy szczęście, my, ludzie Zachodu, w tym naszym bezpiecznym grajdole... Oglądamy w wiadomościach zdjęcia zmarłych obcokrajowców, a potem idziemy na spacer do supermarketu po nasze ulubione smakołyki. Oczywiście pisząc „my”, nie mam na myśli Ciebie. Jesteś tak daleko od tego wszystkiego. I ode mnie.

Nie przejmuj się moją paplaniną, niepotrzebnie użalam się nad sobą. Do jutra mi przejdzie. Napisz o tym, jak Ci idzie. Jestem z Ciebie taka dumna.

Całuję, ściskam (chciałabym!)

Beatrice

PS Chcesz kota?

Kochana Beo, zaczął.

Właściwie nie wiem, co mam napisać. To straszne, co stało się na Malediwach. Tak jak mówisz, skala takiej tragedii jest trudna do wyobrażenia. Będę się za nich modlił.

Napisanie tych kilku krótkich zdań zajęło mu sporo czasu. Nad każdym spędził od trzech do pięciu minut. Łamał sobie głowę nad dodatkowymi słowami, które pozwoliłyby mu przejść z godnością od tej tragedii do jego własnych radosnych wieści. Nie umiał ich znaleźć.

Miałem pierwsze spotkanie z rodzimym mieszkańcem Oazy, kontynuował, ufając, że Bea zrozumie. Wbrew moim obawom są spragnieni Chrystusa. Słyszeli o Biblii. Nie miałem jej wtedy przy sobie - to nauczka, żeby nigdzie się bez niej nie ruszać! Nie wiem, dlaczego jej nie zabrałem. Chyba myślałem, że pierwsza wizyta będzie czymś w rodzaju rekonesansu i spodziewałem się negatywnej reakcji. A przecież Jezus głosi u Jana w rozdziale czwartym „Czyż nie mówicie: «Jeszcze cztery miesiące, a nadejdą żniwa?»». Oto powiadam wam: Podnieście oczy i popatrzcie na pola, jak bieleją na żniwo”<sup>11</sup>.

Nie tak wyobrażałem sobie ich osadę. Nie ma tam żadnych śladów industrializacji, zupełnie jakby przenieść się w średniowiecze, gdzieś na Bliski Wschód (oczywiście architektura jest inna). Zdaje się, że nie mają elektryczności! Leży jakby na końcu świata, daleko od bazy USIC. Nie wydaje mi się, żebym mógł mieszkać tutaj i regularnie ich odwiedzać.

Będę musiał przenieść się tam i zamieszkać wśród Oazjan. I to jak najszybciej. Nie omówiłem jeszcze praktycznej strony tego przedsięwzięcia. (Tak, wiem... szkoda, że nie mam Cię przy sobie. Ale Bóg dobrze wie, że błędzę po omacku). Muszę mieć ufność, a wszystko się ułoży. Wiele wskazuje na to, że moje nadzieje nie okażą się płonne!

Oazjanie – zakładając, że ten, którego spotkałem, jest ich typowym przedstawicielem – są średniego wzrostu i zadziwiająco nas przypominają. Tylko ich twarze są makabryczne. Trudno je opisać, są jak płody. Nie wiadomo, na co patrzeć, kiedy z nimi rozmawiasz. Mówią po angielsku z silnym akcentem. Przynajmniej ten, z którym miałem kontakt. Może tylko on zna angielski. Dlatego moje wstępne założenie, że będę musiał poświęcić kilka miesięcy na naukę ich języka, pozostaje aktualne. Ale mam wrażenie, że Bóg wykonał tu już sporą pracę, większą, niż śmiałem przypuszczać.

W każdym razie wrócę tam tak szybko, jak się da. Chciałem napisać „jutro”, ale skoro tutejszy dzień jest kilka razy dłuższy od naszego, to słowo „jutro” stanowi problem. Muszę się dowiedzieć, jak pracownicy USIC sobie z tym radzą. Jestem pewien, że znaleźli rozwiązanie. Zapytam o to Grainger, jeśli będę pamiętał. Jestem trochę rozkojarzony, pewnie się tego domyślasz. Nie mogę się doczekać, żeby wrócić do osady, osiąść wśród tych niezwykłych ludzi i zaspokoić ich głód Słowa Bożego.

Jaki to zaszczyt móc...

Przestał stukać w klawiaturę w środku zdania „Jaki to zaszczyt móc służyć Panu”. Przypomniał sobie Malediwy, co więcej, zdał sobie sprawę, że w swoim entuzjazmie zapomniał o wszystkim. Bea jest niespokojna, podenerwowana, zupełnie jakby nie była sobą. Całkowite przeciwieństwo jego euforii. Dziwne zderzenie, jakby żałobne pieśni konduktu pogrzebowego zostały zakłócone przez wesołe pohukiwania karnawałowego korowodu. Czytając ponownie pierwszą linijkę listu, zobaczył, jak bardzo powierzchownie potraktował jej cierpienie. W normalnych okolicznościach objąłby ją, przytulił swój policzek do jej włosów i tak wyraziłby swoje uczucia. Ale kiedy pisał, pozostawały mu tylko słowa.

Chciałby dokładnie wyjaśnić, czego doświadczał, kiedy myślał o Malediwach. Ale czuł niewiele, przynajmniej jeśli chodziło o ten archipelag. Odczuwał przede wszystkim żal – a nawet rozgoryczenie – że ta tragedia tak bardzo dotknęła Beatrice właśnie wtedy, kiedy chciał, aby była szczęśliwa, beztroska, by radziła sobie ze wszystkim tak jak zawsze i potrafiła się cieszyć cudownymi wiadomościami o Oazjanach.

Zaburczało mu głośno w żołądku. Nie jadł od czasu powrotnej drogi z osady, kiedy razem z Grainger zjedli wyschnięte resztki chleba z rodzynkami. (Pięć dorców za kromkę, zauważyła z żalem. Nie spytał, kto pokrywa rachunek). Nie rozmawiali o niezwykłej reakcji Oazjanina na przybycie Petera. Zamiast tego

Grainger wyjaśniała mu rutynowe procedury dotyczące prania, domowych urządzeń elektrycznych, wypożyczenia pojazdów i zwyczajów obowiązujących w kantynie. Była rozdrażniona, zapewniała, że mówiła mu już o tym wcześniej, kiedy prowadziła go ze statku. Żartobliwe przeprosiny nie poskutkowały za trzecim razem.

Peter wstał i podszedł do okna. Słońce w kolorze żółtka, nieco zamglone o tej porze dnia, wisiało pośrodku nieba. Było dobrze widoczne z jego kwatery, cztery lub pięć razy większe niż to, pod którym dorastał. Rzucało kręgi złotego światła na bure zabudowania lotniska. Kałuże, pozostałość po nocnej ulewie, powoli wysychały. Mgiełka oparów kołysała się nad ziemią, wznosiła tanecznie i znikwała ponad dachami, jakby kałuże wydmuchiwały ekstrawaganckie kółka dymu.

Powietrze wydobywające się z klimatyzatora było za zimne. Odkrył, że gdy stanie tuż przy oknie i przycisnie ciało do szyby, ciepło promieniujące przez szkło ogrzewa mu ubranie. Będzie musiał zapytać Grainger, jak wyregulować klimatyzację. To był jeden z punktów, których nie zdążyli omówić.

Wrócił do klawiatury, napisał „służyć Panu” i przeszedł do nowego paragrafu.

Nawet ciesząc się z tej cudownej szansy, jaką zesał mi Bóg, czuję ból i żal, że nie mogę Cię przytulić i pocieszyć. Dopiero dziś uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy rozstaliśmy się na dłużej niż parę nocy. Czy nie mogłem przed wyruszeniem w tak daleką podróż najpierw w ramach praktyki pojechać na misję do Manchesteru lub Cardiff?

Myślę, że piękno Oazy zachwyciłoby Cię tak samo jak mnie. Słońce jest ogromne i żółte. Powietrze wiruje bez przerwy i wślizguje się do ubrań. To się może wydawać nieprzyjemne, ale da się do tego przyzwyczaić. Woda jest zielona, a mój mocz pomarańczowy. Wykonuję kawał dobrej roboty, reklamując Ci to miejsce, prawda? Powinienem był odbyć kurs powieściopisania, zanim zgłosiłem się na tę misję. Powinienem nalegać, żeby USIC wysłał nas razem, albo nie jechać wcale.

Może gdyby udało nam się nagiąć ich zasady w tej sprawie, zgodziliby się też na podróż Joshuy? Chociaż nie jestem pewien, jak przeżyłby Skok. Pewnie zmieniłby się w futrzany ocieplacz na imbryk.

Kiepskie dowcipy o kotach. To pewnie mój odpowiednik Twoich rurek z kremem.

Najdroższa, Kocham Cię. Dbaj o siebie. Stosuj się do mądrej rady, którą tak często mi powtarzałaś: nie bądź dla siebie za surowa i nie pozwól, żeby zło przesłoniło Ci dobro. Połączę się z Tobą w modlitwach za krewnych ofiar z Malediwów. A Ty pomódl się ze mną za tutejszych mieszkańców, którzy są tak podekscytowani perspektywą nowego życia w Chrystusie. I jeszcze jedno. W mieście Oskaloosa mieszka pewna dziewczynka, na imię ma Coretta. Jej ojciec niedawno zmarł, a matka



się rozpiła. Pomódl się też za nią, jeśli będziesz pamiętać.

Kocham Cię  
Peter

Przeczytał jeszcze raz swój list, ale nie był w stanie nic w nim poprawić. Nagle zrobiło mu się słabo z głodu i zmęczenia. Nacisnął przycisk. Przez kilka minut kilkaset napisanych przez niego słów drgało na ekranie, jakby nie wiedząc, co zrobić. Przekonał się już, że to normalne zachowanie Sztośu. Za każdym razem przeczekiwał ten etap w napięciu, bojąc się, że coś zawiedzie. Potem jego słowa zniknęły, a na pustym ekranie pojawił się napis: ZATWIERDZONE, PRZESŁANE.

## Weź głęboki oddech i policz do miliona

W świetle dziennym wszystko wyglądało inaczej. Kantyna USIC, która podczas długich godzin ciemności wydawała się upiorna i opustoszała, teraz tętniła radosnym gwarem i przypominała ul. Wschodnia ściana budynku, chociaż zrobiona z przyciemnionego szkła, przepuszczała tyle światła i ciepła, że Peter musiał osłaniać twarz. Całe pomieszczenie zalane było poświatą, która zmieniała ekspresy do kawy w zdobione szlachetnymi kamieniami rzeźby, aluminium krzesła w drogocenny kruszec, stojaki z czasopismami w zigguraty, a ogolone na łyso głowy personelu w lampiony. Zgromadziło się tu około czterdziestu ludzi, którzy jedli, gawędzili, podchodzili do bufetu po dolewkę kawy, przeciągali się w fotelach i gestykulowali przy stołach. Mówili podniesionymi głosami, żeby nie dać się zagłuszyć innym rozmówcom. Większość ubrana była na biało, tak jak Peter, ale nie mieli na piersiach wielkich atramentowych krucyfików. Spostrzegł sporo ciemnych twarzy, w tym także twarz BG, który nie podniósł głowy, kiedy zjawił się Peter. Był zajęty ożywioną rozmową z białą kobietą o męskiej urodzie. Grainger nie było w kantynie.

Peter wmieszał się w tłum. Muzak nadal sączył się z głośników, ale w zgiełku rozmów był ledwie słyszalny. Peter nie potrafił rozróżnić, czy to ten sam dokumentalny program o Patsy Cline, elektroniczne disco czy utwór muzyki klasycznej. Słyszał po prostu dodatkowe dźwięki w ogólnym harmiderze.

– Hej, kaznodziejo! – krzyknął znajomy mężczyzna, który niedawno poczęstował go jagodowym muffinem. Siedział przy tym samym stoliku co ostatniej nocy, ale z innym kumplem – grubym białym facetem. W gruncie rzeczy obaj byli grubi, ważyli chyba dokładnie tyle samo i mieli podobne rysy twarzy. Takie zbiegi okoliczności przypominały, że (nie biorąc pod uwagę odmian pigmentu) wszyscy ludzie należeli do tego samego gatunku.

– Cześć – powiedział Peter, siadając obok nich. Obaj spojrzeli na jego pierś i obejrzelni widniejący tam rysunek. Uznali, że to chyba krzyż, a nie coś, co chcieliby żartobliwie skomentować, i z powrotem podnieśli wzrok.

– Jak leci, stary? – Czarny mężczyzna wyciągnął na powitanie dłoń. Na rękawie koszuli, aż po łokieć, miał wypisane równania matematyczne.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Peter. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ciemnoskórzy ludzie nie mogą zapisywać cyfr na skórze. Każdego dnia można się dowiedzieć czegoś nowego, czegoś, co zaświadcza, jak różnorodne są ludzkie istoty.

– Załatwiłeś sobie wyzerkę? – Czarnoskóry mężczyzna właśnie skończył opróżniać talerz z jakiejś brązowej potrawy polanej sosem. W dłoni trzymał

gigantyczny plastikowy kubek z kawą. Jego towarzysz skinął głową na powitanie i odpakował dużą kanapkę owiniętą rozmoczoną serwetką.

– Nie, ciągle funkcjonuję na tej połówce muffina – powiedział Peter. Mrugał oczami, lekko oszołomiony światłem. – Chociaż to niezupełnie prawda. Zjadłem trochę chleba z rodzynkami.

– Daj sobie spokój z tym chlebem, stary. To PDJ.

– PDJ? – Peter sięgnął do zakamarków pamięci, starając przypomnieć sobie listę akronimów. – Potrawy Dla Jaroszy?

– Podróbka Dobrego Jedzenia.

– Nie bardzo rozumiem.

– To taki nasz żarcik, określamy tak rzeczy, które wyprodukowano tutaj, a nie w domu. Prawdopodobnie zawiera monocykloparafinę albo kwas cykloheksanokarboksyłowy lub inne gówno. – Czarnoskóry mężczyzna uśmiechał się lekko, ale spojrzenie miał poważne. Złożone nazwy chemiczne wypowiadał z taką samą łatwością jak nieprzyzwoite słowa. Peter znów uświadomił sobie, że każdy z członków personelu musi mieć umiejętności i wiedzę, które w pełni uzasadniały koszty ich transportu na Oazę. Każdy oprócz niego.

Czarny mężczyzna napił się kawy, siorbiąc głośno.

– Nigdy nie jesz niczego, co zostało tu wyprodukowane? – zapytał Peter.

– Moje ciało to moja świątynia, kaznodziejo. Trzeba utrzymywać je w czystości. Tak mówi Biblia.

– Biblia mówi wiele rzeczy, Mooney – zauważył jego towarzysz i odgryzł wielki kawał swojej kanapki ociekającej szarym sosem.

Peter omiótł wzrokiem salę i zatrzymał spojrzenie na BG. Podobna do mężczyzny biała kobieta zwijała się ze śmiechu. Żeby nie stracić równowagi, oparła dłoń na kolanie swojego rozmówcy. Muzak przebił się przez gwar rozmów i Peter usłyszał refren broadwayowskiej piosenki. Był to ten rodzaj muzyki, która zawsze kojarzyła mu się z prowincjonalnymi sklepikami z używanymi rzeczami lub kolekcją płyt samotnych starszych mężczyzn.

– Smakuje ci kanapka? – zapytał. – Wygląda całkiem nieźle.

– Pycha – przytaknął mężczyzna. – Bardzo dobra.

– Co to jest?

– Białą kwiat.

– Co to takiego?

– Takie prażone zielsko.

– Mój przyjaciel Roussos – wyjaśnił Mooney – mówi o tutejszych kwiatach. – Zrobił dłonią subtelny gest, naśladując palcami otwierający się kielich kwitnącej rośliny. – Kwiaty Oazy. To chyba jedyna rzecz, jaka tu rośnie...

– Smakuje jak najlepsze pastrami, w życiu nie jadłem tak smacznego – zapewnił Roussos.

– Wszystko da się z nich zrobić – przytaknął Mooney. – Zależy, jak je przyprawisz, a możesz uzyskać każdy smak. Kurczak, krówki, befsztyk, banany,

słodka kukurydza, grzyby. Dodajesz wody i masz zupę. Ugotujesz, to wyjdzie galaretka. Możesz to zemleć, upiec i masz chleb. Są uniwersalne.

– Dobrze je reklamujesz jak na kogoś, kto ich nie je – powiedział Peter.

– Jasne, że je – odezwał się Roussos. – Uwielbia banany smażone w cieście.

– Są w porządku – przyznał niechętnie Mooney. – Ale nie jestem uzależniony. Zwykle staram się trzymać prawdziwego żarcia.

– To chyba musi drogo wychodzić, jeżeli jesz i pijesz... hm... importowane produkty?

– Trafiałeś, kaznodziejo. Piję prawdziwą colę w takiej cenie, że chyba wiszę USIC coś około... pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Co najmniej – potwierdził Roussos. – Nie zapominaj o biszkoptach z kremem.

– Cholery można dostać, jak się pomyśli, ile te pijawki sobie za nie liczą. Albo za batony Hersheya. Mówię wam, gdybym nie był z natury taki łagodny...

Mooney pchnął swój pusty talerz w stronę Petera.

– Gdybym nie zjadł wszystkiego, pokazałbym ci coś jeszcze – powiedział. – Lody waniliowe w polewie czekoladowej. Esencja waniliowa i czekolada są importowane, w polewie jest może odrobinę białych kwiatów, ale te lody... lody to czysta entomofagia, rozumiesz, o co mi chodzi?

Peter zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, Mooney, nie za bardzo rozumiem.

– Karaluchy, stary, robale. Lody dla ochłody posypane kruszonymi karaluchami.

– Bardzo zabawne – mruknął Roussos. Już nie pochłaniał kanapki z takim entuzjazmem.

– Robią też wyśmienity deser ryżowy z dodatkiem larw. Wyobrażasz to sobie?

Roussos odłożył kanapkę.

– Mooney, jesteś moim kumplem, uwielbiam cię, ale...

– Żadne tam brudne robale, rozumiesz – wyjaśnił Mooney. – Świeże, czyściutkie, ze specjalnej hodowli.

Roussos miał dość.

– Mooney, do cholery, zatkaj gębę. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

Jakby przywołany odgłosami sprzeczki przy ich stoliku nagle pojawił się BG. Był sam, porzucił towarzystwo kobiety.

– Cześć, Peter! Jak leci?

– Doskonale, a u ciebie?

– Lepiej być nie może, stary. Nasze panele słoneczne pracują teraz z pełną mocą, zwiększyliśmy produkcję energii elektrycznej o dwieście pięćdziesiąt procent. Możemy przeznaczyć nadwyżkę na nowe projekty. – Wskazał głową w stronę jakiegoś niewidocznego miejsca, które znajdowało się poza budynkiem. W tamtym rejonie bazy Peter jeszcze nie był. – Widziałeś nowy obiekt, który tam postawiliśmy?

– Tu wszystko jest dla mnie nowe, BG.

– Jasne, ale ten jest prosto spod igły. – Twarz BG jaśniała dumą. – Pójdź tam kiedyś i rzuć okiem, jak tylko znajdziesz czas. Cudo inżynierii. Nasz nowy kolektor deszczowy z centryfugą do odwirowywania wody.

– Zwany też Wielkim Biustonozem – wtrącił Roussos, wycierając sos kawałkiem skórki od chleba.

– No i co z tego, nie startujemy w konkursie architektonicznym. – BG wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Chodzi o to, żeby mieć wodę.

– A właśnie – powiedział Peter – kiedy mowa o wodzie, nasuwa mi się pytanie. Pomimo takich deszczów nigdzie nie widziałem tu rzek ani jezior. Nawet stawu.

– Grunt jest jak gąbka. Jak coś wsiąknie, to na amen. A większość deszczu odparowuje mniej więcej w pięć minut. Tego nie da się zauważyć, ale to ciągły proces. Niewidzialna para wodna. To chyba oksymoron, mam rację?

– Pewnie tak – odpowiedział Peter.

– Tak czy inaczej, musimy łapać deszczówkę, zanim zniknie. Właśnie tym zajmowałem się ze swoim zespołem. Systemy ssące, dysze, filtry. Naprawdę wielkie zabawki. A co u ciebie, brachu? Znalazłeś już sobie kościół?

Zadał pytanie zupełnie beztrzesko, jakby kościoły były narzędziami lub innymi niezbędnymi rzeczami, na które można zgłaszać zapotrzebowanie. W zasadzie dlaczego nie?

– Konkretnego budynku nie – powiedział Peter. – Ale nie o to chodzi w religii. Kościół powstaje z połączenia serc i umysłów.

– Tani koszt budowy – zażartował Roussos.

– Więcej szacunku, dupku – skarcił go Mooney.

– Prawdę mówiąc, BG – podjął Peter – jestem w stanie bliskim szoku albo w radosnym zdziwieniu, to chyba lepsze określenie. Ostatniej nocy... hm... tego ranka... dzisiaj, niedawno Grainger zabrała mnie do osady Oazjan...

– Gdzie, brachu?

– Osady Oazjan.

Trzej mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Chodzi ci o Miasto Dziwołagów – powiedział Roussos.

– C-2 – poprawił gwałtownie BG zadziwiająco poważnym tonem. – Nazywamy to miejsce C-2.

– Nieważne – ciągnął Peter. – Przywitano mnie w niesamowity sposób. Ci ludzie z wielką determinacją pragną poznać Boga!

– Niech skonam – rzucił BG.

– Wiedzą już o Biblii!

– To trzeba uczcić, brachu. Pozwól, że postawię ci coś do picia.

– Nie piję, BG.

BG uniósł jedną brew.

– Chodziło mi o kawę, brachu. Jeśli chcesz alkoholu, powinieneś naprawdę się pośpieszyć z budową tego kościoła.

- Nie rozumiem.
- Darowizny, brachu, składki na tace, zbierzesz mnóstwo kasy. Bo jak kupisz tu jedno piwo, będziesz splukany.
- BG ruszył ciężkim krokiem w stronę baru. Peter został sam z dwoma grubasami, którzy pociągali synchronicznie z plastikowych kubków.
- To niesamowite. Jak mogłem przejechać tyle mil, oglądać tutejszy krajobraz i nie zauważyć najbardziej niezwykłej rzeczy – rozważał Peter. – Te obfite opady deszczu, które nie gromadzą się w jeziorach ani rzekach... Zastanawiam się, jak dają sobie radę Oazjanie.
- Bez problemu – powiedział Roussos. – Pada każdego dnia. Dostają to, co chcą i kiedy tylko chcą. Jak z kranu. – Podniósł plastikowy kubek w kierunku niewidocznego nieba.
- Poza tym – dodał Mooney – to byłby dopiero problem, gdyby woda nie wsiąkała. Stary, wyobraź sobie te powodzie.
- Och! – przypomniał sobie Peter. – Słyszeliście o Malediwach?
- Malediwach? – zapytał Roussos. Zachowywał czujność, jakby podejrzewał, że Peter zaczyna jakąś ewangeliczną przypowieść.
- Malediwach. Grupie wysp na Oceanie Indyjskim. Zostały zmiecione przez tsunami. Prawie wszyscy mieszkańcy zginęli.
- Nie wiedziałem – odpowiedział Mooney beznamietnie, jakby Peter podzielił się z nim informacją z dziedziny nauki, która nie ma związku z jego specjalnością.
- Zmiecione? – powtórzył Roussos. – To niedobrze.
- BG wrócił do stolika. W obu dłoniach trzymał kubki z parującą kawą.
- Dziękuję. – Peter wziął od niego kubek, na którym wydrukowano żartobliwą sentencję: NIE MUSISZ BYĆ CZŁOWIEKIEM, ŻEBY TU PRACOWAĆ. ALE LUDZIOM JEST ŁATWIEJ. Na kubku BG był inny napis.
- Właśnie zauważyłem – powiedział Peter – że te kubki są z prawdziwego plastiku. To znaczy... no, grubego plastiku. Nie ze styropianu, nie są jednorazowe...
- Są ważniejsze rzeczy, które trzeba przetransportować przez połowę wszechświata, niż jednorazowe naczynia, brachu – poinformował go BG.
- Tak, na przykład batoniki Hersheya – dodał Mooney.
- Albo chrześcijańscy misjonarze – powiedział BG bez cienia szyderstwa w głosie.

Kochana Beo, pisał Peter godzinę później.

Nie dostałem jeszcze odpowiedzi od Ciebie i może trochę za szybko piszę kolejny list, ale nie mogę się doczekać, żeby Ci to powiedzieć – miałem niezwykłą rozmowę z kilkoma gośćmi z USIC. Otworzyła mi oczy na pewne sprawy. Okazuje się, że nie jestem pierwszym chrześcijańskim misjonarzem, którego tutaj przysłano. Przede mną był człowiek, który nazywał się Marty Kurtzberg. Zdaje się, że pomimo

żydowskiego nazwiska był baptystą. Rdzenni mieszkańcy przyjęli go dobrze, ale potem zniknął. To było rok temu. Nikt nie wie, co się z nim stało. Oczywiście ludzie żartują, że pewnie zjedli go Oazjanie, jak w tych starych komiksach, gdzie wygłodniali dzicy wsadzają do kotła i gotują na obiad związanych misjonarzy. Nie powinni tak mówić, to rasizm, ale przecież wiem, czuję w głębi serca, że ci ludzie, Oazjanie, nie są niebezpieczni. Przynajmniej nie dla mnie. Może to zbyt pochopne stwierdzenie, bo spotkałem dotychczas tylko jednego z nich. Jestem pewien, że pamiętasz te czasy, kiedy razem, Ty i ja, dawaliśmy świadectwo naszej wiary w różnych dziwnych miejscach. Czasami nagle wyczuwaliśmy, że powinniśmy natychmiast uciekać, jeśli chcemy ująć z życiem! Tutaj nie mam takiego uczucia.

Pomimo żartów o kanibalach ludzie z USIC i Oazjanie zdają się prowadzić całkiem udany handel. To nie jest stary model kolonialnego wyzysku, jakiego można by się spodziewać. Regularnie wymieniają towary, czasem robią to też na własną rękę, niezupełnie oficjalnie. Oazjanie dostarczają nam podstawowych produktów żywnościowych, a my, jak rozumiem, przekazujemy im głównie lekarstwa. Tu nie ma zbyt wielu roślin, co dziwi, zważywszy na ilość opadów, ale skoro większość farmaceutyków otrzymuje się właśnie z ziół i kwiatów, to możliwości odkryć i produkcji środków przeciwbólowych, antybiotyków itp. były na tej planecie ograniczone. A może USIC ma szatański plan uzależnienia krajowców od leków? Nie mogę autorytatywnie stwierdzić, dopóki nie poznam lepiej tych ludzi.

A teraz usiądź wygodnie, bo mam niesamowite wieści, które mogą zwalić Cię z nóg. Oazjanie pragną tylko jednego (oprócz lekarstw) – Słowa Bożego! Prosilili USIC o kolejnego pastora. Prosilili? Żądali! Według ludzi, z którymi rozmawiałem, oni (Oazjanie) dali do zrozumienia, bardzo grzecznie, że od tego zależy ich dalsza współpraca z USIC! A tymczasem Ty i ja myśleliśmy, że to takie wielkoduszne ze strony USIC, kiedy zaoferowali mi tę misję... I chociaż trudno powiedzieć, że bym był tutaj najbardziej pożądaną przez USIC osobą, to okazuje się, że cały ich projekt może zależeć właśnie ode mnie! Gdybym wcześniej o tym wiedział, NALEGAŁBYM, żeby wysłali Cię ze mną. Ale może wtedy odrzuciliby mnie i wysłaliby kogoś innego, kto sprawiałby mniej kłopotów. Przecież na pewno zgłosiło się kilkuset kandydatów. (Ciągłe nie rozumiem, dlaczego wybrali właśnie mnie. Ale może należy odwrócić pytanie – dlaczego mieliby wysłać kogoś innego?)

Tak czy inaczej, jasne jest, że udzielą mi wszelkiej pomocy, jakiej będę potrzebował przy budowie kościoła. Pojazd, materiały budowlane, a nawet pracowników. Sprawy układają się w taki sposób, że moje brzemię będzie chyba najłżejsze w całej historii chrześcijańskiej ewangelizacji. Kiedy się pomyśli o świętym Pawle, bitym,

kamienowanym, głodującym, więzionym, który ledwo uszedł z życiem z morskiej katastrofy... Prawie tęsknię za pierwszymi kłopotami! (PRAWIE)

Przerwał pisanie. To było wszystko, co chciał jej przekazać, ale wydawało mu się, że powinien wspomnieć coś o Malediwach. I wtedy dopadło go poczucie winy, bo nie była to potrzeba serca.

Kocham Cię  
Peter

Kiedy zwymiotował, poczuł się lepiej. Nie był koneserem kawy – w końcu kawa to środek pobudzający, a on odstawił wszelkie stymulanty lata temu – ale to, co zaserwował mu BG, smakowało obrzydliwie. Może było parzone z oazjańskich kwiatów, a może łączenie importowanych ziaren z tutejszą wodą nie dawało najlepszych rezultatów. W każdym razie Peter poczuł się lepiej, kiedy pozbył się napoju z żołądka. Właściwie czuł się zupełnie dobrze. Skutki uboczne Skoku zdawały się wreszcie ustępować. Napił się wody prosto z kranu. Smakowała wybornie. Od tej pory będzie pił tylko wodę.

Odzyskiwał siły, jakby wszystkie komórki w jego ciele składały się z mikroskopijnych gąbek. Nasycone wzmacniały go, jakby odwdzięczając się za dostarczony płyn. Może tak właśnie było. Włożył sandały i wyszedł z pokoju. Musiał wreszcie poznać najbliższe otoczenie, ale w gruncie rzeczy chciał uczcić powrót do formy. Za długo pozostawał w zamknięciu i wreszcie poczuł się wolny!

Przynajmniej na tyle, by przespacerować się po labiryncie bazy. Miła odmiana po czterech ścianach kwatery, chociaż teren przechadzki trudno było nazwać bezkresną prerią. Tylko puste korytarze, jaskrawo oświetlone tunele. Ściany, podłoga, sufit i co kilka metrów drzwi.

Na każdych drzwiach wisiała tabliczka z pierwszą literą imienia, nazwiskiem i funkcją bądź zawodem (te napisane były większą czcionką). W. HEK, KUCHARZ, S. MORTELLARO, DENTYSTA CHIRURG, D. ROSEN, INSPEKTOR BUDOWLANY, L. MORO, INŻYNIER TECHNOLOG, B. GRAHAM, INŻYNIER CENTRYFUGI, J. MOONEY, INŻYNIER ELEKTRYK i tak dalej. Słowo „inżynier” pojawiało się bardzo często, inne profesje też na ogół miały związek z techniką.

Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk, w korytarzach także panowała cisza. Personel USIC najpewniej był w pracy albo spędzał czas w kafeterii. Nie było nic złowieszczonego w jego nieobecności, żadnych powodów do obaw, a jednak Peter poczuł strach. Zadowolenie, które początkowo odczuwał, decydując się na samodzielny rekonesans, zniknęło zastąpione tęsknotą za czyjąś obecnością. Szedł coraz szybciej, z większą stanowczością skręcał w kolejne korytarze, które za każdym razem wyglądały tak samo – prostokątne przejścia z rzędami identycznych drzwi. W takim miejscu trudno było się zorientować, czy już się zgubił.

Zaczynał się pocić, napływały bolesne wspomnienia z czasów, kiedy



przebywał zamknięty w ośrodkach wychowawczych dla trudnej młodzieży. Zły czar przysł, kiedy Peter skręcił w kolejny korytarz i prawie zderzył się z Wernerem.

– Powoli! Pali się gdzieś? – rzucił Werner, poklepując się po tłustej piersi, jakby sprawdzał, czy nic mu się nie stało.

– Przepraszam.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję.

– To dobrze. – Werner skinął głową. Był serdeczny, ale najwyraźniej nie miał ochoty na dłuższą pogawędkę. – Tak trzymaj, stary.

Od niechcienia rzucona uwaga czy ostrzeżenie? Trudno powiedzieć.

Po chwili Peter znów został sam, ale atak paniki minął. Potrafił już dostrzec różnicę pomiędzy wałęsaniem się po nieznanym budynku a zamknięciem w więzieniu. Werner miał rację, musiał się czegoś trzymać.

Kiedy wrócił do swojej kwatery, zaczął się modlić. Prosił o wskazówki, ale nie dostał natychmiastowej odpowiedzi.

Obcy – Oazjanie – błagali go, by jak najszybciej wrócił do osady. Więc... powinien pojechać od razu? Klaustrofobia, która dopadła go w korytarzach, była znakiem, że jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Nie był osobą, która łatwo ulegała panice, a jeszcze niedawno zemdłał, wymiotował i miał halucynacje. Być może powinien nadal wypoczywać, dopóki nie będzie pewien, że znów jest w stu procentach sobą. Ale Oazjanie prosili, by wrócił, a USIC nie wiózł go taki kawał drogi, żeby Peter leżał w łóżku i gapił się w sufit. Powinien jechać. Zdecydowanie powinien jechać.

Ale to oznaczało brak kontaktu z Beą przez dłuższy czas. To będzie trudne dla nich obojga, jednak w tych okolicznościach nie było na to rady. Mógł jedynie trochę opóźnić wyjazd, żeby zyskać więcej czasu na korespondencję.

Sprawdził Sztos. Żadnych wiadomości.

„Wracaj sybko, Peper, sybko. Cysaj nam Księgę siwnych Nowych Secy”. Ciągłe słyszał głos Oazjanina, astmatyczny, pełen napięcia, jakby wypowiedzenie każdego słowa przychodziło mu z największym trudem. Ten głos przypominał pojękiwania muzycznego instrumentu zrobionego z jakiegoś groteskowego, niedorzecznego materiału. Jak puzon wykonany z arbuza, którego części połączono gumowymi zaciskami.

Zresztą nieważne, jak mówili i jak byli zbudowani. Byli istotami spragnionymi Chrystusa, czekającymi na swojego pastora, który obiecał, że szybko do nich wróci.

Ale czy istotnie im to obiecał? Nie potrafił sobie przypomnieć.

Nagle pojawił się Bóg mu odpowiedział. *Nie komplikuj tak wszystkiego. Rób to, po co przyjechałeś.*

*Tak, Panie, ale czy mogę poczekać na jeszcze jeden list od Bei?*

Wyczerpany czekaniem znów wyszedł na korytarz, równie cichy i pusty jak poprzednio. Nie czuć było żadnego zapachu, nawet płynu do podłóg, chociaż posadzki były bardzo czyste. Może nie błyszczały tak nieskazitelnie jak w luksusowym salonie sprzedaży, ale nie widać było brudu ani kurzu. Były schludne.

Jego uprzednia klaustrofobia okazała się nieuzasadniona. Tylko kilka przejść było całkowicie zabudowanych, inne miały wielkie okna, przez które wpadało słoneczne światło. Jak mógł tego wcześniej nie zauważyć? Jakim cudem wybierał tylko korytarze pozbawione okien? Tak postępują szaleńcy – instynktownie szukają doświadczeń, które uzasadniają ich negatywny stosunek do rzeczywistości. Kiedyś był mistrzem takich wyborów, dopóki Bóg nie wskazał mu lepszej drogi. Bóg i Bea.

Szedł przed siebie, odczytując ponownie nazwiska na drzwiach; starał się je zapamiętać na wypadek, gdyby musiał kogoś odnaleźć. Znowu zdumiało go, że w drzwiach nie było zamków – miały tylko klamki i każdy obcy mógł bez trudu je otworzyć.

– Masz zamiar ukraść moją pastę do zębów? – zażartował Roussos, kiedy Peter wspomniał o tym wcześniej.

– Nie, ale przecież możesz mieć rzeczy, na których szczególnie ci zależy.

– Chcesz zwinąć mi buty?

Peter rzeczywiście ukradł kiedyś buty i chciał teraz o tym powiedzieć, ale Mooney go uprzedził:

– Dybie na twoje muffiny, stary! Pilnuj ich!

Jakby przez przypadek Peter właśnie zauważył na jednych drzwiach tabliczkę z napisem F. ROUSSOS, INŻYNIER DS. EKSPLOATACJI. Nie zatrzymał się i po chwili dostrzegł w korytarzu kolejną tabliczkę. O mało nie stracił równowagi, kiedy uświadomił sobie, co jest na niej napisane: M. KURTZBERG, PASTOR.

Dlaczego tak to go zdziwiło? Kurtzberg zaginął podczas misji, ale nie został uznany za zmarłego. Dopóki nie stwierdzą, co się stało, nie ma powodu, aby opróżnić jego kwaterę i usunąć nazwisko. Mógł przecież wrócić w każdej chwili.

Pod wpływem impulsu Peter zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał ponownie, tym razem głośniej. I znów cisza. Oczywiście powinien iść dalej, ale nie zrobił tego. Po kilku chwilach był już w środku. Na pierwszy rzut oka pokój przypominał jego własną kwaterę, miał identyczny wystrój i meble. Żaluzje w oknach były zasunięte.

– Halo – zawołał cicho, jakby chciał się upewnić, że jest sam. Starał się sobie wmówić, że gdyby Kurtzberg tu był, zaprosiłby go do środka. Chociaż było to prawdopodobne, nie zmieniało faktu, że nie należy wchodzić do domu obcego człowieka bez zaproszenia.

„Ale to nie jest dom, prawda? – pomyślał. – Baza USIC nie jest niczym domem. To tylko miejsce pracy”. Sofizmat, który miał go usprawiedliwić? Być

może. Jednak nie, ta myśl, która instynktownie przyszła mu do głowy, wyrażała jakąś ukrytą prawdę. Bea by to zrozumiała. W personelu USIC było coś dziwnego, coś, co Bea mogłaby pomóc mu rozgryźć. Ci ludzie mieszkali tu przez lata, z pewnością łączyła ich pewna zażyłość, a jednak... jednak...

Ruszył w głąb mieszkania Kurtzberga. Nie zauważył śladów wskazujących na to, że ktoś inny potajemnie wchodził tu przed nim. Powietrze był stęchłe, wszystko pokrywała warstwa kurzu. Na stole nie było Sztosu, tylko butelka filtrowanej czystej wody (na wpół opróżniona) i plastikowy kubek. Łóżko niezasłane, jedna poduszka zwisała na krawędzi, jakby zamierzała spaść, ale w ostatnim momencie zastygła tam na zawsze. Na pościeli leżała koszula Kurtzberga. Rękawy ułożone do góry, jakby w geście kapitulacji. Pachy koszuli pokrywała pleśń.

Ku swemu rozczarowaniu Peter nie dostrzegł żadnych dokumentów, dzienników czy notatek. Na krześle leżała Biblia w klasycznym przekładzie z 1952 roku. Egzemplarz był w miękkiej oprawie, w bardzo dobrym stanie. Peter otworzył ją i zaczął przerzucać kartki. Szybko zorientował się, że Kurtzberg nie należał do tych, którzy podkreślają szczególnie ważne dla nich wersety i pokrywają marginesy drobnymi zapiskami. Nie było w niej nic oprócz samego nieskazitelnego Pisma. W swoje kazania Peter wplatał czasami żarty lub aforyzmy, aby łatwiej osiągnąć zamierzony cel. Jednym z powiedzonek, które lubił cytować, gdy zauważał, że członkowie zgromadzenia przyglądają się jego poplamionemu, rozpadającemu się egzemplarzowi Nowego Testamentu z oślimi uszami, było: czysta Biblia – splamiony chrześcijanin, splamiona Biblia – czysty chrześcijanin. Marty Kurtzberg najwidoczniej nie podzielał tego poglądu.

Peter otworzył szafę. Bładoniebieska wizytowa marynarka wisiała obok białych spodni z szarymi plamami na kolanach. Kurtzberg był niewysokim człowiekiem (nie wyższym niż pięć stóp i sześć cali) i miał wąskie ramiona. Dwa pozostałe wieszaki ugięły się pod ciężarem koszul podobnych do tej, która leżała na łóżku, z dobrej jakości jedwabnymi krawatami zarzuconymi niedbale wokół kołnierzyków. Na dnie szafy stała para wyczyszczonych do połysku skórzanych butów, obok leżała zwinięta para jasnożółtych skarpet pokrytych grubą warstwą pleśni.

„Niczego się tutaj nie dowiem”, pomyślał Peter i odwrócił się do wyjścia. Jednak w tym momencie dostrzegł coś leżącego pod oknem, jakieś śmieci, które przypominały płatki kwiatów. Kiedy przyjrzał się im bliżej, okazały się podartymi kawałeczkami plastra opatrunkowego. Było ich mnóstwo, jakby Kurtzberg stał przy oknie, gapił się Bóg wie na co, darł na strzępy stos plastrów i rzucał je na podłogę.

Po wizycie w kwaterze Kurtzberga Peter stracił chęć na dalszy rekonesans. Żałował, bo miał szansę przypomnieć sobie wszystkie wskazówki dotyczące topografii bazy, które Grainger przekazała mu tuż po przylocie, podczas ich

pierwszego spotkania. Poza tym spacer był dobrym ćwiczeniem fizycznym. Nie ulegało wątpliwości, że przydałby się jego mięśniom, ale... cóż, prawdę mówiąc, to miejsce go przygnębiało.

Nie był pewien dlaczego. Baza była przestronna, czysta, w optymistycznych kolorach i z mnóstwem okien. Co prawda, kilka korytarzy przypominało nieco podziemne tunele, ale przecież nie wszędzie trzeba widzieć niebo. Jasne, że nie zaszkoziłoby ustawić w kilku miejscach parę roślin w doniczkach, ale trudno winić USIC, że ziemia Oazy nie nadawała się do hodowli paprotek i rododendronów. Zresztą dołożono starań, żeby dodać wystrojowi nieco finezji. Na korytarzach w regularnych odstępach wisiały ładnie oprawione plakaty, które bez wątpienia miały wywoływać uśmiech. Peter zauważył dobrze znane fotografie przestraszonych kociaków zwisających z gałęzi do góry nogami, uchwyconych w momencie, w którym zdawały się mówić „co jest grane?”, psa dzielącego swój koszyk z dwiema kaczkami, Flipa i Flapa niezdarnie budujących dom, słonia balansującego na piłce, maszerujących mężczyzn z komiksu Roberta Crumba i – imponujących rozmiarów, ciągnące się aż po sam sufit – słynne czarno-białe dzieło Charlesa Ebbeta ukazujące robotników budowlanych jedzących lunch na żelaznym dźwigarze zawieszonym poziomo ponad ulicami Manhattanu. Trochę dalej Peter musiał się zastanowić, czy propagandowy plakat z lat czterdziestych dwudziestego wieku zatytułowany *Damy radę!*, ukazujący spawaczkę Rosie zginającą ramię i preżącą biceps, miał naprawdę inspirować personel bazy, czy został tu umieszczony z przymrużeniem oka. Tak czy inaczej, jakiś zmyślny grafficiarz dodał swój komentarz flamastrem: „Dzięki, Rosie, ale nie”.

Nie wszystkie plakaty nawiązywały do robót budowlanych i ciężkiej pracy. Był też zestaw artystyczny. Peter dostrzegł kilka kopii klasycznych prac Alfonsa Muchy i Toulouse-Lautreca, kolaż Braque’a lub kogoś z jego kręgu i gigantyczną fotografię Andreasa Gursky’ego *Ren II*, prawie abstrakcyjną, ukazującą jedynie pas zielonych pól i szarość rzeki. Były także kopie starych plakatów filmowych, na których widniały podobizny bohaterów popołudniowych seansów z odległej przeszłości: Binga Crosby’ego, Boba Hope’a, Marleny Dietrich, a nawet Rudolfa Valentino. Dla każdego coś miłego. Zakres rodzajów i tematyki tych wszystkich dzieł był szeroki i nie można było im niczego zarzucić, chociaż dziwił brak jakiegokolwiek odwołania do konkretnego, aktualnie istniejącego na Ziemi miejsca. W tych pracach brakowało też silnych, prawdziwych emocji.

Peter zapragnął świeżego powietrza i ruszył ku najbliższym drzwiom, które prowadziły na zewnątrz.

Czy wilgotne powietrze, które ogarnęło go jak ocean, gdy wyszedł na słońce, można było nazwać świeżym? Na pewno nie było nieruchome. Strużki wiatru uniosły mu włosy i wywołały uczucie, jakby ktoś masował mu skórę na czaszce, wślizgnęły się pod ubranie niczym palce badające ciało. Starał się przed tym

bronić, ale nie było to już tak nieprzyjemne jak za pierwszym razem. Diszdasza stanowiła jedyną warstwę odgradzającą go od atmosfery i choć zrobiła się wilgotna – co nastąpiło prawie natychmiast – nadal spływała luźno wzdłuż ciała, ciężąc z lekka na ramionach, ale nie powodując uczucia dyskomfortu. Tkanina, wystarczająco cienka, by nie ograniczać swobody ruchów, została utkana na tyle ściśle, by skrywać to, że Peter nie miał niczego pod spodem, i była na tyle sztywna, że nie przylegała zbyt ściśle do ciała. Idealna na takie warunki.

Peter kroczył zwawo po asfalcie wzdłuż budynku USIC, korzystając z cienia, który rzucała ta betonowa szkarada. Sandały pozwalały oddychać stopom, a pot pomiędzy palcami wyparowywał natychmiast. Powietrze łaskotało golenie i kostki, co powinno być nieprzyjemne, ale okazało się całkiem miłe. Jego nastrój poprawił się znacznie, zupełnie minęło przykre uczucie, które zrodziło się w korytarzach.

Kiedy skręcił za róg, zorientował się, że idzie wzdłuż przeszklonej ściany kantyny. Słońce odbijało się od szyby i trudno mu było dostrzec wewnątrz, ale zdołał uchwycić niewyraźne zarysy stołów, krzesel i zgromadzonych tam ludzi. Pomachał na oślep, na wypadek gdyby ktoś go zauważył i chciał pozdrowić. Nie może sprawiać wrażenia, że zadziera nosa.

Kiedy odwrócił wzrok, zauważył coś nieoczekiwanego: dużą altanę ogrodową usytuowaną kilkaset metrów od głównego budynku. Jasnożółty okap, zrobiony chyba z brezentu lub płótna żaglowego, zwisał luźno na wspornikach. Peter prowadził kiedyś uroczystość ślubną pod taką konstrukcją, widywał też podobne nad morzem i w parkach. Zapewniały schronienie przed słońcem i deszczem i można było łatwo je złożyć, chociaż ta wyglądała, jakby ustawiono ją na stałe. W jej cieniu dostrzegł jakiś ruch, więc poszedł powoli, żeby sprawdzić, co tam się dzieje.

Cztery, nie, pięć osób zgromadziło się w altanie i tańczyło. Nie w parach, każdy robił to sam. A może wcale nie tańczyli, tylko ćwiczyli tai-chi.

Podszedłszy bliżej, zobaczył, że rzeczywiście ćwiczą. To miejsce było czymś w rodzaju sali gimnastycznej na świeżym powietrzu, wyposażonej nie w zaawansowane technicznie bieżnie i ergometry, ale w proste drewniane i metalowe przyrządy, które przypominały sprzęty na placach zabaw. Była tam Moro, która leżąc na ukośnej wyściełanej ławeczce, ćwiczyła mięśnie nóg, unosząc zawieszoną na drążku oponę; był i BG podnoszący wypchany worek na linie na krążku. Pozostałych trzech osób Peter nie znał. Cała piątka zajęta była swoimi pomalowanymi na jaskrawe kolory przyrządami. Spływając potem, rozciągali się, zginali, skręcali i kucali.

– Hej, Peter! – krzyknął BG, nie przerywając ćwiczeń. Unosząc worek, zginał i prostował ramiona, które były grubsze niż nogi Petera. Węzły mięśni nabrzmiały, jakby wstrzyknięto w nie powietrze. Miał na sobie workowate szorty sięgające do łydek i krótki bawełniany podkoszulek, pod którym jak nity sterczały sutki.

– Odpoczynek po pracy, BG? – rzucił Peter.

– Praca czy zabawa, dla mnie to bez różnicy – odparł BG.

Moro nie zwróciła uwagi na Petera, ale ze względu na jej pozycję – leżała na plecach i przebierała nogami w powietrzu – mogło to być dla niej za trudne. Była ubrana w białe szarawary, które zsunęły się teraz aż do bioder, i podkoszulek bez rękawów odsłaniający brzuch. Tkanina przesiąkła potem i zrobiła się na wpół przezroczysta. Moro oddychała głośno i rytmicznie. BG miał niezły widok.

– Zawsze twardy i gotowy – krzyknął.

W pierwszej chwili Peter uznał to za sprośną grę słów. Pasowała do seksualnych żartów, które BG lubił opowiadać na statku, i w ogóle do jego rubasznego stylu. Ale jeden rzut oka na jego twarz ujawnił, że mężczyzna błądzi gdzieś roztargnionym wzrokiem, nie skupiając się na żadnym konkretnym obiekcie. BG koncentrował się tylko na swoim ćwiczeniu. Moro stanowiła pewnie jedynie niewyraźną poruszającą się plamę, którą rejestrował jego umysł, ale jako kobieta w tej chwili dla niego nie istniała.

Była tu jeszcze jedna kobieta, wysoka, żylasta, biała, z rzadkimi rudymi włosami ściągniętymi w kucyk. Opierała się o dwie równoległe poręcze, a jej nogi zwisały kilka cali nad ziemią. Uśmiechnęła się do Petera, ale jej uśmiech mówił: Poznamy się, jak należy, kiedy nie będę tak zajęta. Dwaj nieznajomi mężczyźni byli równie zaabsorbowani. Jeden stał na niskim podwyższeniu z półokrągłą podstawą i balansował biodrami z oczami utkwionymi we własnych stopach. Drugi siedział na konstrukcji w kształcie pająka zaopatrzonej w liczne szczebelki. Dotykał kolanami policzków, a jego dłonie były ściśle splecione za głową i tak jak stopy zaczepione o szczebel. Był jak zamknięty obwód, przez który przepływało napięcie wysiłku fizycznego. Przesunął się do przodu i wydawało się, że jeden z wypukłych kręgów widocznych na jego plecach za chwilę przebije skórę i wystrzeli w powietrze. Peter dostrzegł po chwili, że to, co brał za fragment kręgosłupa, w rzeczywistości było owadem. Altana stanowiła przystań dla podobnych do świerszczy insektów, które spokojnie siadały na ludziach, ale głównie pełzały po brezencie. Wyglądały jak zielone plamy na żółtym tle.

W altanie było dość sprzętu i miejsca dla dwunastu osób. Peter zastanawiał się, czy przyłączenie się do ćwiczących należy do dobrego tonu. Może powinien wybrać przyrząd i zająć się nim chociaż na kilka minut. Wystarczająco długo, by nie odnieśli wrażenia, że przyszedł się tylko pogapić. Nigdy nie był typem sportowca i czułby się głupio, gdyby musiał udawać. W końcu był tu nowy i ludzie powinni zrozumieć, że musi zwiedzić okolicę.

– Ładny dzień – zauważyła Moro. Skończyła ćwiczyć i odpoczywała.

– Więcej niż ładny. Piękny – powiedział Peter.

– Zgadza się. – Napila się wody z butelki. Jeden z zielonych owadów usadowił się na koszulce pomiędzy jej piersiami. Wyglądał jak broszka. Nie zwracała na niego uwagi.

- Czy kawa puściła? – zapytał Peter.  
Spojrzała na niego zdziwiona.
- Kawa?
  - Plamy po kawie, którą przeze mnie wylałaś.
  - A, wtedy. – Wyraz jej twarzy świadczył, że od tamtej chwili zajmowała się mnóstwem ważniejszych spraw i trudno oczekiwać, by pamiętała tak błahy epizod. – To nie była kawa.
  - Biały kwiat?
  - Ekstrakt cykorii i ryżu. No i tak, odrobina białego kwiatu. Dla smaku.
  - Muszę tego kiedyś spróbować.
  - Warto. Nie oczekuj najcudowniejszej rzeczy na świecie, to się nie rozczarujesz.
  - To rozsądna zasada, powinniśmy stosować się do niej w każdych okolicznościach – powiedział.
- Spojrzała na niego, jakby gadał bzdury. Uśmiechnął się, pomachał dłonią i odszedł. Są ludzie, z którymi nigdy nie da się zbliżyć, bez względu na to, ile razy spróbujesz, bez względu na to, ile wspólnie przeżyliście, i być może Moro była jednym z nich. To nie miało znaczenia. Bo – jak bez przerwy przypominali mu przesłuchujący go ludzie z USIC – nie dla niej tutaj przybył.

Nie chcąc jeszcze wracać do kwatery, Peter coraz bardziej oddalał się od bazy. Pewnie znalazłby się w opałach, gdyby niespodziewanie poczuł się zmęczony lub chory, ale był gotów podjąć to ryzyko. Jego zdrowie i wytrzymałość zostaną już niedługo wystawione na najcięższą próbę, kiedy pojawi się w siedzibie Oazjan bez żadnych zapasów, tylko z Biblią i ubraniem, które ma na sobie.

Na horyzoncie sterczały dwie ascetyczne konstrukcje; nie był pewien, czy to kominy, czy silosy. Sądząc z kształtu, najwyraźniej nie Wielki Biustonosz, ale nie był w stanie zgadnąć, co to jest. Nie dymiło, więc pewnie silosy. Może i o nich mówiła mu Grainger, kiedy prowadziła go ze statku? Rozmowa, którą wtedy rzekomo odbyli, a którą ku swemu zawstydzeniu całkowicie zapomniał, urastała do mitycznego zdarzenia: Wielki Przegląd Wszystkiego, z pisemnym komentarzem dającym odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania. Powinien pamiętać, że ilość informacji, jakich mogła mu wtedy udzielić, była ograniczona.

Szedł w stronę silosów przez dziesięć lub dwadzieścia minut, ale w ogóle się do nich nie zbliżył. Złudzenie optyczne. W miastach budynki i ulice pozwalają się zorientować, jak daleko lub blisko znajduje się linia horyzontu. W naturalnym otoczeniu, w krajobrazie nietkniętym ludzką ręką, nie ma takich wskazówek. Coś, co wygląda, jakby leżało o milę stąd, może znajdować się w odległości kilku dni marszu.

Powinien oszczędzać siły, zawrócić i pójść z powrotem do bazy. Jednak w

chwili, kiedy podjął tę decyzję, zobaczył samochód nadjeżdżający od strony silosów. Był to džip, taki sam jak ten, którym jeździła Grainger, ale kiedy się zbliżył, Peter dostrzegł, że to nie ona siedzi za kierownicą. To była ta wielka, podobna do mężczyzny kobieta, z którą BG rozmawiał w kantynie. Łagodnie zahamowała obok Petera i opuściła boczną szybę.

– Uciekasz z domu?

Uśmiechnął się.

– Badam okolicę.

Przyjrzała mu się.

– Skończyłeś?

Roześmiał się.

– Tak.

Skinęła głową w zapraszającym geście. Wsiadł. W środku panował bałagan (na tylnym siedzeniu leżał stos jakichś gratów), klimatyzacja nie działała i powietrze było wilgotne. W przeciwieństwie do Grainger kobieta najwyraźniej nie czuła potrzeby odseparowania się od oazjańskiej atmosfery. Jej skóra lśniła od potu, podobnie jak sterczące tlenione włosy.

– Czas na lunch – powiedziała.

– Wydaje mi się, że niedawno jedliśmy lunch. A może to było śniadanie?

– Ciągłe rosne – odparła. Z jej tonu zorientował się, że zdaje sobie sprawę ze swojej masywnej postury i wcale się nią nie przejmuje. Miała dobrze umięśnione ramiona, a jej biust uwięziony w staniku (fiszbiny rysowały się pod białym podkoszulkiem) był godny dostojnej matrony.

– Zastanawiałem się, co to jest – powiedział Peter, wskazując na silosy. Właśnie ruszali, ale kobieta zerknęła we wsteczne lustro.

– To? Ropa.

– Ropa naftowa?

– Niezupełnie. Coś w tym rodzaju.

– Ale możecie to przerabiać na paliwo?

Westchnęła żałośnie.

– To jest właśnie takie pytanie, z którego wynikają kolejne. Chodzi o to, na co się zdecydujemy. Będziemy projektować nowe silniki, żeby pracowały na nowym paliwie, czy przerobimy nowe paliwo, żeby działało w starych silnikach? Mieliśmy kilka... dyskusji na ten temat w ciągu ostatnich lat. – Sposób, w jaki wymówiła słowo „dyskusje”, sugerował, że była osobiście zaangażowana w tę kwestię. A także ujawniał pewną dozę irytacji.

– I kto wygrał?

Uniosła oczy.

– Chemicy. Odkryli, jak przerobić paliwo. To jak... zmienić wygląd tyłka, żeby pasował do krzesła. No ale kim ja jestem, żeby się spierać.

Przejechali obok żółtej altany. Moro zniknęła, ale pozostała czwórka nie dawała za wygraną.

– Ćwiczysz tu czasami? – zagadnął Peter. Kobieta nie powiedziała, jak ma na



imię, a teraz niezręcznie było ją o to zapytać.

– Tak – odparła – ale moje zajęcie wymaga sporo wysiłku fizycznego, więc...

– Jesteś znajomą BG? – zapytał Peter. Za chwilę dojadą do bazy i będzie po wszystkim, rozmowa się skończy.

– To uroczy gość. Zabawne czekoladowe ciacho. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Nie można się przy nim nudzić.

– Po której był stronie w sporze o paliwo?

Parsknęła.

– Nie miał zdania. To cały BG! Same mięśnie, ale tylko na pokaz. – Zwolniła i zaparkowała zręcznie w cieniu głównego budynku. – Ale to wspaniały facet – dodała. – Świetnie się dogadujemy. Tu wszyscy świetnie się dogadują. To zgrany zespół.

– Chyba że się w czymś nie zgadzacie.

Pochyliła się i wyciągnęła kluczyk ze stacyjki. Zobaczył, że na ramieniu, tuż poniżej barku, ma tatuaż. Właściwie dwa, bowiem stary rysunek z zatartymi literami jakiegoś imienia pokrywał wizerunek węża zgniatającego mysz.

– Tutaj lepiej nie myśleć w kategoriach wygranej i przegranej, panie kaznodziejo – powiedziała, otwierając drzwi. Wysiadła. – Weź głęboki oddech i policz do miliona.

## Chór podjął pieśń

Peter nie miał ochoty liczyć do miliona. Był gotów. Przechadzał się po kwaterze i z niecierpliwością wyczekiwał spotkania. Sprawdził ciężar spakowanego plecaka, zarzucając go na ramiona. Kiedy tylko Grainger będzie mogła go zabrać, pojedzie.

Jego Biblia z pozaginanymi rogami, pokryta notatkami i nafaszerowana mnóstwem papierowych zakładek, spoczywała w plecaku obok skarpet, notatników i reszty rzeczy. Nie musiał teraz do niej sięgać, doskonale pamiętał właściwe wersety, zwłaszcza psalmy, najlepszą przystań dla strapionych. Tym można było pokrzepić serce przed niebezpieczną podróżą. Byle nie do ciemnej doliny śmierci. Mimo wszystko liczył na to, że jeszcze tam nie trafi. Jeszcze nie teraz.

Ale z drugiej strony nie miał silnego instynktu samozachowawczego. Wtedy, w Tottenham, gadałby dalej do członków ulicznego gangu – a zbierało się ich coraz więcej i robili się agresywni – i pewnie zadźgałiby go nożami, gdyby Bea nie wepchnęła go do taksówki.

– Kompletnie zwariowałeś – powiedziała, kiedy zatrzęsnęły się za nimi drzwi i karoseria samochodu stłumiła padające z tłumy wyzwiska.

– Ale popatrz, niektórzy do nas machają – zaprotestował, gdy taksówka szybko odjeżdżała. Spojrzała. Miał rację.

Peter, kochany, pisała,  
co za niesamowita wiadomość! Oazjanie słyszeli już o Jezusie! Chociaż właściwie to mnie nie zaskoczyło. Pamiętasz, jak zapytałamUSIC, czy tamtejsi mieszkańcy mieli już kontakty z chrześcijanami? Odpowiadali wymijająco, trzymali się wersji, żeUSIC jest neutralny w kwestii religii. Jednak przez te lata wśród personelu musiało być choć kilku chrześcijan, a wiemy oboje, że jeśli gdzieś pojawi się prawdziwy wyznawca Chrystusa, to dzieją się różne rzeczy! Nawet najmniejsze ziarno może wydać plon.

A teraz jesteś tam, mój kochany, i możesz zasiać ich więcej. Dużo więcej!

Peter zauważył, że nie wspomina o Kurtzbergu. Najwyraźniej kiedy to pisała, nie dostała jeszcze jego najświeższej wiadomości. Może czyta ją właśnie teraz, dokładnie w tym samym momencie, kiedy on odczytuje jej list. Mało prawdopodobne, ale nie mógł się oprzeć myśli o takiej synchronicznej bliskości.

Nie zdręczaj się, że nie ma mnie tam z Tobą. Gdyby Bóg chciał

wysłać nas razem, znalazłby sposób, żeby tak się stało. Mam tu swoje małe misje, nie tak egzotyczne i przełomowe jak Twoja, ale także wartościowe. Gdziekolwiek jesteśmy, na naszej ścieżce życia spotykamy zagubione dusze. Zagniewane, przestraszone dusze, które nieświadome istnienia Chrystusowego światła przeklinają ciemności.

Jak wiesz, chrześcijanie także potrafią zapomnieć o świetle Chrystusa. Od kiedy wyjechałeś, w naszym kościele zapanowało dziwne zamieszanie – burza w szklance wody, ale przysporzyło mi to trochę zmartwień. Kilka osób z naszego zgromadzenia – w większości starsi członkowie – zaczęło narzekać, że głoszenie Słowa Bożego „kosmitom” to „nie nasza sprawa”. Dowodzą, że Jezus umarł tylko za istoty ludzkie. Pewnie gdyby przycisnąć w tej kwestii panią Shankland, powiedziałaaby, że Jezus umarł za białych Anglików z klasy średniej! Geoff w sumie sprawdza się w roli pastora, ale nie chce być postrzegany jedynie jako Twój zastępca i bardzo zależy mu na pełnej akceptacji. W kazaniach jest szczery, ale ostrożny. Nigdy nie wali prawdy prosto z mostu jak Ty. Więc... zamieszanie trwa. „Dlaczego nie do Chin? Tam są miliony potrzebujących, moja droga”. Dziękuję, pani Shanks, za te słowa pełne mądrości.

Kochany, naprawdę muszę już iść i wziąć prysznic (jeśli odpływ znowu się nie zatkał) i skombinować coś do jedzenia. W supermarkecie ciągle brakuje moich przysmaków (od kilku dni nie ma nawet tych okropnych, ale zjadliwych rurek z kremem!), więc zostałam zmuszona przeczucić się na inny deser, rodzaj eklerek z ziaren zbóż i czekolady, które wyrabia miejscowa piekarnia. Tym lepiej, powinnam wspierać lokalnych przedsiębiorców.

Kończę tym morałem, uściski i całusy od Twojej rozemocjonowanej i podziwiającej Cię żony!

Bea

Peter starał się wyobrazić sobie panią Shankland. Na pewno ją spotkał i z nią rozmawiał, tak jak z każdym członkiem kościoła, ale teraz miał pustkę w głowie. Może przedstawiła mu się inaczej, nie jako pani Shankland, tylko jako Edith, Millicent albo Doris. Doris do niej pasuje.

Kochana Beo, napisał,

wyprawmy panią Shankland na misję do Chin. Jest w stanie nawracać tysiąc osób na godzinę za pomocą kilku trafnie dobranych słów.

Ale poważnie, wydarzenia nabierają tempa i być może przez pewien czas nie będę mógł do Ciebie pisać. Może nawet prze kilka tygodni. (Kilka tygodni dla Ciebie to kilka dni dla mnie, rozumiesz). To przerażająca perspektywa, ale czuję, że jestem w rękach Pana. Jak na ironię mam jednocześnie wrażenie, że jestem wykorzystywany przez

USIC do jakichś tylko im znanych celów.

Przepraszam, że wyrażam się tak zagadkowo. Chodzi o tajemnicę, jaką USIC roztacza wokół Kurtzberga, i ich podejrzliwość w stosunku do miejscowej ludności.

Ku mojej wielkiej uldze skutki Skoku minęły. Z pewnością przydałoby mi się więcej snu i nie jestem w stanie przewidzieć, jak poradzę sobie z siedemdziesięciodwugodzinnym dniem, ale przynajmniej nie dokucza mi już dezorientacja. Mój mocz nadal ma kolor pomarańczowy, ale to chyba nie z odwodnienia. To musi mieć coś wspólnego z tutejszą wodą. Czuję się całkiem dobrze, jestem wypoczęty i lekko zdenerwowany. Właściwie to roznosi mnie energia. Pierwsza rzecz, jaką zrobię, kiedy skończę ten list, to spakuję torbę i każę się odwieźć do osady (oficjalnie nazywa się C-2, chociaż niektórzy nazywają ją Miastem Dziwołagów, urocze, prawda?) i tam zostanę. Porzucony? Można to tak ująć. Nie ma sensu jechać tam w ochronnej kapsule na krótkie spotkanie i przelotny uścisk dłoni, z szoferem z USIC, który zaparkuje obok, nie gasząc silnika. Nawet gdybym miał swój własny niewielki samochód, to też oznaczałoby: „Przyjechałem z krótką wizytą, pójdę sobie, jak już będę miał was dość”. To złe przesłanie! Jeżeli Bóg ma dla mnie jakiś plan, który mam zrealizować wśród tych ludzi, muszę oddać się w ich ręce.

Jasne, nie doradzałbym takiego postępowania Pawłowi, kiedy przebywał wśród Koryntian i Efezjan, ale ja chyba nie znajduję się na wrogim terytorium, prawda? Do tej pory największą niechęć okazywał mi Severin, który był trochę podminowany podczas podróży. (Przy okazji, nie widziałem go od tamtej pory).

W całym tym podnieceniu, w oczekiwaniu na to, co ma się zdarzyć, muszę pamiętać, o czym Ci jeszcze nie napisałem. Tak bardzo bym pragnął, abyś była tu ze mną i mogła obejrzeć to wszystko na własne oczy. Nie dlatego, że bym chciał zaoszczędzić sobie kłopotu z opisywaniem (choć muszę przyznać, że moje mierne zdolności w tej dziedzinie stają się coraz bardziej oczywiste!), ale ponieważ mi Ciebie brakuje. Żałuję, że przeżywam najbardziej spektakularne chwile w swoim życiu bez Ciebie. Kiedy nie ma Cię przy mnie, czuję, jakby moje oczy były tylko kamerą, taką, jakich używa się w monitoringu i która nie potrafi nic nagrywać. Sekunda po sekundzie pokazuje obrazy, które giną bezpowrotnie zastępowane kolejnymi, a żaden z nich nie znajduje właściwego widza.

Gdybym mógł Ci przesłać fotografię albo film! Jak szybko przystosowujemy się do nowych rzeczy i chcemy ich coraz więcej... Technologia, która pozwala mi przesłać do Ciebie te słowa na niewyobrażalną odległość, jest naprawdę cudowna (czy to świętokradcze stwierdzenie?), a jednak po kilkakrotnym użyciu Sztosu już się zastanawiam, dlaczego nie mogę przesyłać też zdjęć.

Patrzył na ekran. Był szary, o perłowym połysku, a tekst unosił się zawieszony w wypełniającej monitor plazmie. Gdyby Peter zmrużył oczy, ujrzałby swoje mgliste odbicie: niesforne blond włosy, duże jasne oczy, mocno zarysowane kości policzkowe. Własna twarz, dziwna i znajoma.

Rzadko patrzył w lustro. W domu przy porannej toalecie – prysznic, golenie i przeczesanie włosów (kilka prostych ruchów, żadnego układania) – wiedział, że lustro w żaden sposób nie może poprawić jego wyglądu. Przez te wszystkie lata, które bezpowrotnie zmarnował na alkohol i narkotyki, zaczynał dzień od badania swojego odbicia i szacowania strat, które poniósł w nocy: rozcięcia, siniaki, przekrwione oczy, pożółkła cera, popękane usta. Kiedy rzucił nałogi, nie było już takiej potrzeby. Mógł mieć pewność, że jego twarz nie zmieniła się drastycznie. Jeśli zauważał, że ma za długie włosy, bo zaczynały zasłaniać oczy, prosił żonę, żeby go ostrzygła. O głębokiej bliźnie pomiędzy brwiami przypominał sobie tylko wtedy, kiedy Bea gładziła go tam delikatnie palcami, gdy kończyli się kochać. Zaniepokojona marszczyła czoło, jakby po raz pierwszy zauważała ten ślad. Kształt podbródka stawał się realny, kiedy mościł się w zagłębieniu jej ramienia. Szyja materializowała się tylko pod dotknięciem jej dłoni.

Tęsknił za nią. Bóg jeden wiedział jak bardzo.

Przestało padać, stukał na klawiaturze. Powiedziano mi, że będzie sucho przez następne dziesięć godzin, potem kilkanaście godzin deszczu i znów dziesięć godzin bez opadów. Potem kolejny deszcz itd. To wiarygodna prognoza. Słońce grzeje mocno, ale nie pali. Są tu jakieś owady, na szczęście nie gryzą. Przed chwilą zjadłem solidny posiłek. Gulasz z soczewicy i chleb pita, bardzo sycące, choć trochę ciężkostrawne. Chleb pieczony z miejscowych kwiatów, soczewica importowana, jak sądzę. Na deser pudding czekoladowy, który nie był z prawdziwej czekolady. Zastanawiam się, czy przeszedłby u Ciebie egzamin, biorąc pod uwagę Twoje wybredne podniebienie! Mnie smakował. Może czekolada była prawdziwa, ale pudding był zrobiony z czegoś innego, na pewno.

Wstał od stołu i podszedł do okna, pozwalając światłu, by ogrzało mu ciało. Zdawał sobie sprawę, że prostokąt barwionego szkła, chociaż ogromny, pokazuje tylko niewielki fragment nieba. Skąpane w niedającej się opisać różnorodności delikatnych kolorów, nawet w tym okrojonym kształcie było zbyt duże, aby ogarnąć je jednym spojrzeniem. Bea, otrzymując te wiadomości, także wpatrywała się w szklany prostokąt. Nie widziała tego co on, nawet jego odbicia, tylko słowa. Z każdym listem, tak ubogim i nieadekwatnym, jego obraz w jej pamięci stawał się coraz słabszy i mniej wyraźny. Nie miała wyboru, musiała wyobrażać go sobie w pustce, otoczonego dziwnymi elementami, które krążyły wokół jak kosmiczne śmieci: plastikowy pojemnik na lód, szklanka zielonej wody, miska gulaszu z soczewicy.

Kochana Beo, pragnę Cię. Chciałbym, żebyś stała tu razem ze mną.

Światło i ciepło słońca na Twojej nagiej skórze, moje ramię na Twojej talii, palce muskają ciało. Jestem gotów. Chciałbym, żebyś mogła się przekonać jak bardzo! Kiedy zamknę oczy, czuję, jak nasze piersi się dotykają, jak oplatają mnie twoje nogi.

Nowy Testament tak niewiele mówi o miłości fizycznej, najczęściej ustami Pawła, który z ubolewaniem i niechętnie toleruje tę ludzką słabość. Ale jestem pewien, że Jezus nie traktował tego w ten sposób. To On mówił o kochankach, którzy stają się jednym ciałem. To On okazywał współczucie prostytutkom i cudzołożnikom. Jeżeli potrafił zrozumieć tych, którzy niewłaściwie korzystali z seksualnych namiętności, dlaczego miałoby Go zgorszyć szczęśliwi małżonkowie? To znamienne, że jedyny cud nieodnoszący się do „sytuacji nadzwyczajnej” miał miejsce na weselu, kiedy chciał po prostu dać ludziom radość. Wiemy nawet, że nie miał oporów przed pieśczołami ze strony niewiast, bo w innym przypadku nie pozwoliłby tej kobiecie z rozdziału siódmego u Łukasza całować swoich stóp i wycierać ich włosami. (To równie namiętne jak najgorętsze fragmenty *Pieśni nad Pieśniami*). Ciekawe, jaki miał wyraz twarzy, kiedy ona to robiła? Staromodny obraz religijny na pewno pokazałby Go z kamienną twarzą, wpatzonego gdzieś w przestrzeń, niezwracającego na nią uwagi, jakby nic się nie działo. Ale Jezus nie ignorował ludzi. Był czuły i troskliwy. Nie pozwoliłby, aby czuła się głupio.

Wiem, Jan mówi: „Nie miłujcie świata ani tego, co jest na świecie! Jeśli kto miłuje świat, nie ma w nim miłości Ojca. Wszystko bowiem, co jest na świecie, a więc: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha twego życia, nie pochodzi od Ojca, lecz od świata. Świat zaś przemija, a z nim jego pożądliwość; kto zaś wypełnia wolę Bożą, ten trwa na wieki”<sup>12</sup>. Ale tu chodzi o coś innego, o te WSZYSTKIE przyziemne sprawy i rzeczy, którymi się przejmujemy, całe brzemie naszej fizyczności. Poza tym sędzę, że Jan zbyt surowo traktował ludzi. Zakładał, że Drugie Przyjście nastąpi za jego życia, że może zdarzyć się w każdej chwili, może nawet następnego dnia po południu, ale na pewno nie po wielu stuleciach, kiedyś, w odległej przyszłości. Wszyscy wcześnie chrześcijanie w to wierzyli i to czyniło ich nietolerancyjnymi w stosunku do każdej działalności, która nie służyła zbawieniu. Ale Jezus rozumiał – Bóg rozumie – że ludzie muszą przeżyć całe swoje życie, zanim umrą. Mają przyjaciół, rodziny i pracę, muszą urodzić i wychować dzieci i miłować swoich kochanków.

Moja kochana, seksowna, cudowna żono. Wiem, że duchem jesteś ze mną, ale niestety Twoje ciało jest tak daleko. Mam nadzieję, że będziesz to czytać wyspana i wypoczęta, po długiej spokojnej nocy pełnej wspaniałych snów (nieprzerywanych przez Joshuę!). Za kilka godzin moje pragnienie, by Cię przytulić, nadal będzie niespełnione, ale liczę,

że tam, gdzie się wybieram, stanę się zwiastunem dobrych wieści.

Kocham Cię

Peter

Grainger, mrużąc oczy, wysiadła z samochodu gotowa do drogi. Nie przebrała się – nadal miała na sobie ten sam bawełniany chałat i spodnie, teraz nieco już wygniecione. Chustę owiniętą niedbale wokół szyi pokrywały kropelki wody spadające z włosów, które sterczały jej na głowie jak futro mokrego kota. Może dźwięk budzika wyrwał ją z głębokiego snu i miała czas tylko pobieżnie obmyć twarz? Czy Peter zachował się nietaktownie, nalegając, by zawiozła go z powrotem tak szybko? Ale kiedy się rozstawali, podkreślała, że jest do jego dyspozycji.

– Przepraszam, jeśli sprawiam ci kłopot – powiedział. Stał w cieniu mieszkalnego skrzydła budynku, tuż obok wyjścia, które znajdowało się najbliżej jego kwatery. Na plecach miał plecak, już wilgotny od potu.

– Nie sprawiasz kłopotu – odparła. Z jej mokrych włosów wystawionych na działanie drgającego powietrza zaczynały się unosić delikatne poskręcane smużki pary. – I przepraszam, że tak zrzędziłam rano, w powrotnej drodze. Religijne namiętności zawsze mnie przerażają.

– Tym razem postaram się nie okazywać namiętności.

– Chodziło mi o obcego. – Wymówiła to słowo, jakby nie pamiętała przemowy Petera.

– Z pewnością nie miał zamiaru cię zdenerwować.

Wzruszyła ramionami.

– Przyprawiają mnie o dreszcze. Za każdym razem. Nawet kiedy zachowują się spokojnie i nie zbliżają się za bardzo.

Wyszedł z cienia. Odsunęła się, żeby umożliwić mu dostęp do bagażnika. Był już otwarty, silnik pracował – samochód był gotów do drogi.

– Myślisz, że chcą ci zrobić krzywdę? – zapytał.

– Nie, chodzi o ich wygląd – powiedziała, odwracając głowę. Patrzyła w stronę linii horyzontu. – Kiedy próbuję spojrzeć im w twarz, to widzę kupe flaków.

– Ja miałem skojarzenia z płodami.

– Błagam. – Wzdrygnęła się.

– No cóż – powiedział wesoło, podchodząc do samochodu – chyba znów nie najlepiej zaczęliśmy rozmowę.

Kiedy zdejmował z ramion plecak, kątem oka zauważył, że Grainger ocenia rozmiary jego bagażu. Musiała spojrzeć dwa razy, by się upewnić, że tylko tyle zabiera ze sobą.

– Z tym małym tornistrem wyglądasz, jakbyś się wybierał na wycieczkę w góry.

Uśmiechnął się i wrzucił plecak do bagażnika.

– *Val de ri* – zaśpiewał, parodiując operowy baryton – *val de ra! Val de ri!!!*

*Val de ra, ha, ha, ha...*

– A teraz naigrawasz się z jednego z moich idoli – powiedziała, oparłszy dłonie na biodrach.

– Słucham?

– Bing Crosby.

Peter spojrzał na nią rozbawiony. Słońce ciągle jeszcze znajdowało się nisko nad horyzontem i przez trójkąt uformowany przez jej zgięte w łokciach ramiona prześwitywało różowe światło, rozpraszając rzucany przez nią cień.

– Hm... Czy Bing Crosby śpiewał też *Szczęśliwego wędrowca*?

– Myślałam, że to jego utwór.

– To stara niemiecka piosenka ludowa.

– Nie wiedziałam. Myślałam, że to kawałek Binga. Zeszłego roku bez przerwy puszczała to w radiowęźle.

Podrapał się po głowie, rozkoszując się tym niesamowitym dniem. Nieskończenie wielkie niebo z ogromnym słońcem, siłownia pod altaną, jego nowi, dziwni parafianie czekający na kolejną porcję Słowa Bożego i rozmowa na temat autorstwa *Szczęśliwego wędrowca*. Powietrze wykorzystało moment, w którym uniósł ramię, i znalazłszy nowe dojścia, wślizgnęło się pod ubranie niczym pędy pnącej rośliny. Muskało go między spoconymi łopatkami, owiewało sutki, przemykało po żebrach.

– Nie wiedziałem, że Bing Crosby znów stał się modny – powiedział.

– Tacy artyści są ponadczasowi – stwierdziła Grainger z niekłamanym zapałem. – Ludzie mają dość bezmózgiego disco czy tandetnego, marnego rocka. – Zaczęła naśladować arogancką gwiazdę uderzającą struny sterczącej niczym fallus gitary. Chociaż pantomima miała wyrażać lekceważenie, Peter uznał, że ma pewien urok. Szczupłe ramię wygrywające akordy na niewidzialnym instrumencie, wypięty biust, który przypomniawszy mu, jak miękkie i sprężyste są kobiece piersi.

– Moda przemija – podsumowała. – Potrzeba nam czegoś z klasą, czegoś, co przetrwało próbę czasu.

– W pełni się zgadzam.

Kiedy już siedzieli szczelnie zamknięci we wnętrzu samochodu i jechali przez pustkowia, Peter znów podjął temat przesyłania informacji.

– Pisałaś do mojej żony – powiedział.

– Tak, wysłałam jej grzecznościową wiadomość. Żeby wiedziała, że dotarłeś bezpiecznie.

– Dziękuję. Sam piszę do niej, kiedy tylko mogę.

– To słodkie. – Skupiła wzrok na nudnym brunatnym horyzoncie.

– Jesteś pewna, że nie dałoby się zorganizować dla mnie Sztosu w osadzie Oazjan?

– Mówiłam ci, że nie mają elektryczności.



– A Sztos nie może pracować na baterie?  
– Jasne. Można na nim pisać wszędzie. Możesz napisać całą książkę, jeśli chcesz. Ale żeby wysłać wiadomość, potrzebne jest coś więcej niż maszyna, która zaczyna świecić, kiedy ją włączysz. Potrzebne jest połączenie z siecią USIC.

– Nie ma... nie wiem, jak to nazwać... przekaźnika? Wieży transmisyjnej? – Już kiedy wypowiadał te słowa, zrozumiał, że gada głupstwa. Przed nimi rozciągała się surowa i pusta przestrzeń.

– Nie – odparła. – Nigdy nie potrzebowaliśmy czegoś takiego. Musisz pamiętać, że pierwotnie osada znajdowała się w pobliżu bazy.

Peter westchnął i oparł głowę o zagłówek.

– Będzie mi brakowało kontaktu z Beą – powiedział jakby do siebie.

– Nikt nie nalega, żebyś mieszkał z tymi... ludźmi – przypomniała mu Grainger. – To twój wybór.

Nie odpowiedział, ale równie dobrze mógł swój milczący sprzeciw wypisać na przedniej szybie wielkimi czerwonymi literami: TO BÓG DECYDUJE O TAKICH SPRAWACH.

– Lubię prowadzić – dodała Grainger po paru minutach. – To mnie odpręża. Mogłabym wozić cię tam i z powrotem co dwanaście godzin. Bez problemu.

Skinął głową.

– Mógłbyś codziennie kontaktować się z żoną – ciągnęła. – Miałbyś prysznic, posiłki...

– Jestem pewien, że ci ludzie nie pozwolą, abym głodował lub zarósł brudem – powiedział. – Ten, który wyszedł na nasze powitanie, wyglądał dość schludnie.

– Rób, co chcesz, jeśli uważasz, że tak ci wygodniej – powiedziała i nacisnęła gaz. Przyśpieszyli raptownie. Silnik wydał z siebie dźwięk przypominający lekkie trzaśnięcie z biczem, a tylne koła wyrzuciły w powietrze grudy wilgotnej ziemi.

– Nie robię tego dla własnej wygody – powiedział. – Dla własnej wygody powinienem przyjąć twoją wspaniałomyślną propozycję. Muszę brać pod uwagę, co będzie najlepsze dla tych ludzi.

– Bóg jeden wie – mruknęła pod nosem, a potem, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, z pewnym zażenowaniem uśmiechnęła się do Petera.

Chociaż słońce stało już wysoko, widok się nie zmienił, a okolica nie stała się bardziej kolorowa czy urozmaicona. Jednak na swój sposób była piękna, spokojem charakterystycznym dla nieskończonych, jednorodnych przestrzeni, jak morza, niebo czy pustynie. Nie było tu wysokich gór ani pagórków, ale teren był delikatnie pofalowany, naznaczony zmarszczkami jak potargany wiatrem piasek wydmy. Podobne do grzybów kwiaty – przypuszczał, że są to owe słynne białe kwiaty – połyskiwały jaskrawo.

– Jaki piękny dzień – powiedział.

– Uhm – przytaknęła Grainger.

Kolor nieba był trudny do określenia, a delikatne przejścia pomiędzy poszczególnymi tonami prawie nieuchwytnie dla oka. Nie było chmur, chociaż gdzieś dały się dostrzec dziwne rozbłyski. Pojawiały się nieostre, jakby zamglone bańki powietrza, które po kilku chwilach rozjarzały się i znikaly. Początkowo Peter obserwował te zjawiska z uwagą. Natężał wzrok, starając się zrozumieć ich naturę lub chociaż docenić piękno. Ale poczuł tylko, że wzrok mu się męczy, i szybko nauczył się odwracać spojrzenie, kiedy pojawiał się kolejny błysk. Za to widok ciemnej wilgotnej ziemi, bez śladu dróg, obsypanej białymi kwiatami, działał kojąco. Oczy mogły odpocząć.

Jednak musiał przyznać, że widywał już okolice o wiele piękniejsze. I to nie raz. Spodziewał się niewyobrażalnych, zadziwiających krajobrazów, kanionów wypełnionych strzępami mgły, tropikalnych mokradeł rojących się od egzotycznych, nieznanych zwierząt i roślin. Nagle przyszło mu do głowy, że ten świat może być całkiem nieatrakcyjny w porównaniu z jego własnym. Ta myśl uderzyła go tak silnie, że spowodowała przyływ miłości do ludzi, którzy tu mieszkali i nie znali nic piękniejszego.

– Hej, właśnie sobie uświadomiłem – powiedział do Grainger – że nie widziałem żadnych zwierząt. Tylko kilka owadów.

– Tak, różnorodność gatunków jest tu dość ograniczona – powiedziała. – Lichy materiał na zoo.

– To wielki świat. Może odkryliśmy dopiero mały kawałeczek.

Przytaknęła.

– Za każdym razem, kiedy jestem w C-2, przysięgłabym, że jest tam więcej owadów niż w bazie. Poza tym są tu podobno ptaki. Nigdy ich nie widziałam, ale Tartaglione, który bez przerwy włóczył się wokół C-2, powiedział mi, że kiedyś je widział. Może miał halucynacje. Życie na pustkowiu potrafi nieźle namieszać w głowie.

– Postaram się zachować swój umysł w jak najlepszym stanie – obiecał. – Ale mówiąc poważnie, co tak naprawdę się z nim stało, jak myślisz? Z nim i z Kurtzbergiem?

– Nie mam pojęcia. Obaj po prostu zaginęli.

– Skąd wiecie, że nie są martwi?

Wzruszyła ramionami.

– Nie zniknęli nagle. To następowało stopniowo. Wracali do bazy coraz rzadziej. Stali się... jakby obcy. Nie chcieli trzymać się z innymi. Tartaglione był kiedyś naprawdę towarzyskim facetem. Straszny gaduła, ale go lubiłam. Kurtzberg też był w porządku. Kapelan wojskowy. Lubił mi opowiadać o swojej żonie. Jeden z tych sentymentalnych starych wdowców, którzy ponownie się nie żenią. Przeszłość sprzed czterdziestu lat była dla niego jak wczorajszy dzień, jakby ta żona ciągle żyła, jakby tylko gdzieś tam się ubierała i w każdej chwili mogła się zjawić. Smutne, ale romantyczne.

Patrząc, jak wyraz zadumy i melancholii odmienia jej twarz, Peter poczuł ukłucie zazdrości. Chociaż to było dziecinne, chciał, by Grainger podziwiała go tak samo, jak podziwiała Kurtzberga. A nawet bardziej.

– Jak ci się podobał jako pastor?

– Podobał?

– Jaki był? Jako kapłan?

– Skąd mogę wiedzieć? Był tutaj od początku, zanim przyjechałam. On... udzielał porad członkom personelu, którzy mieli kłopoty z adaptacją. W pierwszym okresie byli w ekipie ludzie, którzy tak naprawdę nie powinni się tu znaleźć. Myślę, że Kurtzberg starał się im pomóc. Bez rezultatów, i tak musieli odpaść. Więc USIC zaostrzył reguły rekrutacji. I zredukował zatrudnienie. – Wyraz zadumy zniknął, jej twarz znów przybrała obojętny wyraz.

– Musiał to odczuć jako porażkę.

– Nie traktował tego w ten sposób. To był beztroski facet. Poza tym przyjazd Tartaglione go podniósł na duchu. Dobrze się dogadywali, byli jak drużyna. Mieli wielki wpływ na obcych. Miejscowych, jak wolisz. Robili postępy. Miejscowi uczyli się angielskiego, Tartaglione uczył się... nieważne. – Kilka owadów pojawiło się przed przednią szybą. Ich ciała rozpadły się pod wpływem uderzenia, brązowy sok spływał po szkle. – I wtedy coś w nich wstąpiło.

– Może złapali jakąś chorobę?

– Nie wiem. Jestem farmaceutką, nie lekarzem.

– Skoro o tym mowa... – powiedział Peter. – Czy masz leki dla Oazjan?

Zmarszczyła brwi.

– Nie, nie miałam czasu na grzebanie w aptece. Zresztą na te środki potrzeba pozwolenia.

– Na takie jak morfina?

Odetchnęła głęboko.

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie powiedziałem, co myślę.

– Myślisz, że dajemy im narkotyki. To nie tak. Dajemy im lekarstwa. Antybiotyki, środki przeciwzapalne, łagodne preparaty przeciwbólowe. Jestem przekonana, że używają ich zgodnie z przeznaczeniem.

– Nie oskarżałem cię o nic – zapewnił. – Usiłuję pojąć, co ci ludzie mają, a czego nie. Nie mają szpitali?

– Chyba nie. Technika nie jest ich mocną stroną. – Wymówiła słowo „technika” szyderczo, akcentując je przesadnie, jak Amerykanie, którzy chcą się ponabijać z Francuzów.

– A więc są prymitywni, tak byś ich określiła?

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami.

Znów oparł głowę o zagłówek i zaczął rekapitulować to, czego do tej pory dowiedział się o swojej trzódce. Spotkał tylko jednego z nich, co według wszelkich standardów stanowiło niewielką próbkę. Ta osoba nosiła szatę z

kapturem, prawdopodobnie ręcznej roboty (tak wyglądała). Jego rękawiczki i buty... Także zrobione ręcznie, chociaż wykonanie było mistrzowskie. Potrzebne są maszyny, żeby zszyć skórę tak starannie. Albo bardzo silne palce.

Przypomniał sobie architekturę osiedla. Była prosta, ale przemyślana, na dużo wyższym poziomie niż gliniane chatki czy dolmeny, ale trudno było ją uznać za wytwór zaawansowanej cywilizacji technicznej. Z pewnością każda cegła została uformowana ręcznie, wypalona w zwykłym piecu i dostarczona na miejsce dzięki ludzkiej – oazjańskiej – pracy. Być może w budynkach niespenetrowanych przez osobników w rodzaju Grainger znajdowały się najprzeróżniejsze cuda techniki. A może nie. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: nie było elektryczności i nie było sposobu, aby podłączyć Sztoś.

Zastanawiał się, co pomyślałby o nim Bóg, gdyby teraz, tu, w samochodzie, Peter oznajmił, że za wszelką cenę chce się dowiedzieć, czy Bea mu odpisała, i w związku z tym Grainger musi zawrócić i odwieźć go z powrotem do bazy. Grainger uznałaby, że histeryzuje. Lub byłaby wzruszona siłą jego miłości. Kto wie, może to, co wygląda na krok wstecz, w rzeczywistości jest Bożym planem. Bóg pchnie go naprzód, wykorzystując przerwę w podróży, i umieści go w precyzyjnie określonym miejscu w idealnie ustalonym czasie. A może to tylko szukanie teologicznego usprawiedliwienia dla swojego tchórzostwa? Pod wpływem stresu? Jest poddawany próbie, to oczywiste, ale jaka jest natura tego doświadczenia? Czy ma okazać pokorę, żeby Grainger zobaczyła jego słabość, czy zademonstrować siłę i kontynuować podróż?

„O Panie – modlił się. – Wiem, że to niemożliwe, ale chciałbym wiedzieć, czy Bea już mi odpisała. Pragnąłbym zamknąć oczy i zobaczyć jej słowa, tutaj, w tym samochodzie”.

– Dobra, Peter, to twoja ostatnia szansa – odezwała się Grainger.

– Ostatnia szansa?

– Żeby sprawdzić wiadomość od żony.

– Jak to?

– W samochodzie jest Sztoś, ciągle jesteśmy w zasięgu odbiornika USIC. Za pięć lub dziesięć minut będziemy już za daleko.

Poczuł, że się czerwieni. Uśmiechnął się tak szeroko, że aż zaboląły go policzki. Miał ochotę ją objąć.

– Tak! Bardzo proszę!

Grainger zatrzymała samochód, ale nie zgasiła silnika. Otworzyła skrytkę w desce rozdzielczej i wyciągnęła wąski przedmiot z plastiku i stali. Kiedy go rozłożyła, okazało się, że jest to monitor i miniaturowa klawiatura. Peter wydał niewyraźny dźwięk, który miał wyrażać zdziwienie i podziw, najzupełniej zrozumiały w tych okolicznościach. Zawahali się, które z nich ma włączyć aparat, i ich palce zetknęły się na obudowie konsoli.

– Nie śpiesz się – powiedziała Grainger, sadowiąc się wygodnie w fotelu i

odwracając głowę w kierunku bocznej szyby. Był jej wdzięczny za delikatność.

Przez minutę – sześćdziesiąt męczących sekund – na ekranie widać było tylko informację o nawiązywaniu połączenia, a potem monitor Sztosu całkowicie zapełniły słowa. Słowa Bei. Niech Bóg ją błogosławi, odpowiedziała!

Kochany mój, pisała,

siedzę na górze w naszym gabinecie. Jest szósta wieczorem, jeszcze zupełnie jasno, a pogoda lepsza niż wcześniej w ciągu dnia. Słońce stoi już nisko, delikatnie świeci żółtawym światłem, promienie padają przez okno wprost na wiszący na ścianie kolaż, który zrobili dla mnie Rachel, Billy i Keiko. Te dzieciaki muszą już mieć po kilkanaście lat, ale ich cudowne przedstawienie arki ze zwierzętami zachowało całą świeżość i oryginalność i wcale się nie zestarzało. Sposób, w jaki Rachel wykorzystywała kawałki pomarańczowej wełny, żeby zrobić grzywę lwa, nie przestaje mnie zachwycać, zwłaszcza kiedy – tak jak teraz – oświetla ją wieczorne słońce. Szyja jednej z żyraf odkleiła się i opadła; będę musiała to naprawić.

Przed chwilą wróciłam z pracy – co za rozkosz móc wreszcie usiąść. Jestem jeszcze zbyt zmęczona, by wziąć prysznic. Pobiegłam od razu na górę, żeby sprawdzić Sztos, i Twoja wiadomość już na mnie czekała.

Rozumiem, dlaczego nie możesz się doczekać, by zamieszkać z Oazjanami. Oczywiście Bóg jest z Tobą i nie powinieneś zwlekać bez potrzeby. Jednak postaraj się nie tracić rozsądku! Pamiętasz, jak ten szalony Szwed z naszej szkółki biblijnej ofiarował się Jezusowi? Powiedział, że jego wiara w Pana jest tak silna, że może się nie przejmować nakazem eksmisji wydanym przez radę miejską, bo Bóg w ostatniej chwili zapewni mu odroczenie tej decyzji! Dwa dni później stanął na naszym progu z workiem na śmieci, w którym miał cały swój dobytek... Nie twierdzę, że jesteś takim wariatem jak on, przypominam tylko, że nie najlepiej sobie radzisz z praktyczną stroną życia, a złe rzeczy mogą się przytrafić każdemu, także źle przygotowanym chrześcijanom. Musimy zachować równowagę pomiędzy wiarą w opiekę naszego Pana a szacunkiem dla daru życia i tego ciała, którego nam użyczono.

A to oznacza: kiedy wyruszysz, by zamieszkać ze swoją nową trzódką, upewnij się, błagam, czy masz 1. jakiś sposób na wezwanie pomocy w razie kłopotów, 2. żelazną porcję żywności i wody, 3. LEKARSTWA NA BIEGUNKĘ, 4. współrzędne bazy USIC i osady Oazjan, które pozwolą ci w razie czego skorzystać z kompasu, 5. i oczywiście kompas.

Peter zerknął na Grainger, żeby sprawdzić, czy nie czyta, zaglądając mu przez ramię, ale ona nadal wpatrywała się w okno. Udawała bardzo

zainteresowaną krajobrazem. Trzymała dłonie na kolanach, lekko ściskając tkaninę chałatu. Małe zgrabne dłonie z białymi, krótko obciętymi paznokciami.

Był speszony, bo – nie licząc butelki zielonej wody z kranu – nie przedsięwziął żadnego z wymienionych w liście Bei środków ostrożności. Nie zabrał nawet pigułek na biegunkę, które specjalnie dla niego kupiła. Na pewno nie obciążąłyby plecaka, a jednak je zostawił. Dlaczego? Czy był takim samym głupkiem jak szalony Szwed? Może czerpał dumę z faktu, że ma tak mały bagaż? Miał świadczyć o jego determinacji: dwie Biblie (Króla Jakuba i nowy przekład, taki jak Kurtzberga, wydanie czwarte), pół tuzina niezmywalnych mazaków, notatnik, ręcznik, nożyczki, rolka plastra opatrunkowego, grzebień, latarka, plastikowy portfelik z fotografiami, podkoszulek, gatki. Zamknął oczy i pomodlił się. „Czy zachowuję się jak pijany na tej misji?”

Odpowiedź przyszła w postaci przypływu dobrego samopoczucia, jakby w jego krwi zaczęła krążyć jakaś dobroczynna substancja.

– Zasnąłeś? – zapytała Grainger.

– Nie, skądże, tylko się... zamyśliłem.

– Aha.

Wrócił do listu, a Grainger znów zajęła się kontemplacją pustej przestrzeni.

Joshua pomaga mi pisać. Jak zwykle leży pomiędzy klawiaturą a monitorem, zasłaniając górne klawisze tylnymi łapami i ogonem. Ludzie myślą, że jestem pedantką, bo zapisuję liczby słowami, wystukuję „funty” zamiast użyć „£”, ale przyczyna tkwi w tym, że muszę podnieść rozspanego kota za każdym razem, kiedy chcę użyć klawiszy symboli. Właśnie to zrobiłam i Joshua wydał ten swój zabawny gardłowy dźwięk. Ostatnią noc przespał w całości, nawet nie miauknął (tylko czasem pomrukiwał). Może wreszcie zaczyna się przyzwyczajać do Twojej nieobecności. Szkoda, że ja nie potrafię! Ale nie martw się, jakoś sobie radzę.

Media przestały się już zajmować tragedią Malediwów. W gazetach nadal pojawiają się krótkie artykuły (nie na pierwszych stronach) i ogłoszenia organizacji charytatywnych, ale nagłówki i najważniejsze relacje (o ile mogę się zorientować z migawek wiadomości w moim telefonie) dotyczą już innych spraw. Amerykański kongresman został aresztowany za zabójstwo żony. Strzelił jej z bliska w głowę ze strzelby, kiedy pływała w ich basenie ze swoim kochankiem. Dziennikarze muszą odczuwać ulgę. Makabryczne wydarzenia z Malediwów musieli relacjonować, unikając chorobliwego wścibstwa, podczas gdy w tej sprawie mogą dać upust wulgarności. Cała górna część głowy kobiety została roztrzaskana, kawałki mózgu (jakie pikantne szczegóły!) pływały w wodzie. Kochanek też zginął, postrzelony w brzuch („prawdopodobnie kongresman celował w krocze”). Mnóstwo różnych artykułów o kongresmanie, historia jego życia, osiągnięć, zdjęcia, jak otrzymuje dyplom w college’u etc. Żona wyglądała (kiedy jeszcze miała

głową) dokładnie tak, jak można sobie wyobrazić: olśniewająca uroda, trochę nie z tego świata.

Stosunki pomiędzy Mirah i jej mężem się poprawiły. Spotkałam ją na przystanku autobusowym, była rozchichotana jak kokietka. Nie wracała już do sprawy nawrócenia na chrześcijaństwo, rozmawiała o pogodzie (znów lało jak z cebra). Spoważniała dopiero, kiedy zaczęłyśmy mówić o Malediwach. Większość mieszkańców była muzułmanami, sunnitami; Mirah ma teorię, że musieli rozgniewać Allacha, bo „robili złe rzeczy turystom”. To bardzo zagubiona młoda dama, ale cieszę się, że pokonała kryzys. Będę się za nią nadal modlić. (Tak jak za twoją Corettę).

Skoro już mowa o muzułmanach – wiem, że wyrzucanie starych lub zniszczonych egzemplarzy Koranu uważają za straszny grzech. A ja właśnie zamierzam popełnić coś takiego. Pamiętasz to wielkie kartonowe pudło Nowych Testamentów, które stało we frontowym pokoju? Wygląda na to, że trzeba je będzie wyrzucić. Wiem, to może Cię zmartwić, zwłaszcza w kontekście Oazjan, którzy tak łakną Słowa Bożego. Ale mieliśmy powódź. Lało straszliwie, bez przerwy, przez pięć godzin. Chodniki zamieniły się w strumienie, studzienki kanalizacyjne nie są zaprojektowane na taką ilość wody. Teraz jest już w porządku, pogoda jest cudowna, ale połowa domów na naszej ulicy ucierpiała. U nas to tylko kilka zalanych dywanów, ale niestety książki stały na jednym z nich i za późno się zorientowałam, że nasiąkły wodą. Staralam się je wysuszyć przy grzejniku. I to był błąd! Jeszcze niedawno były to księgi Nowego Testamentu, a dziś to tylko bryły masy celulozowej.

Ale to nie Twój problem. Mam nadzieję, że ten list dotrze, zanim wyjedziesz!

Bea

Peter odetchnął głęboko, coś ścisnęło go w gardle.

– Czy zdążę napisać odpowiedź? – zapytał.

– Powinam była zabrać książkę – uśmiechnęła się Grainger.

– Będę się śpieszył.

Kochana Beo, napisał i utknął. Serce waliło mu jak młotem, Grainger czekała, silnik pracował. To było niemożliwe.

Nie mam czasu na prawdziwy List, potraktuj to jak kartkę pocztową. Jestem w drodze!

Kocham

Peter

– Skończyłem – powiedział, przycisnąwszy guzik. Słowa wisiały na ekranie krócej niż zwykle. Transmisja nastąpiła prawie natychmiast. Może otwarta przestrzeń sprzyjała działaniu Sztosu, a może miało to związek z niewielkim rozmiarem tekstu.

– Naprawdę? – spytała Grainger. – Tak szybko?

– Tak.

Pochyliła się i włożyła Sztoś z powrotem do schowka. Poczł zapach spoconego ciała.

– Okej – powiedziała. – No to ruszajmy.

Przez resztę drogi niewiele rozmawiali. Przedyskutowali już najważniejsze sprawy – lub zgodzili się, że nie ma sensu dalej się nad nimi rozwodzić – i nie chcieli się rozstawać w złych stosunkach.

Dostrzegli osadę Oazjan na długo, nim osiągnęli cel podróży. W świetle dnia jarzyła się jak bursztyn oświetlany promieniami słońca. Widok może niekoniecznie zasługiwał na określenie wspaniały, ale bez wątpienia miał wiele uroku. Peterowi do pełni szczęścia brakowało tylko strzelistej kościelnej wieży.

– Jesteś pewien, że wszystko będzie dobrze? – zapytała Grainger, kiedy byli już niedaleko.

– Tak, jestem pewien.

– Możesz zachorować.

– Tak, mogę. Ale zdziwiłbym się, gdybym umarł.

– A co, jeśli naprawdę będziesz musiał wrócić?

– Wtedy Pan znajdzie jakiś sposób, żebym mógł to zrobić.

Przetrawiała przez chwilę jego odpowiedź, jakby zabił jej niezłego ćwieka.

– Następną oficjalną wizyta USIC, nasze regularne spotkanie handlowe, wypada za pięć dni – powiedziała rzeczowym, profesjonalnym, obojętnym tonem. – Za pięć prawdziwych dni, nie tych według twojego zegarka. Pięć cykli dnia i nocy. Trzysta... (sprawdziła zegar na desce rozdzielczej)... trzysta sześćdziesiąt zwykłych godzin od teraz.

– Dzięki – powiedział. Może postępował nieuprzejmie, nawet nie zanotował tych danych. Mógł przynajmniej zapisać je na dłoni, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie przeliczy trzystu sześćdziesięciu godzin na kolejne dni, podczas których będzie kładł się spać i wstawał o najróżniejszych porach. Rzeczy trzeba brać takimi, jakie są.

Kiedy zajechali na miejsce, C-2 wydawało się opuszczone. Pojazd zatrzymał się przy pierwszym budynku osady oznaczonym białą gwiazdą, w tym samym miejscu co poprzednio. Na ścianie domu pojawiło się coś nowego: świeżo wymalowany wielki napis. Białe, wysokie na trzy stopy litery głosiły: WITAMY.

– No, no – powiedziała Grainger. – Nie spodziewałam się tego po nich.

Zgasła silnik i otworzyła klapę bagażnika. Peter wysiadł, wyciągnął plecak i zarzucił go na ramiona. Chciał mieć wolne ręce. Zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej pożegnać się z Grainger – uściskać jej dłoń, uprzejmie skinać głową, pomachać od niechcenia?

Kryształowa zasłona skrywająca najbliższe wejście zamigotała, gdy sznury



paciorków odsunęły się na bok. Ze środka uroczystym krokiem wyszła niska zakapturzona postać. Peter nie był w stanie rozpoznać, czy to ta sama osoba, którą spotkał ostatnim razem. Pamiętał, że szata tamtego Oazjanina była niebieska, a ten miał na sobie pastelowożółtą. Dopiero kiedy Oazjanin stanął przed domem w świetle dnia, kolejna dłoń obciążona cienką rękawiczką rozsunęła zasłonę. Pojawiła się następna postać, ubrana na jasnozielono.

Oazjanie wychodzili z budynku jeden po drugim. Wszyscy byli delikatnej budowy, zakapturzeni, na rękach mieli rękawiczki, a na nogach miękkie skórzane buty. Ich szaty były jednakowego kroju, ale każda w innym kolorze lub odcieniu. Różowa, fioletowa, pomarańczowa, żółta, brązowa, beżowa, liliowa, ceglasta, łososiowa, czerwona, oliwkowa, zielona, lawendowa, gruszkowa, błękitna...

Postacie pojawiały się bez końca. Każdy, kto wychodził, przesuwał się, robiąc miejsce dla kolejnego, ale trzymali się razem, zbici w gromadkę jak rodzina. Po kilku minutach zgromadził się tłum siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu osób, w tym kilka mniejszych postaci, najwyraźniej dzieci. Większość twarzy skrywały kaptury, ale gdzieś pod ich cieniem można było dostrzec białoróżowe ciało.

Peter patrzył na nich oszołomiony, w radosnym podnieceniu.

Pierwszy z Oazjan odwrócił się do swoich ziomeków, uniósł ramiona i dał znak.

– **Nieswykła**aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa... – zaśpiewali uroczyście, wysokimi, czystymi głosami. Ostatnia samogłoska wybrzmiewała przez co najmniej dziesięć sekund, bez przerwy, w ogromnym wspólnym wydechu. Wibrowała tak długo, że Peter odebrał ją jak oderwany osobny dźwięk, niezwiązany z językiem czy melodią. Ale wtedy dołączyła spółgłoska – aczkolwiek niezidentyfikowana – i podwyższyła ton: – **ł**aaaaaaaa **s**ko, **j**aaaaaak **s**łooooooooodki **j**esp **p**wóóóóóóój **g**łoooooooooooo**s**, **o**caaaaaaaaaalił **g**sesnikaaaaaaa **p**akiegoooooooooo **j**aaaaaak **j**aaaaaaaaa!

Na energiczny ruch ręki dyrygenta śpiewacy umilkli, wszyscy w tym samym momencie, idealnie zsynchronizowani. Zacerpnęli tchu i z ponad siedemdziesięciu piersi wyrwało się ogromne westchnienie. Peter upadł na kolana, kiedy rozpoznał pieśń: hymn starej szkoły ewangelizacji, archetyp tandety reprezentowanej przez Armię Zbawienia, uosobienie wszystkiego, czego nie znosił, kiedy jako młody łobuz wciągał kreski amfy z poplamionych moczem desek klozetowych, wszystkiego, co uważał za durne, kiedy budził się w skorupie zaschniętych rzygów, wszystkiego, czym pogardzał, kiedy kradł z torebek pieniądze prostytutkom, wszystkiego, co wyśmiewał jako bezwartościowe, kiedy sam był toksycznym odpadem. „Kiedyś byłem zagubiony, teraz się odnalazłem”<sup>13</sup>.

Dyrygent znów skinął ręką. Chór podjął pieśń.

# II

## Na Ziemi

## Najszczęśliwszy dzień mojego życia

Peter tkwił zawieszony w siatce między ziemią a niebem, a jego ciało pokrywały ciemnoniebieskie owady. Nie interesował ich jako pokarm, po prostu wybrały go na miejsce odpoczynku. Za każdym razem, gdy przeciągał się lub kaszłał, insekty wzbijały się w powietrze lub przeskakiwały w inne miejsce, a potem znów się na nim sadowiły. Nie przeszkadzały mu, były ciche, a ich odnóża nie łaskotały.

Nie spał od kilku godzin. Opierał policzek na zgiętym ramieniu tak, żeby oczy znajdowały się na wysokości linii horyzontu. Był wschód słońca. Kończyła się długa noc, piąta, którą spędził wśród Oazjan.

Ściśle mówiąc, w tej chwili nie znajdował się wśród nich. Był sam na prowizorycznym hamaku rozwieszonym pomiędzy dwoma filarami swojego kościoła. Kościoła w budowie. Cztery ściany, cztery wewnętrzne filary, na razie brak dachu. Żadnych sprzętów, nie licząc kilku narzędzi i zwojów lin, cebrzyków z zaprawą murarską i beczek przerobionych na koksowniki. Te, już zimne, połyskiwały w świetle poranka. Nie służyły żadnym religijnym celom, miały prozaiczną, praktyczną funkcję – zapalano je podczas długich okresów ciemności, by w trakcie każdego „dnia” pracy oświetlały teren budowy. Gaszono je, gdy ostatni z Oazjan szedł do domu, a „Ojciec Peper” był gotów na spoczynek.

By wznieść ten budynek, jego parafianie pracowali najszybciej, jak potrafili, ale dziś nie było ich przy nim; jeszcze nie. Ciągłe spali w swoich domach (tak się domyślał). Oazjanie dużo spali i łatwo się męczyli. Pracowali przez godzinę lub dwie, a potem – bez względu na to, czy praca była ciężka, czy nie – szli do domu i przez pewien czas odpoczywali w łóżkach.

Wyciągnięty w hamaku Peter wspominał teraz te łóżka. Był zadowolony, że nie leży w jednym z nich. Przypominały staromodne wanny wyrzeźbione z czegoś w rodzaju gęstego mchu, tworzywa lekkiego jak drewno balsy. Te „pojemniki” były wyłożone wieloma warstwami podobnego do bawełny materiału, które spowijały śpiącego niczym obszerny puszysty kokon.

Trzysta godzin temu, kiedy ogromnie rozradowany swoim pierwszym spędzonym tu dniem wreszcie poddał się zmęczeniu, Peterowi zaoferowano takie łóżko. Przyjął je, żeby uszanować szczodrość swoich gospodarzy. Towarzyszył temu całej ceremoniał życzeń długiego i zdrowego wypoczynku, ale on nie był w stanie zasnąć.

Po pierwsze, był dzień, a Oazjanie nie mieli zwyczaju zaciemniać swoich sypialń – ustawiali łóżeczka w zasięgu jaskrawych promieni słońca. Mimo wszystko wślizgnął się do środka, mrużąc oczy przed światłem, z nadzieją, że

zaśnie ze zmęczenia. Niestety, to właśnie łóżko okazało się przeszkodą uniemożliwiającą wypoczynek. Było nie do zniesienia. Puszyste koce wkrótce przesiąkły potem i wydawały przyprawiający o mdłości kokosowy zapach. Było też za małe, chociaż jak na tutejsze standardy całkiem spore. Podejrzewał, że zostało wyrzeźbione specjalnie dla niego i to zwiększało jego determinację, by dostosować się do legowiska. Ale nic z tego. Poza nedorzecznym łóżkiem i rażącym światłem Peter miał także problem z hałasem. Pierwszego dnia obok niego spało czterech Oazjan – tych czterech, którzy nazywali siebie Miłośnik **Jesusa** Pierwszy, Miłośnik **Jesusa** Pięsiąpy Czwarty, Miłośnik **Jesusa** siedemsiąpy Ósmy i Miłośnik **Jesusa** siedemsiąpy siewiąpy. Wszyscy oddychali bardzo głośno, tworząc okropną kakofonię syczących i bulgoczących dźwięków. Ich łóżeczka stały w innym pokoju, ale domy Oazjan nie miały zamkniętych drzwi i Peter słyszał każdy oddech, sapanie i odgłosy lepkiego przełykania śpiących. W swoim łóżku w domu przyzwyczał się do ledwo słyszalnego oddechu Bei i sporadycznych kocich westchnień Joshuy, ale nie do takiego harmideru. Leżąc w domu Oazjan, przywołał w pamięci zapomniany epizod z dawnego życia: wspomnienie, jak zgarnia go z ulicy pracownik organizacji dobroczynnej i umieszcza w noclegowni dla bezdomnych, z których większość była alkoholikami i narkomanami, tak jak on. I jak wymyka się w środku nocy na zewnątrz, z powrotem na zimne ulice, aby poszukać spokojnego miejsca, gdzie będzie mógł się przespać samotnie.

I tak znalazł się w hamaku zawieszonym w niedokończonym kościele, pod gołym niebem, w absolutnej ciszy oazjańskiego świtu.

Spał głęboko i spokojnie. Zawsze potrafił spać pod gołym niebem, pewnie zostało mu to z lat bezdomności, kiedy zapadał w śpiączkę w parkach i bramach i leżał tak nieruchomo, że sprawiał wrażenie martwego. Bez alkoholu odpłynąć w sen było odrobinę trudniej, ale niewiele. Łatwiej było znieść przykrą wilgoć atmosfery Oazy, gdy całkowicie się w nią zanurzał. Najgorszy był pobyt we wnętrzu budynku, który nie był ściśle odizolowany od jej wpływu. Domy miejscowych nie były szczelne i klimatyzowane jak bazaUSIC. Miały zawsze otwarte okna, przez które perfidne powietrze wpływało do środka. Gdy leżał opatulony w łóżku, wyobrażał sobie, że powietrze unosi koce niewidzialnymi palcami i wślizguje się obok niego. To nie było miłe uczucie. Lepiej leżeć na zewnątrz i mieć na sobie tylko cienką bawełnianą szatę. Po pewnym czasie, jeśli był naprawdę senny, czuł się tak, jakby spoczywał w płytkim strumieniu, a woda delikatnie opływała jego ciało.

Kiedy dziś się obudził, zauważył, że na ramionach odcisnął się misterny rombowski wzór siatki hamaka. Przypominało to skórę krokodyla i przez kilka minut Peter fantazjował, że przemienił się w człowieka-jaszczurkę.

Jego gospodarze nie mieli mu za złe, że zrezygnował z łóżka. Tego pierwszego dnia, kilka godzin po uroczystym ułożeniu się do wspólnego spoczynku, kiedy Peter już od dłuższego czasu siedział wyprostowany, modlił się, rozmyślał, wiercił się, popijał wodę z plastikowej butelki, czekając, aż

nabierze śmiałości, by – obrażając wszystkich – uciec na zewnątrz, wyczuł czyjaś obecność w pokoju. Był to Miłośnik Jezusa Pierwszy, Oazjanin, który na samym początku powitał go w osadzie. Peter chciał udać, że został wyrwany z głębokiego snu, ale uznał, że takie dziecinne przedstawienie nikogo nie oszuka. Uśmiechnął się i pomachał ręką na powitanie.

Miłośnik Jezusa Pierwszy podszedł do jego łóżka i stanął ze spuszczoną głową, z rękami założonymi na brzuchu. Miał na sobie kompletny strój – niebieską szatę z kapturem, buty i rękawiczki. Opuszczoną makabryczną fizys skrywał cień i Peter mógł sobie wyobrazić, że pod osłoną kaptura znajduje się ludzka twarz.

Miłośnik Pierwszy odezwał się ściszym głosem, by nie obudzić pozostałych. Peter usłyszał miękki stłumiony dźwięk, niesamowity jak skrzypnięcie drzwi w odległym domostwie.

– Modlipwa.

– Tak – odpowiedział Peter.

– I ja modlę – powiedział Miłośnik Pierwszy. – Modlę, a Bóg **s**łucha.

Zamilkli na chwilę. W sąsiednim pokoju jeden z Oazjan bez przerwy prychał. Wreszcie Miłośnik Pierwszy dodał:

– Ja w obawie, **se** moje modlipwy **s**giną i **s**pracą moc.

Peter kilka razy powtarzał w myśli na wpół rozpuszczone słowo.

– Stracą?

– **s**pracą – potwierdził Miłośnik Pierwszy, rozkładając ręce. Jedną wskazał ku górze. – Bóg mieska **p**am. – Drugą ręką wskazał dół. – Modlipwy idą **p**am.

– Modlitwy nie wędrują w przestrzeni, Miłośniku Pierwszy – powiedział Peter. – Modlitwy nigdzie nie idą, po prostu są. Bóg jest tutaj, z nami.

– **s**łsys Boga? **p**eras? – Oazjanin podniósł gwałtownie głowę. Bruzda na jego twarzy drżała.

Peter rozprostował zdrętwiałe członki. Nagle poczuł, że ma pełen pęcherz.

– Teraz słyszę tylko moje ciało, które mówi mi, że muszę odcedzić wodę.

Oazjanin skinął głową i wskazał gestem, aby poszedł za nim. Peter wygramolił się z łóżka i odszukał swoje sandały. Po dwudziestu kilku godzinach pobytu w tym miejscu wiedział już, że w domach nie ma toalet. Te sprawy załatwiano na zewnątrz.

Peter i Miłośnik Jezusa Pierwszy razem opuścili sypialnię. W sąsiednim pokoju przeszli obok innych śpiących, którzy leżeli opatuleni w swoich kokonach. Byli zupełnie nieruchomi i gdyby nie hałaśliwy oddech, można by ich wziąć za nieboszczyków. Peter szedł na palcach, Miłośnik Pierwszy normalnie, bowiem miękka jak aksamit skóra jego butów pozwalała mu poruszać się bezszelestnie. Idąc obok siebie, przeszli sklepionym korytarzem i przez zasłonę z paciorków wydostali się na świeże powietrze (jeśli powietrze na Oazie w ogóle można tak nazwać). Słońce zaświeciło prosto w jego opuchnięte oczy i Peter jeszcze silniej zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spocony i jak mocno swędzi go skóra. A zawdzięczał to swojemu pośłaniu.

Zerkając przez ramię na budynek, z którego wyszli, zauważył, że od czasu jego przybycia powietrze Oazy z wielką energią zajęło się napisem WITA MY na zewnętrznym murze domostwa. Farba spulchniła się i zmieniała w wilgotną pianę, która ściekała na ziemię. Rozmyte litery traciły kształt, upodabiając się do cyrylicy.

Miłośnik Jezusa Pierwszy zobaczył, że Peter przypatruje się pozostałościom napisu.

– Słowa na ścianie sginą – powiedział. – Słowa w pamięci psetrwają. – I dotknął swojej piersi, jakby wskazując, gdzie jego lud przechowuje wspomnienia, a może wyrażając płynące z głębi serca uczucie. Peter przytaknął.

Potem Miłośnik Jezusa Pierwszy poprowadził go ulicami (czy pozbawione chodników ścieżki można nazwać ulicami, nawet jeśli są odpowiednio szerokie?) w głąb osady. W pobliżu nie było nikogo, żadnych oznak życia, chociaż Peter wiedział, że ta gromada ludzi, których spotkał w ciągu dnia, musi gdzieś tu być. Wszystkie budynki były do siebie podobne. Podłużny, podłużny, podłużny, bursztynowy, bursztynowy, bursztynowy. Jeśli ta osada i baza USIC stanowiły jedyne świadectwa sztuki architektonicznej na Oazie, oznaczało to, że w tym świecie wyrafinowany gust nie był w cenie, a rządził utylitaryzm. Peter wiedział, że nie powinien się tym przejmować, a jednak. Dotychczas chciał, aby kościół, który tu zbuduje, był prosty i bezpretensjonalny, dawał świadectwo, że forma zewnętrzna nie ma znaczenia, a liczy się tylko skryta w głębi dusza. Ale teraz postanowił, że powinien być piękny.

Z każdym krokiem coraz bardziej chciało mu się sikać i zastanawiał się, czy Miłośnik Pierwszy nie prowadzi go czasem do ustronnego miejsca okreśną drogą. Sami Oazjanie nie byli przesadnie dyskretni, przynajmniej jeśli chodziło o sprawy związane z wypróżnianiem. Peter widział, jak załatwiają się bez skrępowania na ulicy, nie przejmując się tym, co wydalają. Potrafili kroczyć z powagą, skoncentrowani na swych sprawach, i nagle spod ich długich szat wypadały na ziemię odchody – szarozielone grudki bez zapachu. Jeśli ktoś przypadkiem w nie wszedł, rozpadały się jak kruche bezy. Zresztą nie leżały długo na ziemi, bo rozwiewał je wiatr albo wchłaniała gleba. Peter nie widział, żeby Oazjanie oddawali mocz. Być może nie musieli.

On z całą pewnością tak. Już chciał powiedzieć Miłośnikowi Pierwszemu, że powinni stanąć byle gdzie, natychmiast, gdy Oazjanin zatrzymał się przed kolistą budowlą. Wyglądała jak architektoniczne odwzorowanie blaszanej puszeki z ciastkami. Miała rozmiary sporego magazynu fabrycznego, na niskim dachu sterczały kominy... nie, raczej lejki – wielkie ceramiczne lejki niczym wypalane gliniane wazony – skierowane pionowo ku niebu. Miłośnik Pierwszy wskazał mu wejście osłonięte kurtyną z paciorków. Peter usłuchał. Wewnątrz zobaczył mnóstwo kadzi, beczulek i kanistrów. Każdy pojemnik był inny, zrobiony ręcznie, do wszystkich przymocowano prowadzące do sufitu szlauchy. Naczynia ustawiono pod ścianami pomieszczenia, a przestrzeń pośrodku

zajmowało sztuczne jezioro wielkości sporego basenu pływackiego, podobnego do tych, jakie można spotkać w bogatszych rejonach Los Angeles. Jasnozielona woda połyskiwała jak szmaragd.

– Woda – powiedział Miłośnik Pierwszy.

– Bardzo... sprytne – pochwalił Peter, uznawszy określenie „pragmatyczne” za zbyt trudne. Szmer pełnego zbiornika i tuzinów szlauchów skraplających wodę tylko wzmógł parcie na pęcherz.

– Dośyć? – zapytał Miłośnik Pierwszy, kiedy odwrócili się do wyjścia.

– Hm... – zawahał się Peter.

– Dośyć wody cedśimy?

Peter wreszcie zrozumiał, na czym polegało nieporozumienie. „Odcedzić wodę” – jasne! W relacjach misjonarzy często spotykał wzmianki o różnicach w pojmowaniu niektórych zwrotów i obiecywał sobie, że będzie się starał unikać podobnych wpadek. Ale reakcja Miłośnika Pierwszego na jego żądanie była tak subtelna i powściągliwa, że nie spodziewał się tego typu pomyłki.

– Przepraszam – powiedział i pędem wyminął Oazjanina. Wybiegł na środek ulicy, podniósł diszdaszę i oddał mocz. Wydawało mu się, że upłynęło kilka dobrych minut, nim znów mógł się odwrócić do Miłośnika Pierwszego. Kiedy to zrobił, spod szaty Oazjanina wypadła na ziemię pojedyncza kulka odchodów. Gest szacunku, rytuał nieznanym jeszcze Peterowi. Ludzie na Ziemi też mieli swoje obyczaje, na przykład niektórzy Europejczycy, którzy całowali się określoną ilością razy w oba policzki.

– **peras snowu spać?** – Oazjanin wskazał kierunek, z którego przyszli, tam, gdzie wśród chrapiących osobników stała przesiąknięta potem i zalatująca kokosem wanienka.

Peter uśmiechnął się wymijająco.

– Najpierw zabierz mnie na miejsce, gdzie zbudujemy nasz kościół. Chcę je zobaczyć jeszcze raz.

Ruszyli poza granice osady, przez step, tam, gdzie miała stanąć świątynia. Budowa jeszcze się nie zaczęła. W ziemi wykopano cztery dołki, które wyznaczały narożniki mającego powstać budynku. Peter nakreślił z grubsza plan wnętrza, wyjaśniając siedemdziesięciu siedmiu zgromadzonym wokół niego mieszkańcom, co oznaczają te linie. Teraz, kiedy po upływie wielu godzin ponownie spojrzął przekrwionymi ze zmęczenia oczami na swój rysunek widniejący na jałowym klepisku, zrozumiał, co mogli ujrzeć tam Oazjanie: jedynie prymitywne, tajemniczo wyżłobione w ziemi rowki. Poczuł, że czekające zadanie przerasta jego siły, i to znacznie. Bez wątpienia Bea powiedziała mu, że brak snu wpływa na obiektywną ocenę rzeczywistości. I oczywiście miałyby rację.

Teren przyszłej budowy nosił jeszcze inne ślady zgromadzenia Miłośników Jezusa. Niewielką plamę wymiocin, którą zwróciło jedno z dzieci podczas przemowy wstępnej Petera, parę butów zrobionych specjalnie dla niego, ale za małych o kilka cali (pomyłka, która nie wzbudziła ani zakłopotania, ani

rozbawienia, a tylko nieme zrozumienie), prawie pusty, na wpół przezroczysty bursztynowy dzban na wodę, zużyte opakowanie po tabletkach (dar medyczny USIC) i dwie ozdobne poduszki, na których usnęło kilkoro młodszych dzieci, gdy dyskusja dorosłych zaczęła dotyczyć spraw wykraczających poza granice widzialnego świata.

Peter zawahał się, po czym przesunął poduszki. Następnie położył się na ziemi tak, by głowa i biodro znalazły miękkie podparcie. Znużenie natychmiast zaczęło opuszczać jego ciało, zupełnie jakby spływało i wsiąkało w ziemię. Zapraagnął zostać sam.

– **py** nie**scę**śliwy na**sym** **łó**skiem – zauważył Miłośnik Jezusa Pierwszy.

Syczące spółgłoski w drugim słowie sprawiły, że Peter nie potrafił go zrozumieć.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałem, co chciałeś...?

– **py**... nierad – powiedział Miłośnik Pierwszy. Zaciskał dłonie w rękawiczkach i z wysiłkiem szukał rozumiających słów. – W na**sym** **łó**sku **sen** nie **psy**chosi.

– Tak, to prawda – zgodził się z uśmiechem Peter. – Sen nie przychodzi.

Czuł, że szczerłość popłaca. Będzie dość okazji do nieporozumień i nie ma sensu silić się na niepotrzebną dyplomację.

– **pu** **sen** **psy**jsie – zauważył Miłośnik Pierwszy. Falującym gestem dłoni wskazał na otaczającą ich przestrzeń.

– Tak, tu sen przyjdzie.

– Dob**se** – zakończył Oazjanin. – Bę**sie** dob**se**.

Czy naprawdę będzie dobrze? Były powody, aby myśleć, że tak. Peter miał pozytywne przeczucia co do swojej posługi. Już teraz zdarzały się niewytłumaczalne, wspaniałe rzeczy. Właściwie drobiazgi, nie żadne cuda, ale wystarczające, by zrozumieć, że Bóg okazuje zainteresowanie postępowaniem sprawy. Na przykład kiedy Peter odczytywał z Pisma historię o Noem i potopie (na życzenie Oazjan) i doszedł do miejsca, w którym otworzyły się niebiosy, naprawdę zaczęło padać. I ta zdumiewająca chwila, kiedy skończyli pracę w nocy. Zgasili koksownicy i siedzieli po ciemku, a on recytował początkowe wersy Księgi Rodzaju (znów na ich życzenie). W tej samej chwili, kiedy Bóg powiedział „Niech się stanie światłość”, jeden z koksowników zapłonął znów z trzaskiem i oświetlił ich złocistą poświatą. Zwyczajne zbiegi okoliczności, Peter nie był przesądny. Jego zdaniem bliższa prawdziwego cudu była szczerza wiara i zaangażowanie tych ludzi, tak nieprawdopodobnie różniących się od niego.

Spotykały go też rozczarowania. Właściwie nie były to rozczarowania, tylko nieporozumienia. Nie potrafił nawet wyjaśnić, na czym polegały.

Na przykład fotografie. Przez te wszystkie lata nauczył się jednego: najlepszy i najszybszy sposób na zawarcie bliższych stosunków z nieznanymi to pokazać im zdjęcia żony, domu, siebie samego w młodości (w ciuchach i



fryzurze z poprzedniej dekady), rodziców, braci i sióstr, zwierząt i dzieci. (Nie miał dzieci, ale ten fakt też stanowił punkt wyjścia do rozmowy. „A dzieci?” – pytali zawsze ludzie w nadziei, że najlepsze zdjęcia zostawił na koniec).

Być może problem leżał w tym, że grupa Oazjan była za duża na takie pogawędki. Ponad siedemdziesiąt osób przeglądających zdjęcia, przekazujących je sobie z rąk do rąk, w większości oglądających nie te, o których właśnie opowiadał. Chociaż, szczerze mówiąc, Miłośnicy Jezusa, którzy siedzieli tuż obok i którym mógł lepiej wyjaśnić związek pomiędzy tym, o czym mówił, a tym, co pokazywał, byli tak samo oporni i nieprzeniknieni.

– To moja żona – wyjaśniał, wyciągając pierwszą fotografię z pliku przechowywanego w plastikowym portfelu i podając ją Miłośnikowi Pierwszemu. – Beatrice.

– **Beapris** – powtórzył Miłośnik Jezusa Pierwszy, ściągając z wysiłku ramiona.

– W skrócie Bea – powiedziała Peter.

– **Beapris**. – Miłośnik Jezusa Pierwszy delikatnie obejmował fotografię obciążonymi rękawiczką palcami. Przytrzymał ją w pozycji poziomej, jakby się obawiał, że miniaturowa Beatrice pozująca w ciemnofioletowych dżinsach i swetrze z imitacji kaszmiru może się zsunąć z papierowego arkusika. Peter zastanawiał się, czy ci ludzie potrafili „widzieć” w konwencjonalny, typowy sposób, skoro w ich twarzach nie było niczego, co przypominałoby oczy. Oczywiście nie byli ślepi, ale... może nie byli w stanie rozszyfrowywać dwuwymiarowych obrazów?

– **pwoja sona** – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. – Długie włosy.

– Kiedyś takie były – odparł Peter – teraz są krótsze. – Ciekawe, czy długie włosy były atrakcyjne czy odrażające dla tych, którzy zupełnie ich nie mieli.

– **pwoja sona** kocha **Jesusa**?

– Oczywiście.

– **Dobse** – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy, podając fotografię osobie siedzącej obok, która wzięła ją, jakby to był sakrament.

– Na tym – mówił Peter – jest dom, w którym mieszkamy. Leży w satelickim miasteczku... hm... w mieście niedaleko Londynu, w Anglii. Jak widzicie, nasz dom jest podobny do innych w tej okolicy. Ale w środku nie jest taki sam. Tak jak jedna osoba może być podobna do wszystkich wokół, ale w środku się od nich różni, bo wiara w Chrystusa czyni ją wyjątkową. – Peter podniósł wzrok, żeby ocenić, jak przyjęto to porównanie. Kilkudziesięciu Oazjan klęczało wokół niego, czekając z powagą, by wziąć w dłonie prostokątny arkusik. Nie licząc koloru szat i nieznaczących różnic we wzroście, wszyscy wyglądali tak samo. Nie było grubych ani muskularnych, patykowatych przygłupów czy przygarbionych staruchów. Nie było kobiet i mężczyzn. Tylko rzędy niewielkich bliźniaczych istot siedzących w kucki w takich samych pozycjach, w ubraniach o identycznym kroju. A pod każdym kapturem skrzepnięty gulasz, w którym Peter w żaden sposób nie potrafił, po prostu nie mógł, dostrzec twarzy.

– Igła – powiedziała istota zwana Miłośnikiem Jezusa Czterdziestym Czwartym. Mówiąc to, jakby zadrżała. – Du**so** igieł. Du**so**... no**sy**.

Peter nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Fotografia, która przedstawiała tylko szarobury, niegdyś komunalny dom i rachityczne metalowe ogrodzenie, przechodziła z rąk do rąk.

– A na tym jest nasz kot Joshua.

Miłośnik Jezusa Pierwszy kontemplował zdjęcie przez piętnaście, może dwadzieścia sekund.

– Mił**o**śnik Je**susa**? – spytał wreszcie.

Peter się roześmiał.

– On nie może kochać Jezusa – powiedział. – To kot. – Tę informację przyjęto milczeniem. – On nie jest... To zwierzę. Nie potrafi myśleć... – chciał powiedzieć „w sposób świadomy”, ale zrezygnował. Przede wszystkim trudno byłoby im to wymówić. – Jego mózg jest bardzo mały. Nie odróżnia dobra od zła ani nie wie, dlaczego żyje. Potrafi tylko jeść i spać. – To nie było uczciwe. Joshua potrafił o wiele więcej. Ale rzeczywiście był amoralnym stworzeniem i nigdy nie przejmował się tym, dlaczego znalazł się na tej ziemi.

– Ale go kochamy – dodał Peter.

Miłośnik Jezusa Pierwszy skinął głową.

– I my kochamy **pych**, **kpósy** nie kochają Je**susa**. Ale oni umrą.

Peter podał następną fotografię.

– To jest mój kościół, tam, gdzie mieszkam. – Omal nie powtórzył dowcipu BG o braku sukcesów w konkursach architektonicznych, ale w porę ugryzł się w język. Tutaj potrzebna była przejrzystość i prostota, przynajmniej dopóki nie pojmie, jak ci ludzie rozumują.

– Igły, **py**le igieł – powiedział jeden z Oazjan. Peter nie poznał jeszcze jego numeru w szeregu Miłośników Jezusa.

Pochylił się i zerknął na fotografię. Z jego perspektywy była odwrócona do góry nogami, ale nie zauważył żadnych igieł. Tylko brzydkie, toporne wejście kościoła i otaczające go łukowate przesła metalowego ogrodzenia (w stylu naśladowującym nieco pseudogotyki). Nagle zrozumiał – szpiczaste końcówki słupków ogrodzenia!

– To zabezpieczenie przed złodziejami – wyjaśnił.

– **słodsieje** **s**giną – zgodzili się Oazjanie.

Następna była fotografia Joshuy zwiniętego w kłębek na kołdrze. Jedną łapą zakrywał sobie oczy. Peter wsunął odbitkę z powrotem do sterty zdjęć i wybrał następną.

– To dziedziniec na tyłach kościoła. Kiedyś był tam parking samochodowy, sam goły beton. Zerwaliśmy go i zastąpiliśmy ziemią. Doszliśmy do wniosku, że ludzie mogą pójść do kościoła pieszo albo znaleźć miejsce na ulicy... – Kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że połowa z tego, co mówi, może nawet całość, musi być dla tych ludzi niezrozumiała, jednak nie mógł się powstrzymać. – To było ryzykowne, ale się opłaciło... to było... skończyło się powodzeniem.

Okazało się, że to dobry pomysł. Wyrosła trawa, zasadziliśmy krzewy i kwiaty, nawet kilka drzew. Teraz, kiedy jest ciepło, bawią się tam dzieci. To nie znaczy, że tam, skąd pochodzę, jest wiele ciepłych dni... – Zaczynał pleść bzdury. „Weź się w garść!”

– **py g**sie?

– Słucham?

Oazjanin podniósł fotografię.

– **py g**sie?

– Nie ma mnie na tej – powiedział Peter.

Oazjanin skinął głową i podał zdjęcie sąsiadowi.

Peter wyciągnął z portfela kolejną fotografię. Nawet gdyby powietrze na Oazie było inne, i tak by już spływał potem.

– To ja, kiedy byłem dzieckiem – powiedział. – Chyba zrobiła je moja ciocia, siostra mojej mamy.

Miłośnik Jezusa Pierwszy przyjrzał się zdjęciu, na którym Peter miał trzy lata. Postać była mała w zestawieniu z otaczającymi ją przedmiotami i sprzętami, ale i tak zwracała na siebie uwagę. Jaskrawożółta kurtka, pomarańczowe rękawice bokserskie, macha do kamery. Była to jedna z nielicznych fotografii rodzinnych, które znalazł po śmierci matki w jej domu. Miał nadzieję, że Oazjanie nie spytają o zdjęcie ojca, bo matka zniszczyła wszystkie odbitki.

– **Barso wy**soki budynek – skomentował Miłośnik Jezusa Pięćdziesiąty Czwarty. Chodziło mu o widoczny w tle wieżowiec.

– To było straszne miejsce – powiedział Peter. – Mogło przyprawić o depresję. I było tam niebezpiecznie.

– **Barso wy**soki – potwierdził Miłośnik Jezusa Pięćdziesiąty Czwarty i przekazał zdjęcie następnemu w kolejce.

– Niedługo po tym przeprowadziliśmy się w lepszą okolicę. Przynajmniej w bezpieczniejszą.

Oazjanie zamruczeli z aprobatą. Przeprowadzka w bezpieczniejsze i lepsze miejsce była czymś, co rozumieli.

Stos fotografii wędrował z rąk do rąk wśród zgromadzonego tłumu. Jeden z Oazjan miał pytanie dotyczące zdjęcia kościoła Petera. Na tej odbitce kilku członków jego parafii stało rzędem przed niebieskimi drzwiami świątyni. Jednym z nich był Ian Dewar, weteran z Afganistanu. Chodził o kulach, bo odmówił przyjęcia protezy od ministerstwa obrony. Cenił sobie każdą okazję, by porozmawiać o wojnie, i nie przegapił żadnej sposobności do takiej konwersacji.

– Cłowiek nie ma nogi – zauważył Oazjanin.

– To prawda – powiedział Peter. – Była wojna. Został ciężko raniony w nogę i lekarze musieli ją obciąć.

– Cłowiek nie **sy**je?

– Żyje i ma się dobrze.

Rozległ się chóralny pomruk zachwytu i kilka okrzyków „Sława Panu!”.

– A to – kontynuował Peter – dzień mojego ślubu. Ja i moja żona Beatrice w dniu, kiedy zawarliśmy małżeństwo. Czy u was są śluby?

– Mamy **śluby** – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy.

Czy był lekko rozbawiony? Zirytowany? Znużony? Czy po prostu przekazywał informację? Peter nie potrafił tego rozpoznać po tonie głosu. Nie rozróżniał intonacji, tylko wysiłek, jakby naprężenie egzotycznego ciała starającego się naśladować drgania strun głosowych.

– To ona pokazała mi Chrystusa – dodał Peter. – Doprowadziła mnie do Boga.

Te słowa wywołały większe podniecenie niż same zdjęcia.

– **sona snalaśła Księgę** – powiedział Miłośnik Jezusa Siedemdziesiąt Coś. – **Cypała, cypała i cypała. Posnała pechnikę Jesusa. Popem sona psysła do ciebie i powiedziała, snalaśłam Księgę siwnych Nowych secsy. peras py cypaj. Nie sgniniemy, ale będsiemy mieli sycie wieczne.**

Streszczona w ten sposób historia przypominała raczej kuszenie Ewy przez węża w Ogrodzie Edenu niż rzeczowe, praktyczne informacje o chrześcijaństwie, które przekazywała mu na szpitalnym oddziale (właśnie tam zobaczył ją po raz pierwszy). Ale było godne podziwu, że Oazjanin tak gorliwie starał się przypomnieć sobie dosłowny cytat z trzeciego rozdziału Jana, wers szesnasty. To Kurtzberg musiał ich tego nauczyć.

– Czy Kurtzberg was tego nauczył?

Miłośnik Jezusa, który ostatni się odezwał, milczał.

– Aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne<sup>14</sup> – powiedział Peter.

– Amen – dodał Miłośnik Jezusa Pierwszy, a całe zgromadzenie wymamrotało za nim to słowo. Wyraz „amen” zdawał się idealnie skrojony dla ich ust, lub tej części ciała, której używali do mówienia. – Amen, amen, amen.

Fotografia ślubna dotarła do rąk Oazjanina w oliwkowej szacie. On – a może ona? – wzdrygnął się.

– **Nós** – powiedział – **nós**.

Miał rację. Na zdjęciu Peter i Bea wspólnie trzymali rękojeść ogromnego noża, przygotowując się do pokrojenia weselnego tortu.

– To taki zwyczaj – wyjaśnił Peter. – Rytuał. To był bardzo szczęśliwy dzień.

– Dobry **sień** – powtórzyli Oazjanie głosami, które przypominały odgłos zgniatanej stopą mokrej paproci.

Peter uniósł się w hamaku i odwrócił od wschodzącego słońca. Pomarańczowe światło przypominające barwę stopiony metal stawało się zbyt intensywne. Położył się na plecach i spojrzał w górę. Purpurowe powidoki drgały na bezchmurnym niebie. Wkrótce zniknęły i przestrzeń nad jego głową przybrała jednolity złoty kolor. Czy wschody słońca w domu kiedykolwiek miały tak

złocisty odcień? Nie potrafił sobie przypomnieć. Pamiętał złote światło na łożku rozświetlające futro Joshuy i nagie, gładkie nogi Bei. Jeśli ranek był ciepły, zrzucała z siebie przykrycie. Ale to w niczym nie przypominało takiego złotego sklepienia. Niebo nad ich sypialnią z pewnością musiało być niebieskie. Był zły na siebie, że tego nie pamięta.

Miał tyle do opowiedzenia Bei, a napisał tak mało. Kiedy będzie okazja, by wysłać list, dzięki zapiskom, które prowadził w notatniku, bez trudu wymieni najbardziej istotne rzeczy z ostatnich trzystu sześćdziesięciu godzin. Ale i tak nie potrafi przywołać wszystkich szczegółów. Nie opisz cichych, spokojnych chwil bliskości pomiędzy nim a jego nowymi przyjaciółmi i niespodziewanych przebłysków porozumienia. (Te sprawy dotyczyły komunikacji z Oazjanami – niepotrzebnie zakładał, że będzie beznadziejnie zagmatwana). Może nawet zapomni napisać o złotym niebie.

Jego notatniki znajdowały się w plecaku. Być może powinien je trzymać przy sobie, w hamaku, żeby móc notować myśli i wrażenia. Ale wtedy ryzykowałby, że podczas snu zrani się ołówkiem albo że ołówek spadnie na twarde podłoże w taki sposób, że srebrzysty grafit pęknie na drobniutkie kawałeczki i nie będzie można go już zaostrzyć. Ołówki stanowiły jego skarb. Jeśli dobrze o nie zadba, będą mu służyć, kiedy długopisy zaczną przeciekać, tusz w pisakach wyschnie, a wszystkie maszyny przestaną działać.

Poza tym uwielbiał te godziny spędzone w hamaku, kiedy nie musiał niczego robić. Gdy pracował tu ze swoją trzódką, głowa pękała mu od nadmiaru myśli, musiał być stale gotowy na nowe wyzwania i reagować na nieoczekiwane możliwości. Każde spotkanie mogło się okazać decydujące dla jego misji, niczego nie mógł być pewien. Oazjanie wierzyli, że są chrześcijanami, ale mieli niewielkie pojęcie o istocie nauczania Chrystusa. Ich serca przepęłniała amorficzna wiara, ale ich umysły jej nie ogarniały. I sami o tym wiedzieli. Ich pastor musiał być maksymalnie skoncentrowany, słuchać, uważnie obserwować ich reakcje, wypatrywać przebłysku światła.

Miał też bardziej przyziemne obowiązki. Musiał zajmować się pracą fizyczną: nosić kamienie, mieszać zaprawę, robić wykopy. Kiedy kończył pracę i Oazjanie szli do domu, rozkosznie było wślizgnąć się do legowiska ze świadomością, że nie musi robić już nic więcej. Jakby sieć hamaka wyławiała go ze strumienia odpowiedzialności i zawieszala w niebycie lub otchłani. Oczywiście nie chodziło o katolickie pojęcie otchłani, tylko o zbawienny stan zawieszenia pomiędzy dzisiejszą a jutrzejszą pracą. Okazja, by zmienić się w leniwe zwierzę, które nie posiada niczego oprócz cielesnej powłoki i wyleguje się w ciemnościach lub drzemie w promieniach słońca.

Siatka, z której zrobiono hamak, była jedną z wielu leżących na terenie budowy. Oazjanie używali ich do transportowania cegieł, które wyrabiali w... Gdzie? Nie wiedział. Potem nieśli je przez step do kościoła. Czterech Oazjan, każdy (albo każda) trzymający na ramieniu jeden z rogów sieci wypełnionej cegłami. Poruszali się dostojnie, jak żałobnicy niosący trumnę. Chociaż teren

budowy nie znajdował się zbyt daleko od głównego skupiska budynków, to jednak był wystarczająco oddalony, by nadać temu miejscu niezbędny status i odróżnić od świeckich zabudowań. Dla Oazjan była to spora odległość. Zwłaszcza kiedy musieli nieść cegły. Peter nie spotkał się tu z transportem kołowym.

Trudno mu było w to uwierzyć. Przecież koło jest tak oczywistym i zmyślnym wynalazkiem. Można było pomyśleć, że Oazjanie – jeśli nawet sami nie wpadli na ten pomysł – powinni go przejąć, obserwując pracowników USIC. Życie w epoce sprzed postępu technologicznego to rzecz godna szacunku, Peter je doceniał, ale z pewnością nikt nie nosiłby cegieł w sieci rybackiej, gdyby miał do wyboru inne środki transportu.

Sieć rybacka? Używał tego określenia, bo przypominała ją wyglądem, ale musiała zostać zaprojektowana do innych celów. Może nawet specjalnie do noszenia cegieł. Tu sieci nie nadawały się do niczego innego; na Oazie nie było oceanów ani innych większych zbiorników wodnych i na pewno nie łowiono ryb.

Nie było ryb. Zastanawiał się, czy nie stworzy to problemu ze zrozumieniem niektórych istotnych fragmentów Biblii. Było ich wiele: Jonasz i wieloryb, cud z rozmnożeniem bochenków chleba i ryb, galilejscy uczniowie, którzy byli rybakami, i mnóstwo paralel związanych z „łowieniem ludzi”... Na przykład rozdział trzynasty u Mateusza, o królestwie niebieskim jako sieci zarzuconej w morze i zgarniającej ryby wszelkiego rodzaju... Nawet w rozdziale otwierającym Księgę Rodzaju pierwsze zwierzęta stworzone przez Boga zamieszkiwały morza. Jak dużą część Biblii będzie musiał uznać za nieprzetłumaczalną?

Nie, nie powinien za bardzo brać sobie tego do serca. Jego problemy nie były wyjątkowe, podobne miewali inni misjonarze. W Papui-Nowej Gwinei w dwudziestym wieku musieli znaleźć sposób, by uporać się z faktem, że tamtejsza ludność nie znała owiec, a miejscowy odpowiednik – świnie – nie funkcjonował tak dobrze w kontekście chrześcijańskich przypowieści, ponieważ Papuasi traktowali swoje świnie jak zwierzyne łowną, którą należało zabijać. Tu, na Oazie, Peter stanie przed podobnymi wyzwaniami i będzie musiał znaleźć najlepsze rozwiązania.

Biorąc to wszystko pod uwagę, on i Oazjanie dogadywali się jak na razie całkiem nieźle.

Przekreślił się na brzuch i popatrzył przez siatkę w dół. Jego sandały stały ustawione równiutko, tuż pod nim, na równej cementowej podłodze. Oazjański cement prawie nie wymagał kielni. Rozlewał się sam i zastygał w idealną płaszczyznę. W dotyku bardziej przypominał oheblowane drewno niż zwykły cement. Nieznaczna chropowatość umożliwiała Oazjanom chodzenie po nim w skórzanych butach bez obawy, że się poślizgną.

Obok sandałów leżało jedno z narzędzi wykorzystywanych na budowie: duża łyżka, wielkości... jak miał ją opisać Bei? Wielkości małego szpadla? Pompki

od roweru? Policyjnej pałki? W każdym razie nie była wykonana z drewna czy metalu, ale z jakiegoś rodzaju szkła, mocnego jak stal. Używano jej do mieszania cementu w kadzi, żeby zapobiec jego tężeniu. Ostatniej nocy – to znaczy pięć lub sześć godzin temu – zanim wdrapał się do hamaka na spoczynek, spędził dobrych dwadzieścia minut na czyszczeniu łyżki z zaprawy, zdrapując cement gołymi palcami. Resztki wałały się teraz wszędzie dookoła. Pomimo zmęczenia odwalił kawał dobrej roboty. Łyżka była gotowa na kolejny dzień pracy. To było zadanie Ojca Petera, bo był najsilniejszy.

Uśmiechnął się na tę myśl. Nigdy do tej pory nie szczycił się swoją siłą. W poprzednim życiu bywał bity przez innych alkoholików i zamykany przez policję. Kiedyś nadwerężył sobie plecy, próbując zanieść Beę do łóżka. („Jestem za gruba, jestem za gruba”, krzyczała, powiększając tym jego zażenowanie, kiedy upuścił ją na ziemię). Tu, pomiędzy Oazjanami, był mocarzem. Stał przy kadzi z cementem i mieszał łyżką zaprawę, podziwiany przez stojące wokół słabsze istoty. Zdawał sobie sprawę, jakie to groteskowe, ale pomimo wszystko było w tym coś, co podnosiło jego morale.

Proces wznoszenia budynku był tu absurdalnie prosty, ale skuteczny. Przypominająca prymitywny kociołek i obsługiwana ręcznie kadź z cementem dobrze unaoczniała, z jakim poziomem wyrafinowania miał do czynienia Peter. Pnące się w górę ściany kościoła były pozbawione jakiegokolwiek wewnętrznego wzmocnienia czy szkieletu, nie stosowano metalowych wsporników ani drewnianych stempli. Rombowate cegły kładziono wprost na fundamencie i zwyczajnie łączono zaprawą, warstwa po warstwie. Obawiał się, że to zbyt proste i niebezpieczne. Nie tak powinno się budować.

– A jeśli będzie burza? – zapytał Miłośnika Pierwszego.

– **BuSa**? – Górna część bruzdy na twarzy Miłośnika (czoła niemowlaków) wykrzywiła się lekko.

– A jeśli nadejdzie wielki wiatr? Czy nie powali podmuchem naszego kościoła? – Peter wydał policzki, dmuchnął głośno i pomachał rękami, pokazując na migi walący się budynek.

Groteskowa twarz Miłośnika Pierwszego wykrzywiła się mocniej, przybierając kształt, który mógł wyrażać rozbawienie lub oszołomienie, ale równie dobrze mógł nie wyrażać nic.

– **Spoiwo nie puSci** – powiedział. – **Spoiwo mocne, barSo mocne. Wiapr jak...** – Wyciągnął dłoń i lekko musnął włosy na głowie Petera, pokazując, jak słaby jest wiatr.

To zapewnienie było równie dziecinne jak sposób budowania, ale Peter postanowił zaufać Oazjanom. Miał nadzieję, że wiedzą, co robią. Ich osada, chociaż niezbyt imponująca pod względem architektonicznym, wydawała się trwała i stabilna. I musiał przyznać, że cement, którym spajali cegły, był niezwykle wytrzymały. Świeżo wylany wyglądał jak syrop klonowy, ale po godzinie stawał się twardy jak bursztyn. Wiązanie było nie do ruszenia.

Przy budowie kościoła nie stosowano rusztowań ani drabin, niczego, co było

zrobione z drewna lub metalu. Zamiast tego, by uzyskać dostęp do wyższych partii murów, wykorzystywano metodę równie nieefektywną, co piękną. Duże bloki wykrojone z utwardzanego mchu – takiego samego, z jakiego wyrabiano łożka Oazjan – układano w schody, które przystawiano do budowli. Miały około dwóch metrów szerokości, a ich wysokość zależała od zaawansowania budowy. Dodatkowe stopnie dostawiano w miarę wznoszenia się ścian. W ciągu ostatnich kilku dni schody urosły tak, że były już dwa razy wyższe niż Peter. Pomimo swoich gabarytów stanowiły konstrukcję tymczasową, były zwykłym narzędziem budowlanym, dla efektu budowy znaczyły nie więcej niż normalna drabina. I dawało się je przenosić, prawie. Można je było przesunąć wspólnymi siłami. Peter pomagał czasem przy tym zajęciu i chociaż nie potrafił ocenić, jakie są ciężkie, bo wszyscy robotnicy pchali je razem, nie sądził, żeby ważyły więcej niż lodówka.

Był oczarowany prostotą tej technologii. To prawda, nie sprawdziłaby się przy stawianiu drapacza chmur lub katedry, chyba że teren budowy mógłby pomieścić schody wielkości stadionu piłkarskiego. Ale do wzniesienia skromnego, niewielkiego kościółka nadawała się idealnie. Oazjanie wchodzili po kolei po stopniach, a każdy niósł tylko jedną cegłę. Zatrzymywali się na szczycie konstrukcji i spoglądali (oczami, szczeliną lub innym organem) na górną warstwę cegieł. Kontemplowali ten widok jak pianista klawiaturę fortepianu, a następnie przytwierdzali cegłę we właściwym miejscu i schodzili na dół.

Według wszelkich standardów taka metoda była niezwykle pracochłonna i wymagała wielu rąk. W najgorętszym okresie pracy na budowie znajdowało się około czterdziestu Oazjan i Peter miał wrażenie, że byłoby ich więcej, gdyby nie obawa, że będą sobie wzajemnie przeszkadzać. Wszystkie czynności wykonywali w staroświecki, nieśpieszny sposób, ale bez dłuższych przerw, dopóki jakiś (lub jakaś) z nich nie uznał, że wyczerpał już zapas sił. Wtedy szedł na jakiś czas do domu. Przeważnie pracowali w milczeniu, porozumiewając się tylko wtedy, gdy pojawiały się jakieś przeszkody i zachodziło ryzyko, że coś może pójść nie tak. Nie potrafił ocenić, czy byli szczęśliwi. Żarliwie pragnął poznać ich lepiej, by móc odpowiedzieć na to pytanie.

Czy byli szczęśliwi, kiedy śpiewali? Gdyby śpiew stanowił dla nich torturę, chybaby tego nie robili. Na pewno nie oczekiwał, że powitają go chóralną pieśnią *O, słodka łasko*, przecież mogli wymyślić jakiś inny rytuał. Może w ten sposób dawali upust swojej radości?

Szczęście to taki nieuchwytny stan: jak *Pandora sphinx*, ćma, która doskonale potrafi się kamuflować, i nigdy nie wiadomo, czy jeszcze siedzi na liściu, czy już odleciała. Młoda kobieta, nowo nawrócona chrześcijanka, powiedziała mu kiedyś: „Gdybyś mógł mnie zobaczyć rok temu, kiedy chlałam z kumplami; byliśmy tacy szczęśliwi, zrywaliśmy boki ze śmiechu, nie przestawaliśmy rechotać, ludzie odwracali głowy, chcieli zobaczyć, co nas tak bawi, zazdrościli



nam; czułam się, jakbym leciała, jakbym się znalazła na szczycie świata, ale w głębi duszy myślałam: Boże, pomóż mi, jestem tak kurewsko samotna, jestem tak kurewsko smutna, chciałabym umrzeć, nie wytrzymam takiego życia ani minuty dłużej; rozumiesz, o co mi chodzi?”. Był też Ian Dewar gadający z namaszczeniem o swojej służbie w wojsku, skarżący się na kutwy i liczykrupy, które pozbawiały żołnierzy podstawowego wyposażenia. „Kup sobie własną lornetkę, stary, macie tu kamizelki kuloodporne, jedna na dwóch, a jak urwie wam nogę, to weźcie takie dwie tabletki, bo brakuje nam morfiny”. Po piętnastu minutach wysłuchiwania tych narzekań ze świadomością, że są też inni, którzy cierpliwie czekają na chwilę rozmowy, Peter mu przerwał: „Ian, bardzo cię przepraszam, ale nie powinieneś ciągle wracać do tych spraw. Bóg tam był. Był tam, z tobą. Widział, co się stało. Widział wszystko”. A wtedy Ian się załamał, rozplakał i powiedział, że wie, dobrze wie i dlatego, w głębi duszy, pomimo złości i żalu, jest szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy.

Była też Beatrice w dniu, kiedy się jej oświadczył, w dniu, podczas którego wszystko poszło nie tak. Oświadczył się o dziesiątej trzydzieści rano. Było upalnie i parno, a oni stali przy bankomacie na głównej ulicy (mieli zaraz iść na zakupy do supermarketu). Może powinien był uklęknąć, ponieważ słowa „tak, zrobmy to” wypowiedziała z wahaniem i mało romantycznie, jakby potraktowała oświadczyzny jako zwykłe praktyczne rozwiązanie uciążliwości opłacania podwójnego czynszu. Potem bankomat połknął jej kartę kredytową i musiała iść do banku, by ją odzyskać. To pociągnęło za sobą konieczność spotkania z kierownikiem i godny pożalowania incydent, kiedy przez pół godziny maglowali ją, jakby podejrzewali, że jest oszustką, która próbuje okraść jakąś inną Beatrice. To upokorzenie skończyło się w ten sposób, że Bea z wściekłością wypowiedziała umowę z bankiem. Potem poszli na zakupy, ale stać ich było ledwie na połowę z listy sprawunków, a kiedy wrócili na parking, okazało się, że jakiś wandal wydrapał swastykę na karoserii jej samochodu. Gdyby to było cokolwiek innego – rysunek penisa, wulgarne słowo – prawdopodobnie przeszliby nad tym do porządku dziennego, ale w tym przypadku nie mieli wyboru i musieli to usunąć, co kosztowało ich fortunę.

I tak toczył się ten dzień: w telefonie Bei wyczerpała się bateria, pierwszy warsztat, do którego pojechali, był zamknięty, drugi był zawalony robotą i nie chciał ich obsłużyć, banany, które próbowali zjeść, okazały się zgniłe, Bei pękł przetarty pasek w bucie i źle jej się chodziło, silnik samochodu zaczął wydawać podejrzane dźwięki, trzeci warsztat przekazał im fatalne wiadomości – ile będzie kosztować nowy lakier oraz że układ wydechowy samochodu jest skorodowany. W rezultacie powrót do mieszkania Bei zajął im tyle czasu, że wyjątkowo drogie jagnięce kotlety, które wcześniej kupili, zzieleniały w upale. Dla Petera właśnie to przelało czarę goryczy. Doprowadzony do wściekłości chwycił tackę z mięsem i już miał ją wyrzucić do kosza na śmieci, cisnąć ją tam z furją, wyładować się na jagnięcinie za to, że tak łatwo się psuje, gdy uświadomił sobie, że to nie on za nią zapłacił i – z trudem – zdołał się

opanować. Włożył zakupy do lodówki, obmył twarz wodą i poszedł do Bei.

Stała na balkonie i wpatrywała się w otaczający jej blok ceglany mur zwieńczony drutem kolczastym i tłuczonym szkłem. Miała mokre policzki.

– Przykro mi – powiedział.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

– Płaczę, bo jestem szczęśliwa – wyjaśniła. Słońce skryło się za chmury, upał zelżał, a delikatny wiaterek łagodnie mierzwił im włosy. – To najszczęśliwszy dzień mojego życia.

## Po raz pierwszy uświadomił sobie, że ona także jest piękna

– Niech Bóg błogosławi **sp**okanie, Ojce **Pe**per – zawołał jakiś głos.

Oślepiiony światłem odwrócił się niezdarnie i omal nie wypadł z hamaka. Sylwetka zbliżającego się Oazjanina rysowała się niewyraźnie na tle słońca. Peter mógł jedynie stwierdzić, że głos nie należy do Miłośnika Jezusa Pięćdziesiątego Czwartego (tylko jego potrafił rozpoznać po samym dźwięku mowy).

– Dzień dobry – odpowiedział. Słowa „niech Bóg błogosławi spotkanie” znaczyły właśnie tyle. Oazjanie przywoływali Boże błogosławieństwo przy każdej okazji, co mogło oznaczać, że pojmowali znaczenie benedykcji lepiej niż większość chrześcijan, albo nie rozumieli jej wcale.

– **Jes**pem, by budowac ko**L**ół.

Dwa tygodnie spędzone wśród tych ludzi wyostrzyły słuch Petera. Od razu zrozumiał, że ko**L**ół znaczy kościół. Wsłuchiwał się w głos i dopasowywał go do kanarkowej szaty.

– Miłośniczka Jezusa Piąta?

– **pa**k.

– Dziękuję, że jesteś.

– Dla Boga robię, co chce, **pu** i **pe**raz.

Słuchając tego głosu, Peter zastanawiał się, co sprawiało, że brzmiał inaczej niż na przykład głos Miłośnika Pięćdziesiątego Czwartego. Na pewno nie chodziło o dźwięk. Cudowna różnorodność głosów, do jakiej przyzwyczał się w domu – a nawet w bazie USIC – nie występowała wśród Oazjan. Nie było tu dźwięcznych barytonów, piskliwych sopranów, stłumionych altów ani nerwowych tenorów. Żadnych śladów ożywienia bądź nudy, nieśmiałości czy agresji, opanowania albo kokieterii, arogancji lub pokory, werwy i smutku. Możliwe, że jako cudzoziemiec nie potrafił wychwycić niuansów, ale chyba nie o to chodziło. Nie można oczekiwać od mewy, gołębia lub kosa, że będą skrzeczeć inaczej niż reszta osobników z ich gatunku. Nie były do tego stworzone.

Oazjanie potrafili natomiast używać języka w indywidualny sposób. Na przykład Miłośnik Jezusa Pięćdziesiąty Czwarty zmyślnie unikał słów, których nie umiał wypowiedzieć, i zawsze potrafił znaleźć synonim bez trudnych dla niego spółgłosek. Te wybiegi („być w dole” zamiast „siedzieć”, „niemiękki” zamiast „twardy”) czyniły jego mowę ekscentryczną, ale płynną. Dzięki temu sprawiał wrażenie, że doskonale opanował obcy język. Z kolei Miłośniczka

Jezusa Pięta nie przejmowała się tym. Starła się mówić normalnym angielskim i jeśli w słowach, których chciała użyć, pojawiały się „t”, „s” lub „z”, nie dbała o staranną wymowę. Wkładała mniej wysiłku w artykulację niż niektórzy Oazjanie – jej ramiona nie ściągały się tak bardzo, gdy wykaszliwała skomplikowaną spółgłoskę – dlatego czasami trudniej ją było zrozumieć.

Ona, ją, jej. Dlaczego myślał o niej jak o kobiecie? Czy tylko z powodu koloru kanarkowej szaty? A może rzeczywiście wyczuł coś instynktownie, na poziomie, który nie poddawał się analizie?

– Niewiele możemy zrobić, dopóki nie zjawią się pozostali – powiedział, wyciągając się w hamaku. – Mogłaś pospać dłużej.

– Ja w **s**prachu. **py** do domu.

– Do domu?

– **USIC dsis** będzie – przypomniała mu. – **py** do domu.

– Baza **USIC** nie jest moim domem – powiedział, wkładając sandały. Kiedy schylił się, by to zrobić, jego czoło znalazło się na wysokości głowy Miłośniczki Jezusa Piętej. Była niewysoka jak na dorosłą osobę. A może była dzieckiem – nie, zdecydowanie nie. Być może była bardzo stara, nie miał pojęcia. Wiedział, że jest wyjątkowo szczerą i prostolinijną, nawet jak na Oazjanina, że może pracować tylko przez dwadzieścia lub trzydzieści minut, a potem musi odpocząć, i że jest spokrewniona z kimś, kto nie był Miłośnikiem Jezusa, co sprawiało, że bywała smutna lub w stanie, który Peter brał za smutek. Właściwie nie mógłby przysiąc, że ten niewierny był naprawdę z nią spokrewniony. Może to tylko przyjaciel? Co do smutku, to tylko przecucie. Oazjanie nie płakali, nie wzdychali ani nie zakrywali twarzy dłońmi, więc musiała powiedzieć coś takiego, co skłoniło Petera do tego wniosku.

Starął się przypomnieć coś jeszcze o Miłośniczce Jezusa Piętej, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Niestety, tak właśnie funkcjonował ludzki umysł: mieszał relacje i pojęcia, po czym przesiewał je przez sito pamięci, aż zostawało jedynie kilka symboli, nie zawsze najważniejszych.

Następnym razem musi zapisać więcej szczegółów.

– **USIC** **s**abrać ciebie – powtórzyła Miłośniczka Jezusa Pięta. – Ja w obawie, **py** nie wrócisz.

Podszedł do przerwy w murze, gdzie kiedyś miały się znaleźć drzwi, przeszedł przez nią i stanął w cieniu swojego kościoła, by się wysikać. Pomarańczowy mocz był ciemniejszy niż poprzednio. Może pił za mało wody? Oazjanie pili oszczędnie, a on ich naśladował. Jeden głęboki haust z plastikowej butelki zaraz po przebudzeniu i kilka łyków co jakiś czas przy pracy. To wszystko. Oazjanie napełniali jego butelkę, kiedy pozostawało w niej niewiele wody. Bez oporu szli do osady i z powrotem, ale on nie chciał trudzić ich bez potrzeby.

Zajmowali się nim troskliwie. Byli niezwykle skrytymi ludźmi, większość czasu spędzali w swoich domach na spokojnych rozmowach z przyjaciółmi i rodzinami, a jednak przyjęli go z otwartymi ramionami. Oczywiście w przenośni. Nie byli wylewni, ale ich życzliwość była szczerą. Co jakiś czas,

kiedy pracował przy budowie kościoła, ktoś zjawiał się z podarunkiem. Talerz pieczonych kulek przypominających samosy, pojemnik letniej słonawej papki, bryłka czegoś kruchego i słodkiego. Jego współpracownicy rzadko jedli na budowie, woleli tradycyjne posiłki w domu. Czasami ktoś zrywał kilka białych kwiatów wprost z ziemi, jeśli dopiero co się rozwinęły i były soczyste. Ale gotowane przysmaki, te drobne dary, były tylko dla niego. Przyjmował je z nieklamana wdzięcznością, ponieważ przez cały czas był głodny.

Teraz trochę mniej. Nie chcąc uchodzić za żarłoka, w ciągu ostatnich trzystu sześćdziesięciu godzin radykalnie zmniejszył ilość przyjmowanych kalorii i przypomniał sobie coś, czego nauczył się podczas swoich marnotrawnych lat: człowiek może przeżyć, a nawet zachować energię, przy bardzo małej ilości paliwa. Pod warunkiem, że jest do tego zmuszony. Albo zbyt pijany, żeby się tym przejmować. Albo – i to był jego obecny przypadek – zajęty i szczęśliwy.

Kiedy wrócił do Miłośniczki Jezusa Piątej, zastał ją siedzącą na podłodze opartą o ścianę. Bezwiednie zadarta szata odsłaniała chude uda i przestrzeń pomiędzy nimi. Peter zerknął na nagie ciało. Wydawało mu się, że widzi odbyt, ale niczego, co przypominałoby genitalia.

– Powiedz więcej o **K**siędze **S**iwnych **N**owych **S**ecy – poprosiła.

„Stworzył mężczyznę i niewiastę”<sup>15</sup>. Właśnie to zdanie przyszło mu do głowy.

– Znasz historię Adama i Ewy? – zapytał.

– Bóg błogosławił historię **k**sięgi. **K**a**s**da dobra.

– Tak, ale czy znasz tę? Czy słyszałaś ją już wcześniej?

– Dawno – przyznała. – Mów.

– Słyszałaś ją od Kurtzberga?

– **p**ak.

– Dlaczego nie ma tu Kurtzberga, dlaczego sam ci jej nie opowie?

Peter zadawał to pytanie wiele razy i na różne sposoby, od kiedy przyjechał do osady. Nie otrzymał jeszcze satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Ojciec Kur**p**sberg daleko. **p**ęskno za nim. **py** **pes** do domu. – W zakamarkach jej rozszczepionej twarzy, zazwyczaj różowej (co kojarzył ze zdrowiem), pojawiły się białe plamy.

– Ja pojedę tylko na trochę. Niedługo wrócę.

– **p**ak, **p**ak mów. Pro**s**ę.

Nie powiedziała tego żartobliwie ani błagalnie. Była rzeczowa i – chociaż mówiła równie cicho jak inni Oazjanie – stanowcza. A może tak mu się tylko wydawało. Może wszystko było dziełem jego wyobraźni – postrzegał nieistniejące różnice, bo w swej żarliwości chciał na siłę dotrzeć do tych ludzi. Czytali kiedyś z Beą artykuł w jakimś czasopiśmie, który wyjaśniał, dlaczego koty nie są prawdziwymi istotami myślącymi (choć ich właściciele głęboko w to wierzą). Za wszystkie charakterystyczne kocie odgłosy i ekscentryczne zachowania odpowiedzialne są geny dziedziczone przez danego osobnika. Straszny artykuł, napisany przez zadowolonego z siebie łysiejącego

dziennikarzynę. Bea była nim naprawdę wstrząśnięta, a niełatwo ją doprowadzić do takiego stanu.

– Powiedz mi, Miłośniczko Jezusa Piąta – odezwał się Peter. – Ta osoba, przez którą jesteś smutna, ta, która nie wierzy w Jezusa, czy to twój syn?

– Mój... brap.

– Masz jeszcze innych braci i siostry?

– Jedno syje. Jedno w siemi.

– A matka i ojciec?

– W siemi.

– Masz dzieci?

– Bose! Nie.

Peter skinął głową, jakby rozumiał. Nie był o wiele mądrzejszy i nadal brakowało mu wskazówek co do płci Miłośniczki Piątej.

– Wybacz mi moją głupotę, proszę, Miłośniczko Jezusa Piąta, ale czy zostałeś stworzona jako kobieta, czy mężczyzna?

Nie odpowiedziała, a tylko przechyliła na bok głowę. Zauważył wcześniej, że bruzda na jej twarzy nie wygina się, gdy jest zmieszana (w przeciwieństwie do Miłośnika Jezusa Pierwszego). Czy oznaczało to, że jest sprytniejsza? A może tylko bardziej nieufna?

– Właśnie wspomniałaś... Przed chwilą mówiłaś o swoim bracie. Nazwałaś go bratem, nie siostrą. Co sprawia, że jest twoim bratem, a nie siostrą?

Zastanawiała się długo. Boże!

Spróbował ponownie.

– Czy jesteś bratem swojego brata, czy siostrą?

Znów rozważała odpowiedź.

– Dla ciebie ja brapem – powiedziała. – Słowo siospra bardso prudne.

– Ale gdybyś łatwiej mogła wypowiedzieć słowo siostra, czy tak byś się nazwała?

Przesunęła się, zmieniając pozycję. Szata opadła, zakrywając jej krocze.

– Nic bym nie mówiła.

– W historii o Adamie i Ewie – naciskał Peter – Bóg stworzył kobietę i mężczyznę. Niewiastę i męża. Dwa różne rodzaje ludzi. Czy u was też są różne rodzaje?

– Kasdy jesp inny – powiedziała.

Peter uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Wiedział, że musi się poddać. Przez otwór w ścianie, który już niedługo miał być pięknym oknem z witrażem, dostrzegł w oddali procesję Oazjan niosących pełne cegieł sieci.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Uświadomił sobie, że nie poprosił nikogo z USIC, by pokazał mu starą osadę Oazjan, tę, którą w tak tajemniczy sposób opuścili. Gdyby Bea była tu razem z nim, nigdy by tego nie przeoczyła, nie pozwoliłaby mu na taki błąd. Już sama wzmianka o C-2 wzbudziłaby jej ciekawość; zapytałaby: A co z C-1? Co się z nim dzieje? Beatrice czasami, naprawdę rzadko, irytowała się, kiedy popełniał takie błędy, oskarżała go, że

znów cierpi na zespół Korsakowa. Oczywiście to był żart. Oboje wiedzieli, że alkohol nie ma z tym nic wspólnego.

– Miłośniczko Piąta?

Nie odpowiedziała. Oazjanie byli oszczędni w słowach. Zazwyczaj uważnie słuchali i czekali, aż Peter doprecyzuje pytanie w taki sposób, że będą mogli na nie odpowiedzieć.

– Kiedy Kurtzberg był z wami – ciągnął – w poprzednim... w osadzie, w której wcześniej mieszkaliście, tej niedaleko bazy USIC, czy wybudowaliście tam kościół?

– Nie – odpowiedziała.

– Dlaczego?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Nie.

– Gdzie się modliliście?

– Ojciec Kur**ps**berg wcho**si**ł w nase domy – powiedziała. – Cały sie**ń** chos**i**ł od domu do domu, od domu do domu. **p**am cypa**ł** K**si**ęę.

– Można i tak postępować – powiedział dyplomatycznie Peter. – To bardzo dobry sposób. Sam Jezus powiedział: „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich”<sup>16</sup>.

– Nigdy **p**u **Jes**us nie był – powiedziała Miłośniczka Piąta. – Ko**L**ół leps**y**.

Peter uśmiechnął się, nie potrafiąc powstrzymać napływającej fali dumy. Szczerze wierzył, że materialna obecność kościoła będzie lepsza.

– A gdzie mieszkał ojciec Kurtzberg? – naciskał. – Chodzi mi o to, gdzie spał, kiedy był z wami? – Wyobrażał sobie Kurtzberga opatulonego w kokoniewannie, pocącego się przez całą noc w wymyślnej pizamie. Pastor był niewysoki i przynajmniej wzrostem pasowałby do oazjańskiego łóżka.

– Ojciec Kur**ps**berg miał **s**amochód – powiedziała Miłośniczka Jezusa Piąta.

– Samochód?

– Du**s**y **s**amochód. – Dłońmi zakreśliła w powietrzu kształt samochodu: niezdarny prostokąt, z którego nie można było wywnioskować, o jaki rodzaj pojazdu chodzi.

– Masz na myśli, że odjeżdżał, by spędzić noc... hm... spać w bazie USIC?

– Nie. **s**amochód ma ł**o**s**k**o. **s**amochód ma je**s**enie. Ma w**s**ys**p**ko.

Peter skinął głową. Oczywiście. To najprostszy sposób, by uporać się z wyzwaniem. Bez wątpienia z takiego samochodu – może nawet z tego samego, którego używał Kurtzberg – mógłby korzystać i on, gdyby o to poprosił. Ale umyślnie zdecydował nie iść tą samą drogą i nie żałował tego. Wyczuwał, że pomiędzy Kurtzbergiem a jego trzódką był pewien dystans, bariera, której nawet wzajemny szacunek nie potrafił zniwelować. Oazjanie traktowali swojego pierwszego pastora jak obcego, nie tylko w dosłownym znaczeniu. Obozując w samochodzie, Kurtzberg dawał znak, że w każdej chwili może przekręcić kluczyk w stacyjce, nacisnąć pedał gazu i odjechać.

– Jak myślisz, gdzie jest teraz Kurtzberg?

Miłośniczka Piąta milczała przez chwilę. Inni Miłośnicy Jezusa byli już niedaleko, prawie bezgłośnie stąpali w swych miękkich butach. Cegły na pewno były ciężkie, ale Oazjanie nie postękiwali z wysiłku i dźwigali je ochoczo.

– **pam.** – Miłośniczka Piąta pomachała ręką w nieokreślonym kierunku. Wydawało się, że wskazuje cały świat.

– Myślisz, że żyje?

– **Wiesę. Bos**a wola.

– Kiedy on... hm... – Peter urwał, by sformułować pytanie na tyle precyzyjnie, aby mogła na nie odpowiedzieć. – Czy się pożegnał? Chodzi mi o moment, w którym widzieliście go po raz ostatni. Kiedy poszedł, powiedział „odchodzę i nie wracam” czy „do zobaczenia za tydzień” albo... Co powiedział?

Znów chwila milczenia. Potem odpowiedź:

– Nic.

– Niech Bóg błogosławi **spop**knięcie, Ojce **Peper** – zawołał jakiś głos.

I tak Oazjanie przyszli budować swój kościół lub, jak to określali, ko**L**ół. Peter miał nadzieję, że pewnego dnia odzwyczai ich od tego słowa i nauczy innego. Oto ludzie, wznoszący kościół cegła po cegle, którzy nie potrafią wymówić nazwy tego, co z takim wysiłkiem i oddaniem tworzyli. Było w tym coś niesprawiedliwego.

Ostatnio – nie za często, żeby nie spalić pomysłu – Peter używał określenia „niebo” zamiast „kościół”. „Budujemy niebo” mawiał (ani jednej niemożliwej dla nich do wymówienia spółgłoski!) albo łączył oba określenia w jednym zdaniu. Pamiętając, by już w zarodku zdusić i wykluczyć wszelkie nieporozumienia, zadbał o wyjaśnienie różnicy pomiędzy potocznym zastosowaniem słowa „niebo” a niebem teologicznym. Tłumaczył, że oba miejsca zapewniały bezpieczną przystań dla tych, którzy otworzyli swe serca przed Jezusem, ale jedno było określoną przestrzenią znajdującą się nad głowami, a drugie stanem wiecznej duchowej jedności z Bogiem.

Kilku Oazjan zaczęło używać tego słowa; nie było ich wielu. Większość wolała „ko**L**ół”, mimo że przyprawiało ich ciała o konwulsje. Ci, którzy zdecydowali się na „niebo”, wymawiali je bez trudu, ale nie był pewien (pomimo ich zapewnień), czy rozumieją różnicę, którą starał się im uświadomić.

– Bóg **pam** – powiedział Miłośnik Jezusa Piętnasty, wskazując na niebo. A potem, wyciągając dłoń w kierunku fundamentów kościoła: – Niebo **pu**.

Peter się uśmiechnął. Nie wierzył, by Bóg znajdował się w niebie. Nie istniały współrzędne określające jego położenie w kosmosie, współistniał ze wszystkim i wszędzie. Ale chyba było za wcześnie, żeby zaprzętać głowy Oazjan podobnymi problemami metafizycznymi. Potrafili rozróżnić przybytek, który



budowali, od miejsca, gdzie mogli połączyć się z Bogiem. I tak było dobrze.

– Dobrze – powiedział.

– Chwała Je**s**usowi – odparł Miłośnik Jezusa Piętnasty. Zabrzmiało to, jakby wyciągał stopę z bagnistej ziemi.

– Chwała Jezusowi – zgodził się z lekkim smutkiem Peter. W zasadzie żałował, że Pan został ochrzczony tym imieniem. To było piękne imię, cudowne imię, ale Daniel, Dawid czy Nahum byłoby tu łatwiejsze do wymówienia. Nawet nie warto wspominać o miasteczku Oskaloosa, z którego pochodziła pomysłodawczyni nazwy Oaza.

– Jak nazywacie to miejsce? – Mnóstwo razy zadawał to pytanie wielu z nich.

– **p**u – mówili.

– Ten cały świat – uściślał. – Nie tylko wasze domy, ale całą ziemię wokół swoich domów, tak daleko, jak sięga wzrok, i te odległe miejsca, których stąd nie widać, za horyzontem, gdzie zachodzi słońce.

– **s**ycie – mówili.

– Bóg – mówili.

– A w waszym języku? – nalegał.

– Nie powie**s** **p**ego **s**łowa – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy.

– Spróbuję.

– Nie powie**s** **p**ego **s**łowa. – Nie wiadomo, czy to powtórzenie oznaczało irytację, upór czy niewzruszone przekonanie. Możliwe, że Miłośnik Pierwszy spokojnie przekazywał raz jeszcze tę samą informację.

– Kurtzberg potrafił wymówić to słowo?

– Nie.

– Czy Kurtzberg... Kiedy był z wami, czy nauczył się jakichś słów z waszego języka?

– Nie.

– Czy wy znaliście jakieś słowa z naszego języka, kiedy po raz pierwszy spotkaliście Kurtzberga?

– Kilka.

– To musiało być trudne.

– Bóg w**s**pomógł.

Peter nie wiedział, czy Miłośnik powiedział to żartobliwie, jakby wznosił oczy do góry (gdyby miał jakieś oczy, które mógłby wnieść), czy też stwierdzał dosłownie, że Bóg im pomógł.

– Mówicie tak dobrze w moim języku – pochwalił ich. – Kto was nauczył? Kurtzberg? Tartaglione?

– Frank.

– Frank?

– Frank.

Tak pewnie miał na imię Tartaglione. A właśnie, skoro o nim mowa...

– Czy Frank był chrześcijaninem? Miłośnikiem Jezusa?

– Nie. Frank... miłośnik mowy.  
– Czy Kurtzberg też was uczył?  
– Mowy nie. **pylko** **s**łowo Bose. Cytął z **K**sęgi **s**iwnych Nowych **s**ecy. Najpierw nie ro**s**umiemy. **P**opem pomógł Frank i pomógł Bóg, **s**łowo **s**a słowem ro**s**umiemy.

– A Tart... Frank. Gdzie jest teraz?

– Nie **pu** – odpowiedział głos spod oliwkowego kaptura.

– Odej**L** – powiedział głos spod kanarkowego kaptura. – Brak go nam.

Peter starał się wyobrazić sobie, jakie pytania mogłaby zadać Bea, gdyby z nim tutaj była. Czy rozumiałaby więcej? Miała talent, potrafiła zobaczyć nie tylko to, co jest, lecz także to, czego brakuje. Objął spojrzeniem swoje zgromadzenie. Dziesiątki małych ludzi odzianych w pastelowe ubrania, dziwaczne twarze pod kapturami, nieco przybrudzone podeszwy butów. Wpatrywali się w niego, jakby był egzotycznym obeliskiem przekazującym wiadomości z odległego świata. Za nimi, rozmyte w wilgotnej mgłę, połyskiwały bursztynowe budowle ich miasta. Było tam o wiele więcej miejsca niż tylko dla tych, którzy siedzieli przed nim.

– Czy Frank uczył tylko Miłośników Jezusa? – zapytał. – Czy też każdego, kto miał ochotę się nauczyć?

– Co nie miłują **Jesusa**, nie chcą nauki. Mówią: Po co mówić w **j**ęzyku obcego ciała?

– Czy oni... Czy ci, co nie chcą się uczyć angielskiego, są źli, żeUSIC tu przybył?

Nie było sensu pytać Oazjan o uczucia. Zwłaszcza o uczucia innych.

– Czy to trudne – spróbował innego podejścia – produkować jedzenie, które dajecieUSIC?

– Dajemy.

– Ale ilość... To jest... Czy ciężko wam dostarczać tyle jedzenia? Ile im dajecie?

– Dajemy.

– Ale czy... Jeżeli nie byłoby tuUSIC, czy życie nie byłoby łatwiejsze?

– **U**SIC dało ciębie. My **s**adowoleni.

– Ale... hm... – Koniecznie chciał się zorientować, jaki był stosunek doUSIC tych Oazjan, którzy nie byli Miłośnikami Jezusa. – Każdy z was pracuje, żeby wyprodukować żywność, prawda? Miłośnicy Jezusa i... hm... inni. Wszyscy pracujecie razem.

– **Du**so rąk, praca kró**p**ka.

– No tak, jasne. Ale czy jest wśród was ktoś, kto mówi: „Dlaczego mamy to robić? Niech ludzie zUSIC sami produkują jedzenie”.

– **K**asdy chce lekar**s**pwa.

Peter przez chwilę zastanawiał się nad tą odpowiedzią.

– Czy to znaczy, że wszyscy są... hm... Czy wszyscy zażywacie lekarstwa?

– Nie. Kilku. Mało. My nie. Chwała **Jesu**sowi.

– A co z tymi, co nie kochają Jezusa? Czy oni częściej chorują?

To spowodowało różnicę zdań – rzadkość wśród Oazjan. Niektóre głosy zdawały się mówić tak, niemiłośnicy są bardziej podatni na choroby. Inni chyba mówili, że nie, że to nie ma związku z wiarą. Ostatnie słowo należało do Miłośnika Jezusa Pierwszego, który powiedział coś, co umknęło uwadze innych.

– Oni pomrą – powiedział. – Lekarstwo lub nie, pomrą na wieki.

I wtedy, o wiele za szybko, jego czas dobiegł końca. Grainger przyjechała, tak jak obiecała – po trzystu sześćdziesięciu godzinach od ostatniej rozmowy. Przynajmniej wydawało mu się, że to Grainger.

Uprzedziła go, że następnym razem przyjedzie większym samochodem, pojazdem dostawczym, a nie dżipem. Bez wątpienia do C-2 zbliżała się ciężarówka. Pojawiła się nagle na tle połyskującego, falującego horyzontu, jakby wcześniej kamuflowało ją światło poranka. Peter przypuszczał, że osada musiała na Grainger sprawić wrażenie miasta widma, bo jak zwykle nigdzie nie widać było przejawów życia. Dla Oazjan ulice były jedynie pasażami prowadzącymi od domu do domu, a nie przestrzenią publiczną, w której można spędzać czas.

Ciężarówka zatrzymała się przed domem oznaczonym gwiazdą. Ciężarówka? Raczej furgonetka, podobna do pojazdów, które przemykają po angielskich miastach, rozwożąc chleb i mleko. Logo USIC umieszczone na boku było małe i nierzucające się w oczy, bardziej przypominało tatuaż niż chełpliwy znak wielkiej korporacji. Równie dobrze mógł tam widnieć napis „Kwiaciarnia USIC”. Albo „Sklep rybny USIC”. Trudno było się dopatrzeć potęgi międzynarodowej firmy.

Kiedy pojawiła się furgonetka, Peter pracował na budowie, mieszając zaprawę. Zauważył ją, gdy była w odległości kilkuset metrów. Oazjanie, jak zwykle niezmiernie skoncentrowani na wykonywanych czynnościach, krótkowzroczni (trudno było ocenić wrażliwość ich słuchu), nie spostrzegli, że się zbliża. Ciekawe, co by się stało, gdyby Peter udawał, że też jej nie widzi, i nadal wykonywał swoją pracę razem z nimi. Czy Grainger wysiadłaby i podeszła do nich? Podjechałaby ciężarówką na budowę? A może straciłaby cierpliwość i zawróciła do bazy?

Wiedział, że to nieuprzejme, a nawet dziecinne, nie powinna na niego czekać, ale chciał, by wysiadła ze swojej metalowej skorupy i nawiązała właściwy kontakt z tymi ludźmi, którym odmawiała prawa do tej nazwy, z istotami, które wywoływały u niej dreszcz. W rzeczywistości nie byli przerażający ani obrzydliwi. Jeśli patrzyło się na nich wystarczająco długo, ich fizjonomia przestawała się wydawać makabryczna, a bezoka bruzda upodabiała się do ludzkiego nosa lub czoła. Bardzo chciał, żeby Grainger mogła to zrozumieć.

Już miał powiedzieć swoim współpracownikom, że musi ich na chwilę

opuścić, gdy spostrzegł ruch w drzwiach budynku oznaczonego gwiazdą. Wyszedł z nich Oazjanin ubrany w szaroburą szatę. Drzwi pojazdu się otworzyły i Grainger wysiadła. Była jak portret w bieli.

Peter odwrócił się, by powiedzieć swoim towarzyszom, że przyjechała, ale nie było takiej potrzeby. Sami to zauważyli i przerwali pracę. Każdy odłożył to, co trzymał, powoli i po cichu. Miłośniczka Jezusa Pięćdziesiąta Druga – kobieta wedle arbitralnej oceny Petera – była w połowie schodów. Zatrzymała się, popatrzyła na cegłę, którą trzymała w dłoniach, a potem na mur, gdzie syropowata zaprawa za chwilę stężeje. Decyzja, czy kontynuować pracę, czy ją przerwać, była dla niej najwyraźniej bardzo trudna. Po chwili wahania Oazjanka zaczęła schodzić po schodach, jakby zdecydowała, że przytwierdzenie cegły jest zadaniem zbyt ważnym, by realizować je w tych warunkach.

Pozostali Oazjanie rozmawiali ze sobą w swoim języku. Peter mógł zrozumieć tylko jedno słowo – jedyne, które najwyraźniej nie istniało w ich słowniku – „lekar**sp**wa”. Miłośnik Jezusa Pierwszy podszedł do niego pośpiesznie.

– Pro**s**ę, Pe**p**er – powiedział. – Jak Bóg po**s**woli... Jak Je**s**us i Duch **sw**iępy po**s**wolą... **p**er**s** pójde i pomogę **s** lekar**sp**wami.

– Oczywiście – powiedział Peter. – Chodźmy razem.

Nieomal namacalnie dało się wyczuć spadek napięcia, jakby wśród zgromadzonych przebiegł dreszcz ulgi. Czy Kurtzberg czasem nie zaszczepił w nich strachu przed gniewem Bożym? A może po prostu bardzo się starali zadowolić swojego nowego pastora. Zanotował w pamięci, że musi porozmawiać z nimi przy najbliższej okazji o Bożym współczuciu i pobłażliwości: „Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie”<sup>17</sup>, i o podobnych sprawach. Tylko będzie musiał znaleźć alternatywę dla metafory przywołującej pojęcia związane z hodowlą zwierząt.

Peter i Miłośnik Jezusa Pierwszy ruszyli w stronę osiedla. Reszta Oazjan została na budowie. Może nie chcieli niepokoić przedstawiciela USIC gremialnym pochodem, a może postąpili tak z szacunku dla Miłośnika Pierwszego, którego traktowali jak swojego oficjalnego przedstawiciela.

Ubrany w szarą szatę Oazjanin, który wyszedł z budynku, nadal stał obok samochodu. Dostał od Grainger białe pudełko i trzymał je teraz uroczyście, jak ksiądz dzierzący sakrament, pomimo że opakowanie przypominało wielki karton po pizzy. Nie wyglądało na to, aby pilno mu było zabrać je ze sobą. Jeśli rozmawiał wcześniej z Grainger, to na widok zbliżających się Petera i Miłośnika Pierwszego konwersacja została przerwana.

Grainger także ich obserwowała. Była ubrana tak jak poprzednio, w biały chałat, bawełniane spodnie i chustę luźno udrapowaną wokół głowy i szyi. Kiedy stała przy Oazjaninie, pomimo chłopięcej sylwetki wydawała się zwalista.

- Kto to jest? – zapytał Peter Miłośnika Pierwszego, kiedy byli już blisko.
- **sBsFpH** – odpowiedział Miłośnik Pierwszy.
- To nie jest Miłośnik Jezusa?
- Nie.

Peter zastanowił się, czy ma jakąś szansę nauczyć się ich języka. Nie dało się tego skojarzyć z żadnym angielskim słowem i brzmiało, jakby ktoś karczował maczetą pole kruchych trzcin i soczystej sałaty.

- Czy straciliście szansę na swoją porcję lekarstw?

– Lekarspwo dla kasdego – powiedział Miłośnik Pierwszy. Peter nie wiedział, czy jego głos wyrażał pogodne przekonanie, oburzenie, czy ponure stwierdzenie faktu.

Cała czwórka spotkała się w cieniu budynku ozdobionego gwiazdą. Napis WITA MY zbladł zupełnie i stał się kompletnie nieczytelny. Równie dobrze można było go wziąć za resztki rozchłapanej farby.

Miłośnik Jezusa Pierwszy skłonił się Grainger.

- Miło se prafiła pu s daleka – powiedział.

– I zaraz wracam jak rakietka – odparła. Pomimo żartu była najwyraźniej spięta. Silnik samochodu pracował, chociaż naklejka na bocznym oknie głosiła: OSZCZĘDZAJ PALIWO, DO WENEZUELI KAWAŁ DROGI.

- Cześć, Grainger – powiedział Peter.

- Hej, wszystko gra?

Jej głos brzmiał bardziej amerykańsko niż ostatnio, niemal jak parodia jankeskiego akcentu. Peter nagle zatęsknił za Beą tak silnie, że poczuł skurcz żołądka. Jakby ktoś zniecierpliwiony walnął go w brzuch. Długo znosił jej nieobecność, a teraz przez głowę przemknęła mu myśl, że ona tu na niego czeka. Zamiast ciężarówki USIC stoi śliwkowy vauxhall, obok niego Bea. Macha swoim zwyczajem w dziecinny sposób i wita go uroczym głosem z akcentem z Yorkshire.

- Spałeś pod gołym niebem? – zapytała Grainger.

- Widać?

Zmrużyła oczy i obrzuciła go spojrzeniem.

- Niektórzy ludzie się opalają. Inni przypiekają.

- Nie czuję się spieczony.

- Przeglądałeś się ostatnio w lustrze?

- Zapomniałem zabrać ze sobą.

Skinęła głową, jakby z politowaniem.

– Zaraz nasmarujemy cię kremem. Trochę za późno na pierwszą pomoc, ale... – Zerknęła na Miłośnika Jezusa Pierwszego i na drugiego Oazjanina. – Skoro o tym mowa, mam jeszcze lekarstwa do przekazania. Hm... z kim mam gadać? Komu mam opisać dostawę?

– Rosumiem więcej nis on – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. – Powies mi, jakie lekarspwa. – Potem zwrócił się do swojego ziomka: – **kjdfRH, DJF rNFDN**

Drugi Oazjanin podszedł bliżej i uniósł pokrywę pudełka. Przechylił je tak, aby Grainger i Miłośnik Pierwszy mogli zajrzeć do środka. Peter stał z boku, ale zauważył mnóstwo plastikowych buteleczek i małych tekturowych pudełek. Niektóre były w kolorowych opakowaniach handlowych, ale większość miała wydrukowane naklejki zastępcze.

– W porządku – powiedziała Grainger, wskazując po kolei. – Mamy tu aspirynę i paracetamol, jak zwykle. Te tutaj to zamienniki.

– **Na**swa inna, **lekar**spwo **p**akie **s**amo – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy.

– Właśnie – przytaknęła Grainger. – Jest dziesięć paczek paracetamolu pod nazwą Tylenol, już go wam dostarczaliśmy. A te niebieskie i żółte opakowania to tabletki do ssania, jak cukierki, ale zawierają dekstrometrofan i fenylefrynę. Łagodzą kaszel i drażnią górne drogi oddechowe. Nie wiem, czy wy... hm...

– Zakasłała. Nie wiadomo, czy imitowała kaszel na potrzeby Oazjan, czy naprawdę musiała oczyścić gardło. – A tu mamy diklofenak, środek przeciwbólowy i przeciwzapalny, dobry na reumatyzm, na ból w stawach i mięśniach. – Zgięła łokieć i podciągnęła bark, imitując dolegliwości reumatyczne. – Dobry też na migreny i... hm... bóle menstruacyjne. – W jej głosie wyczuwało się zniechęcenie. Było jasne, że nie wierzy, by jej słowa miały jakikolwiek sens dla odbiorców. Mówiła coraz szybciej i niewyraźniej, prawie mamrotała. Peter spotykał się już z takim zachowaniem u niedoświadczonych albo nieudolnych kaznodziej, którzy starali się zjednać wrogą publiczność i czuli, że tracą posłuch. Nieudolnie zachęcali ludzi do ponownego odwiedzenia kościoła. Mówili to w taki sposób, jakby chcieli zadowolić tym zaproszeniem spozierającego z góry Boga, bez zbytnej nadziei, że ktoś przyjdzie.

– Są też kremy z kortyzonem, takie, jak lubicie, w niebieskich i białych tubach – ciągnęła Grainger. – I trochę antybiotyków. Gentamycyna, neomycyna, flukloksacylina. Mają szerokie zastosowanie, wyjaśniałam wam. Zależy od konkretnego przypadku. Jeśli... hm... jeśli dostałabym wasze opinie, jak działają na was poszczególne antybiotyki, mogłabym wam lepiej doradzić.

– **An**pybiopyk dobry – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. – Ale **an**pyból lepsy. **Jes**p **as**piryna i **para**sepamol w inny kolor i opakowanie?

– Nie, mówiłam już, co tu macie. Ale pamiętajcie, jest też diklofenak, bardzo skuteczny i dobrze tolerowany przez większość... hm... ludzi. Zdarza się, że występują działania uboczne, pojawiają się dolegliwości gastryczne, tak jak w przypadku innych środków przeciwbólowych. – Pomasowała się po brzuchu. Peter zrozumiał, że był to gest rozpacz, a nie objaw dolegliwości gastrycznych. – Mamy też tym razem – mówiła dalej – coś zupełnie nowego, niezwiązanego z bólem. Nie dostawaliście jeszcze czegoś takiego. Nie wiem, czy na coś ci się przyda. Nie mówię, że tobie konkretnie, ale... może komuś tutaj.

– **Na**swa?

– Nazwa na opakowaniu to Gluco Rapid. To nazwa leku, który zawiera insulinę. Dla cukrzyków. Wiecie coś o cukrzycy? Kiedy organizm nie potrafi

regulować poziomu glukozy?

Oazjanie nie odpowiedzieli ani nie zareagowali żadnym gestem, ale z uwagą wpatrywali się w Grainger.

– Glukoza jest jak cukier – powiedziała słabnącym głosem. Przycisnęła palce do spoconego czoła, jakby sama potrzebowała kilku tabletek przeciwbólowych. – Przepraszam, to chyba nie ma żadnego sensu, ale insulinę przywiozłam dodatkowo i...

– My **sobowiāsani** – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. – Bar**so**. – I wybawił Grainger z kłopotu, dając znak swemu towarzyszcowi, by zamknął pudełko.

Teraz sprawy potoczyły się szybko. Ubrany na szaro Oazjanin i Miłośnik Jezusa Pierwszy zabrali pudełko do budynku z gwiazdą. Gdy po kilku minutach wrócili, każdy z nich niósł w ramionach wypchany worek. Przyciskali je do piersi, jakby tulili niemowlęta. Ułożyli swój ładunek w furgonetce i poszli po kolejny. Po kilku takich kursach inni Oazjanie, nieznani Peterowi, przyszli im z pomocą. Oprócz worków zawierających białe kwiaty (w różnej postaci – suszone i sproszkowane) nosili też duże plastikowe pojemniki ze zmyślnie sporządzonymi mieszaninami. Kiedy kucharze USIC dodadzą do tego wody, mieszanki zamienią się w zupy, masło, desery i Bóg wie co jeszcze. W mniejszych pojemnikach i workach znajdowały się przyprawy i zioła. Każde opakowanie było oznaczone niezdarnymi wielkimi literami nakreślonymi mazakiem. Trudno było poznać, czy zrobili to pracownicy USIC, czy jakaś mała, obciążona rękawiczką dłoń.

Na prośbę Grainger Peter wszedł z nią do samochodu. Narzekała, że wilgoć staje się zbyt dokuczliwa, ale wyczytał z jej twarzy, iż nie spodziewała się, by jej uwierzył. Przekazanie lekarstw wykończyło ją fizycznie i psychicznie. Klimatyzowana kabina – oddzielona przegrodą od części bagażowej, gdzie składano żywność – stanowiła jej azyl, tylko tu mogła dojść do siebie. Odwracała wzrok od zakapturzonych postaci, które przesuwwały się za oknami. Co kilka minut zawieszenie ugięło się lekko pod ciężarem kolejnego worka lub pojemnika. Najwyraźniej długa praktyka potwierdzała, że Oazjanom można zaufać i na pewno wywiążą się ze swojej części umowy. Może zresztą Grainger powinna była sprawdzić towar, ale nie miała na to sił.

– Dostaniesz raka, jak nie będziesz na siebie uważał – powiedziała, odkręcając tubkę z kremem.

– Czuję się dobrze – zaprotestował Peter, kiedy nałożyła mu środkowym palcem odrobinę maści na nos i czoło. Dotyk kobiecej dłoni – chociaż nie była to dłoń Bei – przejął go dreszczem.

– Twoja żona nie będzie zachwycona, kiedy się dowie, że usmażyłeś sobie twarz.

Grainger przekreśliła wsteczne lustro, żeby Peter się przejrzał. Błyszcząca maść wyglądała okropnie, ale o ile mógł stwierdzić, skóra pod spodem nie była w jakimś strasznym stanie, tylko łuszczyła się gdzieś tam; poza tym miał

kilka bąbli.

– Przeżyję – powiedział – ale dziękuję.

– Jeśli potrzeba ci jeszcze czegoś – odparła, wycierając palce w papierową chusteczkę – daj znać, jak wrócimy do cywilizacji.

– Przekonałem się, że Oazjanie są wysoce cywilizowani. Ale tobie jako farmaceutce musi być ciężko. Trudno ci się zorientować, co stanowi główny przedmiot ich troski, jeśli chodzi o zdrowie.

– Peter... – Jej głowa opadła na zagłówek siedzenia. Westchnęła. – Nie myślmy o tym.

– Ludzie zawsze tak mówią, kiedy coś ich naprawdę dręczy.

Poprawiła lusterko, tak żeby sama mogła się przejrzeć. Koniuszkiem chusteczki poprawiła rozmazany makijaż pod lewym okiem. Potem zrobiła to samo pod prawym. Peter był pewien, że kiedy ostatni raz się widzieli, nie była umalowana.

Na zewnątrz coś poszło nie tak. Oazjanin, który usiłował nieść dwa pojemniki, upuścił jeden na ziemię. Chmura rdzawobrunatnego pyłu pokryła mu buty, golenie i dolną część jasnoniebieskiej szaty. Inny Oazjanin zatrzymał się, by ocenić szkody, i powiedział: „cynamon”.

– Cynamon – powtórzył.

Przez chwilę stali, przyglądając się rozsypanej przyprawie. Wirujący podmuch wilgotnego powietrza uniósł sproszkowany cynamon uzyskany z białych kwiatów, rozpylając go dookoła. Na ich szatach pojawiły się połyskujące ciemne plamy. Potem, bez słowa komentarza, obaj Oazjanie wrócili do pracy.

Peter opuścił szybę, by sprawdzić, czy na zewnątrz unosi się zapach cynamonu. Nic nie wyczuł, ale chłodne powietrze z klimatyzatora natychmiast zostało wyparte przez lepką strugę, która wtargnęła do samochodu.

– Błagam – jęknęła Grainger.

Podniósł szybę i pozwolił, by klimatyzacja wzięła odwet na uwieczonych strumieniach wilgotnego powietrza, które krążyły po kabinie, jakby umykały przed pościgiem. Szukając ujścia lub schronienia, owiewały mu twarz, kolana i kark. Grainger też je czuła. Zadrzała.

– Widziałaś, jak rozsypali cynamon? – zapytał Peter.

– Tak.

– To takie miłe, że nie robią z tego wielkiego problemu. Ten, który upuścił pojemnik, nie okazał śladu poczucia winy lub poirytowania. A jego towarzysze nie robił mu wyrzutów. Po prostu stwierdzili, co się stało, i dalej robią swoje.

– Tak, to bardzo krzepiące. Mogłabym siedzieć tu cały dzień i patrzeć, jak marnują naszą żywność.

– Muszę przyznać – zauważył Peter – że personel USIC też wydaje się rozsądny i zrelaksowany. – Kiedy to mówił, pomyślał, że Grainger stanowi wyjątek.

– Tak – powiedziała. – Nie wypada dramatyzować.



– Chcesz powiedzieć, że... że są takie wytyczne? Przepisy?

Roześmiała się.

– Nie. Mamy wolną rękę, możemy być słodziakami, jeśli chcemy. To zależy od nas, wszystko w granicach rozsądku.

Powietrze zrobiło się chłodniejsze i Grainger owinęła szal wokół szyi.

Oazjanie nadal taszczyli towary do furgonetki. Przenieśli już wszystkie worki, ale jeszcze dźwigali plastikowe pojemniki wypełnione pomysłowymi produktami z białych kwiatów. Przygotowanie tego jedzenia musiało zajmować mnóstwo czasu – rolnikom i kucharzom. Wydawało się, że w zamian za kilka paczek lekarstw to zdecydowanie za dużo. Może lekarstw nie było mało, ale...

– Jak to możliwe, że macie taki duży zapas leków? – zapytał.

– Nie mamy – odpowiedziała. – Dostajemy specjalne transporty, właśnie w tym celu. Każdy statek przywozi nową dostawę, trochę dla nas, trochę dla nich.

– To chyba dość skomplikowana operacja?

– Nie. Dobra logistyka, trochę zajęcia dla księgowych, i po sprawie. Leki nie zajmują dużo miejsca i ważą niewiele. W porównaniu z czasopismami czy... hm... winogronami... albo pepsi. I oczywiście ludźmi.

Wyglądało na to, że w furgonetce umieszczono już ostatnią część towaru. Peter wyjrzał przez przyciemnioną szybę, szukając Miłośnika Jezusa Pierwszego. Nigdzie nie było go widać.

– Zrobię, co w mojej mocy, by usprawiedliwić koszt mojego transportu – powiedział.

– Nikt się nie skarży – odparła Grainger. – Ci... ludzie, Oazjanie, jak ich nazywasz, prosili o ciebie. Dostali, co chcieli, więc wszyscy są zadowoleni, prawda?

Sama jednak nie wyglądała na uszczęśliwioną. Ustawiała wsteczne lusterko we właściwej pozycji. Rękaw chałatu zsunął się jej na łokieć i Peter zauważył szramy na przedramieniu. Stare ślady po samookaleczeniu, zabliznione, ale niedające się usunąć. Widywał wiele takich ran, historii zapisanych na żywym ciele. Tacy ludzie zawsze byli piękni. Ujrzawszy blizny Grainger, Peter po raz pierwszy uświadomił sobie, że ona także jest piękna.

## Kiedy wspominam tę chwilę, jestem pewna, że to się stało właśnie wtedy

Silnik warczał, a samochód wiozł Petera z powrotem do tego, co Grainger nazywała cywilizacją. W kabinie przefiltrowane powietrze było chłodne i czyste; obserwowany z wnętrza pojazdu krajobraz zmienił się gwałtownie. Przez setki godzin Peter czuł pod stopami znajomy grunt, niezmienny element jego codzienności, opokę pod przeobrażającym się niebem. Teraz ziemia stała się nierealna, a za przyciemnioną szybą przemykały obrazy. Słońca nie było widać, stało wysoko i przesłaniał je dach. Peter przysunął twarz do szyby i usiłował spojrzeć do tyłu, by jeszcze raz zobaczyć osiedle. Nie udało się, zniknęło już za horyzontem.

Grainger prowadziła w charakterystyczny dla siebie sposób, z nonszalancką sprawnością, ale wydawała się nieobecna i poirytowana. Trzymała kierownicę prosto i stukwała od czasu do czasu palcami po wskaźnikach na desce rozdzielczej, powodując migotanie cyfr i symboli na szmaragdowych wyświetlaczach. W pewnej chwili przetarła oczy, zamrugowała szybko i w końcu zmniejszyła nawiew. Uznała widocznie, że jej soczewki kontaktowe owiewa zbyt silny strumień powietrza.

Peter dziwnie się czuł, siedząc znów w maszynie. Całe życie spędzał w ich wnętrzu, nawet nie w pełni zdając sobie z tego sprawę. Nowoczesne domy były maszynami. Centra handlowe też. Tak jak szkoły, samochody, pociągi i miasta. Wytwory wyrafinowanej technologii, zaopatrzone w silniki i reflektory; włączało się je i zapominało o nich, a one troszczyły się o ludzi, spełniając ich sprzeczne z naturą zachcianki.

– Wygląda na to, że zostałeś królem Miasta Dziwołągów – bezceremonialnie stwierdziła Grainger. Zanim zdążył ją zbesztać za tę prostacką uwagę, dodała: – Jak by z pewnością ujeli to moi koledzy z USIC.

– Pracujemy razem – powiedział Peter. – Oazjanie i ja.

– Brzmi milutko. Ale robią dokładnie to, co chcesz, prawda?

Spojrzał na nią kątem oka. Wpatrywała się w drogę. Niemal spodziewał się, że będzie żuć gumę, pasowałoby to do tonu jej głosu.

– Chcą się dowiedzieć jak najwięcej o Bogu – wyjaśnił – więc budujemy kościół. Oczywiście konkretne miejsce nie jest najważniejsze, Boga można czcić wszędzie. Ale kościół ułatwia skupienie.

– Wysyłasz sygnał, że traktujesz sprawy poważnie, co?

Znów spojrzał na nią z ukosa. Tym razem nie odwrócił wzroku, dopóki nie odpowiedziała mu spojrzeniem.

– Grainger, dlaczego odnoszę wrażenie, że w tej rozmowie zamieniamy się rolami? To ty jesteś pracownicą wielkiej korporacji, która buduje tutaj kolonię. Ja jestem tylko lewicującym pastorem i to ja powinienem się niepokoić, czy ci ludzie nie są wykorzystywani.

– W porządku, postaram się być bardziej konwencjonalna – powiedziała beztrzesko. – Może kawa mi pomoże.

Sięgnęła po termos stojący na podłodze i postawiła go sobie na udzie. Z lewą ręką na kierownicy spróbowała prawą dłonią odkręcić mocno osadzony kubek. Nie dała rady.

– Pozwól, ja to zrobię.

Podawała mu termos. Odkręcił kubek i nalał jej kawy. Oleisty brązowy płyn był już letni.

– Proszę.

– Dzięki – wypita trochę. – Smakuje jak gówno.

Roześmiał się. Kiedy patrzył na jej twarz z bliska, wydawała mu się dziwna. Piękna, ale nierealna, jak odlew głowy plastikowej lalki. Jej usta były zbyt doskonałe, skóra za jasna. Może to kolejna sztuczka złotej poświaty poranka, a może w ciągu ostatnich trzystu sześćdziesięciu godzin przyzwyczyił się do fizjonomii Oazjan i to ich wygląd zaczął traktować jak normę. Grainger była z innej bajki.

– A, właśnie coś sobie przypomniałem – powiedział. – Lekarstwa, które dajecie Oazjanom, są sprowadzane specjalnie dla nich, tak?

– Tak.

– Ale z tego, co tam mówiłaś, kiedy rozmawiałaś z Miłośnikiem Jezusa Pierwszym...

– Z kim?!

– Miłośnikiem Jezusa Pierwszym.

– Tak go nazwałaś?

– Nie, on sam tak się nazwał.

– Dobra, okej. – Powiedziała to z niewzruszonym wyrazem twarzy, może ze szczyptą ironii. Peter nie wiedział, czy Grainger się z nim nie zgadza, czy uważa, że cała ta historia jest groteskowa.

– W każdym razie, kiedy mówiłaś mu o cukrzycy – wrócił do tematu – odniosłem wrażenie, że oni nie mają pojęcia, czym jest ta choroba. Więc dlaczego dałaś im insulinę?

Grainger skończyła kawę i zakręciła termos.

– Chyba nie chciałam, żeby się zmarnowała – powiedziała. – Insulina nie była dla nich, pochodziła z naszych zapasów. Ale już jej nie potrzebujemy. – Zamilkła na kilka chwil. – Severin nie żyje.

– Severin? Ten, z którym przyleciałem?

– Tak.

– Chorował na cukrzycę?

– Tak.

Peter przypomniał sobie podróż, którą odbył z Severinem. Wydawało mu się, jakby to było w innym życiu, przed wiekami, a nie kilka tygodni temu.

– Kiedy umarł?

– Zeszłej nocy. Wiem, że takie określenie niewiele tu znaczy. Pod koniec nocy. – Spojrzała na zegarek i znów zamilkła na chwilę. – Poprowadzisz uroczystość pogrzebową, oczywiście jeśli zechcesz.

Peter starał się wrócić myślami do czasu, który spędził wspólnie z Severinem. Przypomniał sobie, jak BG pytał go, jakiego jest wyznania. Severin odpowiedział, że w nic nie wierzy i nie zamierza się nawrócić.

– Severin chyba nie życzyłby sobie takiego pogrzebu. Nie był religijny.

– Wielu ludzi nie jest religijnych, ale nie możemy wrzucić po prostu zmarłego do pieca krematoryjnego bez jakiejś formy pożegnania.

Peter przez chwilę zbierał myśli.

– Czy masz... hm... może pojęcie, jaki rodzaj pożegnania większość personelu uznałaby za...

– To już twój wybór. Mamy kilku katolików, kilku baptystów, kilku buddystów... Czego dusza zapagnie. Nie przejmowałabym się tym. Wybrano cię, ponieważ... Powiedzmy, że gdybyś był ortodoksyjnym zielonoświątkowcem albo dogmatycznym wyznawcą jakiejś innej wiary, nie byłoby cię tu. Ktoś przestudiował twoje papiery i uznał, że się sprawdzisz.

– Sprawdzę przy pogrzebach?

– Sprawdzisz, dasz radę, jak wolisz. – Zaciśnęła dłonie na kierownicy i westchnęła. – Jak wolisz.

Peter przez pewien czas siedział w milczeniu. Krajobraz przesuwał się za oknami, z tyłu furgonetki docierał do nich intensywny zapach białych kwiatów.

Peter, kochanie, pisała Bea. Mamy poważne kłopoty.

Siedział w swojej kwaterze nagi, jeszcze nie zdążył się wykąpać. Przeszły go ciarki. „Mamy poważne kłopoty”.

Wiadomość od żony nadeszła dwa tygodnie temu, a ściślej mówiąc, przed dwunastoma dniami. Bea nie odzywała się przez pierwsze czterdzieści osiem godzin jego pobytu wśród Oazjan, doskonale wiedząc, że Peter będzie mógł przeczytać jej słowa, dopiero jak wróci do bazy. Pomimo to po dwóch dniach zdecydowała się wysłać mu list. Napisała też następnego dnia i następnego. W sumie jednaście wiadomości oczekujących na odczytanie, spakowanych w migoczących kapsułkach na dole ekranu. Każda kapsułka miała swój numer – datę transmisji. Dla jego żony ta korespondencja należała już do przeszłości, ale dla niego stanowiła nienaruszony prezent, który dopiero miał rozpakować. Chciał otworzyć je wszystkie naraz, roztrzaskać kapsułki jedenastoma uderzeniami palca w klawiaturę, ale zdawał sobie sprawę, że musi je odczytać po kolei.

Mógł zacząć lekturę godzinę wcześniej, w samochodzie, kiedy wracali z osady, ale nastrój, w jakim była Grainger, powstrzymał go od pytania, czy znajdują się już w zasięgu bazy i czy Sztoś zadziała. Chociaż Peter zwykle nie był przesadnie skryty i niełatwo wpadał w zakłopotanie, czułby się skrępowany, gdyby miał odczytywać prywatne wiadomości od żony, siedząc obok farmaceutki. A jeśli Bea opisała jakieś intymne szczegóły z ich życia? Lub przesłała mu erotyczne wyznania? Lepiej opanować ciekawość i poczekać, aż będzie mógł czytać w zaciszu własnego pokoju.

Kiedy w bazie USIC wszedł do siebie, natychmiast zrzucił ubranie z postanowieniem, że przede wszystkim weźmie prysznic. Przez ostatnie tygodnie, kiedy pracował z Oazjanami i spał na dworze, przyzwyczał się do potu i kurzu, ale powrót w klimatyzowanym samochodzie uświadomił mu, jaki jest brudny. To uczucie dobrze pamiętał z czasów, kiedy był bezdomny, gdy zapraszany do czyjś nieskazitelny domu siadał na skraju białej welurowej sofie, bojąc się, że poplamia ją uwalanym tyłkiem. Więc gdy tylko znalazł się w pokoju, zdecydował, że w czasie, gdy Sztoś będzie się uruchamiał, wykonując operacje sprawdzania systemu i elektronicznych podzespołów, on szybko się umyje. Jednak ku jego zdziwieniu wiadomości od Bei załadowały się natychmiast. Ich nagła, wręcz fizycznie wyczuwalna obecność podziałała na niego tak silnie, że musiał od razu do nich zajrzeć.

Mamy poważne kłopoty, pisała Bea. Nie chcę Cię martwić, kiedy jesteś tak daleko i nic nie możesz na to poradzić, ale jest coraz gorzej. Oczywiście nie chodzi mi o nas, kochanie. Chodzi ogólnie o wszystkie sprawy dotyczące całego (chyba) kraju. W naszym supermarkecie pustki, na większości półek umieszczono naklejki z przeprosinami za brak towarów. Wczoraj nie było świeżego mleka i chleba. Dzisiaj zniknęło całe mleko w kartonach, słodkie napoje mleczne, mleko skondensowane, a nawet śmietanka do kawy, podobnie jak muffiny, bajgle, maślane bułeczki, chlebki ćapati etc., etc. Podśluchałam rozmowę dwóch osób w kolejce do kasy. Kłóciły się strasznie, ile paczek budyniu można sprzedać jednej osobie. Używano argumentu „poczucie odpowiedzialności”.

W wiadomościach mówią, że problemy z zaopatrzeniem są spowodowane chaosem na autostradzie, którą kilka dni temu zniszczyło trzęsienie ziemi w Bedworth. To nawet ma sens, sądząc po zdjęciach. (Wiesz, co się dzieje z powierzchnią ciasta, kiedy pęka pod wpływem gorącego powietrza w piecyku? Tak właśnie wygląda spory fragment M6). Oczywiście inne drogi są w związku z tym zakorkowane, bo przekierowano tam cały ruch.

Ale przecież jest mnóstwo piekarni i mleczarni położonych na południe od rejonu wstrząsu. Z pewnością nie powinniśmy być uzależnieni od ciężarówek jadących M6 z Birmingham. Taki kawał drogi, żeby przywieźć bochenek chleba! To, co się teraz dzieje, to skutek braku

elastyczności w działaniu supermarketów. Założę się, że nie potrafią się porozumieć z wieloma małymi dostawcami w tak krótkim czasie. Gdyby rynek mógł stanąć na wysokości zadania w sposób bardziej naturalny i zareagować na ten kryzys we właściwy sposób, jestem pewna, że piekarnie i mleczarnie w Southampton czy w innych miejscowościach z ochotą weszłyby do gry.

Poza tym trzęsienie ziemi w Bedworth to nie jedyna przyczyna, chociaż media twierdzą inaczej. Dostawy żywności kulały od dłuższego czasu, a pogoda zupełnie zwariowała. U nas ostatnio było słońce i znośna temperatura (dzięki Bogu dywany wreszcie wyschły), ale inne okolice nawiedziły straszliwe gradobicia, tak gwałtowne, że kilka osób zginęło. Zginęło od gradu!

Muszę stwierdzić, że to był dobry tydzień dla stacji nadających wiadomości. Zdjęcia z trzęsienia ziemi, gradobicia i – uwaga, ludziska! – widowiskowych zamieszek w centrum Londynu. Zaczęło się od pokojowych protestów przeciwko operacjom wojskowym w Chinach, a skończyło na podpalaniu samochodów, burdach, szarży policji z pałkami i ogólnej wielkiej zadymie. Nawet zdjęcia ze sprzątania po tym wszystkim były spektakularne: rzekoma krew (czerwona farba!) kapiąca z lwów na Trafalgar Square i kałuże prawdziwej krwi na ziemi. Operatorzy kamer musieli być zachwyceni. Przepraszam za cynizm, ale media są tym takie podniecone. Nikomu nie jest przykro ani smutno, nie rozpatrują tego w kategoriach moralnych. Pokazują to jak sceny z filmu akcji. A kiedy te straszne obrazki migają w tle, zwykli ludzie muszą się zмагаć z życiem; robią, co się da, by radzić sobie z codzienną niedolą.

Zresztą chyba nie powinnam próbować tego pojąć. Tylko Bóg to rozumie i nad tym panuje. Ja mam swoje życie i pracę. Teraz jest wczesny ranek, cudowne światło, jest chłodno, Joshua leży na kredensie i ucina sobie drzemkę w promieniach słońca. Moja zmiana zaczyna się dopiero o 14.30, więc mam trochę czasu. Zrobię zakupy i ugotuję sobie kolację; jak wrócę do domu po pracy, będę mogła zjeść coś konkretnego, a nie jak zazwyczaj tosty z masłem orzechowym. Teraz też powinnam coś schrupać, żeby nabrać energii, ale chyba nic nie mam. Niedola osoby uzależnionej od płatków śniadaniowych – jakbym była na odwyku. Popijam herbatę jaśminową (zapasy jeszcze z czasów, gdy mieszkała u nas Ludmiła), ponieważ zwykła bez mleka mi nie smakuje. Za dużo tych kompromisów!

Jestem z powrotem. (Poszłam tylko do drzwi po pocztę). Miła pocztówka od jakichś ludzi z Hastings, którzy dziękują nam za naszą dobroć. Nie pamiętam, o jakiej dobroci piszą, ale zapraszają nas w gości. To może być teraz trudne. I list od Sheili Frame. Pamiętasz ją? To matka Rachel i Billy'ego, dzieciaków, które zrobiły kolaż z arką Noego.

Rachel ma teraz dwanaście lat i „nieźle sobie radzi”, pisze Sheila (cokolwiek znaczy „nieźle”), a Billy ma czternaście i głęboką depresję. To dlatego Sheila do nas pisze. W jej liście trudno doszukać się sensu, musiała go napisać pod wpływem emocji. Ciągłe wspomina o „panterze śnieżnej”, jakbyśmy wszystko o niej (panterze) wiedzieli. Próbowałam do niej zadzwonić, ale teraz jest w pracy, a jak ja wrócę, to będzie już 23.30. Może spróbuję z oddziału w przerwie na lunch.

Dość już o moich sprawach i nudnym życiu bez kochanego męża. Proszę, napisz, co się dzieje u Ciebie. Tak chciałabym zobaczyć Twoją twarz. Nie rozumiem tej technologii, która pozwala nam komunikować się na taką odległość, a nie potrafi przesłać kilku zdjęć! Chyba jestem zbyt zachłanna. To już wystarczający cud, że możemy czytać swoje słowa przesłane z tak niewyobrażalnej, zapierającej dech dali. Zakładając oczywiście, że ciągle możesz je czytać... Proszę, odpisz szybko, czy u Ciebie wszystko w porządku.

Pewnie powinnam mieć więcej konkretnych pytań i komentarzy dotyczących Twojej misji, ale przecież niewiele mi o niej pisałeś. Lepiej mówisz, niż piszesz, wiem. Kiedy siadywałam w naszym kościele i słuchałam Twoich kazań, widziałam, jak zerkasz na swoje notatki, te same, które przepisywałam poprzedniego wieczora. Wiedziałam, że na tych karteluszkach są tylko nieliczne, wyrwane z kontekstu zdania, a jednak potrafiłeś wygłaszać cudowne, elokwentne i spójne homilie, przepięknie opowiadać historie, które czarowały słuchaczy i utrzymywały ich uwagę przez długi czas. Tak bardzo Cię wtedy podziwiałam, kochany. Chciałabym usłyszeć, co mówisz swoim nowym owieczkom. Wątpię, byś to spisywał. A może notujesz to, co oni mówią do Ciebie? Czuję, że zupełnie nie znam tych ludzi. To mnie męczy. Czy uczysz się ich języka? Pewnie musisz.

Kocham Cię  
Bea

Peter potarł twarz. Tłusty, przesiąknięty potem brud został mu na dłoniach; jego cząstki przypominały małe nasionka. List od żony zdenerwował go i speszył, nie wiedział, co ma o nim sądzić. Od dawna nie czuł się w ten sposób. Kiedy przebywał z Oazjanami, był spokojny i odprężony, po prostu zajmował się swoją pracą. Jeśli od czasu do czasu znajdował się w stanie oszołomienia, to było to radosne doznanie. Teraz grunt usuwał mu się spod stóp i coś ścisnęło go w gardle.

Przesunął kursor na kapsułkę z kolejną datą i otworzył wiadomość, którą Beatrice przesłała już dwadzieścia godzin po poprzednim liście. Musiała ją napisać w środku nocy.

Tęsknię, pisała. Tak bardzo tęsknię. Nie wiedziałam, że będę tak to przeżywać. Myślałam, że czas będzie biegł szybko i niebawem wrócisz.

Gdybym mogła jeszcze raz się przytulić, obejmować Cię mocno przez kilka minut, poradziłabym sobie z Twoją nieobecnością. Wystarczyłoby mi nawet dziesięć sekund. Dziesięć sekund z ramionami wokół Ciebie. Wtedy mogłabym zasnąć.

I następnego dnia:

Straszne, okropne rzeczy w wiadomościach. Nie mogę tego czytać, nie potrafię oglądać. O mało co nie wzięłam w pracy wolnego dnia. Siedziałam podczas przerwy w toalecie i płakałam. Jesteś tak daleko, tak nieprawdopodobnie daleko, dalej niż jakikolwiek mężczyzna był od swojej kobiety. Na samą myśl o ogromie dzielącej nas przestrzeni robi mi się niedobrze. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Wybacz mi, że żalę Ci się w ten sposób, wiem, że to Ci nie pomoże w Twojej misji. Och, jak bardzo pragnę, byś mógł mnie teraz dotknąć. Dotknąć, objąć, pocałować.

Te słowa wywarły na nim niedobre wrażenie. Było w nich coś, czego od niej oczekiwał, ale kiedy je dostał, wywołały niepokój. Dwa tygodnie temu pożądał jej fizycznie i wmawiał sobie, że ona czuje to samo. Oczywiście zapewniała go, że tęskni, że pragnie go objąć, ale ogólny ton jej listów był rzeczowy, zatroskany, jakby jego obecność była bardziej luksusem niż czymś, bez czego nie może się obejść. Wydawała się taka samodzielna! Zastanawiał się, czy on sam pod wpływem nadmiaru testosteronu nie rozczuła się nad sobą. Może ona też tak to widzi?

Kiedy znalazł się wśród Oazjan ta niepewność zniknęła. Nie miał na to czasu. Ufając w siłę łączącej ich więzi, która zawsze stanowiła dla nich źródło radości, zakładał – jeżeli w ogóle o tym myślał – że Bea czuje podobnie jak on. Oddawała się codziennym zajęciom, a miłość do niego była jak kolor jej oczu: zawsze obecna, ale nigdy niestanowiąca przeszkody dla praktycznego działania.

Jednak kiedy on kładł kamienie na budowie kościoła i spał szczęśliwy w swoim hamaku, ona cierpiała.

Jego palce zawisły nad klawiaturą, chciał jej natychmiast odpisać. Ale jak mógł to zrobić, skoro napisała jeszcze dziewięć wiadomości w ciągu tych dni i godzin, które dla niej już przeminęły, a o których on nie wiedział nic?

Otworzył kolejną kapsułkę.

Peter, kochany,

proszę Cię, nie martw się o mnie. Wzięłam się w garść. Nie wiem, jak mogłam tak się dać ponieść emocjom. Za mało snu? Pogoda w ciągu ostatnich tygodni była męcząca. Wiem, pisałam, że jest pięknie. I w pewnym sensie to prawda, jest ciepło i słonecznie, ale nocami jest parno i gorąco i nie ma czym oddychać.

Kilka dni temu spory kawałek Korei Północnej został zmieciony z powierzchni Ziemi. Nie przez atak atomowy ani żaden wypadek związany z energią nuklearną, tylko przez cyklon o nazwie Toraji.



Nadszedł znad Morza Japońskiego i uderzył w ląd jak „rytualny miecz” (to oczywiście nie jest moje porównanie). Setki tysięcy zabitych, prawdopodobnie ponad milion straciło dach nad głową. Rząd początkowo zaprzeczał wiadomościom o skali zniszczeń, więc mieliśmy tylko zdjęcia satelitarne. Czysty surrealizm. Jakaś kobieta w szytym na miarę żółtym stroju, z nienaganną fryzurą i pomalowanymi paznokciami stoi przed gigantycznym zdjęciem i pokazuje różne plamki i kreski, wyjaśniając, co oznaczają. Słyszysz, że gdzieś tam jest mnóstwo ciał i zniszczonych domów, ale widzisz tylko doskonale wypielęgnowane dłonie nad czymś, co przypomina abstrakcyjny obraz.

Potem rząd wpuścił trochę południowokoreańskich i chińskich pracowników organizacji charytatywnych i zaczęły napływać normalne zdjęcia. Peter, żałuję, że to widziałam. Może dlatego zaczęłam tak wariować na Twoim punkcie (z powodu tego, że mi Ciebie brakuje). Oczywiście Kocham Cię, tęsknię i potrzebuję Cię, ale mogę oglądać takie rzeczy tylko z Tobą albo wcale.

Widziałam olbrzymią betonową zagrodę, jakby wielki hangar dla świń (nie pamiętam, jak się nazywa miejsca, w których hodują świny na farmach). Dach ledwie wystawał z mulistej wody, a gromada ludzi próbowała bezskutecznie wybić w nim dziurę. Najpierw pracowali siekierami, a potem użyli środków wybuchowych. Na zewnątrz wypłynęła okropna mieszanina gęstej cieczy. To byli ludzie. Ludzie i woda. Mieszanina, która przypominała... nie chcę tego opisywać. Nigdy tego nie zapomnę. Dlaczego pokazują nam coś takiego? Dlaczego nie możemy pomóc? Potem widziałam wieśniaków, którzy używali martwych ciał jak worków z piaskiem. Ratownicy ze świeczkami przymocowanymi do głowy, stearyna spływała im po policzkach. Jak to możliwe w dwudziestym pierwszym wieku? Oglądałam zdjęcia w wysokiej rozdzielczości zarejestrowane przez miniaturową kamerę ukrytą w czyimś kapeluszu, a technika ratowania życia jest jak z epoki kamiennej!

Chciałabym napisać więcej, chociaż wolałabym zapomnieć. Gdybym mogła wysłać Ci zdjęcia, które pragnę wymazać z pamięci. Czy dzielenie się takim ciężarem to najniższa forma egoizmu? I właściwie co to za ciężar? Siedzę sobie na sofie w Anglii, objadam się słodyczami i oglądam anonimowe zwłoki wirujące w błotnistej wodzie, nieznane dzieci stojące w kolejce po kawałek brezentu.

Ktoś w pracy zapytał mnie dziś rano: „Co na to Bóg?”. Nie dałam się podpuścić. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego ludzie zadają to pytanie. Prawdziwe pytanie brzmi: „Co na to MY?”. Zawsze starałam się znaleźć na to odpowiedź. Nie wiem, czy potrafię teraz stawić czoła takiemu wyzwaniu. Módl się za mnie.

Kocham Cię

Peter zacisnął dłonie. Były lepkie od brudu – nowy pot mieszał się ze starym. Wstał i poszedł do kabiny prysznicowej. Członek w stanie erekcji zabawnie podrygiwał przy każdym kroku. Peter stanął pod metalową dyszą prysznica, odkręcił wodę i nadstawił twarz. Zaczęła go piec skóra na głowie, kiedy strumień przeniknął przez splątane włosy, drażniąc niewielkie, niektóre już zasklepienie, zadrapania; nawet nie wiedział, że je ma. Lodowata woda szybko się ogrzała i spłukiwała brud, otaczając go obłokiem pary. Miał zamknięte oczy, padające pod ciśnieniem krople zaczynały parzyć. Jedną dłoń zacisnął wokół jąder, drugą zaczął pocierać penis, przyciskając go do brzucha, dopóki nie wytrysnął spermą. Potem namydlił się od stóp do głów i umył starannie. Woda ściekająca do odpływu była szara jeszcze długo po spłukaniu mydła.

Kiedy był już czysty, nadal stał pod gorącym strumieniem – mógłby tak trwać bez ruchu jeszcze przez pół godziny albo dłużej, gdyby kaskada wody nie zmieniła się w wąż strużkę. Na diodowym wskaźniku wewnątrz kabiny pojawiły się cyfry 0:00. Dopiero teraz zrozumiał, po co jest ten wyświetlacz. No jasne. To logiczne, długość kąpieli była zaprogramowana. Tylko że USIC to korporacja pochodząca ze Stanów, a myśl o oszczędnej, dbającej o naturalne zasoby amerykańskiej firmie wydawała się niedorzeczna.

Kiedy woda w odpływie przestała bulgotać, Peter zorientował się, że dźwięki, które od pewnego czasu brał za wibracje rur kanalizacyjnych, były pukaniem do drzwi.

– Hej – rzuciła Grainger, kiedy otworzył. Przez jej twarz przemknęło zdziwienie, gdy ujrzała go mokrego, z zawiązanym na biodrach ręcznikiem. Przyciskała do piersi aktówkę.

– Przepraszam, nie słyszałem cię.

– Pukałam dość głośno – powiedziała.

– Chyba spodziewałem się, że będzie tu jakiś dzwonek albo interkom czy coś podobnego.

– USIC nie marnuje środków na zbędne gadżety.

– Zdążyłem zauważyć. To chyba najbardziej nieoczekiwane i godne podziwu.

– Ojej, dzięki – powiedziała Grainger. – Jak miło, że to mówisz.

Z głębi pokoju dobiegł dźwięk Sztosu, elektroniczne westchnienie, które sygnalizowało wygaszenie ekranu i przejście urządzenia w stan spoczynku. Peter przypomniał sobie o Korei Północnej.

– Słyszałaś o Korei Północnej? – zapytał.

– To kraj w... hm... w Azji – powiedziała.

– Uderzył w nią cyklon, zginęły dziesiątki tysięcy osób.

Grainger gwałtownie zamrugowała oczami i wzdrygnęła się, ale prawie natychmiast zdołała się opanować.

– To okropne – powiedziała – ale nic nie możemy na to poradzić. – Podała mu aktówkę. – Wszystko, co chciałeś wiedzieć o Arthurze Severinie, ale bałeś

się zapytać.

Wziął od niej akta.

– Dziękuję.

– Pogrzeb odbędzie się za trzy godziny.

– Dobrze. Ile to będzie w... hm... – Zrobił nieokreślony ruch ręką. Miał nadzieję, że ten gest wyrażał różnicę pomiędzy czasem, jaki zawsze znał, a tym, jaki obowiązywał tutaj.

Uśmiechnęła się. Cierpliwie znosiła jego głupotę.

– Trzy godziny – powtórzyła i uniosła dłoń, pokazując zegarek. – Trzy godziny znaczą trzy godziny.

– Nie spodziewałem się, że to będzie tak szybko.

– Spokojnie, nikt nie oczekuje pięćdziesięciu stron rymowanej poezji na jego cześć. Powiedz tylko kilka słów. Każdy wie, że nie znałeś go zbyt dobrze. To powinno ci pomóc.

– Taki beznamiętny, bezosobowy punkt widzenia?

– Czy nie to właśnie oferują wszystkie religie? – Znów wskazała na swój zegarek. – Przyjdę po ciebie o wpół do drugiej.

Wyszła, nie mówiąc nic więcej. Zamknął za nią drzwi dokładnie w tej chwili, kiedy ręcznik spadł mu z bioder.

– Zgromadziliśmy się tutaj – mówił Peter przed cichym, poważnym zgromadzeniem – by uczcić pamięć człowieka, który jeszcze poprzedniego poranka żył i oddychał tak jak my wszyscy.

Spojrzał w stronę trumny ustawionej na metalowym stelażu z kółkami przed piecem krematoryjnym. Wszyscy obecni też odruchowo popatrzyli w tamtym kierunku. Trumna była zrobiona z przetworzonej tektury pokrytej lśniącem lakierem imitującym drewno. Stelaż był taki sam, na jakich umieszczano aparaty służące do prześwietlania pasażerów na lotniskach.

– Oddychał i wciągał powietrze do płuc – ciągnął Peter – płuc, które były już nieco sfatygowane, ale ciągle potrafiły tłoczyć tlen do krwi, takiej samej, która pulsuje teraz w każdym z nas. – Jego głos, chociaż niewzmocniony przez głośniki, był czysty i silny, ale brakowało rezonującego pogłosu, jaki zapewniały wnętrza kościołów lub wielkie aule. Sala pogrzebowa – całkiem spora – miała fatalną akustykę, a aparatura pieca wydawała dźwięk przypominający odgłos przelatującego w oddali samolotu odrzutowego.

– Wsłuchajcie się w uderzenia własnych serc – mówił Peter – poczujcie to delikatne drżenie w piersiach, które w cudowny sposób wprawia w ruch nasze ciała. Ledwie wyczuwalne drżenie, prawie niesłyszalny dźwięk, którego znaczenia tak często nie doceniamy. Może na co dzień nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, może zbyt rzadko o tym myśleliśmy, ale dzieliliśmy ten świat z Artem Severinem, a on dzielił go z nami. Teraz wstał nowy dzień, a Art Severin nie jest już tym, kim był. Jesteśmy tu po to, by pogodzić się z tą zmianą.

Żałobników było pięćdziesięciu dwóch, ale Peter nie wiedział, czy to większość obsady bazy. Łącznie z Grainger było tylko sześć kobiet. Czy świadczyło to o małej popularności Severina wśród koleżanek, czy po prostu odzwierciedlało proporcje płci wśród załogi? Wszyscy ubrani byli w codzienne, robocze stroje, nikt nie przyszedł w czerni.

BG i Tuska stali w pierwszym rzędzie. Tuska zgolił brodę i trudno go było poznać; był w obszernej zielonej koszuli, bojówkach i swoich ulubionych tenisówkach. BG jak zwykle rzucał się w oczy – największy mężczyzna w sali, z idealnie przyciętą bródką. Biały podkoszulek przylegał do muskularnego ciała jak warstwa farby, jasne, pogniecione szerokie spodnie ściągnięte przy kostkach zwisały nisko na biodrach, a nogawki, pomimo ściągacza, opadały na wyglansowane buty. Stał z rękoma założonymi na piersiach, opanowany, niewzruszony i władczy.

Kilka osób w tylnych rzędach było lekko zdziwionych, jakby żywiołowy początek mowy pogrzebowej wytrącił je równowagi.

– Arthur Laurence Severin umarł młodo – ciągnął Peter – ale żył intensywnie, jakby jedno życie mu nie wystarczało. Urodził się w Bend, w Oregonie, czterdzieści osiem lat temu. Rodziców nie znał. Został adoptowany przez Jima i Peggy Severinów; zapewnili mu szczęśliwe dzieciństwo, które spędził głównie na świeżym powietrzu. Jim był złotą rączką i dbał o pola kempingowe, chaty myśliwskie i obozy szkoleniowo-kondycyjne. Zanim skończył dziesięć lat, nauczył się prowadzić traktor, posługiwać się piłą łańcuchową, polować na jelenie – niebezpieczne zajęcia, którymi dzieci nie powinny się zajmować. Przygotowywał się do przejęcia rodzinnego interesu, ale jego przybrani rodzice rozwiedli się i Art zaczął sprawiać kłopoty. Jako nastolatek wiele razy trafiał do domów poprawczych i ośrodków odwykowych. Kiedy był na tyle dorosły, by pójść do więzienia, miał już za sobą długi rejestr wykroczeń – prowadzenie pojazdów pod wpływem alkoholu i używanie narkotyków.

Żałobnicy ożywili się, zniknęły beznamiętne miny. Wszyscy odczuli dreszczyk emocji, skrępowania, niepokoju i zaciekawienia. Przekrzywiali głowy, ściągali brwi, zagryzali wargi. Oddychali szybciej, jak dzieci pochłonięte ciekawą opowieścią.

– Art Severin został zwolniony przedterminowo za dobre sprawowanie i znów znalazł się na ulicach Oregonu. Nie na długo. Zniechęcony brakiem pracy dla byłych więźniów w Stanach Zjednoczonych przeniósł się do Sabah w Malezji, gdzie założył firmę zajmującą się handlem narzędziami, a ubocznie także narkotykami. Właśnie w Sabah poznał Kamelię, szefową instytucji, która zapewniała kobiece towarzystwo pracownikom tartaków. Zakochali się w sobie, wzięli ślub i mimo że Kamelia była już po czterdziestce, mieli dwie córki, Norę i Pao-Pei, znaną też jako May. Kiedy władze zamknęły burdel Kamelii, a interes Arta nie podołał konkurencji, Severin znalazł pracę w przemyśle drzewnym. To wtedy po raz pierwszy zainteresował się mechaniką i procesami powodującymi erozję gleby. Miało to stać się jego pasją.

Miarowym, pewnym krokiem Peter podszedł do trumny. Idąc, kołysał ramionami, i każdy mógł zobaczyć, że kciukiem dłoni, w której trzymał otwartą Biblię, przyciska do niej mały, ręcznie zapisany karteluszek.

– Kolejne życie Art Severin rozpoczął w Australii – ciągnął, patrząc na połyskujące wieko trumny. – Sponsorowany przez firmę, która poznała się na jego możliwościach, studiował geotechnikę i mechanikę gruntów na uniwersytecie w Sydney. Dyplom uzyskał w rekordowym czasie – on, który porzucił szkołę średnią przed dziewięcioma laty – i wkrótce ubiegało się o niego wiele przedsiębiorstw inżynierskich, bo miał rozległą wiedzę o procesach zachodzących w glebach, a także z powodu konstruowanych przez niego urządzeń. Mógłby zbić fortunę na patentach, ale nigdy nie uważał się za wynalazcę, a tylko za pracownika, który – jak to ujmował – „dostawał białej gorączki, kiedy widział gówniane narzędzia”.

W tłumie rozległ się szmer aprobaty. Peter położył wolną dłoń na pokrywie trumny, delikatnie, ale stanowczo, jakby kładł ją na ramieniu Arta Severina.

– Jeśli stwierdzał, że aparatura, z której korzysta, nie spełnia jego wymagań, po prostu projektował i budował nową. Wśród jego wynalazków jest... – tu zerknął na karteczkę, którą przyciskał do Biblii – ...nowe narzędzie do pobierania próbek z luźnych piasków poniżej poziomu wód gruntowych. Wśród artykułów naukowych (pamiętajmy, że tego człowieka nauczyciele w szkole średniej uważali za beznadziejny przypadek) można wymienić między innymi „Badanie wilgotnych piasków w aparacie trójosiowego ściskania i ich znaczenie dla ogólnej teorii wytrzymałości”, „Utrzymywanie stałego ciśnienia w aparatach trójosiowego ściskania”, „Wzrost stabilności w fundamentach kładzionych w glinach pylastych dzięki wykorzystaniu rozproszonego ciśnienia porowego”, „Omówienie zasady Terzaghiego dotyczącej naprężenia efektywnego i niektóre propozycje rozwiązań dla szczelinowania hydraulicznego”.

Peter zamknął Biblię i przycisnął ją do brzucha, tuż pod krzyżem z atramentowych plam. Diszdasza była wyprana i wyprasowana, ale pojawiły się już na niej nowe ślady potu. Żałobnicy też byli spoceni.

– Nie będę udawał, że potrafię rozumieć słowa składające się na te tytuły – powiedział, uśmiechając się lekko. – Dla niektórych z was na pewno brzmią znajomo, dla innych nie. Najważniejsze jest to, że Art Severin przemienił się w światowego eksperta w dziedzinie bardziej przydatnej niż zażywanie narkotyków. Chociaż... nie wyrzekł się zupełnie swoich dawnych umiejętności. Zanim zaczął pracować dla USIC, wypalał po pięćdziesiąt papierosów dziennie.

W tłumie rozległy się śmiechy. Poprzednio, kiedy wspomniał o kobiecym towarzystwie zapewnianym przez firmę Kamelii, usłyszał pojedyncze zdławione parsknięcia, lecz teraz śmiali się jawnie i swobodnie.

– Ale uprzedzamy wypadki – ciągnął. – Pominęliśmy inne wcielenia Arta Severina. Kolejnym było stanowisko konsultanta przy budowie wielkich tam w wielu krajach, od Zairu po Nową Zelandię. Czas spędzony w Malezji nauczył

go, że lepiej trzymać się w cieniu, więc rzadko zgarniał zaszczyty za swoje osiągnięcia. Wolał pozostawić je politykom oraz szefom korporacji i to im pozwalał pławić się w blasku chwały. Choć tamy, które wzniesiono dzięki niemu, były naprawdę wspaniałe. Zwłaszcza dumny był z Aziz w Pakistanie, która, wybaczcie mi ten niezamierzony kalambur, ruszyła z posad bryły ziemi: wypełniona głazami zapora ziemna z nieprzepuszczalnym glinianym rdzeniem. Ta konstrukcja wymagała kontrolowania najdrobniejszych szczegółów, ponieważ wznoszono ją w rejonie sejsmicznym. I stoi do dziś.

Peter uniósł głowę i popatrzył przez najbliższe okno na rozciągające się za nim pustkowie obcej planety. Słuchacze podążyli za jego wzrokiem. Cokolwiek tam było, symbolizowało dzieło powstające z trudem na wielkich nieznanach przestrzeniach, które może ujarzmić jedynie wola zapalonych profesjonalistów. Kilka par oczu zwilgotniało.

– Dalsze życie Arta nie było szczęśliwe. – Peter znów zaczął spacerować, jakby pod wpływem nieokiełznanej żywotności Severina. – Opuściła go Kamelia, z przyczyn, których nigdy nie zrozumiał. Córki źle zniosły ich rozstanie: Nora odwróciła się od niego, a u May zdiagnozowano schizofrenię. Kilka miesięcy po burzliwym i kosztownym rozwodzie Art został poddany kontroli przez urząd skarbowy. Nakazano mu zapłacić sumy, jakimi nie dysponował. Po roku rozpił się, żył z zasiłku, mieszkał w przyczepie kempingowej razem z May i patrzył, jak jej stan się pogarsza. Sam też był coraz bardziej chory, miał niezdiagnozowaną cukrzycę. Ale tu historia zmienia swój bieg – powiedział, odwracając się gwałtownie i starając się spojrzeć w oczy jak największej liczbie słuchaczy. – May odstawiła leki i popełniła samobójstwo. Każdy, kto obserwował jego upadek, zakładał, że teraz Art Severin stoczy się już na dno i pewnego dnia zostanie znaleziony martwy w swojej przyczepie. Zamiast tego uporał się z problemami zdrowotnymi, odnalazł swojego prawdziwego ojca, pożyczył pieniądze, wrócił do Oregonu i zaczął pracować jako przewodnik. Zajmował się tym przez dziesięć lat, odrzucał propozycje awansu, rezygnował z okazji powrotu do przemysłu geotechnicznego, aż pojawił się USIC. Złożyli mu ofertę, której nie mógł odrzucić: dostał szansę, by sprawdzić na wielką skalę swoje teorie o wykorzystaniu gleby i skał miękkich jako materiałów budowlanych.

– Gigantyczny poligon doświadczalny znajduje się właśnie tu – oznajmił Peter. – Stoimy na nim. To umiejętności Arta Severina doprowadziły tak daleko ten niewiarygodnie ambitny eksperyment, a ponieważ potrafił hojnie dzielić się wiedzą, będzie ona żyć dalej w jego kolegach, w was, którzy go znaliście. Mówiłem głównie o przeszłości Arta, przeszłości, która większości z was była nieznana, bo rzadko o niej wspominał. Był, jestem pewien, że wielu przyzna mi rację, człowiekiem, którego niełatwo poznać. Nie będę udawał, że sam go dobrze znałem. Był dla mnie miły podczas mojej podróży tutaj, ale zdążyliśmy też wymienić kilka ostrych słów. Chciałem spotkać się z nim później, kiedy już zorganizuję sobie swoją pracę, chciałem wyjaśnić wszystkie nieporozumienia.

Ale tak to bywa ze zmarłymi i tymi, którzy pozostają. Każdy z was ma swoje wspomnienia o Arcie Severinie, o rozmowach i o ostatnich słowach, które słyszeliście z jego ust. Może o uśmiechu podczas wspólnej pracy, uśmiechu, który teraz oznacza coś więcej – staje się symbolem związku, który zakończył się nagle, ale pozostawił dobry ślad w naszej pamięci. A może zapamiętacie spojrzenie, jakie wam posłał, mówiące coś w stylu „co u diabła przez to rozumiesz?”, i zastanawiacie się, co mogliście albo powinniście zrobić, by teraz pogodzić się z jego nieobecnością. Tak czy inaczej, zmagamy się, by zrozumieć to, że teraz jest nieuchwytny i nieosiągalny, że przebywa w innym wymiarze, nie oddycha tym samym powietrzem, nie jest tą samą istotą. Wiemy, że był czymś więcej niż tylko ciałem, które teraz leży w trumnie, tak jak rozumiemy, że i my sami nie jesteśmy jedynie nerkami, wnętrznościami i woskowiną uszną. Nie mamy precyzyjnego słownictwa na to coś dodatkowego. Niektórzy nazywają to duszą, ale czym to naprawdę jest? Czy na ten temat istnieje praca naukowa, którą moglibyśmy przeczytać, która opisałaby właściwości duszy Arta Severina i wyjaśniła nam, czym różni się ona od Arta Severina, którego znaleźliśmy, naszego drażliwego kumpla z pożółkłymi zębami, faceta, który nie ufał kobietom, gościa lubiącego wybijać rytm na kolanie do muzyki, która dźwięczała mu w uszach?

Peter powoli zbliżał się do słuchaczy i zatrzymał się na wyciągnięcie ramienia od pierwszego rzędu. BG marszczył czoło, oczy miał szkliste od łez. Kobieta obok niego szlochała. Tuska zaciskał szczęki, a jego wykrzywione wargi lekko drżały. Grainger, stojąca gdzieś w tylnym rzędzie, była blada jak kreda, na jej twarzy malował się ból.

– Moi drodzy, wiecie, że jestem chrześcijaninem. Dla mnie najważniejszą pracą naukową jest Biblia, a brakującym elementem niezbędnym do zrozumienia tego wszystkiego jest Jezus Chrystus. Ale wiem, że niektórzy z was wyznają inne religie. I wiem, że Art Severin nie wyznawał żadnej. BG spytał go kiedyś, jakiego jest wyznania, a on odpowiedział, że w nic nie wierzy. Nigdy nie miałem okazji z nim tego przedyskutować. I nigdy już nie będę miał. Nie dlatego, że Art Severin leży tutaj martwy. Nie. Ponieważ to ciało nie jest już Artem Severinem, wiemy to wszyscy, instynktownie. Arta Severina tutaj nie ma, jest gdzieś indziej, tam, gdzie my nie możemy być. Stoimy tu, wciągamy powietrze w te śmieszne gąbczaste pęcherze zwane płucami, nasze tułowia drgają leciutko pod wpływem pracy mięśnia zwanego sercem, nasze nogi odczuwają zmęczenie, bo zbyt długo już opieramy ciężar ciała na stopach. Jesteśmy duszami zamkniętymi w klatkach z kości, duszami wciśniętymi w porcje mięsa. Musimy tkwić tu przez pewną liczbę lat, a potem odchodzimy tam, gdzie idą dusze. Wierzę, że tym miejscem jest łono Boga. Wy możecie wierzyć, że to miejsce jest gdzieś indziej. Ale jedno jest pewne – ono nie jest tutaj.

Peter wrócił do trumny i znów położył na niej dłoń.

– Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że Art Severin naprawdę wierzył, iż

jest jedynie tym, co zawiera ta trumna. Jeśli tak, to się mylił. Może nie powinienem znów się z nim spierać, zwłaszcza teraz, może to w złym guście. A jednak, Art, wybacz mi, wybacz nam, musimy ci powiedzieć: nie. To nieprawda, że wszystko się skończyło. Brałeś udział w wielkiej podróży, a wczoraj przekroczyłeś granicę i dotarłeś do celu. Byłeś dzielnym człowiekiem, który żył po wielokroć, a każdy kolejny etap wymagał coraz większej odwagi. Teraz wkroczyłeś w nowe życie, w którym twoje ciało już cię nie zawiedzie, nie będzie ci potrzebna insulina i nie będziesz łaknął nikotyny; nikt nie zawiedzie twojego zaufania, a wszystkie tajemnice, z którymi zmagał się twój umysł, zostały wyjaśnione, wszelki ból ustąpił i współczujesz nam, którzy nadal musimy borykać się ze swoimi ciałami.

Powstało małe zamieszanie: BG podniósł muskularną rękę, by otrzeć oczy, i niechcący uderzył łokciem w czyjąś głowę.

– Arcie Severinie – oznajmił Peter. Pomimo kiepskiej akustyki sali słowa dźwięczały teraz kościelnym pogłosem. – Zebraliśmy się dzisiaj, by oddać ostatnią posługę starej kościanej klatce i kawałkowi mięsa. Nie potrzebujesz ich już, to główniane narzędzia. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozwól nam zatrzymać kilka pamiątek: nasze wspomnienia. Chcemy zatrzymać cię wśród nas, choć pozwalamy ci odejść. Pragniemy, byś żył w naszych myślach, choć żyjesz teraz gdzieś pełniej i lepiej. Pewnego dnia i my pójdziemy tam, gdzie zdążają dusze, tam, gdzie ty dotarłeś przed nami. Do tego czasu mówimy: żegnaj, Arthurze Laurensie Severinie. Do zobaczenia.

Kiedy wrócił do swojej kwatery po spędzeniu paru chwil z kilkoma żałobnikami, którzy nie chcieli odejść, nim trumna nie zostanie spopielona, Peter usiadł ponownie przed Sztosem. Ubranie miał przepocone i zastanawiał się, jak długie są przerwy pomiędzy kolejnymi dostawami wody do prysznic. Głowa pękała mu od zwierzeń i wynurzeń, którymi podzielili się z nim pracownicy USIC. Musiał zapamiętać mnóstwo nazwisk i faktów z ich życia. Nieotwarte kapsułki od jego żony nadal tkwiły na ekranie. Dziewięć wiadomości, których do tej pory nie miał czasu przeczytać.

Peter, kochany,

przepraszam, to pewnie będzie krótka i chaotyczna wiadomość. Jestem wykończona. Sheila Frame i jej dwójka dzieciaków – Rachel i Billy – byli tu przez całe popołudnie i większość wieczoru. Dla nich to był weekend, ale ja byłam po dwóch zmianach, wieczornej i porannej. Rachel to niezły ancymonek. Niby ciągle urocza, ale jest na pograniczu zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Ciężko na to patrzeć, pewnie to wina hormonów. Nie poznałbyś jej, wygląda trochę jak aktoreczka porno, trochę jak piosenkarka pop lub ostro imprezująca córka gwiazdy rocka – typowa mieszanka charakterystyczna dla dzisiejszych nastolatek. Billy



jest strasznie grzeczny i nieśmiały, mały jak na swój wiek i trochę pucołowaty. Prawie się nie odzywał przez cały czas, jak tu byli, i na pewno cierpiał katusze. Musiał się wstydzić za swoją matkę, która stawała się coraz bardziej gadatliwa i nerwowa. Od Sheili czuć było zapach alkoholu albo bardzo silnych perfum, nie jestem pewna. Była potwornie zestresowana, cały dom przesiąkł jej niepokojem. Wyczuwam go jeszcze, chociaż poszli godzinę temu. Szkoda, że nie mogliśmy razem stawić im czoła - jedno z nas uspokajałoby Sheilę, a drugie pogadałoby z dziećmi. Może robilibyśmy to na zmianę. Nie wiem, dlaczego siedzieli tak długo, nie sądzę, bym w czymś im pomogła. Billy otworzył się tylko na moment, kiedy posadziłam go przed komputerem i mógł sobie pograć. Spojrzał na arkę Noego i wzdrygnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Powiedział mi, że pantera śnieżna to już gatunek wymarły. Ostatni osobnik zdechł w zoo kilka tygodni temu. „Najbardziej lubiłem śnieżne pantery”, powiedział. Potem usiadł przed komputerem i po trzydziestu sekundach zniknął w czeluściach realistycznie odwzorowanego więzienia. Rozwalał głowy strażnikom, wysadzał drzwi i ginął.

Muszę natychmiast się położyć. Wstaję jutro o 5.30. Wypiłam trochę wina, które przyniosła Sheila, żeby nie miała wyrzutów, że pije sama. Będę tego żałować, kiedy zadzwoni budzik!

Proszę, napisz mi więcej, co z Twoją misją. Chciałabym omówić z Tobą szczegóły, to takie dziwne, że nie możemy tego zrobić. Peter, to BOLI! Czuję się, jakbym była Twoją siostrą, wysyłam Ci długie elaboraty, w których tylko się skarżę, plotkuję o rzeczach, które nic Cię nie obchodzą. Jestem ciągle tą samą osobą, którą znałeś, tą, na której zawsze mogłeś polegać, która wspierała Cię i pomagała Ci zrozumieć. Muszę mieć więcej informacji o tym, co widzisz, robisz i czego doświadczasz. Kochany! Podaj mi trochę imion, nazw, szczegółów! Wiem, że nie możesz tego zrobić natychmiast, bo jesteś w osadzie i nie czytasz teraz moich wiadomości. Ale kiedy wrócisz, proszę, zrób sobie przerwę i przemyśl wszystko. Poczuj, że jestem tam z Tobą.

Muszę iść do łóżka.

Kocham Cię

Bea

Peter kołysał się na krześle. Czuł nadmiar adrenaliny, ale i zmęczenie. Nie wiedział, czy powinien przeczytać kolejnych osiem wiadomości, nim odpowie na ten list. Nie odpowiedzieć natychmiast byłoby okrucieństwem. Bea woła go, przywołuje go wielokrotnie, a on ignoruje jej krzyk.

Kochana Beo, napisał na nowej stronie,  
dzisiaj prowadziłem ceremonię pogrzebową Arta Severina. Nie

wiedziałem, że był cukrzykiem; umarł nagle, kiedy byłem w osadzie. Dostałem jego obszerne akta i trzy godziny na przygotowanie mowy. Zrobiłem, co mogłem. Chyba wszystkim się podobało.

Kocham Cię  
Peter

Popatrzył na tekst na ekranie, zdając sobie sprawę, że wymaga rozszerzenia. Szczegóły, więcej szczegółów. Kobieta zwana Maneely wyznała mu, że od czasu, kiedy była dzieckiem, ani razu nie pomyślała o chrześcijaństwie, ale dziś odczuła obecność Boga. Czy ma napisać o tym Bei? Serce waliło mu jakoś dziwnie. Pozostawił niewysłaną wiadomość i otworzył następną kapsułkę.

Peter, kochany,  
siedzisz? Mam nadzieję, że tak.

Kochany, jestem w ciąży. Wiem - myślisz, że to niemożliwe. Ale przestałam brać pigułki na miesiąc przed Twoim wyjazdem.

Proszę, nie gniewaj się na mnie. Wiem, umówiliśmy się, że zaczekamy jeszcze parę lat. Ale proszę, zrozum, bałam się, że nigdy nie wrócisz. Umierałam ze strachu, że podczas startu dojdzie do eksplozji i Twoja misja skończy się, nim się zacznie. Albo znikniesz gdzieś podczas podróży, po prostu rozpułniesz się w przestrzeni kosmicznej, a ja nigdy się nie dowiem, co się z Tobą stało. Więc im bliżej było do tej daty, momentu Twojego odjazdu, tym coraz bardziej, desperacko wręcz pragnęłam, by jakaś część Ciebie została tu ze mną, nieważne, jakim kosztem.

Ciągle się modliłam, ale nie czułam, bym otrzymała odpowiedź. W końcu pozostawiałam to Bogu, nie wiedziałam, czy będę płodna tak szybko po odstawieniu pigułek. Oczywiście to była moja decyzja, nie przeczę. Wolałabym, żeby była wspólna. Może tak by było - lub mogło być. Może gdybyśmy to przedyskutowali, powiedziałbyś, że właśnie na to czekałeś, że sam chciałeś to zaproponować. Ale strasznie się bałam, że powiesz nie. Powiedziałbyś? Napisz prawdę, nie oszczędzaj mnie.

Cokolwiek czujesz, mam nadzieję, że to coś dla Ciebie znaczy. Jestem taka dumna i podniecona, że noszę Twoje dziecko. Nasze dziecko. Kiedy wrócisz, będę w 26. tygodniu i już całkiem gruba. Oczywiście zakładając, że nie poronię. Mam nadzieję, że nie. To nie koniec świata, moglibyśmy spróbować znowu, ale to by było już inne dziecko. To, które noszę, wydaje się takie wyjątkowe - już to czuję! Wiesz, o czym myślałam, kiedy kochaliśmy się w drodze na lotnisko? Myślałam, że jestem gotowa, że to jest ta chwila, dokładnie ten moment, i potrzebne mi tylko jedno małe nasionko. Założę się, że to było wtedy. Kiedy wspominał tę chwilę, jestem pewna, że to się stało właśnie wtedy.

## Silnik zaskoczył

– I właśnie tu wszystko się zaczęło – powiedziała uroczyście kobieta. – Tak to wyglądało na samym początku.

Peter skinął głową. Zaciskał szczęki i bał się wydać najmniejszy dźwięk świadczący o zainteresowaniu. Obawiał się, że uśmiechnie się niestosownie, a może nawet roześmieje. Oficjalne otwarcie tej instalacji było doniosłą chwilą dla wszystkich, którzy się tu dziś zgromadzili.

– Kładziemy grubą warstwę żywicy epoksydowej na wierzch koryta – ciągnęła kobieta, pokazując odpowiedni fragment modelu w zmniejszonej skali – by kontrolować przepływ wody przez dolne pokłady. Te rury po bokach zostały połączone z konwerterem ciśnienia.

Gdyby mówiła swobodnie i bez zadęcia, nie byłoby tak źle, ale ta śmiertelna powaga śmieszyła Petera. Wszyscy oprócz niego zdawali się rozumieć, o czym ona mówi, i to jeszcze bardziej wzmagало komizm sytuacji. Do tego ten zabawny model, napuszony i pełen symboliki, a jednocześnie... taki filigranowy, jak element z placu zabaw. I jakby tego było mało, sam kształt: dwie odwrócone, połączone ze sobą półkule, które w pełni uzasadniały ksywkę Wielki Biustonosz.

Prawdziwa instalacja oglądana z pewnej odległości nie wydała mu się szczególnie komiczna. Widział ją – sterczącą na horyzoncie – tak jak inni, kiedy wczesnym popołudniem konwój pojazdów USIC wiózł ich przez step. (W każdym samochodzie siedziało sześciu pracowników). Już sam rozmiar obu budowli i fakt, że jedna częściowo przesłaniała drugą, powodowały, że wyglądały na to, czym były w rzeczywistości – przykładem monumentalnej architektury. Konwój zatrzymał się przed pierwszą konstrukcją i samochody skrył cień tak wielki, że trudno było ogarnąć go wzrokiem. Dopiero kiedy Peter i reszta personelu zgromadzili się w holu wejściowym i zaczęli kontemplować wysoką na metr replikę projektu, ujawniła się w pełni niezgrabna, kartoflowata symetria. Prowadząca spotkanie kobieta, inżynier Hayes, bliska współpracownica Severina, przesuwiała ręką w powietrzu nad bliźniaczymi strukturami, nieświadoma, że imituje gest pieśczości. Wyglądało to, jakby gładziła biust wielkości sofy.

– ...przyśpieszenie grawitacyjne... objętość wypieranego płynu... wskaźnik przesiąkania... – brzęczała Hayes – ...sprężarki z pięcioma przetwornikami... czujniki głębinowe...

Petera już to nie śmieszyło. Teraz z trudem opanowywał senność. Powietrze w holu było duszne, wentylacja źle działała. Czuł się tak, jakby został zamknięty we wnętrzu silnika, co poniekąd było prawdą. Zachwiał się lekko,

wciągnął głęboko powietrze i spróbował się wyprostować. Spływające krople potu zmoczyły mu sandały; poczuł pieczenie w oczach, sylwetka Hayes stała się niewyraźna.

– ...rejestrowane w czasie rzeczywistym...

Zamrugał i rozmyty obraz Hayes znów nabrał ostrości. Była drobną kobietą, ostrzyżoną po wojskowemu jak mężczyzna. Miała w sobie coś, co sprawiało, że wszystko, w co się ubierała, wyglądało jak mundur. Peter poznał ją kilka dni temu w kantynie, kiedy jadła purée z białego kwiatu polane jakimś sosem. Rozmawiali przez dziesięć lub piętnaście minut; była bardzo miła na swój nudny sposób. Pochodziła z Alaski, lubiła psy i wyścigi psich zaprzęgów, ale teraz zadowalała się czytaniem o nich w czasopiśmie. Nie wyznawała żadnej religii, chociaż ciekawiły ją „informacje o duchach”. Kiedy miała dwanaście lat, była świadkiem dziwnego zdarzenia w domu swojego wujka. Jej niski, monotony głos był nawet atrakcyjny, przypominał mu odrobinę melodyjną, lekko wibrującą intonację Bei. Ale wykład o termodynamice i projektowaniu tamy trudno było nazwać błyskotliwym.

Mimo to Petera zaniepokoił fakt, że z trudem powstrzymuje senność. Nudne zdarzenia zazwyczaj nie wpływały na niego w ten sposób. Na ogół miał wysoką odporność na marazm, nauczyły go tego czasy bezdomności. Jednak w pewien sposób życie w bazie USIC bywało gorsze od tułania się po ulicach. Wrócił tu już tydzień temu, z jego poparzonej słońcem twarzy zeszła skóra i zaognienia się zagoiły, ale umysł nie radził sobie tak dobrze. Wtedy, kiedy powinien spać, był podminowany i czujny, a kiedy musiał się skupić, był półprzytomny. Teraz stał tutaj, prawie zasypiając, zamiast podziwiać inżynierski geniusz nowego urządzenia USIC – Zakładu Zasilania i Centryfugi.

– ...wzajemnie wykluczające się funkcje... niemożliwe do osiągnięcia... Severin... sieć próżniowa... pomysł, by dać sobie spokój z fotowoltanicznym...

To, co tu wykonano, naprawdę robiło wrażenie: inżynierski wyczyn, który przekraczał granice tego, co możliwe. W normalnych warunkach – to znaczy takich, do których wszyscy przywykli na Ziemi – opady spływały do wielkich zbiorników lub rzek i nurt unosił je dalej. Materia, którą każdy człowiek stojący w ulewnym deszczu postrzegał jako pojedyncze krople spadające z nieba, była przekształcana przez czas, objętość i pęd w olbrzymią siłę, która mogła napędzać tysiące silników. Te zasady nie obowiązywały na Oazie, bo tu, gdy zaczynało lać, wielkie krople padały na gąbczaste podłoże i znikwały. Kiedy stało się na dworze podczas deszczu i nadstawiło kubek, napełniał się. Pragnienie można też było ugasić w prostszy sposób – przechylając głowę do tyłu i otwierając usta. Ale kiedy deszcz przestawał padać, było po wszystkim, aż do następnego razu.

Dwudzielna konstrukcja Wielkiego Biustonosza likwidowała te ograniczenia. Jedna część została zaprojektowana, by zasysać deszcz z nieba, gromadzić rozproszone krople w cyklonowym separatorze i tłoczyć wodę do gigantycznej centryfugi. Ale to tylko połowa zuchwałego projektu. Ilość energii elektrycznej

potrzebnej do zasilania centryfugi była oczywiście ogromna, znacznie przekraczająca moc baterii słonecznych USIC, więc zebrana woda nie trafiała od razu do zbiorników. Najpierw zmieniano ją w parę w olbrzymim bojlerze, sprężano i napędzano nią turbiny siłowni.

Każdy z dwóch budynków zaspokajał potrzeby swojego sąsiada. Jeden dostarczał energię do łapania wody, drugi wodę do wytworzenia energii. Nie było to perpetuum mobile – dookoła rozstawiono dwieście paneli słonecznych – ale jego wydajność zapierała dech. Gdyby dało się ustawić kilka Wielkich Biustonoszy w głodujących krajach, takich jak Angola czy Sudan! Jakich zmian można by dokonać! Z pewnością USIC po zbudowaniu takiego cudu techniki i udowodnieniu wiążących się z nim korzyści musi prowadzić rozmowy o rozpowszechnieniu swojego wynalazku. Peter pomyślał, że powinien o to kogoś zapytać.

Ale teraz nie było na to czasu.

– I na koniec – mówiła Hayes – jeszcze jedna praktyczna sprawa. Jesteśmy świadomi, że oficjalna nazwa, Zakład Zasilania i Centryfugi, spotkała się z pewną rezerwą, jednak nie podoba się nam potoczne określenie, które jest w użyciu. Niektórzy mogą je uznać za zabawne, ale brak w nim szacunku. Uważam, że jesteśmy go winni Severinowi, który razem z innymi ciężko pracował przy tym projekcie, i należy nadać mu nazwę, którą wszyscy zaakceptują. Ponieważ większość ludzi woli krótkie i chwytliwe nazwy, zrobimy w ten sposób: oficjalnie zgromadziliśmy się dziś, by uczcić otwarcie Zakładu Zasilania i Centryfugi USIC. Nieoficjalnie sugerujemy, żebyście nazywali go... Matką.

– Bo ma dzwony jak balony – zawołał ktoś.

– Bo potrzeba jest matką wynalazku – wyjaśniła niewzruszona Hayes.

Na tym zakończyło się przemówienie otwierające uroczystości. Reszta wizyty przypominała wycieczkę po muzeum z przewodnikiem: pokazywano im elementy, które wcześniej widzieli na modelu. Jednak mnóstwo ważnych dla instalacji detali i mechanizmów zostało zalanych betonem lub wodą, a do wielu innych można się było dostać jedynie po pionowych stalowych drabinach, więc tak naprawdę niewiele zobaczyli.

Dopiero w drodze powrotnej, w niewielkim konwoju wracającym do bazy, Peter poczuł przyływ myśli, których nie potrafił zebrać podczas przemowy Hayes. Wciśnięty na tylnym siedzeniu pomiędzy dwóch nieznanym zauważył przez zaparowane okna samochodu, że świat jakby pociemniał. Przekreślił się i przetarł rękawem wilgotne szkło tylnej szyby. Budowle olbrzymiej instalacji zniknęły w oddali, opalizując w chmurze spalin z rury wydechowej dżipa. Za to lepiej było teraz widać niezliczone panele słoneczne – heliostaty – rozrzucone w półkole wokół Matki. Każdy z nich wychwytywał promienie słoneczne i kierował ich energię do siłowni. Traf chciał, że właśnie w tym momencie słońce zasłoniły chmury. Heliostaty zaczęły obracać się na podstawach, korygując kąt położenia luster. W lewo, w prawo, w górę, w dół. Były tylko prostokątymi

kawałkami stali i szkła, w najmniejszym stopniu nie przypominały ludzkich sylwetek, ale pomimo to Peter był poruszony bezradnością tych bezdusznych urządzeń. One także, jak wszystkie istoty we wszechświecie, czekały na ulotne światło, które nada im sens.

Kiedy wrócił do kwatery, sprawdził, czy w Sztosie są nowe wiadomości. Czuł się winny, że oczekuje wieści od Bei, a sam nie napisał do niej przez tyle czasu. W swoim ostatnim liście zapewnił ją, że jest zachwycony ciążą i oczywiście nie jest na nią zły. Resztę wypełniały opisy związane z misją; już nawet nie pamiętał dobrze jakie. Wiadomość składała się z piętnastu, może dwudziestu linijek; z napisaniem jej męczył się przez kilka godzin.

To prawda, nie był zły, ale i nie odczuwał niczego. Tylko frustrację, bo nie potrafił należycie do niej napisać. W jego sytuacji niełatwo było zebrać myśli i zawrzeć w korespondencji, co czuł, kiedy dowiedział się, że zostanie ojcem. Z największym wysiłkiem zdobył się jedynie na relację o bieżących wydarzeniach na Oazie. Udało mu się, bo zmagął się z nimi tu i teraz.

Wiadomość o ciąży Bei była jak informacja o jakichś doniosłych wydarzeniach z Anglii: wiedział, że są ważne, ale nie miał pojęcia, co powinien lub co mógłby zrobić. Zakładał, że każdego innego mężczyznę owładnęłyby najskrytsze uczucia związane z ojcostwem – niemowlę w ramionach, dotyk córki lub syna trącającego go w kolano, zakończenie roku szkolnego albo coś w tym rodzaju. Potrafił sobie wyobrazić takie sceny tylko w żenujący, szampowy sposób: jak płaskie, dwuwymiarowe ilustracje w komiksie stworzonym przez pozbawionego smaku grafomana. Próba wizualizacji Bei z dzieckiem w łonie przekraczała jego możliwości. Nie widział dziecka, a kiedy starał się przywołać obraz jej brzucha, wyobraźnia podsuwała mu widok szczupłej sylwetki osłoniętej podkoszulkiem, który wkładała do spania. Gdy koncentrował się mocniej, pojawiał się obraz USG jamy brzusznej. Zdepersonalizowane prześwietlenie z tajemniczymi świetlistymi plamkami, które mogły być larwowatym embrionem, gazem lub nowotworem.

Musisz teraz bardzo uważać na wszystko i uważać na siebie, napisał. Powtórzenie „uważać” w tak krótkim zdaniu nie było zręczne, ale dużo czasu zajęło mu dobranie tych słów, które dokładnie odzwierciedlały sens, o jaki mu chodziło. Wysłał je, bo szczerze oddawały jego uczucia, ale musiał przyznać, że wyglądały, jakby pochodziły od brata albo starej ciotki.

Od tego czasu nie zdołał wydusić z siebie żadnego listu, chociaż sam dostał od niej już kilka. Parę razy zmuszał się, by usiąść do pisania, ale po „Kochana Beo” zaciął się i nie potrafił ciągnąć dalej. Teraz też starał się wystukać na klawiaturze kilka słów o wizycie w Wielkim Biustonoszu, ale wątpił, czy jego żona wyczekaże z utęsknieniem takich informacji.

Dzisiaj nie przyszło od niej nic nowego, co było dość dziwne. Miał nadzieję, że nic złego się nie stało. To znaczy jej, Beatrice, bo wyglądało na to, że na

świecie ciągle działa się coś niedobrego.

Oczywiście na Ziemi zawsze było mnóstwo nieszczęść i katastrof, ale i wiele wspaniałych osiągnięć i siły ducha; media zazwyczaj to ignorowały – choćby dlatego, że honor i satysfakcja to uczucia, które trudno zarejestrować na filmie. Nawet biorąc to wszystko pod uwagę, listy od Beatrice zawierały zatrważająco dużo złych wieści. Więcej, niż Peter potrafił pojąć. Dowiadywał się o tylu katastrofalnych zmianach i zdarzeniach zaprzeczających jego dotychczasowemu pojmowaniu świata, że mózg przestawał trawić te informacje i nie przyjmował ich do wiadomości. Owszem, rozumiał, że Mirah wróciła do męża, że żona amerykańskiego polityka została zastrzelona w swoim basenie, pamiętał, że w Oskaloosie mieszkała mała dziewczynka, która straciła ojca, z pewnym trudem uświadomił sobie, że Malediwy zostały zmiecione z powierzchni Ziemi przez tsunami. Ale kiedy myślał o Korei Północnej, widział totalitarną kamienną architekturę miasta wypełnionego tysiącami rowerzystów jadących do swoich codziennych zajęć. W tej wizji nie było miejsca na niszczycielski cyklon.

Dzisiaj nie było nowych katastrof. Brak wiadomości to dobra wiadomość, jak mawiają niektórzy. Mało krzepiące, pomyślał i odszukał jeden ze starszych listów Bei. Przeczytał go jeszcze raz.

Peter, kochany,

dostałam Twoją wiadomość wieczorem. Co za ulga, że się na mnie nie gniewasz, chociaż zwięzłość Twojego listu świadczy o tym, że jesteś zły, ale starasz się opanować. Nie, jednak nie. Musisz być strasznie pochłonięty swoją misją, nauką języka i stawianiem czoła wyzwaniom, z jakimi nikt jeszcze nie miał do czynienia. (Proszę, napisz mi o nich, jak będziesz miał chwilkę).

Z tego, co piszesz, wnioskuję, że przynajmniej przyzwyczajasz się do klimatu. Tutaj to niemożliwe, bo pogoda znowu wariuje. Ulewne deszcze i czasem wichury na dokładkę. Dom cuchnie wilgocią, na meblach i ścianach pojawiła się pleśń. Jak otwieram okno, to wraz ze świeżym powietrzem wdziera się deszcz. Nie wiem za bardzo, co robić. Podobno u Ciebie też jest wilgotno, ale z Twoich informacji o życiu Oazjan wynika, że to miejsce chyba jest lepiej „zaprojektowane”. W Anglii wszystko zostało zbudowane z założeniem, że klimat będzie umiarkowany i w miarę suchy. Kiepsko nam idzie dostosowywanie się do sytuacji wyjątkowych. Wypieramy je po prostu.

Znów miałam wieści od Sheili. Billy ma depresję kliniczną. Kiepska sprawa dla czternastolatka. Postanowiłam zabrać go gdzieś w dniu przeprowadzki. (Pisałam ci, że Sheila i Mark rozstali się? Żadne z nich nie było już w stanie spłacać kredytu hipotecznego, więc postanowili sprzedać dom i przeprowadzić się do mieszkań. Mark niedługo wyjeżdża do Rumunii). Nie sądzę, by oszczędzanie dzieciom stresu związanego z przeprowadzką było dobrym pomysłem, ale Sheila mówi,

że Billy naprawdę nie chce o tym słyszeć i lepiej, jak znajdzie się w nowym mieszkaniu, gdy już będzie po wszystkim. Dała mi pieniądze i poprosiła, żebym zabrała go do kina, ale zamierzam pójść z nim na wystawę kotów, która akurat tego dnia odbywa się w Centrum Sportowym. To trochę ryzykowne, bo po pierwsze, może wystraszyć się na widok zwierząt trzymany w małych klatkach, a po drugie, obawiam się, że przypomni mu to o panterze śnieżnej. Jednak mam nadzieję, że widok tylu różnych kotów zgromadzonych w jednym miejscu uspokoi go.

Oj! Gdybyś mógł usłyszeć ten wstrząs, który teraz targnął domem! O mało nie dostałam ataku serca. Stłukło się okno w łazience, w wannie i na podłodze leżą setki szklanych odłamków. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jacyś chuligani, ale to wiatr. Silny podmuch zerwał jabłko z drzewa za domem i walnął nim w nasze okno. Ale bez obaw, ktoś z kościoła przyjdzie to naprawić tak szybko, jak się da. Za dwie godziny, powiedział. Graeme Stone, pamiętasz go? Jego żona zmarła na marskość wątroby.

Poszłam wczoraj do supermarketu, ale był zamknięty. Bez wyjaśnienia, tylko na drzwiach przyklejona kartka, że będzie nieczynny do odwołania. Na zewnątrz zgromadziło się sporo ludzi, rozczarowanych klientów zaglądających przez szybę. Wewnątrz paliły się światła, wszystko wyglądało normalnie, półki pełne. Paru ludzi z ochrony stało przy wejściu. W środku kilku pracowników (?) przechadzało się pomiędzy półkami; rozmawiali spokojnie, jakby nikt ich nie widział, jakby siedzieli w swoim salonie, a nie w publicznym miejscu przy głównej ulicy. Dziwne. Stałam tam przez pięć minut, nie wiem dlaczego. W końcu jakiś młody bezczelny chłopak z Indii Zachodnich zawołał przez szybę do jednego ze strażników: „Mogę dostać paczkę Benson & Hedges, stary?”. Nikt mu nie odpowiedział, więc dorzucił: „Dla mojej mamy, stary!”. W tłumie rozległy się śmiechy. To taki moment, kiedy cały tłum jednoczy się, bo zdarzyło się to „coś”; jedno drobne, zabawne wydarzenie łączy wszystkich ludzi. Uwielbiam takie chwile. Ale było już wiadomo, że nic się tam nie załatwi, więc poszłam do całodobowego sklepu spożywczego, żeby kupić mleko – nic z tego.

Co Ty jesz, kochanie? Czy coś, na co miałabym ochotę?

Stołówka USIC skąpana była w pomarańczowym świetle. Nastąpiło popołudnie, które miało się ciągnąć w nieskończoność.

W bufecie zamówił zupę – krem z kurczaka – i bułkę. Dziś za ladą stała nieznaną mu piękna kobieta o greckim typie urody. Rozmawiał już z większością personelu USIC, starając się zorientować, czy może służyć komuś duchowym wsparciem, i przekonał się, że to niezwykle flegmatyczne i egocentryczne grono. Tej Greczynki jeszcze nie spotkał; w spojrzeniu miała coś



takiego, co dawało nadzieję, że w jej życiu może znaleźć się miejsce dla Boga. Czy powinien wykorzystać nadarzącą się okazję? Ale teraz był głodny, a poza tym umysł zaprzętał mu Oazjanie. Za niecałą godzinę miał znowu do nich pojechać.

Zupa była smaczna, chociaż nie zawierała śmietany ani kurczaka; wyczuł posmak rosółu w kostce, na pewno dostarczanego z Ziemi. Bułka z mąki z białych kwiatów miała kruchą skórę i gąbczasty środek; była jeszcze ciepła, jak świeże domowe pieczywo. Jadł i dziękował Bogu za każdy kęs.

Z głośników dobiegał jazz, chyba dixieland, ale nie był pewien. Nie znał się na starej muzyce. Co kilka minut nagrany głos recytował listę puzonistów, trębaczy i pianistów.

Peter skończył posiłek i oddał miskę przy kontuarze.

– Dziękuję – powiedział.

– Ja również – odpowiedziała kobieta, odbierając naczynie.

Miała delikatne nadgarstki z wystającymi kostkami, takie jak jego żona. Ogarnęło go pragnienie, by spleść palce z palcami Bei, chociaż na parę sekund, wyczuć jej przegub swoją dłonią. Ta chęć naszała go zupełnie niespodziewanie; do oczu napłynęły mu łzy i dopiero po chwili zdołał się opanować.

Wrócił na miejsce i pozwolił, by żołądek spokojnie strawił posiłek. Przesunął dłonią po tunice. Pomiedzy ręką a materiałem przeskoczyła elektryczna iskra. Wiedział, że coś takiego przydarzało się, gdy gorączkowo czegoś wyczekiwał. Zamknął oczy i w modlitwie poprosił o cierpliwość. I Bóg zesłał mu nieco spokoju.

W głośnikach radiowęzła dixieland ustąpił miejsca łagodniejszej muzyce. Peter zaczął przeglądać czasopisma rozłożone na stojaku obok fotela, w którym siedział. Kartkował każde z nich przez kilka minut, po czym starannie odkładał na miejsce.

Początkowo uznał, że USIC oferuje solidny wybór tego, co znajdowało się w każdym kiosku tam, w domu. Teraz, kiedy staranniej przejrzał czasopisma, nie był już tego taki pewien. „Dom i Ogród”, „Gorące Plotki”, „Ryby i Akwaria”, „Men’s Health”, „Lesbijki w Akcji”, „Inżynieria Chemiczna”, „Klasyczny Jazz”, „Vogue”... Tak, były nawet świeże, przyleciały na Oazę tym samym lotem co on. Owszem, obejmowały całkiem sporą skalę zainteresowań, ale... trudno w nich było znaleźć wiadomości ze świata. Peter ogarnął wzrokiem tytuły i nagłówki na okładkach. Nie odbiegały od tych, które pojawiały się w takich wydawnictwach od dziesięcioleci. Na stojaku nie było żadnego czasopisma, które donosiło, co się dzieje na pierwszej linii frontu (takie wojskowe określenie przyszło mu do głowy). Można było poczytać o jazzie, dowiedzieć się, jak wzmocnić mięśnie brzucha, czym nakarmić rybki w akwarium, ale gdzie się podziały informacje o politycznych przesileniach, trzęsieniach ziemi, wojnach czy bankructwach wielkich korporacji? Wziął do ręki „Gorące Plotki”, brukowiec poświęcony show-biznesowi, i przekartkował go. Wszystkie artykuły dotyczyły sław, o których nigdy nie słyszał. Dwie luźne kartki zostały mu w

dłoni i spostrzegł, że ktoś wydarł kolejne strony. Sprawdził numerację – brakowało stron od trzydziestej drugiej do trzydziestej siódmej. Wrócił do spisu treści i odszukał streszczenia brakujących materiałów. „Umber Rosaria jedzie do Afryki! Nasza ulubiona imprezowiczka zamienia pobyt na odwyku na obóz dla uchodźców!”

– Hej, kaznodziejo!

Podniósł wzrok. Nad nim z szyderczym uśmiechem stał mężczyzna z kilkunastoma szczeciną na twarzy.

– Cześć, Tuska – powiedział Peter. – Dobrze cię widzieć. Znow zapuszczasz brodę?

Tuska wzruszył ramionami.

– To nic takiego. Nowe zegary wskaźników, ale maszyna ta sama. – Usiadł w najbliższym fotelu i wskazał na „Gorące Plotki”. – To gówna zlasuje ci mózg.

– Tylko sprawdzam, co tu można znaleźć – wyjaśnił Peter – i zauważyłem, że wyrwano parę stron.

Tuska oparł się wygodnie i założył nogę na nogę.

– Tylko parę? Jezu, powinieneś zajrzeć do „Lesbijek w Akcji”. Pewnie brakuje jednej trzeciej. – Puścił oko. – Chyba musielibyśmy się włamać do kwatery Hayes, żeby je odzyskać.

Peter wytrzymał spojrzenie Tuski i nie dał po sobie poznać, czy podoba mu się to, co usłyszał. Zachował niewzruszoną twarz; przekonał się nieraz, że potrafi być jak lustro, które odbija to, co chciał wyrazić rozmówca.

– Nie miałem zamiaru jej obrazić, rozumiesz – dodał Tuska. – Jest cholernie dobrym inżynierem. Trzyma się na uboczu, tak jak większość z nas.

Peter odłożył „Gorące Plotki” na stojak.

– Masz żonę? – zapytał.

Tuska uniósł krzaczastą brew.

– Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce – powiedział teatralnym tonem, potrząsając w powietrzu dłonią, by wzmocnić odwołanie do tego staroświeckiego symbolu popkultury. Potem dodał już normalnym tonem: – Nie miałem od niej wiadomości od dwudziestu lat. Może więcej.

– Czy w twoim życiu jest teraz ktoś wyjątkowy?

Tuska zmrużył w zadumie oczy; odgrywał scenkę: przetrząsanie pamięci w poszukiwaniu danych.

– Nie – odparł po czterech lub pięciu sekundach. – Nie mogę tego potwierdzić.

Peter uśmiechnął się na znak, że zrozumiał dowcip, ale w jego spojrzeniu dało się wyczytać coś na kształt współczucia i Tuska poczuł się w obowiązku udzielić obszerniejszych wyjaśnień.

– Wiesz, Peter, dziwię się, jak udało ci się przejść przez sito USIC. Naprawdę jestem zdumiony. – Pozwolił, by Peter czekał przez kilka chwil na dalsze szczegóły. – Jeśli przyjrzesz się chłopakom i dziewczynom, którzy tu pracują, okaże się, że wszyscy jesteśmy... hm... wolnymi strzelcami. Bez żon i mężów

tam, w domu. Bez stałych związków, dzieci na utrzymaniu, matek, które czekają na listy. Żadnych więzi.

– Z powodu wysokiego ryzyka śmierci w drodze na Oazę?

– Śmierci? Kto umarł? Przez te wszystkie lata mieliśmy jeden wypadek i nie miał on nic wspólnego ze Skokiem. To był dziwny przypadek, ale równie dobrze mógł się wydarzyć na pokładzie rejsowego samolotu do Los Angeles. Jeden z tych, które firmy ubezpieczeniowe nazywają działaniem siły wyższej. – Puścił oko i mówił dalej: – Te przesłuchania rekrutacyjne... chodzi o tutejsze warunki, życie w tym miejscu. Jak by to nazwać? Izolacja to dobre słowo. Spore ryzyko dla każdego, że zwariuje. Nie to, że zmieni się w jakiegoś psychopatycznego mordercę, szaleńca z siekierą, ale po prostu... no, zwariuje. Więc... – zaczerpnął głęboko powietrza – więc najlepiej, jak zgromadzisz zespół indywidualistów, którzy rozumieją, co to znaczy trwać w... otchłani. Którzy nie mają innych planów... nie mają gdzie wrócić... nikomu na nich nie zależy. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ludzi, którzy sobie z tym poradzą.

– Zespół samotników? Te określenia przeczą sobie.

– To Légion Étrangère. Właśnie tym jesteśmy.

– Słucham?

Tuska pochylił się do przodu jak stary gawędziarz.

– Francuska Legia Cudzoziemska – powiedział. – Elitarny korpus wojskowy. Walczyli w wielu wojnach w dawnych czasach. Wspaniały zgrany zespół. Nie musiałeś być Francuzem, żeby się zaciągnąć. Nieważne, skąd byłeś. Nie musiałeś im podawać prawdziwego nazwiska, spowiadać się z przeszłości, mówić, czy byłeś karany, niczego. Więc możesz sobie wyobrazić, że wielu z tych gości oznaczało kłopoty, i to przez duże „K”. Nigdzie nie pasowali. Nie nadawali się do regularnej armii. Nieważne, byli *legionnaires*.

Peter rozważał to przez kilka sekund.

– Chcesz powiedzieć, że tu wszyscy oznaczają kłopoty przez duże „K”?

Tuska się roześmiał.

– My? Jesteśmy aniołkami – zakpił. – Szlachetni i prawi obywatele, co do jednego.

– W trakcie przesłuchań w USIC – myślał głośno Peter – odniosłem wrażenie, że nie mógłbym skłamać. Wszystko sprawdzili, musiałem przejść badania lekarskie, przedstawić zaświadczenia, świadectwa...

– Jasne, jasne – zgodził się Tuska. – Każdego tu wybierali indywidualnie, precyzyjna ręczna robota, nie żadna tam produkcja taśmowa. Porównanie z legią nie dotyczyło sita kwalifikacyjnego. Przeciwnie. Chodziło mi o to, że potrafimy sobie poradzić z byciem tutaj, kropka. *Legio Patria Nostra*, to było motto legionistów. Legia jest naszą ojczyzną.

– A jednak wróciłeś – zauważył Peter.

– No cóż, jestem pilotem.

– BG i Severin też latali z powrotem kilka razy.

– Tak, ale spędzili tu całe lata pomiędzy podrózkami. Lata. Widziałeś akta

Severina. Wiesz, ile czasu tu spędził, codziennie wykonując swoją pracę, pijąc zieloną wodę, sikając na różowo, wałęsając się po kantynie każdego wieczoru i jedząc przerobione grzyby czy co to tam, do cholery, jest. Może przerzucał stare czasopisma, takie, jakie można znaleźć w poczekalni u dentysty, kładł się spać wieczorem i gapił się w sufit. To właśnie tu robimy. I radzimy z tym sobie. Wiesz, jak długo wytrzymywali pierwsi pracownicy USIC? Pierwszych kilka zmian w pionierskim okresie? Przeciętnie trzy tygodnie. Mówimy o wysportowanych, zdrowych, wyszkolonych ludziach, którzy mieli kochające rodziny i podobne pierdoły. Maksymalnie sześć tygodni. Czasem sześć dni. Potem dostawali świra, płakali, błagali, drapali ściany i USIC musiał ich odsyłać z powrotem. Do domu. – Wypowiadając ostatnie słowo, teatralnie rozłożył dłonie, by podkreślić sarkastyczny wydźwięk całej sytuacji. – Jasne, wiem, że USIC ma furę pieniędzy, ale nie aż tyle.

– A co z Kurtzbergiem? – zapytał szybko Peter. – I z Tartaglione? Nie wrócili do domu, prawda?

– Nie – przyznał Tuska. – Zostali tubylcami.

– Czy to po prostu nie jest inny sposób, żeby się przystosować?

– Ty mi powiedz – odparł Tuska z szelmowską nutą. – Dopiero co wróciłeś od dziwolągów i znów się tam wybierasz. Po co ten pośpiech? Już nas nie kochasz?

– Owszem, kocham was – powiedział Peter, starając się uderzyć w lekki, zabawny ton, który miał zarazem wyrazić, że naprawdę wszystkich tu kocha. – Ale nie sprowadzono mnie tu... hm... USIC postawił sprawę jasno, że nie powinienem się spodziewać... – Zawahał się skonsternowany. Jego głos nie był ani żartobliwy, ani szczery, brzmiał, jakby Peter się bronił.

– Nie nami masz się zajmować, wiem – podsumował Tuska.

Kątem oka Peter zauważył Grainger, która weszła do kantyny, by zabrać go do osady.

– Zależy mi – powiedział, tłumiąc chęć, by nawiązać do pogrzebu Severina, przypomnieć Tusce, jak bardzo się starał w ostatniej chwili przekazać coś szlachetnego. – Gdybyś ty... gdyby ktokolwiek z was... potrzebował mnie, będę służył wsparciem.

– Jasne, że tak. – Pilot wzruszył ramionami. Znów oparł się wygodnie, dostrzegł zbliżającą się Grainger i przywitał ją poufałym gestem.

– Twój rydwan czeka – powiedziała Grainger.

Zamiast skorzystać z drzwi w stołówce, a potem przejść wokół budynku do miejsca, gdzie zaparkowała samochód, Grainger poprowadziła Petera przez labirynt korytarzy, odwlekając moment wyjścia na parne powietrze. Wędrując przez bazę, natrafili na aptekę USIC, królestwo Grainger. Była zamknięta i Peter pewnie by jej nie zauważył, gdyby nie jasnozielony plastikowy krzyż zawieszony na niczym niewyróżniających się drzwiach. Przystanął, żeby rzucić

na niego okiem; Grainger znieruchomiała obok niego.

– Wąż z Epidauros – wyszeptał zdziwiony, że ktoś, kto wykonał ten szyld, zaprzętał sobie głowę, by ozdobić go srebrzystą inkrustacją starożytnego symbolu, węża oplatającego krzyż.

– Naprawdę?

– Symbolizuje mądrość, nieśmiertelność, uzdrowienie.

– I aptekę – dodała.

Ciekawe, czy drzwi są otwarte?

– A co, gdyby ktoś czegoś potrzebował, jak cię nie będzie?

– To mało prawdopodobne.

– Nie masz za dużo roboty?

– Robię wiele innych rzeczy oprócz wydawania lekarstw. Przeprowadzam analizy żywności, sprawdzam, czy się nie trujemy. Prowadzę badania. Mam mnóstwo pracy.

Nie miał zamiaru kwestionować jej roli, zaciekały go drzwi. Swego czasu włamał się do kilku aptek i z trudem mógł uwierzyć, że skład farmaceutycznych kąsków nie stanowi pokusy, nawet dla kogoś stąd.

– Zamknięte?

– Oczywiście, że tak.

– Jedyne zamknięte drzwi w całej bazie?

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Czuł, jak świdruje go wzrokiem, bada nieczyste sumienie i domyśla się wstydliwego wspomnienia z wtargnięcia do kwatery Kurtzberga. Co go podkusiło, żeby tam wejść?

– To nie dlatego, że ktoś mógłby coś ukraść – powiedziała. – Takie są... przepisy. Możemy już iść?

Doszli do końca korytarza; Grainger odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi. Gdy wyszli z budynku, chłodne, klimatyzowane powietrze wyssane na zewnątrz owionęło na moment ich ciała, ale szybko ustąpiło przed oblepiającą parną wilgocią. Nieprzyjemne doznanie, do którego trzeba było się przyzwyczaić.

– Usłyszałam, jak wyznajesz Tusce miłość – powiedziała Grainger, kiedy zbliżali się do samochodu.

– Wygłupiał się – powiedział Peter – a ja... hm... starałem się dostosować.

Wirujące powietrze zmierzwiło mu włosy, wdarło się pod ubranie, zamgliło spojrzenie. Rozkojarzony o mało co nie zderzył się z Grainger, idąc za nią do drzwi od strony kierowcy, zanim nie uzmysłowił sobie, że powinien usiąść na miejscu pasażera.

– Ale w gruncie rzeczy – powiedział, zawracając – to prawda. Jestem chrześcijaninem i staram się kochać wszystkich.

Zajęli miejsca w furgonetce i zatrzasnęli drzwi, zamykając się szczelnie w klimatyzowanej kabinie. Krótki czas spędzony na otwartej przestrzeni wystarczył, by cała skóra pokryła się wilgocią. Wywołała dreszcz, który oboje odczuli w tym samym momencie; ta zgodność reakcji sprawiła, że uśmiechnęli

się do siebie.

– Tuska nie jest szczególnie miły – zauważyła Grainger.

– Ma dobre chęci – odparł Peter.

– Naprawdę? – powiedziała cierpko. – Pewnie dla facetów jest zabawniejszy.

– Wytarła twarz skrawkiem chusty, zerknęła w lusterko i poprawiła włosy. – Te jego obleśne uwagi, szkoda, że ich nie słyszałeś. Jak z męskiej szatni. Erotoman gawędziarz.

– Wolałabyś, żeby nie ograniczał się do gadania?

– Boże uchroni – rzuciła drwiąco. – Ale mogę sobie wyobrazić, dlaczego żona go zostawiła.

– Może to on ją zostawił. – Peter zastanawiał się, dlaczego Grainger wciąga go w rozmowę na ten temat i dlaczego jeszcze nie ruszyli. – Albo to była ich wspólna decyzja.

– Koniec małżeństwa nigdy nie jest wspólną decyzją.

Skinął głową, jakby uznając ją za ekspertkę w tej dziedzinie. Nadal nie uruchomiła samochodu.

– Czy tutaj są jakieś małżeństwa? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Mamy swoją robotę, wszyscy musimy się dogadywać.

– Ja się dogaduję ze swoją żoną – powiedział. – Zawsze pracowaliśmy razem. Chciałbym, żeby tu była.

– Myślisz, że spodobałoby się jej tutaj?

O mało co nie odpowiedział: „Nieważne, byłaby ze mną”, ale zdał sobie sprawę, jakim wydałby się pyszałkiem.

– Mam nadzieję.

– A ja sądzę, że nie skakałaby z radości – powiedziała Grainger. – To nie jest miejsce dla prawdziwej kobiety.

„Ty jesteś prawdziwą kobietą”, chciał powiedzieć, ale powstrzymała go intuicja nabyta podczas lat pracy.

– Dużo kobiet tu pracuje. Wydają się dość prawdziwe.

– Naprawdę? Może powinieneś przyjrzeć im się trochę bliżej.

Przyjrzał się jej trochę bliżej. Na skroni miała czerwony pryszcz, we wrażliwym miejscu na skórze, tuż nad prawą brwią. Wyglądał na bolesny. Nie wiedział, czy to objaw zbliżającego się okresu. Bea dostawała wyprysków regularnie co miesiąc i przejawiała wtedy skłonność do dziwnych konwersacji. Stosowała pokrętną logikę, krytykowała znajomych z pracy i – lubiła rozmawiać o seksie.

– Kiedy zaczęłam tu pracować – ciągnęła Grainger – nawet nie zauważyłam, że nikt z nikim się nie wiąże. Myślałam, że to się dzieje za moimi plecami. Sposób, w jaki rozmawiają BG i Tuska... Ale mija rok za rokiem i wiesz co? Nic i nigdy się nie dzieje. Nikt nie trzyma się za ręce. Nikt się nie całuje. Nikt nie odchodzi od pracy i nie wraca po godzinie z potarganymi włosami i spódnicą wetkniętą w majtki.

– Wolałabyś, żeby tak było? – Skromny, powściągliwy sposób bycia Oazjan sprawił, że Peterowi coraz mniej podobały się niefrasobliwe ludzkie żądze.

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Po prostu chciałam od czasu do czasu zobaczyć jakieś żywe odruchy.

Miał zamiar powiedzieć, że jest zbyt surowa, ale się pohamował. Stwierdził tylko:

– Ludzie nie muszą uprawiać seksu, żeby traktować ich jak żywe istoty.

Spojrzała na niego pytająco.

– Czy ty... hm... zapomniałam, jak to się nazywa... kiedy księża składają śluby...

– Celibat? – Uśmiechnął się. – Nie, oczywiście, że nie. Wiesz, że jestem żonaty.

– Tak, ale nie wiem, jaki macie układ. Są przecież różne związki.

Peter zamknął oczy, spróbował przenieść się do łóżka z żółtą kołdrą, gdzie jego żona leżała naga i czekała na niego. Nie potrafił jej sobie wyobrazić. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić żółtej kołdry, nie pamiętał, w jakim była odcieniu. Zamiast niej zobaczył żółty kolor szaty Miłośniczki Jezusa Piątej, kanarkową barwę, którą nauczył się odróżniać od żółcieni noszonych przez kilku innych Miłośników Jezusa, ponieważ była jego ulubienicą.

– Nasz... obejmuje wszystko – zapewnił.

– To miło – powiedziała Grainger. – Cieszę się. – Potem przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik zaskoczył.

## Zniknął w potężnym unisono

Wyprostował się gwałtownie.

– Przepraszam, nie chciałem na tobie zasnąć – powiedział.

– Nic się nie stało – odparła.

– Długo spałem?

Spojrzała na deskę rozdzielczą.

– Ze dwadzieścia minut. Krótka drzemka. Na początku sądziłam, że zamyśliłeś się głęboko.

Wyrzwał przez boczną szybę, a potem popatrzył przed siebie. Krajobraz wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednio.

– Wiem, nie ma na czym zawiesić oka – powiedziała Grainger.

– Jest pięknie – odparł. – Po prostu kiepsko spałem.

– Służę pomocą, nie krępuj się.

Popatrzył na nią, starając się wyczytać, czy jest na niego zła, ale kiedy spał, założyła okulary przeciwsłoneczne i teraz całą jej twarz spowijały refleksy promieni.

– Masz takie suche usta – powiedziała. – Za mało pijesz.

Trzymając jedną rękę na kierownicy, drugą sięgnęła po butelkę wody, którą miała na podłodze między nogami. Podała mu ją; na chwilę oderwała wzrok od drogi i sięgnęła po kolejną.

– Pamiętaj, musisz pić. Odwodnienie to śmierć. I uważaj na słońce, nie spal się jak poprzednio.

– Mówisz jak moja żona.

– Cóż, może wspólnie zdołamy utrzymać cię przy życiu.

Odkręcił nakrętkę i wziął duży łyk. Bezbarwny płyn był schłodzony i drapał w gardle. Tak mocno, że Peter prawie się zakrztusił. Dyskretnie zerknął na nalepkę: WODA 50\$ za 300 ml. Dostał od niej drogi importowany prezent.

– Dziękuję – powiedział, udając zadowolenie.

Jakie to dziwne, pomyślał, że ktoś, kto tak długo mieszka na Oazie, nie potrafi docenić zalet tutejszej wody. Kiedy jego misja dobiegnie końca i wróci do domu, z pewnością będzie mu brakowało smaku miodowego melona.

Pod koniec długiej jazdy Peter uznał, że osada zasługuje na lepszą nazwę niż C-2 czy Miasto Dziwolągów. Żeby nawiązać do oazjańskiego określenia, już wcześniej starał się dowiedzieć, jak ją nazywają sami Oazjanie, ale zdawali się nie rozumieć pytania i ciągle określali osadę angielskim słowem „tutaj”. Początkowo myślał, że oryginalne słowo byłoby dla niego za trudne do



wymówienia, ale okazało się, że osada naprawdę nie miała swojej nazwy. Co za cudowna skromność! O ile mniej byłoby cierpień i przelewu krwi, gdyby ludzie nie przykładali tak dużej wagi do nazw jak Stalingrad, Falludża czy Rzym i kontentowali się życiem „tutaj”, bez względu na to, gdzie i czym owo „tutaj” było.

Mimo to określenie Miasto Dziwołągów stanowiło problem, który należało rozwiązać.

– Powiedz mi – zaczął, gdy osada była już w zasięgu wzroku – gdybyś miała nadać temu miejscu nową nazwę, jak byś je nazwała?

Spojrzała na niego. Ciągle miała na twarzy okulary przeciwsłoneczne.

– A co jest złego w C-2?

– Brzmi jak napis na pojemniku z toksycznym gazem.

– Dla mnie brzmi normalnie.

– Może coś mniej normalnego byłoby lepsze.

– Jak... niech pomyślę... Nowe Jeruzalem?

– To by oznaczało brak szacunku dla tych, którzy nie są chrześcijanami – odparł. – Poza tym mogliby mieć kłopot z wymową.

Grainger zastanawiała się przez chwilę.

– Może to zadanie dla Coretty. Wiesz, tej dziewczyny z Oskaloosy...

– Pamiętam, modłę się za nią. – Uprzedzając zakłopotanie Grainger, natychmiast zmienił ton na bardziej żartobliwy: – Chyba to nie jest zadanie dla Coretty. Weźmy słowo „Oaza”: nie potrafią wymawiać zet. Może ta dziewczyna lubi takie zgłoski i zaproponowałaby Oskaloosę.

Dowcip był słaby i Grainger nie zareagowała. Chyba wzmianka o modlitwie była błędem.

Step nagle się skończył i wjechali w obręb osady. Grainger skierowała samochód w stronę tego samego budynku co poprzednio. Litery wielkości człowieka w słowie „witamy” wymalowano na nowo; tym razem układały się w WITAMY MY, jakby chcieli silniej zaakcentować swoje intencje.

– Podjedź prosto do kościoła – powiedział Peter.

– Kościoła?

Wątpił, by nie dostrzegła budowy, kiedy odbierała go ostatnim razem. W porządku, jeśli chce się tak bawić, on nie będzie jej przeszkadzać. Wskazał na linię horyzontu, gdzie na tle popołudniowego nieba wznosiła się duża, naśladowująca trochę gotyk budowla. Nie miała jeszcze dachu ani wieży.

– To ten budynek – powiedział. – Jeszcze nieskończony, ale tam biwakuję.

– Okej, ale muszę też zrobić dostawę. – Wskazała głową na zabazgrany farbą dom, który właśnie minęli.

Peter odwrócił się i popatrzył na prawie pusty tył furgonetki. Było tam tylko kilka paczek z lekarstwami.

– Przepraszam, zapomniałem. Potrzebujesz wsparcia moralnego?

– Nie, dziękuję.

– Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać z tobą, dopóki

wszystkiego nie załatwisz. Powiniennem pamiętać.

– To nie twoje zadanie.

Jechała już przez step w stronę kościoła. Nie było sensu przekonywać jej, by zawróciła i załatwiła najpierw sprawę dostawy, nawet jeśli Peter uważał, że byłaby spokojniejsza w jego towarzystwie, mniej wystraszona z kimś ze swojej rasy. Nie mógł nalegać. Grainger była drażliwa; im dłużej ją znał, tym bardziej wydawała mu się przeczulona.

Zwolnili i zatrzymali się przy zachodniej ścianie kościoła. Nawet bez dachu budynek był wystarczająco wysoki, by zapewnić im cień.

– No i dojechaliliśmy – rzuciła Grainger, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.  
– Baw się dobrze.

– Jestem pewien, że nie będę się nudził – powiedział Peter. – Jeszcze raz dziękuję, że mnie podwiozłaś.

– Do samego... Peterville – zażartowała, otwierając drzwi.

Zaśmiał się.

– Wykluczone, mają też kłopoty z „t”.

Mokre powietrze, od którego tak długo byli oddzieleni, wtargnęło radośnie do kabiny. Głaskało twarze, pokrywało parą szyby, wślizgiwało się w rękawy, mierzwiło włosy. Twarz Grainger, nieduża i blada pod fałdami chusty, natychmiast pokryła się wilgocią. Zmarszczyła gniewnie czoło i krople potu przedostały się na kosmyki gęstych brązowych włosów, które zwisały tuż nad brwiami.

– Naprawdę się za nią modlisz? – zapytała nagle, gdy Peter już miał wysiąść.

– Za Corettę?

– Tak.

– Każdego dnia.

– Przecież wcale jej nie znasz.

– Bóg ją zna.

Drgnęła.

– Czy możesz pomodlić się jeszcze za kogoś?

– Oczywiście. Za kogo?

– Za Charliego. – Zawahała się. – Za Charliego Graingera.

– To twój ojciec? – Zgadywał. Możliwe, że to brat, nie wydawało mu się, by chodziło o syna.

– Tak – odparła. Jej policzki pokrył krwisty rumieniec.

– Ma jakieś problemy?

– Niedługo umrze.

– Jesteście sobie bliscy?

– Nie. W ogóle. Ale... – Ściągnęła chustę i potrząsnęła gołą głową jak zwierzę, które otrząsa się z wilgoci. – Nie chcę, by cierpiał.

– Rozumiem – powiedział Peter. – Dziękuję. Do zobaczenia za tydzień. – Wsiadł i wszedł do swojego kościoła.

Oazjanie zbudowali mu ambonę. Niech im Bóg błogosławi, zbudowali ambonę, uformowali ją z tego samego bursztynowego materiału co cegły. Wznosiła się dumnie pomiędzy czterema ścianami, jakby wytrysnęła z ziemi. Była niczym drzewo w kształcie kazalnicy rosnące pod otwartym niebem. Tuż przed wyjazdem Peter zasugerował, że jak najszybciej należy położyć dach, ale tego jeszcze nie zrobili. Nie posunęła się też praca przy oknach, które nadal były jedynie dziurami w ścianach.

Stojąc tam, przypomniał sobie, jak w dzieciństwie zwiedzał średniowieczne ruiny. Mury niegdyś pełne życia, teraz porzucone, wystawione na pastwę złej pogody, pełne wałęsających się turystów. Na szczęście jego kościół nie był ruiną i Peter nie musiał się martwić o skutki niekorzystnej aury. Dach i okna, kiedy wreszcie powstaną, będą symbolicznym gestem, zwieńczeniem dzieła, ale ten kościół nadawał się do użytku już w momencie, gdy pojawił się pomysł jego budowy. Nigdy nie będzie szczelnie zamkniętym bunkrem jak baza USIC. Dach ochroni przed deszczem, ale powietrze wewnątrz będzie takie samo jak na zewnątrz. W kościele nie będzie żadnych kruchych bibelotów czy delikatnych tkanin, które mogłyby ulec zniszczeniu pod wpływem warunków atmosferycznych. Oazjanie traktowali to miejsce jedynie jako punkt zborny dla ciał i dusz, co dobrze wróżyło ich rozwojowi w duchu Chrystusa.

A jednak zbudowali mu ambonę. I wykończyli wejście. Dwie połówki drzwi (prosto z pieca do wypalania), które – kiedy był tu poprzednio – leżały na ziemi, zostały osadzone w futrynie. Peter otwierał je i zamykał raz po raz, podziwiając ich płynny ruch i idealnie prostą linię tworzoną przez obie części po zamknięciu. Tutejsi budowniczowie nie stosowali metalowych zawiasów ani śrub. Zamiast tego użyto zmyślnego połączenia na jaskółczy ogon: palczaste wypustki na krawędziach drzwi idealnie wpasowywały się w otwory w ościeżnicy. Peter był pewien, że gdyby chwycił i uniósł oba skrzydła, wysunęłyby się z framugi równie łatwo jak stopa z buta. Bez trudu też potrafiłby umieścić je z powrotem. Czy to nie ryzykowne budować w taki sposób, że byle złośliwy wandal mógł wyjąć drzwi, nawet jeśli nie ma tu wandalu, którzy są zdolni do takich złośliwości? I czy wznoszenie kościoła na gąbczastej ziemi nie kwalifikuje się jako „budowanie domu na piasku”, przed czym ostrzega Ewangelia Mateusza w rozdziale siódmym? Raczej nie. Mateusz mówił metaforycznie, chodziło mu nie o architekturę, tylko o wiarę.

Oazjanie pracowali powoli, byli chorobliwie ostrożni, ale starali się ze wszystkich sił. Drzwi ozdobiono misternym reliefem. Kiedy przyniesiono je tutaj, były gładkie jak szkło, a teraz pokrywały je dziesiątki malutkich krzyży wykonanych na tyle różnych sposobów, że – jak podejrzewał Peter – każdy z Miłośników Jezusa miał (lub miała) swój wkład w to dzieło. Tuż pod górną krawędzią umieszczono wizerunki trzech ogromnych ludzkich oczu ułożonych w piramidę. Wyglądały na ślepe; pod względem graficznym były wykonane dość zgrabnie, ale bez zrozumienia tego, co jest istotą zmysłu wzroku. Były także złobienia, które można by wziąć za abstrakcyjne zawijasy, ale Peter wiedział,

że przedstawiały laski pasterzy – **paspesy**, jak z trudem wymawiali Oazjanie.

Zaproponował, że nauczy się ich języka, ale niechętnie dawali mu lekcje i w głębi duszy uznał, że to strata czasu. By naśladować wydawane przez nich dźwięki, musiałby chyba oderwać sobie głowę i gulgotać przez dziurę w szyi. Tymczasem Oazjanie dzięki pionierskim wysiłkom Tartaglioneo i Kurtzberga oraz gorliwości swej wiary robili niezwykle postępy w angielskim – języku, do którego byli równie nieprzystosowani jak owca do wchodzenia po drabinie. Jednak wspinali się do góry i Peter przejmująco odczuwał patos ich wysiłku. Z biblijnych wersetów, których zdołali nauczyć się na pamięć, domyślił się, że Kurtzberg nie zważał na ich fizyczne ograniczenia: co stało w Piśmie, to musieli wypowiedzieć.

Peter był zdecydowany okazać im więcej zrozumienia. W czasie bezsennego tygodnia w bazie USIC włożył dużo pracy w przełożenie terminów biblijnych na odpowiedniki, które powinny być łatwiejsze do wymówienia dla jego trzódki. „Pastwiska” zmieniły się w „pola”, „sprawiedliwość” miała być po prostu „dobrem”. „Pasterz” miał oznaczać „dba o mnie” (niuanse gramatyki miały mniejsze znaczenie niż sens, a poza tym to określenie miało poetycki wdzięk). „Laskę pasterską” miało zastąpić „dobre berło”. Nad tym się natrudził. Uproszczenie nie dorastało do oryginału, ale było lepsze niż kij lub laga (co mogłoby się kojarzyć z pojęciem kary), znośniejsze dla gardeł Oazjan i zawierało w sobie odpowiednią konotację związaną z władzą i boską potencją.

Owoce tej pracy znajdowały się w jego plecaku. Ściągnął go z ramion, rzucił obok ambony i usiadł na ziemi. Spłynęło na niego uczucie spokoju. Było jak ciepło alkoholu rozchodzącego się w żyłach. Zapominał powoli o niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazł się podczas jazdy z Grainger, wcześniejsza rozmowa z Tuską wydawała się bardzo odległa, z trudnością przywoływał też szczegóły z ostatniego listu Bei, oprócz tego, że ma zabrać Billy’ego Frame’a na wystawę kotów. Co dziwne, w pamięci utkwiła mu wisząca na ścianie arka Noego zrobiona przez Billy’ego i Rachel, zupełnie jakby zabrał ją ze sobą w tę podróż i umieścił przed chwilą na ścianie kościoła.

Nie mógł się doczekać, by znów zamieszkać z Oazjanami. To był prawdziwy zaszczyt. Posługa, którą spełniał w swym zgromadzeniu w Anglii, też była zaszczytna, choć trudna, gdy musiał mierzyć się z upartymi, niedojrzałymi zachowaniami niektórych osób. Ta Azjatka Mirah i jej agresywny mąż... Ona rozchichotana, plotkująca, on gruby i drażliwy, marnujący czas na głupoty niczym przekarmiony sułtan... Oczywiście, jak wszystkie istoty ludzkie byli mu drodzy, ale z trudem znosił ich towarzystwo. Oazjanie byli balsamem dla duszy.

Siedział przez chwilę zatopiony w modlitwie bez słów, przenikając błonę dzielącą go od Nieba. Mały czerwony owad podobny do biedronki, ale z dłuższymi nogami, usiadł mu na dłoni. Peter złączył końcówki palców w trójkąt i pozwolił mu zejść z pochyłości jednego palca i wdrapać się na drugi. Nie reagował, kiedy owad szczypał go, żerując na komórkach naskórka. Nie był łakomy i szybko odleciał.

Ach, potęga ciszy! Pierwszy raz doświadczył jej jako mały chłopiec, siedząc obok matki na kwakerskich zebraniach. Pokój pełen ludzi lubiących ciszę, osób, które nie musiały walczyć ze swoim ego. W tym pokoju było tyle pozytywnej energii, że nie zdziwiłby się, gdyby krzesła oderwały się od podłogi i zaczęły lewitować wokół wiernych, a potem wzniosły aż pod sufit. Podobnie czuł się wśród Oazjan.

Może powinien zostać kwakrem. Ale nie mieli pastorów ani Boga – przynajmniej nie w realnym, ojcowskim znaczeniu. Oczywiście miło i spokojnie siedziało się wśród tej wspólnoty, obserwując grę słonecznych promieni na swetrze jakiegoś starego człowieka, pozwalając hipnotyzować się blaskom wełnianych włókien, gdy światło przesuwano się powoli i padało na kolejne osoby. Takiego stanu ukojenia doświadczał też czasami, gdy był bezdomny: jest popołudnie, znalazł wygodne miejsce, wreszcie może się ogrzać i nie ma nic do roboty prócz patrzenia, jak słońce oświetla kolejne płyty chodnikowe. Ktoś mógłby to nazwać medytacją. Ale chyba wolał aktywniejsze życie.

Wszedł na ambonę i położył palce na lśniącej beżowej powierzchni; będzie mógł rozłożyć tu swoje notatki. Ambona była odrobinę za niska, jakby Oazjanie zrobili ją dla najwyższej osoby, jaką mogli sobie wyobrazić, ale ponieważ wyjechał, źle oszacowali jego wzrost. Projekt był wzorowany na monumentalnych zdobionych kazalnicych ze starych europejskich katedr, gdzie na rozłożonych skrzydłach wyrzeźbionego z dębiny orła bez trudu dało się rozłożyć potężną, oprawną w skórę Biblię.

Oazjanie mieli fotografię takiej ambony wyrwaną ze starego czasopisma, którą podarował im Kurtzberg. Z dumą pokazywali ją Peterowi. On ze swojej strony starał się zapewnić, że oddawanie czci Bogu polega na intymnej łączności pomiędzy wierzącym a Stwórcą, że niepotrzebna jest pompa, a wszelkie przedmioty liturgiczne powinny odzwierciedlać miejscową kulturę. Jednak niełatwo było to wytłumaczyć, kiedy miało się do czynienia z tłoczonym wokół tłumem płodogłowców wpadających w zachwyty nad stronicą tygodnika, jakby była świętą relikwią.

W każdym razie jego ambona nie przypominała za bardzo misternie wyrzeźbionego pierzastego orła z fotografii. Opływowe kształty ozdobione przypadkowo dobranymi literami mogły równie dobrze odwzorowywać skrzydła samolotu.

– **Jesp** dobry?

Od razu rozpoznał ten miękki głos. Miłośniczka Jezusa Piąta. Zostawił drzwi do kościoła otwarte, a ona weszła bezszelestnie, ubrana jak zwykle w swoją kanarkową szatę.

– Jest piękna – odparł. – Co za wspaniałe powitanie.

– Niech Bóg błogosławi **sposkanie**, Ojce **Peper**.

Spojrzał na drzwi, których nie zdołała przesłonić jej niewysoka sylwetka. Kilkunastu Oazjan posuwało się po stepie, ale byli jeszcze daleko. Miłośniczka Piąta musiała ich wyprzedzić, a pośpiech był niezwykły wśród tego ludu. Mimo

to nie wydawała się zmęczona.

– Ciszę się, że cię widzę – powiedział Peter. – Jak tylko wyjechałem, chciałem tu wrócić.

– Niech Bóg błogosławi **s**poskanie, Ojce **P**eper – powtórzyła. Przez ramię miała przewieszoną sieć wypchaną czymś żółtym, w intensywniejszym odcieniu niż jej własna szata. Pomyślał, że to szal, ale wyciągnęła i pokazała mu parę butów. – Dla ciebie – powiedziała.

Z nieśmiałym uśmiechem przyjął je z jej obciążonych rękawiczkami dłoni. W odróżnieniu od małych bucików, które dostał przy pierwszej wizycie, te wyglądały na jego rozmiar. Zdjął sandały – ich wysciółka była już zniekształcona i czarna od ciągłego używania – i włożył nowe buty. Pasowały idealnie.

Roześmiał się. Jasnożółte buty i islamska tunika przypominająca suknię: gdyby miał jakieś ambicje bycia macho, ten zestaw rozwiałyby jego marzenia. Podniósł jedną stopę, potem drugą, pokazując Miłośniczce Piątej, że buty są doskonałe. Widział już podczas ostatniego pobytu, jak Oazjanie wytwarzają ubrania, i wiedział, ile wysiłku i fanatycznej wręcz cierpliwości musiało ją kosztować ich wykonanie. Posługiwali się igłami z taką samą ostrożnością, z jaką ludzie obchodzili się z piłami łańcuchowymi lub palnikami acetylenowymi. Wykonanie każdego szwu było uciążliwym, nieprzyjemnym rytuałem. Peter nie mógł na to spokojnie patrzeć.

– Są doskonałe – powiedział. – Dziękuję bardzo.

– Dla ciebie – powtórzyła.

Stali oboje przy otwartych drzwiach i obserwowali zbliżających się Miłośników Jezusa.

– Jak się ma twój brat, Miłośniczko Jezusa Piąta? – zapytał Peter.

– W **s**iemni.

– Chodzi mi o tego drugiego, tego, który przysparza ci zmartwień, bo nie kocha Jezusa.

– W **s**iemni – powtórzyła. I dodała wyjaśniająco: – **p**es.

– Też umarł? W zeszłym tygodniu?

– **p**ak.

Peter wpatrywał się w ocienioną kapturem bruzdę, pragnąc zrozumieć emocje kryjące się za tymi zwięzłymi słowami. Doświadczenie pozwalało mu sądzić, że Oazjanie wyrażali uczucia za pomocą szelestów, bulgotania i zgrzytów, które wydawali, kiedy nie silili się, by naśladować obcy język.

– Na co umarł? Co się stało?

Miłośniczka Piąta poklepała się lekko po ramionach, piersiach i brzuchu, by określić, że chodziło o całe ciało.

– W nim **d**u**s**o **s**praw nie **p**ak. Dobre **s**amienił w brudne. **s**ilne w **s**łabe. Pełne w **p**u**s**pe. **s**amknie**p**e w **o**p**w**ar**p**e. **s**uche w wodę. I **d**u**s**o innych. Nie mam **s**łów na **p**e sprawy.

– Bardzo mi przykro.

Skłoniła głowę, być może w geście żalu.

– Brap długo chory. **s**ycie długo w nim, **p**opem wolno **s**nika. **K**asdy **s**ień ja u brapa, on **s**pi, jego **s**ycie mówi będę **p**u, potem pójdę. Niedobse w **p**ym ciele. Kiedy **s**ycie w moim bracie, ja **s**mutna, kiedy brap w ziemi, **s**mutek w **s**iemi. Niech Bóg błogosławi **s**popkanie, Ojce **P**epper. **J**esp **n**iesiela.

Peter przytaknął, chociaż tak naprawdę nie wiedział, czy była niedziela. Odzwyczaj się od tradycyjnego kalendarza. To bez znaczenia, razem z Oazjanami mieli oddawać cześć Bogu. Rozumiał, co dla niej oznaczała niedziela. Miała rację.

– Ja też mam coś dla was – powiedział Peter, idąc po plecak.

Miłośniczka Jezusa Piąta poruszała rytmicznie głowę, obserwując jego dłonie, kiedy wyjmował wykonane w bazie broszurki.

– Biblia – powiedział. – A raczej jej zaczątek. Dla ciebie. – Udało mu się przygotować dwadzieścia stron Pisma w uproszczonym angielskim, łatwiejszym w wymowie. Wydrukował je w stylu Biblii Króla Jakuba, po dwie kolumny na stronie na dziesięciu złożonych i zszytych kartkach. Od czasów Gutenberga świat widział lepszych introligatorów, ale nie dało się wiele osiągnąć za pomocą narzędzi dostępnych w bazie USIC. Na okładce każdej broszury Peter ręcznie narysował krzyż i pokolorował go złotym flamastrem.

– **K**sęga **s**iwnych Nowych **s**ecy – potwierdziła Miłośniczka Jezusa Piąta, gdy jej współwyznawcy wchodzili do kościoła. Kroczyli powoli i bezgłośnie w swoich miękkich butach, ale Miłośniczka Piąta usłyszała ich i odwróciła się na powitanie. – **K**sęga **s**iwnych Nowych **s**ecy – powtórzyła, wskazując na broszury, które Peter układał na ambonie. – Dla nas.

Wśród nowo przybyłych rozległy się szepty i westchnienia. Ku swemu zawstydzeniu Peter rozpoznawał ich jedynie po kolorach szat. Miał nadzieję, że nie zmienili ubrań od zeszłego tygodnia. I liczył, że nauczył się już rozróżniać odcienie: brązowy, brunatny, kasztanowaty, miedziany, szkarłatny, pąsowy, wiśniowy... Każdy kojarzył mu się z rozmowami – często krótkimi i kulawymi – które odbył z konkretną osobą.

– Przyjaciele – ogłosił, kiedy już wszyscy weszli do środka. – Jestem szczęśliwy, że was widzę. Przyniosłem wam podarunki. Niewielka w tym moja zasługa, bo Pismo pochodzi od naszego Zbawiciela.

Szacował, że w czterech ścianach kościoła zgromadziło się koło dziewięćdziesięciu osób. Co za oszałamiająca feeria barw i odcieni! Jako pastor nauczył się szybko oceniać liczbę wiernych. Jeśli się nie pomylił, oznaczało to, że podczas jego nieobecności przybyło mu dziesięciu lub dwudziestu nowych chrześcijan.

– Jak już wyjaśniałem niektórym z was – powiedział – Biblia, którą u mnie widzieliście, i ta, którą miał Kurtzberg, jest bardzo gruba. Za gruba dla większości ludzi. Ale nie napisano jej, by przeczytać ją od razu całą. Biblia to składnica wiadomości, która powiększała się przez stulecia, w miarę jak nasz Pan przekazywał swoje myśli i zamiary każdemu, kto chciał czytać i słuchać. –

Gdy to mówił, podał broszury Miłośniczce Piątej, a ona rozdała je wiernym. Każdy obdarowany brał wydrukowaną na komputerze książeczkę, jakby dostawał do rąk kruche jajko.

– Kiedy Jezus chodził po Ziemi – ciągnął Peter – ludzie spisywali to, co mówił i robił, a potem to, co przydarzyło się Jego uczniom. Ale Biblia ma początek w czasach przed przyjściem Jezusa na Ziemię, w dawnych czasach, kiedy Bóg wydawał się odległy i tajemniczy, kiedy trudniej było zrozumieć, czego naprawdę chce. W tych dniach ludzie opowiadali historie o Bogu i te opowieści także są w Biblii. Niektóre z nich wymagają mnóstwa wiedzy o zwyczajach i miejscach, które istniały przed Jezusem. Nawet wśród mojego ludu wielu nie posiada tej wiedzy.

Kiedy to mówił, zauważył, że co dziesiąta osoba zamiast przyjąć broszurę od Miłośniczki Piątej, woli skorzystać z książeczki sąsiada. Peter przywiózł osiemdziesiąt egzemplarzy, bo nie spodziewał się zwiększenia liczby wyznawców. Najwyraźniej Oazjanie na pierwszy rzut oka ocenili ilość broszurek i bez zbędnych rozmów i zamieszania rozdzielili je w taki sposób, żeby nikt nie został poszkodowany.

– Miłośnik Jezusa Dwunasty i Miłośnik Jezusa Osiemnasty – wskazał na dwie postaci odziane na szafranowo i jasnofioletowo – powiedzieli mi, że Kurtzberg opowiadał wam o Nabuchodonozorze, Balaamie i aniele, zburzeniu Jerozolimy i inne historie, które trudno było wam zrozumieć. Nie bójcie się, przyjaciele. Przyjdzie czas, że je pojmiecie, kiedy lepiej poznacie Chrystusa. Teraz Nabuchodonozor może poczekać. Kiedy Bóg zdecydował się zostać Jezusem, zrobił to, ponieważ chciał nieść swe słowa wśród obcych, wśród tych, którzy nigdy o Nim nie słyszeli, nie dbali o religię i jej nie rozumieli. Historie, które opowiadał, były proste. Spróbowałem umieścić najciekawsze w waszych Bibliach. – Otworzył broszurę. – Wasze książki są małe i cienkie. Nie wątpię w wasz rozum ani w to, że szczerze pragniecie Słowa, ale starałem się używać słów, które razem potrafimy wymówić w tym kościele, takich, których sami będziecie używać. Pracowałem w pośpiechu, ale byłem powolny. Widać to po rozmiarach książeczki. Obiecuję, że w przyszłości bardziej się postaram. Im lepiej poznacie Chrystusa, tym grubsze staną się wasze Biblie. Ale od czegoś musimy zacząć. W ten wspaniały niedzielny dzień stoję przed wami przepełniony radością, że jesteście tu ze mną. Zaczniemy od... tego.

I z pierwszej strony broszury odczytał Psalm 23, od „Pan dba o mnie, nie brak mi niczego...” aż do „i będę w domu Pańskim do końca”.

Potem zaczął od początku.

I jeszcze raz.

Za każdym razem, kiedy czytał, coraz więcej Oazjan przyłączało się do niego. Czytali czy powtarzali z pamięci? To było bez znaczenia. Ich wspólny głos brzmiał coraz mocniej, melodyjnie i czysto. Prawie nie słyszał niedoskonałości wymowy. „PoSwala mi być na polach. Prowadzi mnie dla ulgi nad wody. Karmi moją duSę. Prowadzi dobrą drogą, bo on Bóg”.



Za piątym razem jego głos zniknął w potężnym unisono.

## Bohater chwili, król dnia

Pewien mądry człowiek zapytał kiedyś Petera:

- Czy wiesz, kim jesteś?
- Kim jestem?
- Tak.

Na takie pytanie można było odpowiedzieć na wiele sposobów, w zależności od tego, kto je zadał. Kilka razy padło z ust wkurzonych oprychów, którzy sami sobie odpowiadali: „głupim gnojem” lub w jakiś podobnie obraźliwy sposób. A potem spuszczały mu łomot. Pytali go o to urzędnicy i przedstawiciele władzy, dla których był utrapieniem. Zadawali je czułym, a czasem pełnym podziwu tonem ludzie, którzy chcieli mu powiedzieć, że jest ich ukochanym skarbem lub opoką. Miło spełniać oczekiwania.

– Staram się nie zastanawiać nad sobą. Mam nadzieję, że jestem po prostu człowiekiem, który kocha Boga.

– Jesteś kimś, kto wie, jak postępować z ludźmi – powiedział z przekonaniem mądry człowiek. – Daleko zajdziesz.

Mądry człowiek był pastorem parafii, którą Peter miał wkrótce odziedziczyć. Był już stary i łączył w sobie dobrotliwą wyrozumiałość ze stoickim rozgoryczeniem – typowe dla zbyt długo sprawujących urząd pastorów. Dobrze rozumiał niechęć swoich parafian do poprawy i tolerował ich upierdliwość (oczywiście nie używał takiego określenia).

– Lubisz ludzi, to rzadkość – ciągnął stary pastor.

– Czy bycie towarzyskim nie jest istotą ludzkiej natury?

– Nie o tym mówię – powiedział starzec. – Nie wydaje mi się, żebyś był szczególnie towarzyski. Jesteś nawet trochę odludkiem. Chodzi mi o to, że żaden człowiek nie potrafi cię rozgniewać lub wzbudzić w tobie obrzydzenia. Traktujesz ich po ludzku. Niektórzy mają bzika na punkcie psów; to psiarze. Nieważne, jaki pies, duży czy mały, spokojny czy hałaśliwy, dobrze ułożony czy niesforny – wszystkie na swój sposób są urocze, ponieważ są psami, a psy są dobre. Pastor powinien mieć taki stosunek do ludzi. Ale wiesz co? Niewielu to potrafi. Tylko nieliczni. Daleko zajdziesz, Peter.

Czuł się dziwnie, kiedy usłyszał te słowa wypowiedziane z taką pewnością przez starego mędrca, którego niełatwo było zwieść. Peter nie zawsze miał poprawne stosunki z ludźmi. Czy o kimś, kto w swoich młodych latach zachowywał się tak okropnie jak on – kłamał, nie dotrzymywał obietnic, okradał naiwnych głupców, którzy mu zaufali – można powiedzieć, że kocha ludzi? A stary pastor dobrze znał jego przeszłość. Pomiedzy pasterzami nie było tajemnic.

Peter siedział po turecku, oślepiiony przez światło, na wpół przytomny. Tuż przed nim, w takiej samej pozycji, siedział mały chłopiec. To on sam, w wieku ośmiu lub dziewięciu lat. Był skautem, zuchem. Był dumny, że jest posiadaczem zielonej koszuli z przyszywanymi odznakami sprawności wiązania węzłów, stawiania namiotu i rozpalania ogniska. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy przestanie być zuchem i zostanie prawdziwym skautem, kiedy będzie mógł strzelać z łuku, chodzić na wycieczki w góry i ratować życie nieznanym, których porwała lawina lub zostali pokąsani przez węże. Jednak nigdy nie został skautem; sytuacja w domu się pogorszyła, przestał być zuchem, a jego mundurek wylądował w szafie. Leżał tam, starannie złożony, dopóki nie zjadły go mole. Ale kiedy Peter miał osiem lat, jeszcze o tym nie wiedział; siedział ze skrzyżowanymi nogami, w krótkich spodenkach i chustce na szyi i prawie lewitował z radości, że może tu być razem ze swoim zastępem.

Pot spłynął mu z brwi do oczu. Zamrugał i obraz ponownie nabrał ostrości. Dziecko siedzące naprzeciwko nie było nim. To nie było dziecko, lecz Miłośniczka Jezusa Siedemnasta, istota zupełnie do niego niepodobna. Tyle tylko, że też siedziała (ona lub on) po turecku i składała ręce do modlitwy. Miała ciemnozieloną szatę i buty w takim samym kolorze, gdzieś poplamione błotem. Kaptur oświetlany stojącym w zenicie słońcem rzucał głęboki cień, który spowijał jej twarz nieprzeniknionym mrokiem.

– O czym myślisz, Miłośniczko Jezusa Siedemnasta? – zapytał Peter.

Jak zwykle po takim pytaniu zapadła cisza. Oazjanie nie przywykli do myślenia o myśleniu, a może z trudem przychodziło im wyrażenie tego po angielsku.

– **BeS** ciebie – powiedziała Miłośniczka Jezusa Siedemnasta – my **S**łabi. Obok ciebie my mocni.

Było coś wzruszającego w tym, że za pomocą języka, strun głosowych czy czegokolwiek, co służyło jej do wydawania dźwięków, potrafiła bez problemu wypowiedzieć słowa „ciebie”, „my”, „obok” i „mocni”, a „słabi” i „bez” były dla niej takie trudne. Niewielki wzrost sprawiał, że wyglądała krucho i bezbrinnie, ale wszyscy wokół wywoływali podobne wrażenie. Cienkie ręce, wąskie barki, przybrudzone rękawiczki i buty. Jakby był pastorem plemienia dzieci lub skurczonych starców, plemienia, które straciło wszystkich dorosłych.

Oczywiście krzywdził ich takim porównaniem; powinien traktować ciała Oazjan jak normę, a swoje jak coś nietypowego. Spróbował spojrzeć na nich inaczej; kilkadziesiąt malutkich sylwetek urosło do pełnych ludzkich wymiarów, a on przemienił się w niezdarnego olbrzyma.

– **KSięga** – poprosił Miłośnik Jezusa Pierwszy. Siedział na swoim ulubionym miejscu, pośrodku zgromadzenia. – Daj **S**łowo **KSięgi**.

– **KSięga** – poparło go kilka głosów.

Peter skinął głową na znak zgody. Biblię miał zawsze pod ręką, w plecaku, zabezpieczoną przed wilgocią folią. Zawsze, kiedy ją wyjmował, Oazjanie witali ją dźwiękiem aprobaty. Nieczęsto po nią sięgał, bowiem znał Pismo

niemal na pamięć. Teraz też od razu przyszedł mu do głowy właściwy fragment: List świętego Pawła do Efezjan. Jego mózg działał w niezwykle sposób. Czasem Peter myślał, że ów narząd przypomina pokiereszowany, naznaczony nacięciami pomarszczony kalafior. Kiedy indziej był jak wielki magazyn, w którym zawsze mógł odnaleźć potrzebne mu wersety Pisma. Odpowiednie słowa były podkreślone, a skorowidz pozwalał dobrać właściwe fragmenty.

„A więc nie jesteście już obcymi i przychodniami – zacytował – ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga – zbudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie kamieniem węgielnym jest sam Chrystus Jezus. W Nim zespalana cała budowla rośnie na świętą w Panu świątynię, w Nim i wy także wznosicie się we wspólnym budowaniu, by stanowić mieszkanie Boga przez Ducha”<sup>18</sup>.

Szmer aprobaty – wręcz zachwyty – rozszedł się wśród jaskrawo ubranych postaci. Biblijne wersety działały na nich jak dobry alkohol, prawdziwy, niepodrobiony trunek króla Jakuba. Bez wątpienia Oazjanie byli wdzięczni za parafrazy, które przygotował im Peter. Broszurki nosiły ślady wilgoci i były już mocno sfatygowane; w ciągu długich upojnych dni, które spędził wśród tej trzódki, po wielokroć odczytywano i odśpiewywano słowa z książeczek. A jednak nie do końca spełniły swą funkcję. Oazjanie nazywali je „Pismem w dłoni”. Początkowo to określenie bardzo przypadło Peterowi do gustu, dopóki nie zrozumiał, że używali go, by podkreślić różnicę pomiędzy broszurkami a prawdziwą Księgą Dziwnych Nowych Rzeczy. Ręcznie wykonane książeczki traktowali jak trunek domowej roboty, zwykły bimber, podczas gdy wielka Biblia Króla Jakuba, ze złożonym grzbietem, zszyta maszynowo i oprawiona w imitację skóry, była uważana za ostateczną wyrocznie – Prawdziwe Źródło.

Spijając teraz wersety Listu do Efezjan, Oazjanie byli naprawdę zadowoleni. Zakapturzone głowy pochyliły się niżej, pogrążając ich twarze w jeszcze głębszym cieniu. Złożone dłonie poruszały się w rytm biblijnej prozy. Te delikatne gesty były odpowiednikiem okrzyków „Alleluja!”, jakie wydawali podczas nabożeństwa baptyści ze zborów amerykańskiego Południa.

Chociaż Peter uwielbiał Biblię Króla Jakuba, niepokoił go wpływ, jaki wywierała na jego wiernych. Była tylko jednym z wielu przekładów – inne tłumaczenia też były godne zaufania. Jezus, Piotr i starotestamentowi prorocy nie mówili językiem Anglików z czasów Jakuba. Czy Oazjanie to rozumieli? Wątpił. Co za szkoda, bo przecież każdy, dla kogo hebrajski z Kanaanu, grecka koine czy aramejski z Galilei nie były językami rodzimymi, był równie ułomny. Dopiero kiedy człowiek uświadomi sobie ten fakt, może odzyskać spokój i poczuć, że Pismo w jego własnej mowie jest równie dobre jak w jakiegokolwiek innej. Peterowi wydawało się, że wykrył w Oazjanach poczucie niższości, i to go martwiło. Nie chciał być jak jakiś staromodny kolonialny misjonarz, który ubrany w strój odpowiedni na safari udaje Mojżesza, oszukuje, że pochodzi z

tęgo samego rodu co Jezus, i twierdzi, że Bóg jest Anglikiem.

Chyba powinien delikatnie wyprowadzić Oazjan z błędu, z tego ślepego przywiązania do Księgi. Może warto porozmawiać z nimi i wyjaśnić, z ilu różnych języków przetłumaczono ten siedemnastowieczny tekst. Ale taki wykład mógł skomplikować sprawę, ponieważ Miłośnicy byli bardzo przywiązani do kluczowych fragmentów Pisma, jakich nauczył ich Kurtzberg, a ten bez wątpienia był wielkim zwolennikiem Biblii Króla Jakuba. Nic dziwnego, bo każdy chrześcijański kaznodzieja, który kocha język, musi też pokochać Biblię Króla Jakuba. Nic nie mogło się równać z kadencją jej zdań. Może więc najwłaściwszym sposobem postępowania będzie dać im stuprocentowego Jakuba, a na przekąskę coś w uproszczonym angielskim.

– Święty Paweł chce powiedzieć swoim nowym przyjaciołom – wyjaśniał Peter – że kiedy raz usłyszało się Słowo Boże, to nieważne jest, skąd pochodzisz i gdzie mieszkasz. Stajesz się częścią wspólnoty chrześcijańskiej, wspólnoty wszystkich chrześcijan, którzy kiedykolwiek żyli, także tych, którzy istnieli, gdy Jezus chodził po Ziemi. Potem Paweł przyrównuje nas do domu. Domu zbudowanego z wielu cegieł lub kamieni ułożonych razem, by powstała wielka budowla. My wszyscy jesteśmy kamieniami, z których Bóg wznosi swój gmach.

Dziesiątki głów poruszyło się na znak zgody.

– My jesteśmy kamienie.

– Wspólnie budujemy nasz kościół – powiedział Peter – i to jest piękne. – Jak aktorzy prowadzeni niewidzialną ręką reżysera, wszyscy Oazjanie jednocześnie odwrócili głowy i spojrzeli w kierunku kościoła. Traktowali ten budynek jak uświęconą ziemię. Wchodzili do niego jedynie podczas nabożeństw, chociaż Peter starał się ich przekonać, żeby traktowali go jak swój dom. – Ale to wy, wszyscy, którzy dziś siedzicie tu w promieniach słońca, jesteście prawdziwym kościołem, który wznosi Bóg.

Miłośniczka Jezusa Piąta, jak zwykle siedząca w pierwszym rzędzie, pochyliła się i zaprotestowała:

– Ko**L**ół **po** ko**L**ół – stwierdziła. – My **po** my. Bóg **po** Bóg.

– Kiedy przepelnia nas Duch Święty – przekonywał Peter – możemy stać się czymś więcej niż tylko sobą. Stajemy się narzędziem w ręku Boga.

Miłośniczka Jezusa Piąta nie wydawała się przekonana.

– Bóg nie umiera – powiedziała. – My umieramy.

– Nasze ciała umierają – powiedział Peter. – Nasze dusze żyją wiecznie.

Miłośniczka Jezusa Piąta wyciągnęła palec i wskazała na jego pierś.

– **s**woje ciało nie um**s**e.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Peter. – To tylko ciało i krew, jak u każdego.

Teraz wyjątkowo silnie odczuwał swoją cielesność. Od słońca rozboleła go głowa, od siedzenia na ziemi zdrętwiały mu pośladki i chciało mu się sikać. Po chwili wahania zdecydował się opróżnić pęcherz i oddał mocz na ziemię. Tak się tu robiło, nie było sensu się tym przejmować.

Miłośniczka Jezusa Piąta umilkła. Peter nie wiedział, czy zdołał ją przekonać i uspokoić. A może ją obraził? O co jej w ogóle chodziło? Czy Kurtzberg był jednym z tych luterzańskich fundamentalistów, którzy wierzyli, że zmarli chrześcijanie zostaną pewnego dnia wskrzeszeni w starych ciałach? Zostaną cudownie zregenerowani, rozkład cofnie się bez śladu, nie będą odczuwać bólu, głodu ani przyjemności. Tylko jak trwać w takich ciałach przez resztę wieczności? Peter nie zaprzętał sobie głowy taką doktryną. Śmierć to śmierć, gnienie to gnienie, tylko duch przetrwa.

– Powiedzcie mi – zwrócił się do zgromadzenia – czy słyszeliście o życiu po śmierci?

Miłośnik Jezusa Pierwszy, jako samozwańczy strażnik oazjańskiej tradycji, wyjaśnił:

– **Lisp** do Koryn**pian**.

Upłynęło kilka sekund, nim Peter pojął te słowa, tak mu bliskie, a tak nieoczekiwane tu i teraz.

– List do Koryntian, oczywiście – powiedział.

Zapadła chwila milczenia.

– **Lisp** do Koryn**pian** – powtórzył Miłośnik Jezusa Pierwszy. – Daj **słowo** **Księgi**.

Peter sięgnął do zakamarków pamięci i odnalazł Pierwszy List do Koryntian, rozdział piętnasty, wers pięćdziesiąty czwarty. To nie był ustęp, który często cytował w kazaniach, i nie pamiętał go dokładnie. „Zniszczalne, niezniszczalność”... Następny wers przypominał sobie lepiej. Był jak bryłka szczerego złota i znali go wszyscy, nawet jeśli przypisywali autorstwo tych słów Szekspirowi. Pomyślał jednak, że Miłośnicy Jezusa nie zadowolą się jedną linijką.

Podniósł się, stękając z wysiłku. Szmer oczekiwania przeszedł przez tłum, kiedy Peter podszedł do plecaka i wyciągnął z niego owiniętą w plastik Księgę. Wytłoczone złote litery zaśniły w słońcu. Nie usiadł, chciał rozprostować kości i dać wytchnienie zmęczonemu ciału. Odnalazł odpowiednią stronicę.

„A kiedy już to, co zniszczalne, przyodzieje się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodzieje się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzie jest, o śmierci, twój oścień?”<sup>19</sup>

Czytając głośno te słowa, Peter zrozumiał, dlaczego nigdy nie przytaczał ich w kazaniach. Mówiły o ważnych sprawach, ale odstręczała go ich pompatyczna retoryka. To kwestia dla aktora, specjalisty od ról dramatycznych, a on nigdy nie uważał się za takiego mówcę. Jego styl to skromność i szczerść.

– Paweł mówi nam – wyjaśnił – że kiedy oddajemy nasze dusze Chrystusowi, część nas umiera i ulega rozkładowi. To ciało. Ale zawiera ono coś, co nie umiera i nie ulega rozkładowi, czyli nieśmiertelną duszę. Więc nie bójmy się

śmierci.

– Nie bójmy – powtórzyło kilku Oazjan.

Jego drugi pobyt w miejscu nazywanym przez pracowników USIC Miastem Dziwolągów był równie oszałamiający i ekscytujący jak pierwszy. Tak jak Peter się spodziewał, zdołał lepiej poznać Oazjan, ale zauważył też zmiany w sobie, zmiany, których nie potrafił nazwać, ale czuł, że są ważne i głębokie. Kiedy tutejsze powietrze w charakterystyczny sposób wślizgiwało się pod ubranie, coś nieznanego przenikało w głąb jego głowy i wsiąkało w umysł. Nie było w tym nic złowrogiego, przeciwnie, wywierało na niego zbawienny wpływ.

Zdarzały się też sytuacje mniej przyjemne. W połowie pobytu przeszedł dziwną fazę, którą później nazwał atakiem płaczu. Zaczęła się w trakcie jednej z długich nocy, kiedy zbudził się ze łzami w oczach. Nie pamiętał, co mu się śniło, i nie wiedział, dlaczego tak płacze. Przez kilka godzin nie mógł opanować szlochu. Przepęłniał go żal, ból pulsował mu w żyłach, jakby ktoś aplikował kolejne jego dawki w precyzyjnie odmierzonych interwałach. Płakał na wspomnienie najbliższych spraw, o których zdążył już dawno zapomnieć, na myśl o rzeczach, których dotychczas nawet nie był sobie w stanie wyobrazić.

Płakał nad kijankami, które trzymał w słoiku, kiedy był małym chłopcem. Mogły wyrosnąć z nich żaby, gdyby zostawił je w stawie, zamiast patrzeć, jak zmieniają się w lepki szlam. Płakał nad kotką Cleo, która zeszywniała ze strachu na podłodze w kuchni, bo futerko na jej pyszczku przykleiło się do wyschniętego sosu w misce. Płakał nad kieszonkowym na lunch, które zgubił w drodze do szkoły, za skradzionym rowerem (pamiętał dokładnie dotyk gumowych uchwytów na kierownicy), nad tyranizowaną koleżanką z klasy, która zabiła się, kiedy prześladowcy wylali jej keczup na włosy. Płakał nad jaskółką, która rozbiła się o szybę w oknie jego sypialni i leżała martwa na betonowym chodniku pod domem, nad zapakowanymi w folię czasopismami prenumerowanymi przez ojca, które przychodziły co miesiąc jeszcze przez długi czas po tym, jak ich zostawił. Płakał nad kioskiem z gazetami pana Alego i sklepem monopolowym, które zbankrutowały, nad nieszczęśliwymi demonstrantami antywojennymi moknącymi w ulewnym deszczu, ich smutnymi dziećmi i mokrymi transparentami.

Płakał nad kołdrami ozdobionymi pacyfkami, które jego matka szyła i wystawiała na charytatywnych aukcjach. Nawet jej znajomi kwakrzy litowali się nad nią i podbijali odrobinę ich cenę. Nie były wiele warte, bo te jaskrawe, pozszywane z różnych kawałków kapy nie pasowały do żadnego wnętrza urządzonego przez cywilizowanego człowieka. Płakał nad kapami, których nie udało się sprzedać, i nad tymi, które znalazły nowy dom, nad słowami matki, która objaśniała mu z nostalgią, że te jaskrawe kolory symbolizują narodowe barwy – białe i niebieski Izrael lub Argentynę, czerwone kropki Japonię, a

zielone, żółte i czerwone pasy z gwiazdami pośrodku Etiopię, Senegal, Ghanę lub Kamerun. Wszystko zależało od tego, jak położyło się je na łóżku.

Płakał nad swoim zjedzonym przez mole mundurkiem zucha. Nad tym bezużytecznym ubrankiem użalał się wyjątkowo boleśnie. Każda nitka, każda mała dziurka powodowała skurcz w piersiach i wywoływała potoki łez. Płakał, bo nie wiedział, że po ostatniej zbiórce nie będzie już następnej. Ktoś powinien go o tym uprzedzić.

Płakał nad tym, co przydarzyło się Bei. Na fotografii, którą zrobiono jej, kiedy miała sześć lat, widać było ślady na policzkach i buzi – skutek knebrowania taśmą samoprzylepną. Jak ktoś mógł zrobić dziecku coś podobnego? Płakał nad nią, bo musiała odrabiać lekcje w toalecie, podczas gdy kuchnia pełna była obcych ludzi, a jej nie wolno było wchodzić do sypialni. Płakał też nad innymi zdarzeniami z dzieciństwa Bei. Jakby różne roczniki smutku złożono w chronologicznym porządku w odpowiednich przegródkach pamięci, a kanaliki łzowe były końcówkami przewodów, które – nie stykając się z żadnymi bieżącymi wydarzeniami – prowadziły do odległej przeszłości. Bea, nad którą szlochał, była duchem wywołanym z anegdot i pliku starych fotografii, przechowywanych przez nią samą. To nie umniejszało żalu.

Pod koniec zapłakał nad kolekcją monet podarowanych mu przez ojca. Był to kupiony w sklepie, ale całkiem porządny i ładnie zapakowany zestaw dla początkujących zbieraczy. Zawierał francuskiego franka, włoskiego lira, monetę o nominale dziesięciu drachm, niemieckie pięćdziesiąt fenigów z wizerunkiem kobiety sadzącej drzewo i inne pospolite skarby, które niedoświadczonemu chłopcu wydawały się relikdami zamierzchłej epoki, prehistorycznej krainy numizmatyków. Szczęśliwe dni niewinności, które wkrótce dobiegły końca, kiedy kolega ze szkoły wysyczał mu zdradziecko do ucha, że jego mała kolekcja nie jest nic warta, i przekonał go, by wymienił ją w całości na jedną monetę, która – jak się zarzekał – została wybita w roku trzysta trzydziestym trzecim. Była zniekształcona i pokryta rdzą, ale z wygrawerowanym wojownikiem w hełmie i Peter nie mógł się oprzeć jej urokowi. Ojciec był wściekły, kiedy się o tym dowiedział. Bez końca powtarzał słowa „gdyby była prawdziwa” sarkastycznym, powątpiewającym tonem. Zrobił mu wykład, jak pospolite są miedziaki z epoki Konstantyna, jak bardzo ten okaz jest zniszczony i jak wielu oszustów można spotkać w tym cholernym światku kolekcjonerów. Peter protestował gorąco. „Nie było cię tam!”, wołał, mając na myśli nie tylko okres panowania Konstantyna, lecz także moment, kiedy mały, podatny na wpływy chłopiec został pokonany przez większego i sprytniejszego. Przez lata te trujące słowa „gdyby była prawdziwa” tkwiły w nim jak ropiejąca rana. Stanowiły dowód, jak zimny i nieczuły był jego ojciec. Kiedy Peter dorósł, zrozumiał, że tę sprzeczkę zakończył zwykły wybuch gniewu; ojciec po prostu poczuł się dotknięty. Niestety, w tym czasie, kiedy Peter to sobie uświadomił, staruszek spoczywał już w grobie.

Płakał nad tym wszystkim i nad wieloma innymi sprawami. Potem poczuł się



lepiej, był oczyszczony. Zaczerwienione oczy w innym klimacie wymagałyby kropli, ale tutaj ulgę przyniosło oleiste, wilgotne powietrze. Głowa, która pod koniec ataku płaczu zaczęła go pobolewać, zrobiła się lekka, wszelkie objawy bólu zniknęły.

– **Bardso** długa piosenka – powiedziała Miłośniczka Jezusa Piąta. Siedziała oparta o kazalnicę. Nie zauważył, kiedy przyszła. Nie pierwszy raz zjawiała się w kościele, kiedy jej pobratymcy spali.

– Dlaczego nie jesteś w łóżku? – zapytał, unosząc się na łokciu. Ledwie ją widział, kościół oświetlony był jedynie kilkoma oliwnymi płomykami unoszącymi się w glinianych miskach, miniaturowych odpowiednikach dużych koksowników.

– Nie **spać** – powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko. Może i tak było.

Powtórzył w myślach jej słowa. „Bardzo długa piosenka”. Najwyraźniej ten płacz skojarzył się jej ze śpiewem. Nie potrafiła odczytać cierpienia w jego głosie, jakby słyszała tylko jękliwą muzykę rogów i rytm szlochów. Może miała ochotę przyłączyć się do niego, ale nie potrafiła rozróżnić słów.

– Wspominałem różne rzeczy, które działy się dawno temu – wyjaśnił.

– Dawno **pemu** – powtórzyła. A potem dodała: – Dawno **pemu** Pan mówił do **Israela**: miłuję was.

Cytat z Jeremiasza zdziwił Petera. Nie dlatego, że potrafiła go zapamiętać, ale ponieważ pochodził z innego przekładu niż Biblia Króla Jakuba, jeśli się nie mylił – z nowoczesnego Słowa Życia. Czy Kurtzberg korzystał z różnych Biblii? W starej wersji zamiast „dawno temu” używano „w tamtych czasach”, podczas gdy bliższe oryginałowi hebrajskiemu było określenie „czasu onego”<sup>20</sup>.

Dawno temu i w tamtych czasach... może to nie miało znaczenia. Odgonił pokusę mglistych akademickich rozważań. Chciał zapytać Miłośniczkę Jezusa Piątą, dlaczego zacytowała właśnie ten fragment i co on dla niej znaczy. Ale głowa Miłośniczki Piątej opadła na pierś. Jakakolwiek była przyczyna jej bezsenności w jej własnym łóżku, sen dopadł ją tu, obok niego.

Podczas drugiego pobytu wśród Oazjan Peter był świadkiem śmierci. Śmierci Oazjanina.

Nadal nie wiedział, ile dokładnie wynosiła liczba mieszkańców osady, ale szacował ją na kilka tysięcy; Miłośnicy Jezusa z pewnością stanowili zdecydowaną mniejszość. Jak w każdym dużym mieście narodziny i śmierć musiały też towarzyszyć życiu toczącemu się wśród tych bursztynowych murów, ale do tej pory Peter nie był świadkiem żadnego z takich wydarzeń. Aż pewnego dnia Miłośnik Jezusa Pierwszy przyszedł do niego i oznajmił, że zmarła jego matka.

– Moja **mapka** nie **syje**.

– Tak mi przykro – powiedział Peter, odruchowo go obejmując.

Od razu zrozumiał, że postąpił źle, jakby objął kobietę, która absolutnie nie

życzy sobie, by ktoś poza jej mężem jej dotykał. Miłośnik Pierwszy wzdrygnął się i zeszywniał. Odwrócił głowę, by nie dotknąć twarzą piersi Petera, który zażenowany opuścił ramiona i cofnął się o krok.

– Twoja matka! – wykrzyknął. – Co za straszna strata.

Miłośnik Pierwszy zastanowił się chwilę nad tą uwagą.

– **Mapka** mnie **s**robiła – odezwał się wreszcie. – Bez **mapki** mnie nie ma.

Dla **p**ego **mapka** wielki **ć**łowiek.

– Kobieta.

– **p**ak, **kobiepa**.

Minęło kilka chwil.

– Kiedy umarła? – zapytał Peter.

Znów pauza. Oazjanie z trudem odnajdowali w przegródkach pamięci słowa, które dotyczyły pojęcia czasu.

– **s**anim **py pu**.

– Zanim przybyłem na Oazę?

– **s**anim **py pu s** **P**ismo w dłoni.

To znaczy nie dawniej niż przed kilkoma dniami, może nawet wczoraj.

– Czy ona... Czy był pogrzeb?

– Po...?

– Czy włożyliście ją do ziemi?

– Niedługo – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. Wykonał ręką uspokajający gest, jakby składał uroczystą obietnicę, że obrządek odbędzie się najszybciej, jak to możliwe. – Po **s**biorach.

– Po czym?

Miłośnik Pierwszy szukał odpowiedniego słowa.

– **s**niwa.

Peter skinął głową, chociaż nie do końca rozumiał. Domyślał się, że **s**niwa musiały dotyczyć jakiejś uprawnej rośliny i zajmowały tyle czasu i pracy, że wspólnota nie mogła teraz urządzić pogrzebu. Starsza pani musiała poczekać. Wyobraził sobie, jak leży w puszystej pościeli jak w kokonie.

Okazało się, że nie musi zgadywać ani wysilać wyobraźni. Miłośnik Pierwszy spokojnym głosem, jakim mógłby zachęcać kogoś, by rzucił okiem na godny uwagi pomnik lub drzewo (gdyby były tu jakieś pomniki lub drzewa), zaprosił go, żeby obejrzał zwłoki jego matki.

Peter nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Słowa „dobry pomysł”, „dziękuję”, „z chęcią” wydawały mu się niestosowne, więc w milczeniu włożył swoje żółte buty. Piękny ranek, który spędził w ocienionym wnętrzu kościoła, sprawił, że zaskoczyło go oślepiające słońce.

Szli razem przez step w kierunku osiedla; jedno stąpienie Petera równało się trzem lub czterem krokom Miłośnika Pierwszego. Nauczył się już wiele podczas tej wizyty, między innymi, jak chodzić powoli. Trzeba było oprzeć się odruchowi i iść statecznym krokiem, żeby nie wyprzedzać o wiele niższej osoby, a jednocześnie zachować powagę ruchów, by nie sprawiać wrażenia niezdary.

Wpadł na pewien sposób: wyobrażał sobie, że brodzi w wodzie sięgającej do pasa, obserwowany przez sędziego, który przyznaje punkty za grację i wdzięk.

Idąc obok siebie, dotarli do domu Miłośnika Pierwszego. Wyglądał identycznie jak pozostałe, nie udekorowano go flagami, znakami czy klepsydrami oznajmiającymi śmierć mieszkańca. Peter dostrzegł w pobliżu kilku przechodniów, nie więcej niż zwykle. Wyglądało na to, że byli zajęci swoimi sprawami. Miłośnik Pierwszy poprowadził go na podwórko na tyłach budynku. Na tych niewielkich skrawkach ziemi zwykle prano i rozwieszano pościel, a dzieci bawiły się **BLDL**, oazjańskim odpowiednikiem francuskich bul, miękkich ciemnych kul zrobionych ze zgniecionej mchu.

Dziś nie było dzieci ani **BLDL**, a sznur na białinę przeciągnięty pomiędzy dwoma domami był pusty. Podwórko należało do matki Miłośnika Jezusa Pierwszego.

Peter patrzył na niewielkie odkryte ciało leżące na gołej ziemi. Nie miało na sobie szaty. Już to uniemożliwiało stwierdzenie, czy znał tę osobę, czy nie, bo ku swemu zawstydzeniu nadal rozróżniał Oazjan jedynie po kolorze tkaniny. Nawet gdyby zdołał zapamiętać jakieś charakterystyczne cechy jej fizjonomii – różnice w fakturze skóry lub kształcie wypukłości – nie zdałoby się to na nic, bowiem ciało pokrywała falująca warstwa lśniących owadów.

Spojrzał na stojącego obok Miłośnika Jezusa Pierwszego, by sprawdzić, jakie wrażenie wywiera na nim ten koszmarowy widok. Może kiedy wyszedł rano, na ciele nie było insektów; mogły skorzystać z tego, że zwłoki zostawiono bez opieki. Nawet jeśli tak było, Miłośnik Pierwszy nie wydawał się poruszony rojem owadów. Patrzył na nie spokojnie, jakby przyglądał się kwiatom na krzewie. Co prawda były równie piękne jak kwiaty. Wydawały melodyjne brzęczące dźwięki, miały opalizujące skrzydła i jasnioletowe błyszczące pancerze z domieszką żółtej barwy. Pokrywały prawie każdy fragment ciała i zwłoki wyglądały jak poruszana skurczami, oddychająca kukła.

– Twoja matka... – zaczął Peter, ale zabrakło mu słów.

– Mojej mapki nie ma – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy. – **pylko** ciało **jesp**.

Peter przytaknął, usiłując ukryć przyprawiające o mdłości emocje, które wzbudziła w nim chmara owadów. Filozoficzne podejście Miłośnika Pierwszego do tej sytuacji było całkowicie racjonalne. Gdyby rozpaczał, wtedy być może Peter zdołałby spojrzeć na to beznamiętnie, ale to, że Miłośnik Pierwszy w ogóle nie wydawał się poruszony, wytrąciło Petera z równowagi. Łatwo było wygłosić mowę pogrzebową do gromady w nic niewierzających pracowników USIC i sprawić, by spojrzeli na ciało jak na wehikuł służący do transportowania nieśmiertelnej duszy. Trudniej stać obok kogoś, kto jest o tym tak głęboko przekonany, że potrafi beznamiętnie patrzeć, jak ciało jego matki obsiadły owady. Coś przykuło uwagę Petera – falujący rój odsłonił na chwilę palce na stopie kobiety. Osiem bardzo małych, wąskich palców. Oazjanie mieli po pięć palców u rąk, więc Peter myślał, że ich stopy też przypominają ludzkie

kończyny. Ten błąd uświadomił mu, jak słabo poznał ten lud.

– Przepraszam, że tego nie pamiętam, Miłośniku Pierwszy, ale czy spotkałem kiedyś twoją matkę?

– Nigdy – odpowiedział Miłośnik Pierwszy. – Ko**L**ó**l** **s**a daleko.

Peter nie wiedział, czy w tych słowach kryła się ironia. Czy chodziło mu o to, że nigdy nie potrafiła znaleźć w sobie dość chęci, by przyjść do kościoła, czy też była na to za słaba i chora? Pewnie to drugie.

– Moja ma**p**ka na poca**p**ku drogi Je**s**usa – wyjaśnił Miłośnik Pierwszy. Przesunął dłonią w powietrzu, obrazując powolny, mozolny proces. – Co **s**ie**ń** nie**s**iemy **s**łowa **s** ko**L**ó**l** do ma**p**ki. Co **s**ie**ń** dajemy jak je**s**enie. Co **s**ie**ń** ona bli**s**ej Pana. – Zwrócił twarz w stronę kościoła, jakby obserwował matkę idącą w jego kierunku.

W następnych dniach Peter dowiedział się, co oznaczają „żniwa”. Przekonał się też, że Miłośnik Jezusa Pierwszy, zapraszając go, by obejrzał zwłoki, nie kierował się emocjami. Chciał, żeby Peter się czegoś nauczył.

Pojawienie się roju owadów, które obsiadły zwłoki, było dopiero pierwszym etapem pracochłonnego procesu. Ciało zostało uprzednio nasączone toksyną, która zatrąła insekty; kiedy skończyły składać jaja, były już oszołomione i nie mogły odlecieć. Oazjanie pozbierali je i rozczłonkowali z wielką starannością. Z wysuszonych i zmielonych odnóży i skrzydeł otrzymywano silną przyprawę: jedną szczyptą można było nadać odpowiedni smak całej beczce jedzenia. Z odwłoków uzyskiwano gęsty nektar, który zmieszany z wodą i białymi kwiatami dawał miód. Wykorzystywano go też do produkcji jaskrawożółtego barwnika. Podczas gdy Oazjanie zajmowali się przetwarzaniem owadów na pożyteczne składniki, ze złożonych jaj zaczynały się wykluwać larwy. Peter zjawiał się co jakiś czas i obserwował, co się dzieje.

Jak większość ludzi, których znał – nie licząc pewnego zbzikowanego nauczyciela biologii – miał niewielkie pojęcie o larwach. Możliwe, że taka wiedza pomogłaby mu pogodzić się z naturalnymi procesami umierania i rozkładu, ale widok wygłodniałych małych robaków wzbudzał w nim obrzydzenie. Jednak larwy na ciele matki Miłośnika Pierwszego nie przypominały niczego, co widział do tej pory. Nie wiły się gwałtownie, były grube, białe jak ryż i miały wielkość pestek pomarańczy. Tysiące gęsto stłoczonych, połyskujących perłowo larw nie wyglądały obrzydliwie – jeśli wpatrywało się w nie wystarczająco długo, zaczynały przypominać białe maliny wysypane z rogu obfitości.

Także i one stanowiły plon Oazjan.

Ciało matki Miłośnika Jezusa Pierwszego oddało wszystko, co miało cennego. Leżało wyjałowione na ziemi, w cieniu falujących na wietrze ubrań rozwieszonych na sznurze. Była jedyną Oazjanką, jaką Peter ujrzał nagą, więc

nie potrafił stwierdzić, czy to, co widzi, jest skutkiem rozkładu. Co znalazłby pod ubraniem żywej, zdrowej mieszkanki Oazy? Ciało zmarłej przybrało kolor szarej gliny; nosiło ślady licznych ubytków i było upstrzone śladami, jakby bliznami po ospie. Nie cuchnęło, ale wydzielało charakterystyczny zapach fermentacji. Nie miało piersi ani niczego, co wskazywałoby na płeć. W głowie Petera tkwiły obrazy, jakie widywał na zdjęciach ofiar głodu i więźniów obozów koncentracyjnych – pozbawione ciała szkielety obciążone skórą niczym pokrowce na kości. To, na co patrzył tutaj, zupełnie tego nie przypominało. Matka Miłośnika Pierwszego nie miała żeber ani innych kości, jej ciało zbudowane było z samych miękkich tkanek, które teraz zmieniały konsystencję i stawały się płynne. Dziury w ramionach i nogach wydrążone przez owady ukazywały prążkowaną czarną substancję przypominającą żel uzyskiwany z korzenia lukrecji.

Potwór. To określenie przyszło Peterowi do głowy, kiedy usiłował opanować drżenie. Ale potem przywołał łacińskie słowo *creatura*. Stworzenie.

– **peras** ona do **siemi** – powiedział Miłośnik Pierwszy trzeciego dnia. W tym stwierdzeniu nie było nic uroczystego, nic, co można by skojarzyć z żałobną ceremonią. Z jego głosu trudno było też wyczytać, co rozumiał przez „teraz”. Peter nie słyszał, żeby wykopano grób, a wśród Oazjan nie zauważył żadnych przygotowań do pogrzebu.

– Czy chcesz, żebym... coś powiedział? – zapytał. – Na pogrzebie?

– Pog**sebie**?

– To uroczystość dla naszych... – zaczął i przerwał. Szukał właściwych słów. – Kiedy chrześcijanie... – znów się zawahał. – Tam, skąd pochodzę, kiedy ktoś umiera i jest chowany do ziemi, wygłaszamy mowę. Zanim ciało spocznie w grobie, staramy się przypomnieć rodzinie i przyjaciołom, jakim wyjątkowym człowiekiem był zmarły.

Miłośnik Pierwszy skinął głową.

– Nie **snas** mojej **mapki** – zauważył wyjątkowo trafnie.

– To prawda – zgodził się Peter. – Ale mógłbyś mi coś o niej opowiedzieć, a ja na podstawie tych wiadomości ułożyłbym... mowę. – Natychmiast uświadomił sobie, jak idiotycznie to brzmi.

– **słowa** nie **smienia** mojej **mapki** – powiedział Miłośnik Pierwszy.

– Słowa mogą przynieść pociechę przyjaciołom i rodzinie. Chcesz, żebym przeczytał coś z Księgi?

Miłośnik Jezusa Pierwszy uniósł ręce na znak, że to nie będzie konieczne.

– Kur**ps**berg dał nam **słowa** K**sięgi**.

Po czym wyrecytował je, jakby chciał sprawdzić, czy Peter je zaaprobuje.

Niezrozumiałe, sepleniące tony sypały się jak krople deszczu. Upłynęło kilka dobrych chwil, nim Peter zdołał odcyfrować niedorzeczne dźwięki i poskładać je w biblijną prozę. Tym bardziej że nie pochodziły z Biblii, tylko ze starego zbioru modlitw.

– A **swiাপлоL** wiekuis**pa** niechaj jej **swieci**.

Kilkadziesiąt następnych godzin Peter spędził w strachu, że jakaś szczodroblowa istota przyniesie mu w podarunku potrawkę z larw. Oazjanie ciągle dostarczali mu przysmaki i mogli pomyśleć, że ma już dość białych kwiatów. „Ojczy Peter, mamy dla ciebie deser niespodziankę!”

Zdawał sobie sprawę, że ten wstręt jest irracjonalny, bo takie jedzenie z pewnością było smaczne i zdrowe. Wiedział, że każdy kraj ma swoje kulinarne specjały, które wywołują odrazę przeczulonych obcokrajowców. Japończycy rybnie gałki oczne, nasienie dorsza i żywe ośmiornice, mieszkańcy Afryki kozie głowy, Chińczycy zupę z ptasich gniazd, w rzeczywistości z jaskółczej śliny i tak dalej. Gdyby był pastorem w jednym z tych krajów, na pewno kiedyś musiałyby skosztować takich przysmaków. Przecież nawet Włosi mieli zgniły ser z larwami much, casu marzu. (To niesamowite, że zdołał zapamiętać tę nazwę, którą poznał lata temu, przeglądając jakieś czasopismo, a wczoraj nie mógł sobie przypomnieć, na jakiej ulicy mieszkali z Beą).

Oczywiście nigdy nie musiał próbować tych zagranicznych frykasów. Wszystkie parafie, w których dotychczas pracował, znajdowały się w Anglii. Najbardziej egzotyczną potrawę zjadł na zjeździe poświęconym pomocy charytatywnej w Bradford. Był to kawior, a problem stanowiły nie rybnie jajeczka, tylko fundusze. Organizatorzy wydali pieniądze na przyjęcie, zamiast przeznaczyć je dla potrzebujących.

W każdym razie nie chodziło tylko o larwy. Prześladował go upiorny, budzący sprzeczne emocje obraz matki Miłośnika Jezusa Pierwszego zjadanej przez robaki. Nie mieściło mu się w głowie, jak jej syn mógł spożywać potrawy wyprodukowane w taki sposób.

Odpowiedź na to pytanie, tak jak na wiele innych, przygotował sam Bóg; jak zwykle była pouczająca i konkretna. Pewnego wieczoru w kościele zjawił się Miłośnik Jezusa Pierwszy z koszykiem pełnym jedzenia. Rozpakował go bez słowa, kiedy usiedli razem na łóżku stojącym za amboną. Wiktuały pachniały apetycznie i były jeszcze ciepłe. Zupa z białych kwiatów o smaku grzybowym i kilka kawałków chleba prosto z pieca, też z białych kwiatów, z brązową chrupiącą skórką i jasnym mięszem.

– Cieszę się, że to białe kwiaty – powiedział Peter. Postanowił być zupełnie szczery. – Bałem się, że przyniesiesz mi coś zrobionego z... ze stworzeń, które zebraliście z ciała twojej matki. Chyba nie mógłbym tego zjeść.

Miłośnik Pierwszy skinął głową.

– I ja. Inni **pak**. Ja nie.

Peter nie był pewien, czy dobrze zrozumiał jego słowa. Może Miłośnik Pierwszy informował go o regułach związanych z tym zwyczajem? A może szczerze wyznał, co myśli, otworzył się przed nim? Powiedz mi więcej, pomyślał, ale wiedział z doświadczenia, że milczenie w kontaktach z Oazjanami nie przynosiło rezultatu.

– To bardzo dobry i... wspaniały sposób postępowania – powiedział. – To... co robicie ze zmarłymi. – Nie bardzo wiedział, co ma mówić dalej. Chciał

powiedzieć, że bez względu na to, jak ich podziwia, nie potrafi pozbyć się wstrętu. Gdyby udało mu się ubrać to w słowa, byłby to wspaniały wykład na temat różnic dzielących ich rasy.

Miłośnik Pierwszy znów skinął głową.

– Robimy **po**, by je**L**. Na**s** du**so**.

Miskę z zupą trzymał opartą o brzuch. Jeszcze nie zaczął jeść.

– Dużo myślałem o twojej matce – wyznał Peter. – Nie znałem jej i nie chcę powiedzieć... – Zaczerpnął tchu. – Kiedy zobaczyłem, jak obsiadły ją owady, a potem larwy, a wszyscy... – Spuścił wzrok na buty Miłośnika Pierwszego, chociaż nie było obawy, że spotka się z jego spojrzeniem. – Nie jestem do tego przyzwyczajony. Przeżyłem wstrząs.

Miłośnik Pierwszy siedział nieporuszony. W jednej ręce trzymał miskę, w drugiej kawałek chleba.

– Ja **pes** – powiedział.

– Myślałem... myślałem, że... wy wszyscy... boicie się śmierci – ciągnął Peter – a jednak...

– Boimy – potwierdził Miłośnik Pierwszy. – Lęk nie **sachowa sycia**, kiedy **sycia** nie ma. Nic nie **sachowa**. **pylko** Pan Bóg.

Peter wpatrywał się w nieodgadzioną twarz swojego przyjaciela.

– Bywają takie chwile w ludzkim życiu, kiedy ból po stracie ukochanej osoby jest silniejszy niż wiara.

Miłośnik Pierwszy długo zwlekał z odpowiedzią. Zjadł kilka łyżek zupy. Wystygła już i zrobiła się gęsta i lepka. Przełknął kilka kęsów chleba. Odrywał małe kawałeczki i wkładał je ostrożnie do bezzębnego otworu w głowie.

– Moja ma**p**ka wa**s**na o**s**oba – odezwał się wreszcie. – Dla mnie.

Bóg zadbał, by drugi pobyt Petera wśród Oazjan był urozmaicony. Wkrótce po doświadczeniu ze śmiercią pastor stał się świadkiem narodzin. Kobieta zwana **KcAw** – nie była Miłośniczką Jezusa – miała urodzić dziecko i Peter został zaproszony na poród. Miłośnik Jezusa Pierwszy dał mu do zrozumienia, że to wielki zaszczyt. Na pewno była to niespodzianka, ponieważ niewierzący mieszkańcy osady nigdy oficjalnie nie zaakceptowali jego obecności. Ale było to tak radosne wydarzenie, że zjednoczyło całą społeczność i wszyscy byli skłonni okazać mu gościnność.

Kontrast pomiędzy narodzinami a śmiercią był uderzający. Matkę oplakiwał tylko syn. Jej ciało zostało porzucone na podwórku bez opieki, pozostawione na pastwę owadów, potraktowane tak, jakby było nawozem. Tymczasem kobieta, która miała urodzić, znalazła się w centrum powszechnego zainteresowania. Ulice prowadzące do jej domu były zatłoczone, jakby wszyscy mieszkańcy zamierzali ją odwiedzić. Kiedy Peter po raz pierwszy zobaczył ten budynek, wydawało mu się, że wybuchł tam pożar. Na szczęście okazało się, że to tylko dym z kadzideł buchający z okien.

Przyszła matka nie leżała w łóżku obstawiona aparaturą medyczną, nie cierpiała katuszy pod nadzorem położnej. Chodziła po domu swobodnie i rozmawiała ze wszystkimi. Była ubrana w śnieżnobiałą odmianę tradycyjnej oazjańskiej szaty – nieco luźniejszą i cieńszą, przypominającą trochę koszulę nocną. Brylowała w towarzystwie, przyjmując gratulacje po kolei od każdego z gości. Peter nie wiedział, czy była szczęśliwa, czy zdenerwowana, ale na pewno nie czuła bólu. Jej szczupłe, drobne ciało nie zdradzało oznak ciąży. Poruszała się z wdziękiem, przestrzegając swoistej etykiety, jakby płażała w średniowiecznym tańcu z wieloma partnerami. To był wielki dzień dla **KcAw**.

Peter wiedział, że Oazjanie nie fetują zaślubin. Łączyli się w pary dyskretnie, nieomal niejawnie, i rzadko o tym wspominali. Ale dzień narodzin dziecka był publicznym wydarzeniem w życiu kobiety, rytualnym obrzędkiem, tak samo wystawnym jak przyjęcie weselne na Ziemi. Dom **KcAw** pękał w szwach wypełniony dziesiątkami zaaferowanych, ubranych w jaskrawe, kolorowe szaty mieszkańców osady. „Zestaw różnokolorowych kredek w pudełku”, pomyślał Peter, usiłując rozróżnić odcienie poszczególnych strojów. Cynobrowy, koralowy, morelowy, miedziany, jasnoczerwony, łososiowy, pąsowy – to były tylko niektóre nuty zawierające szczyptę czerwieni, jakie potrafił wymieniwać. Jego słownik był zbyt ubogi, aby nazwać wszystkie. Przez środek pokoju przedzierała się jakaś postać ubrana w jasny fiolet. Lawirując w tłumie, napotkała znajomego, który miał na sobie szatę koloru niedojrzałej śliwki. Dopiero kiedy stanęli obok siebie, Peter mógł stwierdzić, że ich okrycia, które wydawały mu się identyczne, w rzeczywistości różnią się odcieniem. W całym domu goście pozdrawiali się nawzajem, machali do siebie, rozpoznawali na pierwszy rzut oka. Pośród tego radosnego zgiełku Peter zrozumiał, że musi wyrobić w sobie nową umiejętność klasyfikowania kolorów, jeśli chce rozróżniać więcej niż tuzin mieszkańców osady.

„To było uroczyste przyjęcie”. Tak odpowiedziałby Peter, gdyby ktoś zapytał go o wrażenia. Chociaż czuł się tam trochę jak piąte koło u wozu. Miłośnik Jezusa Pierwszy wprowadził go do środka, ale później bez przerwy spotykał znajomych, którzy wciągali go w pogawędki. Peter słyszał jedynie gulgotanie i parskania, a prośba o tłumaczenie wydawała mu się nie na miejscu. Zresztą trudno było oczekiwać, że obcy zrozumie coś z tego, o czym dyskutowali Oazjanie.

Obawiał się, że gospodarze mogą go uznać za prostaka. Nie pasował tu, górował wzrostem nad wszystkimi, dosłownie ich przytłaczał. A jednak był w jakiś sposób... nieważny. Po chwili uspokoił się i zaczął dobrze bawić. Ci ludzie nie przyszli tu dla niego, na tym polegał urok tego zgromadzenia. Mógł obserwować, ale nie był tu oficjalnie, nikt od niego niczego nie wymagał. Po raz pierwszy poczuł się na Oazie jak turysta. Usiadł w kucki w kącie pokoju, wdychał zapach niebieskawego kadzidła i przyglądał się przyszłej matce, której



wszyscy składali wyrazy sympatii.

Po kilku godzinach wymiany serdeczności **KcAw** raptownie dała znak, że ma już dość. Najwyraźniej poczuła się zmęczona; usiadła na podłodze, a jej biała koszula rozłożyła się wokół niej jak wachlarz. Przyjaciele odsunęli się, a kobieta ściągnęła kaptur z głowy, odsłaniając siną, pokrytą potem skórę. Spuściła głowę między kolana, jakby miała zwymiotować lub zemdleć.

Nagle ciemniczko na jej głowie otworzyło się i z otworu wysunęło się coś dużego i różowego, pokrytego lśniąca białą pianą. Pod wpływem szoku Peter wyprostował się gwałtownie. Był pewien, że jest świadkiem gwałtownego zgonu. Chwila drgawek i było po wszystkim. Ostatni skurcz wypluł oślizgłe niemowlę, które zsunęło się w wyciągnięte ramiona matki. **KcAw** uniosła głowę, ciemniczko się zamknęło, ale cieliste wybrzuszenia na jej twarzy nadal były sine. Pokój wypełniły radosne posapywania, wszystkie głosy połączyły się w jeden chór i rozległ się niesamowity gaworzący dźwięk, który przetoczył się po wnętrzu jak huczący akord katedralnych organów.

Niemowlę było żywe i zdrowe, wierzciło się, chcąc od razu wyrwać się z ramion matki. Nie miało pępownicy i zupełnie nie przypominało noworodka. Było dokładną miniaturową kopią dojrzałego osobnika: ręce, nogi i głowa miały proporcje dorosłych. Jak nowo narodzony żrebak lub cielę, natychmiast stanęło na nogi, utrzymując równowagę, pomimo że na stopach pozostały resztki śliskiej brejowatej substancji łożyska. Tłum nagroził te wysiłki gromkim aplauzem. **KcAw** uroczyście podziękowała za owację i wilgotną ściereczką zaczęła oczyszczać ciało dziecka z mazi.

- **QbDp** – oznajmiła, co wzbudziło kolejną owację.
- Co powiedziała? – spytał Peter Miłośnika Pierwszego.
- **QbDp** – odpowiedział Miłośnik Pierwszy.
- Czy tak ma na imię dziecko?
- Imię, **pak** – potwierdził Miłośnik Pierwszy.
- Czy to imię coś znaczy?
- Imię **snacy** – odpowiedział. Po kilku chwilach dodał: – Na**sieja**.

Dziecko stało już pewnie na ziemi i wyciągało ramiona, jakby rozkładało skrzydła. Matka skończyła je wycierać i ktoś wyszedł z tłumu, niosąc całe naręcze podarków. Fioletoworóżową szatę, buty i rękawiczki, wszystko jakby szyte na miarę. **KcAw** i osoba, która przyniosła prezenty – może babka lub ciotka – zaczęły ubierać dziecko. Maleństwo chwiała się lekko na nogach, ale bez oporów poddało się tym zabiegom. Kiedy skończyły, wyglądało wytwornie i uroczo; było chyba szczerze zadowolone, że znalazło się w centrum zainteresowania. To chłopiec, stwierdził Peter. Niewiarygodne, z jakim mistrzostwem wykonano te miniaturowe rękawiczki! Idealnie dopasowane i miękkie jak aksamit! Zdumiewające, jak dziecko od razu zaakceptowało tę drugą skórę!

Peter podniósł się ze swojego miejsca. Nogi zaczęły go boleć i musiał je rozprostować. Malec, niezwykle czujny i bystry, doskonale zdawał sobie sprawę

z tego, kto jest w pokoju. Wszyscy obecni stanowili jakby jego kopie, tylko jedna postać nie pasowała do świeżo uformowanego w umyśle dziecka obrazu świata. Zamarło z zadartą głową, jakby zahipnotyzował je widok obcego.

**KcAw** zauważyła zmieszanie chłopca i także zwróciła uwagę na Petera.

– **LIRE uwzi** – zawołała.

– Co ona mówi? – zapytał Peter Miłośnika Pierwszego.

– **słowo** – odpowiedział. – **słowo** od ciebie.

– Chodzi... o przemówienie?

– Kilka **słów**, wiele **słów**, ile **bęsie**, **pyle bęsie** – odpowiedział dyplomatycznie.

– Ale ona nie jest Miłośniczką Jezusa?

– Nie – przyznał Miłośnik Pierwszy, podczas gdy matka dziecka gestem dłoni przynagliła Petera. – W **paki sień słowo** dobre. – Lekko dotknął łokcia Petera. Według niego był to gest równoznaczny z popchnięciem.

A więc to tak, został tu zaproszony w konkretnym celu. Jako atrakcja mająca uświetnić to wielkie wydarzenie. W porządku, nie było w tym nic złego, chrześcijaństwo zawsze służyło takim sprawom. Może zresztą ta kobieta zaprosiła go nie dlatego, że był pastorem, tylko turystą, gościem w tych stronach. Zrobił krok do przodu. Gorączkowo szukał odpowiednich zdań i tematów, ale jedno nie ulegało wątpliwości: chciał, by mowa wyrażała jego szacunek zarówno dla matki i dziecka, jak i dla Miłośnika Jezusa Pierwszego, tak godnie noszącego swoją żałobę. W ciągu lat swej posługi zdarzały mu się chwile, kiedy nagle, w przeblysku natchnienia dostrzegał wśród wiernych kogoś, kto stale podkreślał radość z obcowania z Chrystusem, cieszył się ze szczodrości spływającej nań łaski wiary, ale był żałośnie, boleśnie smutny. Miłośnik Jezusa Pierwszy mógł być jednym z nich.

– Poproszono mnie, bym przemówił – zaczął. – Dla niektórych z was to, co powiem, będzie miało znaczenie. Dla większości chyba nie. Mam nadzieję, że pewnego dnia opanuję wasz język. Ale chwileczkę – słyszeliście to? Właśnie użyłem cudownego słowa: nadzieja. To nazwa uczucia, ale także imię dziecka, które dziś się narodziło.

Malec uniósł jedną stopę, potem drugą i przewrócił się do tyłu. Matka schwyciła go zręcznie i posadziła na ziemi. Znieruchomiał tam, jakby zamyślił się głęboko.

– Nadzieja bywa krucha – mówił dalej Peter – krucha jak kwiat. Ta kruchość sprawia, że łatwo z niej szydzić. Są ludzie, którzy postrzegają życie jak gehennę, ludzie, którzy złoścą się, kiedy coś, w co sami nie wierzą, daje radość innym. Wolą zdeptać kwiat, jakby mówili: popatrzcie, jakie to słabe, jak łatwo można to zniszczyć. Ale nadzieja to jedna z najsilniejszych rzeczy w całym wszechświecie. Imperia upadają, cywilizacje rozpadają się w proch, a nadzieja zawsze wraca, podnosi się z popiołów, wyrasta z nasion, które są niewidzialne i niezwyciężone.

Wierni – gdyby miał odwagę ich tak nazwać – ucichli, jakby rozważali

znaczenie każdego słowa, chociaż nie mogli wiele zrozumieć. Wiedział, że powinien przemawiać tak, jakby wykonywał jakiś utwór muzyczny. Gość z dalekiego kraju, który ma zademonstrować melodie wygrywane na egzotycznym instrumencie.

– Zawsze największe nadzieje pokładamy w nowo narodzonym dziecku. Biblia, księga, którą niektórzy z was kochają tak samo jak ja, zawiera wiele pięknych historii o narodzinach dzieci, w tym o narodzinach Pana naszego, Jezusa. Ale nie czas tu i nie miejsce, bym opowiadał biblijne historie. Chcę tylko powiedzieć, że starodawne słowa Eklezjasty pomogły mi zrozumieć to, co zobaczyłem w ciągu ostatnich dni. Mówi on: Wszystko ma swój czas. Jest czas rodzenia i czas umierania, czas płaczu i czas śmiechu, czas sadzenia i czas zbiorów. Umarła starsza osoba, matka Miłośnika Jezusa Pierwszego. To smutna nowina. Dziś narodziła się nowa osoba, **QbDp**. To radosna nowina. Uczcijmy doniosłość każdej z nich. Świętując narodziny, pamiętajmy o tych, którzy nas opuścili, bo wtedy nasze dusze pogrążone w smutku odżyją na powitanie nowego życia. Mały **QbDp**, jesteś najpiękniejszym i najcenniejszym podarunkiem dla naszej społeczności. Witaj!

Miał nadzieję, że wypowiedział ostatnie słowo wystarczająco silnie, by dać do zrozumienia, że skończył. Najwyraźniej tak – publiczność zaszemrała z uznaniem i pomachała mu w podziękowaniu. Nawet niemowlę dostosowało się do ogólnego nastroju i też wyciągnęło rączki w małych rękawczkach. Ciszę, która przez ostatnie chwile zalegała w pokoju, znów wypełnił gwar rozmów. Ludzie, którzy na moment przemienili się w publiczność, znów stali się tłumem gości. Peter uklonił się i wycofał na swoje miejsce pod ścianą.

Kiedy patrzył na świętującą gromadę, nagle przez głowę przemknęła mu myśl o jego własnym nienarodzonym dziecku, które rozwijało się daleko stąd, w łonie jego żony. Mignęła jak błyskawica, jak niewyraźny obraz, który nie potrafi zagnieździć się trwale w umyśle. Ta myśl, a raczej jej zarodek nie mógł współzawodniczyć z jaskrawym zbiorowiskiem, nieziemskimi okrzykami i czujnym spojrzeniem malca z cieniutkimi rączkami i nóżkami, który traktowany był przez wszystkich jak bohater chwili, król dnia.

## Oderwała się od ciała i poszybowała w przestrzeń

Dzień piąty był niewyobrażalnie piękny. Padało i Peter zupełnie zapomniał, że to tego dnia ma po niego przyjechać Grainger.

Nie chodziło o to, że tego nie chciał, i nie o to, że wyrzucił ją z pamięci. Przez trzysta sześćdziesiąt godzin, które minęły od ich ostatniego spotkania, myślał o niej od czasu do czasu. Chwilami zastanawiał się, czy pozwoli sobie pomóc przy następnej dostawie. Przypominał sobie blizny na jej przedramionach i próbował zgadnąć, co takiego wydarzyło się w jej młodości, że zadała sobie te rany. Kilka razy przed snem przywoływał mglisty obraz jej bladej zatroskanej twarzy. Jednak życie wśród Oazjan było niezwykle intensywne i głowę zaprzętało mu wiele spraw. „Uważaj na okoliczności”<sup>21</sup>, napominała Mądrość Syracha. „Nie uchybiaj ani w wielkich, ani w małych rzeczach”<sup>22</sup>.

Nie, nie zapominał modlić się za Charliego Graingera ani za Corettę i za każdym razem, kiedy to robił, myślał o Grainger. Ale właśnie piątego dnia skończyła się długa noc, wzeszło słońce i nadciągnęły deszcze. Spotkanie z chimeryczną farmaceutką USIC zupełnie wyleciało mu z głowy.

Punktualność i przestrzeganie terminów nigdy nie były jego mocną stroną. Im dłużej przebywał wśród Oazjan, tym mniejszą wagę przywiązywał do czasu, który tutaj nabierał zupełnie innego znaczenia. Dzień nie składał się z dwudziestu czterech godzin ani z tysiąca czterystu czterdziestu minut. Był wtedy, kiedy świeciło słońce, oddzielony od kolejnego dnia mrokiem nocy. Kiedy było jasno, Peter nie spał przez dwadzieścia, może dwadzieścia pięć godzin. Nie wiedział dokładnie, jak długo, ponieważ zegarek jego ojca zepsuł się pod wpływem wilgoci. Smutne, ale nie było sensu się tym przejmować.

Życie nie polega na ważeniu i odmierzaniu, w życiu chodzi o to, by w pełni wykorzystać każdą daną przez Boga minutę. Było tyle do zrobienia, tyle do zrozumienia, tylu ludzi do poznania... Wraz z nastaniem ciemności Peter zapadał w stan śpiączki. Tracił świadomość szybko i nieodwracalnie, pogrążał się we śnie jak samochód zatapiający się w jeziorze. Po wiekach spędzonych na dnie wynurzał się na płytsze wody, gdzie drzemał i śnił, wstawał na siku, znów zasypiał i śnił dalej. Zrozumiał sekret kota Joshuy – przesypiać całe godziny i dnie bez smutku i melancholii, zachowując energię na lepszą okazję.

A kiedy już się wyspał, leżał i wpatrywał się w niebo. Obserwował osiemdziesiąt siedem gwiazd i nadawał im nazwy: Zimran, Jokszan, Medan, Midian, Jiszbak, Szuach, Szeba... Genealogie z Księgi Rodzaju i Wyjścia w końcu do czegoś się przydały, spłodziły nową konstelację.

Najczęściej przy świetle palących się wolno żywicznych świec pracował w łóżku nad biblijnymi parafrazami. Otwarta wersja Króla Jakuba spoczywała na jego kolanach, notatnik opierał na przedramieniu, a kiedy musiał rozważyć różne warianty tekstu, kładł głowę na poduszce. „Do każdej krainy, skreślone jej własnym pismem, i do każdego narodu w jego własnym języku”<sup>23</sup>. Deklaracja z Księgi Estery, z czasów niewoli babilońskiej. Jeśli Oazjanie nie mogli poznać Słowa Bożego w swoim własnym języku, zasługiwali przynajmniej na przyzwoitą wersję, którą potrafiliby wymawiać i śpiewać.

Wielokrotnie wychodził z kościoła w ciemność nocy, klękał w pobliżu miejsca, gdzie zakopywał swoje odchody, i prosił Boga, by odpowiedział mu szczerze, czy nie popada w grzech pychy. Czy te przekłady, w które wkładał tyle sił, były naprawdę potrzebne? Oazjanie nigdy nie uskarżali się na trudne dla nich spółgłoski, zdawali się akceptować swoją ułomność. Kurtzberg nauczył ich śpiewać *O, słodka łasko*, i śpiewali, zarazem słodko i okropnie. Czy nie o to chodziło? W swych gorliwych staraniach, chociaż dalecy od oryginalnego brzmienia, zasługiwali na łaskę. Na więcej łaski niż niektóre zadowolone z siebie zbory w angielskich wioskach, gdzie odfajkowywano hymny, myśląc o futbolu i serialach telewizyjnych. Oazjanie pragnęli swojej Księgi Dziwnych Nowych Rzeczy; może nie powinien rozcieńczać jej mocy?

Modlił się o wskazówki, ale Bóg nie chciał, by zawrócił ze swej drogi. W spokoju balsamicznej oazjańskiej nocy, pod połyskującymi zielonkawo gwiazdami na lazurowym niebie Peter miał nieodparte wrażenie, że otaczające go powietrze pulsuje słowami: „Wszystko będzie dobrze. Dobra wola i współczucie nigdy nie błędzą. Kontynuuj to, co zacząłeś”. Wspomnienie dnia, kiedy usłyszał, jak Oazjanie śpiewają dla niego *O, słodka łasko*, nie zbladło. Otrzymali tę pieśń w darze od Kurtzberga i przekazali ją następnemu pastorowi. Ale on da im inne dary. Dostaną od niego Pismo, którego słowa będą płynąć z ich ust jak struga wydychanego powietrza.

Jego trzódka liczyła już blisko stu dwudziestu Miłośników Jezusa i Peter postanowił poznać każdego z nich. To wymagało więcej wysiłku niż samo zapamiętywanie kolorów szat i numerów poszczególnych Miłośników. Robił postępy i coraz lepiej rozróżniał ich twarze. Nie czekał, aż pewne cechy na ich obliczach przybiorą kształt nosów, ust czy oczu, bo to nigdy nie miało nastąpić. Zamiast tego starał się patrzeć na nie jak na drzewa lub skały: abstrakcyjne i unikatowe kształty, ale jednocześnie w pewien sposób (kiedy obcowało się z nimi dostatecznie długo) znajome.

Rozpoznawać nie oznaczało znać. Można było wykształcić w sobie umiejętność rozpoznawania pewnego układu wypukłości i kolorów i stwierdzać: to jest Miłośnik Jezusa Trzynasty. Ale kim naprawdę był Miłośnik Jezusa Trzynasty? Peter musiał przyznać, że z trudem przychodziło mu dogłębne poznawanie Oazjan. Kochał ich i to na razie musiało mu wystarczyć.

Czasami dręczyła go myśl, że tak już będzie zawsze. Niełatwo było

zapamiętać poszczególne jednostki, jeśli nie zachowywały się jak istoty ludzkie. Brakowało tu rozbuchanych indywidualności, nieustannych wysiłków zmierzających do wyróżnienia się spośród innych. Oazjanie nie postępowali w ten sposób. Nikt z nich nie zachowywał się, jakby krzyczał: „Spójrzcie na mnie! Dlaczego nie pozwalacie mi postępować tak, jakbym chciał?”. Nikt – o ile Peter mógł stwierdzić – nie rozmyślał rozpaczliwie nad pytaniem „Kim jestem?”. Nie zaprzęтали sobie głowy takimi problemami. Na początku wydawało mu się to nieprawdopodobne, myślał, że ich opanowanie jest pozorne i pewnego dnia odkryje, iż są równie emocjonalnie popaprani jak zwykli ludzie. Ale to nie były pozory. Byli właśnie tacy.

W pewnym sensie to było... kojące. Oszczędzało mu melodramatycznych scen, które tak komplikowały relacje z ludźmi, ale zarazem oznaczało, że jego niezawodna, wypróbowana metoda, dzięki której zyskiwał zaufanie nowych znajomych, tutaj była całkiem bezużyteczna. Razem z Beą stosował ją wielokrotnie, we wszystkich miejscach, gdzie zarzucał swe sieci: od wykwintnych hoteli po punkty wydawania narkomanom jednorazowych igieł i strzykawek. Ludzie zawsze otwierali się po słowach: „Nie przejmuj się, dobrze widzę, że nie jesteś taki jak inni. Nie martw się, jesteś kimś wyjątkowym”.

Oazjanie nie potrzebowali, żeby Peter uświadamiał im, kim są. Byli powściągliwi, pewni siebie i pozbawieni patosu; nie podkreślali swojej wyjątkowości i nie szczycili się wadami, które odróżniały ich od pobratymców. Byli jak uosobienie Buddy, co czyniło ich zapał do chrześcijaństwa jeszcze bardziej cudownym.

– Zdajecie sobie sprawę – zapytał kiedyś Miłośnika Jezusa Pierwszego – że niektórzy ludzie nie są chrześcijanami i wyznają inne religie? Słyszeliście o tym?

– **pak.**

– Chcecie, żebym opowiedział wam coś o tych religiach?

Wydawało mu się, że tak powinien postąpić. Miłośnik Pierwszy nerwowym ruchem poprawił rękawy, co czynił zawsze, kiedy nie chciał kontynuować rozmowy.

– Nie mamy innego Boga, **pylko** Boga jednego. W nim **pylko s**bawienie.

Coś takiego pragnąłby usłyszeć każdy duszpasterz od nowego wyznawcy. Ale te słowa wypowiedziane tak otwarcie i z takim spokojem sprawiły, że Peter poczuł się nieswojo. Bycie przewodnikiem duchowym Oazjan dawało radość, ale nie było łatwe.

A może nie? Dlaczego miałyby być trudne? Kiedy okno duszy jest czyste, niezbrukane nagromadzonym błotem fałszu, samolubstwa lub nienawiści do samego siebie, nic nie powstrzyma światła. Tak, na pewno o to chodzi. Chyba że Oazjanie są po prostu naiwni, zbyt łatwowierni i jego rolą jest nadać ich wierze intelektualną głębię? Jeszcze nie był pewien, ciągle modlił się o odpowiedź.

Pozostawali ci, którzy nie przyłączyli się do Miłośników Jezusa, ci, których

imion nawet nie potrafił wymówić. Jak miał z nimi postępować? W oczach Boga byli bezcenni. Na pewno mieli swoje potrzeby i smutki, równie ważne jak uczucia innych. Powinien do nich dotrzeć, ale ignorowali go. Nie byli nastawieni agresywnie, po prostu traktowali go jak powietrze. Nie, to nie tak. Przyjmowali do wiadomości jego obecność, jakby był jakąś kruchą przeszkodą – rośliną, której nie wolno zdeptać, krzesłem, na które trzeba uważać, by go nie przewrócić – ale nie mieli mu nic do powiedzenia, dosłownie i w przenośni. Podobnie jak on im.

Zdecydowany nieść Słowo Boże nie tylko nawróconym, Peter usiłował poznać te obce istoty. Starał się zapamiętać ich gesty, sposób, w jaki się do siebie odnosili, role, które zdawali się odgrywać w społeczności. W tak egalitarnym społeczeństwie nie było to łatwe do rozpoznania. Bywały dni, kiedy czuł, że potrafi osiągnąć najwyżej taki rodzaj związku, jaki przypadkowy gość nawiązuje z kotem gospodarzy, który po pewnym czasie przestaje się chować i syczeć na widok obcego.

W sumie potrafił rozpoznać kilkunastu niechrześcijan, których zachowanie dawało nadzieję na bliższy kontakt. Za to poznał wszystkich Miłośników Jezusa. Sporządzał na ich temat notatki, często nocą, po ciemku, nieczytelne bazgroły poplamione potem i opatrzone znakami zapytania stawianymi na marginesach. To było bez znaczenia. Prawdziwa praktyczna wiedza brała się z intuicji. Uważał, że odpowiada za nią ta część jego mózgu, którą nazywał oazjańską.

Nadal nie wiedział, ilu mieszkańców liczy C-2. Domy, niczym ule, składały się z wielu pokoi; nie zdołał odgadnąć, ile z nich było zamieszkałych, i nie potrafił oszacować, jaka część ludności była chrześcijanami. Może jeden procent, a może promil.

W takim miejscu jak Oaza zgromadzenie stu wiernych stanowiło wielkie osiągnięcie. Było z czym porywać się na wielkie cele. Budowa kościoła posuwała się naprzód – mowa oczywiście o budynku, który miał już spadzisty szczelny dach. Co prawda na razie grzecznie zbywano prośby Petera o zwieńczenie budowli iglicą („wpierw o co innego prosimy”) i można się było spodziewać, że w tej sprawie będą się migać bez końca.

W ramach zadośćuczynienia Oazjanie obiecali udekorować sufit. Kurtzberg pokazał im kiedyś fotografię, którą nazywali Kaplicą **sykspyńską** (ledwo potrafił to zrozumieć). Zainspirowani dziełem Michała Anioła bardzo chcieli stworzyć coś podobnego, jednak woleli, by motywy ze Starego Testamentu zastąpić scenami z życia Jezusa. Peter przystał na to z radością. Kościół zostanie upiękaszony, a on dowie się więcej o tym, jak ten lud postrzega świat.

Jak zwykle najszybsza była Miłośniczka Jezusa Piąta. Pokazała mu szkice sceny, którą zamierzała namalować – dwie Marie i Salome znajdują odtoczony kamień przy grobie Jezusa. Najwidoczniej znała tę historię. Peter nie wiedział,

z której ewangelii Kurtzberg zaczerpnął swą opowieść. Z Łukasza, gdzie występowało dwóch mężczyzn w lśniących szatach<sup>24</sup>, z Mateusza, gdzie anioł zstępował z nieba przy akompaniamencie trzęsienia ziemi, z Marka z jego siedzącym młodzieńcem czy z Jana, który przedstawił dwóch aniołów wewnątrz grobu? Miłośniczka Piąta nie trzymała się ściśle opisu. Usunęła te postaci i zastąpiła je zmartwychwstałym Chrystusem. Zgrabnie odwzorowane żałobnice, przyodziane w oazjańskie szaty z kapturami, zamary przed wychudzonym mężczyzną w przepasce biodrowej. Jezus stał wyprostowany, z szeroko rozłożonymi ramionami. Na dłoniach wyglądających jak rozgwiazdy widniały otwory w kształcie oczu. W miejscu, gdzie kończyła się szyja, Miłośniczka Piąta zostawiła pustą przestrzeń obramowaną gmatwaniną kresek. Przypominały jeżozwierzę i miały oznaczać promieniowanie olśniewającego światła. Na ziemi, pomiędzy Chrystusem a kobietami, leżał przedmiot podobny do bajgla. Po kilku chwilach Peter zrozumiał, że to korona cierniowa.

– **Snowu Sywy** – wyjaśniła Miłośniczka Piąta. A może tak nazwała swój rysunek?

Miłośniczka Piąta najszybciej pokazała mu swój szkic, ale to nie ona pierwsza ukończyła malowidło. Pierwszeństwo przypadło Miłośnikowi Jezusa Sześćdziesiątemu Trzeciemu, nieśmiałoemu osobnikowi (nawet jak na Oazjanina), który porozumiewał się głównie za pomocą gestów. Oazjanie byli bardzo dyskretni i nigdy nie plotkowali, ale Peter stopniowo dowiedział się, że Miłośnik Sześćdziesiąty Trzeci jest na swój sposób ułomny czy oszpecony. Nikt nie powiedział niczego konkretnego, ale z rzucanych słów Peter zorientował się, że traktują go pogardliwie, bo obija się za ich plecami. Peter obserwował go dyskretnie, usiłując zrozumieć, na czym polega jego problem. Zauważył, że ciało na twarzy ma mniej „surowe”, mniej błyszczące niż inni Oazjanie. Wyglądało jak posypane talkiem lub lekko podgotowane, jak mięso kurczaka, które po zanurzeniu we wrzątku traci różowy kolor. Peterowi taka twarz wydawała się całkiem znośna, ale dla jego pobratymców była to najwyraźniej godna pożałowania skaza.

Cokolwiek mu dolegało, nie miało wpływu na jego zdolności artystyczne. Namalowane przez niego panneau było jak dotychczas jedynym ukończonym malowidłem, a każde kolejne musiało się zmierzyć z wyznaczonym przez Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego standardem. Rzucalo blaski jak witraż i w niezwykle sposób pozostawało widoczne nawet wtedy, kiedy słońce zniżało się nad horyzontem i wewnątrz kościoła pogrążało się w półmroku; jakby jego twórca użył farby z fosforyzującymi pigmentami. Łączyło w sobie śmiałość barw ekspresjonistów z misterną, kunsztownie zrównoważoną kompozycją średniowiecznej sztuki sakralnej. Postaci były w skali jeden do dwóch, stłoczone na prostokątnym kawałku aksamitnej tkaniny, przewyższającej rozmiarami wzrost Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego.

Oazjanin wybrał nowotestamentową scenę, w której uczniowie opowiadają



niewiernemu Tomaszowi, jak ujrzeli Jezusa. Niespotykany temat. Peter był prawie pewien, że żaden chrześcijański malarz nigdy wcześniej się z nim nie zmierzył. W porównaniu z niesamowitym spotkaniem Tomasza ze zmartwychwstałym Chrystusem i wkładaniem palca w ranę ten wcześniejszy epizod był pozbawiony wizualnego dramatyzmu: zwykły człowiek w normalnym pokoju wątpi w prawdziwość słów, które przed chwilą usłyszał od grupy niepozornych osób. Ale koncepcja Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego była godna podziwu. Szaty uczniów – oczywiście każda w innym kolorze – były usiane małymi czarnymi krucyfikami. Wyglądały, jakby wypaliły je promienie ognia buchające z postaci Chrystusa. Z rozwartych ust, niczym obłoczki pary, wydobywały się komiksowe dymki. W każdym z nich namalowano parę odciętych dłoni podobnych – tak jak na rysunku Miłośniczki Piątej – do rozgwiadzy. Pośrodku miały otwory w kształcie oka, na które szpachlą nałożono grubą warstwę szkarłatnej farby. Mogła symbolizować zarówno źrenice, jak i krople krwi. Szata Tomasza była jednolita, bez krzyży, a komiksowy dymek zamalowano na brązowo. Nie było w nim dłoni ani innych obrazków, tylko fragment wytwornego kaligraficznego pisma, przypominającego arabskie znaki.

– To piękne – powiedział Peter, kiedy Miłośnik Jezusa Sześćdziesiąty Trzeci ukończył malowidło.

Miłośnik Sześćdziesiąty Trzeci pochylił głowę. Czy ten gest wyrażał akceptację, zażenowanie, podziękowanie, zadumę, zadowolenie, czy ból? Peter nie wiedział.

– To przypomina nam coś bardzo ważnego – dodał Peter. – Prawdę, która nabiera szczególnej wagi właśnie tu, w otoczeniu tak odległym od miejsca, gdzie narodziło się chrześcijaństwo.

Miłośnik Sześćdziesiąty Trzeci pochylił się jeszcze niżej, jakby głowa ciążyła mu ponad siły.

– Jezus pozwolił Tomaszowi włożyć palec w swoje rany, ponieważ rozumiał, że niektórzy nie potrafią uwierzyć bez dowodu. To normalne, wielu ludzi nie jest w stanie przyjąć prawdy bez potwierdzonych faktów. – Peter zawahał się. Nie wiedział, czy słowo „ludzi” wymaga dodatkowych wyjaśnień. W końcu uznał, że Oazjanie muszą już rozumieć, iż traktuje ich jak podobne jemu istoty. – Ale Jezus zdawał sobie sprawę, że nie każdy będzie miał taką możliwość, nie każdy będzie mógł zobaczyć go i dotknąć tak jak Tomasz. Więc powiedział: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. Te słowa są o nas, mój przyjacielu. – Delikatnie położył dłoń na ramieniu Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego. – O tobie, o mnie i o nas wszystkich.

– **p**ak – odpowiedział Miłośnik. Dla niego był to odpowiednik ożywionej rozmowy. Grupka innych Miłośników, którzy byli obecni w kościele przy odbieraniu malowidła, zareagowała w niezwykle sposób. Zatrzęsły się im ramiona! Peter zrozumiał, co to oznacza. Śmiech! Więc są obdarzeni poczuciem humoru! Ciągłe dowiadywał się o nich nowych rzeczy. Czuł, jak każdego dnia

zmniejsza się dzieląca ich przepaść.

Obraz Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego został uroczyście podniesiony i zamocowany na suficie nad amboną, inaugurując wystawę sakralnego malarstwa. Następnego dnia powiększyła się o interpretację sceny wypędzania siedmiu złych duchów z Marii Magdaleny. Złe duchy, przedstawione jako opary ektoplazmy o nieco kocich kształtach, wytryskały z piersi Marii jak fajerwerki odpalone przez Jezusa, który stał za nią z rozłożonymi ramionami. Dzieło było nieco bardziej toporne niż obraz Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego, ale nie mniej mocne. Także i ono lśniło nierealną poświatą.

Kolejnego dnia nie przynieśli obrazu, ale podarowali Peterowi łóżko, by zastąpił nim stos szmat i sieci, na którym sypiał, od kiedy zniszczył swój hamak. Oazjanie bez zastrzeżeń zaakceptowali hamak i byli gotowi modlić się przy nim w kościele, jednak Peter pociął go na kawałki, kiedy budowa zbliżała się ku końcowi. Uznał, że obecność tego przedmiotu nie pasuje do dostojństwa gmachu. Kiedy Oazjanie zauważyli, że ich pastorowi chyba nie jest zbyt wygodnie, po cichu zbudowali dla niego łóżko. Skonstruowali je na wzór swoich łóżek, które przypominały połączenie trumny z wanną. Na szczęście wyrób przeznaczony dla Petera był większy, płytszy i z mniejszą ilością bawełnianej pościeli. Przynieśli łóżko do kościoła i ustawili za kazalnica. Nie udawali, że ten przedmiot ma jakieś sakralne cechy, ale uważali za rzecz oczywistą, że jego miejsce jest właśnie tu. Podczas pierwszej wspólnej modlitwy po otrzymaniu podarunku Peter zażartował, że jeśli zmęczy się podczas kazania, zawsze będzie miał gdzie się zdrzemnąć. Wierni przytaknęli ze zrozumieniem. Uważali, że to rozsądny pomysł.

Tego ranka, kiedy miała się zjawić Grainger, Peter obudził się z przecuciem, że zaraz zacznie padać. Dla miejscowych nie było w tym nic dziwnego. Deszcz padał w określonych porach i całe życie upływało im w rytmie kolejnych opadów. Peter nie był tak zestrojony z tutejszym klimatem i deszcz zawsze go zaskakiwał – przynajmniej do tej pory. Teraz wiercił się w łóżku, był spocony, bolała go głowa i starał się ukryć przed wpadającymi przez okno promieniami słońca. Chociaż czuł się oszołomiony snem, od razu zrozumiał, że nie wolno mu tracić czasu. Musi wypłynąć z otchłani na powierzchnię i przypomnieć sobie, co mu się śniło. Mógł też kontynuować poszukiwania możliwej do wymówienia alternatywy dla słowa „chrzest”. Ale przede wszystkim powinien wstać i wyjść na zewnątrz.

Deszcz, a precyzyjniej mówiąc, deszcze były o jakieś ćwierć mili stąd i szybko się zbliżały. Nadciągały trzy ogromne autonomiczne struktury, oddzielone od siebie przestrzenią suchego powietrza. Każda wewnątrznie spójna i uporządkowana, po wielokroć powielająca błyszczące konstelacje kropel wody. Unosiły się powoli i z wdziękiem, wirowały jak skomplikowane grafiki komputerowe ukazujące trójwymiarowe miasta lub pajęcze sieci. Ekranem było

niebo rozświetlone oszałamiającymi obrazami przypominającymi zorzę polarną lub atomowe grzyby.

„Gdyby Bea mogła to zobaczyć”, pomyślał. Każdego dnia pod wpływem najprzeróżniejszych wydarzeń żałował, że nie ma jej tutaj. To nie była fizyczna tęsknota czy żądza, która pojawia się i znika jak morskie przypływy, ale przykre uczucie, że ważny, skomplikowany, wypełniony najbardziej istotnymi doświadczeniami okres w jego życiu przemija. Co za szkoda, że Bea tego z nim nie doświadcza, chociaż jest w to tak emocjonalnie zaangażowana. Może tylko kibicować na odległość.

I teraz znów widział coś, z czym pragnął się z nią podzielić. Trzy gigantyczne lśniące welony deszczu falowały majestatycznie nad równiną i zbliżały się w jego kierunku. Były nie do opisanego, nie potrafił tego przekazać słowami; ich widok pozostawił w nim niezatarty ślad, ale Bei nie będzie on dany.

Po kilku minutach deszcze ogarnęły osadę, otaczając ją delikatną półprzezroczystą zasłoną. Od tego momentu już nie dało się ich postrzegać jako trzech oddzielnych bytów. Powietrze eksplodowało w ekstazie, buchnęła woda. Sznury srebrnych kropel chłostały jak bicze. Gdy Peter był dzieckiem, bawił się kiedyś z dziewczynką z sąsiedztwa. Skierowała na niego ogrodowy wąż, on uskokzył, ale i tak został schwytany przez strumień; o to w tym chodziło, na tym polegała ta zabawa. Wiedziałaś, że nie uciekniesz i w końcu zostaniesz zmoczony, ale nic sobie z tego nie robiłaś.

Wkrótce cały ociekał wodą i był lekko oszołomiony od patrzenia na wirujące strugi. Więc zamknął oczy i zrobił to, co robili Oazjanie: odchylił głowę, otworzył usta i pozwolił, by deszcz wpadał mu do gardła. Pił prosto ze źródła. To było coś, czego każde dziecko próbuje kilka razy, zanim przekona się, że nie ma sensu stać tak z rozdziawionymi ustami i robić z siebie głupka. Nie warto łapać małych kropel, które padają z rzadka, w nieregularnych odstępach. Ale tutaj to były falujące arkusze deszczu i po krótkiej chwili usta Petera napełniły się wodą. Wydawało mu się, że smak miodego melona jest silniejszy, kiedy pije się prosto z nieba.

Stał długo, mókł i spijał deszcz. Woda zalewała mu uszy, tłumiąc wszelkie dźwięki. Rzadko zdarzało mu się doświadczać tak pierwotnego, przyjemnego uczucia.

Deszcz dla Oazjan nie był tylko zabawą. Był zjawiskiem oddziałującym na całą społeczność i wymagał wspólnego działania. Jak śpiew muezina zwołuje muzułmanów na modlitwę, tak deszcz zwoływał mieszkańców osady do pracy. Ciężkiej pracy. Odkąd Peter dowiedział się, jak bardzo jest ciężka, pomagał im i pracował z nimi ramię w ramię.

Białe kwiaty nie były jedyną uprawą Oazjan. Mieli też podobną do bawełny roślinę zwaną **sbt**, która pojawiała się na ziemi jako lepka biała pianka i szybko twardniała, przemieniając się w włókniste badyle. To z nich wytwarzano sieci, buty i ubrania. Był też przypominający mech **bysb**, rosnący niesamowicie szybko – w ciągu jednego popołudnia z brunatnych plamek

przeistaczał się w zielony puch. Peter nie wiedział, do czego służy, ale nauczył się go zbierać.

Dowiedział się też, w jaki sposób białe kwiaty są tak wszechstronnie wykorzystywane. Sekret krył się w tym, że rośliny były dogłądane i oceniane na każdym etapie wzrostu. Określonego dnia korzenie nadawały się na „zupę grzybową”, łodygi na słodycze, kwiaty na chleb, nektar na „miód”, a kiedy indziej z korzeni pozyskiwano „kurczaka”, łodygi przydawały się do wyrobu lin, kwiaty na „budyń”, wyschnięty sok na „cynamon” i tak dalej. Czas odgrywał zasadniczą rolę, ponieważ zaraz po deszczu najstarsze rośliny osiągały najlepsze właściwości. Były silnie porowate, od razu nasiąkały wodą i opadały na ziemię. Zgniłyby tam szybko, gdyby ich nie zebrano. Właśnie wtedy stawały się najbardziej pożądanym produktem, ponieważ zawierały drożdże.

Peter wiedział, że Oazjanie są już w drodze na pole, więc przestał pić deszczówkę i wrócił do kościoła. Woda spływała z niego strumieniami, więc przy każdym kroku zostawiał kałużę na posadzce. Włożył sandały (żółte buty były zbyt cenne i nie używał ich przy tej brudnej pracy), przeczesał włosy, zjadł kilka kęsów ciemnobrazowej masy przypominającej pumperniel, którą Miłośnicy Jezusa nazywali Naszym Chlebem Powszednim, i wyszedł.

Deszcz powoli ustawał. Ciągłe można było dostrzec wodne wiry, ale niektóre kręgi powoli zmieniały się w parę. Peter wiedział, że będzie padać jeszcze przez kilka chwil, a potem powietrze zrobi się przejrzyste, jeśli takie słowo w ogóle nadawało się do opisu tej wilgotnej mglistej substancji. Wkrótce deszcz powróci, potem nastąpi dwudziestogodzinna przerwa, po czym cykl się powtórzy. Tak, zaczynał to chwytac. Stawał się krajowcem.

Okolo trzech godzin później – wiedzialby dokladniej, gdyby odmierzal czas, a tego unikal – wracal z pola. Dłonie i ramiona miał poplamione białoszarą mazią z zebranych plonów. Przód diszdaszy uwalany był od naręczy roślin (pakował je do worków), a atramentowy krucyfiks zniknął pod warstwą brudu. Na wysokości kolan tkaninę pokrywał lepki szlam zmieszany z ziemią i podczas marszu sypał się z niego pył.

Peter dotarł do ostatnich budynków osady i ruszył stepem w stronę kościoła. Coraz bardziej przeszkadzało mu to, że wygląda jak łachmyta, i zerkał w niebo, wypatrując kolejnego deszczu. Chciał się opłukać. Wystarczyło stanąć nago pod strugami lejącej się z góry wody i umyć się, pocierając ciało dłońmi. Może użyje też mydła, które przywiózł z domu. Weźmie taki prysznic pod kościołem, a kiedy będzie już czysty, wypierze ubranie. Potem nastąpi długi słoneczny dzień i szata szybko wyschnie.

Skupił wzrok na budynku kościoła. Zniecierpliwiony, że ma jeszcze przed sobą kawałek drogi, zdjął diszdaszę i wytrzepał ją.

– Hej! – zawołał ktoś.

Odwrócił się. Dwadzieścia metrów na lewo od niego, pod murem, z którego

dawno zniknął powitalny napis, stała zaparkowana furgonetka USIC. Grainger opierała się o szarą karoserię, przyciskając do piersi dużą butelkę wody.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała. Patrzyła mu prosto w oczy.

Zasłonił zmiętym ubraniem genitalia.

– Ja... pracowałem – powiedział, podchodząc do niej drobnymi, śmiesznymi kroczkami. – Na polu.

– Na to wygląda. – Wzięła łyk wody z butelki. Była już prawie pusta.

– Daj mi jeszcze chwilkę – powiedział, wskazując na kościół. – Muszę się umyć i przyszykować. Zrobię to, kiedy będziesz przekazywać lekarstwa.

– Już im je dałam. Dwie godziny temu.

– A jedzenie?

– Wszystko załatwione. Dwie godziny temu.

Wypiła resztę wody, unosząc butelkę prawie pionowo. Kiedy przełykała, mięśnie na jej białej szyi zadrżały. Na rzęsach pojawiły się krople potu.

– O mój... o kurczę – powiedział, kiedy dotarło do niego znaczenie jej słów. – Tak mi przykro.

– To moja wina, chyba powinnam zabrać ze sobą jakieś czasopismo.

– Zupełnie straciłem... – Chciał bezradnie rozłożyć ramiona, ale ciągle zasłaniał swoją nagość.

– Poczucie czasu – potwierdziła, jakby warto było zaoszczędzić kilka sekund, kończąc za niego zdanie.

W powrotnej drodze była mniej rozeźlona, niż się spodziewał. Możliwe, że przeszła już wszystkie stadia – od irytacji, przez zniecierpliwienie, złość, zaniepokojenie i znudzenie, aż po obojętność. Czekwała na niego przez dwie godziny i była już ponad to wszystko. Bez względu na przyczynę miała dobry humor. Może to, że zobaczyła go nagiego i zdołała zerknąć na jego skurczony członek, który otoczony włosami łonowymi wyglądał jak biały ślimak zagubiony w ogrodzie, wywarło dobroczynny wpływ na jej nastrój.

– Schudłeś – zauważyła, kiedy pędzili przez monotonną równinę. – Nie karmili cię tam?

Już otworzył usta, żeby ją zapewnić, że jada jak król, ale zdał sobie sprawę, że to nie jest prawda.

– Muszę przyznać, że nie jadłem zbyt wiele – powiedział, kładąc dłoń na żebrach. – Tylko... przekąski. Tak chyba można to nazwać.

– Za to masz ładnie zarysowane kości policzkowe – odparła.

Odruchowo spojrział na jej twarz. Nie miała szczególnie atrakcyjnych kości policzkowych. Był to ten rodzaj twarzy, która jest piękna tylko wtedy, gdy przestrzega się diety. I ma się niewiele więcej lat, niż miała Grainger. Kiedy pod wpływem wieku lub apetytu nawet odrobinę zaokrąglą się jej policzki i zgrubieje szyja, jej uroda przekroczy cienką linię dzielącą ulotny wdzięk od zmaskulinizowanej brzydoty. Zrobiło mu się jej żal, bo każdy, kto miał ochotę

na nią spojrzeć, na pierwszy rzut oka mógł wyczytać losy tej urody. Żal, bo prozaiczne geny wyznaczały limit możliwości, żal, bo osiągnęła najlepsze lata i ciągle była niespełniona. Pomyślał o Beatrice, której kości policzkowe godne były francuskiej pieśniarki. Przynajmniej tak jej czasami mówił. Nie potrafił sobie dokładnie wyobrazić, jak teraz wygląda Bea. Mógł jedynie przywołać mglistą impresję, rozproszoną przez wpadające przez okno samochodu słońce, otoczoną wirującymi sylwetkami Miłośników Jezusa. Zakłopotany usiłował się skupić i przypomnieć sobie jej postać. Sznur pereł połyskujący w półmroku jakiegoś odległego miejsca w niegdysiejszym czasie, biały stanik skrywający znajome piersi. Miłośniczka Jezusa Dziewiąta prosząca o chrzest. Nieznajoma (a może jednak nieznajomy?) na polu podająca mu skrawek tkaniny, na którym było wypisane **bLytd**, i mówiąca: „Moje imię”. Poprosił, by je powtórzyła, a gdy to uczyniła, wykrzywił usta, język, szczękę i wszystkie mięśnie twarzy i powiedział **bLytd** lub coś na tyle zbliżonego, że zaklaskała dłońmi w rękawiczkach. **bLytd. bLytd.** Pewnie pomyślała, że zapomni to słowo, jak tylko pójdzie do domu. Musi jej udowodnić, że się myliła. **bLytd.**

– Halo, jesteś tam? – Usłyszał głos Grainger.

– Przepraszam. – Poczł cudowny zapach. Chleb z rodzynekami. Grainger otworzyła paczkę i zaczęła jeść.

– Częstuj się.

Wziął kromkę zakłopotany, że dotyka jedzenia brudnymi palcami. Chleb był grubo krojony – ze trzy razy grubiej niż u Oazjan – i wydawał się cudownie pulchny, jakby przed kwadransiem wyjęto go z pieca. Zachłannie wepchnął go sobie do ust.

Zachichotała.

– Nie mogłeś poprosić o kilka bochenków i ryby?

– Oazjanie naprawdę o mnie dbają – zaprotestował, przełknąwszy. – Ale sami niewiele jedzą i... przejąłem ich zwyczaje. – Oderwał kolejny kawałek chleba. – Poza tym byłem zajęty.

– Jasne.

Na niebie dostrzegli dwie nowe formacje deszczu. Słońce znajdowało się dokładnie pomiędzy nimi i obrzeża każdej ze struktur połyskiwały kolorami tęczy, jakby ktoś urządził bezgłośny pokaz sztucznych ogni.

– Zdajesz sobie sprawę, że masz uszy spalone na wiór? – zapytała Grainger.

– Uszy? – Dotknął ich palcami. Naskórek małżowiny był chropowaty jak wysmażony bekon pozostawiony przez noc na talerzu.

– Będiesz mieć blizny – oznajmiła. – Nie mogę uwierzyć, że nic nie zauważyłeś. To musiało cholernie boleć.

– Nie, raczej nie.

Deszcze były coraz bliżej. Kiedy siedziało się w samochodzie jadącym w ich stronę, wydawało się, że zbliżają się dużo szybciej. Lekki skręt kierownicy podyktowany poleceniem z nawigacji i słońce skryło się za welonem wody.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział. Zdenerwował się, wolałby, żeby tak często nie przeszkadzała mu w podziwianiu cudów natury. Nagle zapragnął porozmawiać z nią szczerze. – Nie zastanawiam się, czy wszystko u mnie w porządku. Ja po prostu... jestem.

– Świetnie, ale radzę następnym razem zabrać jakiś krem przeciwsłoneczny. I od czasu do czasu zerknąć w lustro. Dobrze wiedzieć, czy wszystkie członki są na swoim miejscu.

– Chyba pozostawię to w twoich rękach.

Wbrew ich intencjom zabrzmiało to dwuznacznie i po chwili milczenia uśmiechnęli się oboje.

– Nie wiedziałam, że każą ci tak ciężko pracować – powiedziała Grainger. – Myślałam, że jesteś im potrzebny, żeby mogli poznawać Biblię, i do innych, podobnych spraw.

– To nie był ich pomysł, sam chciałem pracować w polu.

– Przynajmniej się opaliłeś. Powinieneś dobrze wyglądać, kiedy zagoją się oparzenia.

– To nie tak, jak myślisz. Zdałem sobie sprawę, że jedzenie, które co tydzień ładujesz na furgonetkę, nie bierze się z powietrza. Chociaż tak pewnie sądzą ludzie z USIC.

– Wychowałam się na farmie – powiedziała Grainger. – Więc jeśli bierzesz mnie za kogoś, kto uważa, że kukurydzę produkuje się w fabrykach nachosów, to jesteś w błędzie. Powiedz mi, gdzie są te pola, na których pracowałeś. Nie widziałam ich.

– Są w środku.

– W środku?

– Osady. Dlatego ich nie widać. Zasłaniają je budynki.

Potrząsnęła głową.

– A niech mnie.

– Miasteczko jest zbudowane wokół upraw – wyjaśnił. – Kiedy trzeba pracować, mieszkańcy schodzą się ze wszystkich stron i spotykają w centrum. Każdy musi przejść mniej więcej taką samą drogę. To piękne i logiczne, nie sądzisz? Nie rozumiem, dlaczego ludzie przez tysiąclecia nigdy nie wpadli na coś takiego.

Spojrzała na niego ironicznie.

– Nie rozumiesz? Uprawa ziemi to ciężka i nudna praca. Większość ludzi woli, żeby wykonywał ją za nich ktoś inny. Najlepiej gdzieś daleko. Poza tym w miastach potrzebne jest miejsce na supermarkety.

– USIC chciałby tu wybudować coś takiego?

Ponieważ znał jej dotychczasowe reakcje, obawiał się, że może się poczuć urażona jego słowami, ale chyba nie zrobiły na niej większego wrażenia.

– Wcale nie. – Westchnęła. – Nie w przewidywalnej przyszłości. Naszym pierwszym zadaniem jest stworzenie ekologicznie zrównoważonego środowiska, w którym da się mieszkać. Czysta woda, odnawialna energia,

zgrany zespół ludzi, krajowcy, którzy będą nas tolerować.

– Szlachetne cele – odparł, opierając się wygodniej w fotelu. Poczł ogarniającą go falę zmęczenia. – Szkoda, że dopiero teraz ktoś zaczyna o tym myśleć.

Wjechali w deszcz. W jednej chwili szyby zalała woda. Wielkie krople spływały zygzakiem, dopóki nie zgarnęły ich wycieraczki. Peter siedział w metalowo-szklanej kapsule, w sztucznie podtrzymywanej atmosferze, oddzielony od deszczu, który zmyłby z niego brud. Mógłby stać nagi na zewnątrz, a czyste strugi obmywałyby mu ciało i mąciły wzrok.

– Naprawdę dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiedział z wysiłkiem. – Po prostu czuję się... dziwnie... zamknięty w tak małej przestrzeni.

Skinęła bez przekonania głową. Peter widział, że Grainger martwi się jego stanem. Mogli zostać jeszcze trochę w osadzie, przygotowałyby się lepiej do podróży. Gdyby przed wejściem do samochodu miał dla siebie choć kwadrans, czułby się o wiele różniej.

– Jesteśmy już w zasięgu – powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

Popatrzył na nią zaskoczony, jakby usłyszał, że za chwilę mogą zginąć od strzałów snajpera.

– Sztosu. Systemu przesyłania wiadomości. Możesz sprawdzić, czy masz nowe listy od żony.

Jeszcze nie, pomyślał. Jeszcze nie teraz.

Chciał odpowiedzieć: Dziękuję, ale wolę to zrobić po kąpieli, kiedy zmienię ubranie, odpocznę chwilę... To była prawda. Ale Grainger pomyślałaby, że nie ma ochoty dowiedzieć się, co słyhać u Bei. Nie chciał, by zwątpiła w jego miłość do żony. Poza tym Grainger robiła to dla niego, była miła i powinien okazać jej wdzięczność.

– Dziękuję, chętnie to zrobię – powiedział. Wycieraczki z piskiem przesuwały się po szybie, niebo się przejaśniło. Peter odwrócił się, by popatrzeć na widok rozciągający się za samochodem. Deszcze kierowały się w stronę C-2 i wkrótce uwolnią wody nad dachem jego kościoła.

– Okej, mamy połączenie – powiedziała Grainger. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą położyła mu na kolanach przenośne urządzenie.

Wpisał hasło i zalogował się. Bea przysłała kilkanaście wiadomości, może nawet dwadzieścia. Były posegregowane według dat, ale te cyferki nic mu nie mówiły. Otworzył najstarszą i ekran zapełnił się tekstem. Pisała mu, że go kocha. Peter, kochany... Przeczytał nagłówek kilka razy. Nie chciał się nim delektować, ale czekał, aż słowa staną się czymś więcej niż zbiorem pikseli, czekał, aż usłyszy jej głos.

Właśnie się dowiedziałam, dlaczego zamknięto supermarket. Zbankrutowali! Niesamowite! Tesco, jedna z największych korporacji na świecie! Obracali takimi wielkimi sumami i zdaje się, że właśnie to ich



pograżyło. Jedna ze stacji telewizyjnych pokazała reportaż, coś w rodzaju nekrologu, i wtedy zrozumiałam, co się stało. To było nieuchronne. Ale nawet rzeczy nieuchronne potrafią zaskakiwać, prawda? Tesco zainwestowało olbrzymie sumy w Exxon Mobil, który miał kłopoty, od kiedy Chińczycy zaanektowali pola naftowe w Iraku, Iranie i Kazakstanie (tak to się pisze?). Mieli też udziały w liniach oceanicznych ponoszących straty w wyniku działalności piratów, a dużą część zysków inwestowali w Tajlandii, gdzie doszło do przewrotu wojskowego. Sporo kosztował ich upadek banku Barclays, który pociągnął na dno kilka ich spółek. Tyle pamiętam z tego programu, a było sporo więcej informacji. Korporacja miała powiązania z setkami innych firm, to się nie mieści w głowie; chodzisz spokojnie między rzędami półek w sklepie i szukasz kociej karmy, a nagle te firmy upadają i trzask, prask, już po Tesco. „To koniec pewnej epoki”, powiedział jeden z prezenterów, moim zdaniem trochę zbyt pompatycznie.

Zauważyłeś, że prezenterzy wiadomości lubią kończyć wypowiedzi okrągłymi, banalnymi, dźwięcznymi zdaniami? Nawet odpowiednio modulują głos, kiedy czytają kilka ostatnich linijek tekstu. Taki dźwięk na zakończenie.

Przepraszam, że piszę tak chaotycznie. Zazwyczaj to ja prowokuję Cię do takich wynurzeń, a teraz sama im ulegam. Może staram się wypełnić pustkę po Twoim głosie! A może to prawda, co mówią o małżeństwach – ludzie zamieniają się osobowościami i kończą za siebie zdania.

Dzisiaj Frame'owie wyprowadzali się z domu. Sheila podrzuciła mi Billy'ego, tak jak się umówiliśmy. Zabrałam go na wystawę kotów. Było zabawnie i chyba mu się bardzo podobało, chociaż szeptał mi do ucha, że to głupie, i nabijał się z wystawców. Ale tak jak przewidywałam, w końcu uległ urokowi zwierzaków! Muszę przyznać, że i ja gapiałam się z rozkoszą na te wszystkie kocury. Bóg musiał się dobrze bawić, kiedy stwarzał tyle różnych futrzaków! (Może jestem niesprawiedliwa i więcej zabawy sprawiły mu ryby, owady lub coś innego).

Przez cały dzień rozmawiałam z Billym na różne tematy, takie zwykłe, banalne pogaduszki, ale tuż przed przyjściem Sheili otworzył się przede mną. Spytałam go, co myśli o tym, że jego ojciec wyjeżdża do innego kraju. „Mój tata powiedział, że teraz nie ma już państw. Przestały istnieć. Anglia i Rumunia są częścią tej samej całości”. Przez chwilę myślałam, jakie to miłe – Mark zapewnia chłopca o tym, że jesteśmy jedną wielką wspólnotą. Ale nie o to chodziło. Mark opisał mu mapę świata, która przypomina ogromny kawał plastiku dryfujący na morzu. Ta tratwa przepełniona jest ludźmi, którzy trzymają się jej kurczowo, żeby nie wypaść. Czasami zbyt dużo osób gromadzi się na jednym końcu i wtedy zaczyna tonąć. Wtedy trzeba biec tam, gdzie nie ma

tłoku. Kiedy i tam zrobi się za ciasno, trzeba znowu znaleźć inne miejsce. Zawsze są miejsca, gdzie jest lepiej: tańsze mieszkania, jedzenie i paliwo. Jedziesz tam i przez jakiś czas jest w porządku. A kiedy sprawy zmieniają się na gorsze, uciekasz gdzie pieprz rośnie. Powiedział, że tak postępują zwierzęta. „Zwierzęta nie mieszkają w państwach, zamieszkują terytoria. Czy dzikie zwierzęta obchodzi, jak nazywa się jakieś miejsce? Mają to w dupie”. Takiego słowa użył Billy, więc chyba usłyszał je od ojca. Co za dawka geopolityki dla takiego małego chłopca! Oczywiście nie wspomniał mu o dwudziestosiedmioletniej Nicole, która ma coś wspólnego z promocją zespołów muzycznych i tak się składa, jest Rumunką. Ale dość o tym.

Mam na kolanach koc, kiedy to piszę. Ty pewnie się pocisz i jest Ci gorąco, ale u nas jest zimno i od tygodnia nie ma gazu. Nie z powodu jakiegoś wypadku czy kłopotów technicznych, lecz idiotycznej biurokracji. Firma dostarczająca gaz – raczej powinnam napisać to w czasie przeszłym – dostawała pieniądze z naszego konta w banku Barclays (zleciliśmy im obsługę tych rachunków). Kiedy Barclays zbankrutował i przeszliśmy do Bank of Scotland, coś pomieszali w danych. Błąd systemu. I niespodziewanie dostałam wezwanie do zapłaty. Staralam się to uregulować – i tu zaczynają się schody. Nie chcieli ze mną rozmawiać, ponieważ nie jestem właścicielką konta. Chciałam im zapłacić, ale ciągle powtarzali, że muszą się porozumieć z właścicielem, to znaczy z Tobą. Godzinami rozmawiałam z nimi przez telefon. Zastanawiałam się, czy nie poprosić sąsiada, by swoim niskim głosem spróbował się pod Ciebie podszyć. To oczywiście byłoby oszustwo i pewnie spytaliby go o panięskie nazwisko twojej matki. W końcu uznałam, że nic się nie da zrobić. Poczekam, aż dostanę wezwanie do sądu, i może wtedy to się wyjaśni. Tymczasem podpisałam umowę z nowym dostawcą gazu, ale podłączenie potrwa kilka dni. Mówili, że ta paskudna pogoda w Anglii spowodowała zniszczenia w instalacji i (cytuję inżyniera, z którym rozmawiałam) „technicy biegają jak koty z pęcherzem”. Facet powinien dostać pracę w reklamie!

Pamiętasz Archiego Hartleya? Niedawno wpadłam na niego przypadkiem w bufecie w szpitalu i on

Peter oparł się wygodniej w fotelu i odetchnął głęboko. Mimo że z klimatyzatora wydobywało się chłodne powietrze, spływał potem. Krople spadały mu z czoła i wpadały do oczu.

– Już skończyłeś? – spytała Grainger.

– Nie... jeszcze minutkę... – Czuł się tak, jakby miał zemdleć.

– Złe nowiny?

– Nie... chyba nie. Tylko... wiesz, tyle trzeba nadrobić...

– Posłuchaj, Peter – powiedziała powoli Grainger, starając się, by zrozumiał, że mówi szczerze – to się zdarza. Nam wszystkim.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ty jesteś tu, ona tam. To normalne.
- Normalne?
- Rozdźwięk. Pęknięcie. Powiększa się coraz bardziej i w końcu... jest trudne do pokonania. Jak... – Zabrakło jej słów i postanowiła wyrazić to gestem. Na kilka sekund puściła kierownicę (droga była prosta, płaska i pusta, więc nie było żadnego zagrożenia) i uniosła ręce. Dłonie trzymała równolegle, oddalone od siebie zaledwie na kilka centymetrów. Pomyślał, że za chwilę złoży je w modlitewnym geście niczym średniowieczny mnich. Ale zamiast tego zaczęła je rozsuwać. Po chwili zwiotczały i opadły bezwładnie, jakby każda z nich oderwała się od ciała i poszybowała w przestrzeń.

## Ciągle migotał pod słowem „tu”

Diszdasza zwisała z sufitu jak duch. Mimo że Peter wyjął mocno płótno, postrzępione rękawy i spód szaty nasiąkały spływającą wodą. Po jakimś czasie zaczęły z nich kapać krople, które przypominały mu łzy spadające z zasmuconej twarzy. Trudno, za chwilę powinna wyschnąć. Wyregulował klimatyzację i powietrze w pokoju miało taką samą temperaturę jak na zewnątrz. Nie chodziło tylko o pranie. Po powrocie do bazy czuł się skrępowany i nie chciał się znaleźć w sztucznej bańce schłodzonego tlenu.

Diszdasza była już czysta; krzyż z tuszu zblakł, przybierając jasnofioletowy odcień. Peter powiesił szatę na sznurku do suszenia bielizny spuszczanym i podnoszonym ręcznie za pomocą prostego mechanizmu. Po raz kolejny przekonał się, że USIC lubi korzystać z tradycyjnych rozwiązań. Spodziewałby się raczej elektrycznej suszarki sterowanej komputerowo. Jak na Ziemi – miliony megawatów, by wysuszyć parę skarpetek. Nawet na pralce, z której nie skorzystał, zobaczył naklejkę z napisem OSZCZĘDZAJ WODĘ – JEŚLI MOŻESZ, PIERZ RĘCZNIE. Poprzedni lokator pokoju dopisał: CZY PROPONUJE PANI COŚ KONKRETNEGO?

Kto to napisał? Jeden z bezimiennych pracowników, który zwariował po kilku tygodniach? Nawet Grainger, kiedy go odbierała, przyglądała mu się, szukając oznak szaleństwa. A może podejrzewała, że ma ochotę zniknąć jak Tartaglione lub Kurtzberg?

Po kąpieli stanął nagi przed lustrem i przyglądał się sobie, szukając zmian po pobycie u Oazjan. Uszy były spalone słońcem, skórę na czole też miał przypieczoną. Nic wielkiego, opalił się i wyglądał zdrowo. Stracił na wadze i żebra rysowały się wyraźniej. Ogoliwszy się, zauważył, że pozbył się niewielkiej warstwy tłuszczu na podbródku. Rysy twarzy wyostrzyły się i nie wyglądał już tak dobrodusznie. Ta dobroduszność zawsze była pozorna. W czasach bezdomności Peter wykorzystywał ją, by sprawiać wrażenie naiwnego prostaczka. Chciał, żeby ludzie bez obaw pozwalali mu korzystać z kuchni i nie mieli oporów przed pozostawieniem go na jakiś czas samego na tylnym siedzeniu ich samochodu. W tym czasie kradł aparaty fotograficzne, komórki i biżuterię, wszystko, co wpadło mu w ręce. Po godzinie miał już pieniądze, a po dwóch wciągał kreski koki albo przepijał swój łup.

„Wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej”<sup>25</sup>. To jeden z ważniejszych wersów, które go w końcu uratowały; jeden z tych chwytliwych biblijnych cytatów, które wszyscy znają, ale nie potrafią ich docenić, dopóki nie znajdą się na samym dnie, dławiąc się własnymi wymiocinami.

Posypał talkiem obtarte pachwiny. Na delikatnej skórze moszny miał kilka niewielkich strupów – musiał się zadrapać, chociaż nie pamiętał kiedy. Ranki wyglądały niegroźnie i powinny zniknąć za kilka dni. Z uszu i czoła odpadną mu białe płatki, odsłaniając różowe ciało. Zapadnięty brzuch zaokrągli się, kiedy tylko Peter zje kilka solidnych posiłków. Grzybicze narośle pomiędzy palcami stóp wyleczy się płynem od Grainger, a po obrzękach na kolanach i łokciach wkrótce nie będzie śladu.

Gdyby Bea zobaczyła go w tej chwili, mogłaby się przestraszyć. Nie znosiła, kiedy miał jakiegokolwiek rany. Robiła aferę z powodu najmniejszego zadrapania na dłoni, nalegała, by naklejał plaster na skaleczenia, które znikwały po kilku godzinach. Uwielbiała całować go w koniuszki palców, kiedy za krótko przyciął paznokcie. Teraz miałyby mnóstwo miejsc do obcałowania.

Jeszcze jej nie odpisał, a Sztos przechowywał co najmniej dwadzieścia pięć nieprzeczytanych wiadomości. Cztery lub pięć nadeszło w ciągu ostatnich kilku godzin, musiała obliczyć, że wrócił już z osady. Nie był gotowy na rozmowę z nią, nawet korespondencyjnie. Musiał z powrotem zaaklimatyzować się w bazie, przyzwyczać do życia bez Oazjan, dostosować do skomplikowanych, a zarazem błahych ludzkich spraw.

– Co tam nowego u Dziwołągów?

Tuska uśmiechał się szeroko, by pokazać, że nie chce go urazić. Miał już gęstą, mocno przetykaną siwizną brodę. Postarzała go, a jego szyja była zaczerwieniona, podrażniona ostrymi, kłującymi włosami. Peter od razu zorientował się, że Tuska długo nie wytrzyma i wkrótce się ogoli. Dlaczego ludzie tak bardzo chcą zmienić swój wygląd, by za chwilę wrócić do tego, co najbardziej im odpowiada? O co im wszystkim chodzi?

– Mają się doskonale – odpowiedział po zbyt długiej chwili wahania. – To dobrzy ludzie.

– Tak? Skąd wiesz?

Siedzieli przy stole w kantine. Tuska zjadał spaghetti bolognese (makaron i mielone mięso z białych kwiatów, importowany sos pomidorowy i zioła), a Peter naleśniki (wyrób w stu procentach miejscowy). Sala tętniła hałasem, na który składały się dudniące uderzenia kropel deszczu o szyby, gwar rozmów, brzęczenie metalowych tac, szuranie krzesel, trzask otwieranych i zamykanych drzwi i Frank Sinatra śpiewający *My Funny Valentine*. Dla Petera ten rozgardiasz i krzątania były trudne do zniesienia, ale wiedział, że musi się do tego przyzwyczać i wejść w ten specyficzny rytm. Oczywiście w sensie przenośnym, bo rytmiczne frazowanie Sinatry było poza jego zasięgiem.

Ktoś strzelił palcami tuż przy jego twarzy.

– Peter, jesteś tu? – zapytał Tuska.

– Przepraszam, ale nie znoszę takiej muzyki.

Odpowiedź była wymijająca, ale prawdziwa. Pełen samozadowolenia

gardłowy śpiew Sinatry rozsadzał mu bębenki w uszach. Muzykę puszczoneo bardzo głośno, by przebijała się przez panujący tu hałas. Peter odczuwał ją niemal fizycznie, na granicy bólu, jakby jakiś dowcipniś szturchał go dotkliwie w żebra.

– Da się przeżyć. – Tuska wzruszył ramionami. – To tylko drgania fal dźwiękowych, Peter. Wzbudzone cząsteczki, które po chwili tracą energię. Nie ma co się denerwować.

„Bo walentynki są codziennie”, podlizywał się Sinatra, podczas gdy Tuska nawijał na widelec kolejną porcję spaghetti.

– Ktoś tu obraża mojego niebieskookiego chłopca. – Kobieta siedząca przy sąsiednim stole wstała i zbliżyła się do nich niepostrzeżenie. Przyniosła ze sobą miseczkę z deserem. Była to koleżanka BG, nawet fizycznie trochę do niego podobna, chociaż miała biały kolor skóry i blond włosy. Spojrzała na Petera z żartobliwą przyganą. – Słyszałam, że obrażasz boskiego Franka.

– Przepraszam – odpowiedział. – Powinienem mieć więcej oleju w głowie.

– Ideał amerykańskiego piosenkarza – poinformowała go z kamienną twarzą. – Nikt nie może się z nim równać. Szczytowe osiągnięcie ludzkości.

Peter przytaknął z pokorą.

– Może nie jestem w odpowiednim wieku, żeby to docenić.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści dwa.

– Ja mam tyle samo!

– I jestem Anglikiem.

– Al Bowlly, Noël Coward, Shirley Bassey? – Powiedziała to, jakby każdy Brytyjczyk pękał z dumy na sam dźwięk tych nazwisk.

– O kurczę – westchnął Peter. – Trochę się pogubiłem.

Zamilkli na chwilę, a Frank Sinatra zaczął nową piosenkę o starej ciotuni i drzewku kauczukowym.

– Nic nie szkodzi – powiedziała wyrozumiale kobieta. – Nie wszyscy muszą lubić to samo. Nie ma przymusu.

Przypomniał sobie jej imię: Iris. Iris Berns. Pochodziła z rodziny zielonoświątkowców, ale była ateistką. Kochała grać w karty, miała siostrę, która utopiła się w basenie, z BG lubili dowcipkować o sile odśrodkowej centryfugi. Mimo męskiego wyglądu była heteroseksualna. Te fragmentaryczne informacje nie układały się w żadną sensowną całość. Nawet gdyby Peter zwrócił się teraz do niej po imieniu, mogłaby pomyśleć, że przypomniał to sobie za późno. Poza tym pewnie wołała, żeby nazywał ją Berns, tak jak pozostali pracownicy bazy.

Dlaczego nawet najbliższa rozmowa pomiędzy ludźmi musiała być najeżona pułapkami i skażona fałszem? Dlaczego ludzie nie potrafili milczeć tak jak Oazjanie, jeżeli nie mieli nic ważnego do powiedzenia?

– Zejdź z niego – rzucił Tuska. – Właśnie wrócił z dłuższego pobytu u Dziwołągów.

– Naprawdę? – Berns postawiła swój deser na stoliku i usiadła obok nich. – Następnym razem powinienesz zabrać krem z filtrem.

– Tak zrobię – zapewnił Peter. Zdawał sobie sprawę, że jego czerwona twarz rzuca się w oczy, zwłaszcza że coś strzeliło mu do głowy i włożył sweter na podkoszulek. Początkowo uznał to za dobry pomysł – dawał do zrozumienia, że jest zwyczajnym chłopakiem z miasta, a nie dziwadłem lubiącym wałęsać się po pustyni.

– Dziwię się, że tak się spiekłeś – powiedziała Berns. Mieszała w misce ciemnoczerwony syrop z czymś, co przypominało jogurt. Składniki łączyły się powoli w jednolitą różową masę. – Chyba nie lubią spędzać zbyt wiele czasu na świeżym powietrzu, co?

Peter poprawił sweter przy szyi, robiło się za gorąco.

– Pracują na zewnątrz prawie każdego dnia.

– Naprawdę?

– Tak.

– Co robią?

– Uprawiają rośliny, które potem zjadamy.

Berns przełknęła kilka łyżek deseru.

– Byłam kilka razy w osadzie i nigdzie nie widziałam pól, szklarni ani nic takiego.

– Bo są w centrum.

– W centrum?

– Pośrodku osady. – Peter odetchnął głęboko. Czoło pokryte miał potem. – Nie mówiłem już tego?

– Chyba jakiejś innej, złotko.

– Nie nazywaj go złotkiem – odezwał się Tuska. – To kaznodzieja.

– Pola są pośrodku osady – wyjaśnił Peter. – Otaczają je budynki.

– To by się zgadzało – powiedziała Berns.

– Zgadzało? Z czym?

– Są bardzo skryci.

Peter otarł czoło rękawem.

– To nie dlatego... – Jego głos brzmiał zbyt słabo. Gromada dzieci przybyła na pomoc Sinatrze i chórem śpiewali refren *High Hopes*. Słyszając te dźwięki, Peter stracił chęć, by wyjaśniać niuanse oazjańskiego rolnictwa.

Berns wstała i zawołała na cały głos:

– Hej, Stanko! Możesz puścić coś innego? Nasz pastor ma tego dość!

– Nie, dlaczego? – zaprotestował Peter, kiedy wszyscy w sali zaczęli mu się przyglądać. – Nie trzeba... – Ale poczuł ulgę, kiedy głosy Franka i chóru dzieciaków urwały się w pół tonu i zostały zastąpione przez dźwięki fortepianu i leniwie potrząsanych marakasów.

Berns usiadła i dokończyła deser, a Tuska pochłonął resztę spaghetti. Peter przełknął tylko kilka kęsów swoich naleśników i poczuł, że jest pełen. Oparł się na krześle; w uszach brzęczał mu gwar ożywionych rozmów kilkudziesięciu

osób – techniczny żargon, uwagi o jedzeniu, drobne różnice zdań w sprawach zawodowych i wolapikowy miszmasz urywków słów i zdań, wszystko to przeplatane brazylijską sambą.

– Jaką muzykę lubisz, Peter? – zapytała Berns.

– Hm... – W głowie miał pustkę. Nazwy, które mógłby rzucić, zniknęły. – Szczerze mówiąc – powiedział z westchnieniem – nie przepadam za muzyką z nagrań. Lubię muzykę na żywo, kiedy jestem przy tym, jak powstaje. Wtedy podziwia się nie tyle utwór, co wykonanie, uczestniczy w święcie, w którym ludzie robią coś wspólnie. Coś, co może być okropne, staje się cudowne za sprawą talentu, zaufania i zapału.

– W takim razie powinieneś dołączyć do naszego klubu Glee<sup>26</sup>.

– Klubu Glee?

– Naszego chóru. Niektórzy z nas spotykają się co sto osiemdziesiąt godzin i śpiewają razem. Taki koleżeński nieformalny klub. Byłbyś zachwycony. Jesteś tenorem?

– Chyba... tak.

– BG to najbardziej basowy bas. Musisz go kiedyś posłuchać.

– Bardzo bym chciał.

– I nie mamy w repertuarze Sinatry.

– To świetnie.

– Jasne, że tak – mówiła szczerze. Uświadomił sobie, że Berns nie chce, by się od nich oddalił, przerwał pępowinę. Próbuje go powstrzymać przed zostaniem krajowcem.

– Ile osób liczy ta grupa? – zapytał.

– W zależności od tego, ile mamy pracy, ale nigdy mniej niż sześć. Czasami zbiera się dziesiątka. Każdy jest mile widziany, Peter. To dobre dla duszy, jeśli pozwolisz mi to tak ująć.

– Tuska też z wami śpiewa?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Nie ma mowy. Wyję jak wentylator. Zepsuty wentylator.

– Każdy potrafi śpiewać – zaoponowała Berns. – Trzeba tylko ćwiczyć. I mieć wiarę w siebie.

– Wiary mi nie brak – powiedział Tuska. – Ale to nie zmieni mi głosu.

Berns popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Masz sos na brodzie, złotko.

– Jasna cholera! – Tuska potarł sobie brodę. – Przepraszam za łacinę. Ale z brodą koniec.

– Lepiej wyglądasz ogolony – powiedziała Berns, wycierając usta serwetką. (Płócienną, z napisem W USIC NIE MARNUJEMY PAPIERU). Następnie zwróciła się do Petera: – Twoja broda była w porządku. Widziałam cię, kiedy wróciłeś z Grainger. Była stylowa.

– Dziękuję, ale... Tam po prostu nie miałem czym się ogolić. Używam



maszynki elektrycznej i jak nie ma... hm... – Co za bzdury opowiadam, pomyślał. Tylko na tyle mnie stać?

– Warunki w C-2 są naprawdę tak prymitywne, jak mówią? – zapytała.

– Kto mówi, że są prymitywne?

– Każdy, kto tam był.

– A kto tam był?

– Grainger...

– Grainger nie zagłębia w głąb osady. – Zdawał sobie sprawę, że mówi to zbyt gwałtownie. Nie potrafił się pohamować i nie był obiektywny. – Nigdy nie przekroczyła progu domu Oazjan.

Berns uniosła brwi. Chyba pierwszy raz usłyszała to określenie.

– Więc jak tam jest? Jak oni żyją?

– Dość minimalistycznie. To ich wybór. Nie użyłbym słowa prymitywnie.

– Nie mają elektryczności?

– Nie jest im potrzebna.

– Co oni w ogóle robią?

Musiał się skupić, żeby ukryć przed Berns, jak irytują go te pytania.

– Pracują, śpią, jedzą, rozmawiają. Tak jak my.

– A o czym ze sobą rozmawiają?

Chciał wyjaśnić, ale część jego mózgu, która odpowiadała za te informacje, wypełniał niezrozumiały bełkot, oderwane szeptki w obcym języku. Dziwne. Kiedy przebywał wśród Oazjan i słyszał, jak do siebie mówią, na tyle przyzwyczał się do dźwięku ich głosów i poznał mowę ich ciała, że prawie ich rozumiał. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Nie wiem.

– Czy potrafisz powiedzieć w ich języku „Dzień dobry, cieszę się, że was widzę?”.

– Niestety nie.

– Tartaglione bez przerwy próbował nam coś takiego wydukać...

– Tylko mu się wydawało, że wymawia właśnie te słowa – parsknął Tuska. – Powtarzał to, co usłyszał od nich przy pierwszym spotkaniu. Do cholery, to mogło oznaczać „Śmiało stary, podejdź tu, już dawno nie jedliśmy Italiańca”.

– Jezu, Tuska – powiedziała Berns. – Daj już spokój ze swoimi dowcipami o kanibalach. Ci goście są zupełnie niegroźni.

Tuska pochylił się nad stołem i utkwiał spojrzenie w Peterze.

– A właśnie, to mi przypomina, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Nie zdążyłeś, bo przeszkodził nam Frank Sinatra.

– Hm... możesz odświeżyć mi pamięć?

– Skąd możesz wiedzieć, że to dobrzy ludzie? Co takiego dobrego robią, że mówisz o nich w ten sposób?

Peter zastanawiał się przez chwilę. Strużki potu spływały mu po karku.

– Chyba chodzi o to, że nie robią nic złego.

– Naprawdę? Więc co masz tam do roboty?

– Roboty?

– Tak. Pastor ma łączyć ludzi z Bogiem, mam rację? Albo z Jezusem Chrystusem, nieważne. Bo ludzie grzeszą i potrzebują przebaczenia, tak? Więc... jakie grzechy oni mają na sumieniu?

– Z tego, co wiem, żadnych.

– Hm... nie zrozum mnie źle, Peter, ale... co tu jest naprawdę grane?

Peter znów otarł pot z czoła.

– W chrześcijaństwie nie chodzi tylko o przebaczenie, lecz także o spełnione i radosne życie. Bycie chrześcijaninem to olbrzymia radość, wielu ludzi tego nie rozumie. Daje szczęście. Budzisz się rano przepełniony pozytywnymi emocjami i z niecierpliwością wyczekujesz każdej nowej chwili.

– Jasne – odpowiedział z kamienną twarzą Tuska. – Radość aż promieniuje z mieszkańców Miasta Dziwołągów.

Berns, obawiając się, że zaraz zacznie się kłótnia, dotknęła ramienia Petera i wskazała na jego talerz.

– Wystygną ci naleśniki.

Popatrzył na jedzenie. Ciasto wyschło i przypominało gumową psią zabawkę w kształcie kości.

– Chyba nie dam rady tego skończyć – powiedział.

Wstał i zdał sobie sprawę, jak bardzo chce mu się spać. Pomylił się – jeszcze nie był gotów na spotkania towarzyskie. Z trudem zachowywał równowagę i obawiał się, że wezmą go za pijanego.

– Przepraszam, ale muszę się na trochę położyć – powiedział.

– Dekompresja – mruknął Tuska.

– Odpocznij – odezwała się Berns. Kiedy szurając nogami, ruszył do wyjścia, dorzuciła: – I nie stań się obcy.

W pokoju opadł na łóżko i przespał pół godziny. Obudziły go gwałtowne mdłości. Zwrócił niestrawione naleśniki do sedesu, napił się wody i poczuł się lepiej. Żałował, że nie ma kawałka **xjd** do żucia. Pozwalała zachować świeżość w ustach i zmniejszała pragnienie. W osadzie pomimo upału pił bardzo mało, chyba mniej niż litr dziennie. Większa ilość powodowała, że czuł się jak butelka, do której ktoś stara się wlać wiadro wody. W takim wypadku ciało usiłuje się pozbyć nadmiaru płynów wszelkimi sposobami.

Diszdasza była jeszcze mokra, ale schła szybko. Wiedząc, że niedługo będzie mógł ją włożyć, rozebrał się do majtek. Po kilku minutach pozbył się także ich. Denerwowały go.

Peter, dlaczego do mnie nie piszesz? – pytała Bea w najnowszej, dopiero co nadesłanej wiadomości. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale tu jest coraz gorzej i trudno mi sobie radzić bez Twojego wsparcia. Nie mogę się przyzwyczaić do braku kontaktu z Tobą. Cięża na pewno powoduje, że

jestem bardziej drażliwa i nie chcę wyjść na użalającą się nad sobą, opętaną hormonami babę, ale Twoje milczenie mnie dobija.

Czuł, że się rumieni po same koniuszki uszu. Zawiódł swoją żonę, zawiódł ją! Obiecał, że będzie codziennie pisał. Był zajęty i oszołomiony i Bea to rozumiała, ale... złamał obietnicę, i to nie raz. Teraz, pod wpływem udręki, pisała mu o tym wprost.

Gdyby wysłała mu tylko tych kilka zdań, krótką wiadomość, może odpowiedziałby od razu. Krótki list, żeby podnieść ją na duchu. Ale napisała więcej, dużo więcej.

Wzięłam zwolnienie - ciągnęła. Prawą rękę mam zabandażowaną i nie jestem w stanie zajmować się chorymi (nie mówiąc o sprawach związanych z higieną). Nic poważnego, ale trochę to potrwa, nim się zagoi. Moja wina. Wiesz, że okno w łazience jest stłuczone. Graeme Stone powiedział, że je naprawi, ale mijały dni, a on nie przychodził. Zadzwoiłam do niego. Był zmieszany, powiedział, że przeprowadził się do Birmingham. Zupełnie nagle. Do domu jego mamy włamały się jakieś zbiry i ją pobili. Musiał z nią zamieszkać; opiekuje się starszą panią i naprawia szkody. Więc zadzwoniłam do firmy, która naprawia okna, tej obok nas, ale powiedzieli, że mają mnóstwo zgłoszeń z powodu huraganów i coraz liczniejszych aktów wandalizmu. I że będę musiała długo czekać, aż znajdą czas. Nasza łazienka jest w okropnym stanie, wszędzie pełno błota i jest za zimno, żeby się kąpać. Myłam się pod kranem w kuchni, a w całym domu trzaskały drzwi od przeciągów. No i to niebezpieczne, ktoś mógłby się wdrapać do środka. Pomyślałam, że w miejsce stłuczonej szyby wstawię kawałek plastiku i przykleję go taśmą izolacyjną. Zanim się zorientowałam, miałam rozciętą dłoń. Mocno krwawiła i trzeba było założyć pięć szwów. Dziś rano umyłam się lewą ręką nad zlewem. Wiatr hulał po całym domu, szyby drżały w pozostałych oknach, drzwi od łazienki trzaskały bez przerwy. Przyznaję, że trochę płakałam, ale potem przypominałam sobie o nieszczęściach i strasznych cierpieniach ludzina całym świecie.

Pewnie nie słyszałeś - wybuch wulkanu zniszczył jedno z najgęściej zaludnionych miast w Gwatemali. Nie będę próbowała wymieniać jego nazwy, brzmi jak imię jakiegoś azteckiego bóstwa. Cały wierzchołek wulkanu Santa Maria eksplodował i zasypał popiołem i lawą tereny w promieniu setek mil. Tysiące aut zablokowało drogi, każdy starał się uciec, zabierając tyle dobytku, ile się dało. Na dachy samochodów ładowano sprzęty z całego domu, na rowery dziecięce łóżeczka i podobne rzeczy, szaleństwo. Wszyscy jechali na skrót, nawet przez budynki i sklepy, wpadali na siebie, kierowcy wychodzili przez wybite szyby, bo nie mogli otworzyć drzwi, armia próbowała wyburzyć niektóre domy, żeby rozładować korki, ale wokół było za dużo ludzi. Samoloty nie miały skąd startować i gdzie lądować, cały region stał się wielkim

masowym grobem. Ludzie, którym zostały sekundy życia, filmowali lawę telefonami komórkowymi i wysyłali zdjęcia do krewnych za granicą. A teraz posłuchaj: NIE MA AKCJI RATUNKOWEJ. Możesz to sobie wyobrazić? Nie ma czego i kogo ratować. Miasto przestało istnieć, teraz to część wulkanu, jego geologicznej struktury. Tyle ludzi, każdy ze swoimi planami, a co z nich zostało? Tylko ślady pierwiastków chemicznych.

Chmura popiołu jest gigantyczna, samoloty nie latają, nie tylko w rejonie Ameryki Środkowej, lecz na całym świecie. A przecież loty zostały wznowione dopiero niedawno po wcześniejszym zawieszeniu na skutek zbombardowania lotniska w Lahore. Linie lotnicze obsługujące rejsy do USA zbankrutowały. Mam skurcze żołądka od tych wszystkich wiadomości. Pamiętam, jak stałam na Heathrow, obserwowałam startujące maszyny i zastanawiałam się, w której siedzisz i kiedy przylecisz z powrotem. To, co się stało z liniami lotniczymi, ma wymiar symboliczny. To jakby znak, że nie będziesz mógł wrócić do domu.

Dookoła wszystko się wali, znikają instytucje, które funkcjonowały od zawsze. Tak było od lat, wiem, ale teraz nabrało to przyśpieszenia. Tym razem dzieje się tak nie tylko ze słabymi, lecz z czołówką, z największymi. Wszyscy dostają w kość i nie chodzi jedynie o bankructwa. Kilkoro z najbogatszych ludzi w Ameryce zostało zamordowanych w zeszłym tygodniu. Wyciągnęli ich z domów i zatłukli na śmierć. Nikt nie wie dokładnie dlaczego, ale stało się to podczas przerwy w dostawie prądu w Seattle. Wszystkie systemy miejskie padły, ludzie nie dostawali wypłat, nie działały bankomaty, kasy w bankach, zamki elektroniczne, telewizja, światła na skrzyżowaniach, stacje benzynowe (nie wiedziałam, że dystrybutory potrzebują prądu, ale chyba tak jest). W ciągu czterdziestu ośmiu godzin rozpoczęło się plądrowanie, a potem ludzie zaczęli się zabijać.

Sytuacja w Wielkiej Brytanii nie jest wcale lepsza. Pogarsza się, od kiedy Cię nie ma. Czasami myślę, że to Twój wyjazd spowodował, że świat się wali!

Było tego więcej, dużo więcej. A we wcześniejszych wiadomościach kolejna porcja. Spis niedobrych rzeczy, które działy się w domu. Skargi na absurdy w kontaktach z zakładami użyteczności publicznej, brak świeżych jajek, zamieszki na Madagaskarze, Joshua sikający na łóżko, za mała pralka, w której nie mieści się ich małżeńska kołdra, zamknięcie pralni, odwołanie sobotnich nabożeństw dla dzieci w kościele, stan wyjątkowy w kolejnym państwie czy stanie (nie był pewien, czy chodzi o Gruzję, czy Georgię w Stanach Zjednoczonych. Bea wcześniej coś o tym wspominała, ale nie czuł się na siłach przeszukiwać starych wiadomości). Mirah z mężem wyjechali do Iranu i zostawili Bei swój dług do spłacenia – trzysta funtów. Skok napięcia, który przepalił wszystkie żarówki w domu, rządowi „specjaliści od żywienia”, którzy

bronili drastycznych podwyżek cen pełnotłustego mleka, wybite szyby i napisy „na sprzedaż” w oknach hinduskiej restauracji naprzeciwko. Poranne mdłości Bei i środki, jakich chwyciła się, by im zapobiegać. Dymisja ministra, który w wywiadzie prasowym powiedział, że sytuacja w Wielkiej Brytanii została „spierdolona”. Niespełnione marzenia Bei o serniku w polewie z toffi i seksie ze swoim mężczyzną. Wiadomości o wspólnych znajomych, których Peter kompletnie nie pamiętał.

Ale przede wszystkim ból, że do niej nie pisał.

Dziś rano szalałam z przerażenia, byłam pewna, że nie żyjesz. Liczyłam godziny i kiedy nadszedł czas Twojego powrotu z osady, sprawdzałam co dwie minuty, czy nie ma od Ciebie wiadomości. I... nic. Miałam wizje, jak umierasz na jakąś egzotyczną chorobę po zjedzeniu czegoś trującego albo że zostałeś zamordowany przez ludzi, których nauczasz. Tak umierają misjonarze, prawda? Nie mogłam wymyślić innego powodu, z jakiego tak długo milczysz. Wreszcie nie wytrzymałam i napisałam do tego faceta z USIC, Alexa Graingera, i od razu dostałam odpowiedź. Poinformował mnie, że u Ciebie wszystko w porządku i masz teraz brodę. Wyobrażasz sobie, jak się czułam, prosząc obcego o wiadomości na temat swojego męża? Zakosztowałam wiele goryczy i upokorzeń w swoim życiu, ale to było wyjątkowo trudne do przełknięcia. Jesteś pewien, że w głębi duszy nie jesteś zły, bo zaszłam w ciążę? Źle zrobiłam, przestając brać pigułki w tajemnicy przed Tobą, wiem. Proszę, przebacz mi. Zrobiłam to z miłości do Ciebie i ze strachu, że umrzesz i nic mi po Tobie nie pozostanie. Musisz mi uwierzyć, że nie zrobiłam tego z egoizmu. Modliłam się bez przerwy i zastanawiałam się, czy nie jestem po prostu kobietą tęskniącą za potomstwem. Chyba nie, chodzi mi tylko o miłość do Ciebie i dziecka, które przechowa część mojego Petera. Wiem, złamałam nasze ustalenia i to było złe, mieliśmy poczekać, ale pamiętaj, że mieliśmy też umowę, że nie będziesz już nigdy pił. Kiedy poszedłeś w tango w czasie wyjazdu do zielonoświątkowców w Salford, z trudem się pozbierałam. Zrozumiałam, dlaczego nie wytrzymałeś, i przetrwaliśmy to. Chociaż obiecywałeś i nie dotrzymałeś przyrzeczenia, uporaliśmy się z tym i żyliśmy, jakby nic się nie stało. I tak być powinno. Nie chcę moralizować, ale zapamiętaj w Salford nie dlatego, że mnie kochałeś, tymczasem ja zaszłam w ciążę właśnie z tego powodu.

Dobrze, dość o tym. Ręka mnie boli od stukania w klawiaturę, a Ciebie pewnie rozboleła głowa. Przepraszam, powinnam być bardziej radosna. W łazience na dole naprawiają okno. Straciłam już nadzieję i wstyd powiedzieć, nawet przestałam się o to modlić. Przecież powiedzieli mi, że lista oczekujących jest długa. Ale patrzcie i podziwiajcie – wczesnym rankiem zjawił się pracownik firmy i powiedział, że szef kazał mu zmienić grafik i zacząć naprawy od

naszego domu. Bóg nie zapomina o niczym!

Peter, kochany, napisz, proszę! To nie musi być wyczerpujący list o wszystkim. Wystarczy kilka zdań, nawet słów. Napisz choć „dzień dobry”.

Twoja kochająca żona

Bea

Poczuł, że jest rozpalony, chciało mu się pić. Podeszedł do lodówki, napił się wody i stał przez chwilę, przyciskając gorące czoło do chłodnej obudowy.

Usiadł na krawędzi łóżka. U jego stóp leżały kartki adaptowanego przez niego rozdziału trzeciego z Ewangelii według Łukasza. Jan Chrzciciel oznajmia przybycie tego, któremu nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u sandałów<sup>27</sup>. Te nieszczęsne słowa – rzemyki, sandały. Oazjanie nie używali sznurowadeł do wiązania butów ani niczego podobnego. Trzeba by to wyjaśnić, ale nie wiadomo, czy z punktu widzenia teologii warto się tym trudzić. Gdyby mógł to czymś zastąpić, „nie jestem godzien... zrobić czegoś... przy czymś...”. To niedopuszczalne bawić się metaforami i porównaniami wygłaszanymi przez samego Jezusa, ale Jan był zwykłym śmiertelnikiem, prostym misjonarzem, jego wypowiedzi nie miały większej wagi od słów Petera. A może? Oazjanie pragnęli Pisma jak najbardziej zbliżonego do oryginału, jego nieudolna próba zastąpienia manny białym kwiatem wywołała szmer...

– CO TY, KURWA, ROBISZ?

Wzdrygnął się. Niski męski głos odezwał się głośno i wyraźnie. Odwrócił się. W pokoju nie było nikogo. A Bóg z pewnością nie gustował w takich słowach.

Kochana Beo, napisał.

Przykro mi, że milczałem tak długo. Byłem bardzo zajęty, to prawda, ale to nie dlatego nie pisałem. Trudno mi wyjaśnić przyczynę, ale na pewno nie jestem na Ciebie zły i BARDZO Cię kocham.

Moja misja wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. To, czego się obawiałem, nie stanowiło problemu, ale pogubiłem się w sprawach, o jakich nie miałem wcześniej pojęcia. Zakładałem, że będę toczył ciężkie boje, by zostać duszpasterzem Oazjan, i miną tygodnie lub miesiące, nim nawiążę choć powierzchowny kontakt, zbuduję prowizoryczny pomost pomiędzy tymi obcymi sercami i umysłami a czekającą na nich miłością Bożą. Ale prawdziwą próbą, przekraczającą moje możliwości, okazała się przepaść, która rozdzieliła nas. Nie chodzi mi o dystans emocjonalny – moje uczucia do Ciebie się nie zmieniły. Chodzi mi o rzeczywistą barierę, która stanęła pomiędzy nami. Fizycznie dzieli nas ogromna przestrzeń i to też stanowi wyzwanie, ale głównie zmagam się z czymś innym. Do tej pory zawsze byliśmy razem, wszystkorobiliśmy wspólnie, rozmawialiśmy o każdej sprawie, dzień po

dniu, minuta po minucie. Nagle każde z nas znalazło się samo, każde kroczy swoją ścieżką, a Twoja zdaje się prowadzić Cię w przerażającym, dziwnym kierunku.

Te wszystkie nieszczęścia, które spadły na nasz świat – tsunami, trzęsienia ziemi, kryzys finansowy – są skrajnie różne od tego, czego tu doświadczam. Nie wydają mi się realne. Wstyd mi, że tak myślę, bo przecież cierpiący ludzie to fakt, ale nie potrafię wczuć się w ich sytuację. Bardzo szybko osiągam granicę, przy której myślę: jeśli napisze mi o jeszcze jednej katastrofie, nie zniosę tego. Oczywiście przeraża mnie mój brak współczucia i zrozumienia, ale im bardziej staram się z tym uporać, tym gorzej mi idzie.

Kolejny problem to Oazjanie. Nie umiem mówić o nich z nikim, kto ich nie zna. Nie tylko z Tobą, także z ludźmi z USIC. Mój związek z nowymi braćmi i siostrami w Chrystusie to jakby inny wymiar, a opisać go mogę jedynie w ich języku, którego zresztą nie znam. Jakbym próbował wyjaśnić, jak wygląda zapach lub jak smakuje dźwięk.

Ale muszę spróbować.

Sprawa najważniejsza – zbudowaliśmy kościół i regularnie się w nim modlimy. Nauczyłem Oazjan uproszczonych wersji hymnów, które potrafią zaśpiewać bez większych trudności. (Wnętrza ich twarzy przypominają budowę nasze; mają gardła, ale nie jestem pewien, czy języki). Czytam im Biblię, którą nazywają Księgą Dziwnych Nowych Rzeczy. Zdecydowanie przedkładają Nowy Testament nad Stary. Emocjonujące opowieści o Danielu w jaskini lwów, Samsonie i Dalili, Dawidzie i Goliacie nie trafiają do nich. Zadają pytania, ale widać, że nawet na poziomie czystej akcji niezbyt dobrze rozumieją, o co w tym chodzi. Za to uwielbiają Jezusa i historie o przebaczeniu. Marzenie każdego kaznodziei.

Są to łagodni, mili, skromni i ciężko pracujący ludzie. Zaszczycem jest żyć wśród nich. Nazywają się Miłośnikami Jezusa i dodają do tego kolejny numer. Miłośnik Jezusa Pierwszy nawrócił się (jak możesz się domyślać) jako pierwszy, na początku pobytu Kurtzberga w osadzie. Szkoda, że nie mogę pokazać Ci zdjęć, bo jestem kiepski w opisach. Nie wyrażają swoich uczuć w tak oczywisty sposób jak my. Trudno podzielić ich na ekstrawertyków i introwertyków, wesołych i smutnych, zrównoważonych i zwariowanych. Wszyscy są skryci i różnice pomiędzy nimi są bardzo subtelne. Tylko powieściopisarz potrafiłby oddać te niuanse, a mnie poskąpiono tego daru. Fizycznie też niewiele różnią się od siebie. To czysta, niezmieszana rasa. Przed przybyciem tu nigdy o tym nie myślałem, ale ludzie są zróżnicowani z powodu krwi, która mieszała się podczas nieskończonych migracji. Dlatego mamy taką masę typów ludzkich, czasem nawet karykaturalnych. Chodzi mi oczywiście o ludzi z kosmopolitycznego Zachodu. Na wiejskich

obszarach Chin trudno byłoby nam rozróżnić mieszkańców. Nie wystarczy powiedzieć: „Ona ma proste czarne włosy, ciemnobrązowe oczy, pięć stóp i trzy cale wzrostu” i tak dalej. Potrzeba nam więcej szczegółów. A na Zachodzie możemy powiedzieć: „On ma sześć stóp i dwa cale, kręcone blond włosy i niebieskie oczy”, i to natychmiast wyróżnia go z tłumu. Przepraszam cię, Bea, wiem, że zaczynam się plątać, ale chodzi mi o to, że Miłośników Jezusa potrafiłabyś rozróżnić tylko po kolorach ich szat. „Poznacie ich po ich owocach”<sup>28</sup>. W następnym liście opiszę Ci, jaki wkład poszczególni Miłośnicy Jezusa wnieśli w budowę kościoła.

Na chwilę przerwał pisanie. Bea miałaby prawo nie wierzyć, że dotrzyma obietnicy.

Na przykład Miłośniczka Jezusa Piąta wreszcie przyniosła swój obraz, który będzie wisiał obok innych na sklepieniu kościoła. (Gdybyś mogła je zobaczyć!) Namalowała Salome i dwie Marie przed grobem Chrystusa, kiedy ukazał im się Jezus. Ma rozłożone ręce i wygląda, jakby cały był ze światła. To oszołamiające. Nie wiem, jak udało się jej osiągnąć taki efekt jedynie za pomocą pigmentów. Bije po oczach jak reflektory samochodu ciemną nocą. Patrząc na sufit, kiedy śpiewam lub wygłaszam kazanie, i widzę sylwetkę Ukrzyżowanego świetliście wyłaniającą się z mroku. To dzieło Miłośniczki Piątej, bardzo utalentowanej pani (a może pana, ciągle nie jestem w stu procentach pewien).

Co jeszcze mogę Ci napisać? Zmagam się z myślami, bo tyle znaczących, cudownych rzeczy wydarzyło się podczas tej misji. W każdej godzinie, którą spędzam wśród tych ludzi, odczuwam łaskę Bożą. Gdybyś była obok mnie, spojrzelibyśmy na siebie i powiedzieli: Tak, Bóg jest tu!

Przerwał i przeciągnął się. Czoło miał lepkie, koniuszki palców wilgotne, cały spływał potem i nagie pośladki ślizgały się na plastikowym krześle. Chyba popełnił błąd, wyłączając klimatyzację. Wstał i podszedł do okna. Zbliżał się kolejny krzaczasty kłęb deszczu – za pięć minut zacznie padać i woda zaleje okna. Nie mógł się już tego doczekać, chociaż było mu smutno, że będzie tkwił w środku oddzielony od niego barierą szkła. Powinien być na zewnątrz.

Był zmęczony i położył się na chwilę na łóżku. Wisząca diszdasza na tle okna wyglądała jak ludzka postać wyłaniająca się z niebytu w porannej poświacie. Przysłonił oczy dłonią, żeby uzyskać ostrość widzenia. Szata zmieniała barwę z szarej na białą. Iluzja optyczna, subiektywne postrzeganie rzeczywistości.

Przypomniał sobie suknię ślubną żony. Bea koniecznie chciała wziąć ślub w kościele, ubrać się na biało, a on też miał włożyć biały garnitur. Dziwna decyzja, bo oboje zazwyczaj unikali ostentacji i zbędnych formalności. No i na przyjęciu miał być alkohol. Zastanawiał się, czy nie lepiej wpaść po prostu do urzędu stanu cywilnego w codziennych ubraniach. Nie ma mowy, stwierdziła



Bea. Urząd stanu cywilnego świadczyłby, że nie wyzwolili się od przeszłości. Jakby przyznawali, że facet, który pełzał po wysmarowanych gównem toaletach publicznych, nie ma prawa ubrać się w nieskazitelny garnitur, a kobieta wywodząca się z takiej rodziny jak Bei powinna zapomnieć o ślubnym kobiercu w kościele. Jezus umarł na krzyżu po to, by wymazać ten rodzaj wstydu. Przecież anioł z Księgi Zachariasza nakazał zdjąć brudne szaty z kapłana. „Patrz – zdejmuję z ciebie twoją winę i przyodziewam cię w szatę wspaniałą”<sup>29</sup>. Czysta karta. Nie można było sobie wyobrazić lepszego uczczenia czystej karty niż ślub Petera i Beatrice.

Na koniec kilku gości nieźle sobie popiło, ale on nie wziął do ust nawet kropli. Każdy odczytał przygotowane wcześniej przemówienia, tylko on nic sobie nie napisał. Ale Bóg zesłał mu natchnienie i Peter mówił o swojej miłości do Bei tak elegancko i płynnie, że wszyscy płakali.

Potem wrócili do domu i Beatrice położyła się na łóżku w białej sukni. Pomyślał, że żona chce odpocząć, zanim się przebierze, ale szybko zrozumiał, że ona chce, by do niej dołączył. „Nie możemy jej pobrudzić, powiedział, była taka droga. Tym bardziej nie warto jej odkładać do pudła z naftaliną, odpowiedziała. To piękna suknia, miła w dotyku”. I przyciągnęła do siebie jego dłoń.

Nosiła ją jeszcze wiele razy. Wkładała ją na różne okazje, bez zbędnych ceregieli, nie przywiązując wagi do jej symbolicznego znaczenia. Pod wpływem chwili decydowała, że ma ochotę ubrać się w białą suknię, a nie na przykład zieloną; w coś ozdobionego haftem, a nie w sweterek z wycięciem. On za to nigdy nie włożył ślubnego garnituru.

Krople deszczu uderzyły o szyby. Peter leżał na łóżku, a sperma delikatnie chłodziła mu brzuch. Wstał, wziął prysznic i wrócił do Sztosu. Cursor na ekranie ciągle migotał pod słowem „tu”.

## Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała

Wiadomość o śmierci doktora Matthew Everetta nie zrobiła na Peterze wrażenia. Nigdy go nie spotkał. Unikał lekarzy i od lat nie odwiedził żadnego, dopóki nie musiał poddać się obowiązkowym badaniom zarządzonym przezUSIC w związku z misją. Pewien konował ostrzegał go kiedyś, że umrze w ciągu trzech miesięcy, jeśli nie przestanie pić. Pił jeszcze przez wiele lat. Lekarz policyjny uznał go za psychopatę i chciał go umieścić w zakładzie zamkniętym. Był też stażysta w szpitalu Bei, który czepiał się jej, bo „zachowała się nieprofesjonalnie i nawiązała bliskie relacje z pacjentem, patologicznym kłamcą, którego historia choroby świadczy o długoletnim uzależnieniu od substancji odurzających”.

Peter nie potrafił się dogadywać z lekarzami, nawet gdy został chrześcijaninem. Kiedy doktorzy słyszą o wierze, nie reagują jak inni ludzie – nie są zdziwieni czy wrodzy, nie wdają się w dysputy w stylu „dlaczego Bóg zgadza się na tyle cierpienia?”. Zachowują niewzruszone twarze i prowadzą rozmowę normalnym tonem, ale w pamięci odnotowują: „irracjonalne przekonania religijne”, tak samo beznamiętnie jak „chroniczne zapalenie powiek” czy „trądzik różowaty”.

– Powinieneś odwiedzić doktora Everetta – mówiło mu kilka osób zUSIC, od kiedy przyjechał na Oazę. To oznaczało: Sprawdź, czy doszedłeś już do siebie po Skoku, albo: Idź i wylecz poparzenia słoneczne. Potakiwał grzecznie i puszczał to mimo uszu. A teraz doktor Everett nie żył.

Cios spadł jak grom z jasnego nieba i zredukował medyczny personel bazy do pięciu osób: dwóch sanitariuszy, pielęgniarki Flores, chirurga Austina i Grainger.

– Niedobrze się stało – powiedziała Grainger, kiedy spotkała Petera przed apteką. – Fatalnie. – Nie miała dziś swojej chusty, umyte niedawno włosy były mokre. Wyostrzyło to rysy jej twarzy i blizna na czole stała się bardziej widoczna. Wyobraził sobie młodą Alexandrę Grainger pijaną w trupa, pochylającą się nad zlewem i rozcinającą sobie czoło o kran. Wszędzie pełno krwi, trzeba będzie wytrzeć ją mopem i wyrzucić Alex za drzwi. „Byłaś tam, pomyślał. Ja też”. Beatrice, jego ukochana, nie.

– Byliście blisko? – zapytał.

– To był miły gość. – Zmarszczone czoło i zatroskany głos świadczyły, że jej relacje z Everettem nie mają znaczenia w obliczu nieszczęścia, jakim jest jego śmierć. Bez zbędnych słów Grainger poprowadziła Petera korytarzem z apteki do centrum medycznego.

Było zadziwiająco duże, biorąc pod uwagę, jak niewielu ludzi tu pracowało.

Zajmowało dwa piętra i składało się z mnóstwa pokoi, niektórych na wpół urządzonych, czekających dopiero na wyposażenie. W sali operacyjnej dwa z trzech stołów przykrywały plastikowe pokrowce. Jedno szczególnie wielkie pomieszczenie, do którego Peterowi udało się po drodze zajrzeć, miało ściany pomalowane na wesoły żółty kolor. Było oświetlone jaskrawym światłem wpadającym przez ogromne okna i prawie puste – stały w nim tylko pudełka z naklejkami ODDZIAŁ POŁOŻNICZY.

Duże prosektorium na pierwszy rzut oka wyglądało na nieużywane. Teraz zgromadziło się tam pewnie więcej osób niż kiedykolwiek w przeszłości – razem z Grainger troje z pięcioosobowego zespołu pracowników medycznych. Doktor Austin i pielęgniarka Flores mocno uścisnęli dłoń Peterowi i uprzejmie skinęli głowami.

– Cieszę się, że cię poznałam – powiedziała podobna do szympanicy Flores. Ton jej głosu nie wskazywał, że jest specjalnie uszczęśliwiona. Usiadła na krześle i skrzyżowała ramiona na wymiętym kitlu. Peter zastanawiał się, jakiej może być narodowości. Miała najwyżej cztery stopy i dziesięć cali wzrostu i dziwną, jakby skurczoną głowę. Jej geny zdecydowanie różniły się od tych, które odziedziczył Peter.

– Jestem z Anglii, a ty? – zagadnął, nie zważając na niestosowność pytania.

– Z El Salvador – odparła po chwili wahania.

– To w Gwatemali?

– Nie, ale... jesteśmy sąsiadami.

– Słyszałem o tym wulkanie w Gwatemali. – Wyteżył pamięć, starając się przypomnieć sobie wszystkie informacje z listu Bei. Chciał podtrzymać rozmowę, ale powstrzymała go, unosząc pomarszczoną dłoń.

– Oszczędź mi szczegółów.

– To takie potworne – zaczął.

– Błagam, nie – powiedziała i na tym skończyli.

W prosektorium na kilka chwil zapadło milczenie. Słyszać było tylko rytmiczny skrzypiący dźwięk, którego nie mógł wydawać człowiek. Doktor Austin wyjaśnił, że to chłodziarki, które dopiero niedawno zostały włączone.

– Nie było sensu przez tyle lat utrzymywać w pogotowiu pokoju pełnego chłodziarek – wyjaśnił. – Zwłaszcza zanim nie uruchomiliśmy nowego, wydajnego systemu zasilania. – Sądząc po akcencie, pochodził z Australii, może z Nowej Zelandii. Był wysoki, muskularny i przystojny jak gwiazdor filmowy. Trochę szpeciła go brzydka blizna na szczęce. Peter nie przypominał sobie, by on i Flores uczestniczyli w pogrzebie Severina.

– Dobrze sobie radziście przez tyle czasu – powiedział.

– Radziliśmy?

– Nie musieliście włączać chłodziarek. Do teraz.

Austin wzruszył ramionami.

– W przyszłości, kiedy wzrośnie liczebność naszej społeczności, prosektorium będzie niezbędne. Prawdopodobnie będziemy mieć do czynienia z

morderstwami, otruciami, tymi wszystkimi niezdrowymi emocjami, które pojawiają się, kiedy gęstość zaludnienia osiąga pewien punkt. Ale teraz żyjemy w okresie pionierskim. A ściślej mówiąc, żyliśmy w nim do tej pory.

Chłodziarki szemrały bez przerwy.

– Zresztą... – Austin przerwał i westchnął, jakby Peter zażądał, by pokazano mu zwłoki doktora Everetta. Odryglował drzwiczki, pociągnął za rączkę i wysunął do połowy plastikowe nosze, prezentując leżące na nich nagie ciało. Głowa Matthew Everetta spoczywała na poduszce, a ramiona podtrzymywały podpórki w kształcie bananów. Był to atrakcyjny mężczyzna w średnim wieku, z włosami przetykanymi siwizną, głęboką zmarszczką pionowo przecinającą czoło i zapadniętymi policzkami. Oczy miał półotwarte, usta rozchylone, język pokrywał mu szary zmrożony pył, a resztę zsiniałego ciała delikatne płatki połyskującego lodu. Nie licząc tych szczegółów, wyglądał całkiem nieźle.

– Oczywiście w ciągu tych lat mieliśmy kilka zgonów – ciągnął Austin – co prawda niewiele. Poniżej średniej wyliczonej dla takiej liczby osobników, ale jednak się zdarzały. Ludzie chorują na cukrzycę, serce... czasem dopadają ich zadawnione choroby. Ale Matt był zdrowy jak koń.

– Mój koń też umarł – wtrąciła Grainger.

– Słucham? – zdziwił się Austin.

– Miałam konia, kiedy byłam dzieckiem – wyjaśniła Grainger. – Był wspaniały, ale umarł.

Trudno było to skomentować, więc Austin w milczeniu wsunął z powrotem nosze i zamknął drzwiczki. Petera po raz kolejny zaskoczyła prostota technologii – nie było komputerowego systemu zabezpieczającego, do którego niezbędna jest zakodowana karta. Proste drzwiczki, rączka i rygiel. Uzmysłowił sobie, że ten nieskomplikowany mechanizm nie wynika z oszczędności czy skąpstwa tak nieprawdopodobnie bogatej instytucji, jaką jest USIC, ani z zamiłowania do zakupów na wyprzedzący. Chłodziarki były nowe i zrobione na zamówienie. Jakiś bezkompromisowy projektant nie przejmował się kosztami. Dziewiętnastowieczna funkcjonalność musiała być droga, a jednak on zdołał przekonać producenta, że nie są potrzebne elektroniczne sensory, sterowane procesorami programy, migające światełka i inne elementy z pozoru nieodzowne w nowoczesnej chłodziarce we współczesnym prosektorium.

Doktor Austin umył ręce nad zlewem, używając kawałka mydła o cierpkim zapachu, wytarł je w czysty bawełniany ręcznik, a potem wsunął sobie do ust gumę do żucia. Poczestował Petera – szczodry gest, jako że towar był importowany.

– Nie, dziękuję.

– Bóg jeden wie, dlaczego sam to żuję – powiedział Austin z lekką zadumą w głosie. – Żadnych wartości odżywczych, tylko dziesięciosekundowe uderzenie cukru do krwi i zwiększone wydzielanie śliny, po których żołądek otrzymuje sygnał, że za chwilę otrzyma porcję pokarmu do strawienia. Fałszywy sygnał. To bez sensu i na dodatek cholernie drogie. Ale jestem uzależniony.

– Powinieneś spróbować xJd – zasugerował Peter. Przypomniał sobie miłą w dotyku roślinę, eksplozję słodkiego soku na języku po rozgryzieniu skórki i wyśmienity miąższ. Można było ją żuć przez pół godziny i przez ten czas nie traciła smaku. – Guma przestałaby ci smakować.

– Słucham?

– xJd.

Austin przytaknął pobłaźliwie. Pewnie w pamięci odnotował „wada wymowy”.

Zapadła cisza lub to, co można by określić ciszą w prosektorium USIC. Peterowi zdawało się, że chłodziarki nie pracują już tak głośno, ale może przyzwyczał się do ich hałasu.

– Czy doktor Everett miał rodzinę? – zapytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Austin. – Nigdy o niej nie wspominał.

– Miał córkę – powiedziała cicho Grainger, jakby do siebie.

– Nie wiedziałem. – Austin był zaskoczony.

– Nie utrzymywali stosunków – wyjaśniła Grainger.

– Zdarza się – stwierdził Austin.

Peter się dziwił. Zważywszy, że to spotkanie nie przebiegało w zbyt radosnym nastroju i trudno było mu przypisać charakter towarzyski, dlaczego nikt jeszcze nie wręczył mu teczki personalnej Everetta i nie wyznaczył daty pogrzebu?

– Domyślam się, że mam odprawić nabożeństwo żałobne?

Austin uniósł brwi zdziwiony tym pytaniem.

– Hm... zobaczymy. Nie od razu. Trzymamy go w ujemnej temperaturze, innymi słowy, jest zamrożony. Czekamy na przybycie dodatkowych patologów. – Popatrzył na chłodziarki, a potem skierował spojrzenie na okno. – Niepokoi nas, czy w tym środowisku jest coś, co może wywoływać choroby. To od samego początku było naszym głównym zmartwieniem. Oddychamy powietrzem, którego wcześniej nie znaleźliśmy, zjadamy potrawy, które są nowe dla naszego systemu trawiennego. Do tej pory nic nie wskazywało na jakieś problemy. Ale czas pokaże; i musi go sporo upłynąć. To zła wiadomość, że mamy do czynienia z człowiekiem, który nie miał żadnych kłopotów ze zdrowiem, a teraz nie żyje.

Peter zaczynał odczuwać dreszcze. Miał na sobie tyle ubrań, ile zdołał na siebie włożyć – diszdaszę, obszerny sweter, spodnie od dresu, tenisówki – ale to nie wystarczało, by uchronić się przed chłodem prosektorium. Marzył, by otworzyć okno i wpuścić do środka ożywczy, balsamiczny strumień powietrza.

– Czy zrobiliście... hm... – Nie mógł przypomnieć sobie tego słowa. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przeciął dłonią powietrze, naśladując ruch skalpela.

– Sekcję? – Austin potrząsnął ze smutkiem głową. – Matt był jedynym, który miał do tego kwalifikacje. Dlatego musimy czekać. Oczywiście ja też potrafię przeprowadzić prostą sekcję zwłok. Mogłem określić przyczynę zgonu Severina,

to nie było trudne. Ale kiedy nie ma wyraźnych przesłanek, lepiej poczekać na fachowca. Takiego, jakim był Matt.

Przez dobrą minutę nikt się nie odezwał. Austin wydawał się pogrążony w zadumie, Grainger wpatrywała się w swoje buty, którymi postukiwała nerwowo, Flores milczała przez cały czas i teraz gapiła się w okno. Może oniemiała z żalu.

– Cóż... – powiedział wreszcie Peter – czy mogę jakoś pomóc?

– W tej chwili nie przychodzi mi nic do głowy – odparł Austin. – Właściwie to my się zastanawiamy, jak moglibyśmy pomóc tobie.

– Mnie?

– Oczywiście nie w sprawach... ewangelizacyjnych. – Doktor uśmiechnął się. – Ale medycznych.

Peter uniósł dłoń i dotknął złuszczonej skóry na czole.

– Obiecuję, że następnym razem będę ostrożniejszy. Dostałem od Grainger doskonały balsam.

– Filtr przeciwsłoneczny – poprawiła go z irytacją w głosie. – Współczynnik ochronny pięćdziesiąt.

– Chodzi mi o krajowców – powiedział Austin. – Oazjan, jak ich nazywasz. Dostarczamy im podstawowe lekarstwa od chwili, kiedy tu przybyliśmy. To jedyna rzecz, jakiej od nas chcą. – Uśmiechnął się ironicznie, przypomniawszy sobie o misji Petera. – Jedna z niewielu. Ale żaden z nich nigdy nie pojawił się tu z prośbą o leczenie. Ani jeden! To oznacza, że nikogo nie przebadaliśmy dokładnie. Bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się, co im dolega.

– Dolega? – powtórzył Peter.

– Na jakie cierpią choroby. Na co umierają.

Peter przywołał obraz swojej kolorowej trzódki śpiewającej hymny i kołyszącej się w rytm muzyki.

– Ci, z którymi mam do czynienia, wyglądają na zdrowych.

– Wiesz, jakie lekarstwa zażywają? – spytał Austin.

Pytanie zaniepokoiło Petera, ale starał się to ukryć.

– Nie wiem, czy coś biorą. Jeden z Miłośników Jezusa, jeden z moich wiernych, miał bliską krewną, która niedawno zmarła. Inny ma brata (albo siostrę), którego bez przerwy coś boli. Chyba po to są im potrzebne środki przeciwbólowe.

– Pewnie tak. – Głos Austina był niemal pozbawiony emocji, a nawet wesoły. Nie wyczuwało się w nim nawet odrobiny sarkazmu, ale po raz kolejny Peter poczuł, że na jego przyjaźń z Oazjanami niektórzy w bazie patrzą co najmniej podejrzliwie. Zażyłość z mieszkańcami osady zbudowana była na solidnych podstawach – rozwiązywaniu tysięcy problemów, rozsupływaniu wielu nieporozumień i dzieleniu wspólnych doświadczeń. Natomiast w oczach pracowników USIC wyglądało to tak, jakby zaledwie zaczął ich poznawać. Dziwaczny chrześcijanin nie potrafił przedstawić rezultatów swojej pracy, które trafiłyby do przekonania racjonalnie myślącym osobom. Ludzie tacy jak Austin

mieli listę pytań i dopiero właściwe odpowiedzi pozwoliłyby im uznać, że Peter zrobił postępy.

Czy nie tak zawsze postępują bezbożnicy? Zadają niewłaściwe pytania i szukają efektów pracy nie tam, gdzie trzeba.

– Rozumiem twoje pytanie i jestem wdzięczny za troskę – powiedział Peter. – Ale Oazjanie, których widuję na co dzień, nie są chorzy. Ci, którzy są, nie przychodzą do naszego kościoła.

– Czy nie stosujesz... hm... – Austin zrobił nieokreślony ruch ręką, który sugerował głoszenie Słowa Bożego poprzez chodzenie od domu do domu.

– W normalnych warunkach tak bym robił – powiedział Peter. – Kiedy tu przyjechałem, chciałem odwiedzać ich w domach i nawiązywać znajomości. Ale to oni przyszli do mnie. Ostatnim razem było ich stu sześciu. To duże zgromadzenie jak na jednego pastora i ciągle rośnie. Poświęcam im całą uwagę i energię, a mógłbym zrobić więcej, gdyby starczyło mi czasu. Nawet nie mogę teraz myśleć o chodzeniu od drzwi do drzwi i nawracaniu tych, którzy trzymają się z boku. Gdyby w ogóle mieli drzwi...

– Gdybyś znalazł chorego – zaczął Austin – który chciałby tu się zjawić i dać się przebadać... albo chciałyby...

– Bez różnicy – dodała Flores.

– Postaram się – powiedział Peter. – Sęk w tym, że nie mam żadnej wiedzy medycznej. Nie jestem nawet pewien, czy potrafię rozpoznać symptomy konkretnej choroby u... jednego z nas, nie mówiąc o Oazjanach.

– No tak, oczywiście, że nie – westchnął Austin.

Siostra Flores ponownie zabrała głos. Peter nieoczekiwanie dostrzegł, że małpie rysy jej twarzy skrywają drapieżną inteligencję.

– Więc ci, z którymi masz do czynienia, mogą być chorzy. Nie jesteś w stanie tego stwierdzić, ale każdy z nich może być chory.

– Nie wydaje mi się – zaproponował Peter. – Ufamy sobie, mówią mi, co zaprzęta ich myśli. Pracuję razem z nimi, widzę, jak się ruszają. Są powolni i ostrożni, ale taka jest ich natura. Chyba potrafiłbym dostrzec, gdyby dolegało im coś poważnego.

Flores pokiwała głową. Nie wydawała się przekonana.

– Moja żona jest pielęgniarzką – powiedział Peter. – Szkoda, że nie ma jej tu ze mną.

Austin uniósł brwi.

– Masz żonę?

– Tak – odpowiedział Peter – Beatrice. – Kiedy wymówił jej imię, poczuł, że beznadziejnie próbuje nadać jej ludzki wymiar. Dla tych ludzi ona nigdy nie stanie się osobą z krwi i kości.

– Czy ona... – Austin się zawahał – jest ci bliska?

Peter zastanawiał się przez chwilę. Przypomniał sobie rozmowę z Tuską: „Czy w twoim życiu jest teraz ktoś wyjątkowy?”. „Nie mogę tego potwierdzić”.

– Tak.

Austin przechylił głowę, był wyraźnie zaintrygowany.

– Nieczęsto mamy tu kogoś, kto... rozumiesz... ma partnera, który czeka na niego w domu. Kogoś, kto jest...

– Bliski.

– Właśnie.

– Byłaby zachwycona, gdyby mogła tu przybyć – powiedział Peter.

Po raz pierwszy od wieków zdołał przywołać jej wyraźny obraz. Siedziała obok niego w biurze USIC, ubrana w strój pielęgniarki, i krzywiła się z powodu okropnie mocnej herbaty, jaką im podali. W ułamku sekundy zmieniła wyraz twarzy, udając, że herbata jest po prostu za gorąca, i popatrzyła z uśmiechem na siedzących przed nimi urzędników.

– To by wiele zmieniło – ciągnął Peter. – Dla mnie i całego projektu. Niestety USIC nie wyraził zgody.

– Musiała nie zaliczyć testu przydatności. – Austin zrobił współczującą minę.

– Nie poddano jej żadnym testom. W USIC przeprowadzili z nami kilka rozmów kwalifikacyjnych, a potem stwierdzili, że dalej chcą rozmawiać tylko ze mną.

– Uwierz mi – powiedział Austin – oblała test. Czy podczas rozmów była obecna Ella Reinman? Niska, chuda kobieta z krótkimi siwymi włosami?

– Tak.

– To ona przeprowadza testy. Twoją żonę oceniono i od razu zdyskwalifikowano. A ciebie nie, to niezwykle. Musieliście odpowiadać zupełnie inaczej.

Peter poczuł, że się rumieni. Nie było mu już zimno.

– Bea i ja robimy wszystko razem. Wszystko. Jesteśmy zespołem.

– Przykro mi – powiedział Austin. – To znaczy dlatego, że nie przyjechała tu razem z tobą.

Wstał, a razem z nim podniosły się też Flores i Grainger. Konferencja w prosektorium dobiegła końca.

Nie miał gdzie się podziać, mógł tylko wrócić do swojej kwatery, która działała na niego przygnębiająco. Z natury nie był osobą skłoną do depresji. Bywał autodestrukcyjny, ale nie zdołowany. Pokój w bazie USIC wysysał z niego energię i Peter czuł się w nim jak schwytany w pułapkę szczur. Może to klaustrofobia, chociaż nigdy wcześniej nie zauważył u siebie jej objawów. Kiedyś nawet nocował w zamkniętym kontenerze na odpadki i był wdzięczny losowi, że znalazł takie schronienie. Ciągle pamiętał to cudowne uczucie, kiedy góra śmieci, na której leżał, zaczęła wydzielać ciepło i ogrzewać jego zmarznięte na kość ciało. Ta niezwykła, zdumiewająca wielkoduszność martwych przedmiotów była zapowiedzią cudów, których miał zaznać na łonie Chrystusa.

Kwatera USIC nie zapewniała takich doznań. Pokój był przestronny i czysty,



ale jemu wydawał się ponury i obskurny, nawet kiedy podnosił żaluzje i wpadające przez okno słońce jaskrawo oświetlało meble i ściany. Jak to możliwe, że pomieszczenie mogło być zarazem słoneczne i ponure?

Nie potrafił też dobrze ustawić temperatury. Wyłączył klimatyzację, bo zimne powietrze przyprawiało go o dreszcze, i teraz było mu za ciepło. Gorąco Oazy wymagało zbawiennej pieszczoty powietrznych prądów. Pan wiedział, co robi, kiedy stwarzał ten świat, zresztą tak jak i inne. Klimat to zmyślna maszyna, perfekcyjna i samodostrajająca się, nie ma sensu z nim walczyć. Peter wiele razy stawał przy oknie, naciskał dłońmi szybę i fantazjował, że ją rozbija i wpuszcza do wnętrza falę słodkiego, balsamicznego powietrza.

Żaluzje pozwalały mu przywoływać na kilka godzin noc, jeśli odczuwał taką potrzebę. W osadzie nie było to możliwe, tam słońce świeciło bez przerwy przez ponad siedemdziesiąt godzin. Teoretycznie więc w bazie USIC powinien sypiać lepiej, tymczasem było na odwrót. Budził się z bólem głowy, jakby miał kaca, i przez godzinę lub dłużej czuł się podenerwowany. Nie poddając się depresji, zaczynał pracować nad przekładem Pisma i przygotowywał broszury dla Miłośników Jezusa, ale męczył się szybciej niż w osadzie. Tam potrafił pokonać zmęczenie i działać przez osiemnaście, dziewiętnaście, a nawet dwadzieścia godzin, a w swojej kwaterze był wykończony już po dwunastu lub trzynastu. Zasypiał z trudem. Leżał na solidnym sprężystym materacu i gapił się na nijaki, brzydki sufit, liczył znajdujące się na nim plamki i skazy, a za każdym razem, kiedy zaczynał zapadać w sen, podrywał się pobudzony niepokojem: dlaczego sufit jest szary? Gdzie się podziały te piękne malowidła?

Baza była niezbędna, by odczytywać wiadomości od Bei. Chociaż nie odpisywał na nie od razu, nie mógł się ich doczekać. Jego gnuśność po części miała swe źródło w przygnębiającym wpływie kwatery. Oczywiście powinien był pisać do Bei w osadzie, tam, gdzie pracował. Ileż razy marzył, by wysłać jej wiadomość, kiedy coś ważnego zdarzyło się wśród Oazjan, od razu, gdy wrażenia były jeszcze świeże. Dziesiątki, a może setki razy! Podejrzewał, że USIC specjalnie tak to zaaranżował, by Peter nie mógł się z nią skomunikować poza bazą. Przecież musiał istnieć jakiś inny sposób, mogli zainstalować w osadzie generator prądu albo przekaźnik. Potrafili zbudować kolektor deszczu, a nie zdołali poradzić sobie z taką błahostką. Będzie musiał pomówić o tym z Grainger. Ciągle powtarzała, że ma mu pomagać. Więc niech to zrobi.

Gdyby mógł komunikować się z Beą w osadzie, czerpałby pełnymi garściami z tego, co najlepsze w obu światach. Kiedy przebywał w terenie, miał jasny umysł i był spokojny – mógłby zrobić lepszy użytek z wolnego czasu. Co jakiś czas dzień pracy musiał się skończyć (bez względu na to, czy słońce stało wysoko na niebie). Peter siedział wtedy na łóżku za amboną, rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami i przygotowywał się do snu. Czasami trwało to wiele godzin. Oazjanie zniknęli już w swoich domach, ale jego umysł nie był jeszcze senny, choć ciało odmawiało posłuszeństwa. To był idealny moment, by pisać do Bei. Gdyby miał Sztos w kościele, tuż obok łóżka, pisałby do niej obszernie

każdego dnia (to znaczy co dwadzieścia cztery godziny). A nawet częściej. Wtedy wymiana wiadomości byłaby jak rozmowa, a nie... jak coś, w co niepokojąco przekształcała się korespondencja.

Peter, kochany,

co za ulga! Wreszcie dostałam Twój list. Tak mi Ciebie brakuje. Coraz bardziej, bo uświadamiam sobie, jak niesamowicie rzadko w naszym życiu spotykamy kogoś, kogo można pokochać i komu można zaufać. I jakie to WAŻNE. Jasne, rozmawiamy z kolegami z pracy i poświęcamy czas ludziom w potrzebie, widujemy nieznajomych, sklepikarzy i „przyjaciół” sprzed lat, z którymi nic nas nie łączy. To nie jest złe, ale czasem czuję się, jakby gdzieś zniknęła moja dusza.

Proszę, nie przejmuj się tym, JAK piszesz, po prostu PISZ. Nie zwlekaj! Za każdym razem, kiedy coś pomijasz, staje się to dla mnie niewidzialne i rozumiem mniej. Każdy najdrobniejszy szczegół jest ważny, pozwala mi Cię lepiej widzieć.

To wszystko jest takie fascynujące i niezwykle. I zagadkowe. Czy Oazjanie naprawdę są tacy łagodni i mili, jak ich opisujesz? Nie mają swojej ciemnej strony? Wyobrażam sobie, że bardzo chcą sprawić na Tobie dobre wrażenie, ale kto wie, co z nich wyjdzie, kiedy odprężą się i pozwolą sobie na więcej. Jestem pewna, że okażą się bardziej zróżnicowani i ekscentryczni, niż wyglądają na pierwszy rzut oka. Tak jest z każdym stworzeniem. Nawet koty tej samej rasy, z pozoru identyczne, ukazują swoje dziwactwa, kiedy pozna się je lepiej.

Skoro o tym mowa... Joshua zrobił się bardzo nerwowy. Ten okres, kiedy okno w łazience było wybite i wszystkie drzwi w domu trzaskały od przeciągów, nie wpłynął na niego najlepiej. Podrywa się na każdy nieznany dźwięk i zaczął spać pod łóżkiem. Słyszę, jak chrapie i wierci się pomiędzy butami, chusteczkami, zepsutymi budzikami i resztą śmieci, które tam leżą. Próbowалаm go stamtąd wyciągać, ale od razu wpełza z powrotem. Podczas jedzenia zachowuje ostrożność i ogląda się za siebie co kilka kęsów. Teraz, kiedy piszę, leży na moich kolanach. Chce mi się siusiu, ale boję się wstać, bo znów gdzieś zniknie na całą noc. Wczoraj, kiedy byłam w kuchni i czytałam niezrozumiałą list z gazowni, Joshua wskoczył mi na kolana. Unieruchomił mnie na długie godziny. Nie mogłam nic zrobić i marżyły mi nogi. Nagle obok domu przejechała na sygnale karetka pogotowia i wtedy zeskoczył. Chyba powinnam zabrać go do kociego psychiatry. W tej chwili mruczy, szkoda, że go nie słyszysz. Jeszcze bardziej żałuję, że on nie słyszy Ciebie. Może zrozumiałaby, że nie zniknęłaś na zawsze.

Co do Twojego listu... Postaram się nie pisać tak dużo o tych wszystkich okropieństwach, jakie dzieją się teraz na świecie. Rozumiem, że głowę masz zaprzątniętą innymi sprawami i nie możesz

uzmysłowić sobie znaczenia tego, co nas dotyka. Ale i Ty musisz pamiętać, że ja też tego nie rozumiem. To wszystko jest zadziwiające i przerażające.

Dziś miałam dobry dzień. Z ręką jest lepiej, ładnie się goi. Mam nadzieję, że wrócę do pracy w przyszłym tygodniu. Dom wysechł, a łazienka znów jest zdatna do użytku. Dostałam list z firmy ubezpieczeniowej i – jeśli dobrze rozumiałam prawniczy żargon – mogę liczyć na odszkodowanie. Dzięki Bogu! Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tego. W tabloidach trwa kampania znieśławiania firm, które odmawiają wypłaty roszczeń. Mnóstwo opisów i zdjęć uczciwych, ciężko pracujących ludzi, którzy płacili składki przez całe życie i zostali z niczym, kiedy ich domy splądrowali wandy albo spotkało ich inne nieszczęście. EPIDEMIA ZDRADY – takie są nagłówki. Co za patetyczne słowa jak na pisma w stylu „Daily Express”! Chyba po raz pierwszy użyli tak skomplikowanych słów. Do czego zmierza ten świat? (Przepraszam, obiecałam, że nie będę poruszać tych tematów, prawda?)

Jak wiesz, zwykle nie zaglądam do tabloidów, ale „Daily Express” obiecuje darmowy baton Bounty dla każdego czytelnika, a ja tak dawno nie jadłam niczego takiego. Czekolada (a raczej jej brak) odgrywa teraz ważną rolę w moim życiu i stałam się specjalistką od jej zdobywania. Batony z herbatnikami, jak Twix czy KitKat, są stosunkowo łatwe do dostania. Jest też sporo podróbek Snickersów, z arabskimi napisami na opakowaniu. Ale w nadzieniu Bounty jest coś wyjątkowego, niemal kamforowy posmak, który przenika aż do najdalszych zakątków nosa i jamy ustnej, i nic nie może go zastąpić. Zwłaszcza gdy jest się w ciąży. Niestety, okazało się, że słowa „dla każdego czytelnika” były swego rodzaju oszustwem. Trzeba iść z kuponem do jednego ze sklepów, które już nie istnieją.

Pomijając brak Bounty, jestem całkiem zadowolona z dzisiejszego posiłku. Zjadłam łapczywie sadzone jajka, grzyby z puszki i bekon. Jajka i bekon dostałam na straganie, który farmerzy rozstawili na parkingu przy Tesco (powinam napisać: gdzie BYŁO Tesco). Na jajkach nie ma stempli z datą, są różnej wielkości, pokryte resztkami pierza i kurzem łajnem. Są świeże i wyśmienite. Wątpię, czy farmerzy sprzedają je legalnie. Bekon był zawinięty w zwyczajny papier i pokrojony w grube plastry – pokrojony własnoręcznie nożem przez farmera! To też pewnie niezgodne z przepisami. Na straganie jest spory ruch, chociaż nigdzie go nie reklamują. Sprzedawcy wyciągają produkty z furgonetek i układają je na składanych stolikach. Towar rozchodzi się błyskawicznie. Niech im się wiedzie! Może upadek wielkich korporacji nie wywoła takich katastrofalnych skutków, jak mówili. Może zwykli ludzie będą sprzedawać i kupować lokalne wyroby – tak zresztą powinno być od

dawna. Zawsze uważałam, że sprowadzanie bekonu z Danii to głupota.

Podobno w ogóle nie powinnam jeść bekonu. Po drodze na wystawę kotów Billy zrobił mi wykład o jedzeniu mięsa. Jest wegetarianinem. Rachel też była, ale się poddała. Takiego słowa użył Billy. Bez przerwy kłóci się z siostrą i to może być jeden z powodów, z jakiego ma depresję. Sheila mówi, że Billy żyje samą pieczoną fasolą, tostami i bananami, bo nie lubi warzyw. Szczególna odmiana angielskiego wegetarianizmu! Ale ma rację, kiedy mówi o cierpieniu hodowlanych zwierząt.

To takie skomplikowane, prawda? Zwierzęta cierpią, ale Jezus jadł mięso i zadawał się z rybakami. Mam ostatnio olbrzymią chętkę na ryby – potrzebuję witaminy D – i nie odczuwam wyrzutów sumienia, kiedy nakładam porcję sardynek na chleb, chociaż gapią się na mnie swoimi malutkimi oczkami. Tłumaczę sobie, że karmią nasze dziecko.

Nie pisałeś wiele o pracownikach USIC. Czy jesteś też ich pastorem, czy skoncentrowałeś się tylko na Oazjanach? Pamiętaj, że oporni i niezainteresowani są tak samo cenni jak ci, którzy już oddali swe serca Chrystusowi. Wyobrażam sobie, ile musi być problemów wśród ludzi, którzy są daleko od swoich domów i pracują w takich ciężkich warunkach. Czy nadużywają alkoholu? Narkotyków? Czy są przypadki molestowania seksualnego? A co z hazardem? Pewnie jak wszędzie i tam są z tym problemy.

Dzwoniłam do Rebeki, żeby ustalić, kiedy mam wrócić do pracy. Wspomniała, że ostatnio na ostrych dyżurach jest coraz więcej przypadków związanych z nadużywaniem alkoholu. Wypadki, pobicia etc. Przepraszam, czy to też zalicza się do nieszczęść, które spadły na świat? Trudno to porównywać z trzęsieniami ziemi czy bankructwami wielkich firm, ale daje się to zauważyć na ulicach, wystarczy pójść rano na spacer. Jestem pewna, że nigdy nie było tyle wymiocin na chodnikach, są wszędzie! Adzieci i starsi ludzie muszą na to patrzeć! Zastanawiałam się, zupełnie poważnie, czy nie wziąć mopa i wiadra i nie posprzątać najbliższej okolicy. Wczoraj nawet nalałam do wiadra wody z detergentem, ale kiedy chciałam je podnieść, uznałam, że to kiepski pomysł. Zmyłam więc tylko wymiociny z naszego ganku. Każdy musi najpierw unieść własny ciężar, zanim pomoże innym, jak napisane jest w Liście do Galatów. Przynajmniej o coś takiego tam chodzi. Ty na pewno dokładnie pamiętasz te słowa.

Siedział przed Sztosem i próbował rozruszać palce. Włączył z powrotem klimatyzację i w pokoju zrobiło się chłodniej. Miał na sobie diszdaszę, skarpetki i sweter, było mu wygodnie, ale czuł się trochę śmiesznie. Modlił się wcześniej i Bóg potwierdził – musi jak najszybciej odpisać żonie, to teraz najpilniejsze. Misja przebiegała bez przeszkód; byłoby jeszcze lepiej, gdyby poświęcił jej

więcej czasu, ale Stwórca nie mógł wymagać nadludzkiego poświęcenia. W innym miejscu, daleko stąd, Bóg złączył kobietę i mężczyznę, a mężczyzna zaczął zaniedbywać swoją żonę. Nadszedł czas, by spłacić długi.

Kochana Beo,

do tej pory pisałem za mało i z opóźnieniem. Przepraszam. Bardzo Cię Kocham. Chciałbym, żebyś była tu ze mną. Dzisiaj dowiedziałem się, że Ella Reinman - ta chuda kobieta z USIC podobna do surykutki - była psychologiem i nas oceniała. Odrzuciła Cię, dlatego nie jesteśmy tu razem. Ta wiadomość bardzo mnie zmartwiła, jestem oburzony, że tak Cię potraktowała. Kim ona jest, by osądzać Twoją przydatność do tej misji? I to na podstawie kilku zdawkowych rozmów! Widziała Cię tylko parę razy, kiedy przychodziłaś prosto z pracy z głową zaprzątniętą sprawami chorych. Nie miałaś czasu, by się odprężyć. Ciągle mam przed oczami tę Reinman - dziwaczna głowa stercząca nad kaszmirowym sweterkiem, która gapi się na Ciebie.

Tutaj powoli zbliża się zachód słońca. Nareszcie! To bardzo miła pora dnia i ciągnie się godzinami.

Spróbuję bardziej szczegółowo przedstawiać Ci moje życie. Nie spodziewałem się, że moje listy będą tak kiepskie, jednak opisy sprawiają mi trudność, bo nigdy nie musiałem tego robić - zawsze byliśmy razem. Teraz widzę listy z Ewangelii w zupełnie nowym świetle. Paweł, Jakub, Piotr i Jan niewiele uwagi poświęcali sprawom pobocznym, prawda? Uczni muszą czytać między wierszami, by dowiedzieć się, gdzie apostołowie przebywali, pisząc swoje teksty. Gdyby Paweł dorzucił choć kilka słów o swoim więzieniu...

Skoro o tym mowa, moja kwatera przyprawia mnie o

Przerwał i wymazał ostatnie zdanie. Nie może uskarżać się na warunki, w jakich mieszka, kiedy Bea przeżywa takie ciężkie chwile.

Skoro o tym mowa, zaczął ponownie, werset, na który się powołujesz, brzmi nieco inaczej i nie jestem pewien, czy słowa z Listu do Galatów „każdy bowiem poniesie własny ciężar”<sup>30</sup> należy rozumieć tak, jak Ty to robisz. To trudny rozdział i każdy wers dotyczy właściwie innych spraw, ale w sumie Paweł mówi o zachowaniu równowagi pomiędzy odwodzeniem innych od grzechu a świadomością, że my także jesteśmy grzesznikami. To jeden z bardziej niejasnych fragmentów, jakie napisał (a zrobił to własnoręcznie, nikomu go nie dyktował, jak w przypadku innych listów!). Gdybym musiał sparafrazować te zdania dla Oazjan, byłbym w kropce. Na szczęście w Biblii jest wiele innych rzeczy, które są prostsze i w pełni zrozumiałe dla moich nowych przyjaciół w Chrystusie.

Znowu przerwał pisanie. Bea potrzebuje konkretów, opisów. Musi jej to dać.

Siedzę przy Sztosie, mam na sobie diszdaszę, oliwkowy sweter i czarne skarpety. Na pewno wyglądam jak kretyn. Włosy mam coraz

dłuższe. Chciałem je skrócić sam, nożyczkami, albo pójść do fryzjera w bazie, ale w końcu postanowiłem odłożyć to do chwili, kiedy znów będziemy razem. Tylko Ty potrafisz dobrze mnie ostrzyć. No i jest to pewien symbol tego, co robimy dla siebie nawzajem. Nie chcę rezygnować z naszych małych rytuałów.

Przez chwilę zastanawiał się, co ma jeszcze napisać.

Cieszę się, że Twoja ręka dobrze się goi. Potrzebujesz jej, nie tylko do pracy! Chciałbym poczuć jej dotyk na plecach. Masz takie ciepłe i suche dłonie. To komplement. Nigdy nie są lepkie, zawsze miękkie jak jedwab, jak niesamowicie drogie rękawiczki bez żadnych szwów. O rany, to pewnie zabrzmiało strasznie! Nie zrobię kariery jako autor miłosnej liryki, prawda?

Przykro mi, że Joshua tak się zachowuje. Biedak chyba cierpi. Chociaż życiem kotów rządzi przyzwyczajenie, miejmy nadzieję, że potrafi się dostosować do nowej sytuacji. Pamiętasz, jak przechodził okres atakowania i gryzienia Twoich butów, a potem nagle przerzucił się na coś innego? Albo kiedy mieliśmy biednego starego Titusa i myśleliśmy, że będziemy musieli go oddać do schroniska, bo przeraźliwie miauczał w nocy i nie mogliśmy już tego znieść. A pewnego dnia po prostu przestał. Nie zamartwiajmy się więc Joshuą. Stłuczone okno i przeciągi na pewno wyprowadziły go z równowagi, ale teraz w domu znów jest ciepło i spokojnie. Jestem pewien, że się uspokoi. Dobrze robisz, nie wyciągając go spod łóżka. Sam wyjdzie, kiedy będzie gotowy. I nie uważam, że powinnaś zamieniać się w słup soli, kiedy siedzi Ci na kolanach. Poczuj, że jesteś zdenerwowana, i to się na nim odbije. Jak znów wskoczy, poczochraj go trochę, pobaw się z nim, a kiedy będziesz musiała iść do toalety lub po coś do drugiego pokoju, powiedz mu czule, że chcesz wstać, podnieś go łagodnie i postaw na podłodze. Pogłaszcz go i odejdz. Naucz go, że takie przerwy są chwilowe i nic złego się nie dzieje.

Moja rola jako pastora w bazie USIC jest bardzo ograniczona. Jak już pisałem, odprawiłem raz nabożeństwo żałobne, a potem miałem kilka ciekawych rozmów z osobami, które zostały trochę dłużej. Pewna kobieta, Maneely, opowiedziała mi o tym, jak odczuwa obecność Boga. Chyba miała ochotę jeszcze o tym porozmawiać, ale od tamtej pory spotkałem ją tylko raz – kiedy wychodziła ze stołówki. Rzuciła przelotne „cześć”, wydawała się bardzo zapracowana, zresztą tak jak wszyscy tutaj. Nie w jakiś szaleńczy, ogłupiały sposób, ale rzeczywiście mają chyba sporo roboty. Pracownicy USIC nie są tak cisi i spokojni jak Oazjanie, ale też nie tak zestresowani, jak można by się spodziewać.

Prawdę mówiąc, są zadziwiająco uprzejmi i bezkonfliktowi. Rzadko się kłócą, czasem tylko dobrodusznie sobie dogryzają, ale to normalne wśród tylu odmiennych osobowości, które muszą ze sobą przebywać. O

ile mi wiadomo - a zdałem sobie z tego sprawę, dopiero pisząc do Ciebie - nie ma tu żadnej policji czy służby porządkowej. I chociaż może się to wydawać dziwne, jest zupełnie naturalne. Rozumiesz, o co mi chodzi? Przez całe życie, przebywając na ulicach, w zakładach pracy czy szkołach, od razu wyczuwałem, jak BARDZO ludzie nie lubią się nawzajem. Każdy usiłuje trzymać nerwy na wodzy, ale byle iskra może spowodować wybuch. Wszędzie czuje się wiszącą w powietrzu agresję. Dlatego istnienie policji jest logiczne i potrzebne. Ale jeśli dorośli ludzie się dogadują, komu potrzebna jest zgraja facetów w mundurach? To niedorzeczne.

Oczywiście w znacznej mierze odpowiada za to brak alkoholu. Teoretycznie jest dostępny, ale kosztuje fortunę i nikt go nie kupuje. Czasem dowcipkują, że mają taki zamiar, drażnią się i mówią o tym tak jak ludzie, którzy flirtują ze sobą, ale wiedzą, że nigdy nie będą razem uprawiać seksu. Kiedy przychodzi co do czego, wydaje się, że nie mają na to ochoty. Niektórzy mężczyźni wspominają też o narkotykach, ale przekonałem się, że to tylko samcze przechwałki lub wyraz akceptacji dla tych, którzy kiedyś brali. Potrafię wyczuć narkotyki na kilometr i mogę się założyć, że tu ich nie ma. Na szczęście pracownicy USIC nie mają też bzika na punkcie zdrowia i ćwiczeń fizycznych. Są wśród nich zarówno otyli, jak i bardzo szczupli, niektórzy wyglądają, jakby lubili się umartwiać, ale dla każdego z nich pobyt tutaj to jakby nowy rozdział w życiu. (Który czeka - miejmy nadzieję - także Joshue).

O co jeszcze pytałaś? No tak, hazard. Niczego takiego tutaj nie zauważyłem. Pytałem ludzi, jak spędzają czas. „Pracujemy”, to najczęstsza odpowiedź. A kiedy precyzuję, że chodzi mi o czas wolny, wymieniają niewinne zajęcia - czytanie fachowych książek, przeglądanie starych czasopism, siłownię, basen, karty (nie na pieniądze), pranie ubrań, wyszywanie. Poza tym spędzają dużo czasu w kantynie i rozmawiają o pracy. Byłem świadkiem naprawdę niesamowitych dyskusji. Czarny jak smoła Nigeryjczyk i biały Szwed, blondyn, siedzieli obok siebie, pili kawę i przez godzinę przerzucali się pomysłami z dziedziny termodynamiki. Używali języka, z którego rozumiałem może ze trzy słowa na dziesięć. (Głównie „jeżeli”, „właśnie” i „no tak”). Na koniec Szwed powiedział: „Więc mój pomysł jest bez sensu?”, na co jego kolega wzruszył ramionami i posłał mu szeroki uśmiech. Takie są tutejsze sposoby spędzania wtorkowych wieczorów! (Piszę o wtorku w sensie przenośnym, nie mam najmniejszego pojęcia, jaki jest teraz dzień tygodnia).

Jest jeszcze jedna forma rozrywki. Kilkoro z nich śpiewa w klubie Glee - tak nazywają swój chór. Mają w repertuarze łatwe, popularne stare piosenki. (Nic Franka Sinatry, o czym zapewniła mnie pewna kobieta, która chciała, bym się do nich przyłączył). Nie wiem, czy któreś z nich

pisze, maluje lub rzeźbi. To zwykli, przeciętni ludzie, sztuka ich nie interesuje. Kiedy piszę „przeciętni”, nie chodzi mi o intelekt. Są z pewnością wykształceni i bystrzy, ale pochłania ich tylko praktyczna strona życia.

Jeśli chodzi o przypadki molestowania seksualnego

Rozległo się pukanie do drzwi. Zapisał swój list jako wersję roboczą i poszedł zobaczyć, kto go odwiedził. To była Grainger. Jej oczy były przekrwione i zapuchnięte od płaczu. Jego komiczny wygląd – szata, sweter i skarpety – nie wywołał uśmiechu na jej twarzy. Sprawiała wrażenie przybitej, najwyraźniej potrzebowała, żeby ktoś ją przytulił.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.



## Nauczy się go, choćby miał paść trupem

Na łóżku Petera leżał stos przedmiotów, których Grainger chyba nie była w stanie zidentyfikować, a już na pewno nie wiedziała, po jaką cholere on je tu trzyma.

– Podpowiem ci – powiedział Peter z uśmiechem. – To kłębki wełny.

Nie skomentowała tego ani słowem, stała bez ruchu i gapiła się na nie dalej. W pokoju Petera były tylko trzy miejsca, gdzie mógł usiąść gość – dwa krzesła i łóżko. Jedno krzesło stało przed ekranem Sztoosu, na którym widać było prywatną korespondencję. Na drugim leżała sterta papierów, a na łóżku piętrzyły się różnokolorowe motki wełny. Różowe, żółte, białe, błękitne, szkarłatne, szare, zielone i wiele innych. W każdy wetknięta była wielka igła z nawleczoną włóczką.

– Robię broszury – wyjaśnił, wskazując na stos papierów. Wziął jeden plik, otworzył i pokazał, że jest zszyty wełnianą nicią.

Zamrugła oszołomiona.

– Mogłeś poprosić o zszywacz – powiedziała.

– Używałem go, ale przekonałem się, że Oazjanie boją się skaleczyć zszywkami. „Igła cyha na palec”, jak to ujęli.

– A klej?

– Rozpuści się przy tej temperaturze i wilgoci.

Nie odrywała wzroku od łóżka. Pewnie uważała, że za dużo tych kolorów i motków, że nie potrzeba mu aż tyle wełny.

– W ten sposób każdy Miłośnik Jezusa dostanie swoją własną wersję Pisma – powiedział. – Różne kolory włóczki sprawiają, że każda broszura jest niepowtarzalna. To, no i moja... hm... niezdarność w zszywaniu.

Grainger zrobiła gest dłonią, jakby chcąc powiedzieć, że to dla niej zbyt dziwaczne.

Peter narzucił koc na stos wełny i pośpiesznie uprzątnął papiery z krzesła. Poprosił ją, by usiadła. Zrobiła to, oparła łokcie na kolanach, złożyła dłonie i zaczęła się wpatrywać w podłogę. Zapadła cisza, która trwała przez pół minuty, co w tej sytuacji wydawało się wiecznością. Kiedy wreszcie Grainger się odezwała, jej głos był przytłumiony i bezbarwny, jakby mówiła do siebie.

– Przykro mi, że Austin pokazał ci zwłoki. Nie wiedziałam, że to robi.

– Widywałem już wcześniej nieboszczyków – powiedział łagodnie.

– To okropne, wyglądają jak dawniej, ale ich już nie ma.

– Są – odparł – ale tak, to smutne.

Grainger gwałtownie uniosła dłoń do ust, jak kot, który zranił się w łapę, i zaczęła obgryzać paznokieć małego palca. Równie nagle przestała.

- Skąd wzięłaś tę wełnę?
- Dał mi ją jeden z pracowników bazy.
- Springer?
- Tak.
- Stara ciota.
- To chyba nie stanowi tu problemu?

Grainger westchnęła i znów zwiesiła głowę.

- Tu nic nie stanowi problemu. Jeszcze nie zauważyłaś?

Znów zamilkła na pół minuty, jakby zahipnotyzował ją wzór dywanu. Oddychała powoli. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę; krótkie rękawy nie zasłaniały blizn na przedramionach. Za każdym razem, kiedy nabierała powietrza do płuc, jej piersi rysowały się wyraźnie pod cienkim materiałem.

- Płakałaś – powiedział.

– Nie.

– Płakałaś.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Ty mi powiedz, doktorze.

Uklęknął na ziemi przy jej stopach.

– Grainger, nie umiem się bawić w kotka i myszkę. Przyszłaś tu porozmawiać. Jestem gotów. Cierpisz, powiedz mi dlaczego.

– Chyba chodzi o to, co zwykle nazywa się... kłopotami rodzinnymi. – Zaczęła się bawić koniuszkami palców. Zdał sobie sprawę, że kiedyś paliła i teraz bardzo brakowało jej papierosów. Dziwne, u nikogo innego z personelu nie zauważył podobnych tików, chociaż wielu z nich na pewno musiało palić nałogowo we wcześniejszych okresach życia.

– Ludzie bez przerwy mi powtarzają, że tu nikt nie ma rodziny, na której mi zależy – powiedział Peter. – La Légion Étrangère, jak ujął to Tuska. Ale ja nie zapomniałem. Codziennie modlę się za Charliego Graingera. Jak się ma?

Grainger parsknęła. Niedawno płakała i teraz zasmarkowała sobie usta. Mruknęła poirytowana i wytarła twarz rękawem.

– Bóg ci nie mówi?

– Czego?

– Że ludzie, za których się modlisz, mają się dobrze.

– Bóg nie jest moim... pracownikiem – powiedział Peter. – Nie musi wysyłać mi raportów. I dobrze wie, że nie znam twojego taty. Mówmy szczerze: Charlie Grainger to dla mnie tylko imię i nazwisko, dopóki nie powiesz mi o nim czegoś więcej.

– Twierdzisz, że Bóg potrzebuje więcej danych, zanim...

– Nie. Chodzi mi o to, że Bóg nie musi dowiadywać się ode mnie, kim jest Charlie Grainger. Bóg rozumie i zna twojego ojca aż do... najmniejszej

molekuły na jego rzęsach. Nie modłę się, by przypomnieć Bogu o twoim ojcu. Robię to, by wyrazić... – Peter szukał odpowiedniego słowa, chociaż nieraz już przeprowadzał podobne rozmowy. Każda była wyjątkowa. – Chcę przekazać Bogu moją miłość do drugiego człowieka. To szansa, by okazać troskę o ludzi, na których mi zależy.

– Przecież mówiłeś, że mój tata to dla ciebie tylko imię i nazwisko.

– Chodzi mi o ciebie. Zależy mi na *tobie*.

Grainger siedziała wyprostowana, z zaciśniętymi ustami. W szeroko otwartych oczach pojawiły się łzy i spłynęły jej po policzkach. Przez chwilę wyglądało, jakby miała zamiar rozplakać się na dobre, ale zdołała się opanować. Zjeżyła się. Peter zrozumiał, że zdenerwowanie i irytacja były reakcją obronną, jak nastawione kolce jeżozwierz.

– Jeżeli modlitwa jest tylko okazywaniem troski – powiedziała – to czemu ma służyć? Politycy też okazują „troskę”, mówią o wojnach czy łamaniu praw człowieka, a potem nic z tym nie robią. To tylko puste słowa, które niczego, do cholery, nie zmieniają.

Peter potrząsnął głową. Ciągle to samo, od lat. Kiedy był pastorem u siebie, w Anglii, słyszał to prawie codziennie.

– Wiem, co czujesz – powiedział. – Ale Bóg nie jest politykiem. Ani policjantem. Jest stwórcą wszechświata, niewyobrażalną siłą, tryliony razy większą niż system słoneczny. Oczywiście, kiedy źle nam się układa w życiu, gniew jest zrozumiałą, chcemy obarczyć kogoś odpowiedzialnością, zrzucić to z siebie. Ale oskarżanie Boga... To jakby mieć pretensje do praw fizyki, że odpowiadają za cierpienie ludzi, albo do zasady ciężenia, że to z jej przyczyny wybuchają wojny.

– Nikogo nie oskarżam – powiedziała – a ty wypaczasz tę kwestię. Nie padnę na kolana i nie zacznę modlić się do praw fizyki, bo one nie mogą mnie usłyszeć. A Bóg powinien coś zrobić.

– Traktujesz go jak...

– Chciałabym tylko, żeby to, kurwa, choć trochę obchodziło tego twojego wspaniałego, doskonałego Boga. – Wydała z siebie zduszony jęk bólu i rozszlochała się na cały głos. Peter pochylił się i objął ją mocno. Ciągle klęczał, ale ona pochyliła się na krześle i przycisnęła głowę do jego ramienia. Czuł na policzku jej włosy, a ich miękkość i tajemnicza woń podniecały go i wprawiały w zakłopotanie. Poczł boleśnie, jak bardzo brakuje mu Bei.

– Nie powiedziałem, że to go nic nie obchodzi – wyszeptał. – Bardzo mu na nas zależy. Tak bardzo, że stał się jednym z nas. Stał się człowiekiem. Wyobrażasz to sobie? Stwórca wszechrzeczy, on, który ukształtował galaktyki, narodził się jako ludzkie niemowlę i dorastał w ubogiej rodzinie w małej wiosce, gdzieś na Środkowym Wschodzie.

Ciągle łkając, roześmiała się i najprawdopodobniej zasmarkowała mu sweter.

– Sam w to nie wierzysz.

– Uwierz mi, że tak.

Znów się roześmiała.

– Jesteś stuknięty.

– Nie bardziej niż inni tutaj.

Milczeli przez chwilę. Grainger wyładowała gniew i uspokoiła się. Dotyk jej ciepłego ciała sprawiał Peterowi przyjemność, większą, niż mógłby się spodziewać. Od kiedy BG i Severin wynieśli go z koi pod koniec lotu, Peter nie miał kontaktu z ludzkim ciałem. Nie licząc uścisków dłoni. Oazjanie nie lubili bliskości fizycznej, nawet pomiędzy sobą, czasami tylko poklepywali się po ramionach dłońmi w rękawiczkach. Nie mieli ust i nie mogli się całować. Tak, zdecydowanie za długo nie miał styczności (w dosłownym tego słowa znaczeniu) z drugim człowiekiem.

Od niewygodnej pozycji zaczęły go boleć plecy. Mięśnie na grzbiecie nie były przyzwyczajone do takiego wysiłku. Jeśli jej nie puści, za chwilę straci równowagę, ramię, którym obejmował ją w talii, opadnie i Peter zwali się na nią całym ciężarem.

– Opowiedz mi o swoim tacie – poprosił.

Wyprostowała się na krześle i pozwoliła mu się odsunąć. W ten sposób nie wyglądało to tak, jakby sam chciał ją puścić. Przyjrzał się jej i zobaczył, że płacz pozostawił brzydkie ślady na jej twarzy – była zaczerwieniona, napuchnięta i mało kobieca. Grainger wiedziała o tym. Odwrócił taktownie wzrok, kiedy wycierała oczy rękawem, przeczesywała palcami włosy i starała się przybrać normalny wygląd.

– Niewiele o nim wiem – powiedziała. – Nie widziałam go od śmierci mamy. To było dwadzieścia pięć lat temu, a ja miałam piętnaście.

Peter szybko policzył. To nie była najlepsza chwila na komplementy, ale nie wyglądała na czterdziestkę. Nawet zapłakana.

– Ale wiesz, że jest chory? – zapytał. – Mówiłaś, że niedługo umrze.

– Chyba tak, jest stary. Nic mnie to nie obchodzi, przeżył już swoje. – Znów zaczęła się bawić niewidzialną paczką papierosów. – Ale w końcu to mój tata.

– Skoro tak długo nie mieliście kontaktu, to może już nie żyje? Albo jest na emeryturze i cieszy się pogodną starością.

– Nie.

– Nie?

– Nie. – Posłała mu podejrzliwe spojrzenie, a potem złagodniała, jakby zdecydowała się mu zaufać. – Miewasz przeczucia?

– Przeczucia?

– Tak. Kiedy masz wrażenie, że wiesz o czymś, co się teraz dzieje gdzieś indziej. Nie masz do tego racjonalnych podstaw, ale po prostu wiesz. A za jakiś czas dowiadujesz się... dostajesz dowody od kogoś, kto to na przykład widział na własne oczy, że to, o czym pomyślałeś, wydarzyło się naprawdę, dokładnie tak, jak sobie wyobrażałeś. Jakby jakiś promień wywołał konkretne obrazy w twoim umyśle.

Wytrzymał jej spojrzenie. Odruchowo chciał jej przytaknąć, ale zdołał się

pohamować. Z pozoru na takie pytanie można odpowiedzieć tylko twierdząco i zacząć przytaczać historyjki o tajemniczych przeczuciach, które okazały się prawdą. Sęk w tym, że nigdy nie interesowały go zjawiska paranormalne. Razem z Beą uważali, że ludzie, którzy głęboko wierzą w fenomeny pozazmysłowe, rzadko potrafią spojrzeć obiektywnie na swoje życie i odnaleźć prawdziwą przyczynę panującego w nim chaosu. Tego oczywiście nie mógł jej powiedzieć. Chciał dyplomatycznie napomknąć, że wiara jest czymś w rodzaju intuicji, ale nie opiera się na niezwykłych zbiegach okoliczności, gdy Grainger znowu się odezwała.

– Kilka miesięcy temu miałam takie przecucie o moim ojcu. Zobaczyłam go w myślach. Grupka lekarzy wiozła go na noszach szpitalnym korytarzem, krzycząc „z drogi!”. Obraz był tak wyraźny, jakbym biegła tuż za nimi. Ojciec był przytomny, ale dezorientowany, do jednego ramienia miał podłączoną kroplówkę, a drugą ręką przetrząsał kieszenie spodni w poszukiwaniu portfela. „Zapłacę, zapłacę”, krzyczał. Wiedział, że jest z nim cholernie źle, i był przerażony. Obawiał się, że odmówią mu pomocy. Jego twarz... nie była podobna do tej, którą zapamiętałam, nie znałam jej. Wyglądał jak stary włóczęga, którego przed chwilą zabrali z ulicy, ale wiedziałam, że to mój tata.

– A czy później miałaś następne... przecucie?

Zamknęła oczy, zmęczona swoją wizją, a może przedłużającą się rozmową.

– Myślę, że ciągle tam jest – powiedziała bez przekonania.

– Modłę się za niego.

– Chociaż nie ma to wpływu na budowniczego galaktyk?

– Grainger... – zaczął. Miał już dość zwracania się do niej po nazwisku. – Mogę mówić do ciebie Alex? Albo Alexandra, jeśli to zdrobnienie pochodzi od tego imienia?

Zesztywniała, jakby wsunął jej dłoń pomiędzy uda.

– Skąd...

– Pisałaś do mojej żony, pamiętasz?

Zastanawiała się chwilę.

– Lepiej mów tak jak do tej pory, Grainger – powiedziała, już bez cienia gniewu. Kiedy zobaczyła, że jest zmieszany, dodała: – Przyzwyczailiśmy się do takiej formy. Nazwiska przypominają nam, że wszyscy tu jesteśmy w pracy.

Wyczuł, że chce zakończyć rozmowę. Dostała już to, po co przyszła. A jeśli nie, to nie spodziewała się niczego więcej. Żałował tylko, że nie zdołał jej lepiej wyjaśnić istoty modlitwy. Nie polega ona na proszeniu i otrzymywaniu; to dodawanie własnej energii – choćby nieskończenie małej – do niepomniernie potężniejszej mocy, która była Bożą miłością. Modlitwa to afirmacja faktu, że jesteśmy częścią Boga, przejawem jego Ducha, tymczasowo bytującego w naszym ciele. Cud w gruncie rzeczy podobny do tego, który sprawił, że Jezus wcielił się w człowieka.

– Mówisz jak specjalistka, jak członek zespołuUSIC – powiedział. – A na czym polega moja praca, jak myślisz? – Miał nadzieję, że zdoła skierować

rozmowę z powrotem na kwestie wiary.

– Na uszczęśliwianiu Oazjan – odpowiedziała – żeby nadal nam pomagali. A przynajmniej nie przeszkadzali.

– Tylko na tym?

Wzruszyła ramionami.

– I na uszczęśliwianiu Springera. Jest zachwycony, kiedy ktoś okazuje zainteresowanie jego kolekcją wyszywanych pokrowców na poduszki.

– Jest bardzo miły i życzliwy – zaprotestował Peter.

Grainger wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Jasne, że jest. Sama słodycz. Wszyscy jesteśmy tu milutcy, prawda? Same kociaki, jak mawia Tuska. – Urwała, po czym dodała przerażająco spokojnym tonem, który sprawił, że Petera przeszły ciarki: – Pieprzone wykastrowane kociaki.

Kilka minut później, kiedy sobie poszła, usiadł z powrotem do niedokończonego listu. Ciągle odczuwał lekkie zażenowanie po jej wizycie.

Jeśli chodzi o przypadki molestowania seksualnego, niczego takiego nie zauważyłem.

Popatrzył na ekran, zastanawiając się, co ma dalej napisać. Było mu żal Grainger, chciałby jej pomóc, ale musiał przyznać, że zmagania z jej udręczoną duszą wykończyły go. Dziwne, bo kiedy był pastorem w Anglii, codziennie stykał się z podobnymi problemami i nigdy nie czuł się zmęczony. Przeciwnie, takie spotkania dodawały mu sił i napełniały nadzieją, że potrafi doprowadzić do przełomu u gniewnych i nieufnych. To zawsze była kwestia chwili, krótkiego przebłysku, kiedy dostrzegali, że odrzucając swojego Stwórcę, walczą przeciwko samej istocie Miłości. Przez lata bładzili i potykali się, dźwigając ciężki pancerz, swoją pozorną ochronę, aż nagle potrafili zrozumieć, że to krępujący, bezużyteczny ciężar. I zrzucali go, otwierając serce przed Jezusem. Takie chwile wynagradzały wszystko.

Właśnie widziałem się z Grainger, napisał, chcąc podzielić się z Beą najświeższymi wrażeniami. Wzięłaś ją za mężczyznę, ale to kobieta. Nie pozwala mi zwracać się do siebie po imieniu, tu nie ma takiego zwyczaju. Nawet przyjaciele wolą używać nazwisk.

Grainger jest chyba najbardziej bezbronną i wrażliwą osobą, jaką spotkałem w bazie. Jej nastrój potrafi zmienić się w jednej chwili, jak za naciśnięciem jakiegoś przycisku, i wtedy staje się poirytowana lub chowa się w swojej skorupie. Dziś otworzyła się przede mną. Ma w sobie głębokie, niezagojone rany i trzeba czasu, by odkryć, skąd się wzięły. Dziwne, że zakwalifikowali ją do pracy tutaj, musieli z nią rozmawiać, kiedy była w lepszej formie. W naszym życiu są takie chwile, kiedy czujemy się niezwykłeni, chociaż wszystko wokół się wali, a bywa i tak, że sprawy układają się dobrze, a my jesteśmy delikatni i podatni na wstrząsy. Nawet najbardziej niezachwiany w swej wierze chrześcijanin

nie jest wolny od takiej huśtawki nastrojów. Grainger cierpi z powodu trudnej relacji z ojcem, którego nie widziała od dwudziestu pięciu lat. Ty na pewno to rozumiesz i gdybyś tu była, najlepiej potrafiłabyś jej pomóc.

Skoro o tym mowa – odkryłem, dlaczego Cię tu nie ma. Kilka godzin temu spotkałem

Szukając w pamięci nazwiska doktora Austina, przypomniał sobie, że pisał już o nim, zanim przerwała mu Grainger. Wykasował ostatnie słowa. Z każdą chwilą odczuwał coraz większe zmęczenie.

Teraz już kończę i wysyłam tę wiadomość. Nie zdołałem tego zrobić wcześniej, bo przyszła Grainger. Wstyd mi, że musisz czekać tak długo. Masz rację, że krytykujesz mój perfekcjonizm, postaram się poprawić (to żart)! Obiecuję pisać częściej. Kiedy będziesz czytać ten list, ja już będę pisać następny.

Kocham Cię

Peter

Zgodnie z obietnicą wysłał go natychmiast, a potem otworzył kolejną wiadomość od Bei, by przypomnieć sobie jej treść. Tym razem postanowił nie odnosić się szczegółowo do każdej sprawy, o której wspominała. Nie tego się po nim spodziewa, chce po prostu wiedzieć, że przeczytał jej słowa, i dostać w zamian jakieś wieści od niego. Jego uwagę przykuł fragment, w którym opisywała gojącą się ranę na rękę: „skóra jest biało-różowa, nieco woskowata od opatrunku, ale wygląda całkiem nieźle”. Natychmiast zaczął pisać.

Kochana Beo,

bardzo się cieszę, że z Twoją ręką jest lepiej. Byłem przerażony, kiedy dowiedziałem się, jak się skaleczyłaś. Nie śpiesz się z powrotem do pracy, proszę! Musisz być w pełni sił, aby móc zajmować się pacjentami. Poza tym w szpitalu jest mnóstwo robactwa i nie chodzi mi tylko o

Bezskutecznie próbował sobie przypomnieć nazwisko, chociaż Bea wymieniała je niemal codziennie od dwóch lat.

Twojego kolegę, tego paranoika z kręconymi włosami.

Chociaż radzę sobie nieźle z moimi zadaniami, bardzo żałuję, że nie ma Cię tu ze mną. Złości mnie, że Cię nie zakwalifikowali – z czystego egoizmu, ale i z ważniejszych przyczyn. Nie wiem, czym kierował się USIC, ale popełnił wielki błąd. Zdecydowanie brakuje tu kogoś takiego jak Ty, bo atmosfera jest zbyt... jak by to określić? Samcza. Oczywiście w bazie pracuje wiele kobiet, ale to nie ma wpływu na specyficzne koszarowe klimaty. Jak w wojsku lub na wielkiej budowie (w gruncie rzeczy właśnie tym jest to miejsce). Kobiety nie starają się niczego

zmienić i wolą dostosować się do tutejszych obyczajów.

Może jestem niesprawiedliwy i zbyt generalizuję. W końcu nie wszystkie kobiety muszą odpowiadać mojemu wyobrażeniu o kobiecości. Ale nie czuję się w bazie najlepiej i uważam, że kilka takich osób jak Ty mogłoby zdziałać cuda.

Nie chcę przez to powiedzieć, że na świecie jest wiele takich istot jak Ty! Jesteś jedyna i wyjątkowa!

Sprawy płci u Oazjan są bardziej skomplikowane. Nie potrafię jeszcze tego rozgryźć - nie rozumieją moich pytań dotyczących tych tematów, a ja nie rozumiem ich odpowiedzi! Z tego, co zdołałem zaobserwować, nie mają narządów płciowych w tych miejscach gdzie my. Rodzą dzieci - niezbyt często - więc niektóre z moich Miłośniczek Jezusa muszą być matkami, ale nie mogę stwierdzić, by te, które nimi są, zachowywały się jakoś specyficznie. Wszystkie są na swój sposób opiekuńcze. Bardzo je polubiłem, a myślę, że i Ty obdarzyłybyś je sympatią.

Są wyjątkowo łagodne i troskliwe. Nie od razu daje się to zauważyć, ale stopniowo zaczynam sobie z tego zdawać sprawę. Podczas ostatniego nabożeństwa w kościele, kiedy wszyscy śpiewaliśmy, jeden z obrazów nagle odpadł z sufitu (nie był dość dobrze zamocowany, to trudne, kiedy nie ma się gwoździ, śrub ani jakichkolwiek ostrych przedmiotów!). Spadł prosto na rękę Miłośniczki Piątej. Wszyscy się przestraszyliśmy, czy nie doszło do złamania, ale na szczęście malowidło nie było ciężkie i skończyło się tylko na siniaku. Oazjanie zajęli się nią niezwykle troskliwie, wszyscy obejmowali ją i pocieszali. Nigdy i nigdzie nie widziałem tak powszechnych oznak współczucia i miłości. A ona nie odezwała się nawet słowem, chociaż zwykle sporo mówi. Jest moją ulubienicą.

Znowu przerwał. W czasie gdy jego żona przeżywała takie trudne chwile, chwalenie innych kobiet, nieważne, Ziemiemek czy Oazjanek, z pewnością nie było najwłaściwsze. Łączyły go z Beą tak silna więź i zaufanie, że każde z nich mogło sobie pozwolić na zachwyt nad inną osobą, bez względu na jej płeć. Mimo to... wykasował „moją ulubienicą” i napisał „osobą, z którą najlepiej mi się rozmawia”. Nadal nie wyglądało to najzręczniejsz.

Ale oczywiście to nic w porównaniu z naszym wyjątkowym, cudownym związkiem. Niedawno wspominałem nasz ślub i Twoją suknię, którą wkładałaś potem jeszcze wiele razy.

Napisz do mnie jak najszybciej. Wiem, że pisałaś więcej i częściej niż ja, ale to nie znaczy, że nie zależy mi na wiadomościach od Ciebie. Strasznie mi Ciebie brakuje i bardzo mi przykro, jeśli odniosłaś wrażenie, że nie chcę poruszać niektórych tematów. Pisz, o czym chcesz, kochana. Jestem Twoim mężem i zawsze będę Cię wspierał.

Kocham Cię

Peter



Pisał szczerze, ale z pewnym przymusem. Bez trudu wypowiadałby takie słowa, gdyby tulił ją w ramionach, ale... wystukiwanie ich na klawiaturze i wysyłanie w przestrzeń nie było tym samym. Zmieniało barwę i natężenie uczucia w taki sposób, w jaki tracą na wyrazistości kserowane fotografie. Jego miłość do żony została strywializowana i brakowało w niej kunsztu wyrafinowanego artysty, który potrafi wydobyć w swym obrazie wszystkie detale i szczegóły.

Otworzył trzeci list, mając zamiar i na ten natychmiast odpowiedzieć, ale kiedy przeczytał „Peter, kochany” i wyobraził sobie, jak pisze „Kochana Beo”, przestraszył się. Jeszcze pomyśli sobie, że stara się za wszelką cenę zasłużyć na jej uznanie. I co gorsza, może mieć rację. Przebiegł tekst wzrokiem. Był długi. W drugim akapicie wspominała coś o stercie korespondencji, którą ostatnio otrzymała, w tym o pewnym zawiadomieniu z rady miejskiej. Przynaglali go, by zarejestrował się na liście wyborczej. Miał wypełnić formularz, ponieważ „jego sytuacja uległa zmianie”. Skąd wiedzieli? Bea nie potrafiła wyjaśnić, czy była to forma agresywnej agitacji politycznej, czy prawdziwe wezwanie, które mogło mieć prawne konsekwencje. Ale co mógł z tym zrobić? I czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Czy Bea naprawdę myślała, że będzie się bał stracić uprawnienia do głosowania w następnych wyborach? Była zła, bo wtrącali się w ich życie jacyś anonimowi biurokraci? Dlaczego mu o tym napisała? „Pisz, o czym chcesz, kochana”, to jego słowa sprzed chwili. Powinien był dodać: „Oprócz tego, o czym nie mam ochoty się dowiadywać”.

Zsunął się z krzesła, ukląkł na podłodze i zacisnął dłonie pomiędzy kolanami. Zaczął się modlić.

– Panie, wspomóż mnie. Jestem zmęczony i zdezorientowany, wyzwania, które stoją przede mną, przekraczają moje siły. Napełnij mnie otuchą i spraw, bym widział jasno. I dodaj mi pewności. Moja cudowna Bea jest samotna i udęczona, obdarz ją siłą i wytrwałością. Dziękuję Ci, Panie, że uzdrowiłeś jej rękę. I dziękuję Ci, że ujawniłeś się Miłośniczce Jezusa Czternastej w godzinie jej potrzeby. Mam nadzieję, że to ją wzmocni. I modlę się za Miłośnika Jezusa Trzydziestego Siódmego, od którego odwrócił się jego brat, bo ma mu za złe jego wiarę w Ciebie. Wspomóż go. Modlę się, by jego brat też do nas dołączył. Proszę, wyostrz moje zmysły i umysł, kiedy rozmawiam z Miłośnikiem Jezusa Ósmym. On czegoś chce ode mnie, a jest zbyt nieśmiały, by powiedzieć to wprost, a ja jestem za głupi, by zgadnąć. Modlę się za Sheilę, Rachel i Billy’ego Frame’ów, zwłaszcza za Billy’ego, bo ciężko przeżywa rozwód rodziców. Modlę się za Raya Sherwooda, bo coraz bardziej odczuwa skutki choroby Parkinsona.

Urwał. Może Ray już nie żyje? Od dawna nie było o nim żadnych wiadomości. Chory Ray od lat pojawiał się w jego modlitwach. Peter nie mógł przestać tylko dlatego, że stracili kontakt, to byłoby okrutne. Poza tym ciągle o nim myślał. Uśmiechnięta, ale naznaczona strachem twarz Raya i jego ułomne ciało nie dawały mu spokoju.

– Modlę się za Charliego Graingera – ciągnął. – Modlę się, by mógł jeszcze

kiedyś zobaczyć córkę. Modłę się za Grainger. Obawiam się, że grozi jej niebezpieczeństwo – zatruwa swą duszę goryczą. I za Tuskę – zaznał niewiele dobrego w życiu i stwardniała mu skóra. Spraw, by złagodniał, jeśli taka jest wola Twoja. Modłę się za Maneely, by ta chwila, kiedy odczuła potrzebę Twojej obecności, nie okazała się daremna. Niech się przerodzi w trwałe poszukiwanie Chrystusa. Modłę się za Corette, która nadała nazwę tej planecie i wiązała z tym nadzieję na lepsze życie. Niech się stanie lepsze, Panie.

Zaczęło mu burczeć w brzuchu, ale wiedział, że jeszcze nie obnażył się całkowicie przed Bogiem. Jeśli przerwie w tym momencie, modlitwa stanie się rutynowym, pustym aktem.

– Modłę się za ofiary z Malediwów i Korei Północnej i... hm... Gwatemali. Nie znam ich, są dla mnie anonimowi i bardzo mi z tego powodu wstyd. Ale dla Ciebie to konkretni ludzie. Przebacz mi, Panie, moją małość i samolubność. Amen.

Ciągle nieusatisfakcjonowany sięgnął po Biblię i otworzył ją na chybił trafił, pozwalając Bogu wybrać odpowiednią stronicę. Robił to już niezliczoną ilość razy i pewnie nadwerężył w ten sposób grzbiet niejednej oprawy. Dzisiaj Wszechmocny podsunął mu stronę tysiąc trzysta pięćdziesiątą czwartą. Pierwsze rzuciły mu się w oczy słowa: „Wykonaj dzieło ewangelisty, spełnij swe posługiwanie!”<sup>31</sup>. To był list Pawła do Tymoteusza napisany w sześćdziesiątym ósmym roku po Chrystusie, ale także bezpośrednia Boża wskazówka dla Petera. Spełnij swe posługiwanie? Jak ma to zrobić? Czy nie stara się ze wszystkich sił? Najwyraźniej nie, skoro Pan skierował jego wzrok na ten wers. Ale co mógł zrobić więcej lub lepiej? Przeczytał całą stronicę, szukając dodatkowych rad. Kilka razy natrafił na słowo „nauka”. Zerknął na poprzednią stronę i przeczytał: „Znasz Pisma święte, które mogą cię nauczyć mądrości wiodącej ku zbawieniu”<sup>32</sup>. Nauczyć? Poznawać Pismo? Poświęcił temu niezliczone godziny. Więc... czego Bóg każe mu się nauczyć?

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Słońce już wzeszło, ale ciągle stało nisko nad horyzontem. Światło go raziło i musiał osłonić oczy dłonią. Wydawało mu się, że na pustej asfaltowej tafli zobaczył tłum ludzi wychodzących z za rogu wielkiego budynku bazy. Zamrugał, ale iluzja nie zniknęła.

Po kilku minutach dołączył do gromady pracowników USIC. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy bazy wyszli z budynku i idą w kierunku stepu rozciągającego się poza obrębem asfaltowej płyty. Początkowo Peter myślał, że to ćwiczenia przeciwpożarowe albo zdarzył się jakiś wypadek i personel ucieka przed toksycznymi wylęgami. Ale ludzie byli odprężeni i w dobrych nastrojach, niektórzy nawet trzymali kubki z kawą. Czarny mężczyzna, ten sam, który pierwszego dnia rzucił mu muffina (nie pamiętał, jak ma na imię, Rude? Rooney?), uśmiechnął się do niego i skinął głową. Dwie kobiety, którym

nigdy nie został przedstawiony, też do niego pomachały. Wśród tłumu panował ożywiony gwar, jak w kolejce do wesołego miasteczka albo na koncert.

Peter zrównał się z najbliższą znajomą osobą. Była to Hayes, niezbyt lotna inżynier, która wygłaszała przemówienie z okazji otwarcia Zakładu Zasilania i Centryfugi. Rozmawiał z nią potem kilka razy i nawet ją polubił. Była tak przeraźliwie nudna, że nadawało jej to zabawny, ekscentryczny rys. Dodatkowo ujmowała go tym, że zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojej ułomności. Zauważył, że inni pracownicy traktowali ją w podobny sposób. Kiedy zaczynała nawijać, w ich oczach pojawiały się iskierki rozbawienia.

– Dlaczego wszyscy wyszli? – zapytał.

– Nie wiem, dlaczego ty wyszedłeś – odparła. – Mogę tylko powiedzieć, dlaczego my wyszliśmy. – Te słowa wygłoszone przez kogoś innego zabrzmiałyby ironicznie lub złośliwie, ale ona po prostu chciała ściśle trzymać się tematu, na który miała coś do powiedzenia.

– W porządku – powiedział, idąc obok niej. – Dlaczego wszyscy wyszliście?

– Dostaliśmy wiadomość od zespołu Matki.

– Tak? – Dopiero po kilku sekundach Peter zrozumiał, że Hayes mówi o Wielkim Biustonozu. Nikt inny nie nazywał go Matką, ale ona stale używała tego określenia, mając nadzieję, że w końcu się przyjmie.

– Powiedzieli, że w ich kierunku pędzi stado zwierząt. A może mówili o tabunie. – Zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie właściwe słowo. – W każdym razie mieli na myśli dużą liczbę.

– Zwierząt? Jakich zwierząt?

Znów sięgnęła do zasobu swej wiedzy.

– Tutejszych zwierząt – powiedziała.

– Myślałem, że tu nie ma żadnych zwierząt!

Wzięła jego podniecenie za przejaw sceptycyzmu.

– Jestem pewna, że nasi koledzy z Matki są godni zaufania i nie pomylili się. Nie wierzę, żeby zażartowali sobie w ten sposób. Na zebraniach USIC wiele razy dyskutowaliśmy o kawałach, które mają wprawiać ofiary w zakłopotanie, i doszliśmy do wniosku, że źle wpływają na wydajność pracy i mogą być niebezpieczne.

Peter przytaknął odruchowo. Skupił uwagę na rozciągającym się przed nim terenie. Widoczność była kiepska. Oślepiające światło wschodzącego słońca zlewało się z wirującymi nad ziemią kłębam mgły. Ciągnęły się przez setki metrów, jak rój upiornych, oderwanych od podłoża i toczonych przez wiatr stepowych roślin. Mgła potęgowała złudzenia optyczne: niektóre słabo widoczne obiekty zdawały się przybliżać.

Niespodziewanie wyłaniały się z mgły i dopiero wtedy można było rozpoznać, że są to kępy roślin mocno przytwierdzone korzeniami do ziemi.

Gromada ludzi doszła do końca asfaltu. Grunt pod stopami zrobił się miękki. Peter przyjrzał się pracownikom USIC idącym w pierwszym szeregu. Na czele kroczył Stanko, jego znajomy ze stołówki. Szedł z wdziękiem, rytmicznie

poruszając długimi opuszczonymi ramionami. Peter pomyślał, że w tych okolicznościach to chyba dziwne, że Stanko jest nieuzbrojony. Nikt nie był. Właściwie... od przybycia na Oazę Peter nie widział żadnej broni. Czy to mogła być prawda? Czy rzeczywiście znalazł się w społeczności bez broni? Zdumiewające... Z drugiej strony czy takie lekceważenie zasad bezpieczeństwa nie zakrawało na głupotę? Są sytuacje, w których tylko szaleni obywają się bez strzelby. Kto zezwolił na tę wyprawę, na wymarsz tylu ludzi uzbrojonych jedynie w ciekawość? Czy wszyscy zmierzali w paszczę śmierci? Czy za chwilę nie zostaną stratowani lub rozdarci na strzępy przez dzikie zwierzęta?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Wiatr rozproszył mgłę i odsłonił dużą połąć stepu, na której widać było stado lub tabun zbliżających się stworzeń (w sumie może osiemdziesiąt lub sto sztuk). W zależności od temperamentu każdy pracownik USIC wydał z siebie stłumiony lub głośny okrzyk. A potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Zwierzęta były nie większe niż kurczaki. Małe kurczaki.

– Widzicie to? – powiedział Stanko, przeciągając słowa i uśmiechając się szeroko.

Stworzenia zdawały się połączeniem ptaków i ssaków. Nie były opierzone, miały różową lśniąca skórę nakrapianą szarymi cętkami, a kaczki głowy podrygiwały w takt ich chwiejnych kroków. Po bokach zwisały drobne szczątkowe skrzydła, które poruszały się lekko pod wpływem marszu, ale nie były w stanie unieść ich do lotu. Gdyby zwierzęta się zatrzymały, skrzydła zwisłyby bezwładnie jak wywrócone na drugą stronę kieszenie spodni suszących się po praniu na sznurze. Tułowia tych ptakossaków były tłuste i zaokrąglone jak imbryki do herbaty. Zwierzątka kroczyły statecznie, a zarazem komicznie.

– Nie wieweerzę własnym oczom! – Peter rozpoznał głos BG. Dostrzegł go w tłumie, ale nie chciał roztrącać ludzi i przepychać się do niego.

Wszyscy znieruchomieli, by nie wystraszyć zwierząt. Stado zbliżało się, nie zwracając uwagi na gapiów. Tłuste ciała poruszały się miarowo i powoli, niestrudzenie prac do przodu. Z dalszej odległości trudno było dostrzec, ile mają nóg, ale kiedy podeszły blisko, okazało się, że po cztery przykurczone małe nóżki, krępe i muskularne, zupełnie niepodobne do ptasich. Miały pokryte meszkiem, przypominające płetwy stopy, ciemniejsze niż reszta ciała, przez co wyglądały, jakby nosiły buty.

– Słodkie do dziesiątej potęgi – powiedział ktoś.

– Słodkie do setnej potęgi – dopowiedział ktoś inny.

Z bliska ich głowy nie były już tak podobne do kaczek – mięsiste dzioby można było porównać do oklapniętych psich pysków. Miniaturowe, pozbawione wyrazu oczy osadzone były blisko siebie i zdawały się mieć wyraz bezdennej głupoty. Stworzenia nie rozglądały się, nie patrzyły jedne na drugie, tylko gapiły się prosto przed siebie. Trzymały się wyznaczonej marszruty, która przebiegała obok bazy USIC. Nie wydawały żadnych dźwięków, słychać było tylko delikatny rytmiczny tupot ich stóp.

– Jak nazwiemy te cudaki? – zapytał ktoś.

– Sikoreczki.

– Kaczkonogi.

– A może tłuścioszki?

– Taczuszki.

– Ksenossaki.

– Wiotkonosy.

– Śniadanka!

Rozległy się wybuchy śmiechu, ale ktoś od razu krzyknął:

– Nie ma mowy, Powell.

– Nie moglibyśmy spróbować chociaż jednego? – przekonywał Powell.

– Mogą być wysoce inteligentne.

– Nie zgrywaj się.

– Mogą być święte dla krajowców.

– Skąd wiadomo, że są jadalne? – zapytała jakaś kobieta. – Mogą być trujące jak diabli.

– Idą w kierunku Miasta Dziwolągów – wskazał dłonią Stanko. – Jeśli są jadalne i nie są święte, pewnie za jakiś czas dadzą nam ich spróbować. I wyjdzie na to, że są koszerne.

– Jak to koszerne?

– Noo... miałem na myśli, że nie ma w nich niczego paskudnego. I dostaniemy je w ramach normalnej wymiany.

– Jesteście obrzydliwi – powiedziała inna kobieta. – Jak ktoś mógłby je jeść? Są takie urocze.

– Urocze warzywa. Spójrzcie na ich oczy. Ich mózgi składają się z trzech komórek. Maksymalnie.

– Może gryzą.

Przekomarzali się, przyglądali egzotycznym stworzeniom i byli uszczęśliwieni jak dzieci.

– Hej, Peter! Jak leci? – BG też był w pogodnym nastroju. Jego ubraniu przydałoby się pranie, a sądząc po śladach nad górną wargą, przed wyjściem na tę wycieczkę musiał jeść lub pić coś białego i pianistego.

– W porządku, BG – odpowiedział Peter. – Jestem tylko trochę zmęczony. A co u ciebie?

– Lepiej być nie może, stary. Super stwory, nie? – Wskazał na stado zwierzaków. Setka kuprów kołysała się ociężale, gdy stworzenia wytrwale zmierzały w obranym kierunku.

– Niezwykły widok – zgodził się Peter. – Cieszę się, że mogłem je zobaczyć. Nikt mnie nie uprzedził.

– Podawali przez radiowęzeł, brachu. Głośno i wyraźnie.

– Nie w moim pokoju.

– Pewnie cię odłączyli, stary. Z szacunku. Masz swoje duchowe sprawy, na których musisz się skupić. Nie chciałbyś, żeby pięćdziesiąt razy dziennie ktoś

trąbił ci do ucha: „Taki-to-a-taki proszony jest o przyjscie do pokoju numer dwadzieścia pięć”, „Cały dostępny personel wzywany jest na stanowisko załadunkowe”, „Za godzinę będzie można się ostrzyć w pokoju numer dziewięć”, „Do wszystkich! Ruszcie dupy i idźcie do wyjścia we wschodnim skrzydle, bo wielkie stado małych zasańców właśnie zmierza w naszą stronę!”.

Peter uśmiechnął się, ale trochę zmartwiło go wykluczenie z ogólnego systemu informacji. Był już wystarczająco odseparowany od życia w bazie.

– Cóż – westchnął. – Nie chciałym przegapić czegoś takiego.

– I nie przegapiłeś. – BG błysnął zębami w uśmiechu i uniósł wysoko brwi, wskazując oczami na niebo. – Ktoś dał ci cynk z góry, prawda?

– Może i tak. – Peter poczuł nagle, jak ogarnia go zmęczenie. Ciężko mu przepecone ubranie i poczucie własnej marności. Myślał o enigmatycznych instrukcjach Boga, który nakazywał mu dalsze studia i pełniejsze zaangażowanie w duchową posługę.

BG przeszedł do rzeczy i wyjaśnił, dlaczego precyzyjnie się przez tłum do Petera.

– A ty, jak byś je nazwał?

– Kogo?

– Naszych uroczych małych kumpli. – Wskazał na oddalające się szeregi.

Peter zastanawiał się przez chwilę.

– Oazjanie na pewno mają dla nich jakąś nazwę.

– Nic nam po niej, brachu. – BG wykrzywił twarz i mlasnął błazeńsko językiem, wydając przy tym beczący dźwięk. Chwilę później z wprawą zawodowego komika przybrał wyraz twarzy pełen godności. – Odkąd odszedł Tartaglione, nie ma tu nikogo, ktoby zrozumiał dźwięki wydawane przez tych gostków. Znasz tę starą historyjkę o kangurze?

– Nie, opowiedz mi.

Stado oddalało się coraz bardziej. Niektórzy pracownicy USIC ciągle obserwowali zmniejszające się na horyzoncie sylwetki, ale większość wracała do bazy. BG położył dłoń na ramieniu Petera, dając znak, że chce mu towarzyszyć w drodze powrotnej.

– Był kiedyś taki podróżnik – zaczął. – Nazywał się kapitan Cook. Specjalizował się w odkrywaniu nowych nieruchomości na oceanie i wydzieraniu ich z rąk prawowitych właścicieli. Najczęściej czarnych. Kiedyś dopłynął aż do Australii, słyszałeś o nim?

Peter skinął głową.

– Tutaj większość osób ma małe pojęcie o geografii – mówił BG. – Zwłaszcza ci, którzy niewiele podróżowali. W każdym razie ten kapitan Cook wylądował w Australii i zobaczył te nieeesamowite skaczące zwierzaki. Wielkie futrzaste skurwiele z gigantycznymi króliczymi nogami i z torbami na brzuchach. Stały i srały. Spytał tubylców: „Jak nazywacie te stwory?”, a czarni odpowiedzieli: „Kangury”.

– No i? – Peter domyślał się, że zaraz usłyszy puentę.

– Wiele lat później jakiś gość zbadał język czarnych ludzi i wiesz co? Okazało się, że „kangury” znaczy po ichniemu „nie rozumiem, co mówisz, brachu”.

BG zatrząsł się od śmiechu i odprowadził pastora z powrotem na łono cywilizacji. Peter też się śmiał, ale kiedy usta układały mu się we właściwy kształt, a gardło wydawało właściwe dźwięki, zrozumiał, czego pragnął od niego Bóg. Powinien się nauczyć języka Oazjan. Nauczy się go, choćby miał paść trupem.

## Wszystko będzie dobrze, jeśli nadal to potrafi

Zaczęli się kochać. Przyciśnięci do siebie, już się nie widzieli. Ich usta połączyły się, oczy zamknęły, ciała mogły należeć do jakiegokolwiek pary z tych, które istniały od początków wszechświata. Kilka minut później obudził się i wstał. Bea była miliardy mil stąd, a on taszczył do pralki stertę brudnej pościeli. Widok za oknem nie zmienił się od chwili, kiedy zasnął. Ciągłe było pogodne popołudnie, pokój nadal zalewała złota poświata, jakby promienie słoneczne zatrzymały czas, podczas gdy noce i dni jego żony przemijały w zawrotnym tempie. Bez niego, bez jej męża.

Peter wrzucił pościel do metalowego bębna. Naklejka z napisem OSZCZĘDZAJ WODĘ – JEŚLI MOŻESZ, PIERZ RĘCZNIE wywoływała wyrzuty sumienia, ale jego nasienie wydawało niezwykle ostrą woń. Obawiał się, że jeśli zacznie prać prześcieradło ręcznie, zapach wypełni cały pokój i ewentualni goście od razu go wyczują. Na przykład Grainger.

Z plastikowego pojemnika wsypał do pralki trochę płatków mydlanych. Były woskowate, drobne i poskręcane, jakby zeszkrobano je nożem z kawałka prawdziwego mydła. W niczym nie przypominały chemicznych detergentów. Może zrobiono je z białych kwiatów? Powąchał pojemnik, ale przeszkadzał mu zapach własnego ciała. Zamknął i uruchomił pralkę.

Kiedy przebywał wśród Oazjan, nigdy się nie masturbował ani nie miewał erotycznych snów; jego popęd ulegał zamrożeniu. Nadal był mężczyzną, członek tkwił na swoim miejscu, pomiędzy nogami, ale Peter nie poświęcał mu więcej uwagi niż małżowinie usznej. Pożądanie budziło się po powrocie do bazy. I tylko tam doskwierała mu samotność.

Stanął nagi obok Sztosu. Ekran był zimny i martwy, chociaż nie pamiętał, żeby go zgasił. Musiał wyłączyć się sam, podczas jego snu. Na pewno jest zaprogramowany, by oszczędzać energię. Peter miał nadzieję, że zanim dopadło go zmęczenie, zdążył wysłać do Bei to, co napisał do tej pory. Wiadomości pamiętał jak przez mgłę, mieszało mu się, co napisał on, a co ona. Było coś o dywanach w salonie, które trzeba wyrzucić. A może chodziło o zasłony? I coś o szczurach. No tak, Bea poszła wystawić worek ze śmieciami (na chodniku zebrało się już ich sporo, bo służby oczyszczania pracowały nieregularnie) i przeżyła straszny wstrząs, kiedy nachyliła się, a pomiędzy pojemników wyskoczył szczur. Przeleciał tuż obok jej twarzy.

Szczur pewnie był bardziej wystraszony niż ty, zapewnił ją Peter.

Wszedł do kabiny prysznicowej i dokładnie się namydlił. Pościel wirowała w pralce, a wypłukane gorącą wodą cząstki jego DNA spływały rurami kanalizacyjnymi.



Odświeżony usiadł przed Sztosem, żeby sprawdzić, czy przysłyły nowe listy od Bei, kiedy na ramieniu zauważył kropelkę krwi. Podczas mycia włosów zerwał strup z jednego ucha. Poparzenia goiły się dobrze, ale małżowina była mocno ukrwiona i potrzebowała więcej czasu, by odbudować komórki skóry. Chciał użyć kawałka papieru toaletowego, jednak przypomniał sobie, że USIC nie zaopatruje pracowników w ten wyrób. Miał jeszcze plastry, ale z ucha spadła kolejna kropla krwi i Peter nie miał ochoty grzebać w torbie w poszukiwaniu opatrunku. Wziął parę majtek i włożył je na głowę, tak by gumka uciskała krwawiącą ranę.

„Panie, nie pozwól, by teraz weszła tu Grainger...”.

Znów usadowił się przed Sztosem. Przyszła nowa wiadomość. Otworzył ją, chcąc jak najszybciej znów zobaczyć napisane przez nią słowo „kochany”.

Peter,

jestem na Ciebie zła. Jesteś moim mężem i kocham Cię, ale sprawiłeś mi ból i jestem wściekła.

Przez cały ten czas ANI RAZU nie wspomniałeś o naszym dziecku. Czy chcesz mi dać nauzkę, czy po prostu nic Cię nie obchodzi? Kilka razy próbowałam ci delikiatnie przypomnieć, że jestem w ciąży, ale nie naciskałam, bo Ty sam musisz zdecydować, czy to dla Ciebie ważne.

Kiedy w przeszłości rozmawialiśmy o dzieciach, zawsze znajdowałeś argumenty, dlaczego jeszcze jest „za wcześnie”. Zapewniałeś mnie, że kiedyś NA PEWNO będziemy mieć dzieci, to tylko kwestia czasu. No cóż, przykro mi, że wybrałam ten moment, ale bałam się, że nigdy nie wrócisz, a jesteś jedynym mężczyzną, z którym chcę mieć dzieci. Może trochę się pogubiłam, ale nie tak bardzo jak Ty. Teraz widzę, że przez te wszystkie lata po prostu nie chciałeś zostać ojcem. NIE CHCIAŁEŚ. Wiadomo, to trudna decyzja, ale ludzie decydują się na to i dlatego rasa ludzka jeszcze nie wymarła. Ale dla Ciebie zawsze najważniejsze były twoje mijse, prawda? To taka próba charakteru! Co dzieiń inna. Próby i wyzwania, które wcale nie są takie ciężkie, bo staramy się pomóc ludziom, którzy tak naprawdę sami są odpowiedzialni za swój los. Jeśli nie potrafimy czegoś dla nich zrobić, jest nam przykro, ale przechodzimy nad tym do porządku dziennego i staramy się pomóc komuś innemu. Z dzieckiem to inna sprawa. Z własnym dzieckiem. Nie ma nic ważniejszego od przyszłości własnego dziecka. Nie możesz ZAWIEŚĆ, chociaż zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo i dlatego to takie straszne. Ale wiesz co? Od milionów lat ludzie są tak gułpi, by próbować. A może są po prostu odważni. Teraz, kiedy jestem w ciąży, sama odczuwam ten ciężar.

A Ciebie to najwyraźniej nie interesuje.

Peter, przepraszam, nie jestem zbyt miła i możesz odnieść wrażenie, że nie kibicuję Ci w Twojej misji, choć na pewno nie jest Ci łatwo. Ale

czy napisałeś mi kiedyś o tych trudnościach? Mogę sobie tylko wyobrazić, co cię spotyka. Ścisłej mówiąc, NIE MOGĘ sobie wyobrazić. Z tych drobiazgów, o których raczyłeś mnie poinformować, wyłania się obraz wspaniałej przygody. W całej historii ewangelizacji nikt nie miał łatwiejszego zadania niż Ty. Innych misjonarzy wtrącano do więzień, pluto na nich, dźgano ich włóczniami, obrzucano kamieniami, grożono nożami, mordowano maczetami, krzyżowano głowami w dół. W najlepszym razie traktowano ich ozimble i upokarzano na każdym kroku. Z tego, co wiem, Ciebie potraktowano jak bohatera. Ludzie z USIC zawożą Cię na miejsce i przywożą z powrotem, kiedy masz ochotę odpocząć. Twoi podopieczni już pokochali Jezusa, uważają Cię za pępek świata i pragną tylko, byś czytał im Biblię. Opalasz się, nadzorując budowę kościoła, a od czasu do czasu ktoś wpada i przynosi Ci obraz, który mocujesz na sklepieniu. Wygląda na to, że będziesz tam miał swoją Kaplicę Sykstyńską! A w ostatnim liście piszesz, że właśnie widziałeś paradę młaych milutkich zwierzątek.

Peter, wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, ale MAM KŁOPOTY. Wszystko wokół rozpada się w przerażającym tempie. O niektórych sprawach Ci pisałam, o kilku nie. Każdy inny mąż po takich waidomościach natychmiast wróciłby do domu. A przynajmniej by próbował.

Pszę to o piątej rano, po bezsennej nocy. Jestem na wpół przytomna od napećcia i kiedy już się wyśpię, pewnie będę żałować, że wysłałam Ci to. Ale do tej pory zawsze mnie wspierałeś, a teraz zadajesz mi ból. Nie wiem, co mam robić. Czy POMYŚLAŁEŚ PRZEZ CHWILĘ, jak się czułam, kiedy napisałeś, że Grainger, osoba, z którą jesteś tam najbliżej, jest kobietą? I „właśnie się z nią widziałeś”, bo „jest chyba najbardziej bezbronną i wrażliwą osobą, jaką spotkałem”, i z radością donosisz, że w końcu się „otworzyła”. Bardziej niż zwykle? Jestem pewna, że to będzie cudowny przełom, kiedy pozwoli Ci mówić do siebie po imieniu i w końcu zrozumiesz, dlaczego cierpi (może temu szczęśliwemu zdarzeniu towarzyszyć będzie inne, kiedy druga kobieta, której udzielasz wsparcia, ta Maneater, czy jak tam się nazywa ta modliszka, będzie gotowa przejść do kolejnego etapu waszej znajomości). Peter! Czy przyszło Ci do głowy, że ja też jetsem odrobinę „bezbronna”?

Wiem, że mnie kochasz i jestem epwna, że nie ma niczego złego pomiędzy Tbą a Grainger, ale wolałabym, żebyś lepiej dobierał słowa, kiedy o niej piszesz. Poświęćasz tyle uwgaj wyrażeniom, jakich używasz w swoich broszurach dla Miłośników Jezusa, ale kiedy zwracasz się do mnie, nie jesteś już tak perczyznyjny.

To miłe, że zachowałeś żywe wspomnienia z naszego ślubu. Szkoda, że zapomniałeś o kobiecie, którą opuściłeś kilka miesięcy temu.

Płaczę  
Bea

Była jeszcze jedna wiadomość, która nadeszła dosłownie przed dwiema minutami. Otworzył ją z nadzieją, że Bea cofa niektóre słowa i łagodzi cios, który mu zadała. Nie spodziewał się przeprosin, ale bardziej powściągliwych opinii. Przez głowę przemknęła mu myśl, czy nie była pijana, kiedy to pisała.

Tym razem nawet nie zwróciła się do niego po imieniu.

Jeśli chodzi o szczura, NIE UDAWAJMY – NIE BYŁ równie przestraszony jak ja. Jestem pewna, że doskonale się czuł w swojej szczurzej skórze i jest zachwycony, że nasza okolica tonie w śmieciach. Zupełnie już nie wiem, co mam robić. Mnóstwo ludzi wozi sowy śmieci do innych dzielnic i kiedy nikt nie patrzy, wyrzuca je byle gdzie. Pwnie dużo śmieci na naszej ulicy też tu ląduje w taki sposób. Policja jest bezradna. Nie tylko w tej sprawie. Jeżdżą swoimi radiowozami i gadają przez radio. Co to da? Za co im płacimy? Nic nie robią, a my pogrążamy się w chaosie.

Pralka gulgotała głośno, wypuszczając wodę i nabierając nową porcję. Plastikową szybkę w drzwiach pokrywały zbite białe wiórki. Wsypał za dużo płatków. Błąd. Wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Serce waliło mu jak młotem, a w żołądku czuł narastający ciężar, jakby połknął kamień. Obok łóżka leżał stos nowych biblijnych broszur z grzbietami starannie pozszywanymi kolorową włóczką. Owoc ciężkiej pracy, podczas której trwał w błogiej nieświadomości, nie mając pojęcia o czekających go kłopotach.

Kochana Beo, napisał,  
jestem zdruzgotany Twoim listem. Tak mi przykro, że sprawiłem Ci ból. Mam nadzieję – przez wzgląd nie tylko na siebie, lecz na nas oboje – że nie do końca byłaś sobą, kiedy go pisałaś. Zacząłem nawet podejrzewać, czy nie byłaś pijana (te wszystkie literówki – zupełnie nie w Twoim stylu). To nie znaczy, że Twoja rozpacz nie ma uzasadnienia, ale chcę wierzyć, że nie cierpisz tak straszliwie przez cały czas.

Oczywiście wina leży po mojej stronie. Nie potrafię znaleźć wytłumaczenia ani wyjaśnić, dlaczego tak Cię traktowałem. Chyba najbliższe prawdy będzie stwierdzenie, że ta podróż, nasza pierwsza rozłąka, ujawniła moje przerażające wady. Nie chodzi mi o niewłaściwe podejście do pewnych spraw (choć Ty właśnie w tym widzisz główny problem), ale o sposób, w jaki funkcjonuje mój mózg. Nie potrafię zajmować się niczym, co nie znajduje się bezpośrednio w moim otoczeniu. Do tej pory wspólnie mierzyliśmy się z życiem i Twoje wsparcie łagodziło tę ułomność. Kiedy mnie poznałaś, niszczyłem swój system nerwowy toksycznymi substancjami. Gdy rzuciłem te świństwa i odtrułem organizm, mylnie uznałem, że alkohol i narkotyki nie spowodowały trwałych uszkodzeń. Teraz nie jestem tego taki pewien. A

może zawsze coś było ze mną nie tak i dlatego już w młodości zszedłem na złą drogę?

Jak mogę Cię przekonać, że zależy mi na naszym dziecku? To prawda, w przeszłości nie byłem pewien, czy dorosłem do bycia ojcem. To prawda, odpowiedzialność za taką małą istotę może deprymować. Ale nie jest prawdą, że nigdy nie chciałem mieć z Tobą dziecka. Bardzo chcę! Kiedy wrócę do domu, będziesz już pewnie w zaawansowanej ciąży i mam nadzieję, że na jakiś czas zrezygnujesz z pracy. Nie wolno Ci podnosić niczego ciężkiego i narażać się na stres, kiedy rozwija się w Tobie nowe życie. Może kiedy znów będziemy razem, zdecydujesz się na urlop macierzyński? Będziemy mogli odpocząć i przygotować wszystko.

Do tej pory żadne z nas nie wspominało o pieniądzach. Nie myśleliśmy o nich, kiedy pojawiła się propozycja wyjazdu na misję. Oboje cieszyliśmy się po prostu z tej niezwykłej okazji. Ale dostanę pokaźną sumę, więcej, niż kiedykolwiek zarobiliśmy. W przeszłości po opłaceniu rachunków zawsze przeznaczaliśmy resztę pieniędzy na dzieło Pana. I wydawaliśmy je z pożytkiem dla innych. Teraz będzie ich potrzebować nasze dziecko i jestem pewien, że Bóg to zrozumie. Proponuję, żebyśmy wykorzystali moją gażę na przeprowadzkę. Sądząc z tego, co piszesz, życie w mieście zrobiło się nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne. Przeprowadzimy się na wieś. To lepsze miejsce do wychowywania chłopca czy dziewczynki. Co do naszego kościoła: nie ma mnie już tyle czasu i jakoś sobie radzą. Jestem pewien, że Geoff będzie chciał nadal być pastorem, a jeśli nie, to znajdzie się ktoś inny. Wierni nie powinni uzależniać się od jednego konkretnego pasterza.

Kiedy to piszę, wszystko zaczyna mi się układać w głowie. Myślałem początkowo, że pójdziesz na urlop macierzyński, ale lepiej będzie, jak na stałe rzucisz pracę. Już dawno powinnaś to zrobić. Ludzie zarządzający szpitalem przysporzyli Ci wiele trosk. Wątpię, by się zmienili. Możesz walczyć z nimi do upadłego, a oni i tak zrobią swoje. Nie ma co się nimi przejmować. Poświęcimy cały nasz czas dziecku i zaczniemy nowe życie.

Kocham Cię bardzo  
Peter

– Cześć – powiedziała Maneely. – Skaleczyłeś się w ucho.

– To nic takiego – odparł. – Ranka już przyschła.

Przysiadła się do niego w stołówce, kiedy pił herbatę i starał się zmusić do zamówienia czegoś do jedzenia. Uśmiechnął się na powitanie, ale wiedział, że jego twarz zdradza, jaki jest wyczerpany. Maneely była promienna i rozluźniona. Miała nową fryzurę i wyglądała bardzo ładnie. Chyba nawet ufarbowała włosy, bo zapamiętał ją jako szatynkę, a teraz zobaczył przed sobą

złotowłosą blondynkę. Barwę jej czupryny podkreślały miodowe refleksy promieni słońca, które zalewały kantinę. Nawet herbata była jasnopomarańczowa, jak dobre pszeniczne piwo.

– Chyba cię unikałam – powiedziała Maneely. – Przepraszam.

– Myślałem, że jesteś zajęta – odparł ostrożnie. Czy właśnie dzisiaj będzie chciała otworzyć serce przed Jezusem? Nie miał teraz sił, by jej pomóc.

Piła przez słomkę truskawkowe mleko sojowe i jadła wielką porcję czegoś, co przypominało parówki z tłuczonymi ziemniakami.

– Dobrze ci w nowej fryzurze – powiedział.

– Dziękuję. Nic nie jesz?

– Jeszcze... się nie zdecydowałem. Dzisiaj trudno mi podejmować decyzje.

Skinęła głową ze zrozumieniem, jakby miała do czynienia z kimś, kto ma kaca. Pochłonęła kilka potężnych kęsów jedzenia i napiła się mleka.

– Sporo myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy po pogrzebie Severina.

„Zaczyna się”, pomyślał. „Panie, dodaj mi sił”.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Chyba że siedzisz u Dziwołągów i przypiekasz sobie uszy.

– Nie jest tak źle. Muszę tylko bardziej uważać.

Spoważniała i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Przykro mi z powodu tego, co wtedy powiedziałam.

– Przykro?

– Chyba dałam ci fałszywą nadzieję.

– Nadzieję?

– Severin był moim bliskim kumplem. Nie mieliśmy romansu, ale... rozwiązałyśmy razem wiele problemów. Przy różnych projektach. Ciężko przeżyłam jego śmierć, byłam naprawdę w kiepskim stanie. Na pogrzebie wygłosiłeś wspaniałą mowę i prawie przekonałeś mnie do różnych... no wiesz... spraw związanych z Bogiem i Jezusem. Ale to nie dla mnie, przemyślałam to dobrze. Przepraszam.

– Nie masz za co. Nie przeprasza się światła ani siły ciężenia. Bóg jest, bez względu na to, czy przyjmujemy do wiadomości jego istnienie, czy nie.

Potrząsnęła głową, a potem znów zjadła kilka kęsów.

– Przez chwilę pomyślałam, że sam siebie przyrównujesz do światła albo siły ciężenia.

Skrzywił się.

– Czasami wyrażam się nieprecyzyjnie. Jestem... przechodzę przez... – Świadomość, że Bea może być na niego zła za tę rozmowę, paraliżowała go. Był bliski omdlenia. – Mam problemy, jak wszyscy.

– Mam nadzieję, że się z nimi uporasz – powiedziała Maneely. – Dobry z ciebie człowiek.

– W tej chwili nie czuję się dobrze.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie przejmuj się, wkrótce będzie lepiej, to chwilowe. To sprawa naszej biochemii. Zwyciski i zniżki nastrojów układają się w cykle. Pewnego ranka obudzisz się i wszystko będzie wyglądało inaczej. Uwierz mi.

– Dziękuję za wsparcie – powiedział Peter – ale rozwiązywanie problemów nie polega na... nie można czekać bezczynnie. Mamy swoje obowiązki. Musimy starać się, by było lepiej.

Maneely wypła do końca mleko sojowe i odsunęła szklankę.

– Coś się stało w domu, prawda?

– W domu? – Peter z trudem przełknął ślinę.

– Kiedy denerwuję się z powodu rzeczy, na które nie mam wpływu – powiedziała Maneely – przypominam sobie ten stary wiersz. Ma chyba z tysiąc lat. „Użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”<sup>33</sup>.

– Został napisany przez człowieka, który nazywał się Reinhold Niebuhr<sup>34</sup> – powiedział Peter. – Z jedną, małą różnicą. Na początku jest „Boże, użycz mi”.

– Może działa też bez tego dodatku. – Świdrowała go wzrokiem, czytając w nim jak w otwartej książce. – Nie przejmuj się domem, Peter. Teraz TU jest twój dom.

– Niedługo wracam – zaprotestował.

– Nieważne – wzruszyła ramionami.

Przez kilka następnych godzin spacerował po terenie bazy. Zastanawiał się, ile czasu zajęłaby mu piesza wędrówka do osady Oazjan. Chyba ze dwa tygodnie. To byłoby szaleństwo. Musi być tutaj, aby odebrać następną wiadomości od Bei. Pewnie teraz śpi. Będzie spać jeszcze przez kilka godzin, a on powinien leżeć obok niej. To źle, że się rozstali, dzielenie wspólnego łóżka znaczy więcej niż tysiące słów. Ciepłe łóżko, jak zwierzęce leże lub ptasie gniazdo. Słowa można rozumieć opacznie, wzajemna bliskość rodzi zaufanie.

Wrócił do kwatery, popracował trochę nad adaptacjami biblijnych wersetów i posprzątał pokój. Chwilami czuł głód, na przemian z falami mdłości. Minęło kilka godzin. Sprawdzał Sztos setki razy i wreszcie zlitowano się nad nim.

Peter, kochany,

nie mam czasu na długi list, bo zaraz wychodzę na pogrzeb i jestem ciągle zrozpaczona i zła na Ciebie. Ale staram się pisać bez błędów, żebyś znów nie oskarżył mnie o pijaństwo. To śmieszne, najpierw sugerujesz coś takiego, a potem chcesz, żebym została bezrobotną kurą domową gdzieś na zapadłej wsi.

Przepraszam, wiem, że sarkazm jest mało konstruktywny.

Napiszę coś więcej, kiedy wrócę z pogrzebu, chociaż pewnie będę musiała posiedzieć trochę z Sheilą. Przechodzi teraz przez piekło.

Kocham Cię, wariacie  
Bea

Odpisał od razu.

Kochana Beo,

dodałaś mi otuchy, kiedy napisałaś, że mnie kochasz. Natychmiast poczułem się lepiej. Przez cały dzień nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Przytłaczał mnie smutek z powodu naszej sprzeczki. Jesteś dla mnie nieskończenie ważniejsza niż moja misja.

Chociaż nie napisałaś tego wprost, domyślałam się, że Billy Frame jednak popełnił samobójstwo. Pomimo tego, że wszyscy go kochaliśmy, i pomimo Twoich ostatnich zabiegów, by poczuł się lepiej. Ciągle mam go przed oczami, małego chłopca, który promieniał radością, wieszając na ścianie to, co stworzył dla nas razem z innymi dziećmi. Biedna Sheila. Wyobrażam sobie, jak i Ty musisz to przeżywać. Fakt, że użyłaś słowa „piekło” (które w tym kontekście oznacza coś innego niż wieczną rozłąkę z Bogiem), mówi sam za siebie.

Przykro mi, że mój pomysł przeprowadzki na wieś potraktowałaś jak podstępny próbę, by zmienić Cię w bezrobotną kurę domową. Jestem przekonany, że i tam będziesz mogła znaleźć pracę, ale nie tak ciężką jak teraz – pewnie nawet jako pielęgniarzka. Ja też nie zamierzam spędzać całego dnia na rąbaniu drewna albo uprawie warzyw (choć tu spodobała mi się praca na roli). Może znajdzie się tam kościół, który będzie potrzebował pastora. Ale to, jaką pracę będziemy wykonywać, powinniśmy zostawić w ręku Pana.

Bardzo żałuję, że tak bezmyślnie pisałem o Grainger i Maneely. Tak, to kobiety, ale jestem dla nich wyłącznie pastorem, a raczej byłbym, gdyby zechciały otworzyć serca przed Panem, na co się nie zanoszą. Maneely właśnie powiedziała mi wprost, że nie jest zainteresowana.

Słowa to esencja mojego zawodu, ale nie zawsze posługuję się nimi mądrze. Nie zawsze też słowami da się wyrazić to, co najważniejsze. Chciałbym Cię teraz po prostu przytulić i pocieszyć. W przeszłości zdarzało mi się sprawiać Ci gorsze zawody, ale potrafiliśmy się z tym uporać, ponieważ się kochamy. Miłość opiera się na zrozumieniu, ale też na czymś, co jest prawie niemożliwe do opisu. To rodzaj prawości, który odczuwamy, kiedy jesteśmy blisko siebie, a potrafimy ją docenić dopiero wtedy, gdy otaczają nas niewłaściwi ludzie. Bardzo za Tobą tęsknię, kochana.

Ściskam i całuję  
Peter

– To nie będzie takie proste – powiedziała wkrótce potem Grainger.

– Ale możliwe?

Naiwność tego pytania zirytowała ją.

– Wszystko jest możliwe, jeśli włoży się w to odpowiednią ilość pracy i materiałów.

– Nie chcę wprowadzać zamieszania, ale to dla mnie bardzo ważne.

– Nie możesz po prostu częściej przyjeżdżać do bazy? Wyjdzie ci to na dobre.

– To się nie sprawdzi. Oazjanie żyją innym rytmem. Muszę być wśród nich, dzielić z nimi ich obowiązki. Nie mogę wpadać od czasu do czasu, jak po ogień. Ale jeśli będę miał tam Sztos...

– ...wtedy możemy cię już nigdy nie zobaczyć.

– Błagam. Moja żona potrzebuje wsparcia. Brakuje mi jej. Może ten Sztos, który tam dla mnie umieścicie, przyda się też do innych celów.

Zmrużyła oczy. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że nie spytał jej, jak się czuje, ani nawet nie przywitał się, jak należy, zanim poprosił ją o tę przysługę.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała.

Peter, kochany, przeczytał, jak tylko wrócił do pokoju, wolałabym, żebyś zaproponował, że wrócisz do domu, a nie przypominał mi, ile pieniędzy zarobimy, jeśli zostaniesz. Wiem, że USIC poniósł spore koszty, wysyłając Cię tam. Gdybyś napisał, że chcesz teraz zrezygnować, pewnie sama odwiodłabym Cię od tego. Ale to byłoby miłe, miałabym poczucie, że naprawdę się mną przejmujesz i rozważasz taką możliwość. Ale tego nie zrobiłeś. To jasne – zostaniesz tam do końca kontraktu, chcesz tego. Rozumiem Cię, to szansa, jaka zdarza się raz w życiu.

Nie wiem, co mam myśleć o Twoim pomysle przeprowadzenia się na wieś. To jasne, że chciałabym uciec od tych kłopotów i zacząć wszystko od nowa w wiejskiej sielance. Ale zdrowy rozsądek podpowiada, że to nie najlepsze rozwiązanie i wtedy zaczynam być na Ciebie zła. Czy Ty masz pojęcie o życiu na prowincji? Czy kiedykolwiek czytałeś gazety? (Pytanie retoryczne, wiem, że tylko ja mam to fatalne przyzwyczajenie). Wieś jest zrujnowana. Upadają fabryki, bankrutują farmy, mnóstwo osób od dawna nie ma pracy, krajobraz szpecą ohydne supermarkety i sklepy z używaną odzieżą. (Zastanawiam się, czy te supermarkety mają jeszcze zapas deserów czekoladowych. To mogłoby mnie przekonać...) Od USIC dostaniesz sporo pieniędzy, ale to nie będzie fortuna, a właśnie fortuna jest nam potrzebna, by urządzić się na nowo. W Anglii ciągle istnieją malownicze i bezpieczne zakątki zamieszkałe przez zamożnych ludzi, gdzie nasze dziecko miałoby lepsze warunki do rozwoju, ale domy są tam bardzo drogie. A gdyby musiało dorastać w jakimś zapomnianym przez Boga miasteczku, gdzie połowa mieszkańców to alkoholicy albo narkomani, a szkoły przepełnione są słabymi i zaniedbanymi uczniami, to lepiej zostać na miejscu. Piszesz,



żeby zostawić to w rękach Boga, ale kto podejmie decyzję? Ty.

Oczywiście w szpitalu martwi mnie wiele spraw, jednak ciągle jestem przywiązana do tego miejsca i mam wrażenie, że mogę w nim naprawdę pomagać. Boję się też, że jeśli rzucę tę pracę, nie znajdę nowej, bo bezrobocie szaleje, a gospodarka jest w zapaści.

Skoro o tym mowa: za kilka dni kończy mi się zwolnienie, a tu niespodziewanie przychodzi list od Goodmana. Paradne, też mi „dobry człowiek”! Trudno o bardziej nieadekwatne nazwisko dla tego gościa. To ociera się o kryminał, że ktoś taki decyduje o tym, na co nasz szpital przeznaczają środki. W liście próbuje mi grozić. Píše o tym, że wiele razy stawałam po stronie chorych, a „w obecnej sytuacji” szpital nie jest w stanie zapewnić „nieproporcjonalnej” opieki „klientom, którzy nie potrafią optymalnie skorzystać z naszego leczenia”. Mówiąc po ludzku: nie powinniśmy marnować czasu na ludzi chorych psychicznie, nieprzystosowanych i wszystkich, których stan jest zbyt ciężki (rak, potworne wypadki samochodowe), by mogli uścisnąć dłoń doktora i powiedzieć „dzięki za wszystko”. Goodman woli zajmować się rozszczępami podniebienia, osiłkami z drobnymi ranami odniesionymi w bójkach, dzieciakami z poparzeniami drugiego stopnia i usuwaniem brodawek i niezłośliwych guzków u młodych kobiet. I chce, żebym przestała się wtrącać w nie swoje sprawy. Jeśli nie obiecuję poprawy, „ponownie rozważę”, czy w ogóle pozwoli mi wrócić!

Peter! Ciszę się, że dodałam Ci otuchy, pisząc, że Cię kocham, lecz zachowujesz się jak mały chłopiec, któremu zawalił się cały świat, bo skrzyczała go matka. A kiedy słyszy od niej słowa miłości, natychmiast o wszystkim zapomina. Oczywiście kocham Cię – spędziliśmy ze sobą tyle lat, nasze serca biją w jednym rytmie i tej miłości nie może wymazać odrobina bólu. Jednak to nie oznacza, że nasza miłość potrafi uporać się z każdym bólem. Wszystko sprowadza się do jednego – życie napełnia mnie teraz przerażeniem. Muszę sobie radzić sama, bo fizycznie nie ma Cię przy mnie, a nie chcesz lub nie potrafisz zapewnić mi wsparcia na odległość. Pisziesz o skutkach zażywania narkotyków, uszkodzeniu mózgu etc. Jeśli masz rację, to może mieć wpływ na nasze dalsze stosunki i nie napawa mnie optymizmem. Istnieje też inne wytłumaczenie – jest to po prostu wygodna wymówka. Chciałbyś okazać zainteresowanie tym, co się ze mną dzieje – i przy okazji z całym naszym światem – ale nie potrafisz, ponieważ masz uszkodzony mózg. Więc wszystko jest w porządku.

Przepraszam za te gorzkie słowa, ale jestem u kresu sił. Może wspólnie zwalimy winę za to wszystko na niedomagania zdrowotne – Ty na uszkodzony mózg, ja na burzę hormonów? Od kiedy jestem w ciąży, czuję się taka bezradna. Oczywiście dookoła dzieje się też wiele strasznych rzeczy, które nie mają związku z moimi hormonami.

To przypomina mi o pogrzebie, na którym właśnie byłam. Twój „oczywisty” wniosek był błędny – Billy nie popełnił samobójstwa. Ale rozumiem Cię, sama tak pomyślałam, kiedy zadzwoniła do mnie Sheila. Prawda jest bardziej przerażająca. To Rachel. Dziecko, z którym miało być „wszystko w porządku”. Nie było żadnych niepokojących sygnałów, a jeśli nawet, to Sheila ich nie zauważyła. Może zbyt pochłaniała ją depresja Billy’ego? Oczywiście teraz odchodzi od zmysłów i stara się sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły – co Rachel mówiła, co robiła. Z tego, co wiem, Rachel zachowywała się jak przeciętna nastolatka. Chodziła do szkoły, darła koty z bratem, słuchała kiepskiej muzyki, przejmowała się swoją fryzurą, stosowała różne modne diety (jednego dnia była weganką, a następnego wsuwała pieczonego kurczaka). Sheila teraz myśli, że córka w ten sposób wysyłała sygnały z prośbą o pomoc, ale pamiętając, jak trudne potrafią być dwunastolatki, uważam, że obwinia się bezpodstawnie. Nigdy nie będziemy wiedzieli, co się działo w głowie Rachel. Pewnego ranka poszła na złomowisko samochodowe, które znajduje się niedaleko jej domu. Weszła tam przez dziurę w siatce i schowała się w wielkiej stercie opon. Połknęła mnóstwo tabletek – środki nasenne matki, proszki przeciwbólowe, wszystko, co mogła znaleźć w domowej apteczce. Popiła je mlekiem czekoladowym i umarła pomiędzy tymi oponami. Znalaziono ją po trzech dniach. Nie zostawiła żadnego listu.

Billy radzi sobie z tym całkiem nieźle, chyba pomaga mu to, że musi zajmować się Sheilą.

Mogłabym napisać teraz, co się dzieje w Pakistanie, ale to olbrzymi temat, zresztą pewnie nie chcesz o tym słyszeć.

Joshua kuli się ze strachu pod stołem, jakby myślał, że mam zamiar go kopnąć. Chciałabym, żeby poszedł do swojego koszyka i usnął. Spójrzmy prawdzie w oczy – życie kota nie jest wcale takie ciężkie, a on bez przerwy chowa się po kątach. Nie śpi już ze mną, więc nawet nie mogę się do niego przytulić.

Muszę odpocząć. Miałam ciężki dzień. Napiszę jutro, a Ty?

Kocham Cię

Bea

Peter zwymiotował, a potem się pomodlił. Odzyskał jasność umysłu, w żołądku czuł miłą czczość, a gorączka – dopiero teraz się zorientował, że miał podwyższoną temperaturę – spadła. Bóg mu pobłogosławił. Rozumiał, przez co przechodzi obecnie Bea. Wcześniej też im się to zdarzało, chociaż w innych okolicznościach. Znali to uczucie, kiedy życie staje się nagle zbyt skomplikowane i przemienia się w płataninę problemów, z których każdy wymaga osobnego rozwiązania. Nieszczęśliwy człowiek bierze wszystkie ponure wydarzenia za obiektywną rzeczywistość, spogląda na świat, jakby ktoś

zjął mu nagle różowe okulary. Ale to fałsz, tragiczne nieporozumienie. Tak zachowują się ćmy – obijają się o żarówkę, kiedy obok jest otwarte okno. Tym oknem jest Bóg.

Zdarzenia, które niepokoiły Beę, były prawdziwe i straszne, ale wszystko znajdowało się w rękach Boga. W swoim życiu Peter i Bea doświadczyli już przemocy ze strony policji, zapaści finansowej, eksmisji, kampanii nienawiści prowadzonej przez jej ojca, planowej obstrukcji lokalnych władz, złośliwych pozwów sądowych, chuligańskich wybryków, gróźb nożowników, kradzieży samochodu (dwukrotnie) i włamania (ogłościono im cały dom, tak że zostały tylko książki i łóżko). Za każdym razem zdawali się na łaskę Pana. Zawsze. A on rozplątywał ten kolczasty drut swą niewidzialną dłonią. Policja nieoczekiwanie przeprosiła, anonimowy dobroczyńca uratował ich od bankructwa, właścicielowi mieszkania zmiękło serce, ojciec Bei umarł, chrześcijański prawnik pozwał radę miejską w ich imieniu i wygrał, nikt nie postawił ich przed sądem, Peter złapał wandalę na gorącym uczynku (potem zostali członkami jego kościoła), gangsterzy trafili do więzienia za gwałt, jeden ze skradzionych samochodów został odnaleziony (był nieuszkodzony), a drugi odkupili ich parafianie, a kiedy okradziono im mieszkanie, członkowie wspólnoty okazali takie miłosierdzie i hojność, że wiara Petera i Bei w dobroć natury ludzkiej urosła do niebotycznych rozmiarów.

Kochana Beo, napisał,

proszę, nie używaj słów „zapomniany przez Boga”. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale musimy dawać świadectwo, że nikt i nic nie jest opuszczone przez Boga. Odnoszę wrażenie, że w swoim cierpieniu nie szukasz w Nim wsparcia. Pamiętaj, ile razy odchodziliśmy od zmysłów, a On przychodził nam z pomocą? Zwróć się teraz do Niego. Nie zawiedzie Cię. W Liście do Filipian zapewniono nas: „O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem!”<sup>35</sup>.

Przepraszam. Nie zaproponowałem, że wrócę wcześniej do domu. Myślałem o tym i ta myśl wydawała mi się bardzo kusząca, ale zanim o tym do Ciebie napisałem, wolałem przemyśleć to sam. Poza tym nie chciałem budzić w Tobie fałszywych nadziei.USIC mógłby mi powiedzieć, że to niemożliwe. W drodze do bazy znajduje się teraz jeden statek, który ma przywieźć nowego lekarza (poprzedni zmarł).

Nie związałem się z tym miejscem tak silnie, jak myślisz. To prawda, że moja misja to niezwykła szansa, ale głoszenie Słowa Bożego ma swoją własną dynamikę i przebiega według odrębnego porządku. Jestem pewien, że Oazjanie sami potrafiliby dokonać niezwykłych rzeczy dzięki pomysłom i radom, jakie przekazałem im do tej pory. I tak będę musiał opuścić ich za kilka miesięcy, choć na pewno pozostanie wiele do zrobienia. Życie chrześcijanina to podróż, a nie skończony

projekt. Daję tu z siebie wszystko, ale kiedy będę musiał odejść, to odejdę i skoncentruję się na nas.

Proszę, spróbuj ponownie odnaleźć miłość i zaufanie, którymi Bóg obdarzał nas w przeszłości. To będzie Twoją ochroną. Módl się do Niego. Nie będziesz czekać długo na przejawy Jego opatrności. A jeśli nadal będziesz czuła się zrozpaczona, zrobię wszystko, by wrócić do Ciebie, nawet jeśli będzie to oznaczało zmniejszenie mojej wypłaty. Cokolwiek się stanie, na pewno potraktują mnie uczciwie. To ludzie pełni dobrej woli, mam o nich jak najlepsze zdanie.

Co do życia na wsi, to rzeczywiście jestem ignorantem. Jednak jako chrześcijanie mamy siły, by sami wpływać na obyczaje i wartości panujące w danym miejscu - oczywiście z Bożą pomocą. Nie mówię, że będzie łatwo, ale w mieście też czekają na nas kłopoty (sama się z nimi teraz zmagasz), więc czy przeprowadzka nie jest lepsza? Tutaj spędzam większość czasu na dworze i wpływa to na mnie kojąco. Marzę, by pójść z Tobą na spacer w słoneczny dzień i oddychać czystym powietrzem. Joshui też na pewno to się spodoba!

Powinnaś dostać ten list rano - mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Kocham Cię

Peter

Po napisaniu i wysłaniu tego listu był lepki od potu. I konał z głodu. Wziął prysznic, włożył czysty podkoszulek i spodnie, a potem poszedł do stołówki i zamówił kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami.

Kiedy wrócił, zabrał się znów do pracy nad biblijnymi broszurami. Kilku Miłośników Jezusa pytało go o przypowieść opowiadającą o dobrym pasterzu, najemniku i owcach. Starał się ich delikatnie nakłonić, by wybrali coś innego, bo tu występowały owce i wilki, stworzenia, jakich nigdy nie widzieli. Poza tym było mnóstwo trudnych do wymówienia zgłosek. Jednak nalegali, nie godząc się, by ich naturalne ograniczenia uniemożliwiły im zrozumienie kluczowego fragmentu Pisma. Teraz więc biedził się nad tym. Owce mógł zastąpić białymi kwiatami, z pasterza zrobić dobrego rolnika, który czuwa nad uprawą i zbiorem roślin we właściwym czasie. Najemnikiem będzie... kto mógłby być najemnikiem? Oazjanie nie znali pieniędzy i nie widzieli różnicy pomiędzy powołaniem a zwykłą pracą. I co z zakończeniem - kiedy pasterz oddaje życie za swoje owce? Rolnik nie powinien umierać za swoje zbiory. Przypowieść była nie do przełożenia. Jednak Oazjanie nie dawali się łatwo zbyć. Będzie im musiał objaśnić, czym są owce, wilki, pasterze i najemnicy. To z pozoru niedorzeczne zadanie mogło być warte zachodu, bowiem w ten sposób mógł im przybliżyć pojęcie Baranka Bożego.

Spróbował narysować owcę na kartce papieru. Rysowanie i malowanie nie były jego mocną stroną. Zwierzę, które nagryzmolił, przypominało, co prawda, kształtem owieczkę, ale miało kocią głowę. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek

widział żywą owcę lub chociażby jej fotografię. Poza mglistym obrazem wełnistej kuli nie potrafił przywołać z pamięci żadnych szczegółów dotyczących uszu, pyska czy oczu. Czy dolna szczeka była widoczna? Może znajdzie coś w bibliotece USIC. Wiele stronice ze znajdujących się tam książek zostało wydartych, ale chyba nikt nie połączył się na fotografie owiec.

W roztargnieniu sprawdził, czy w Sztosie nie ma nowych listów, i na ekranie natychmiast pokazała się nowa wiadomość od Bei. Okazało się, że w ogóle nie spała.

Peter, PRZESTAŃ JUŻ GŁĘDZIĆ O TEJ NIEDORZECZNEJ PRZEPROWADZCE NA WIEŚ. Przez to czuję się jeszcze gorzej. Nie zdajesz sobie sprawy, jak szybko, przerażająco i BARDZO wszystko się zmieniło. Rynek mieszkaniowy się ZAWALIŁ. Tak jak większość instytucji i usług w tym kraju. Nie potrafisz tego zrozumieć? Czy nie wystarczająco jasno Ci o tym pisałam? Czy naprawdę myślisz, że jakaś miła apra z książeczką czekową w dłoniach przyjdzie kuipć nasz dom? Te wszystkie miłe młode pary w całej Wielkiej Brytanii trzęsą się teraz ze strachu. Nikt nie podejmuje żadnych decyzji, mając nadzieję (niczym nieuzasadnioną), że coś się poprawi. Ja też nic nie robię i liczę tylko na to, że wreszcie jakaś ciężarówka zabierze stertę śmieci sprzed naszego domu.

A co do określenia „zapomniany przez Boga”, to jestem pewna, że On mi wybaczy. Pytanie brzmi, czy Ty potrafisz?

Czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Upływały kolejne minuty, a on zwijał się z bólu, oburzenia, wstydu i strachu. Myliła się, źle go zrozumiała, nie miała racji, nie o to mu chodziło, miała kłopoty, a on nie potrafił jej pomóc, cierpiała, a on nie przynosił jej ulgi, była głucha na słowa jego miłości i oddania, mówiła językiem, którego nie rozumiał. Czy to ciąża tak wpłynęła na jej psychikę? A może od lat skrywała ten gniew i frustrację? Przez głowę przelatywały mu fragmenty zdań, zastanawiał się nad metodami obrony, sposobem uzmysłowienia jej, że takie zachowanie niczemu nie służy, szukał słów, którymi mógłby dać do zrozumienia, że to wszystko jest winą hormonów i ciąży, ale obawiał się, że jeszcze bardziej ją rozgniewa.

Jednak im więcej myślał, tym bardziej mijała mu ochota spierania się. Odczuwał tylko miłość. To nieistotne, że go nie zrozumiała. Była przytłoczona, zdenerwowana, potrzebowała pomocy. Prawda i fałsz nie miały znaczenia. Musi dodać jej sił. Musi przestać uzalać się nad sobą, bo oddaliła się od niego. Co gorsze, chyba oddalała się też od Boga. Pod wpływem ciosów, które na nią spadły, i samotności, do której nie była przyzwyczajona, jej wiara osłabła. Bea zamknęła swoje serce i umysł jak dziecko, które zaciska dłoń z powodu bólu. Retoryczne argumenty nie zdadzą się na nic i będą tylko niepotrzebnym

okrucieństwem. Musi pamiętać, że kiedy sam był na dnie, ten szczególny werset z Biblii wydobył go z otchłani. Bóg nie rzuca słów na wiatr.

Beo, kocham Cię. Proszę, módl się. Wiem, że to, co się dzieje dookoła Ciebie, jest straszne. Ale módl się, proszę, a Bóg Ci pomoże. Psalm 91 mówi: „Ucieczko moja i twierdzo, mój Boże, któremu ufam. On okryje cię swymi piórami i schronisz się pod Jego skrzydła”<sup>36</sup>.

Wysłał wiadomość. Złożył ręce i modlił się o to, by i ona się modliła. Wszystko będzie dobrze, jeśli nadal to potrafi.

# III

## Tak jak jest

## Boga nie ma, napisała

- **Sbdi dh |** – powiedział.
- **sbdi pdh |** – poprawiła go.
- **Sbdi dh |** – znów spróbował.
- **sbdi pdh |** – poprawiła go ponownie.
- **sbdi pdh |** – powiedział.

Usłyszał hałas, jakby stado ptaków zrywało się do lotu, machając skrzydłami. Ale to nie były ptaki, lecz dźwięk oklasków wydawanych przez dziesiątki obciążonych rękawiczkami dłoni. Oazjanie – dla niego już **SLM** – dawali mu znać, że robi wspaniałe postępy w nauce ich języka.

Było piękne popołudnie, po prostu cudowny dzień. Powietrze nie było takie lepkie jak zazwyczaj, a może po prostu przyzwyczał się już do wilgoci. Czuł się lekki i nieskrępowany, jakby stał się częścią otaczającej go atmosfery, jakby zniknęła bariera pomiędzy ciałem a niebem. (Dziwne, zawsze uważał, że niebo znajdowało się gdzieś nad nim, podczas gdy słowo, którym określali je **SLM**, brzmiało **S** i wyrażało coś, co rozciąga się od góry aż do samej ziemi).

Razem z **SLM** siedział przed kościołem, bo zawsze tam omawiali sprawy, które nie były ściśle związane z wiarą. W kościele śpiewali, odprawiali nabożeństwa (choć Peter nie traktował swoich opowieści biblijnych jako elementu liturgii) i oglądali malowidła, które jego przyjaciele poświęcili chwale Bożej. Na zewnątrz mogli mówić o innych rzeczach i tam to oni często zmieniali się w nauczycieli.

Dziś zebrało się ich trzydzieścioro. Liczba Miłośników Jezusa nie zmniejszyła się, ale nie wszyscy czuli się na siłach udzielać nauk swojemu pastorowi. Brakowało kilku jego ulubieńców, ale za to nawiązywał bliższe stosunki z tymi, którzy do tej pory trzymali się nieco na uboczu. Na przykład Miłośnik Jezusa Sześćdziesiąty Trzeci, zwykle nieśmiały i niezdarly, wykazywał zdolności lingwistyczne. Przeważnie milczał, ale czasami niespodziewanie podsuwał właściwe słowo, którego inni bezskutecznie poszukiwali. Z kolei Miłośnik Pierwszy, który nawrócił się najwcześniej i w związku z tym cieszył się znacznym poważaniem wśród pozostałych wiernych, odmówił prośbie Petera i nie brał udziału w lekcjach. „Odmówił”? „Odrzucił” było lepszym słowem. Miłośnik Pierwszy sprzeciwiał się wszelkim próbom, które mogły naruszyć osobliwość Księgi Dziwnych Nowych Rzeczy i uczynić ją bardziej zrozumiałą.

– Zapomnij na chwile o Księdze... – zaczął Peter, ale Miłośnik Pierwszy był tak poruszony tymi słowami, że natychmiast mu przerwał.

– Nigdy, nigdy nie **S**apomnę o **K**siędze. Nigdy, nigdy. **P**o moja opoka, wiara i odkupienie.



To były słowa Petera, który dobrał je tak, by jak najłatwiej mogli je wymówić. Ale im częściej słyszał, jak **SLM** wypowiadali takie słowa jak „opoka”, tym więcej miał wątpliwości, co przez nie rozumieli.

– Nie miałem na myśli... nie chciałem... – plątał się. Wreszcie powiedział wprost: – Chcę poznać was lepiej.

– **snaS** dobre – odparł Miłośnik Pierwszy. – Daj nam więcej **słowa Jesusa**. **słowo Jesusa** dobre. **NaSe** niedobre.

Żadne zapewnienia nie mogły przekonać go, że jest inaczej.

Tak więc w ramach zgromadzenia powstało oddzielne kółko, które poświęciło się nieco kontrowersyjnemu zadaniu. Oczywiście czuli się przez to wyróżnieni. Siedzieli na ziemi w miejscu, które początkowo znajdowało się w cieniu, ale teraz było jasno oświetlone słońcem. Ile już godzin tu spędzili? Peter nie wiedział. Wystarczająco dużo, by słońce przesunęło się na niebie spory kawałek. Dowiedział się, że słońce to **y**. W swojej kwaterze, w szufladzie biurka, trzymał wydruk, który przygotował dla niego jakiś pełen dobrych chęci naukowiec – diagram siedemdziesięciodwugodzinnych cykli wschodów i zachodów słońca. Niebo na tym wykresie zostało zredukowane do geometrycznej siatki z zaznaczoną centralnie bazą USIC, a pory dnia symbolizowały niezrozumiałe kolumny cyfr. Słońce nie miało nazwy, jak zwykle.

Teraz, podczas tego cudownego dnia, siedział pod tym bezimiennym słońcem razem ze swoją trzódką. Wyobrażał sobie, jak mogą wyglądać z góry – nie z bardzo wysoka, ale z poziomu nadmorskiej wieżyczki ratownika wodnego. Opalony blondyn w białej szacie kucający na brązowej ziemi, otoczony przez niewielkie postaci spowite wszystkimi kolorami tęczy. Lekko pochyleni, skupieni, przekazują sobie od czasu do czasu butelkę z wodą. Najprostsza wspólnota, niemal pierwotne obcowanie.

Ostatni raz czuł się tak, kiedy miał sześć lat i rodzice zabrali go na wydmy do Parku Narodowego Snowdonia. To było najszczęśliwsze lato w jego życiu. Rozkoszował się wspaniałą pogodą i pojednaniem rodziców – ściskali się, przytulali i szeptali do siebie czule. Już samo słowo Snowdonia brzmiało magicznie, jak nazwa zaczarowanego królestwa, a nie miejsca w północno-zachodniej Walii. Peter siedział na wydmach, wygrzewał się w słońcu i czerpał radość z obecności obojga rodziców. Wsłuchiwał się w ich łagodne głosy i szum fal, obserwował morze spod za dużego słomkowego kapelusza. Chwile nieszczęścia to próba, którą trzeba przejść, i on zdał ten egzamin. Od teraz wszystko będzie dobrze. Tak myślał, dopóki rodzice się nie rozwiedli.

Język **SLM** był zabójczo trudny do wymówienia, ale bardzo prosty do nauki. Peter przeczuwał, że składa się z najwyżej kilku tysięcy słów. To o wiele mniej niż ćwierć miliona angielskich. Gramatyka była logiczna i zrozumiała, bez udziwnień i zdradliwych pułapek. Nie było przypadków, nie istniało rozróżnienie pomiędzy liczbą pojedynczą i mnogą ani pomiędzy rodzajem męskim i żeńskim. Były tylko trzy czasy: przeszły, teraźniejszy i przyszły.

Zresztą nazywanie ich czasami byłoby nadużyciem, sami **SLM** tak o tym nie myśleli. Dzielili rzeczy na te, których już nie ma, te, które są obecne w tej chwili, i te, które mają się dopiero pojawić.

– Dlaczego opuściliście poprzednią osadę? – zapytał ich kiedyś. – Tę, w której mieszkaliście, zanim zjawił się USIC? Czy zaszło coś złego pomiędzy wami a ludźmi z bazy?

– My **peras pu. pu dobse** – odpowiedzieli.

– Ale coś się stało?

– Nie. My **peras pu.**

– To trudne, musieliście zbudować wszystko od nowa.

– Budowa **łapwa**. Co **sień prochę** pracy. **sień sa** dniem i praca **srobiona**. Spróbował jeszcze raz.

– Gdyby USIC się nie zjawił, czy nadal mieszkalibyście w starej osadzie?

– **pu dobse**.

Starali się wykręcić od odpowiedzi? Nie był pewien. Język **SLM** nie zawierał trybu warunkowego, nie istniało „gdyby” ani „jeżeli”.

„W domu ojca jest wiele pokoi” – tak sparafrazował słowa z Ewangelii świętego Jana, unikając kłopotliwego „mieszkania”. Co do dalszych słów – „gdyby tak nie było, tobym wam powiedział”<sup>37</sup>, ominął je i przeszedł od razu do następnych, zmieniając je na „przygotuję wam pokój”. Była to mądra decyzja, bo **SLM** nie zrozumieliby pominiętych przez niego zapewnień Jana. Jeden z najbardziej klarownych i istotnych ustępów Biblii tutaj wyglądał jak zagmatwany rebus.

Pomimo problemów **SLM** z angielskim wszyscy chcieli, żeby Peter nauczał o Bogu i Jezusie w swoim własnym języku. Jego trzódka nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Wiedzieli, że nie można przełożyć Księgi Dziwnych Nowych Rzeczy, a jej obco brzmiące frazy urzekały ich tajemniczą, egzotyczną siłą.

Oprócz Boga i Jezusa istniało też codzienne życie, które Peter chciał dzielić razem z tymi ludźmi. Kilka dni po rozpoczęciu nauki ich języka usłyszał, jak rozmawiają ze sobą dwaj Miłośnicy Jezusa, i był zachwycony, że wśród niezrozumiałych pochrząkiwań wyłapał wzmiankę o jakimś dziecku, które nie chciało zjeść śniadania. A może zjadło je zbyt łapczywie, w każdym razie mówili o czymś, co wydarzyło się przy śniadaniu i czego dorośli nie aprobowali. To był tylko błahy drobiazg i fakt, że Peter to zrozumiał, nie miał żadnego znaczenia, ale znakomicie wpłynął na jego nastrój. Ten skromny sukces sprawił, że czuł się tu mniej obcy.

Śniadanie – **ysi ph qB** – oznaczało dosłownie „pierwsze jedzenie po śnie”. Bardzo wiele słów w języku **SLM** było zbitkami innych wyrazów, a może osobnymi zdaniami, nie był tego pewien. **SLM** tego nie rozróżniali. Czy to oznaczało, że byli mało precyzyjni? I tak, i nie. Odnosił wrażenie, że wszystko określali za pomocą pojedynczych słów. Poeci nie mieliby tu łatwego życia. To

samo wyrażenie mogło odnosić się do czynności, pojęcia lub miejsca. Na przykład **gKR** oznaczało pola białych kwiatów, sam biały kwiat i sposób jego uprawy. Zaimków nie używali, powtarzali po prostu rzeczownik. Powtarzali wiele słów.

– **qBp sL**? – zapytał Miłośniczkę Jezusa Dwudziestą Ósmą, dumny z tego, że potrafił powiedzieć w ich języku coś, co po angielsku oznaczało mniej więcej „Czy to twoje dziecko?”. Mała istota, na pewno nikt dorosły, kręciła się obok kościoła, czekając, aż Miłośniczka skończy modlitwy.

– **h** – potwierdziła.

Obserwując malucha, Peter żałował, że wśród wiernych nie ma dzieci. Wszyscy Miłośnicy Jezusa byli dorośli.

– Dlaczego nie zabierasz go na modlitwy? – zapytał. – Powitamy go z radością.

Upływały kolejne sekundy, a oni stali w milczeniu i obserwowali gapiące się na nich dziecko, któremu podmuch wiatru przekrzywił kaptur na głowie. Malec podniósł drobne rączki i poprawił go.

– On nie kocha **Jesusa** – powiedziała wreszcie Miłośniczka Jezusa Dwudziesta Ósma.

– Nie musi. Może siedzieć obok ciebie i słuchać, jak śpiewamy. Albo spać.

Znów minęło kilka chwil. Chłopiec przestępował z nogi na nogę i przyglądał się swoim butom.

– On nie kocha **Jesusa** – powtórzyła.

– Może kiedyś pokocha.

– **Mose** – powiedziała i wyszła z kościoła na falujące od upału powietrze. Syn dołączył do niej i razem ruszyli w stronę osady. Nie trzymali się za ręce, ale **sLM** rzadko to robili.

Czy martwiła się tym, że jej dziecku brakowało wiary? Czy syn potępiał, czy akceptował jej religię? Peter nie wiedział i zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu pytać o to Miłośniczki Dwudziestej Ósmej. Brak egocentryzmu u tych ludzi odbijał się w ich języku – nie było słów na wyrażenie większości uczuć, na które Ziemianie marnowali tak wiele energii. Na przykład podczas intymnych pogaduszek, w jakich lubowały się przyjaciółki od serca, analizując, czy to, co czują, to Prawdziwa Miłość, czy zwykłe pożądanie, sympatia, zauroczenie, uzależnienie albo słabość. Cała ta pusta gadanina była tu nie do pomyślenia. Peter nie był nawet pewien, czy istniało słowo „gniew” i czy **pdh** wyrażało zdziwienie, czy było neutralnym stwierdzeniem, że nie wszystko w życiu układa się zgodnie z planem. Co do **uih** oznaczającego wiarę... Trudno było uznać to za precyzyjne określenie. Wiara, nadzieja, zamiar, cel, ochota, plan, życzenie, przyszłość, droga przed tobą... to wszystko mieściło się w tym pojęciu.

Ucząc się ich języka, Peter zaczynał lepiej rozumieć, jak funkcjonują umysły jego nowych przyjaciół. Żyli prawie wyłącznie obecną chwilą, koncentrując się na bieżących zadaniach. Nie znali słowa „wczoraj”, chociaż czasem używali tego angielskiego wyrażenia. To nie znaczy, że mieli słabą pamięć, po prostu

inaczej operowali wspomnieniami. Kiedy ktoś stłukł misę, następnego dnia pamiętali o tym, ale zamiast myśleć o zniszczonym naczyniu, koncentrowali się na naprawieniu szkody. Umiejscowienie przeszłego wydarzenia w konkretnym czasie przychodziło im z trudnością. Robili to czasami, specjalnie dla niego, ale Peter wiedział, że nie widzą w tym większego sensu. Po co by mieli dokładnie określać, czy ich krewny zmarł kilka dni, tygodni, miesięcy, czy rok temu? Człowiek albo żył między nimi, albo spoczywał w ziemi.

– Czy brakuje ci twojego brata? – zapytał Miłośniczkę Jezusa Piątą.

– **Brap pu**.

– Chodzi mi o tego, który umarł. Tego... który jest w ziemi.

Była całkowicie spokojna. Gdyby miała zwykłe oczy, pewnie spojrzęłaby na niego obojętnie.

– Czy odczuwasz ból, bo on leży w ziemi?

– On nie cuje, ból w **siemi** – powiedziała. – **Sanim w siemi** cuł ból. Wielki ból.

– A ty? Czujesz ból? Nie w ciele, ale w duszy? Kiedy myślisz o nim?

Delikatnie wzruszyła ramionami.

– Cuję ból – przyznała po dłuższej chwili zastanowienia. – Cuję ból.

Czuł się winny, że zmusił ją do tego wyznania. Wiedział, że **SLM** potrafią odczuwać głębokie emocje, w tym ból, wyczuwał to, nie byli pozbawieni uczuć. W innym wypadku nie mogliby tak garnać się do Chrystusa.

– Czy kiedykolwiek pragnęłaś umrzeć, Miłośniczko Jezusa Piątą? – Znał już jej prawdziwe imię i nawet kilka razy próbował je wymówić, ale powiedziała mu, że woli, by zwracał się do niej zaszczytnym chrześcijańskim mianem. – Bo ja tak – ciągnął, mając nadzieję, że w zamian za to wyznanie otrzyma odpowiedź. – Kiedy było mi bardzo źle w życiu. Czasem ból jest nie do zniesienia i wtedy chcielibyśmy umrzeć.

Milczała przez długą chwilę.

– Lepiej byc – powiedziała wreszcie, uporczywie wpatrując się w jedną ze swoich rękawiczek, jakby skrywała tam jakiś sekret. – **Smierć sła, sycie** dobre.

Chociaż uczył się ich języka, początki cywilizacji **SLM** ciągle stanowiły dla niego zagadkę. Nigdy nie wspominali, co zdarzyło się w przeszłości ich ludu, i wydawali się nie pojmować zasad historii – swojej i innych. Nie miało dla nich znaczenia (albo nie rozumieli), że Jezus chodził po ziemi parę tysięcy lat temu. Równie dobrze mógłby to robić w zeszłym tygodniu. Takie podejście było zresztą godne prawdziwego chrześcijanina.

– Opowiedzcie mi o Kurtzbergu – poprosił.

– **Kurpsberg odsedł**.

– Niektórzy z bazy USIC opowiadają o tym straszne historie. Myślę, że żartują, ale nie jestem pewien. Mówią, że go zabiliście.

- **sabili**smu?
- Sprawiliście, że umarł. Tak jak Rzymianie zabili Jezusa.
- **Jesus** nie mar**pw**u. **Jesus** syje.
- Tak, ale został zabity. Rzymianie pobili go, przybili gwoździami do krzyża i umarł.
- Bóg **s**prawił cud. **Jesus** nie mar**pw**u.
- Tak – przyznał Peter. – Bóg sprawił cud. Jezus już nie jest martwy. Ale co się stało z Kurtzbergiem? Czy on też żyje?
- Kur**ps**berg syje. – Krucha dłoń wskazała w kierunku rozciągającego się w oddali stepu. – **Isie**, **isie**, **isie** i **isie**.
- Pus**po** bes niego – dodał inny głos.
- **py** nie **is** – powiedział następny.
- Kiedyś będę musiał wrócić do domu – powiedział Peter. – Rozumiecie to.
- Dom **pu**.
- Moja żona czeka na mnie.
- **pwoja** Bea.
- Tak.
- **pwoja** Bea jedna. **Na**s wielu.
- Uwaga godna Johna Stuarta Milla.

Po tych słowach drgnęli, nie zrozumiawszy go. Powinien się zastanowić, nim to powiedział. **SLM** nie potrafili odczytać ironii i kpiny. Więc czemu się przejmował?

Może kierował swe słowa do Bei, jakby tu była i mogła go usłyszeć.

Gdyby nadal źle się czuła, nie przyjechałaby z powrotem. Przełożyłby podróż i został w bazie. Rozczarowanie trzódki było niczym w porównaniu z kłopotami kobiety, którą kochał. Na szczęście wysłuchała jego prośb i zaczęła się modlić.

I oczywiście Bóg przyszedł z pomocą.

Muszę przyznać, że położyłam się do łóżka przestraszona, wściekła i samotna, pisała. Myślałam, że jak zwykle obudzę się spanikowana, zakrywając twarz dłońmi, by ustrzec się przed okropieństwami nowego dnia. Ale tego ranka wszystko wyglądało inaczej.

Tak działał Bóg. Bea zawsze to wiedziała, ale musiała zapomnieć i teraz znów to sobie przypominała.

Może wspomniałam (ale chyba nie), donosiła w liście pisanym po porannej modlitwie, że kaloryfery już od tygodni przez cały czas dudniły, gulgotały i syczały. Nagle hałasy umilkły. Pomyślałam, że bojler musiał zepsuć się na amen, ale nie, był sprawny. Wszystko działa bez zarzutu. Zupełnie jakby Bóg pogroził mu palcem i powiedział: „Zachowuj się jak należy”. Joshua też się uspokoił i znów jak poprzednio ociera się o moje nogi. Zaparzyłam herbatę i uświadomiłam sobie, że nie mam mdłości. Wtedy usłyszałam, jak ktoś puka do drzwi. Myślałam, że to listonosz, ale przypominałam sobie, że pocztę przynoszą po południu (jeśli w ogóle

raczą ją dostarczyć). Przyszło czterech młodych mężczyzn, mieli chyba po dwadzieścia parę lat, wyglądali na osiłków. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że chcą mnie zgwałcić i obrabować. To się często teraz zdarza. Ale nie zgadniesz! Chcieli zabrać tę stertę śmierdzących śmieci! Mieli samochód z przyczepą. Mówili z akcentem, chyba pochodzili z Europy Wschodniej. Objeżdżają całą dzielnicę i zbierają śmieci.

„Cały system diabli wzięli”, powiedział jeden z nich z uśmiechem. „Teraz system to my”.

Zapytałam, ile za to biorą. Spodziewałam się, że zażądają około 200 funtów.

„Daj nam dwadzieścia!”

„I butelkę czegoś na wzmocnienie!”

Powiedziałam, że nie mam w domu alkoholu.

„To daj... trzydzieści funtów!”

„I pamiętaj o nas. Jesteśmy dobre, silne, niesamowite chłopaki!”

Uporali się ze wszystkim w dwie minuty. Popisywali się przy tym. Wrzucali na przyczepę ciężkie wory jedną ręką i przeskakowali nad kubłami na śmieci. Było zimno, trzęsłam się w swojej kurtce, a oni mieli na sobie tylko obcisłe podkoszulki (pod którymi wyraźnie rysowały się muskuły).

„Uratowaliśmy cię, prawda?”

„Pewnie co dzień ty myślałaś, kiedy przyjadą śmieciarze, a dziś... my przyjechaliśmy!”

„Nie wierz rządowi. Pieprzą głupoty. Mówią, że śmieci to wielki kłopot i nic nie robią. Pieprzą tylko. Żaden kłopot. Pięć minut roboty! My silne chłopaki! I po sprawie!” Uśmiechał się, ociekał potem i zupełnie nie było mu zimno.

Dałam im banknot pięćdziesiętofuntowy, a oni wydali mi dwadzieścia funtów reszty. Potem odjechali ze śmieciami i pomachali mi na pożegnanie. Ulica po raz pierwszy od wielu tygodni wygląda czysto i nie śmierdzi.

Chciałam opowiedzieć komuś o tym, co się stało, i zadzwoniłam do Claire. Miałam tego nie robić, bo nie używałam telefonu od dłuższego czasu. Na linii wciąż słychać trzaski i szumy i z trudem da się wyłowić pojedyncze słowa. Ale tym razem, kiedy podniosłam słuchawkę, nic nie było słychać. Myślałam, że telefon zupełnie wysiadł, ale wybrałam numer i połączenie było idealne. Claire nie zdziwiła się, kiedy powiedziałam jej o nowych śmieciarzach. Już o nich słyszała. Twierdziła, że zbijają fortunę, bo odwiedzają ze czterdzieści domów dziennie i od każdego inkasują dwadzieścia funtów. Zabawne, usługa, która kosztowała kilka pensów (zresztą była wliczona w podatki), i tak wydaje ci się tania, chociaż jej cena wzrosła o kilkaset procent.

Na tym nie koniec. Claire oznajmiła, że od wczorajszego wieczoru cały czas o mnie myśli. „Jakby ktoś wyświetlał twoje zdjęcie w mojej głowie”, powiedziała. Ona i Keith przeprowadzają się do Szkocji (przy sprzedaży swojego domu dostali tylko jedną trzecią sumy, którą kiedyś za niego zapłacili, ale i tak uważają się za szczęściarzy), do mniejszej i podłej (słowa Claire) siedziby, ale przynajmniej mają tam przyjaciół, którzy mogą im pomóc. Kiedy się pakowali, Claire uznała, że nie potrzebuje nawet połowy swoich ubrań (nakupowała ich tyle przez te lata). Zamiast wrzucić je do pojemnika z używaną odzieżą (ludzie traktują je teraz jak kosze na śmieci), przywiozła je do mnie. Trzy ogromne torby! „Wybierz sobie, co chcesz, a resztę oddaj do kościoła”, powiedziała. Kiedy otworzyłam torby, o mało się nie rozpłakałam. Jeśli pamiętasz (pewnie nie), Claire nosi taki sam rozmiar co ja i zawsze podziwiałam jej gust. Nie jestem szczególnie łąsa na ciuchy, ale były tam rzeczy, których jej zazdrościłam. I teraz mam na sobie jedną z nich! Liliowy kaszmirowy sweter, tak miękki, że dotykam go bez przerwy, żeby sprawdzić, czy nie zniknął. Musiał kosztować dziesięć razy tyle co najdroższa rzecz, jaką kiedykolwiek miałam, wliczając w to suknię ślubną. Włożyłam też modne legginsy. Są pięknie wyszywane, prawdziwe dzieło sztuki. Gdybyś tu był, zrobiłabym dla Ciebie mały pokaz mody. Czy Ty w ogóle pamiętasz, jak ja wyglądam? Lepiej nie odpowiadaj na to pytanie.

Jutro wracam do pracy. Rebecca powiedziała mi, że Goodman poszedł na urlop! Czy to nie są cudowne wiadomości? Moja dłoń pięknie się zagoiła. Była odrobinę sztywna, ale teraz jest już wszystko w porządku.

Byłam dziś w supermarkecie i na półkach zobaczyłam mnóstwo dawno niewidzianych towarów. Wspomniałam o tym kierownikowi, a on uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. „Chcemy zadowolić naszych klientów”, powiedział. Zrozumiałam nagle, że ostatnie dni musiały być dla niego koszmarem. To tylko nijaki supermarket, ale zarazem jego ukochane dziecko. A właśnie – pisałam Ci już, że nie mam porannych mdłości? Tylko mnóstwo zachcianek i wilczy apetyt. W sklepie udało mi się upolować deser czekoladowy! Długo na to czekałam! To chyba niezbyt mądre mówić, że Bóg zsyła czekoladę dla tych, którzy bardzo jej pragną. Ale może i tym się zajmuje.

Czekolada i kaszmirowe swetry. Kiedy obserwowałam, jak **y** wędruje po wielkim niebie Oazy, takie rzeczy wydawały mu się dziwaczne i ekstrawaganckie. List przypomniawszy mu fragment z Ewangelii Mateusza (6, 25), ale Bea była ostatnio tak drażliwa, że nie chciał jej pisać o ostrzeżeniach Jezusa przed przykładaniem nadmiernej wagi do jedzenia i ubrania. Najważniejsze, że nabierała otuchy i wracała do dawnej formy. Dryfowała, oddalając się od łaski Bożej, ale teraz znów znalazła się pod jego opieką.

„Dziękuję Ci, Panie, dziękuję”, modlił się. Ufał, że ona robi to samo.

USIC obiecał mu, że zbudują przekaźnik dla Sztośu tuż obok kościoła. Mieli to zrobić już niedługo, może nawet przed jego kolejną wizytą w C-2. Po raz ostatni jest w terenie bez możliwości codziennego kontaktu z Beą. Kiedy zainstalują tu Sztoś, żadne z nich nie będzie już tak osamotnione.

Wiadomości o Claire i Keicie trochę go zaniepokoiły. Nie pamiętał tych ludzi. Byli członkami ich kościoła czy poznał ich gdzieś indziej? Może pracują z Beą w szpitalu? Pisała o nich tak, jakby dobrze ich znał. Claire była zbliżona wzrostem i budową do Bei. Wysilił pamięć, starając się przypomnieć sobie żonę stojącą obok podobnej do niej kobiety. Kobiety w liliowym swetrze. Nie kojarzył nikogo takiego.

Miłośniczka Jezusa Dziewiąta podeszła do niego z miseczką wypełnioną słodyczami zrobionymi z białych kwiatów. Przechyliła naczynie, zachęcając go, by spróbował. Wziął kawałek. To było pyszne, ale słodka marynata pozostawiała na palcach brunatne plamy. Rękawiczki Miłośniczki Dziewiątej były powalane ziemią, podobnie jak jej szata. Będzie musiała je wyprać po powrocie do domu. Wielu **SLM** ubrudziło się dzisiaj, bo przed lekcją języka kopali dół pod przekaźnik.

„Nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich”<sup>38</sup>, pomyślał Peter.

Nabożeństwo się skończyło, **SLM** wrócili do swoich domów, a Peter położył się w kościele i zasnął na trochę. Jak długo spał? Przez jakiś czas. Stracił orientację w porach dnia, nie wiedział, czy z formalnego (ziemskiego) punktu widzenia był dzień, noc, czy „dwa tysiące dwieście plus”, bo i takich głupich formułek używali ludzie z USIC. Dostroił się do rytmu **SLM** i teraz budził się z poczuciem, że nastał ranek. I pewnie tak było.

Promienie słońca oświetlały jego ciało, podkreślając ostre kontury bioder i wklęsłą klatkę piersiową. Był wychudzony i żyłasty, jak tancerz lub więzień obozu koncentracyjnego. Naprężone mięśnie lekko drgały, krew pulsowała w takt uderzeń serca. Nie był głodny, chciało mu się tylko pić. Na jego brzuchu migotało światło poranka. Skąd to migotanie? Chyba zbliża się deszcz. Postanowił nie ruszać butelki z wodą i poczekać, aż otworzą się niebiosy.

Wyszedł nagi na zewnątrz i obserwował nadciągającą nawałnicę. Wiatr targał mu włosy z niezwykłą siłą, zanosilo się na potężną ulewę. Cztery gigantyczne tumany deszczu spiętrzyły się w wielką piramidę. Lada chwila mogły się połączyć, ale na razie płynęły osobno. Trzy z nich obracały się powoli i statecznie, ale czwarta wirowała jak szalona centryfuga. Pomyślał, że powinien się czegoś przytrzymać, i oparł się plecami o mur.

Lunał deszcz. Uderzył z przerażającą mocą, w której było też coś radosnego. Wiatr wdarł się z hukiem do kościoła i Peter usłyszał brzęk rozrzuconych przedmiotów. Jeden podmuch prawie uniósł go do góry, ale strugi lecącej z



nieba wody były chłodne i czyste, wręcz doskonałe. Otworzył usta i pił. Czuł się, jakby pływał, nurkował i wynurzał się na powierzchnię, nie musząc przy tym poruszać rękami i nogami. Kiedy ulewa się skończyła, był jak odurzony. Miał zdrtwiałe ciało i ledwie trzymał się na nogach. Pobieźna inspekcja wnętrza kościoła pokazała, że nie ma poważniejszych zniszczeń. Niedawno przyniesiony obraz Miłośniczki Jezusa Siedemnastej, którego jeszcze nie zdążył przyczepić pod sufitem, został ciśnięty na podłogę. Brzegi płótna były postrzępione, ale poza tym dzieło nie uległo zniszczeniu. Kiedy zobaczył je po raz pierwszy, pomyślał, że to martwa natura – namalowany ekspresjonistycznie kwiat, ale przyjrząwszy się uważniej, zauważył, że to, co wziął za płatki, było kręgiem postaci w długich szatach, a pręcik był mężczyzną podnoszącym się z ziemi – Łazarzem.

Schował obraz za ambonę, nie miał teraz czasu go mocować. Po deszczu czuł się mile odprężony i miał ochotę położyć się na trochę. Bardzo lubił te chwile, kiedy wilgotne ciało wysychało, a po skórze przebiegały dreszcze, ale wiedział, że czeka go praca. Nie dla Pana, ale ciężka fizyczna harówka. Ziemia na polach białych kwiatów nasiąkła wodą i za kilka godzin większość roślin dojrzeje, a pozostałym będzie grozić, że opadną w błoto. Nadszedł czas działania.

– Niech Bóg błogosławi **spopkanie**, Ojce **Peper**.

Pomachał ręką, ale nie chciał tracić czasu i witać się ze wszystkimi, których znał. Wielu zgromadzonych tu **SLM** nie było Miłośnikami Jezusa i musieli przyzwyczajać się do jego obecności. Rozmowy lepiej odłożyć na później. Uklęknął i zabrał się do pracy; już po chwili miał ręce po łokcie uwalane błotem.

Pole zmieniło się w trzęsawisko i przypominało teren wielkiej chlewni. Ziemia uprawna była bardziej chłonna niż grunt na stepie, a wokół walały się gnijące resztki białych kwiatów, pozostałości po ostatnich zbiorach. Znad zagonów zaczęła się unosić delikatna, prawie niedostrzegalna mgła i powietrze zrobiło się mniej przejrzyste. Nie miało to znaczenia, liczyły się tylko rośliny, którymi trzeba było się zająć.

Peter lubił pracę w polu. Przypominały mu się dni młodości, kiedy zbierał truskawki (płatność gotówką do ręki), z tym że tutaj pracował uczciwie i nie robił tego, bo uciekał przed zaćpanymi kumplami, którym podprowadził towar. Nie była to bezmyślna harówka, trzeba było ocenić każdą roślinę i zdecydować, czy zostawić ją nienaruszoną, oderwać niektóre fragmenty, wycisnąć sok, czy wyrwać w całości.

**SLM** pracowali powoli i uważnie, jak cierpliwi ogrodnicy, a nie jak poganiani przez nadzorcę pańszczyźniani chłopci. Zawsze mieli na dłoniach rękawiczki. Kiedy były już zbyt ubłocone, przerywali na chwilę robotę, strzepywali brud i naciągali je starannie. Czasami siadali po prostu na ziemi i

odpoczywali przez kilka chwil. Gdy zebrali pełen kosz roślin, nieśli go na skraj pola, gdzie rozłożono kilkanaście sieci, i tam wykładali różne części zebranych plonów na odpowiednie stosy. Peterowi zabrakło trochę czasu, zanim nauczył się, gdzie ma co odkładać. Teraz już nie miał z tym kłopotu, stał się pełnoprawnym towarzyszem ich pracy. Potrafił pracować szybciej i ciężiej niż ktokolwiek z nich.

Po godzinie lub dwóch, mimo że nadal pomiędzy sprężystymi niedojrzałymi roślinami można było znaleźć dużo wiotkich i dojrzałych, **SLM**, pamiętając o swoich ograniczonych możliwościach, przystąpili do następnej fazy żniw. Tę część pracy Peter lubił najbardziej, bo wymagała dużej siły i wytrzymałości, cech, których z pewnością brakowało **SLM**. Radzili sobie dobrze z transportem plonów z pola do osady, bo każdą sieć niosło powoli wielu ludzi i mogli odpoczywać po drodze, ale jedno zadanie musiało być wykonane szybko – przerabianie białych kwiatów na mięso. Nie było łatwo uzyskać namiastki wołowiny, jagnięciny, boczku czy cielęciny, produktów tak cenionych przez mięsożernych pracowników bazy USIC. Wymagało to intensywnego wysiłku. Nie musieli zabijać zwierząt, tylko nieprzerwanie i zawzięcie ubijać wybrane, najbardziej dojrzałe i nabrzmiące sokiem rośliny. Była to praca na pograniczu śmiertelnego wyczerpania. Kiedy soczyste łodygi obtłukiwano kamieniami, nadwątlone naczynia włosowate zaczynały puszczać sok nadający papkowatej masie specyficzny aromat. Za każdym uderzeniem masa stawała się coraz bardziej elastyczna i gładka. Po pewnym czasie zostawiano ją, by stwardniała. Wyszuszone, twarde grudy pokrojone na kawałki zadziwiająco przypominały mięso i smakowały jak ono. **SLM** tłukli rośliny kamieniami ostrożnie i delikatnie, wykonywali po dwa uderzenia i musieli się zmieniać. Peter pracował jak maszyna.

Wszyscy byli tak pochłonięci swymi zajęciami, że kiedy zauważyli watahę, było już za późno.

Jeden z **SLM** coś krzyknął. Dźwięk wydał się Peterowi znajomy, bo zawierał ten sam rdzeń, który występował w tutejszej nazwie Biblii, Księdze Dziwnych Nowych Rzeczy. Oznaczał coś obcego, niespodziewanego i dziwnego. Uśmiechnął się, zadowolony ze swoich postępów w nauce języka, i popatrzył w kierunku, który wskazywał krzyczący. Na obrzeżach plantacji zobaczył stado ptasich stworów, takich samych, jakie widział obok bazy. Z daleka były ledwie dostrzegalne, zlewały się z nisko wiszącą mgłą.

W pierwszej chwili chciał krzyknąć radośnie i zachęcić swych przyjaciół, by wspólnie obejrzeliby to widowisko, ale **SLM** byli najwyraźniej zaniepokojeni. Jak się okazało, nie bez przyczyny. Stwory wtargnęły na pole i po chwili pokryły znaczną część upraw białego kwiatu. Peter ruszył biegiem, by im się przyjrzeć, ale zdążył się już domyślić. Te zwierzęta, te urocze sikoreczki, kaczkonogi, taczuszki czy Bóg wie co, były żarłocznymi szkodnikami i zjawily się tu, by siać

spustoszenie.

Rzuciły się na soczyste pędy jak bezmyślne gąsienice. Ich ofiarą padały wszystkie rośliny, stare i młode, twarde pąki i zwiotczałe liście, kwiaty i łodygi. Stworzenia gryzły i żuły, a mięśnie pulsowały im na pokrytych meszkiem szarych głowach. Ich okrągłe drżące ciała nadymały się coraz bardziej, ale wciąż były nienasycone.

Peter schylił się instynktownie i schwycił najbliższego stwora, odrywając go od smakowitej rośliny. Natychmiast poczuł, jakby ramię przeszył mu prąd. Rozeźlone zwierzę szarpnęło się i zatopiło kły w jego ciele. Cisnął je jak najdalej. Zatoczyło łuk, znacząc powietrze kroplami jego krwi. Próbował przegonić stworzenia kopniakami, ale miał gołe nogi, a na stopach tylko sandały. Kiedy poczuł wściekłe ugryzienie w łydkę, zrejterował. Zresztą było ich zbyt wiele. Gdyby miał pałkę albo strzelbę... karabin maszynowy albo jakiś pieprzony miotacz ognia! Uderzenie adrenaliny przywołało wspomnienie młodego, gniewnego Petera, który nie był chrześcijaninem, za to potrafił walić kogoś w gębę, aż zrobił z niej miazgę, który demolował samochody, a w gwałtownym odruchu nienawiści był zdolny stłuc rząd kruchych figurek ustawionych na gzysie kominka. Ale teraz już tego nie potrafił, adrenalina nie zdała się na nic. Bezradnie patrzył, jak horda niszczy owoce pracy jego ludu.

Ci z **SLM**, którzy nie byli Miłośnikami Jezusa, wiedzieli, co mają robić. Los ich plantacji był przesądzony, pośpieszyli więc do stosów zebranych wcześniej plonów i zarzucili ciężkie sieci na ramiona. Rozumieli, że szkodniki będą systematycznie pożerać rośliny na polu, więc mieli jeszcze trochę czasu, by uratować, co się da. Miłośnicy Jezusa wydawali się zagubieni. Targały nimi sprzeczne uczucia – chcieli ratować zbiory, a jednocześnie lękali się o stan zdrowia swojego pastora. Peter podszedł do nich, chcąc pomóc im nosić ciężary, ale wzdrygali się przed tym i zaczęli się od niego odsuwać. Wydawali dziwne, zatrważające dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszał. Intuicja podpowiadała mu, że to okrzyki rozpacz.

Z jego ręki kapąca na ziemię krew. Zwierzę ugryzło go głęboko i zdarło z ramienia płat skóry. Rana na nodze też wyglądała makabrycznie.

– **UmSeS**, **umSeS** – zawodziła Miłośniczka Jezusa Piąta.

– Umrę? Dlaczego? Czy te stworzenia są jadowite?

– **UmSeS**, **umSeS**, **umSeS**! **UmSeS**, **umSeS**, **umSeS**! – Kilkunastu Miłośników Jezusa przyłączyło się do zawodzenia. Podniesione głosy mieszały się i nakładały na siebie. Było to całkowicie odmienne od zwykłego łagodnego i spokojnego tonu ich wypowiedzi, które zawsze wygłaszali po kolei, w należyтым porządku. To wszystko wytrąciło Petera z równowagi.

– Truczna? – zapytał głośno i wyraźnie, wskazując na chmurę szkodników. Szkoda, że nie znał tego słowa w ich języku. – Złe lekarstwo?

Nie odpowiedzieli i oddalili się pośpiesznie. Tylko Miłośniczka Piąta zawahała się. Już podczas zbiorów zachowywała się dziwnie. Prawie nie

pracowała, głównie obserwowała innych i od czasu do czasu pomagała jedną, lewą ręką przy prostszych czynnościach. Teraz podeszła do niego chwiejnym krokiem, jakby była pijana lub oszołomiona. Położyła swoje dłonie (jedną ubłoconą, drugą czystą) na biodrach Petera i przycisnęła twarz do jego brzucha. W tym geście nie było nic erotycznego, Peter wątpił nawet, czy ona wie, czym i gdzie są genitalia. Domyślił się, że w ten sposób żegna się z nim. Potem pośpiesznie ruszyła za resztą swoich braci.

Po chwili został na polu sam. Rany paliły go i swędziały, a uszy wypełniało ohydne mlaskanie setek gryzoni pochłaniających oślizgłą papkę, którą miano przerobić na chleb, jagnięcinę, ravioli, cebulę, **gsyby**, **masło osehowe**, **pofu**, **sekoladę**, **supy**, **sardynki**, **cynamon** i mnóstwo innych rzeczy.

Kiedy Peter dokuśtykał do kościoła, zobaczył zaparkowaną furgonetkę. Obok stał Conway, pracownik USIC, który pił z butelki jakiś gazowany napój za pięćdziesiąt dolarów. Był to niski, łysy mężczyzna, ubrany w zielony fartuch i wyglansowane czarne buty z cholewami. Jego schludny wygląd uderzająco kontrastował z brudną, zakrwawioną szatą Petera.

– Wszystko w porządku? – spytał Conway, a potem roześmiał się, zdawszy sobie sprawę, jak niedorzeczne było to pytanie.

– Pogryzły mnie – powiedział Peter.

– Kto?

– Hm... nie wiem, jaką nazwę w końcu zdecydowaliście się im nadać. Kaczkonogi? Taczuszki?

Conway pogładził się po łysinie. Był inżynierem elektrykiem, nie lekarzem. Gestem dłoni wskazał placyk przed kościołem. Wznosiła się tam nowa konstrukcja, która przypominała pralkę z ustawioną na niej miniaturową wieżą Eiffla.

– Przekaznik Sztosu – wyjaśnił. W normalnych okolicznościach Peter powinien mu teraz podziękować i wyrazić zachwyt. Inżynier najwyraźniej żałował, że ominą go zasłużone pochwały.

– Chyba powinienem pojechać z tym do lekarza. – Peter uniósł zranione ramię.

– Chyba powinienes – przytaknął Conway.

Kiedy po kilku godzinach dojechali do bazy, krwawienie ustało, ale ciało wokół ran przybrało siną barwę. Martwica? Pewnie tylko siniaki. Szczęki stwora uderzyły go z siłą młota. Podczas jazdy obejrzał dokładnie swoje ramię. Zęby zwierzęcia nie naruszyły kości i rana pewnie zostanie uznana za powierzchowną. Nałożył na ciało zwisający płat skóry, ale wiedział, że potrzebne będą szwy.

– Mamy nowego doktora – powiedział Conway. – Właśnie przyleciał.

– Naprawdę? – zapytał Peter. Powoli tracił czucie w zranionej nodze.

– Miły facet. I prawdziwy fachowiec. – Uwaga był zbędna, bo wszyscy zatrudniani przez USIC byli najwyższej klasy fachowcami. I najczęściej byli mili.

– Cieszę się.

– Idź do niego. Od razu – nalegał Conway.

Ale Peter nie chciał iść natychmiast do lekarza. Powiedział, że musi najpierw zajrzeć do swojej kwatery. Conway nie był tym zachwycony.

– Dla doktora nie ma znaczenia, że jesteś brudny. I tak zdezynfekują cię całego.

– Wiem – powiedział Peter. – Chcę sprawdzić, czy nie mam wiadomości od żony.

Conway uśmiechnął się rozbawiony.

– I to nie może poczekać?

– Nie, nie może.

– No dobrze – powiedział Conway i zmienił kierunek jazdy. W przeciwieństwie do Petera, który nie odróżniał poszczególnych części bazy, dokładnie wiedział, gdzie podjechać.

Weszli do budynku i Peter od razu poczuł, że ogarniają go dreszcze. Kiedy Conway prowadził go do kwatery, trząsał się i szcząkał zębami.

– Nie zemdlejesz?

– Nic mi nie będzie.

Powietrze wewnątrz było lodowate, jak kosmiczna próżnia zaprawiona czystym tlenem. Brakowało naturalnych składników, których mieszanina tworzyła prawdziwe powietrze. Każdy oddech powodował ból w płucach. Przytłumione, upiorne światło nadawało korytarzom wygląd podziemnego bunkra. Ale zawsze, kiedy Peter wracał z terenu, odbierał bazę w taki sposób. Potrzebował czasu, by się zaaklimatyzować.

Kiedy doszli do pokoju, Conway był już mocno zaniepokojony.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział. – Pośpiesz się, nie mam ochoty zajmować się martwym pastorem.

– Postaram się – odparł Peter i zamknął mu drzwi przed nosem. Pod wpływem gorączki, albo jakiegoś świństwa, które przedostało się do jego organizmu, krew zaczęła boleśnie pulsować w skroniach. Próbował opanować drżenie ust i tak mocno zaciskał szczęki, że rozboleły go mięśnie żuchwy. Czuł się senny i kręciło mu się w głowie, ledwo trzymał się na nogach.

Kiedy włączał Sztos, zastanowił się, czy nie marnuje ostatnich chwil, w których można jeszcze uratować mu życie. Chyba nie. Jeśli ugryzienia były jadowite, lekarze USIC i tak nie znajdą antidotum. Trucizna zrobi swoje i stanie się to albo w otoczeniu zaniepokojonych obcych twarzy, albo w zaciszu jego własnego pokoju. Może zostało mu tylko kilka godzin życia, może będzie pierwszym obiektem badań dla nowego patologa, pierwszymi zwłokami, w których znajdą ślady obcego jadu.

Jeśli tak, Peter chciał jeszcze, zanim straci przytomność, przeczytać, że Bea

go kocha i wszystko u niej w porządku. Sztos budził się do życia, małe zielone światełko migotało na obudowie ekranu, a niewidzialna sieć przeczesywała niezmierzone przestrzenie, łowiąc kolejne słowa, które mogły pochodzić od jego żony.

Wiadomość, która nadeszła, była krótka.

**Boga nie ma**, napisała.

## Samotna przy twoim boku

– Stolarzem. – Głos dochodził jakby zza szyby.

– Hm?

– Kiedy byłem dzieckiem, ludzie uważali, że zostanę stolarzem. Miałem do tego dryg. Ale potem... to wszystko pozory.

– Pozory?

– Medycyna lubi się otaczać aurą wyrafinowania i tajemnicy. Lekarz mag, wielki mistrz chirurgii. Bzdury. Naprawianie ludzkiego ciała nie wymaga zbytnej finezji. Potrzebne są takie same umiejętności, jakie ma stolarz, hydraulik czy krawiec.

Doktor Adkins, udowadniając prawdziwość swoich słów, zręcznie przeciągał igłę z nitką przez skórę Petera, zostawiając na niej drobny, czarny, równy ścieg. Już kończył. Szwy utworzyły elegancki wzorek przypominający tatuaż z jaskółką w locie. Peter nic nie czuł. Dostał sporą dawkę środków przeciwbólowych i dwa zastrzyki ze znieczuleniem miejscowym. W połączeniu ze zmęczeniem czyniło go to obojętnym na wszystko.

– Myślisz, że jakaś trucizna mogła przedostać się do organizmu? – zapytał. Obraz sali operacyjnej falował mu przed oczami.

– Badania krwi niczego nie wykazały – powiedział doktor Adkins, zawiązując ostatni supełek.

– A co się stało z... zapomniałem, jak się nazywał. Lekarz, z którego powodu tu przyjechałeś... ten, który nie żyje...

– Everett.

– Tak, Everett. Doszliście, co mu się stało?

– Tak. – Adkins rzucił igłę na tackę chirurgiczną, którą natychmiast zabrała siostra Flores. – Umarł.

– Z jakiej przyczyny?

Doktor Adkins ściągnął brwi.

– Niespodziewane zatrzymanie akcji serca. Podkreśliłbym znaczenie słowa „niespodziewane”. Jego dziadek zmarł w taki sam sposób. To się zdarza. Możemy odżywiać się zdrowo, dbać o kondycję, łykać witaminy... ale czasami umieramy. Kiedy przyjdzie na nas czas. – Uniósł brwi. – Ty to pewnie nazywasz spotkaniem z Bogiem.

Peter poruszył palcami i jeszcze raz przyjrzał się z podziwem zgrabnemu rysunkowi utworzonemu przez szwy.

– Przez chwilę myślałem, że nadszedł mój czas.

Adkins się zaśmiał.

– Jeszcze będziesz mógł wygłosić niejedno kazanie. Dam ci radę. Następnym

razem, kiedy zobaczysz te paskudy, weź ze sobą kij do golfa. – Złożył ręce i zamachnął się szeroko, naśladowując uderzenie golfisty.

Peter był zbyt nafaszerowany środkami odurzającymi, by iść o własnych siłach, więc ktoś wywiózł go z sali operacyjnej na wózku inwalidzkim. Para bladych dłoni okryła mu nogi kocem i położyła na kolanach plastikową torebkę z jego sandałami. Nie widział, kto to zrobił, bo ten ktoś krył się za jego plecami.

– Dziękuję ci, kimkolwiek jesteś – powiedział.

– Nie ma za co. – Usłyszał głos Grainger.

– O kurczę, przepraszam. Nie zauważyłem cię w sali operacyjnej.

Pchnęła wózek i powoli ruszyli jaskrawo oświetlonym korytarzem w kierunku wielkich podwójnych drzwi.

– Byłam w poczekalni. Nie lubię widoku krwi.

Peter uniósł ramię i pokazał jej czysty biały bandaż.

– Wszystko naprawione – powiedział.

Jeszcze zanim usłyszał odpowiedź, domyślił się, że coś jest nie w porządku. Grainger zaciskała dłonie na oparciu fotela o wiele za mocno.

– Zupełnie o siebie nie dbasz, kiedy jesteś w terenie – powiedziała. – Popatrz na siebie, sama skóra i kości. Chryste! Wiem, że nadużywam jego imienia, ale jak ty wyglądasz!

Popatrzył na swoje ręce. Zawsze uważał, że jest chudy. No, może nie aż tak jak teraz. Gruby bandaż sprawiał, że jego ramiona wydawały się jeszcze bardziej wątle. Jak bardzo Grainger była zła? Tylko trochę poirytowana czy wściekła? Droga z centrum medycznego do jego pokoju zajmie kilka minut. To sporo, przez ten czas Peter będzie zdany na humory kogoś, kto chyba był na niego zły. Na dodatek czuł się osłabiony środkami przeciwbólowymi i zszokowany wiadomością od Bei. Kiedy ją sobie przypominał, ogarniały go fale mdłości. Owładnęło nim uczucie, które często opisywali mu inni mężczyźni, gdy udzielał im porad małżeńskich: głęboka, obezwładniająca pewność, że bez względu na to, co zrobią, bez względu na dobre intencje, jakimi się kierowali, jest przesądzone, że zawiodą swoje kobiety.

– Tym razem bardzo uważałem, żeby nie przypiec sobie uszu – powiedział. – Przynajmniej za to powinnaś mnie pochwalić.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie.

Grainger przepchnęła go przez podwójne drzwi i energicznie skręciła na prawo.

– Kurtzberg był taki sam – dodała. – I Tartaglione. Pod koniec wyglądali jak szkielety.

Peter westchnął.

– Wszyscy tak pod koniec wyglądamy.

Grainger stęknęła poirytowana. Jeszcze nie skończyła go besztać.

– Co jest nie tak u tych Dziwołągów? Chodzi o ciebie czy o nich? Nie karmią



cię czy sam za mało jesz?

– Są bardzo szczerzy – zaprotestował Peter. – Nigdy by nie... Nigdy nie próbowałem się głodzić. Sęk w tym, że oni sami niewiele jedzą. Zjadają chyba wszystko, co wyhodują, oprócz tego, co... hm... odkładają na potrzebyUSIC.

– Cudownie! Więc wychodzi na to, że ich wykorzystujemy? – Grainger skreśliła w następny korytarz. – Robimy, co w naszej mocy, by postępować jak należy. Staramy się ze wszystkich sił. Włożyli w to zbyt wiele wysiłku, by to spieprzyć i żeby ktoś ich oskarżał o imperialistyczne zakusy.

Peter żałował, że nie odbyli tej rozmowy wcześniej lub nie odłożyli jej na później. Wszystko jedno kiedy, byle nie teraz.

– Hm... Kto włożył w to zbyt wiele wysiłku? – zapytał, usiłując usiąść prosto na wózku.

– Na litość boską, przecież to oczywiste. Musisz się zachowywać jak dziecko we mgle?

Chciał powiedzieć: „Ja tylko służę Panu. To moja żona zadaje zasadnicze pytania”. Taka była prawda. To Bea zawsze musiała wiedzieć, kto i dlaczego za czymś stoi, to ona zawsze chciała poznać drugie dno i nie godziła się na gry, których reguły nie były jasne. Czytywała w umowach fragmenty napisane drobnym drukiem, wyjaśniała Peterowi, jakie pułapki kryją się w pozornie cudownych okazjach. Potrafiła dostrzec oszustwo, nawet jeśli skrywało się za chrześcijańską maską. Grainger miała rację – był dzieckiem we mgle.

Na pewno nie była to jego cecha wrodzona, zmienił się, bo tak postanowił. Chrześcijaninem można zostać na wiele sposobów, a on wybrał drogę, która była najlepsza dla niego. Zgasił swój cynizm, tak jak gasi się światło w pokoju... Nie, to niedobre porównanie. Zapalił światło zaufania i pokory. Przez tyle lat manipulował ludźmi, wykorzystywał każdego, kogo znał, kradł i kłamał. Najgorsze, że udawał przy tym niewiniątko. Bóg wymazał to wszystko. Mężczyzna, który używał przekleństw jak znaków przystankowych i w co drugim zdaniu „pierdolił Jezusa Chrystusa”, zaczął mówić „ojej!”. Nie było dla niego innej drogi. Można być albo zapitym alkoholem, albo w ogóle nie pić. Podobnie jest z cynizmem. Bea mogła sobie pozwolić na odrobinę, on nie.

I nagle: „Boga nie ma”. Napisała to Bea. Proszę cię, Boże, tylko nie ona. Nie Bea.

Ona też kiedyś pchała go na wózku inwalidzkim, w szpitalu, gdzie się poznali. Dokładnie tak, jak pchała go teraz Grainger. Złamał obie nogi w kostkach, wyskakując przez okno z jakiejś rudery, i spędził kilka dni z nogami na wyciągu, na oddziale, gdzie pracowała. Pewnego popołudnia wsadziła go na wózek i zawiozła na prześwietlenie.

„Możesz mnie na chwilę wywieźć na zewnątrz? Chcę zapalić – powiedział. – Papieros ci nie pomoże, przystojniaku – odpowiedziała. Nie widział jej, bo była za jego plecami, ale czuł jej słodki zapach. – Musisz odmienić swoje życie”.

– No to jesteśmy – powiedziała Grainger. – Twój dom na końcu świata. Podjechali do drzwi z tabliczką P. LEIGH. PASTOR.

Kiedy Grainger pomagała mu zsiąść z wózka, w korytarzu pojawił się Springer, jeden z elektryków.

– Witaj z powrotem, kaznodziejo! – krzyknął. – Jeśli będziesz potrzebował więcej wełny, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. – I poszedł dalej.

Grainger zbliżyła usta do ucha Petera i wyszeptała:

– Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca. I wszystkich, którzy tu pracują.

„Proszę, tylko mnie nie znienawidź”, pomyślał Peter. Otworzył drzwi i oboje weszli do środka. Powietrze w pokoju było stęchłe i wydzielało lekko kwaskowaty zapach. Przez dwa tygodnie nikt tu nie włączał klimatyzacji. Z podłogi i mebli wzbił się kurz, jego drobinki były dobrze widoczne w promieniach światła. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Grainger, która przez cały czas podtrzymywała Petera jednym ramieniem, nagle otoczyła go drugim. Zdezorientowany dopiero po chwili zrozumiał, że go objęła. Nie tak jak ostatnio, kiedy przytuliła się do niego załamana. Teraz była w tym ruchu namiętność kobiety.

– Zależy mi na tobie – powiedziała Grainger, przyciskając twarz do jego ramienia. – Nie umieraj.

Pogładził ją niezręcznie po głowie.

– Nie mam zamiaru.

– Umrzesz, umrzesz i cię stracę. Zdziwaczejesz do reszty i pewnego dnia po prostu znikniesz. – Płakała.

– Nie zrobię tego, obiecuję.

– Ty draniu – szlochała, obejmując go coraz mocniej. – Ty kanalio, ty kłamliwy...

Odsunęła się od niego. Jej białe ubranie było poplamione błotem z pół **SLM**.

– Nie zawiozę cię do tych dziwolągów – powiedziała. – Niech to zrobi ktoś inny.

– Przykro mi – powiedział. – Będzie, jak sobie życzysz.

Ale jej już nie było.

Nie było też nowych wiadomości od Bei. Na jego polecenie zespolone siły wyrafinowanej technologii przeczesywały przestrzeń kosmiczną w poszukiwaniu jej słów, ale niczego nie znalazły. Na ekranie ciągle migotał krzyk rozpacz, trzy straszliwe słowa zawieszony w beznamiętnej mgławicy zielonych pikseli. W tej wiadomości nie wymieniła jego imienia. Ani nie podpisała się swoim.

Usiadł przed Sztosem i modlił się, by Bóg dodał mu sił. Wiedział, że musi jej teraz odpisać, i to krótko, bo za chwilę może osunąć się na ziemię i stracić przytomność.

Niezdarnymi palcami chciał napisać słowa psalmu: „Mówi głupi w swoim sercu: «Nie ma Boga»”<sup>39</sup>. Ale wtedy Bóg wejrzał w jego serce i Peter zrozumiał, że to byłoby niemądre. Bea nie potrzebowała krytyki, bez względu na to, co się

z nią działało.

Może znów wydarzyła się jakaś straszliwa katastrofa? Potworna tragedia w obcym kraju, która przepełniła Beę beznadziejną rozpaczą? Być może tym razem gdzieś bliżej, w Anglii? Kataklyzm, który pozbawił tysiące ludzi dachu nad głową i pogrążył ich w bólu po utracie bliskich?

Znów przywołał na pomoc psalmy. „W nocy nie ulęknieś się strachu ani za dnia – lecącej strzały ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe. Choć tysiąc padnie u twego boku, a dziesięć tysięcy po twojej prawicy: ciebie to nie spotka”<sup>40</sup>.

A jeśli... jeśli to dotknęło Beę? Może trzęsienie ziemi albo powódź zniszczyły okolicę, gdzie mieszka? Może teraz, dokładnie w tej chwili, jest zdana na własne siły i w osłupieniu patrzy na to, co się dzieje dookoła niej, zmuszona koczować w ruinach ich domu? No nie, to bez sensu, ich dom musi być nienaruszony, skoro mogła napisać list. USIC zamontował Sztos na pierwszym piętrze, w gabinecie, i podłączył go do przekaźnika wielkości sporej szafki. Wiadomość była dowodem, że Bei nic się nie stało. Ale czy można tak powiedzieć o kimś, kto oddalił się od Boga?

Pod wpływem dihydromorfiny, chloroprocainy i wyczerpania Peter robił się coraz bardziej senny. Przeraził się. Musi jej odpisać, a nie jest w stanie. Musi coś odpowiedzieć, przerwać milczenie, ale jeśli dobierze nieodpowiednie słowa, będzie żałował przez resztę życia.

W końcu zrezygnował z cytatów biblijnych i wszelkich porad. Był jej mężem, a ona jego żoną. Tylko to było pewne i tego postanowił się trzymać.

Beo, nie wiem, co skłoniło Cię, żeby napisać takie słowa, ale kocham Cię i chcę Ci pomóc. Napisz, proszę, co się stało, i wybaczone, jeśli chodzi o coś, o czym powinienem być wiedzieć. Przed chwilą wróciłem od lekarza. Nic poważnego, założył mi kilka szwów. Coś pogryzło mnie na polu, później ci wszystko wyjaśnię. Teraz muszę się trochę przespać, bo lecę z nóg. Martwię się o Ciebie, kocham Cię. Wiem, że to zabrzmiało absurdalnie, ale jestem tu dla Ciebie. Naprawdę.

Wysłał to i padł na łóżko.

Trochę później przyszła Grainger. Bez słowa wślizgnęła się do łóżka i położyła głowę na jego nagiej piersi. Leżeli w takiej pozycji, że mógł ją swobodnie objąć. Zrobił to, a ona przysunęła się bliżej i poczuł ciepło jej ciała. Palcami zaczęła gładzić go po brzuchu, a po chwili drugą dłonią ujęła jego nabrzmiały członek. Zanim zdążył coś powiedzieć, pojawiła się Bea. W jej oczach wyczytał, że wszystko jest w porządku. Grainger podciągnęła koszulę, ukazując białe, piegowate piersi. Zaczął je całować, a Bea skończyła się rozbierać i weszła do łóżka. Grainger uniosła jego członek i Bea dosiadła go. Wytrysnął od razu,

kiedy w nią wszedł.

Obudził się i natychmiast wyczuł zapach zdrady. Dopuszczył się cudzołóstwa i co gorsze wciągnął w te nieczyste fantazje własną żonę, zrobił z niej swoją współniczkę. Zawsze byli sobie wierni, nigdy nie próbował wykorzystać bezbronnych, uległych kobiet, które poznawał w trakcie swojej pracy. Był monogamistą, a Bea była jego kobietą. Była?

Leżał przez chwilę bez ruchu, zasłaniając zdrowym ramieniem oczy przed rażącymi promieniami słońca. W skroniach czuł pulsujący ból, jakby dopadł go kac. Miał spierzchnięte wargi i wysuszony język, zraniona ręka lekko zdrętwiała, ale w sumie była w nie najgorszym stanie, za to pogryziona noga mocno piekła. Nie miał pojęcia, jak długo spał – piętnaście minut czy godzin. Wspomnienie tego, co wydarzyło się we śnie, nie dawało mu spokoju, kusząc i mając iluzję fizycznej miłości. Był pod wrażeniem tej fantasmagorii, w której smutek, ból i zniechęcenie zostały zastąpione pożądaniem.

Pragnienie zmusiło go do wstania. Pił łapczywie, prosto z kranu, chleptając głośno jak pies, aż napełnił żołądek. Lekarz powiedział mu, że może śmiało brać prysznic i używać mydła, ale nie powinien drapać ran, jeśli będą go swędzieć. Szwy niebawem rozpuszczą się same. Peter rozwiązał i odwinął bandaż, odsłaniając gojące się ciało. Na miękkim bawełnianym opatrunku nie było krwi, wyglądało na to, że ślady po ukąszeniach wkrótce znikną. Wykąpał się, wytarł do sucha i starannie założył bandaże. Wciągnął na siebie džinsy i wyblakły pomarańczowy podkoszulek z napisem POMOC DLA POTRZEBUJĄCYCH. JEDNOSTKA DO ZADAŃ SPECJALNYCH Z BASILDON. Wydawało mu się, że ubranie jest na niego za duże. Przetrzęsając plecak w poszukiwaniu skarpetek, natrafił na małą plastikową torebkę zawierającą półpłynną lepką substancję. Początkowo nie wiedział, co to jest, ale w końcu sobie przypomniał. Były to resztki posiłku, który dawno temu dostał od **SLM**, kiedy jeszcze nie przywykł do ich jedzenia, kawałek tłustej substancji, która smakowała jak ocet. Bojąc się ich obrazić, powiedział, że nie jest głodny i zje to później. Lepka torebka ciążyła mu w dłoni, jakby trzymał jakiś zwierzęcy organ wyciągnięty z padliny. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby to położyć, żeby znów o tym nie zapomnieć.

Na stoliku obok lodówki zauważył coś, czego wcześniej tam nie było – plastikową buteleczkę z lekarstwem i karteczkę z odręcznie napisanymi słowami: „Jeśli zajdzie potrzeba, zażywać co dwie godziny. G”.

Czy Grainger tu była, kiedy spał? Czy przyniosła lekarstwo, kiedy przywiozła go po zabiegu? Pamiętał tylko, że go objęła, nic więcej. Ale może wpadała tu, kiedy zszywał go doktor Adkins. Potrafiła być zapobiegliwa.

Wziął buteleczkę i przeczytał etykietkę. Lek był bardzo silny, nie mógłby go dostać bez recepty w angielskiej aptece. Jednak ból, który odczuwał Peter, nie był natury fizycznej.

Sprawdził, czy nie ma nowych wiadomości od Bei. Nie było.

Wszedł do kantyny, kiedy popisował się tam duch Binga Crosby'ego. Struny głosowe, tkwiące kiedyś w ludzkim gardle, od dawna zgniły w ziemi cmentarza Świętego Krzyża w Los Angeles. Dźwięki, które niegdyś wydawały, w 1954 roku zarejestrowano na taśmie magnetofonowej, a wiele lat później zdigitalizowano i teraz rozbrzmiewały z głośników stołówki. Wokół stolików siedziało kilkunastu pracownikówUSIC zajętych rozmowami i jedzeniem. Bezcielesny głos Judy Garland (jej struny głosowe były delikatniejsze i wibrowały z większym przejęciem) dołączył do Binga. Wykonywali zgrany stary numer o przymierzaniu kapeluszy, napisany, by w zabawny sposób ukazać różnice pomiędzy mężczyznami a kobietami. Stojący za kontuarem Stanko włączył mikser, zagłuszając staroświeckie głosy dźwiękami kruszonego lodu z dodatkiem kawy.

– Co masz dziś dobrego, Stanko? – zapytał Peter.

– Naleśniki.

Bing Crosby przerwał szczebiot Judy Garland: *Obejmuję cię ramieniem, gdy idziemy znów na spacer, czy bez przerwy musisz paplać i trajkotać, i świergotać...*

– A coś na ostro?

Stanko podniósł pokrywkę metalowego kociołka, z którego wydobywał się intensywny zapach.

– Boeuf Stroganow.

– Poproszę. I kubek herbaty.

*Filozofia i przyroda, filharmonia i antyki, lecz kochanie dziś nikt nie dba, czy wybierasz coś z klasyki* – kwilił Crosby.

Stanko podał Peterowi kopiastą, parującą porcję jedzenia na plastikowym talerzu, plastikowy kubek z gorącą wodą, papierową saszetkę ze sproszkowanym mlekiem i torebkę herbaty opatrzoną miniaturowym rysunkiem pałacu Buckingham.

– Dziękuję – powiedział Peter.

– Smacznego, brachu.

– Wygląda nieźle.

– Najlepszy stroganow, jaki jadłeś w życiu – potwierdził Stanko z kamienną twarzą. Szyderstwo? Może mówił to szczerze. W tej chwili Peter nie potrafił ocenić.

Podszedł do jedyne wolnego stolika i usiadł. Bing Crosby próbował zirytować Judy Garland rozmową o golfie, a Peter zaczął jeść wołowinę. Wiedział, że zrobiono ją z białych kwiatów, które najpierw utłuczono kamieniami na miazgę, a potem wysuszono i upieczono. Sos był niedobry, za słodki i za mdły. Kawałki młodych białych kwiatów zabarwionych na jasnopomarańczowy kolor zastępowały marchewkę, a blanszowane plasterki niedojrzałych liści tej rośliny miały stanowić namiastkę cebuli. Peter wolałby, żebyUSIC zrezygnował z tej maskarady i zaczął serwować białe kwiaty w taki sposób, w jaki jedli je **SLM**. Było tyle dobrych przepisów, z których nie korzystano w bazie.

*W takt muzyki słodkich dźwięków ja ci siądę na kolanach i ty wtedy będziesz musiał i trajkotać, i świergotać...* – śpiewała Judy Garland.

– Mogę się przysiąc? – Prawdziwy kobiecy głos zagłuszył dawno zmarłą piosenkarkę.

Peter podniósł wzrok i zobaczył stojącą obok Hayes. Skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że zaraz go zapyta o samopoczucie, a nie był pewien, czy potrafi zdawkowo odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie załamie się i opowie jej o wszystkim. Ale kiedy Hayes usiadła, okazało się, że interesowała ją jedynie wolna powierzchnia stolika, na której rozłożyła grubą książkę. Peter jadł i zerkał na stronicę. Zawierały cały zestaw wypełnionych ołówkiem matematycznych łamigłówek – sudoku, kakuro, hitori i fillomino. Hayes pochylała się nad książką i zaczęła starannie wymazywać gumką kolumny liczb.

*I tylko pocałunek może zamknąć nam usta* – gruchali zgodnie Bing i Judy.

Pięć minut później talerz Petera był pusty, a mrożona kawa Hayes nietknięta. Kobieta była całkowicie pochłonięta swoją pracą. Siedziała zgarbiona, z lekko rozchylonymi wargami, jej oczy ocieniały miękkie, wspaniałe rzęsy. Wydawała się Peterowi dużo ładniejsza i smutniejsza, niż kiedy widział ją ostatnio. Nagle poczuł, że jest głęboko, naprawdę do głębi poruszony jej bezinteresownym, pełnym troski o innych postępowaniem.

– To takie wielkoduszne, co robisz – powiedział.

– Słucham?

– Dbasz o innych, to widać.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Wycierasz ślady ołówka – wyjaśnił, żałując, że się odezwał. – Teraz inni też będą mogli skorzystać z tych łamigłówek.

Zmarszczyła czoło.

– Nie robię tego dla innych. Sama znowu chcę to rozwiązać. – I wróciła do wycierania.

Peter wyprostował się i pił herbatę. Zajęta cierpliwą mrówczą pracą Hayes już nie wydawała mu się tak atrakcyjna. W tym, co robiła, było coś upiornego. Sam nie przepadał za łamigłówkami i szaradami, ale wiedział, że inni je lubią. Jednak rozwiązywać te same zagadki po raz kolejny...

Wybuch śmiechu, który dobiegł z końca sali, nie zakłócił skupienia Hayes. Rozochoczone towarzystwo składało się z Tuski, Maneely i Conwaya, mężczyzny, który przywiózł Petera z osady. Zabawiali się popularną sztuczką magiczną, wykorzystując trzy plastikowe kubki i metalowy bolec. „Jak to zrobiłeś? Jakim cudem?”, powtarzał Conway ku uciesze Tuski. Przy pozostałych stolikach pracownicy USIC usadowieni wygodnie w fotelach i na krzesłach przeglądali czasopisma. „Łowienie na Spinning”, „Klasyka Komiksu”, „Vogue”, „Inżynieria Chemiczna”. Peter przypomniał sobie wykład Tuski na temat Légion Étrangère. Zgromadzić zespół osobników, których nie przeraża przebywanie w piekle. Ludzi, którzy nie zwariują. Może Hayes była najlepszym przykładem kogoś, kto zachowa zdrowy umysł? Zajmowała się swoją pracą, nie

sprawiła kłopotów, nie licząc kilku wydartych kartek z pornograficznych pism dla lesbijek, a kiedy wracała do swojej kwatery, potrafiła spędzać całe godziny, dni i miesiące na rozwiązywaniu ciągle tych samych łamigłówek.

„...legendarna skromność Crosby’ego pozwoliła mu określić tak doskonale wykonanie jako niewyraźne i banalne – mówił spiker. – Zaprezentujemy teraz nieznaną, alternatywną wersję. Wsłuchajcie się, jak Bing myli słowa, i zwróćcie uwagę na inne potknięcia, które świadczą o braku koncentracji artysty. Za to Judy Garland przy tym nagraniu chyba stanęła bliżej mikrofonu, co pozwala nam wyobrazić sobie, że znajduje się tuż obok nas...”

– Przepraszam, że znów ci przerywam – odezwał się Peter.

– Nie ma sprawy – powiedziała Hayes. Wytarła jeszcze jedną kolumnę cyfr i spojrzała na niego.

– Zastanawiają mnie te nagrania z radiowęzła. Są stare?

Zmarszczyła brwi, a potem zaczęła nasłuchiwać.

– Bardzo stare – powiedziała. – Ci piosenkarze chyba od dawna nie żyją.

– Chodzi mi o samą audycję i komentarz. Czy robi je ktoś z USIC, czy były nagrane już wcześniej?

Hayes rozejrzała się po sali.

– To dzieło Rosena – powiedziała. – Nie widzę go tu teraz. Jest kreślarzem i geodetą. Pewnie widziałeś jego rysunki Zakładu Zasilania i Centryfugi wystawione w sali projektów. Są niesamowicie precyzyjne. Czasem tam zachodzę i przyglądam się im. – Wzruszyła ramionami. – Jego muzyka nie robi na mnie wrażenia, to tylko tło. Ale cieszę się, że go to bawi. Każdy powinien mieć coś, co lubi. – Powiedziała to bez przekonania.

Peter poczuł, jak ogarnia go kolejna fala bólu. Znów przypomniał sobie o wiadomości od Bei.

– Matka – powiedział, starając wziąć się w garść.

– Słucham?

– Nazwa, którą określacie Fabrykę Zasilania i Centryfugi.

– Zakład – poprawiła go z uśmiechem. Zamknęła książkę z łamigłówkami i schowała gumkę do kieszeni bluzki. – Nikt nie nazywa tego Matką. Nadal w obiegu jest Wielki Biustonosz, czyli WB. – Zbierała się do odejścia. Wzięła ze stołu książkę i przycisnęła ją do piersi. – Nie ma sensu się martwić. Jak mawiała moja matka, nie warto zawracać sobie głowy głupstwami.

„Kiedy cierpisz, nie zdręczaj się, poszukaj pomocnej dłoni”. Motto Bei. Właściwie ich wspólne.

– Tęsknisz za matką?

Przycisnęła książkę jeszcze mocniej i zawahała się.

– Chyba tak. Umarła dawno temu. Na pewno byłaby dumna, że wybrali mnie na tę misję. Ale miałam już dobrą pracę, kiedy żyła, więc zdążyła się mną nacieszyć. Nigdy się nie obijałam.

– A ja tak – powiedział Peter, wytrzymując jej spojrzenie. – Byłem alkoholikiem i ćpunem.

Hayes nie była najlepszą kandydatką do zwierzeń, ale nie mógł się powstrzymać. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że w ogóle nie powinien teraz przebywać wśród tych ludzi. Wolałby być nieprzytomny albo znaleźć się pomiędzy **SLM**.

– To nie przestępstwo – powiedziała Hayes pozbawionym emocji, bezbarwnym głosem. – Nie osądzam ludzi.

– Popełniałem też przestępstwa. Drobne przestępstwa.

– Niektórzy muszą przez to przejść, zanim wyjdą na prostą. To nie znaczy, że są źli.

– Strasznie rozczarowałem swojego ojca – ciągnął Peter. – Umarł jako załamany człowiek.

Hayes skinęła głową.

– Zdarza się. Kiedy tu trochę pobędziesz, przekonasz się, że część twoich nowych kolegów ma poplątane życiorysy. A inni nie. Każdy ma swój bagaż doświadczeń. Nieważne, wszyscy zmierzamy w tym samym kierunku.

– To znaczy gdzie?

Uniosła pięść w geście triumfu, jeśli za taki można było uznać luźno zaciśniętą dłoń, podniesioną w subtelny sposób i zupełnie niezauważalną w tej wesołej, przyjemnej kantynie.

– Ku świetlanej przyszłości.

Peter, kochany, odpisała wreszcie Bea. Wydawało mu się, że od jej ostatniej wiadomości upłynęła wieczność, którą spędził na modlitwach, zamartwiając się strasznie.

Przepraszam, że nie odzywałam się tak długo. Nie chcę pisać o tym, co się stało, ale jestem Ci winna wyjaśnienia. Dziękuję, że próbowałeś dodać mi otuchy. To niewiele zmienia i nie wydaje mi się, byś rozumiał, co się ze mną dzieje, ale doceniam Twój gest.

Wiele spraw złożyło się na mój obecny stan. Nasz kościół ma problemy – to delikatnie powiedziane. Geoff zdefraudował wszystkie fundusze i uciekł. Miał romans z kasjerką i razem wyfrunęli z gniazdka. Nikt nie wie, gdzie są, ale oczyścili wszystkie konta, zabrali nawet pieniądze z puszek w kościele. Pamiętasz, jak modliliśmy się, by Bóg pokierował nami w wyborze nowego pastora? Padło na Geoffa. Fakty mówią same za siebie.

Są różne koncepcje dotyczące tego, co robić dalej. Niektórzy chcą uporządkować sprawy i dalej ciągnąć to wszystko, inni uważają, że trzeba zacząć od początku i założyć nowy kościół. Nawet pytali mnie, czy bym nie została pastorem! Też wybrali sobie czas!

Dwa dni przed tą kompromitacją wróciłam do pracy. Myślałam, że bez Goodmana będzie cudownie. Ale szpital się zmienił. Po pierwsze, jest brudno, wszędzie – podłogi, ściany, toalety. Nie ma kto sprzątać i nie ma szans, żeby kogoś zatrudnić. Wzięłam mop i próbowałam



doprowadzić do porządku jedną łazienkę, ale Moira naskoczyła na mnie. „Jesteśmy pielęgniarkami, nie możemy zmywać podłóg”, powiedziała. „A co z gronkowcem, mamy tu pacjentów z otwartymi ranami?”, spytałam. Prawie zabiła mnie wzrokiem. I może ma rację - i tak jesteśmy zawałeni robotą. Ostre dyżury to koszmar. Ludzie biegają jak szaleni, krzyczą, przepychają się w kolejce, próbują wwozić na wózkach swoich chorych rodziców lub dzieci na oddział, zanim zdążymy ich wstępnie przebadać.

Nasi pacjenci są ubodzy, nie ma wśród nich nikogo z klasy średniej. Moira mówi, że nikt, kto ma pieniądze, nie korzysta już z publicznej opieki zdrowotnej. Bogaci uciekli do Francji lub Kataru, przeciętnie zamożni znajdują prywatne kliniki (ciągle powstają nowe i stają się niemal ośrodkami życia towarzyskiego dla swoich pacjentów). Nasz szpital zgarnia resztki - męty i szumowiny. Tak określa ich Moira, i w zasadzie ma rację. Są głupi, chamscy, krzykliwi, brzydki i bardzo, ale to bardzo wystraszeni. Nie ma już miejsca na miłosierdzie i miłość bliźniego. To walka, by zachować spokój, kiedy ma się do czynienia z pijanym wytatuowanym żulem, który wrzeszczy na ciebie i szturcha cię w ramię żółtym od nikotyny palcem. To niekończące się korowody postaci z przekrwionymi oczami, wągrami, rozbitymi nosami, pociętymi nożami policzkami, połamanymi żebrami, poparzonych wrzątkiem niemowląt i niedoszłych samobójców. Wiem, że narzekałam, kiedy Goodman próbował przyjmować tylko lekkie przypadki, ale jest różnica pomiędzy powszechnym dostępem do opieki zdrowotnej a przyzwoleniem, by cały szpital opanowała dzika tłuszcza.

Czas biegnie, jest już 6.30 i muszę wychodzić do pracy. Nie zdążyłam Ci nawet napisać, co się takiego stało, że ostatecznie się załamalam, ale ciężko mi nawet o tym myśleć. Pisanie zajmuje mnóstwo czasu i nie zdawałam sobie sprawy, że tyle mi zejdzie na opowiedzeniu Ci o innych sprawach. Myślałam, że od razu przejdę do sedna, ale nie potrafiłam. Sprawi Ci to wielki ból, a chciałabym Ci go oszczędzić. Muszę już iść.

Kocham Cię  
Bea

Odpowiedział od razu.

Kochana Beo,

bardzo się o Ciebie martwię, ale czuję ulgę, kiedy słyszę Twój „głos”. To prawda, że ludzie nie potrafią się nawzajem zrozumieć - bo tylko Bóg rozumie wszystko - ale nie możemy pozwolić, by smutek i gniew powstrzymały nas przed próbami dotarcia do drugiej osoby. Moja praca z Oazjanami ciągle to potwierdza.

Wiadomości o naszym kościele i Geoffie są godne pożałowania, ale kościół tonie Geoff ani kasjerka, ani konkretny budynek. Ten problem

może zaowocować błogosławieństwem. Jeśli mamy długi, spłacimy je, a jeśli nie damy rady, cóż, to tylko pieniądze. Najważniejsze jest to, co dzieje się w sercach i duszach ludzkich. Pokrzepia mnie, że nasza wspólnota chce założyć nowy kościół. Ludzie zwykle boją się zmian, więc to wspaniały przykład odwagi i pozytywnego myślenia. Może zaczniecie od małego stowarzyszenia, które mogłoby prowadzić działalność w czymś mieszkaniu? Jak pierwsi chrześcijanie. Rozbudowane organizacje łatwo popadają w przepych, podstawą jest modlitwa i miłość. To świetnie, że chcą, byś została pastorem. Nie złość się, uważam, że bardzo dobrze byś sobie poradziła.

Rozumiem Twój stosunek do sytuacji w szpitalu, zwłaszcza że jesteś tak zestresowana. To tylko potwierdza moje zdanie, że nie powinnaś teraz pracować. Nosisz w sobie dziecko. Przynajmniej mam taką nadzieję. Chyba nie poroniłaś, prawda? A może właśnie to zachwiało Twoją wiarą w Boga? Jestem chory z niepokoju, napisz, proszę.

Cokolwiek się stało, Twoja dusza zapewne zeszła na manowce. Ta dzika tłuszcza ze szpitala to także pełnowartościowi ludzie. Bóg nie zwraca uwagi na to, czy ktoś ma wągry, zepsute zęby, czy jest słabo wykształcony. Pamiętaj, proszę, że kiedy mnie poznałaś, byłem nikomu niepotrzebnym alkoholikiem, nierobem i próżniakiem. Gdybyś potraktowała mnie tak, jak na to zasługiwałem, nie byłoby dla mnie ratunku. Staczałbym się coraz niżej i „udowadniał”, że tacy jak ja nigdy się nie podźwigną. Kto wie, może niektóre z tych kobiet na oddziale mają podobne traumy z dzieciństwa jak Ty. Więc błagam, bez względu na to, jakie to trudne, zachowaj dla nich litość i współczucie. Bóg może sprawić cud także w Twoim szpitalu. Piszesz, że ci ludzie są przerażeni. W głębi duszy wiedzą, że potrzeba im czegoś więcej niż porady lekarskiej.

Odpisz, jak tylko będziesz mogła.

Kocham Cię

Peter

**y** wreszcie zachodziło, zalewając horyzont złocistym karmelem. Za chwilę nastąpi długi zmierzch niemal kiczowatej piękności, a potem zapadnie jeszcze dłuższa noc. Peter zapakował gnijące oazjańskie jedzenie do torby i wyszedł z budynku.

Przeszedł ponad milę i zatrzymał się. Chciał dojść do miejsca, skąd nie będzie już widział bazy (a raczej gdzie nikt z personelu nie będzie mógł go dostrzec). Jednak na płaskiej, neurozmaiconej przestrzeni zabudowania ciągle były dobrze widoczne, a złudzenie optyczne sprawiało, że wydawały się całkiem bliskie. Rozum podpowiadał Peterowi, że nikt go nie obserwuje, ale instynkt przestrzegał przed inwigilacją. Ruszył dalej.

Kierował się na zachód, w stronę pustkowia (osada Oazjan i Wielki

Biustonosz znajdowały się po drugiej stronie bazy). Miał nadzieję, że jeśli będzie szedł dostatecznie długo, w końcu natrafi na góry, strumienie, a przynajmniej na jakieś skaliste wzgórza lub bagna, i poczuje, że znalazł się w zupełnie innym miejscu. Ale step był bezkresny. Wszędzie rozciągała się brunatna równina, czasem tylko ożywiona kępami białych kwiatów, które połyskiwały w zachodzącym słońcu. Kiedy Peter odwracał się za siebie, na horyzoncie straszył upiorny widok betonowej bazy USIC. Zmęczył się i usiadł, czekając, aż **y** w końcu zajdzie.

Nie wiedział, jak długo tam siedział. Może dwie godziny, a może sześć. Świadomość oddzieliła się od ciała i uniosła się gdzieś do **240**. Zapomniał, po co tu przyszedł. Może nie potrafił spędzić nocy w swoim pokoju i postanowił przespać się pod gołym niebem? W takim razie plecak posłuży mu za poduszkę.

Kiedy zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, poczuł, że nie jest sam. Mrużąc oczy, zaczął wpatrywać się w mrok i po chwili spostrzegł w odległości pięciu metrów od siebie małe popielate stworzenie. Był to jeden z tych ptakopodobnych stworów, które pożarły zbiory białych kwiatów i pogryzły go na polu. Teraz był tu tylko jeden, oddzielony od stada. Kiwając rytmicznie głową, kaczym krokiem zataczał wokół niego szerokie kręgi. Peter dopiero po chwili zrozumiał, że stwór węszy. Musiał wyczuć zapach pożywienia.

Peter przypomniał sobie moment, kiedy z jego rozoranego kłami ramienia trysnęła krew i przyprawiający o mdłości ból zranionej nogi. Gwałtowny gniew wyrwał go z odrętwienia. W pierwszym odruchu chciał zabić to złośliwe stworzenie, zdeptać jego ciało, skruszyć obcasem czaszkę i małe ostre kły. Usprawiedliwiał się, że robi to w samoobronie. Jednak po chwili potworek wydał mu się żałosny i śmieszny. Krążył tak niepewnie w ciemności, samotny i bezbronny. Pastor jako potencjalny posiłek zupełnie go nie interesował, stworzenie wywęszyło coś innego.

Peter powoli wyciągnął z plecaka przynętę. Zwierzę znieruchomiało. Peter położył plastikową torebkę na ziemi i odczołgał się do tyłu. Stwór zbliżył się i nadgryzł pakunek zębami, chłonąc słodkawy smród. Potem pożarł wszystko, razem z plastiką. Peter zastanawiał się, czy zwierzak nie zdechnie po tym posiłku i to w gorszych męczarniach, niż gdyby rozłupać mu czaszkę. Może właśnie to hindusi nazywali karmą.

Kiedy usatysfakcjonowany stwór się oddalił, Peter usiadł i zaczął spoglądać na odległe światła bazy, jego „domu na końcu świata”, jak określiła to niedawno Grainger. Wpatrywał się w nie tak uporczywie, że światła zniknęły i zobaczył wschód słońca w Anglii i Beę idącą szybkim krokiem przez szpitalny parking w kierunku przystanku autobusowego. Bea wsiada do autobusu i zajmuje miejsce pomiędzy szeregiem różnorodnych postaci. Niektóre są ciemnobrązowe, inne żółte, niektóre białe lub blad różowe. Autobus jedzie ruchliwą ulicą wśród dziesiątków pojazdów, po jakimś czasie zatrzymuje się przed witryną sklepu z różnymi tanimi drobiazgami, tandetnymi zabawkami i towarami z przeceny, wszystko po dziewięćdziesiąt dziewięć pensów; za rogiem

ulicy jest pralnia, sto pięćdziesiąt metrów dalej bliźniak, w oknach od frontu nie ma firanek, wewnątrz są schody prowadzące na piętro wyłożone wyblakłą rdzawoczerwoną wykładziną, następnie pokój, a w nim urządzenie, na którym Bea, kiedy będzie gotowa, wystuka słowa „Peter, kochany”. Wstał i ruszył z powrotem.

Peter, kochany,

nie poroniłam i nie rób mi, proszę, wykładów na temat współczucia. Nie rozumiesz, jak wszystko tu stało się nie do wytrzymania. Chodzi o skalę problemów i ilość energii potrzebnej, żeby się z tym uporać. Kiedy bomba urywa komuś nogę, zawozi się go na salę operacyjną, opatruje kikut, daje protezę, zapewnia fizjoterapię i psychoterapię, a po roku taki człowiek może nawet przebiec maraton. Kiedy bomba urywa mu ramiona, nogi i genitalia, uszkadza jelita, pęcherz, wątrobę i nerki, TO ZUPEŁNIE INNA SPRAWA. Potrzebny jest pewien umiar, by poradzić sobie z problemami. Bez względu na to, czy chodzi o ludzkie ciało, chrześcijańskie ideały, czy w ogóle życie. Nie da się wytrzymać, jeśli odbierze się nam zbyt wiele.

Nie będę Ci opisywać innych wydarzeń, które w ciągu ostatnich tygodni doprowadzały mnie do szaleństwa. To bieżące sprawy, które tylko Cię zanudzą. Nowe wojny w Afryce, systematyczne rzezie kobiet i dzieci, wielki głód na wiejskich obszarach Chin, brutalne rozpędzenie demonstracji w Niemczech, skandal z Europejskim Bankiem Centralnym, utrata emerytury i wiele podobnych rzeczy. To wszystko jest dla Ciebie zbyt odległe i nierealne. Karmisz wygłodniałych Oazjan biblijnymi wersami, doceniam to.

Ale musisz wiedzieć, że w ostatnim tygodniu z różnych przyczyn byłam wykończona i zestresowana, a kiedy jestem w takim stanie, Joshui udziela się mój niepokój. Chował się pod meblami, biegał z pokoju do pokoju, krążył wokół moich łydek, ale nie pozwalał brać się na rękę ani głaskać. Doprowadzało mnie to do białej gorączki. Próbowałam go ignorować, zajmować się swoimi sprawami. Zaczęłam prasować swój kitel. Deska do prasowania stała pod złym kątem i przewód od żelazka ledwo sięgał gniazdko. Byłam zbyt zmęczona, by szukać przedłużacza i nie przejmując się, podłączyłam kabel. W pewnym momencie odstawiłam żelazko na deskę. Spadło na ziemię, ale zdążyłam odruchowo odskoczyć. Uderzyłam w coś obcasem, usłyszałam przyprawiający o mdłości trzask i krzyk Joshuy. Przysięgam Ci, krzyknął. A potem zniknął.

Znalazłam go pod łóżkiem. Trząsał się i dyszał, w jego oczach zobaczyłam ból i przerażenie. Złamałam mu nogę, wiedziałam to od razu. Przestał mi ufać, nie pozwalał się dotknąć i odsuwał się, kiedy do niego mówiłam. Byłam jego wrogiem. Włożyłam rękawice ogrodowe,

żeby mnie nie podrapał i nie pogryzł. Złapałam go za ogon i wyciągnęłam. Tylko tak mogłam to zrobić. Zaniosiłam go do kuchni, położyłam na stole i przyczepiłam smycz do jego obróżki. Uspokoił się trochę. Pomyślałam, że jest w szoku i za bardzo go boli, żeby mógł się poruszać. Wzięłam telefon, żeby zadzwonić do weterynarza. Okno w kuchni było jak zawsze otwarte. Joshua wyleciał przez nie, jakby ktoś wystrzelił go z katapulty.

Szukałam go przez kilka godzin. Chodziłam w kółko po okolicy, dopóki nie zrobiło się tak ciemno, że już nic nie widziałam. Potem musiałam iść do pracy (na nocną zmianę). To było piekło. Nic nie mów, to było prawdziwe piekło. O czwartej nad ranem musiałam włożyć dwa szpitalne fartuchy, bo mój uniform był cały w fekaliach. Otyły upośledzony pacjent, rycząc na cały głos, rozrzucał je ze swojego łóżka i rozsmarowywał na oparciu. Salowych nie było, zostałam tylko ja, mała Oyama i ta nowa dziewczyna, bardzo miła, ale ciągle gdzieś znika. Matka tego faceta rozłożyła się na noc w pokoju dla gości i nikt nie potrafił jej stamtąd wyrzucić. Siedzi tam ciągle z sześciopakami pepsy i hamburgerami (i to ma być szpital!). Co jakiś czas wygląda na zewnątrz i sprawdza, czy dobrze opiekujemy się jej chłopcem. „Ty suko! – wrzeszczy na mnie. – Jesteś bez serca, zaraz wezwę policję! Nie jesteś prawdziwą pielęgniarką! Gdzie są prawdziwe pielęgniarki?” I tak bez końca.

Rano wracałam do domu w tych fartuchach. Musiałam wyglądać, jakbym uciekła z domu wariatów. Wsiadłam z autobusu dwa przystanki wcześniej, bo chciałam przejść przez park i poszukać Joshuy. Była niewielka szansa, że go znajdę, i tak naprawdę nie miałam nadziei, że jeszcze go zobaczę. Myliłam się.

Wisi na drzewie powieszony za ogon. Żywy. Dwoje dzieciaków, mieli może ze dwanaście lat, podciągało go na sznurze. Kręcili nim, potrząsali, a Joshua miał drgawki. Wpadłam w furję. Nie wiem, co się potem stało, co zrobiłam tym dzieciakom, nic nie pamiętam. Wiem tylko, że ich nie zabiłam, bo już ich nie było, kiedy odzyskałam świadomość. Miałam krew na knykciach i pod paznokciami. Żałuję, że ich nie zabiłam. Tak, tak, tak, wiem, trudne dzieciństwo, rodzice nie wychowali, brakuje im miłości i akceptacji, powinniśmy się nimi zająć w ramach naszego programu pomocy potrzebującym. Pieprzenie. TE PODŁE KANALIE TORTUROWAŁY JOSHUE!

Wzięłam go na ręce. Ciągle oddychał, ale z trudem. Ogon miał naderwany, jedno oko wydłubane, ale nadal żył i chyba mnie rozpoznał. Dziesięć minut później byłam u weterynarza. Było jeszcze zamknięte, ale kopałam w drzwi i krzyczałam i w końcu mi otworzył. Wziął ode mnie Joshue i zrobił mu zastrzyk.

- W porządku, zrobione - powiedział. - Chce go pani zabrać ze sobą

czy zostawić?

- Jak to zabrać? - zapytałam. - Nic pan dla niego nie zrobi?

- Właśnie zrobiłem.

Potem powiedział, że nie miał pojęcia, iż zamierzałam zapłacić każdą sumę za operację. „Nikt teraz nie przejmuje się takimi sprawami. Siedzę tu sam po pięć, sześć godzin, a potem nagle ktoś przychodzi z chorym zwierzęciem. Tylko po to, żebym je uśpił”. Włożył Joshuę do plastikowej torby. „Nie wezmę od pani pieniędzy”, powiedział.

Peter, powiem to tylko raz. To nie było pouczające doświadczenie, niczego przez to nie zyskałam. To nie były niezbadane wyroki Boga, to nie Bóg zaplanował ten wzniosły, wyrafinowany plan, w którym miałam nadepnąć na nogę Joshuy. Nie wierzę, że wszystko, co stało się potem, miało na celu moje dobro. Zbawiciel, w którego wierzyłam, interesował się tym, co robię i jak się zachowuję. Zbawiciel, w którego wierzyłam, decydował o tym, co ma się stać, a co nie. Oszukiwałam się. Jestem samotna i przestraszona, poślubiłam misjonarza, od którego usłyszę, że głupiec w swym sercu powiedział, że nie ma Boga. Jeśli tego jeszcze nie napisałeś, to tylko dlatego, że jesteś ostrożny, ale w głębi duszy wierzysz, że sama to wszystko sprowokowałam, bo moja wiara była chwiejna. I to sprawia, że czuję się jeszcze bardziej samotna. Bo nie wrócisz do mnie, prawda? Podoba Ci się tam, na tej Bożej Planecie. Więc nawet gdybyś wrócił, też nie byłibyśmy razem. Bo sercem nadal przebywałbyś na Bożej Planecie, a ja byłabym tryliony mil od Ciebie, samotna przy Twoim boku.

## Nie chce się ze mną napić

Ugryzienia były jadowite. Był tego pewien. Rany pod bandażami goiły się dobrze, ale zło już się dokonało. Układ żył, arterii i naczyń nieustannie zatruwał wszystkie organy, transportując przesyconą toksynami krew. Mózg też był zakażony. To była tylko kwestia czasu. Najpierw zaczniesz majaczyć – czuł już pierwsze symptomy – a potem organizm przestanie funkcjonować. Nerki, wątroba, serce, jelita, płuca, wszystkie te tajemnicze worki mięsnych tkanek, które bezustannie potrzebowały świeżej, niezanieczyszczonej krwi, odmówią posłuszeństwa i dusza opuści ciało.

Ciągle siedział przed Sztosem. Podniósł głowę i spojrzał do góry. Tak długo wpatrywał się w słowa Bei, że wypaliły się na siatkówce i teraz znów widział je nad sobą. Były nieczytelne, pokrywały sufit jak rozmazana pleśń. Spiralna energooszczędna żarówka wisząca nad jego głową wyglądała jak skrzycone radioaktywne jelito zawieszona na drucie. Ponad nią znajdowały się cienka warstwa sufitu i dach, a jeszcze wyżej... co? Gdzie we wszechświecie przebywała Bea? Była nad czy pod nim, na lewo czy na prawo? Gdyby mógł latać, gdyby potrafił pokonać przestrzeń szybciej niż światło, co by mu to dało? Nie wiedziałby, w którym kierunku lecieć.

Nie powinien umierać w tym pokoju. Nie w tym sterylnym sześcianie tkwiącym jak plomba wewnątrz wyidealizowanej konstrukcji z betonu i szkła. Wszędzie, byle nie tu. Wyjdzie... tam, na zewnątrz. Do **SLM**. Może oni mają lekarstwo, jakąś tutejszą miksturę. Pewnie nie, zważywszy na ich lament, kiedy został pogryziony. Ale powinien umrzeć pośród nich, nie tutaj. I nie powinien spotykać się z Grainger, musi jej unikać za wszelką cenę. Zmarnuje tę resztkę czasu, która mu została. Zaciągnie go do szpitala, gdzie poddadzą go bezsensownej obserwacji, a potem zostanie zredukowany do kolejnego zagadnienia z dziedziny inwentaryzacji i umieszczony na półce w prosektoryjnej chłodni.

„Ile czasu mi zostało, Panie?“, modlił się. „Minuty, godziny czy dni?“ Ale były też pytania, których nie należało zadawać Bogu. Pewne wątpliwości trzeba rozstrzygać samemu.

– Cześć – powiedział do spalonej kobiety z wytatuowanym węzem, w której rękach spoczywał klucz do jego ucieczki. – Nigdy mi nie powiedziałaś, jak się nazywasz, ale chyba jesteś Craig, prawda? „B. Craig“, taką masz tabliczkę na drzwiach. Miło mi cię znów spotkać, B.

Popatrzyła na niego, jakby był ciężko ranny.

– Wszystko w porządku?

– Tak, jestem tylko trochę... niewyspany – powiedział, zerkając na samochody zaparkowane za jej plecami. Stało ich tam sześć, w tym ten, którym Grainger dostarczała lekarstwa. Peter miał nadzieję, że farmaceutka śpi teraz w swoim pokoju. Ślina z jej rozchylnych ust spływa na poduszkę, a ładne, pokryte bliznami ramiona spoczywają pod prześcieradłem. Nie chciał, by czuła się winna temu, co zamierzał zrobić. Lepiej spróbować z Craig, na której jego śmierć nie wywrze większego wrażenia, zresztą jak na większości pracowników bazy.

– B. to skrót od jakiego imienia? – zapytał.

Kobieta ściągnęła brwi.

– Jak mogę ci pomóc?

– Chciałbym... hm... wypożyczyć samochód. – Na końcu języka miał całą przemowę, dzięki której chciał pokonać wszelkie obiekcje i zmiażdżyć jej opór. „Zrób to, zrób to, o co proszę. Uprzedzono cię, że będzie mi potrzebny pojazd. Teraz się po niego zgłaszam, więc nie rób problemów. Nie odmawiaj mi, zgódź się”. – Tylko na godzinę lub dwie – dodał, czując, jak pot zalewa mu brwi. – Proszę.

– Jasne. – Wskazała dłonią na czarne kombi, które przypominało karawan. – Może ten? Kurtzberg stale z niego korzystał.

Zachwiał się. Zwycięstwo przyszło zbyt łatwo, musi w tym tkwić jakiś haczyk.

– Świetnie.

Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Kluczyk był w stacyjce. Spodziewał się, że będzie musiał podpisać jakieś papiery, pokazać prawo jazdy lub zaszachować ją czymś, by się zgodziła. Być może Bóg toruje mu drogę. Albo po prostu takie tu są zwyczaje.

– Jeżeli jesteś niewyspany – powiedziała Craig – to chyba nie powinieneś prowadzić.

Peter odwrócił głowę i popatrzył przez ramię. Z tyłu, na rozłożonych siedzeniach samochodu zobaczył legowisko Kurtzberga – niewielki materac przykryty kwiecistą narzutą i poduszkę w podobnej poszewce.

– Już niedługo wyśpię się za wszystkie czasy – zapewnił.

Jechał przez step w kierunku... Miasta Dziwołagów. W tej chwili nie pamiętał oficjalnej nazwy. Peterville, Nowe Jeruzalem, Oskaloosa. Panie, zachowaj Corettę w zdrowiu i oszczędź jej kłopotów. Wspomóż mieszkańców Malediwów.

Czuł, że mózg rozsada mu czaszkę, wypychając na zewnątrz gałki oczne. Zacisnął powieki, żeby oczy nie wyskoczyły. Nie przeszkadzało to w prowadzeniu, nie było z czym się zderzyć, żadnej drogi, której trzeba by się trzymać. Musiał tylko jechać mniej więcej w odpowiednim kierunku. Samochód miał taki sam system nawigacji jak pojazd Grainger, ale Peter nie potrafił z



niego skorzystać. Nie wiedział, jaki trzeba wcisnąć guzik – Bea na pewno by sobie z tym poradziła, gdyby mogła tu...

Wcisnął pedał gazu. Sprawdzi, jak szybko to potrafi jechać. Wszystko ma swój czas, jest czas na relaks i czas na ostrą jazdę.

Czy jechał szybko? W ciemnościach trudno było to stwierdzić. Reflektory oświetlały tylko fragment terenu, wokół nie było żadnych punktów orientacyjnych. Równie dobrze mógł pędzić z niebezpieczną prędkością, jak tkwić nieruchomo zagrzebany w ziemi, z kołami obracającymi się w miejscu. Jednak nie – widział, że zostawia za sobą kępy białych kwiatów, które migają jak pasy na autostradzie. A więc poruszał się do przodu. Na pewno oddalał się od bazy USIC, ale nie był pewien, czy zbliżał się do osady **SLM**.

Gdyby jego samochód był żywym stworzeniem – koniem lub psem, nieomylnie wyczułby drogę prowadzącą do miejsca, które Kurtzberg odwiedzał tyle razy. Tak jak Joshua, kiedy...

Nagle wystraszył go jakiś okropny dźwięk, ludzki płacz, który dobiegał z wnętrza samochodu. Jego własny głos, własny szloch. Peter walił pięściami w kierownicę, raz za razem uderzał głową o oparcie fotela. Szkoda, że w pobliżu nie było jakiejś ściany.

Przetarł oczy i popatrzył przez przednią szybę. Coś rysowało się niewyraźnie na stepie, jakiś rodzaj budowli. Jechał dopiero kilka minut, więc to nie mogła być osada. Chyba że miał delirium i całkiem stracił poczucie czasu. Może ten krótki czas spędzony w samochodzie to w rzeczywistości było wiele godzin? A może zasnął za kierownicą? Jednak nie, zobaczył przed sobą dwie ogromne, kuliste konstrukcje: Wielki Biustonosz. Jechał w złym kierunku.

– Chryste! – Znów jego głos. Zapomniał już „chryzantemy”. Musi się uspokoić. Wszystko jest w rękę Boga.

Nacisnął guzik na kontrolce nawigacji. Ekran rozjaśnił się – jakby uśmiechnął się zadowolony, że ktoś go uruchomił. Na górze wyświetlił się napis ZAKŁAD ZASILANIA, a pod spodem pulsująca strzałka, która symbolizowała jego samochód. Peter wciskał kolejne guziki. Nie odnalazł innych lokalizacji, za to pojawiły się informacje o temperaturze, poziomie oleju i wody, o prędkości i zużyciu paliwa. Burknął gniewnie i przekręcił kierownicę o dziewięćdziesiąt stopni. Spod kół wytrysnęły grudy wilgotnej ziemi. Wielki Biustonosz, Centryfuga, Matka, czy jakkolwiek się to cholerstwo nazywało, zniknęła w ciemnościach, a on pędził w nieznaną.

Po kilku minutach ujrzał kształty i kolory osady Oazjan. To niemożliwe, po prostu niemożliwe, droga powinna zająć jeszcze co najmniej godzinę, a jednak... toporne, monotonne formy architektoniczne, płaskie dachy bez wieżyczek i masztów, bursztynowa poświata... Kiedy podjechał bliżej, w światłach samochodu zobaczył rombówate cegły. Trucizna najwyraźniej zaburzyła jego poczucie czasu.

Po raz pierwszy podjeżdżał do osady od tej strony, więc nie rozpoznawał szczegółów. Grainger zazwyczaj zatrzymywała się pod budynkiem z białą gwiazdą i nieczytelnym już napisem WITA MY, który wyglądał jak rozmyte plamy ptasiego łajna. Ale teraz nie było z nim Grainger. Trudno, budynek kościoła to doskonały punkt orientacyjny. Wzniesiony na skraju osiedla będzie dobrze widoczny na płaskim stepie, kiedy reflektory zahaczą o jego sylwetkę.

Peter jechał obrzeżem osady, wypatrując swojej świątyni. Krążył bez końca, ale w światłach samochodu widział jedynie kępy białych kwiatów. Wreszcie zobaczył na ziemi odciski własnych opon. Zatoczył koło i nie znalazł kościoła. Budynek zniknął. Został zniszczony, usunięto najdrobniejsze szczątki, jakby ktoś chciał zatrzeć po nim wszystkie ślady. Ci ludzie go odrzucili, odcięli się od niego w niezrozumiałym odruchu wrogości. Historia misjonarstwa była pełna takich wypadków okrutnego zrywania więzów, rozwianych złudzeń, kościołów zbudowanych na piasku i nasion rzuconych na wiatr.

Zatrzymał pojazd i zgasił silnik. Pójdzie do osady, zagubiony i zamroczony, i postara się odszukać kogoś, kogo znał. Krzyknie: Miłośniku Jezusa... Nie, to byłoby idiotyczne. Krzyknie... **BLytd**. Tak, zawoła **BLytd** i **LByLd**, zawoła wszystkich **SLM**, których imiona potrafił zapamiętać. I w końcu ktoś – jakiś Miłośnik Jezusa, choć bardziej prawdopodobne, że nie będzie to Miłośnik – zainteresuje się jego zawodzeniem i przyjdzie do niego.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. W osadzie nie paliło się żadne światło, nie było najmniejszych oznak życia. Ruszył chwiejnym krokiem; zataczał się i prawie wpadł na ścianę najbliższego budynku. Oparł się dłońmi o wypolerowane cegły. Były ciepłe i tak jak zawsze ich dotyk sprawiał wrażenie kontaktu z czymś żywym. Nie ze zwierzęciem, ale z drzewem, jakby każda cegła była grudą zastygłej żywicy.

Przesunął się o kilka metrów i jego dłonie natrafiły na pustą przestrzeń. Drzwi. Co dziwne, nie wisiała w nich zasłona z paciorków. Duży prostokątny otwór, w którym z powodu ciemności Peter nie był w stanie niczego zobaczyć. Wszedł do środka. Wiedział, że na drugim końcu pomieszczenia są następne drzwi, prowadzące na zewnątrz. Poruszał się ostrożnie w ciemnej, klaustrofobicznej przestrzeni. Przesuwał powoli stopy w obawie, że za chwilę zderzy się ze ścianą lub natrafi na czyjeś dłonie obciążone rękawiczkami, jednak dotarł do końca pokoju bez przeszkód. Parter domu był zupełnie pusty. Peter znalazł tylne drzwi i wyszedł na wąską dróżkę.

Nawet w świetle dnia **SLM** alejki wyglądały tak samo i nigdy nie zapuszczały się w nie bez przewodnika. Po ciemku przypominały tunele i musiał teraz iść bardzo wolno, jak ślepiec z wyciągniętymi przed siebie rękami. **SLM** może i nie mieli oczu, ale posiadali jakiś zmysł, który pozwalał im poruszać się pewnie po tym labiryncie.

Odchrząknął, przygotowując się do wydania okrzyku w obcej mowie. Jeszcze niedawno wydawało mu się, że opanował ją całkiem nieźle, ale teraz zdał sobie sprawę, że ledwie ją liznął. Przypomniał sobie własną parafrazę Psalmu 23,

którą przygotował specjalnie dla **SLM**. Wiele wysiłku kosztowało go usunięcie większości niewymawianych przez nich zgłosek. Teraz te słowa same cisnęły mu się na usta.

– Pan dba o mnie – wyrecytował, posuwając się powoli, krok za krokiem. – A ja nic nie wymagam. – Wypowiadał ten tekst takim samym głosem, jakim wygłaszał kazania. Nie ostro i natarczywie, ale dobitnie i głośno, aby każdy wyraz był dobrze słyszalny i rozumiały, bo lepkie powietrze ograniczało zasięg i donośność słów. – Pan mówi mi: mogę być na polu. Pcha mnie do wody, a ja nie umieram. Odnawia mojego ducha. Pcha mnie w dobro. Robi dobro mój Bóg. Idę ciemną aleją agonii, nie dbam o brud, bo Bóg obok mnie. Dobrze berło Pana ocala mnie. Pokarm dla mnie jak dar od Pana, gdy inni mnie nie lubią. Olej od Pana moc mi da i kielich mi On napełni. Dobro dla mnie, bo ja obok Pana bez końca. W domu Pana będę na wieki wieków.

– No nie, to jest niezłe! – wykrzyknął jakiś nieznajomy głos. – Naprawdę świetne!

Peter odwrócił się gwałtownie w ciemnościach i o mało nie stracił równowagi. Chociaż słowa brzmiały przyjaźnie, przyływ adrenaliny wywołał reakcję „uciekaj albo walcz”. Obecność innego mężczyzny (bo głos na pewno należał do mężczyzny), samca jego własnego gatunku, który chociaż niewidoczny, znajdował się gdzieś blisko, Peter odebrał jako zagrożenie życia. Zareagowałyby podobnie, gdyby ktoś przystawił mu lufę pistoletu do skroni lub nóż do piersi.

– Kłaniam się nisko, zdjęłbym nawet kapelusz, gdybym go miał! – dodał nieznajomy. – Jesteś fachowcem, pierwszej klasy specjalistą! Kurwa, psalm *Pan jest moim pasterzem*<sup>41</sup> i ani słowa o pasterzu! I ani jednego pieprzonego „s” ani „t”! – Pochwała, chociaż okraszona przekleństwami, była szczerą. – Napisałeś to dla **SLM**, prawda? To jak kazanie ze szkółki niedzielnej, ryba bez ości, koktajl proteinowy, słownik synonimów dla przedszkolaków. *Bravo!*

Peter się zawahał. Jakaś postać wyłoniła się z mroku. O ile się nie mylił, był to człowiek. Nagi i owłosiony.

– Tartaglione?

– Trafiony! Zgadza się, złotko! *Come va?* – Koścista dłoń pochwyciła rękę Petera. Palce, chociaż mocne, mogły równie dobrze należeć do szkieletu i wpijały się w ciało Petera jak szprychy rowerowe.

– Co ty tu robisz? – zapytał Peter.

– Nooo wieeesz – odpowiedział przeciągle. – Tak się tu kręcę i pieprzę głupoty. Nie usycham z nudów, bo powietrze jest za wilgotne. Cieszę się życiem. Ale co ty tutaj robisz?

– Ja... jestem pastorem – odpowiedział Peter, uwalniając dłoń z uścisku nieznajomego. – Pastorem **SLM**... Zbudowaliśmy kościół... Był tutaj...

Tartaglione się roześmiał, a potem rozkaszłał astmatycznie.

– Pozwól, że się nie zgodzę, *amigo*. Tu są tylko karaluchy i ja. Nie ma paliwa,

jedzenia, panienek ani knajpy z rewią. Zero atrakcji.

Słowa przeleciały i zniknęły jak nietoperz w nocy. Nagle w głowie Petera coś zaświtało. Nie był w C-2, tylko w osadzie porzuconej przez **SLM**. Oprócz ścian, wśród których hulał wiatr, niczego tutaj nie było. Nie licząc nagiego szaleńca, który prześlizgnął się przez oka sieci ludzkiej cywilizacji.

– Zgubiłem się – wyjaśnił Peter słabym głosem. – Jestem chory. Chyba mam truciznę we krwi. Myślę, że... być może umieram.

– Ja pierdołę! No to chodźmy się napić.

Językoznawca poprowadził go w jeszcze ciemniejsze miejsce. Weszli przez drzwi do jakiegoś domu, gdzie Tartaglione kazał mu usadowić się wygodnie. Na podłodze leżały wielkie miękkie poduszki, które mogły pochodzić z jakiejś kanapy albo ze starych foteli. Były zapleśniałe, jak rozkładające się skórki pomarańczy lub cytryn. Kiedy Peter usiadł na jednej z nich, wydała syczący dźwięk przypominający westchnienie.

– To moja skromna siedziba – powiedział Tartaglione. – Po exodusie objąłem ją w posiadanie.

Peter mruknął coś w podzięcie za gościnę. Starał się nie oddychać przez nos. Oazjańskie domy zazwyczaj pachniały tylko jedzeniem i rozchodziła się w nich woń miodowego melona, którą przynosiły wiatry bez przerwy wciskające się przez okna i drzwi, ale ten pokój zdążył już przesiąknąć ludzkimi nieczystościami i odorem alkoholu. Pośrodku stał przedmiot, który Peter na początku wziął za łóżko Oazjan, ale teraz wyczuł dochodzący z niego zapach bimbru. Może i było to kiedyś łóżko, ale teraz wykorzystywano je do przechowywania trunku.

– Czy jest tu jakieś światło? – zapytał.

– Przyniosłeś latarkę, *padre*?

– Nie.

– Więc nie ma światła.

Peter nie mógł się przyzwyczaić do ciemności. Widział białka (a raczej żółtka) oczu tego mężczyzny, zarost na jego twarzy, zarys wychudzonego ciała i obwisłe genitalia. Zastanawiał się, czy Tartaglione przez te miesiące i lata, kiedy mieszkał w tej ruinie, rozwinął w sobie umiejętność widzenia w nocy, jak kot.

– Co się dzieje? Zakrztusiłeś się? – zapytał gospodarz.

Peter ścisnął się mocno rękami, żeby stłumić wydobywający się z piersi dźwięk.

– Mój... mój kot nie żyje – powiedział.

– Przywiozłeś tu kota? – zdumiał się Tartaglione. –USIC pozwala teraz trzymać zwierzaki?

– Nie... to się zdarzyło w domu.

Tartaglione poklepał Petera po kolanie.

– No już, już. Bądź grzecznym chłopcem i uważaj, bo sobie nagrabisz. Nie używaj tego słowa na „d”. To słowo jest *verboten! È finito! Distrutto! Non esiste!*

Językoznawca wykonywał dłońmi teatralne ruchy, zaganiając słowo „dom” do mysiej dziury za każdym razem, kiedy znów chciało się pojawić. Peter nagle poczuł, że go nienawidzi. Tak, nienawidził tego biednego szalonego sukinsyna. Zamknął oczy i kiedy otworzył je z powrotem, żałował, że Tartaglione nie zniknął, że ciągle jest ciemno, a on wciąż czuje zapach alkoholu. Musi zobaczyć miejsce, którego nie powinien nigdy opuszczać, swój własny dom i Beę. Jęknął z bólu.

– Tęsknię za żoną.

– Ani słowa! Ani słowa! – Tartaglione zaczął skakać, wymachując ramionami. Bosymi stopami wybijał na podłodze szalony rytm. Podczas tego tańca wydawał dziwne dźwięki sz! sz! sz! Wysięk fizyczny wywołał nowy atak kaszlu. Peter wyobrażał sobie, że fragmenty wyplutych płuc wlatują w powietrze jak confetti.

– Oczywiście, że tęsknisz za żoną – wymamrotał Tartaglione, kiedy trochę się uspokoił. – Tęsknisz za wszystkim, do cholery. Mógłbyś wypełnić grubą księgę rzeczami, za którymi tęsknisz. Brakuje ci dmuchawców, bananów, gór i ważek. Tęsknisz za pociągami, różami i... i... za pierdolonym spamem w mejlu. Na miłość boską, tęsknisz za rdzą na hydrantach, psim gównem na chodnikach, zachodami słońca, wujkiem idiotą, który nosi ohydne koszule i ma żółte zęby. Chciałbyś objąć tę szuję i powiedzieć: „Wuju, jaka wspaniała koszula, uwielbiam zapach twojej wody po goleniu. Pokażesz mi swoją kolekcję porcelanowych żab, a potem przejdziemy się po starych śmieciach, tylko ty i ja, co ty na to?”. Brakuje ci śniegu, morza, *non importa*, że jest zanieczyszczone, dawajcie je tu, z plamami oleju, kwasem, kondomami, potłuczonymi butelkami, kogo to obchodzi, to ciągle morze! Marzysz... marzysz o świeżo skoszonych trawnikach, zapachu tej trawy, dałbyś dziesięć tysięcy dolców albo jedną nerkę, żeby powąchać ją jeszcze raz.

By podkreślić te słowa, Tartaglione wciągnął powietrze nosem tak mocno i gwałtownie, że Peter przestraszył się, iż uszkodzi sobie mózg.

– Wszyscy w USIC... martwią się o ciebie – powiedział ostrożnie. – Mogliby odesłać cię do domu.

Tartaglione prychnął.

– *Lungi da me, satana! Quitate de delante de mí!* Nie czytałeś kontraktu z USIC? Może chcesz, żeby ktoś ci przetłumaczył ten prawniczy żargon? Dobrze trafiłeś. Szanowny, wysoce wykwalifikowany nieudaczniku. Mamy nadzieję, że podoba ci się twoja ośiadka na Oazie. Dziś na kolację będą kurczęta! Lub coś, co bardzo je przypomina. Więc siedź spokojnie na dupie, nie licz dni i dostosuj się do naszej dalekowzroczej strategii. Za pięć lat, a może odrobinę szybciej, jeśli udowodnisz, że jesteś kompletnym świrem, możemy zapewnić ci powrót do tej cuchnącej dziury, z której wypęzłeś. Ale wolelibyśmy, żebyś został. Po co masz wracać? Po cholere? Twój wujek i jego pieprzona kolekcja żab za chwilę

odejdą do lamusa. Wszystko odejdzie do lamusa. Historia też odejdzie do lamusa. – Szurając bosymi stopami po brudnej podłodze, przysunął się bliżej. Jego zarośnięta twarz znalazła się tuż przy głowie Petera. – USIC się o mnie martwi? Jasne, już w to wierzę. Ten tłusty żółtek, zapomniałem, jak się nazywa, nie może spać po nocach, bo ciągle myśli: „Zastanawiam się, jak się miewa Tartaglione. Czy jest szczęśliwy? Czy łyka witaminy? To chyba ostatni dzwonek, pewnie morze znów zabrało gdzieś kawałek ziemi, a nawet zniknęła część jakiegoś kontynentu, ale mnie, do kurwy nędzy, na pewno ubyło trochę personelu!”. Tak, czuję tę miłość. Kto dzisiaj dyżuruje przy telefonie zaufania?

Peter odpłynął na sekundę lub dwie. Skóra na głowie skurczyła się i boleśnie ścisnęła mu czaszkę. Miał kiedyś dwudniowy atak ostrej grypy i leżał w łóżku z wysoką temperaturą. Bea była w pracy. Obudził się w środku dnia, na wpół przytomny, z potwornym pragnieniem i poczuł rękę podtrzymującą mu głowę i szklankę zimnej wody podsuwaną do ust. Dużo później, kiedy było mu już trochę lepiej, dowiedział się, że Bea specjalnie przyjechała z pracy, żeby dać mu pić, a potem znów wróciła do szpitala. Przeznaczyła na to całą przerwę na lunch.

„Poradziłbym sobie. – Wiem – powiedziała. – Ale cię kocham”.

Kiedy Tartaglione znowu się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie, niemal przepraszająco.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, przyjacielu. Możemy sparszywieć i żyć beztrosko, byle do *mañana*. To znane motto USIC, bardzo mądre, warto je wytatuować każdemu na czole. – Zamilkł na chwilę. – Cholera, to miejsce nie jest takie złe. Chodzi mi o moją obecną siedzibę, o *casa mia*. Za dnia wygląda bardziej przytulnie. Gdybym wiedział, że mnie odwiedzisz, wziąłbym kąpiel. A może nawet przyciąłbym *barba*. – Westchnął. – Kiedyś miałem tu wszystko. *Tutte le comodità moderne. Todo confort*. Latarki, baterie, golarkę, żebym pięknie wyglądał, i papier toaletowy, żeby wycierać dupę. Długopisy, okulary, trzy i pół dioptrii. Miałem świat u swoich stóp.

– Co się stało?

– Wilgoć. Czas. Zużycie materiału. Rażący brak kompetencji personelu, który powinien zaopatrywać mnie we wszelakie dobra dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Zaczął grzebać w stosie rupieci. Do uszu Petera dobiegł chrzęst plastiku i chlupot płynu w łóżku przypominającym wannę. – Ale zanim się rozpadły, małe wróżki w płaszczach kąpielowych zdradziły mi pewien sekret. Najważniejszy ze wszystkich. Alchemia! Przemiana nudnych roślinek w gorzałę.

Kolejny chlupot. Tartaglione podał Peterowi kubek, a sam pociągnął ze swojego i bredził dalej.

– Wiesz, co jest najbardziej durne w bazie USIC? Jedna, najbardziej paskudna rzecz? Powiem ci: brak gorzelni. I brak burdelu.

– To dwie rzeczy.

Tartaglione znów się nakręcił i nie zwracał na niego uwagi.

– Nie jestem geniuszem, ale potrafię zrozumieć pewne rzeczy. Odróżniam czasowniki od rzeczowników, wiem, co to są spółgłoski szczelinowe, rozumiem naturę ludzką. Wiesz, czego ludzie zaczynają szukać już pięć minut po przyjeździe w nowe miejsce? Wiesz, co im chodzi po głowie? Jak by tu podupczyć i skąd wytrzasnąć jakieś substancje odurzające. To znaczy, jeśli są normalni. A co robi USIC w swej nieskończonej mądrości? Co robi USIC? Przeszukuje cały świat w poszukiwaniu ludzi, którzy nie potrzebują takich rzeczy. Którzy pewnie kiedyś, dawno temu korzystali z nich, ale już przestali. Jasne, zdarza im się czasem chlapać coś żartem o koce albo o cipkach... pewnie poznałeś BG?

– Tak, poznałem go.

– Trzysta funtów żywej blagi. Ten facet zabił w sobie wszelkie naturalne potrzeby, jakie zna ludzkość. Wystarczają mu tylko praca i pół godziny ćwiczenia bicepsów pod wielkim żółtym parasolem. A inni, Mortellaro, Mooney, Hayes, Severin, zapomniałem większości tych cholernych nazwisk, nieważne, wszyscy są tacy sami. Myślisz, że to ja jestem dziwny? Popatrz na tych zombie, stary!

– To nie są zombie – powiedział spokojnie Peter. – To dobrzy, uczciwi ludzie. Wykonują swoją pracę najlepiej, jak potrafią.

Tartaglione rozlał na ziemię trochę sfermentowanego napoju z białych kwiatów.

– Najlepiej? Najlepiej? Przestań zasłaniać twarz swoją spódniczką, *padre*, i popatrz, kogo przysłał tu USIC. Ile punktów dałbyś tym ludziom? Dwa i pół na dziesięć? Dwa? Czy ktoś ci zaproponował, że nauczy cię tanga, albo przysłał list miłosny? A co słyhać na oddziale położniczym szpitala? Tupot *piccoli piedi*?

– Moja żona jest w ciąży – bezwiednie powiedział Peter. – Nie pozwolili jej ze mną przylecieć.

– Oczywiście, że nie! Przyjmują tylko zombie.

– Oni nie są...

– *Càscaras*, puste skorupy, co do jednego! – Trataglione ryknął tak głośno, że aż pierdnął z wysiłku. – Całe to przedsięwzięcie jest... *nefasto*. Nie da się stworzyć zdrowej wspólnoty, nie mówiąc o nowej cywilizacji, przez zebranie do kupy ludzi pozbawionych pieprzonych jaj! Ludzi, którzy nie sprawiają, kurwa, żadnych kłopotów! *Scuzi*, wybac mi, mamó. Jeśli chcesz mieć raj, musisz zbudować go na wojnie, krwi, zazdrości i chciwości. Ludzie, którzy go stworzą, muszą być egoistami i szaleńcami, muszą chcieć tego tak bardzo, że zgniotą obcasem każdego, kto stanie im na drodze. Muszą posiadać charyzmę, muszą być zdolni uwieść ci żonę tuż pod twoim nosem, a potem naciągnąć cię na dziesięć dolców. USIC myśli, że potrafił zgromadzić drużynę marzeń. Ładna mi drużyna marzeń, chyba sennych, budzą się co noc w zasikanych piżamach. USIC myśli, że spośród tysięcy podań umie wybrać odpowiedniego mężczyznę i odpowiednią kobietę, którzy potrafią dogadać się z każdym, którzy będą

wykonywać swoją robotę, nie zwracając nikomu tyłka, którzy nie wpadną w depresję ani nie będą rozpowiadać o swoich traumach, nikogo nie wystraszą i niczego nie spieprzą.USIC szuka ludzi, którzy wszędzie czują się jak w domu, nawet na takim beznadziejnym zadupiu jak to, ludzi, którzy mają wszystko gdzieś, niczym się nie martwią, niczego nie boją, są spokojni, idą do roboty ze śpiewem na ustach, jak pieprzone krasnoludki, bo komu potrzebny jest dom, kogo obchodzi, czy twoją starą dzielnicę zalała powódź, kto się przejmuje, czy ktoś zaszlachtował ci rodzinę, wszyscy w końcu kiedyś umrzemy, prawda?

Tartaglione dyszał. Jego struny głosowe odzwyczały się od takiego wysiłku.

– Naprawdę myślisz, że świat zmierza do zagłady? – zapytał Peter.

– Jezu Chryste, *padre*, co z ciebie, kurwa, za chrześcijanin? Czy właśnie nie o to, kurwa, chodzi? Czy nie na to czekacie od dwóch tysięcy lat?

Peter oparł się wygodniej na gnijącej poduszce.

– Tak długo nie żyłem.

– Ooo, jaka niestosowna uwaga! Czyżbyś się stawiał? Czy mam przed sobą groźnego sekciarza?

– Proszę... nie nazywaj mnie sekciarzem.

– Jesteś jednym z tych bezkofeinowych chrześcijan, *padre*? Bułeczką bezglutenową? Żadnego doktrynerstwa, brak poczucia winy, Sąd Ostateczny łagodny, drugie przyjście wątpliwe, a Armageddonu w ogóle nie będzie? Może wystarczy tylko szczypta ukrzyżowanego Żyda? – Głos Tartaglioneego ociekał zadowoleniem. – Marty Kurtzberg, to był dopiero człowiek wielkiej wiary! Błogosławieństwo przed każdym posiłkiem, *Warownym grodem jest nasz Bóg*<sup>42</sup>, żadnych głupot typu „Kryszna też ma rację”, zawsze w marynarce, odprasowanych spodniach i wyglansowanych butach. Gdyby go dobrze wypytać, powiedziałyby ci: To są ostatnie dni.

Peter z trudem przełknął ślinę. Smakowała jak kwas żółciowy. Nawet jeśli sam miał umrzeć, nie uważał, że to są ostatnie dni świata. Bóg nie poświęciłby tak łatwo planety, którą kochał. Przecież oddał za nią swego jedyne go syna.

– Ja tylko... staram się traktować ludzi tak, jak czyniłby to Jezus. To jest dla mnie chrześcijaństwo.

– Cóż, to bardzo piękne. *Molto ammirevole!* Kłaniam się nisko, zdjąłbym nawet kapelusz, gdybym tylko go miał! Napijmy się, sekciarzu, to dobra gorzała.

Peter skinął głową i zamknął oczy. Słowa nadętej gadaniny Tartaglioneego oUSIC powoli zaczynały do niego docierać.

– Więc... wszyscy jesteście tu nie dlatego... żeUSIC... stara się wydobywać... że nie próbuje... znaleźć nowych zasobów...

Tartaglione wypluł w powietrze kolejną porcję płuc.

– To już przeszłość, złotko. Koniec z tym! Mamy ciężarówki, ale nie mamy magazynów, *capisce*? Mamy statki, ale brak nam portów. Stoi nam i chcemy się spuścić, ale kobieta jest martwa. Niedługo wszystkie kobiety będą martwe.



Ziemia się doigrała. Wykopaliliśmy wszystko ze wszystkich kopalń, zużyliśmy wszystko, co było do zużycia, zjedliśmy, co było do zjedzenia. *È finito!*

– A co z Oazą? Co ma się tu wydarzyć?

– Tutaj? Nie dostałeś koszulki szczęśliwego kolonisty? Mamy tu uwić gniazdko, żłobek, miejsce, gdzie cały burdel zacznie się od nowa. Słyszałeś o porwaniu Kościoła? Czy może jesteś z ich sekty?

Peter znów uniósł kubek do ust. Walczył z ogarniającą go sennością.

– Nie – westchnął. – Uważam, że mylnie interpretują Pismo.

– Ten projekt USIC – oznajmił Tartaglione władcym tonem – jest czymś w rodzaju Komitetu Porwania. Spółka Akcyjna Porwanie. Departament Porwania. Martwi cię stan świata? Twoje miasto właśnie zniszczył huragan? Szkoła twoich dzieciaków jest pełna gangsterów i dilerów? Twoja matka niedawno zmarła we własnym *merda*, podczas gdy pielęgniarki szprycowały się morfiną? Na stacjach brakuje paliwa, a sklepy świecą pustkami? Są przerwy w dostawach prądu i nie możesz spuścić wody w toalecie? Przyszłość wygląda jak *caca*? Hej, *non dispera!* Jest wyjście. Przybądź na piękną Oazę. Tu nie ma przestępczości, szaleńców, żadnych niedobrych rzeczy. To jak nowy dom, jak ranczo, co prawda nie ma jeleni ani antylop, ale spójrz na to pozytywnie! Nikt ci tu nie powie złego słowa, nikt cię nie zgwałci ani nie będzie przypominał o wiośnie w Paryżu, bo po co wachać stare rzygi, prawda? Zerwij więzy, zacznij od nowa, zapomnij o Auschwitz, Alamo i... pierdolonych Egipcjanach. Na litość boską, komu to jeszcze potrzebne, skup się na przyszłości. Liczą się zwycięzcy. Przyjedź na piękną Oazę. Tu wszystko działa i panuje pełna harmonia. I wszystko jest gotowe. Brakuje tylko ciebie.

– Ale... dla kogo to wszystko? Kto tu przyjedzie?

– Aha! – Tartaglione był w ekstazie, sięgał szczytów szyderstwa. – To pytanie za pięć miliardów rubli. Kto tu przyjedzie... *Muy interesante!* Nie możemy wpuszczać żmij do naszego gniazdko, prawda? Nie chcemy tu szaleńców, darmozjadów i sabotażystów. Mogą się zgłaszać wyłącznie mili i przystosowani. Tylko że trzeba będzie zapłacić. Jest czas siania i czas zbierania, mam rację? USIC nie może inwestować bez końca. Trzeba trochę zarobić. Więc kto tu przyjedzie? Biedny obdartus, który pracuje w supermarkecie? Nie wydaje mi się. USIC będzie musiał przyjmować obrzydliwie bogatych ludzi. Ale nie jakichś dupków i podejrzanych celebrytów, nie, nie, nie. Tylko tych miłych, którzy wierzą w tradycyjne wartości, sól ziemi. Milionerów, którzy ustępują miejsca w autobusie, potentatów, którzy lubią sami pracować sobie koszule, i to ręcznie, bo wiesz, nie znieśliby marnowania energii elektrycznej. Tak, już to widzę. Nie zwlekaj, zarezerwuj lot na pierdoloną Oazę.

Peter był już prawie nieprzytomny, ale kiedy zaczął zapadać się w nicość, przypomniał sobie czyste korytarze centrum medycznego USIC, nierozpakowane wyposażenie sal operacyjnych i pomalowaną na żółto salę porodową.

– A kiedy... kiedy to ma się stać?

– Lada dzień! Nigdy! Kto to, kurwa, wie?! – ryknął Tartaglione. – Może kiedy wybudują stadion baseballowy? Jak tylko nauczą się robić lody pistacjowe z obciętych paznokci? Kiedy uda im się wyhodować żonkile? Zaraz po tym, jak Los Angeles zapadnie się do Pacyfiku? Skąd mam wiedzieć. Czy ty chciałbyś tu żyć?

Peter wyobraził sobie, jak siedzi na ziemi ze skrzyżowanymi nogami obok swojego kościoła, otoczony przez Miłośników Jezusa. Każdy z nich trzyma w dłoniach zszytą wełną Biblię otwartą na przypowieści, którą on im tłumaczy. Popołudnie ciągnie się w nieskończoność, postaci połyskują w promieniach słońca, a Miłośniczka Jezusa Piąta przynosi jedzenie i ofiarowuje je nowo przybyłej – Bei, żonie ojca Pepera, która siedzi obok niego.

– Ja... to zależy... – powiedział. – To piękne miejsce.

W pokoju zaległa cisza. Po jakimś czasie oddech Tartaglione go stał się głośniejszy i miarowy. Wreszcie Peter zorientował się, że ten w kółko powtarza to samo słowo: aha, aha, aha, aha. Potem głosem pełnym pogardy dodał:

– Piękne. Rozumiem.

Peter był zbyt zmęczony, by się spierać. Zdawał sobie sprawę, że nie ma tu lasów deszczowych, gór, wodospadów, starannie zaaranżowanych ogrodów, zapierających dech miast, gotyckich katedr, średniowiecznych zamków, stad gęsi, żyraf, panter śnieżnych i tych wszystkich zwierząt, których nazw nie mógł sobie teraz przypomnieć, kurortów turystycznych, które ludzie tak uwielbiali, atrakcji, jakie oferowało życie na Ziemi, z których zresztą sam nigdy nie korzystał. Wspaniałości Pragi były dla niego tylko mglistym wspomnieniem z fotografii, flamingi znał z filmów, nigdzie nie był i nic nie widział. Oaza była pierwszym miejscem, z którym połączyła go więź. Pierwszym miejscem, które pokochał.

– Tak, piękne – westchnął.

– Chyba oszalałeś, *padre* – powiedział Tartaglione. – Jesteś obłąkaaaany. *Loco-loco-loco*. To miejsce jest piękne jak grób, jak karaluchy. Powietrze jest pełne jakichś głosów, zauważyłeś to? Robaki włożą ci do uszu jak do norki, udają, że są tylko tlenem przesiąkniętym wilgocią, ale to coś więcej. Zgaś silnik samochodu, przestań rozmawiać, wyłącz pieprzonego Binga Crosby'ego i co usłyszysz zamiast ciszy? Głosy, stary. Nigdy nie ustają, szmerzą jak woda, z nurtu wyławiasz słowa w jakimś szeleszczącym języku, szepczą cichutko sza, sza, sza, drażą ci ucho, wpełzają do gardła, do tyłka. Hej! Zасыpiasz? Nie zostawiaj mnie teraz, *amigo*, to długa noc i przydałoby mi się towarzystwo.

Przenikliwy smród bijący od Tartaglione go rozjaśnił nieco zamglony umysł Petera. Powinien zadać jedno pytanie, które bez wątpienia od razu przysłoby do głowy Bei.

– Czy jest tu Kurtzberg?

– Co? – Pytanie przerwało potoczystą tyradę językoznawcy.

– Kurtzberg. Czy mieszka tu z tobą?

– Pokłóciliśmy się – powiedział Tartaglione po dłuższej chwili milczenia. –

Można by rzec, że poróżniliśmy się na tle... kwestii filozoficznych.

Peter nie mógł już wyartykułować żadnego słowa, ale mruknął na znak, że nie rozumie.

– Poszło o **SLM** – wyjaśnił Tartaglione. – Tych paskudnych, nudnych, małych, pastelowych lizodupców bez chujów. – Pociągnął z kubka z głośnym siorbnięciem i płyn zbulgotał mu w przełyku. – Kochał ich.

Znów minęło trochę czasu. Powietrze szemrało cicho, bezustannie przeszukując wnętrze pomieszczenia, starając się określić jego granice. Napierało na sufit, poszturchiwało spojenia cegieł, omiatało podłogę, oceniało długość ciał, przeczesywało włosy, lizało skórę. Tartaglione oddychał głośno i z wysiłkiem, Peter zupełnie niesłyszalnie. Wydawało się, że językoznawca powiedział już wszystko i pogrążył się w stoickim cierpieniu.

– No i – dodał tuż przed tym, zanim Peter stracił świadomość – nie mogę znieść kogoś, kto nie chce się ze mną napić.

## Technika Jezusa

Noc miała trwać jeszcze długo. Bardzo długo. Owładnęły nim ciemności, które będą go trzymać w niewoli przez setki, a może tysiące lat, aż nastanie ciało zmartwychwstanie i Bóg wskrzesi z prochu umarłych.

Dlatego zdziwił się, kiedy otworzył oczy. Powinien spoczywać w grobie lub leżeć przykryty kocem w nieoświetlonym domu, w opuszczonym mieście, jeszcze nietknięty rozkładem, jako bryła martwej materii, która nic nie czuje i niczego nie widzi. Nie wiedział, skąd się wzięło światło, oślepiająco białe, jaśniejsze od słońca.

Nie było to światło wiekuiste; znajdował się w szpitalu. Tak, teraz sobie przypominał. Połamał nogi w kostkach, uciekając przed policją. Zabrali go do szpitala i nafaszerowali środkami znieczulającymi, by tajemnicze postaci w maskach na twarzy mogły poskładać jego uszkodzone kości. Już nie będzie mógł uciekać, będzie musiał znieść to, co zgotował mu los. Zobaczył piękną kobiecą twarz, która pochylała się nad nim jak nad dzieckiem w kołysce. Na piersi miała plakietkę z imieniem. Beatrice. Była pielęgniarką. Od razu ją polubił, jakby przez całe życie na nią czekał. Może nawet ożeni się z nią, jeśli go zechce.

– Bea – wychrypiał.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedziała kobieta. Jej twarz zaokrągliła się, oczy zmieniły kolor, szyja nie była już taka długa, a falujące włosy okazały się krótką chłopięcą czupryną.

– Grainger – wyszeptał.

– Trafiłeś – odparła zmęczonym głosem.

– Gdzie jestem? – Światło raziło go w oczy. Odwrócił głowę i popatrzył na jasnozieloną bawełnianą poduszkę.

– W szpitalu. Ostrożnie, nie ruszaj ręką, masz podłączoną kroplówkę.

Zastosował się do polecenia. Cienka rurka kołysała się tuż przy jego policzku.

– Jak się tu dostałem?

– Powiedziała ci, że będę o ciebie dbała, nie pamiętasz? – Umilkła na chwilę i dodała: – To więcej, niż zrobił dla ciebie Bóg.

Peter opuścił na prześcieradło ramię z wklutym wenflonem i uśmiechnął się.

– Może jesteś jego narzędziem.

– Naprawdę tak myślisz? To się da wyleczyć. Są takie lekarstwa jak lurazydon i asenapina. Mogę ci je przepisać w każdej chwili.

Zmrużył oczy i przekręcił głowę, żeby popatrzeć na zwisającą ze stojaka torebkę, z której sączył się do jego żył przezroczysty płyn. Glukoza albo sól

fizjologiczna, na pewno nie krew.

– Trucizna – przypomniał sobie. – Co ze mną będzie?

– Ugryzienie nie było jadowite. – Grainger była nieco zirytowana. – Po prostu się odwodniłeś. Mówiłam, że za mało pijesz, mogłeś umrzeć.

Roześmiał się. Po chwili jego śmiech przeszedł w szloch. Dotknął palcami piersi, gdzie powinien się znajdować jego atramentowy krzyż. Diszdasza była lepka i zimna. Udając, że pije, wylewał wstrętny trunek, którym raczył go Tartaglione, na brodę i ubranie. W sterylnym, klimatyzowanym pomieszczeniu słodkawego smród sfermentowanego napoju był trudny do zniesienia.

– Czy przywieźliście też Tartaglione? – zapytał.

– Tartaglione? – Pytaniu Grainger towarzyszył cichy okrzyk zdziwienia, który dobiegł z głębi pokoju. Nie byli sami.

– Nie widziałas go? – zapytał Peter.

– Był tam?

– Tak, był. Mieszka w ruinach. Nie najlepiej z nim, powinien wrócić do domu.

– Do domu? Coś takiego – powiedziała ostro. – Kto by pomyślał.

Na chwilę zniknęła mu z pola widzenia. Nie widział, co się dzieje, ale musiała zrobić jakiś gwałtowny ruch, bo rozległ się głośny brzęk.

– Wszystko w porządku, Grainger? – Męski głos, dość sympatyczny, ale z nutą przygany. To ten nowozelandzki lekarz Austin.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała Grainger. – Nic mi nie jest. Nic, zupełnie nic.

Peter zdał sobie nagle sprawę, że zapach alkoholu nie pochodzi jedynie z jego ubrania. W powietrzu dało się wyczuć jeszcze inną woń, która mogła się wydobywać z otwartej buteleczki spirytusu aptecznego, ale równie dobrze ze szklaneczki whisky. Whisky, którą popijała Alex Grainger.

– Może Tartaglione jest zadowolony. – Tym razem kobiecy głos. Siostra Flores. Mówiła spokojnie, jakby zwracała się do dziecka, które zobaczyło kota na drzewie i żądało, aby ktoś wdrapał się tam i mu pomógł.

– Jasne, na pewno jest cały w skowronkach – odparła Grainger tak sarkastycznym i aroganckim tonem, że Peter nie wątpił już, że jest pod wpływem alkoholu. – Szczęśliwi czasu nie liczą. Dobrze, co? Jestem złośliwa czy ironiczna? Jak myślisz, Peter?

– Lepiej będzie, jak pozwolimy wypocząć naszemu pacjentowi – zasugerował Austin.

Grainger nie zwróciła na niego uwagi.

– Tartaglione był prawdziwym Włochem, wiedzieliście o tym? Rodowitym. Dorastał w Ontario, ale urodził się w... zapomniałam nazwy tej miejscowości... mówił mi kiedyś...

– To chyba nie ma związku z naszą pracą – powiedział Austin. Jego stanowczy głos lekko drżał, najwyraźniej chirurg nie potrafił sobie radzić z rozhisteryzowanymi koleżankami.

– Na pewno – powiedziała Grainger. – Nikt z nas nie ma korzeni. Przepraszam, zapomniałam. Jesteśmy jak ta pieprzona legia, o której ciągle gada Tuska. Zresztą kto by chciał wracać do domu? Kto by chciał wracać tam, gdzie wszystko się pierdoli, podczas gdy tu jest tak cudownie? Tylko szalenie, prawda?

– Grainger, proszę – ostrzegła ją Flores.

– Sama sobie szkodzisz – dodał Austin.

Grainger się rozpląkała.

– Nie macie w sobie ludzkich uczuć. Wszyscy jesteście kurewsko nieczuli.

– Dość już tego – powiedziała Flores.

– Co wy wiecie o uczuciach? – Grainger szlochała histerycznie. – Łapy precz, kurwa.

– Nikt cię nie dotyka. – Austin próbował ją uspokoić.

Jakiś przedmiot upadł na ziemię z hukiem. Być może stojak od kroplówki.

– Gdzie jest mój tata? – Grainger, zataczając się, pobiegła do drzwi. – Chcę do taty!

Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, w sali zapanowała cisza. Peter nawet nie był pewien, czy Austin jeszcze tu jest, ale zdawało mu się, że słyszy krzątanie siostry Flores. Pole widzenia miał ograniczone, zeszywniał mu kark i potwornie rozboleła go głowa. Płyn z kroplówki powoli przesączał się do żył. Kiedy torebka była już pusta i zwisała jak zużyty kondom, zapytał, czy może wyjść.

– Doktor Austin chciałby z tobą coś omówić – powiedziała Flores, odłączając go od kroplówki. – Powinien zaraz wrócić.

– Może odłożymy to na inną chwilę. Naprawdę muszę już iść.

– Będzie lepiej, jak zostaniesz.

Zacisnął pięść. Z miejsca, w które wbita była igła wenflonu, wypłynęła kropelka krwi.

– Czy mogę prosić o plaster?

– Oczywiście. – Flores zaczęła szperać w szufladzie. – Doktor Austin powiedział, że na pewno będziesz chciał z nim porozmawiać o naszym nowym pacjencie.

– O kim? – Peter nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjdzie. Musi jak najszybciej napisać do Bei. Powinien to zrobić już wiele godzin temu, zamiast uciekać jak w kiepskim melodramacie.

– Nie mogę mówić na ten temat – powiedziała siostra Flores. Na jej małej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. – Gdybyś zechciał poczekać chwilę...

– Przykro mi. Wrócę tu, obiecuję. – Zdawał sobie sprawę, że mówiąc to, może mijać się z prawdą, ale osiągnął zamierzony efekt. Siostra Flores odsunęła się od drzwi i mógł wyjść.

Szedł do swojej kwatery na niepewnych nogach, ale ciągle żywy. Jedynym znakiem jego cierpień był mały wacik przyklejony plastrem do przegubu dłoni. Peter mijał na korytarzach wielu pracowników USIC i widział ich pytające spojrzenia. Chyba jednak nie wyglądał najlepiej. Tuż obok swojego pokoju spotkał Wenera.

– Cześć! – Chińczyk, mijając go, uniósł dwa pulchne palce. Ten gest mógł oznaczać leniwe powitanie albo nonszalancką imitację znaku wiktoria. A może był podświadomym nawiązaniem do gestu chrześcijańskiego błogosławieństwa? Prawdopodobnie jednak nie oznaczał niczego. Wener chciał po prostu jak najszybciej wrócić do swojej pracy, inżynierii, hydrauliki czy Bóg wie czego. Spławiał go, szkoda mu było czasu na pogaduszki z żałośnie wyglądającym dziwakiem.

„Ciebie też niech Bóg błogosławi, koleżko”, miał ochotę krzyknąć za nim Peter. Sarkazm, na który nie mógł sobie pozwolić. Już sama chęć wypowiedzenia tych słów była grzechem, powinien się wstydić. Musi być szczery i bezpośredni, tylko to mu pozostało. W jego duszy nie może być złości, w mowie cierni, tylko miłość, bez wyjątku, w stosunku do wszystkich istot, nawet do takich jak ten wściekły pies Tartaglione, nawet do takiej ciamajdy jak Wener. To był jego święty obowiązek jako chrześcijanina i jedyne źródło zbawienia. Kiedy otwierał drzwi do pokoju, nakazał sobie wyrzucić z serca wszelką niechęć do Wenera. To tylko biedna owieczka umiłowana przez Pana, bezbronny głupek. To nie jego wina, że jest zdziwaczalym sierotą, który wyrósł na specjalistę od przetrwania. „Wszyscy jesteśmy specjalistami od przetrwania”, przypomniał sobie Peter. „Potrafimy tak niewiele, a pomimo to gnamy na oślep, nie zważając na rany, tuszujemy naszą niekompetencję i fortelami pokonujemy słabość”. Nikt, a zwłaszcza pastor, nie powinien tracić z oczu prawdy. Cokolwiek by uczynił, jakkolwiek nisko by upadł, nie wolno mu zapominać, że wszyscy mężczyźni są jego bliźnimi.

I wszystkie kobiety.

I wszyscy **SLM**.

Kochana Beo,

nic, co napiszę, nie usprawiedliwi strasznej śmierci Joshuy. Był cudownym, rozkosznym stworzeniem i odczuwam olbrzymi ból, gdy pomyślę, że go nie ma i w jak potworny sposób umarł. To okropne, kiedy tak brutalnie przypomina się nam, że chrześcijanie nie mają magicznego immunitetu chroniącego ich przed złem. Wiara w Chrystusa owocuje niezwykłymi łaskami i błogosławieństwami, czego sami tyle razy doświadczaliśmy, ale świat pozostaje niebezpiecznym miejscem, a my – będąc tylko ludźmi – jesteśmy wystawieni na ciosy.

Ja też odczuwam złość. Nie na Boga, ale na tych chorych łajdaków, którzy torturowali Joshuę. Powinienem ich kochać, ale chciałbym ich zabić, chociaż to nie przywróciłoby mu życia. Potrzebuję czasu, by

uporać się z takimi uczuciami, i jestem pewien, że Ty też. Niebędę Cię namawiał, żebyś przebaczyła tym chłopcom, bo sam nie umiem im jeszcze przebaczyć. Jedynie Jezus jest zdolny wznieść się na takie wyżyny. Powiem tylko, że sam wyrządzałem innym zło i uzyskałem przebaczenie. Kiedyś okradłem dom, w którym znalazłem mnóstwo paczek z lekarstwami na raka. Przetrzęsnałem wszystko, żeby niczego nie przeoczyć, zabrałem środki przeciwbólowe, a resztę porzuciłem na podłodze. Latami myślałem o tych ludziach. Wrócili do domu ze szpitala (a może z jakiegoś innego miejsca) i zobaczyli, co się stało. Nie chodziło o środki przeciwbólowe, pewnie mogli szybko uzupełnić zapas, ale o fakt, że zostali okradzeni, kiedy zmagali się z tą straszną chorobą. Nie okazano im współczucia. Chłopcy, którzy zrobili to Joshui, postąpili w taki sam sposób. Co więcej mogę powiedzieć? Nie jestem Jezusem.

Ale nadal jestem Twoim mężem. Tyle razem przeszliśmy. Nie tylko jako chrześcijańskie małżeństwo, ale jako dwa stworzenia, które ufały sobie nawzajem. Ilekroć pomyślę o przepaści, jaka nas rozdzieliła, jestem chory z bólu. Proszę, nie odrzucaj mojej miłości. Czasem w kazaniach mówiłem ludziom, że tym, co mnie w Tobie oczarowało, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w szpitalu, było bijące od Ciebie światło Chrystusa. Wierzyłem w te słowa, ale teraz już nie jestem pewien. Może pomniejszałem Cię, by uzyskać większy efekt w kościele. Bo światło, które bije od Ciebie, jest nieodłącznie związane z tym, kim jesteś, i z Twoją cudowną duszą, którą posiadasz bez względu na to, czy jesteś chrześcijanką, czy nie. To czyni Cię wyjątkową i nie zmienia się, nawet gdybyś na zawsze odrzuciła Boga. Kocham Cię i pragnę, niezależnie od Twojej wiary. Tęsknię za Tobą. Nie poddawaj się.

Przykro mi, że odniosłaś wrażenie, że nie interesuje mnie to, co się dzieje na świecie. Pisz o tym, proszę. I o wszystkim, co zaprzęta Ci głowę i co uważasz za ważne. Nie docierają tu do nas żadne wiadomości, nie mamy gazet (nawet starych), dostępu do informacji o bieżących wydarzeniach, książek historycznych (a właściwie żadnych książek), są tylko zbiory szarad i łamigłówek, kolorowe magazyny poświęcone różnym hobby i prasa fachowa. Nawet i to jest cenzurowane. Tak, w USIC siedzi jakiś skrupulatny mały cenzor przeglądający wszystkie czasopisma i wydzierający strony, których nie aprobują!

Wreszcie spotkałem Tartaglioneo, zaginionego językoznawcę. Ma mocno przyćmiony umysł, ale powiedział mi prawdę o planach USIC. Wbrew naszym podejrzewaniom nie kierują się chęcią zysku ani nie dążą do imperialistycznego podboju. Uważają, że nasz świat się kończy i zmierza ku zagładzie, więc chcą zacząć wszystko od początku na Oazie. Przygotowują tu nowe miejsce. Jeszcze nie wiem dla kogo, ale na pewno nie dla ludzi takich jak Ty.



Przerwał pisanie, przeczytał ponownie swój tekst i zastanowił się, czy nie wykasować wszystkiego po słowach „Nie poddawaj się”. W końcu wyrzucił tylko „ale na pewno nie dla ludzi takich jak Ty”, dodał „Kocham cię, Peter” i nacisnął guzik rozpoczynający transmisję danych.

Jak zwykle słowa na ekranie zaczęły migotać w oczekiwaniu na transfer. Nagle na tekście pojawiło się krótkie wściekłe ostrzeżenie. Wyglądało jak znak wypalony żelazem:

NIE ZATWIERDZONO. PROSIMY O KONTAKT.

Staął przed drzwiami Grainger i zapukał.

– Grainger! – krzyknął. – Grainger! Otwórz, to ja, Peter!

Cisza.

Nie sprawdzając, czy ktoś nie idzie korytarzem, otworzył drzwi i wpadł do jej kwatery. Jeśli śpi, wyciągnie ją z łóżka, oczywiście delikatnie. Musi mu pomóc.

Jej pokój był prawie identyczny jak jego, też urządzonego po spartańsku. Grainger nie było. Łóżko z grubsza zasłano, biała chusta suszyła się na sznurze pod sufitem, na kabinie prysznicowej połyskiwały krople wody, a na stole stała na wpeł opróżniona butelka z etykietką ze słowem BURBON, które było wypisane wielkimi czerwonymi literami na białym tle. Cena sześćdziesiąt pięć dolarów. Obok niej fotografia w ramce przedstawiająca mężczyznę w średnim wieku, z pobrużdżoną twarzą, ubranego w zimową kurtkę. Na ramieniu trzymał strzelbę. W tle, pod szarym, ponurym niebem rodzinna farma Grainger przykryta śniegiem.

Dziesięć minut później odnalazł córkę Charliego Graingera w aptece. Nie powinno go to dziwić, w końcu była farmaceutką USIC. Siedziała za kontuarem ubrana w swój codzienny strój, lekko wilgotne włosy miała starannie uczesane. Kiedy wszedł, pisała w staroświeckim kołnotatniku, niezdarnie trzymając ołówek krótkimi palcami. Za jej plecami zobaczył szafkę z mnóstwem przegródek, w większości pustych. Tylko gdzieniegdzie stały niewielkie plastikowe buteleczki i kartonowe pudełeczka. Grainger była spokojna, ale oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– Hej, tylko żartowałam o tych lekarstwach na urojenia – powiedziała, kiedy się zbliżył. „Nie wspominaj o tym, o czym mówiłam w szpitalu”, wyczytał w jej spojrzeniu.

– Musisz mi pomóc – powiedział.

– Nigdzie nie pojedziesz, przynajmniej nie ze mną.

Nie od razu zrozumiał, że myśli o pewnym miejscu, które jak uważała, nie służyło jego zdrowiu.

– Próbowałam wysłać wiadomość do żony, ale została zablokowana. Muszę coś z tym zrobić.

Odłożyła ołówek i zamknęła notes.

– Nie martw się, poradzę sobie z tym – powiedziała. – Chyba. Zależy, jak

bardzo był niegrzeczny.

Wstała i znów uświadomił sobie, że jest niska. Jednak w tej chwili to on czuł się mały. Jak chłopiec, któremu skradziono nowy rower, żałosny pętał rozwalony na zarzyganej kanapie u zielonoświątkowców w Salford, nieudolny misjonarz u kresu swych sił. Każdy z nich mógł tylko zdać się na łaskę kobiety o anielskiej cierpliwości – matki, która zapewniała, że jest cenniejszy od najdroższych prezentów, żony, która uspokajała go, że chociaż złamał solenną obietnicę, ona i tak nie przestanie go kochać, przyjaciółki, która potrafi mu pomóc w obecnych kłopotach. Kiedy przychodziło najgorsze, to nie do Jezusa się zwracał, ale do tych kobiet, to te kobiety prosił o wsparcie i to te kobiety musiały zdecydować, jak bardzo był niegrzeczny.

W jego pokoju panował straszny bałagan. Na środku leżał utyłany plecak otoczony zrzuconymi z krzesła kłębami wełny. Cały stół pokrywały tabletki, które wysypały się z przewróconej buteleczki z lekarstwem od Grainger. Dziwne, nie pamiętał, żeby otwierał opakowanie. Łóżko przedstawiało żałosny widok: pościel była tak zmięta, jakby uprawiał w niej zapasy.

Grainger nie zwróciła uwagi na nieporządek. Usiadła na krześle i przebiegła wzrokiem jego list do Bei. Z jej twarzy trudno było coś wyczytać, chociaż kilka razy zagryzała wargi. Może nie była zbyt biegła w czytaniu i miała ochotę poruszać ustami w trakcie lektury? Stał obok niej i czekał.

– Musisz mi pozwolić go poprawić – powiedziała, kiedy skończyła.

– Poprawić?

– Usunąć kilka... kontrowersyjnych stwierdzeń. Żeby Springer mógł to zaakceptować.

– Springer? – Peter zakładał, że jego wiadomość została zablokowana automatycznie, przez jakiś program komputerowy, który bezmyślnie przesiewał słowa. – Springer czytał wszystkie moje listy?

– Taką ma pracę – powiedziała Grainger. – Jedną z wielu. Jak już pewnie zauważyłeś, wszyscy wykonujemy tu wiele zadań. Kilka osób z personelu zajmuje się kontrolą Sztośów. Jestem pewna, że tym razem był to Springer.

Patrzył na nią osłupiały. Na jej zmęczonej twarzy nie dostrzegł zawstydzenia, poczucia winy czy zakłopotania. Informowała go po prostu o grafiku dyżurówUSIC.

– Ty także czytasz czasem moje listy?

Chyba dopiero teraz dotarło do niej, że ktoś żyjący w jakimś innym świecie może uważać takie postępowanie za niestosowne.

– Co w tym takiego strasznego? – odpowiedziała bezczelnie. – Czy Bóg nie czyta w twoich myślach?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie był w stanie nic wykrztusić.

– Zresztą to nieistotne – ciągnęła rzeczowym tonem. – Chcesz przecież wysłać tę wiadomość. Zróbmy to. – Spojrzała na ekran i przewinęła tekst. – To

o cenzurowaniu czasopism przez USIC trzeba usunąć – powiedziała, stukając w klawiaturę krótko obciętymi paznokciami. Słowa „nawet i to jest cenzurowane” i kilkanaście kolejnych zniknęły litera po literze. – Tak samo te rzeczy o końcu świata. – Znowu postukała w klawisze. Popatrzyła na monitor, oceniając swoje poprawki. Jeszcze kilka słów przykuło jej uwagę, więc też je wykasowała. Miała przekrwione oczy i wydawała się starsza i smutniejsza. – Żadnego końca świata – mruknęła tonem łagodnej przygany. – Żadnego.

Zadowolona ze swojego dzieła nacisnęła guzik transmisji danych. Tekst migotał na ekranie, podczas gdy w innym pomieszczeniu czytała go para obcych oczu. Potem zniknął.

– I poszło kolejne pięć tysięcy dolców. Na zdrowie – powiedziała Grainger, wzruszając ramionami.

– Słucham?

– Wysłanie wiadomości kosztuje pięć tysięcy dolarów – wyjaśniła. – Tyle samo odbiór listu od twojej żony. – Przetarła twarz, wciągając głęboko powietrze, jakby czerpała energię z własnych dłoni. – To jeden z powodów, dla których pracownicy nie plotkują codziennie z paczką znajomych na Ziemi.

Peter policzył szybko w pamięci. Nie był dobry w matematyce, ale wiedział, że suma była ogromna.

– Nikt mnie nie uprzedził.

– Powiedzieli nam, żebyśmy tego nie robili. Nie oszczędzamy na naszym misjonarzu.

– Ale dlaczego?

– USIC bardzo cię potrzebował. Jesteś kimś w rodzaju naszego pierwszego VIP-a.

– Nigdy nie prosiłem...

– Nie musiałeś. Dostałam... wytyczne, żeby dostarczać ci wszystko, o co poprosisz. Oczywiście w granicach rozsądku. Zanim przyjechałeś, panowało tu pewne... napięcie. Niektóre sprawy nie układały się najlepiej.

– Sprawy? – Nie miał pojęcia, o co mogło chodzić. Kryzys duchowy wśród pracowników USIC?

– Mieliśmy przerwę w dostawach żywności. Nasi mali przyjaciele nie dawali nam białych kwiatów. – Uśmiechnęła się gorzko. – Sprawiają wrażenie takich cichych i potulnych, prawda? Ale jeśli chcą, potrafią postawić na swoim. Obiecaliśmy im zastępstwo za Kurtzberga, ale uważali, że to za długo trwa. Pewnie Ella Reinman sprawdzała miliony księży i pastorów. Próbowwała wywęszyć, kim są, a potem ich odrzucała. Następny kaznodzieja, proszę! Jaki jest twój ulubiony owoc? Czy bardzo będziesz tęsknił za Filadelfią? Smażenie kaczuszek jest w porządku czy nie? Jak długo jeszcze wytrzymasz te głupie pytania? Kiedy rzucisz się na mnie i zaczniesz mnie dusić? – Grainger odegrała pantomimę miażdżenia gardła niewidzialnej kobiecie. – A tymczasem w Mieście Dziwolągów zaczęli się niecierpliwić. Pokazali, na co ich stać, i zmusili USIC, żeby przyśpieszył poszukiwania. I wybrali ciebie. – Zobaczyła niedowierzanie

malujące się na jego twarzy i pokiwała głową, jakby mówiła, żeby przestał niepotrzebnie tracić energię na wątpliwości i uwierzył w fakty.

– Sytuacja była naprawdę taka zła? – zapytał Peter. – Głodowaliście?

Grainger się obruszyła.

– Oczywiście, że nie. Na jakiś czas wzrosły koszty. Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Spróbował i uznał, że miała rację.

– Odcięcie od dostaw nie byłoby dla nas takie uciążliwe – ciągnęła – gdybyśmy potrafili sami uprawiać rośliny. Bóg jeden wie, jak bardzo się staraliśmy. Pszenica, kukurydza, banany. Wszystkie znane człowiekowi nasiona zostały zasadzone w tej ziemi. Ale to, co z niej wyrasta, do niczego się nie nadaje. Próżny trud. Oczywiście próbowaliśmy też hodować białe kwiaty. Znów bez wielkiego powodzenia. Kilka cebulek tam, kilka tu. To jak hodowla orchidei. Nie mamy pojęcia, jak radzą sobie z tym na wielką skalę. Czym, do cholery, nawożą ziemię? Pewnie jakimś magicznym pyłem.

Umilkła. Nadal siedziała przed Sztosem. Mówiła matowym, znużonym głosem, jakby upokorzenie związane z tym niepowodzeniem było zbyt bolesne, by miała chęć na nowo je przeżywać. Peter patrzył na jej twarz i zastanawiał się, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy była naprawdę szczęśliwa.

– Chcę ci podziękować za pomoc – powiedział. – Byłem naprawdę w złym stanie. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził.

Nie odrywała oczu od ekranu.

– Poprosiłyś o pomoc kogoś innego.

– Nie chodzi mi o list. Mówię o tym, że mnie znalazłaś. Sama mówiłaś, że mogłem umrzeć.

Westchnęła.

– Nie umiera się tak łatwo. Ludzkie ciało zostało zmyślnie skonstruowane i nie tak łatwo je porzucić. Mimo to martwiłam się o ciebie, byłeś chory, kiedy wyjechałeś.

– Jak mnie znalazłaś?

– To nie było trudne, wszystkie nasze pojazdy mają dzwonki przy obroży, rozumiesz? Za to miałam sporo kłopotu, by przenieść cię do swojego samochodu. Byłeś nieprzytomny, musiałam zawinąć cię w koc i przeciągnąć po ziemi, a nie jestem zbyt silna.

Uświadomił sobie, co dla niego zrobiła. Żałował, że nic z tego nie pamięta.

– Grainger...

Wstała gwałtownie.

– Ty naprawdę ją kochasz? Swoją żonę?

– Tak, naprawdę ją kocham.

Skinęła głową.

– Tak myślałam.

Chciał ją objąć, ale zawahał się. Odwróciła się do niego plecami.

– Pisz do niej tak często, jak chcesz. Nie przejmuj się kosztami,USIC na to

stać. Zresztą zapewniłeś nam jajka na boczku, smażone kurczaki, chleb, budyń, cynamon i całą resztę.

Stanął za nią i położył jej ręce na ramionach. Gorąco pragnął wyrazić, co czuje. Nie odwracając się, ujęła jego dłonie i przycisnęła je do ciała, trochę powyżej swoich piersi. Poczował bicie jej serca.

– I pamiętaj – dodała – kiedy wspominasz USIC, pisz o nich miło. Żadnych oskarżeń, żadnego końca świata.

„Wróć tu, obiecuję”, powiedział do Flores, by wyrwać się ze szpitala. Złożył obietnicę i musi jej dotrzymać. Grainger już poszła, wiadomość do Bei została wysłana, teraz powinien dowiedzieć się, czego chciał od niego doktor Austin.

Peter wziął prysznic, umył włosy i wymasował pokrytą strupami skórę na głowie. Ściekająca z jego ciała woda była brązowa i kiedy spływała do otworu w brodziku, wyglądała jak herbata. Podczas swoich dwóch wizyt w szpitalu musiał rozsiać w tych sterylnych pomieszczeniach więcej bakterii niż ktokolwiek od czasu powstania bazy. Zdziwiał, że nie wsadzili go do beczki ze środkiem odciekającym. Przed podłączeniem do kroplówki powinni go zdezynfekować w pojemniku nie mniejszym niż wanienka z gorzałą Tartaglioneo.

Po kąpieli wytarł się starannie. Ślad po wkłuciu wenflonu był prawie niewidoczny, starsze zadrapania pokrywały strupy, rana po ugryzieniu na rękę goiła się przyzwoicie. Łydka trochę go piekła i była lekko spuchnięta, ale w razie czego mógł liczyć na kilka zastrzyków i wszystko będzie w porządku. Owinął rany bandażem, włożył dzinsy i podkoszulek. Diszdasza cuchnęła bimbrem językoznawcy, więc wsadził ją do pralki. Napis OSZCZĘDZAJ WODĘ – JEŚLI MOŻESZ, PIERZ RĘCZNIE był na swoim miejscu, razem z dopiskiem CZY PROPONUJE PANI COŚ KONKRETNEGO? Właściwie ten komentarz powinien zostać usunięty podczas rutynowej inspekcji pokoi. Pewnie taką kontrolę przeprowadza jakiś inżynier lub elektryk, który ma poszukiwać rzeczy mogących zaszkodzić dobremu imieniu USIC. Teraz już nic by Petera nie zdziwiło.

– Cieszę się, że cię widzę – przywitał go Austin, obrzucając aprobującym spojrzeniem nowy strój Petera. – Wyglądasz dużo lepiej.

– Na pewno pachnę lepiej – odparł Peter. – Przepraszam, że musieliście wdychać moje zapachy.

– Nic nie szkodzi – powiedział pobłażliwie doktor – alkohol to paskudna rzecz. – Była to delikatna (i jedyna) aluzja do nieprofesjonalnego zachowania Grainger. – Wydaje mi się, że twoja noga jest odrobinę sztywna – zauważył, kiedy weszli do gabinetu lekarskiego. – Jak goją się rany?

– Dobrze. Odzwyczaiałem się od takiego ubrania.

Austin uśmiechnął się nieszczerze. Krytycznym wzrokiem oceniał stan

zdrowia Petera.

– Rozumiem, ja też czasami miałbym ochotę przyjść do pracy nago – żartował – ale to mija.

Peter odwzajemnił uśmiech. Duszpasterski szósty zmysł podpowiedział mu – podobnie jak wtedy, gdy wyczuł nieukojoną smutek Miłośnika Pierwszego – że doktor, ten surowy, przystojny Nowozelandczyk, nigdy nie odbył z nikim stosunku seksualnego.

– Chciałem ci podziękować – powiedział Austin – że potraktowałeś poważnie naszą rozmowę.

– Rozmowę?

– O zdrowiu krajowców. Mówiłem, że gdyby któremuś coś dolegało, powinien przyjechać do nas i dać się zbadać. Najwyraźniej udało ci się zasiać ziarno. – Znów się uśmiechnął na znak, że rozumie podwójne znaczenie tych słów. – Wreszcie ktoś z nich zdecydował się tu przyjść.

„Przyjść!” Peter pomyślał o odległości dzielącej bazę od osady **SLM**, o tym, ile czasu zajmuje jazda samochodem i jak długo trzeba by iść tu pieszo.

– O mój... o kurczę. To tak daleko.

– Ależ nie – uspokoił go Austin. – Pamiętasz Conwaya? Tego dobrego Samarytanina? Nie był zadowolony z siły sygnału jakiegoś aparatu, który zamontował u ciebie w kościele. Pojechał tam znowu i wrócił z pasażerem, chyba twoim przyjacielem.

– Przyjacielem?

Austin wyciągnął rękę, wskazując w stronę korytarza.

– Zapraszam. Jest na oddziale intensywnej terapii.

To określenie zmroziło Peterowi krew w żyłach. Wyszli z gabinetu i po chwili znaleźli się za drzwiami pomieszczenia oznaczonego tabliczką OIOM.

W nieskazitelnie czystej dwunastoosobowej sali znajdował się tylko jeden pacjent. Przy pustych łózkach stały wysokie błyszczące stojaki kroplówek przykryte przezroczystymi plastikowymi pokrowcami. Nowe aluminiowe stelaże wyglądały jak pełniący straż wartownicy. Samotny pacjent nie był podłączony do żadnego z nich ani do jakiegokolwiek aparatury medycznej. Siedział wyprostowany, podparty poduszkami, przykryty do pasa białym prześcieradłem. Kaptur nie skrywał nierozpoznawalnej dla ludzi łysej głowy przypominającej jądro orzecha. Na wielkim prostokątnym materacu zaprojektowanym z myślą o amerykańskich ciałach wielkości BG wydawał się żałośnie mały. Zamiast szaty i rękawiczek miał na sobie cienki szpitalny szlafrok w kolorze szarzielonych zwiędłych brokułów. Ta barwa kojarzyła się Peterowi z Miłośnikiem Jezusa Dwudziestym Trzecim, co wcale nie oznaczało, że to jest on. Peter wpadł w panikę wywołaną poczuciem winy, że nie jest w stanie go rozpoznać. Prawa dłoń **SLM** była niezgrabnie i grubo owinięta białą gazą. W lewej trzymał zniszczoną kosmetyczkę – nie, to nie była kosmetyczka, to była... broszura z biblijnymi parafrazami. Papier przemakał i wysychał tyle razy, że przypominał teraz skórę. Był zszyty żółtą i różową włóczką.

Na widok Petera **SLM** przechylił głowę, jakby zaskoczyło go nowe ubranie pastora.

– Niech Bóg błogosławi **Spopkanie**, Ojce **Peper**.

– Miłośniczka Piąta?

– **pak**.

Peter odwrócił się do Austina.

– Co jej dolega? Dlaczego tu jest?

– Ona? – Doktor zamrugał zdziwiony. – Przepraszam. – Sięgnął po tabliczkę z danymi pacjenta i długopisem poprawił znaczek w rubryce „płeć”.

– Jak się mogłeś zorientować po opatrunku – mówił, prowadząc Petera do łóżka Miłośniczki Piątej – zraniła się w dłoń. To bardzo poważna rana. – Wskazał na bandaż.

– Mogę? – zwrócił się do pacjentki.

– **pak** – odparła.

Kiedy Austin odwijał bandaż, Peter przypomniał sobie okoliczności, w jakich odniosła ranę. Spadający z sufitu obraz, skaleczenie na dłoni, współczucie okazane jej przez **SLM**. I jak od tamtej pory uważała na swoją rękę, jakby nie mogła zapomnieć o tym zdarzeniu.

Kłęb białej gazy zmniejszał się, w miarę jak doktor odsłaniał ranę. W sali rozszedł się słodki zapach sfermentowanych owoców. Miłośniczka Piąta nie miała już dłoni. Palce zmieniły się w szarobłękitną gnijącą masę. Wyglądały jak pokancerowane jabłko, które leżało w cieniu przez kilka tygodni.

– Mój Boże – szepnął Peter.

– Czy mówisz w jego... w jej języku? – zapytał Austin. – Nie wiem, jak mam uzyskać jej zgodę. Nie chodzi nawet o to, że nie ma alternatywy dla amputacji, ale nie potrafię nawet wyjaśnić, na czym polega ogólne znieczulenie...

– O... mój... Boże...

Miłośniczka Piąta nie zwracała uwagi na ich rozmowę i rozkładające się ciało jej ręki. Zdrową dłonią otworzyła biblijną broszurę i zwinnie, za pomocą trzech palców, znalazła odpowiednią stronę. Czystym głosem przeczytała pozbawiony (dzięki Peterowi) trudnych zgłosek tekst:

– Pan da moc ludowi i dobrą formą obdaruje<sup>43</sup>. – I z tej samej strony, inspirowanej psalmami i Ewangelią według świętego Łukasza: – Lud odkrył jego moc i za nim krocył. On mówił im o Bogu i naprawiał rany<sup>44</sup>.

Uniosła głowę i zwróciła ją w kierunku Petera. Wypukłości na jej twarzy przypominające kolana płodów zdawały się świecić.

– Rany naprawy wymagają – powiedziała. – Inaczej umrę. – Po chwili, by rozwiać wszelkie wątpliwości, dodała: – Bard**So** chcę **Syc**.

– Mój Boże... mój Boże – powtarzał Peter przez całą drogę do gabinetu doktora. Kiedy weszli do środka, Austin oparł się o biurko i skrzyżował ramiona. Zdawał sobie sprawę ze stanu, w jakim znajduje się pastor, i nie miał zamiaru go

przekonywać, że na nic nie zdadzą się lamentowanie, zaciskanie pięści i szloch. Jednak po kilku minutach przeszedł do rzeczy.

– Będzie miała najlepszą opiekę – zapewnił. – Mamy tu wszystko. Nie chcę się przechwalać, ale jestem naprawdę dobrym chirurgiem. A doktor Adkins jeszcze lepszym. Pamiętasz, jak świetnie poradził sobie z twoimi ranami? Zajmie się też twoją znajomą, może to cię uspokoi.

– Ale nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza?! – krzyknął Peter. – Czy ty, kurwa, nie rozumiesz?

Doktor wzdrygnął się, słysząc niespodziewane przekleństwo z ust kogoś, kto do tej pory zachowywał się jak bogobojny duszpasterz.

– Rozumiem, jesteś wzburzony – powiedział ostrożnie – ale nie sędzę, byśmy powinni z góry zakładać najgorszy scenariusz.

Peter zamrugał. Łzy spłynęły mu z powiek i mógł spojrzeć na lekarza niezamglonym, ostrym wzrokiem. Widział poszarpaną bliznę na szczęce Austina, ale tym razem nie zastanawiał się, skąd się wzięła. Uzmysłowił sobie jej istotę – nie była oszpecceniem, była cudem. Przez tysiące lat ludzie odnosili różne obrażenia, które nie były znakiem cierpienia, lecz triumfu, zwycięstwem nad rozkładem, wiktoria nad śmiercią. Rany na ramieniu i nodze Petera (jeszcze niezabliźnione), strupy na uszach (już zesły), każde najdrobniejsze zadrapanie, oparzenie, krostka czy siniak, tysiące kontuzji odniesionych w ciągu całego życia, począwszy od złamanych nóg w kostkach na tydzień przed poznaniem Bei, obtartych kolan, kiedy spadł z roweru w dzieciństwie, wysypki od przemoczonych pieluch, na którą cierpiał jako niemowlę... nic z tego nie przeszkodziło mu dotrzeć do tego miejsca, w którym dziś się znajdował. On i Austin mieli zdumiewające szczęście. Kiedy doktor został zraniony, jego szczęka musiała przypominać krwawą miazgę, bryłę pokrytą wstrętnym śluzem, a jednak zblizniła się magicznie świeżą, różową tkanką.

„Nic wam nie zaszkodzi”<sup>45</sup>, mówi Łukasz. „Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się”<sup>46</sup>, powiada Izajasz. „On leczy wszystkie twe niemoce”<sup>47</sup>, głosi psalm. Oto było – wyraźne jak blizna na zadowolonym z siebie obliczu doktora – świadectwo nieustannego odraczania wyroku, któremu Oazjanie nadali nazwę: technika Jezusa.



## Niektórzy z nas mają robotę

Na zewnątrz niebo pociemniało, chociaż ciągle był dzień. Złowieszcze masywne chmury uformowały dziesiątki prawie idealnych gigantycznych okręgów. Peter patrzył na nie przez okno swojego pokoju. Miłośnik Pierwszy zapewniał go, że na Oazie nie ma burz. Wyglądało na to, że się pomylił.

Kiedy olbrzymie kule wilgoci przybliżyły się, łatwiej było w nich dostrzec coś znajomego, ale jednocześnie przybrały groźniejszy wygląd. Tworzyły znane Peterowi wiry deszczu, jednak ich struktura nie była już tak subtelna. Tym razem wydawało się, że na miliardy kropel działa jakaś wewnętrzna siła podobna do grawitacji, która skupia materię, kształtując planety i inne gazowe ciała niebieskie. Kule były gęste, nieprzezroczyste i pokryły jasny dzień żalobnym kirem.

„Nadciągają deszczowe chmury” – powinien napisać do Bei, ale nie potrafił. Przytłaczał go ból. Cierpiał z powodu tego, o czym się dowiedział, ale i ze wstydu, bo pisał marne listy, w których nie zdołał wyrazić tego, co czuł. Gdyby lepiej mógł podzielić się z nią tym, czego tu doświadcza, może nie oddaliłaby się od niego tak bardzo. Szkoda, że giętkość mowy, którą zsyłał mu Bóg, gdy Peter przemawiał publicznie do obcych ludzi, nie przychodziła mu w sukurs, kiedy pisał prywatne listy do żony.

Usiadł przy Sztosie i sprawdził wiadomości. Nie było niczego nowego.

Prawda była prosta i oczywista jak pusty ciemny ekran, na którym kiedyś migotały jej słowa. Nie widziała już sensu w ich korespondencji. Albo nie mogła odpisać, bo była zbyt zajęta, smutna lub miała kłopoty. Może powinien pisać do niej, nie licząc na odpowiedź, wysyłać po prostu kolejne wiadomości, tak jak ona na początku jego misji. Wysyłała wiadomość za wiadomością, list za listem, a on nie odpowiadał. Szukał słów, które mogły dodać jej otuchy, czegoś w rodzaju „nadzieja to jedna z najsilniejszych rzeczy w całym wszechświecie. Imperia upadają, cywilizacje rozpadają się w proch...”. Nie, retoryka kazań to jedno, a ponura rzeczywistość, w której żyła jego żona, to drugie. Cywilizacje nie rozpadały się tak łatwo, imperia nie znikwały jak słońce za horyzontem. Ich koniec znaczyły chaos i krew. Prawdziwi, żywi ludzie byli poniewierani, bici, okradani, wpędzani w nędzę. Prawdziwe życie kończyło się w kloace. Bea była przerażona, cierpiała i nie potrzebowała jego kazań.

Beo, kocham Cię, napisał. Bardzo się o Ciebie martwię.

Czy to w porządku, że wyda pięć tysięcy dolarów należących doUSIC, żeby wysłać tych kilka nic nieznaczących słów? Prawie natychmiast nacisnął klawisz transmisji. Litery drżały na ekranie. Mijały kolejne minuty – dwie, trzy, cztery. Peter bał się, że jego uczucia ocenia zblazowany, znużony pracownik siedzący

w jakimś odległym pokoju, bał się, że oblał egzamin, że zgrzeszył przeciw przykazaniom USIC, że oskarżą go o sabotowanie wiekopomnej misji. Wpatrywał się w ekran, podczas gdy pot zalewał mu czoło, i ponieważ zauważył, że niepotrzebnie postawił średnik po literze B w drugim zdaniu. Chciał go skasować, ale słowa nagle zniknęły.

ZATWIERDZONE, PRZESŁANE zamrugał ekran.

Dzięki Bogu.

Na zewnątrz rozległ się grzmot.

Peter się modlił.

W życiu każdego chrześcijanina nadchodzi taki czas, kiedy musi on poznać, pod jakimi warunkami Bóg zgodzi się uzdrowić chorego. Teraz Peter musiał zmierzyć się z tym pytaniem. Podobnie jak inni wierni z jego kościoła w Anglii, do dzisiejszego dnia radził sobie dzięki połączeniu wiary, medycyny i zdrowego rozsądku. Trzeba jeździć ostrożnie, zażywać lekarstwa zgodnie z informacjami na opakowaniach, polewać oparzenia zimną wodą, pozwalać, aby chirurg usuwał cysty, pamiętać, że chrześcijanin cierpiący na cukrzycę musi przyjmować insulinę podobnie jak ateista, traktować atak serca jako poważne ostrzeżenie, pamiętać o tym, że wszystkie istoty ludzkie muszą umrzeć, ale i o tym, że Bóg jest łaskawy i może wyrwać ofiarę z paszczy śmierci, jeżeli... Jeżeli co?

Kilkaset metrów od niego na metalowym łóżku leżała Miłośniczka Piąta, drobna i bezradna w wielkiej pustej sali opatrzonej napisem OIOM. Nic, czym dysponowali lekarze USIC, nie mogło uzdrowić jej gnijącego ciała. Amputacja będzie jak odkrojenie zepsutej części jabłka, oczyszczanie martwego owocu.

Ale Bóg... Bóg może... Co może Bóg? Bóg może wyleczyć raka, to zdarzało się często. Nieoperacyjny guz pod wpływem modlitwy potrafił cudownie się zmniejszyć i wyrok śmierci mógł zostać odłożony na lata. Chociaż Peter nie pochwalał wiary w szarlatanów uzdrowicieli, widywał ludzi, którzy budzili się z rzekomo nieodwracalnej śpiączki, uratowane wcześniaki w beznadziejnym stanie, a nawet niewidomą kobietę, która odzyskała wzrok. Ale dlaczego Bóg robił to tylko dla niektórych chrześcijan, a nie dla wszystkich? To podstawowe pytanie było zbyt prostackie dla uczonych teologów, nie zajmowali się nim na synodach. Jaka była odpowiedź? Do jakiego stopnia Bóg przestrzegał praw biologii, pozwalając, by łamały się zwapnione kości, ból po prawej stronie brzucha przeistaczał się w marskość wątroby, a z przeciętych arterii tryskała krew? A jeśli prawa biologii na Oazie nie pozwalały na uleczenie **SLM**, bo nie istniał żaden mechanizm uzdrawiania ich ciał, czy modlitwa miała jakikolwiek sens?

„Dobry Boże, nie pozwól umrzeć Miłośniczce Piątej”.

Słowa były infantylne, odpowiednie dla pięcioletniego dziecka.

Ale może takie modlitwy są najlepsze.

Poprzez grzmoty dobiegające z nieba i dudnienie własnych myśli trudno było mu usłyszeć pukanie do drzwi. Wreszcie zorientował się, że ktoś się do niego dobija, i otworzył.

– Jak się czujesz? – zapytała Grainger. Była ubrana, jakby miała wyjechać gdzieś z bazy.

Cholernie źle, chciał odpowiedzieć odruchowo.

– Jestem zdenerwowany i martwię się bardzo o moją znajomą.

– A fizycznie?

– Fizycznie?

– Jesteś gotowy pojechać ze mną? – Jej głos był grzeczny, ale stanowczy, Grainger w pełni odzyskała panowanie nad sobą. Nie miała już zaczerwienionych i podpuchniętych oczu i nie czuć było od niej alkoholu. Właściwie była piękna, piękniejsza, niż przypuszczał. Oprócz swojej ulubionej chusty miała na sobie białą bluzkę z luźnymi rękawami, które ledwie sięgały łokci, odsłaniając siatkę blizn na jej białych przedramionach. Jakby chciała powiedzieć: „Patrzcie, niczego się nie wstydzę”.

– Nie możemy pozwolić, żeby Tartaglione tam zgnił. Musimy przywieźć go z powrotem.

– On nie chce wracać – powiedział Peter. – Gardzi wszystkimi tutaj.

– Tylko tak mówi – ostro i niecierpliwie odparła Grainger. – Znam go, sporo rozmawialiśmy. To bardzo ciekawy człowiek, bystry i uroczy. I towarzyski. Zwariuje tam.

Peter przypomniał sobie, jak wyglądał – nagie straszdyło jakby żywcem przeniesione ze średniowiecznych rycin.

– On już zwariował.

Oczy Grainger się zwęziły.

– Nie sądzisz, że z góry wydałeś na niego wyrok?

Peter odwrócił wzrok. Zbyt wiele ciężarów spadło ostatnio na jego barki. Niezdarnie próbował udawać, że jest pochłonięty pralką, która wyświetliła komunikat o końcu prania.

– Zresztą to ja z nim porozmawiam – dodała Grainger. – Ty nie musisz nic mówić. Tylko pomóż mi go wywabić z kryjówki. Zrób to, co zrobiłeś ostatnio.

– Zataczałem się jak ślepiec w ciemnościach, miałem halucynacje, byłem przekonany, że umieram, i na głos recytowałem parafrazę Psalmu 23. Nie jestem pewien, czy potrafię znów wczuć się w klimat.

Położyła ręce na biodrach i spojrzała na niego wyzywająco.

– Czy mam rozumieć, że nie spróbujesz?

Oczywiście w końcu pojechali. Nie dostawczą furgonetką, której używała do handlu wymiennego z Oazjanami, ale przypominającym karawan kombi z legowiskiem na tylnych siedzeniach, tym samym, które ostatnio prowadził Peter. Grainger musiała się oswoić z nowym pojazdem, obcym zapachem,

nieznaną deską rozdzielczą i siedzeniem nieprzystosowanym do jej figury. Była niewolnicą swoich przyzwyczajzeń. Peter uzmysłowił sobie, że tacy sami byli wszyscy pracownicy USIC. Nie było wśród nich poszukiwaczy przygód, zadbało o to sito Elli Reinman. Wśród nich to właśnie on miał najbardziej rozbudzony zmysł ryzyka. A może Tartaglione. I dlatego oszalał.

– Mam nadzieję, że widok tego samochodu skłoni go, by do nas wyszedł – wyjaśniła. – Prawdopodobnie ostatnim razem zobaczył cię już z daleka.

– Była noc.

– Samochód oświetlał drogę reflektorami. Mógł cię obserwować.

Peter był innego zdania. Tartaglione pewnie obserwował swoją wanienkę z bimbrem i przywoływał zwietrzałe wspomnienia lepszych czasów.

– A jeśli go nie znajdziemy?

– Znajdziemy – powiedziała Grainger, koncentrując wzrok na nudnej płaskiej przestrzeni.

– A jeśli nie?

Uśmiechnęła się.

– Trzeba mieć wiarę.

Niebiosa zagrzmiały.

Kilka minut później Peter zapytał:

– Mogę sprawdzić wiadomości?

Grainger zaczęła po omacku szukać schowka. Nie była pewna, czy w tym samochodzie jest Sztos. Jakaś szufladka wysunęła się jak język z paszczy plastikowej zabawki, ukazując dwa ohydne przedmioty podobne do zmumifikowanych ślimaków. Kiedy przyjrzeni im się dokładniej, okazały się spleśniałymi cygarami. W innym schowku znaleźli kilka kartek zadrukowanego papieru, opalizującego wszystkimi kolorami tęczy. Były pomarszczone jak jesienne liście. Najwyraźniej pracownicy USIC nie używali karawanu Kurtzberga od czasu jego zniknięcia. Może uważali, że przynosi pecha, a może nie ruszali go, licząc na powrót pastora.

Palce Grainger wreszcie natrafiły na Sztos. Położyła go na kolanach Petera, który włączył urządzenie. Wyglądało na to, że działa, więc sprawdził, czy nie ma listu od Bei. Nie było. Może ten konkretny egzemplarz Sztosu skonfigurowano w inny sposób i Peter niewłaściwie go aktywował? Sprawdził powtórnie. Pomyślał, że jeśli Bea wysłała wiadomość, to mogła dojść właśnie w ciągu tych kilku sekund.

Znowu nic.

W miarę jak jechali, niebo ciemniało coraz bardziej. Nie było jeszcze tak czarne jak sadza, ale na pewno wyglądało groźnie. Znów rozległ się grzmot.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Grainger zerknęła z zaciekawieniem przez boczną szybę.

– Ja tak – powiedziała. Wyczuwając jego niedowierzanie, dodała: – Jestem

tu dłużej niż ty. – Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. – Za długo.

– Co to oznacza?

– Oznacza?

– Kiedy robi się tak ciemno?

Westchnęła.

– Pada deszcz, nic więcej. Czego się spodziewałeś? To miejsce to jedno wielkie rozczarowanie.

Chciał coś powiedzieć. Zaprotestować i wziąć w obronę piękno tej planety lub rzucić jakąś uwagę o projekcie USIC. Nie zdążył, bo kiedy otworzył usta, rozwidlona błyskawica przecięła niebo, szyby zalało oślepiające światło, a samochodem coś targnęło, jakby spadła na niego gigantyczna pięść.

Pojazd zadygotał i się zatrzymał.

– Jeeezu! – krzyknęła Grainger.

Żyła. Oboje żyli. Co więcej, trzymali się mocno za ręce. Ulegli zwierzęcemu instynktowi strachu i teraz zawstydzeni puścili swoje dłonie.

Nic się im nie stało, nie mieli nawet jednego przypalonego włosa na głowach. Sztos leżący na kolanach Petera zgasł, w martwym ekranie odbijała się biała jak kreda twarz pastora. Z deski rozdzielczej zniknęły migoczące litery i cyfry. Grainger pochyliła się i przekręciła kluczyk w stacyjce. Zezłościła się, kiedy silnik nie zareagował.

– To nie miało prawa się zdarzyć – powiedziała. Pod wpływem szoku w jej oczach pojawiła się wściekłość. – Wszystko powinno nadal działać. – Spróbowała znów bezskutecznie uruchomić silnik. Wielkie krople deszczu zabębniły o szyby.

– Piorun musiał coś uszkodzić – powiedział Peter.

– To niemożliwe. Wykluczone.

– Grainger, to i tak cud, że przeżyliśmy.

Nie chciała go słuchać.

– Samochód to najbezpieczniejsze miejsce w czasie burzy z piorunami. Metalowa skorupa działa jak klatka Faradaya. – Zauważyła, że nie zrozumiał, więc dodała: – To fizyka na poziomie podstawówki.

– Musiało mnie nie być w szkole tego dnia – powiedział, kiedy oglądała, opukiwała i poszturchiwała niesprawne kontrolki i przyciski. Śwąd spalonych obwodów elektrycznych powoli wypełniał kabinę. Deszcz zalewał okna, które zaparowały od środka; poczuli się tak, jakby zamknięto ich w pudle pozbawionym otworów.

– Nie mogę w to uwierzyć – narzekła Grainger. – Wszystkie nasze pojazdy są zaprojektowane do trudnych warunków terenowych. Zbudowano je tak, jak niegdyś robiono samochody, zanim ludzie zaczęli je faszerować mnóstwem cholernej technologii, która zawodzi przy każdej okazji. – Ściągnęła chustę z głowy. Miała zaczerwienioną twarz, a szyję mokrą od potu.

– Musimy się zastanowić, co możemy zrobić – powiedział łagodnie Peter.

Oparła głowę o zagłówek fotela i popatrzyła w sufit. Na dachu krople deszczu wybijały marszowy rytm. Taki sam wygrywali dobosze w zamierzchłych czasach, kiedy szli do boju z werblami zawieszonymi na biodrach.

– Jechaliśmy tylko kilka minut – powiedziała Grainger. – Baza pewnie jest jeszcze w zasięgu wzroku. – Nie miała ochoty wysiadać na deszcz i moknąć, więc odwróciła się i starała wyrzeć przez tylną szybę. Nie była w stanie niczego zobaczyć prócz zaparowanego okna i rozłożonego materaca. Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka wir wilgotnego powietrza i wyszła na zewnątrz. Kiedy stanęła obok samochodu, wiatr próbował zerwać z niej ubranie, które natychmiast przesiąkło wodą. Wsiadła z powrotem i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nic nie widać – powiedziała. Spod mokrej bluzki wyraźnie prześwitywały ramiączka stanika i sutki. – Ani bazy, ani C-1. Musimy być dokładnie w połowie drogi. – Uderzyła ze złością w kierownicę.

Deszcz przestał padać. Niebo rozjaśniło się, zalewając ich bladym światłem. Strumyki powietrza jak wąsy pnącej rośliny zawędrowały pod mankiety bluzki Grainger, unosząc przemoczoną tkaninę i nadając jej ramionom muskularny wygląd. Wdarły się też pod ubranie Petera. Wślizgnęły się pod podkoszulek i nogawki spodni, łaskocząc go w kolana. Były natarczywe i usiłowały przedostać się przez ciasne fałdy materiału opinające jego genitalia.

– Droga powrotna pieszo zajmie nam godzinę – powiedziała Grainger. – Maksymalnie dwie.

– Czy opony zostawiły ślady na ziemi?

Wyszła, żeby to sprawdzić.

– Tak – potwierdziła, kiedy wróciła. – Widać je jak na dłoni. – Jeszcze raz spróbowała uruchomić silnik. Nie patrzyła na swoją rękę, kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, jakby chciała oszukać pojazd i wprowadzić go w ruch tą pozornie automatyczną czynnością.

– Wygląda na to, że Tartaglione dogadał się z Bogiem – powiedziała.

Spakowali starannie rzeczy. Grainger napełniła torbę przyborami i lekarskimi pierwszej pomocy. Peter znalazł zapleśniałą walizkę Kurtzberga, wyjął z niej egzemplarz Nowego Testamentu, który przemienił się w twardą jednolitą bryłę, i włożył dwie plastikowe dwulitrowe butelki z wodą.

– Szkoda, że nie ma paska na ramię – powiedział, ujmując walizkę za rączkę. – Te butelki sporo ważą.

– Będą coraz lżejsze, w miarę jak będziemy pić – zauważyła Grainger.

– Zanim dojdziemy do bazy, deszcz spadnie jeszcze dwa razy.

– Co nam to da?

– Podnosisz głowę i pijesz. Tak robią to **SLM**, krajowcy, jak wolisz.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – odparła Grainger – wolałabym nie robić tego tak jak krajowcy.

Zauważyli, że na karoserii widnieją ślady spalenizny, kołpaki pokryła sieć

spękań przypominająca wytatuowaną pajęczynę, a z wszystkich opon zeszło powietrze. Pojazd przestał być samochodem i rozpoczął metamorfozę.

Szli po śladach opon w kierunku bazy. Grainger była dobrym piechurem. Miała krótsze nogi niż jej towarzysz, ale poruszała się na tyle szybko, że Peter nie musiał skracać kroku. W dość krótkim czasie przebyli spory dystans i pomimo płaskiego terenu sylwetka samochodu malała coraz bardziej, aż w końcu zniknęła zupełnie. W miarę jak się posuwali, ślady stawały się coraz trudniejsze do odróżnienia na wygładzonej przez deszcz ziemi. Trudno było się rozeznać, co pozostawił pojazd, a co jest dziełem natury. Mroczne do niedawna, groźne niebo wypogodziło się i słońce świeciło jasno i równomiernie. Grainger pociągała od czasu do czasu łyk wody, Peter wolał poczekać. Bardziej brakowało mu jedzenia niż picia, był głodny i przeszkadzało mu to w marszu.

Niełatwo było maszerować po stepie, ale w ciągu pierwszej godziny pokonali co najmniej dwie mile. W ciągu drugiej pewnie nie mniej, ale na horyzoncie nadal nie było widać bazy USIC. Odciski kół zniknęły i wyglądało na to, że zgubili drogę.

– Może wrócimy po własnych śladach do samochodu. USIC w końcu wyśle kogoś, żeby sprawdził, co się stało – odezwał się Peter.

– Jasne – powiedziała Grainger. – W końcu, jak już będziemy martwi.

Oboje zaskoczyło to słowo, wypowiedziane jakby od niechcienia. Choć niewątpliwie popełnili błąd, w takich wypadkach należało zachować przynajmniej pozory optymizmu.

– Ty po mnie przyjechałaś – przypomniał jej Peter.

Roześmiała się. Pewnie uważała, że jest naiwny.

– To była moja własna decyzja, USIC nie miał z nią nic wspólnego. Ci goście nie ruszyliby na ratunek własnym matkom, mówię dosłownie. Jak myślisz, dlaczego ich wybrali? Bo są wyprani ze wszystkich uczuć, mogliby sobie wytatuować na czołach ZWISA MI TO.

– Przecież zauważą, że cię nie ma.

– Na pewno. Jak ktoś wpadnie do apteki po maść na kurzajki i mnie nie zastanie, to najwyżej sobie pomyśli: Trudno, kilka kurzajek to nie koniec świata, da się przeżyć. A jak nie zjawię się jutro, żeby przeprowadzić kontrolę żywności: Co tam, to tylko głupia formalność, i tak to zjemy. Może poruszymy tę sprawę na najbliższym zebraniu.

– Nie wierzę, że nic ich to nie obchodzi – powiedział bez przekonania Peter.

– Znam tych ludzi – odparła Grainger. – Wiem, w jaki sposób funkcjonują. Bóg wie, ile minęło czasu, zanim zauważyli zniknięcie Kurtzberga i Tartaglioneo. I co zrobili? Wysłali samochody we wszystkich kierunkach, żeby przeczesały każdą piędź ziemi w promieniu pięćdziesięciu kilometrów? Nic z tego, kotku. Wyluzuj i poczytaj sobie jakieś pisemko. Poćwicz bica. Cały pieprzony świat się wali i to też nie robi na nich wrażenia. Myślisz, że przejmą

się nami?

- Mam nadzieję – powiedział Peter.
- Zazdroścę – westchnęła.

Szli dalej i byli coraz bardziej zmęczeni.

- Może powinniśmy się zatrzymać – odezwał się Peter.
- Po co?
- Żeby odpocząć.

Usiedli na ziemi – dwa różowe ssaki odziane w bawełnę zagubione na bezkresnej przestrzeni. W pobliżu rosły niewielkie kępy białych kwiatów. Peter wyciągnął najbliższą roślinę z ziemi, oderwał kawałek i włożył do ust. Nie była smaczna. Zdziwiająco, że po odpowiedniej obróbce, gotowaniu i przyprawieniu była taka dobra, a w czystej postaci obrzydliwa.

- Da się zjeść? – zapytała Grainger.
- Nie bardzo.

– Poczekam, aż wrócimy do bazy – powiedziała beztrosko. – Dziś mamy niezłe menu. Kurczak curry i lody. – Uśmiechnęła się. Chyba chciała go przeprosić za swoje niedawne zwątpienie.

Niezbyt pokrzepieni ruszyli dalej. Szli długo. Grainger opróżniła już pół butelki wody, a Peter napił się prosto z nieba, kiedy tak jak przewidywał, zmoczył ich kolejny deszcz.

– Hej – zawołała, gdy stał wyprostowany z głową przechyloną do tyłu. Miał rozdziawione usta, jabłko Adama poruszało się w górę i w dół. – Wyglądasz jak indyk.

Peter chciał się roześmiać, bo uwaga Grainger miała być żartobliwa, ale uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy uświadomił sobie, że zapomniał, jak wyglądają te ptaki. Przecież poznał je w dzieciństwie, rodzice pokazali mu obrazek w jakiejś książeczce. Teraz jego pamięć, z której w każdej chwili mógł zacytować mnóstwo fragmentów Biblii, nie mogła sobie poradzić ze słowem „indyk”.

Grainger zrozumiała, co się dzieje, i zmartwiła się.

– Nie pamiętasz, prawda? – zapytała, kiedy usiedli ponownie. – Zapomniałeś, jak wyglądają indyki.

Kiwnął głową, jak przyłapano na kłamstwie dziecko. Do tej pory tylko Bea potrafiła odgadnąć jego myśli.

– Dziura w pamięci – przyznał.

– Tak to się dzieje – powiedziała poważnym tonem. – Tak właśnie zmienia cię to miejsce. Jest jak wielka dawka propanolu, która wymazuje wszystko, co pamiętałeś. Nie daj się złamać.

Mówiła to z taką pasją, że poczuł się niezręcznie.

– Jestem... jestem po prostu... roztargniony.



– Na to szczególnie powinieneś zwrócić uwagę – powiedziała, obejmując kolana i patrząc na rozciągający się przed nimi step. – Rزتargnienie. Stopniowe, pozornie niewinne wyzbywanie się pamięci. Posłuchaj. Chcesz wiedzieć, czemu było poświęcone ostatnie zebranie personelu? Poza kwestiami technicznymi i smrodem w ładowni za skrzydłem H? Powiem ci. Czy te zdjęcia na korytarzach naprawdę muszą tam wisieć. Tylko się kurzą, prawda? Stara fotografia jakiegoś miasta na Ziemi, ludzie jedzący lunch na stalowym wsporniku, bardzo piękne, ale widzieliśmy to już milion razy, ciągle przechodzimy obok niego i już nam się opatrzyło, zresztą ci faceci dawno nie żyją, oglądamy martwych gości i chyba mamy już tego dość. Lepsze są czyste gołe ściany. Koniec i kropka.

Grainger przeczesła palcami zlepione wilgocią włosy. Ten gest działał mu na nerwy.

– Peter... Pozwól, że ci przypomnę, co to jest indyk. To ptak. Pod dziobem ma czerwoną fałdę, wygląda to jak wielki glut... a raczej jak kondom. Ma czerwoną głowę z niewielkimi guzkami, jak na skórze jaszczurki, szyja razem z głową tworzą kształt litery S. Chodzi w ten sposób... – Zaczęła poruszać głowę i szyją, naśladując niezdarne ruchy ptaka. – Ta chuda wężowata główka i szyja umieszczone są na nieproporcjonalnie wielkim, tłustym, opierzonym szarym tułowiu. – Spojrzała Peterowi prosto w oczy. – Brzmi znajomo?

– Tak, udało ci się... przywrócić jednego do życia. Dla mnie.

Usatysfakcjonowana uspokoiła się i rozluźniła.

– Właśnie to powinniśmy robić, zachowywać żywe wspomnienia. – Ułożyła się wygodniej, podłożyła sobie torbę pod głowę i rozciągnęła się na ziemi, jakby miała zamiar się opalać. Jaskrawozielony owad usiadł na jej ramieniu i zaczął poruszać odwłokiem. Peter chciał go zgonić, ale w końcu zostawił go w spokoju.

Usłyszał głos w swojej głowie: „Umrzesz tu, na tym pustkowiu. Nigdy nie zobaczysz Beatrice. Ta równina, te nieliczne kępki białych kwiatów, obce niebo, owady, które czekają, by złożyć jaja w twoim ciele, ta kobieta u twego boku – to jest treścią twojego życia w jego ostatnich dniach i godzinach”. Słowa były wyraźne, ale trudno było rozpoznać akcent i płęć mówiącego. Peter słyszał go już wielokrotnie i był pewien, że to nie jest jego własny głos. W dzieciństwie myślał, że to jego sumienie; jako chrześcijanin ufał, że to Bóg do niego przemawia. Bez względu na to, do kogo należał głos, zawsze mówił mu dokładnie to, co Peter powinien był usłyszeć.

– Jakie jest twoje najwcześniejsze wspomnienie? – zapytała Grainger.

– Nie jestem pewien – odpowiedział. – Może jak mama sadza mnie w specjalnym plastikowym krzeselku dla dzieci w tureckiej restauracji. Trudno odróżnić prawdziwe wspomnienia od rekonstrukcji na podstawie starych fotografii i rodzinnych opowieści.

– Nie bądź taki – powiedziała to tonem, jakby przed chwilą oznajmiał, że miłość to tylko spotkanie spermy z komórkami jajowymi. – Tuska też ma bzika

na tym punkcie. Mówi, że nie ma czegoś takiego jak wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Codziennie bawimy się naszymi neuronami, rozrzucamy je po hipokampie, konstruując bajeczki wypełnione postaciami o imionach ludzi, z którymi mieliśmy styczność. „Twój tata to tylko mgiełka wzbudzona przez aktywność molekuł w płacie czołowym”. Tak ci powie z tym zadowolonym z siebie uśmieszkiem. Dupek.

Wyciągnęła rękę. Peter nie wiedział, czego po nim oczekuje. Podał jej butelkę z resztką wody. Wypiła odrobinę.

– Mój tata – ciągnęła – pachniał prochem strzelniczym. Mieszkaliśmy na farmie w Illinois. Bez przerwy polował na króliki, były dla niego jak robaki, futrzane robaki. Jeździłam po okolicy na rowerze i wszędzie widziałam zabite króliki. Kiedy mnie przytulał, zawsze wyczuwałam zapach prochu na jego koszuli.

– Hm... wspomnienia, które wywołują mieszane uczucia – powiedział ostrożnie Peter.

– Ale są prawdziwe, i to jest najważniejsze. Farma była prawdziwa, tak jak martwe króliki i zapach koszuli ojca. Czuć było od niego proch, a nie tytoń, farbę czy wodę po goleniu. Wiem, że tam byłam. – Mówiła wyzywająco, jakby ktoś w to wątpił, jakby wśród pracowników USIC istniało sprzysiężenie, które chciało jej wmówić, że pochodziła z Los Angeles, jej matka była ukraińską dentystką, a ojciec miał niemiecko-chińskie korzenie.

Usiadły na niej jeszcze dwa owady, jeden na włosach, drugi na piersi. Nie zwracała na nie uwagi.

– Co się stało z waszą farmą? – zapytał taktownie Peter. Chciał podtrzymać rozmowę, która najwyraźniej zamierała.

– Spierdalaj! – krzyknęła, uderzając się dłonią w okolice oka.

Drgnął gwałtownie i już chciał ją przeprosić, chociaż nie wiedział za co, ale okazało się, że nie krzyczała na niego. Nie chodziło też o owady. Ze wstrętem wyjęła połyskujący drobny przedmiot najpierw z jednego, a potem z drugiego oka. Szkła kontaktowe.

– To cholerne powietrze – powiedziała. – Próbowano dostać się pod moje soczewki. Zaczęło wślizgiwać się pod krawędzie. Aż mi skóra ścierpła. – Zamrugnęła powiekami. Jedna soczewka leżała na ziemi, druga przykleiła się jej do buta. – Nie powinnam tego robić, nie widzę najlepiej. Dojdzie do tego, że będziesz musiał prowadzić mnie za rękę. Na czym skończyliśmy?

Peter z trudem nawiązał do przerwanej wątku.

– Zapytałem, co się stało z waszą farmą.

Przetarła oczy i rozejrzała się, sprawdzając, czy dobrze widzi.

– Zbankrutowaliśmy – powiedziała. – Farmę zlicytowano i przeprowadziliśmy się do Decatur, niedaleko Bethany, w którym wcześniej mieszkaliśmy. Kupiliśmy małe mieszkanko w mieście, tuż obok Sangamon River. No, może nie aż tak, żeby dojść do rzeki pieszo. Trzeba było podjechać kawałek samochodem.

– No tak – powiedział Peter. Ogarnęła go melancholia. Uświadomił sobie, że w ogóle go to nie interesuje. Niewiele zostało z dawnego pastora, który potrafił rozmawiać z ludźmi... Jeśli przeżyje i wróci do cywilizacji, jego kariera duszpasterska dobiegnie końca. Wszystkie szczegóły składające się na życie innych ludzi – miejsca, gdzie mieszkali, nazwiska ich krewnych, nazwy rzek, nad którymi lubili się przechadzać, prozaiczne perypetie w pracy i domowe sprzeczki – przestały mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

– Decatur to teraz nudne miejsce – ciągnęła Grainger. – Ale ma dość niezwykłą historię. Kiedyś nazywano je światową stolicą soi. Słyszałeś o Abrahamie Lincolnie?

– Oczywiście, to najśłynniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Westchnęła z wdzięcznością, jakby razem odparowali cios wymierzony w erudycję i tylko oni dwoje byli wykształconymi ludźmi w kolonii filistrów.

– Lincoln mieszkał w Decatur, chyba w osiemnastym wieku, zresztą nie pamiętam. Był tam prawnikiem, zanim został prezydentem. Postawili mu pomnik przedstawiający, jak stawia gołą stopę na pniu ściętego drzewa. Siadywałam na tym pniu, kiedy byłam małą dziewczynką. Nie myślałam, że robię coś złego, że okazuję brak szacunku, po prostu chciałam odpocząć.

– Oczywiście – powiedział Peter. Teraz i na nim siadały owady. Za tydzień, za kilka dni oboje staną się nawozem. Może kiedy nadejdzie ich ostatnia godzina, powinni się obejmować?

– Bardzo mi się podobało to, co powiedziałaś na pogrzebie.

– Pogrzebie?

– Severina. Stał mi przed oczami jak żywy.

Peter usiłował sobie przypomnieć, co o nim mówił i kim w ogóle był Severin.

– Nie miałem pojęcia, że zrobiłem na tobie takie wrażenie.

– To było piękne. – Przez chwilę upajała się wspomnieniem jego mowy. – Na pewno zbyt piękne dla tych... tępaków. Mówili o tym później na zebraniu i wszyscy się zgodzili, że przekroczyłeś pewną granicę. Uznali, że jeśli znów ktoś z pracowników umrze, to nie powinieneś zajmować się pogrzebem. – Owady poczynały sobie coraz śmieiej. Jeden jaskrawozielony usiadł pośrodku czoła Grainger. Nie zdawała sobie z tego sprawy. – Broniałam cię – powiedziała, obserwując niebo.

– Dziękuję.

Oparł się na łokciu i popatrzył na nią. Piersi unosiły się i opadały przy każdym oddechu, dwie półkule tkanki tłuszczowej umieszczone na żebrach, dwa pojemniki na mleko stworzone z myślą o karmieniu dzieci, których nigdy nie będzie mieć. Jednak dla niego te piersi były odurzająco piękne, jak zmysłowe dzieło sztuki, a ich rytmiczne falowanie wzbudzało pożądanie. Wszystko w niej było cudowne: pokryta delikatnym meshkiem skóra za uszami, symetria obojczyków, miękkie, nabrzmiące usta, a nawet pomarszczone blizny na przedramionach. Nie była jego bratnią duszą, nie miał co do tego złudzeń. Intymna bliskość, jaka łączyła go z Beą, z nią nie była możliwa. Szybko by ją

zanudził, a ona stwarzałaby mu za dużo kłopotów. Jak większość kobiet i mężczyzn, którzy uprawiali miłość od początku świata, prawie nic ich nie łączyło. Oprócz tego, że razem tkwili w tej pułapce i oboje byli żywi – przynajmniej na razie. Wyciągnął rękę. Chciał delikatnie położyć dłoń na jej piersi.

– Opowiedz mi o swojej żonie. – Grainger zamknęła oczy. Była zmęczona, senna i lekko odurzona wspomnieniami.

– Odwróciła się ode mnie – powiedział Peter, cofając rękę. – Oddaliliśmy się od siebie. – Chociaż miał zamiar jedynie stwierdzić fakty, jego słowa zabrzmiały zrzędlawie i tchórzliwie, jak frazes uzalającego się nad sobą typowego cudzołożnika. Stać go było na więcej. – Przeżywa straszne chwile, wszystko tam się sypie, rozpada, spadają na nich okropne nieszczęścia. Straciła... wiarę w Boga. Zamordowali naszego kota Joshuę, a przedtem go torturowali, chyba to przelało czarę goryczy. Jest przerażona i samotna, a ja nie potrafiłem jej wesprzeć.

Grainger przekręciła się i ułożyła wygodniej. Jedną rękę podłożyła pod głowę, drugą położyła na piersi. Nie otworzyła oczu.

– Nie opowiadasz mi o Bei. Mówisz mi, co się dzieje między wami. Opowiedz mi o niej. Jak wygląda, jakie ma oczy, coś o jej dzieciństwie.

Położył się obok niej i oparł głowę na ramieniu.

– Ma na imię Beatrice. Jest trochę starsza ode mnie, ma trzydzieści sześć lat. Nie ukrywa swojego wieku. Jest... najmniej próżną kobietą, jaką znam. Nie chodzi o wygląd, jest piękna i ubiera się z klasą, ale nie dba o to, co ludzie o niej powiedzą. Jest dumna. Nie nadęta, ale... ceni się. To rzadkie, bardzo rzadkie. Większość ludzi zмага się ze swoimi traumami, uzala się nad sobą, wiesz, o co mi chodzi. Bea też mogłaby tak się zachowywać, zważywszy, jakie miała dzieciństwo. Jej ojciec miał obsesję, chciał każdego kontrolować. Zniewazał ją. Kilka razy spalił wszystkie jej rzeczy, dosłownie, nie tylko zabawki i książki. Wspominała, jak kiedyś, kiedy miała dziewięć lat, była z matką w supermarkecie Tesco, w całodobowej galerii handlowej. Była druga w nocy, miała na sobie tylko piżamę, gołe stopy zsiniały jej z zimna, bo był styczeń i padał śnieg, a ona musiała przejść boso z samochodu do sklepu. Matka zaprowadziła ją do działu z ubraniami i kupiła jej majtki, skarpetki, podkoszulki, buty i spodnie. To się zdarzało kilka razy.

– No, no – powiedziała Grainger. Nie wyglądało na to, że ta historia zrobiła na niej większe wrażenie. Peter domyślił się, że porównała cierpienia Bei z własnymi i uznała, że to nic takiego. Ludzie często tak reagują, chyba że są **SLM**.

– Jak wygląda? – zapytała. – Opisz mi ją.

– Ma brązowe włosy, kasztanowate. – Trudno mu było opisać jej włosy, przywołać ich prawdziwy obraz. Być może wymienił ten kolor, bo przyzwyczał się używać jego nazwy w rozmowach z różnymi osobami. – Jest wysoka, prawie mojego wzrostu. Ma wąskie brązowe oczy. – Te szczegóły były mało

sugestywnym uogólnieniem; mogły pasować do milionów kobiet. Ale co więcej mógł powiedzieć? Opisać jej pieprzyk pod lewym sutkiem? Kształt jej pępka? – Jest wysportowana, pracuje jako pielęgniarka. Poznaliśmy się, kiedy leżałem w szpitalu z połamanymi kostkami. Skoczyłem z parapetu.

– Oj. Chciałeś popełnić samobójstwo?

– Nie, uciekałem przed policją. Byłem wtedy ćpunem, włamywałem się do mieszkań. Tego dnia miałem pecha. Chociaż raczej powinienem powiedzieć: szczęście.

Grainger mruknęła na znak, że zgadza się z tym stwierdzeniem.

– Straciła przez ciebie pracę?

– Skąd wiesz? – Był pewien, że nigdy jej o tym nie mówił.

– Zgadłam. Pielęgniarki często wiążą się z pacjentami, a pacjenci często są narkomanami albo kryminalistami. To się nie podoba przełożonym. Byłeś kiedyś w więzieniu?

– Właściwie nie. Kilka razy zamykano mnie w areszcie. Najdłużej siedziałem dwa tygodnie, kiedy czekałem na proces i nikt nie wpłacił kaucji. – Dopiero teraz uświadomił sobie, jak pobłażliwie potraktował go los.

– Zgadza się – powiedziała z zadumą Grainger.

– Co takiego?

– Jesteś szczęściarzem, Peter. W czepku urodzony.

Poczuł się urażony. Chciał, żeby wiedziała, iż cierpiał nie mniej niż inni.

– Przez kilka lat byłem bezdomny. Dostałem nieźle w kość. – Miał nadzieję, że powiedział to z godnością, ale chyba wyszło z tego skomlenie.

– Część wielkiej przygody, prawda? – odparła bez sarkazmu znużonym, smutnym głosem.

– Co przez to rozumiesz?

Westchnęła.

– Są ludzie, którzy pakują się w kłopoty. Walczą na wojnach, trafiają do więzienia, rozkręcają interes, który muszą zwinąć z powodu zatargu z gangsterami. Wreszcie uciekają gdzie pieprz rośnie i lądują w jakimś obcym kraju. Ich życie to długa lista problemów, niepowodzeń i upokorzeń. Ale to ich nie rusza, przeżywają przygodę, każdego dnia mówią sobie: ciekawe, co dziś się zdarzy. Są i inni, spokojni ludzie, którzy starają się żyć uczciwie, unikać kłopotów, mają dziesięć, a może czternaście lat i pewnego piątku, o godzinie dziewiątej trzydzieści pięć, coś się wydarza, coś bardzo osobistego, intymnego, co łamie im serce. Na zawsze.

Leżał w milczeniu, starając się zrozumieć, co powiedziała.

– Tak się poczułem – odezwał się wreszcie – kiedy Bea powiedziała mi, że to koniec.

Znów zaczęło padać. Nie mieli gdzie się schronić, więc zostali na miejscu. Leżeli i mokli, Grainger z zamkniętymi oczami. Peter patrzył na jej stanik, który znów stał się widoczny pod bluzką, przyglądał się zarysowi piersi. Grainger podciągnęła rękawy, wystawiając zabliznione rany na deszcz. Za

każdym razem, kiedy Peter przebywał w jej towarzystwie, zastanawiał się, czy będzie miał okazję zapytać o jej samookaleczenia. Teraz nadszedł właściwy moment. Starał się sformułować pytanie, ale żadne z oczywistych słów – „dlaczego”, „kiedy” – nie wydało mu się właściwe. Zrozumiał, że nie chce już wiedzieć. Ból Grainger należał do przeszłości i nie miało sensu go ożywiać. Obok niego leżała kobieta z delikatnymi bliznami na ramionach. Gdyby przesunął palcem po jej skórze, wyczułby je. To wszystko.

Kiedy ulewa się skończyła i słońce znów zaczęło grzać, Grainger zapytała:

– Wzięliście ślub w kościele czy w urzędzie?

– W kościele.

– To był wielki, elegancki ślub?

– Nie bardzo. Nie było rodziców, ani jej, ani moich. Ani rodziny. Z różnych przyczyn. Tylko kilka osób z kościoła Bei, który później stał się też moim kościołem. – Prawdę mówiąc, niewiele pamiętał z tej uroczystości. Przede wszystkim wpadające przez okna słońce, które nieoczekiwanie rozświetliło szare listopadowe popołudnie. – Było miło, chyba wszyscy dobrze się bawili. Alkoholu nie brakowało, ale ja nie piłem, nawet mnie nie kusiło. To było spore wyzwanie, bo jestem... alkoholikiem.

– Ja też – powiedziała.

– Alkohol nigdy nie odpuszcza.

Uśmiechnęła się.

– Jak Bóg, prawda? Jest nawet bardziej lojalny niż Bóg.

Przez chwilę leżeli w milczeniu. Dwa małe owady tego samego gatunku spotkały się na brzuchu Grainger i zaczęły kopulować.

– Założę się, że Ella Reinman kira po kryjomu.

– Słucham?

– Pije. Nie znałeś tego słowa?

– Nigdy nie jest za późno na poszerzenie słownictwa.

– Myśli, że jest taka cwana – powiedziała ze złością Grainger. – Uważa, że potrafi przejrzeć cię na wylot i stwierdzić, czy znów zaczniesz pić. Pomyliła się co do nas, prawda?

Peter milczał. Niczego by nie zyskał, gdyby jej wytłumaczył, że zapach alkoholu, który wyczuła od niego, wyciągając go z nory Tartaglioneo, pochodził z poplamionej diszdaszy. Niech myśli, że zapili oboje. Niech myśli, że złamał solenną obietnicę, że stracił resztki godności. Może to przyniesie jej ulgę.

– Byłam inną osobą, kiedy mnie przesłuchiwała. To było milion lat temu. Ludzie się zmieniają.

– Tak, ludzie się zmieniają.

Owady skończyły kopulować i odleciały.

– Opowiedz mi o sukni ślubnej twojej żony – poprosiła.

– Była biała, dokładnie taka, jaka powinna być. Konwencjonalna, w zasadzie nic specjalnego, ale jej biel stanowiła bardzo ważny symbol. Bea miała

okropną przeszłość, złe doświadczenia seksualne. Była... maltretowana i wykorzystywana. Ale nie dała się zniszczyć.

Grainger podrapała się po przedramionach. Chyba miała alergię i deszcz podrażnił skórę w okolicach starych ran.

– Daj spokój z symboliką. Opisz dokładniej suknię.

Wysilił pamięć, starając się przetrząsnąć pomost przez całą galaktykę, do ich londyńskiej sypialni.

– Nie miała ozdobionego koronkami długiego trenu – powiedział. – Była wygodna, Bea mogła się w niej swobodnie poruszać. Miała poszerzone ramiona, ale nie przesadnie, elegancko, długie rękawy ściśle obejmowały jej ręce; miała brokatowy kołnierz, ale materiał na piersiach był jedwabście gładki. Suknia była do kostek, nie zamykała podłogi.

Grainger skinęła głową i mruknęła z zadowoleniem. Takiego opisu oczekiwała.

– Najbardziej niesamowite jest to, że Bea wkładała ją jeszcze wiele razy na różne okazje. Nosiła ją też w domu, tylko dla nas.

– To takie romantyczne. – W oczach Grainger pokazały się łzy.

Petera ogarnęła rozpacz. Wspomnienie, jak gorzko rozczarował Beę, było świeższe niż ta wzruszająca opowieść.

– Tuska pewnie by powiedział, że to cliche historyjki. Stare dzieje. Życie nie stoi w miejscu, Bea jest już inną osobą. Wiesz, nie tak dawno napisałem jej o tej sukni, jak bardzo mi się w niej podobała, a Bea... odpowiedziała, że jestem sentymentalny i koncentruję się na tym, kim była, a nie na tym, kim jest teraz.

Grainger potrząsnęła głową.

– Pieprzenie – powiedziała miękko, a nawet z czułością. – Uwierz mi, serce jej mięknie, kiedy wspominasz o tej sukni. Byłaby zdruzgotana, gdybyś zapomniał o tym stroju. Nie rozumiesz tego? Wszyscy jesteśmy sentymentalni, wszyscy. Na świecie jest z pięćdziesiąt osób, które nie są. I wszystkie pracują tutaj.

Roześmieli się oboje.

– Powinniśmy jednak spróbować wrócić – powiedział Peter.

– Dobra. – Podniosła się. Poruszała się sztywno, on zresztą też. Byli formami życia opartymi na węglu i zaczynało brakować im paliwa.

Minęła godzina i nadal nie natrafili na bazę USIC, ale znaleźli coś innego. Na horyzoncie dostrzegli dziwny migoczący obiekt. Kiedy się do niego zbliżali, zastanawiali się, czy to nie fatamorgana, jednak rzecz okazała się jak najbardziej realna. Były to resztki dużego namiotu w kształcie domku, zupełnie jak z dzieciennego obrazka. Metalowy stelaż był nienaruszony, tylko płótno zwisało w strzępach.

W środku nie było niczego, żadnych zapasów, pośłania czy narzędzi. Wydzielony na ziemi kawałek pustej przestrzeni, którą mogła wypełnić tylko wyobraźnia.

Za namiotem stał wkopany w ziemię, lekko przekrzywiony drewniany krzyż.

Skromny, nieduży, sięgający im zaledwie do kolan. Skąd się tu wzięło drewno? Na pewno nie pochodziło z tego świata. Musiało zostać tu przetransportowane przez biliony mil statkiem kosmicznym razem z lekarstwami, prasą fachową, rodzinami i ludźmi. Dwie sosnowe deski, które pewnie nigdy nie miały zostać połączone w ten sposób. W dwa solidne kawałki drewna (pociągnięte bejcą, żeby imitowały dąb) wbito gwoździe – jeden spajał listwy, drugi, lekko zagięty, przytrzymywał dwa małe kółka. Złote obrączki ślubne Kurtzberga i jego żony, którą zgubił w odległej galaktyce dawno, dawno temu.

Na poprzecznej belce krzyża pastor wydrapał przesłanie, a potem mozolnie poczerpnął litery żarem z papierosa lub zapalniczki. Peter spodziewał się łacińskiej sentencji lub nawiązania do wiary, Chrystusa lub życia po śmierci.

ZA WSZYSTKO, CO WIDZIAŁEM I PRZEŻYŁEM, JESTEM NIESKOŃCZENIE WDZIĘCZNY, głosił napis.

Strzępy brezentu łopotały na wietrze, a oni wpatrywali się w krzyż przez kilka minut.

– Wracam do domu – oznajmiła Grainger głosem nabrzmiałym od płaczu. – Muszę odszukać tatę.

Peter objął ją. Teraz powinien powiedzieć coś stosownego, co byłoby godne tej chwili. Jako człowiek, jako sługa Boży musiał wypełnić misję: pogodzić ich oboje z losem. Nikt nie wróci do domu, ona nie odnajdzie taty. Zgubili się i wkrótce umrą. Uderzył w nich piorun, a oni nie potrafili odczytać tego znaku.

– Grainger... – zaczął. Miał pustkę w głowie, ale wierzył, że natchnienie użyje mu słów.

Zanim zdążył coś powiedzieć, głuchy pomruk, który brali za wiatr targający podartym płótnem namiotu, wzmógł się i oliwkowozielony wojskowy dżip przejechał obok nich. Zwolnił, zatrzymał się i cofnął.

Ciemna twarz z olśniewająco białymi zębami wychyliła się przez okno.

– Napatrzyliście się już? – ryknął BG, ponownie uruchamiając silnik. – Śpieszy mi się, niektórzy z nas mają robotę.



## Wiedział, że komuś należy podziękować

Przez całą powrotną drogę Peter słyszał za swoimi plecami szloch, westchnienia i potoki gniewnych słów. Czasem były chaotyczne, niezrozumiałe, a chwilami jasne i rzeczowe. Siedział z przodu, obok BG, prawie stykając się ramieniem z tym ogromnym mężczyzną. Jego własne ciało wydawało się kruche w porównaniu ze zwałami mięśni kierowcy. Siedząca z tyłu Alexandra Grainger cierpiała katusze.

BG prowadził w milczeniu. Jego dobroduszna twarz zastygła i zmieniła się w ponurą maskę pokrytą lśniąca warstwą potu. Koncentrował się – a może tylko udawał – na drodze przed nimi, jeśli to, po czym jechali, w ogóle można było nazwać drogą. Tylko jego oczy zdradzały, że jest zdenerwowany.

– Lepiej nie próbujcie mnie powstrzymać – mówiła Grainger. – Nie mogą mi zabronić. Nieważne, ile to kosztuje. Co mi zrobią? Pozwą mnie? Zabiją? Muszę wrócić do domu. Mogą sobie zatrzymać moją pensję. Cztery lata pracy za darmo, to wyrówna rachunki, prawda? Muszą mnie puścić. Mój tata jeszcze żyje. Wiem. Czuję to.

BG zerknął we wsteczne lusterko. Może ze swojego miejsca widział więcej niż Peter, który dostrzegał jedynie wąski prostokąt czarnej tapicerki. Pod wpływem prądów uwięzionego w kabinie powietrza wydawał się pokryty półprzezroczystym, lepkiem falującym welonem.

– Przez cztery lata harowałam jako farmaceutka. – Grainger wylewała z siebie potoki słów. – Wydawałam lekarstwa tym małym odrażającym dziwolągom. Ile to jest warte, BG? Wystarczy na przejażdżkę do domu?

BG skrzywił się. Nie był przyzwyczajony do takich kryzysów.

– Wyluzuj, Grainger, dobrze ci radzę – powiedział spokojnie. – Tu nie chodzi o koszty. Ja byłem z powrotem, Severin wracał kilka razy i kilka innych osób też brało urlop i nikt nie wystawiał im za to rachunków. Jeśli musisz wracać, to wracaj, nie ma sprawy.

– Naprawdę tak myślisz? – Mówiła drżącym głosem, jak młoda dziewczyna wychowana na farmie w Illinois, szczerze zawstydzona, że miliony dolarów, które nie są jej własnością, mogą pomóc i ukoić ból.

– Pieniądze są głównie warte – powiedział BG. – To tylko zabawa: dziesięć dolców za baton czekoladowy, pięćdziesiąt za butelkę pepsi, a wszystko potrącane z wypłaty. Pieprzenie. To niewinna rozrywka w piątkowy wieczór, Grainger, jak gra w monopol czy bierki, jak dziecięcy poker na orzeszki. Pensja to też ściema. Gdzie wydamy te pieniądze? Nigdzie się stąd nie ruszymy.

– Ale ty byłeś w domu – powiedziała Grainger – niedawno. Po co?

BG zacisnął usta. Najwyraźniej nie miał ochoty o tym mówić.

– Musiałem coś załatwić.

– Sprawy rodzinne?

BG potrząsnął głową.

– Powiedzmy, że musiałem coś dokończyć. Facet z moją pracą musi mieć wolną głowę. Zostawiłem tam rozgrzebane sprawy, musiałem rozwiązać pewne problemy. Potem wróciłem tu do roboty i czułem się jak nowo narodzony.

Po jego słowach Grainger umilkła na chwilę, ale zaraz znów zaczęła histeryzować.

– Ale właśnie o to chodzi: wróciłeś, nie odszedłeś. A ja chcę to rzucić. Muszę, rozumiesz? Rzucę tę robotę i nigdy tu nie wrócę. Nigdy.

BG podrapał się po szczęce.

– Nigdy nie mów nigdy, Grainger. Nigdy nie mów nigdy. To chyba z Biblii, prawda, Peter?

– Nie jestem pewien – mruknął Peter. Doskonale wiedział, że w Biblii niczego takiego nie ma.

– Na pewno jest, w pierwszym rozdziale – upierał się BG. – Bóg radzi Mojżeszowi i jego kumplom: Ten dzień jest wasz! Załatwcie to, ludzie! Bądźcie twardzi i gotowi!

Peter patrzył, jak BG unosi prawą dłoń nad kierownicą i potrząsa nią triumfalnie. Dawno temu, w poprzednim życiu, BG musiał nieraz stać wśród ciemnoskórych wyznawców Narodu Islamu i wszyscy razem potrząsali tak wzniesionymi pięściami. Teraz ich slogany mieszały mu się z tysiącami fragmentów Koranu, Biblii, poradników, czasopism, programów telewizyjnych – sieczka, którą karmił własne ego, aż spało się i nabrało sił.

Słowa Biblii, które przechowywał Peter, były czyste i nieskażone, żadnego nie dało się zastąpić innym. A jednak po raz pierwszy wstydził się tego. Świętą księgę, na której głoszenie poświęcił tyle czasu, cechowało pewne okrutne prawo: nie oferowała pocieszenia lub nadziei tym, którzy nie byli religijni. „Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego”<sup>48</sup>, twierdził Łukasz i to przesłanie, które Peter zawsze uważał za najbardziej radosną i pozytywną afirmację, teraz zostało przeniecone jak stary płaszcz i zmieniło znaczenie. „Bez Boga bowiem nie ma nic możliwego”. Jaki to miało sens dla Grainger? Jaki dla Bei? Ich życie tak się ułożyło, że będą musiały radzić sobie bez Zbawcy i samotnie zmagać się z losem. Jeśli człowiek pozbawiony wiary szuka odpowiedzi w Biblii, Pismo umywa ręce i odpowiada: „marność nad marnościami”.

– Jak tam było, BG? – spytała Grainger. – Powiedz mi, jakie to uczucie wrócić do domu?

– Teraz tu jest mój dom – ostrzegł ją BG, poklepując się palcami po piersi, jakby nie miał na myśli Oazy, tylko własne ciało, które mogło przebywać w dowolnym punkcie we wszechświecie.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała Grainger, z trudem opanowując wzburzenie. – Ale mimo wszystko spróbuj, do cholery. Ja wyjechałam tak

dawno. Musiało się tam sporo zmienić. Nie oszczędzaj mnie, BG, daruj sobie podnoszące na duchu gadki, wał prosto z mostu. Jak tam jest?

BG zawahał się, ważąc słowa.

– Bez zmian – powiedział.

– Nie wierzę ci! – krzyknęła histerycznie. – Nie okłamuj mnie! Nie traktuj z góry! Wiem, że wszystko się wali!

„Dlaczego nie zapytasz mnie?” – pomyślał Peter. Od pewnego czasu traktowała go jak powietrze.

– Zawsze wszystko się waliło – odpowiedział spokojnie BG. Nie próbował się bronić, według niego fakty mówiły same za siebie. – Spierdoliliśmy, za przeproszeniem, planetę Ziemię już dawno temu.

– Nie o to mi chodzi – jęknęła Grainger – tylko o... Co się dzieje w okolicy, tam, gdzie dorastałeś, co z domem, z krewnymi...

BG oderwał wzrok od bezkresnej pustki rozciągającej się przed samochodem i zerknął na ekran nawigacji.

– Grainger, zacytuję ci jeszcze jedno mądre zdanie: Nie ma powrotu<sup>49</sup>.

„Thomas Wolfe, około roku 1940”, pomyślał bezradnie Peter.

– Tak? Jeszcze zobaczycie – rzuciła wojowniczym, podszytym strachem tonem. – Jeszcze, kurwa, zobaczycie.

BG milczał. Najwyraźniej uznał, że Grainger jest tak naładowana, że nie warto z nią dyskutować. Ale brak reakcji rozsierdził ją jeszcze bardziej.

– Wiesz, kim jesteś? – wydyszała. Mówiła teraz, jakby była pijana. – Małym chłopczykiem, który uciekł z domu. Wielki, twardy facet, który boi się stawić czoła rzeczywistości. Potrafisz tylko udawać, że nic się nie stało.

BG przymknął na chwilę oczy. Nie stracił panowania nad sobą. Nie potrafił. To było jego nieszczęściem i zarazem powodem do chwały.

– Stawiłem czoła wszystkiemu, czemu musiałem, Grainger – powiedział cicho. – Nie wiesz, co zrobiłem, a czego nie. Nie wiesz, skąd pochodzę i dlaczego odszedłem. Nie wiesz, kto mnie zranił, a kogo ja. Nie będę ci się spowiadał. Chcesz usłyszeć jakąś soczystą historyjkę o moim ojcu? Kiedy umarł, miał dokładnie tyle lat, ile ja teraz. Zablokowane naczynie wieńcowe. Żegnaj, Billy Grahamie seniorze, żegnaj, staruszkule. Jeśli odziedziczyłem po nim skłonność do tej choroby i umrę w przyszłym tygodniu, to... cóż, nie przejmuję się tym. I to wszystko, co powinnaś o mnie wiedzieć. – BG zmienił bieg i samochód zwolnił. – Ale zawsze, kiedy będziesz chciała odnaleźć drogę i wydostać się z tej pustyni, jestem do dyspozycji.

Uspokoila się trochę. Toczące się po ziemi koła przenosiły równomiernie drgania na kabinę i jazda przypominała nieco lot samolotem. BG zaparkował w cieniu budynku bazy, tuż przed wejściem do skrzydła, w którym znajdowała się kwatera Grainger. Wysiadł, okrążył samochód i otworzył jej drzwi jak dżentelmen o nieskazitelnym manierach.

– Dziękuję – powiedziała. Przez całą drogę nie zwracała uwagi na Petera.

Odwrócił się i patrzył, jak wysiada. Była zmęczona i odrętwiała po podróży; chwyciła ramię BG jak metalową poręcz i wygramoliła się na zewnątrz. Drzwi zatrzasnęły się za nią, a Peter nadal obserwował przez zaparowane okna sylwetki dwojga ubranych na biało pracowników USIC. W wilgotnym powietrzu obraz falował, jakby został zarejestrowany na starej zniszczonej taśmie wideo. Peter zastanawiał się, czy wejdą do budynku, trzymając się pod rękę, ale jak tylko Grainger zdołała złapać równowagę, puściła ramię BG i szybko odeszła.

– Myślę, że to z powodu pioruna – powiedział BG, kiedy wrócił do samochodu. – Takie uderzenie musi pozostawić ślady. Dajmy jej czas, dojdzie do siebie.

Peter skinął głową. Nie był pewien, czy jemu to się uda.

Doktor Adkins natknął się na Petera, kiedy ten klęczał przed salą intensywnej opieki medycznej. „Natknął” nie jest najwłaściwszym określeniem, w rzeczywistości omal się o niego nie potknął. Nie stracił jednak zimnej krwi. Oglądał go przez chwilę, sprawdzając, czy żadna część pastora nie wymaga interwencji chirurgicznej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Próbuję się modlić – odpowiedział Peter.

– No tak... – Lekarz popatrzył w głąb korytarza, jakby chciał powiedzieć: „Nie możesz robić tego gdzieś, gdzie ludzie nie będą sobie przez ciebie łamać karków?”.

– Przyszedłem się zobaczyć z Miłośniczką Jezusa Piątą. – Peter podniósł się z podłogi. – Wiesz, o kim mówię?

– Oczywiście, jest pod moją opieką. – Doktor się uśmiechnął. – Miło dla odmiany mieć do czynienia z prawdziwym pacjentem. Czasami mam dość pięciominutowych konsultacji na temat zapalenia spojówek lub stłuczonych młotkiem palców. Wpadają jak po ogień, trzask-prask! i po wszystkim.

Peter spojrział mu w twarz, szukając przynajmniej cienia empatii.

– Odniosłem wrażenie, że doktor Austin nie wiedział, co naprawdę dzieje się z Miłośniczką Piątą – powiedział. – Chyba sądzi, że ty poradzisz sobie lepiej.

– Zrobimy, co w naszej mocy – odparł nieprzekonująco Adkins.

– Ona umrze.

– Nie wchodźmy tam jeszcze. – Adkins powstrzymał go przed wejściem do sali.

Peter zacisnął ręce. Usiłował modlić się gorliwie i te próby pozostawiły ślady na delikatnej skórze pomiędzy kostkami dłoni.

– Oni nie mogą wyzdrowieć, rozumiesz? Nie są w stanie. Nasze ciała... twoje ciało i moje... to rodzaj cudu. I nie ma nic wspólnego z religią, to cud natury. Możemy wałnąć się młotkiem w palec, możemy rozciąć skórę, sparzyć się, połamać kości, nasze rany mogą podchodzić ropą, a za chwilę nie ma po tym

śladu! To niewiarygodne! Niemożliwe! Ale prawdziwe. My otrzymaliśmy ten cudowny dar, ale **SLM**, Oazjanie, go nie dostali. Mają tylko jedną szansę... tylko jedną... jednorazowe ciało. Robią, co mogą, by je chronić, ale kiedy coś im się przydarza, kiedy ulegną wypadkowi, to... koniec.

Doktor Adkins skinął głową. Był miłym i niegłupim człowiekiem. Położył dłoń na ramieniu Petera.

– Musimy iść krok po kroku, przejść przez to razem z... tą panią. Straci rękę, to pewne. Ale co dalej... Postaramy się coś wymyślić.

Oczy Petera napełniły się łzami. Tak bardzo chciał w to wierzyć.

– Posłuchaj – powiedział Adkins – pamiętasz, jak cię zszywałem, powiedziałem ci, że praca lekarza przypomina zajęcia stolarza, hydraulika i krawca. W przypadku tej kobiety takie działania nie mają zastosowania, rozumiem to. Ale zapomniałem wspomnieć o jednym – o chemii. Ci ludzie zażywają środki przeciwbólowe i mnóstwo innych lekarstw, które od nas dostają. Nie braliby ich przez tyle lat, gdyby im nie pomagały.

Peter przytaknął odruchowo, nie mógł opanować drżenia podbródka. Nagle, po tylu latach, znów poczuł, jak obłudny jest świat. „Placebo, to wszystko placebo”. Łykasz pigułki i czujesz przyływ energii, podczas gdy komórki w twoim ciele obumierają. Alleluja, mogę chodzić na chorych stopach, ból minął, prawie go nie czuję, no, może odrobinę, chwala Panu!

Adkins popatrzył na swoją dłoń, która od dłuższego czasu spoczywała na ramieniu Petera. Może wierzył, że kryje w sobie magiczne serum?

– Ta... twoja Miłośniczka Piąta jest naszą szansą. Nigdy nie mieliśmy okazji badać żadnego z nich. Dowiadujemy się mnóstwa nowych rzeczy, uczymy się szybko. Kto wie, może będziemy w stanie ją uratować. A jeśli nie ją, to jej dzieci. – Urwał. – Mają dzieci, prawda?

Peterowi przesunęły się przed oczami obrazy z porodu przypominającego narodziny cielaka, rozradowany tłum, ceremonia ubierania dziecka, przedziwne piękno małego **qBdp** niezdarnie tańczącego i machającego łapkami w rękawiczkach w dniu swoich urodzin.

– Tak, mają.

– No właśnie.

Miłośniczka Piąta w jasno oświetlonej sali i wielkim łóżku wyglądała tak samo zagubiona i samotna jak poprzednio. Gdyby gdzieś w pobliżu leżał pracownikUSIC ze złamaną nogą albo siedziało kilku zdrowych **SLM** i rozmawiało z nią w jej własnym języku, widok nie byłby taki straszny. Straszny dla kogo? Peter zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę chodziło mu o uspokojenie własnego sumienia. Jako pastor odwiedzał wiele sal szpitalnych, ale nigdy dotąd nie zetknął się z kimś, na kogo sam sprowadził niebezpieczeństwo śmierci.

– Niech Bóg błogosławi **spopkanie**, Ojce **Peper** – powiedziała na jego widok. Zamiast kaptura miała głowę owiniętą ręcznikiem z logoUSIC.

Nadawało to jej bardziej kobiecy charakter, jakby nosiła hidżab albo perukę. Wsunęła końcówki zawoju pod szpitalny szlafrok i podciągnęła koc do ramion. Lewą dłoń miała nieosłoniętą, prawą ściśle spowijał bawełniany opatrunek.

– Miłośniczko Piąta, tak mi przykro – powiedział i głos od razu mu się załamał.

– **Psy**kro nie **ps**eba – zapewniła go. Rozgrzeszenie, którego mu udzieliła, kosztowało ją mnóstwo wysiłku. Haniebne, że ją do tego zmuszał.

– Ten obraz, który spadł na twoją rękę... – powiedział, siadając na łóżku obok jej chudych nóg. – Gdybym nie poprosił...

Zdrową dłonią wykonała gest, którego nigdy by się nie spodziewał po żadnym Oazjaninie. Uciszyła go, przykładając palce do jego ust. Po raz pierwszy poczuł dotyk nagiego ciała **SLM**, nieosłoniętego miękką tkaniną rękawiczki. Gładkie i ciepłe końcówki palców pachniały owocami.

– Nic nie **sp**ada **bes** planu Boga.

Delikatnie objął jej dłoń.

– Nie powinienem tego mówić, ale ze wszystkich z twojego ludu to na tobie zależy mi najbardziej.

– Wiem – powiedziała po ledwie zauważalnej chwili wahania. – Ale Bóg nie wybiera ulubionych, dba o **wsysp**kich.

Ciągle wspominała o Bogu i Peter poczuł się tak, jakby ktoś wbijał mu w ciało ostry sztylet. Miał wiele do wyznania, musiał powiedzieć jej o swojej wierze i o tym, co zamierzał dalej robić.

– Miłośniczko Piąta... – zaczął – nie chcę... cię okłamywać. Ja...

Skinęła ze zrozumieniem, dając znak, że nie musi kończyć.

– **Cujes**... brak Boga. **Cujes** nie **moses** byc **jus** Ojcem.

Przekręciła się na bok i popatrzyła na drzwi, przez które wszedł, drzwi, które prowadziły do świata zewnętrznego. Gdzieś tam była osada, w której po raz pierwszy pokochała Jezusa, ich dawna, porzucona przez nich siedziba.

– Ojciec **Kurts**berg **s**agniewany, mówił **głos**no, mówił ja **jus** nie Ojciec. **snajds**iecie innego.

Peter z trudem przełknął ślinę. Broszura biblijna, którą zszyl własnoręcznie, leżała na pościeli tuż obok jego nędznego tyłka. W kwaterze miał jeszcze tyle niewykorzystanej kolorowej wełny.

– **py** **pyl**ko... – Miłośniczka Piąta urwała, szukając właściwego słowa – ... **ć**łowiek. **pyl**ko **ć**łowiek. Bóg **więksy**. **py** **nosis** **s**łowo, **s**łowo **sa** **cięskie**. **py** **musis** odpocąć. – Położyła rękę na jego udzie. – Ja **rosum**iem.

– Moja żona... – zaczął.

– Ja **rosum**iem – powtórzyła. – Bóg **s**łącył was. **peraz** wy **osob**no.

Peter znów przypomniał sobie swój ślub, światło w kościelnych oknach, tort, nóż, suknię Bei. Sentymetalne marzenia o chwilach, które nigdy nie wrócą, tak jak zjedzony przez mole mundurek skauta wrzucony w zamierzonych czasach do kosza i zabrany przez śmieciarzy. Zmusił się, by pomyśleć o swoim obecnym domu, otoczonym przez odpadki, pogrążonym w mroku i kryjącej się

w tych upiornych ciemnościach sylwetce kobiety, której nie rozpoznawał.

– Nie chodzi tylko o to, że jesteśmy osobno – powiedział. – Bea ma kłopoty, potrzebuje pomocy.

Miłośniczka Piąta przytaknęła. Jej zabandażowana ręka była niemyym oskarżeniem – nie ma poważniejszych kłopotów niż jej własne.

– Wypełnisz słowo **Jesusa**. Łukas **mówi**: **Ostawiś siewięcdziesiąt dsiewięc** na **pustyni** i **pójdzies** **sa sagubioną**<sup>50</sup>.

Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, kiedy zrozumiał, skąd pochodzi ten cytat. Musiała go usłyszeć od Kurtzberga.

– Rozmawiałem z lekarzami – powiedział żałośnie. – Zrobią dla ciebie wszystko, co jest w ich mocy. I dla... innych. Nie będą w stanie uratować ci ręki, ale może ocalą życie.

– Będę rado**śna**, jak ocalą.

Przesunął się trochę, na brzegu łóżka było mu niewygodnie. Lewy pośladek zdrętwiał i zaczynał go boleć. Za kilka minut wyjdzie z tego pokoju i jego ciało zacznie funkcjonować normalnie. Rozrusza mięśnie, ciśnienie krwi się ustabilizuje, ustaną neurologiczne objawy nerwicy, a Miłośniczka pozostanie sama i jej dłoń nadal będzie gnicić.

– Czy jest coś, co mogę dla ciebie teraz zrobić? – zapytał.

Zastanawiała się przez kilka sekund.

– **Spiewaj** – powiedziała – **Spiewaj se** mną.

– Co mam zaśpiewać?

– **Naśa pieśn** powi**palną**. **sy odejsies**, ja wiem. **Wiesę, se** kiedy**s** wróc**is** i **snów sa**spiewamy. – I bez dalszej zwłoki zaczęła: – **Nieswykłaaa** **taaaaa**sko...

Peter natychmiast się do niej przyłączył. Jego ochryply przyciszony głos zmienił się, kiedy zaczął śpiewać. Akustyka w sali intensywnej opieki była lepsza niż w oazjańskim kościele, gdzie wilgotne powietrze i gęsty tłum wiernych tłumiły dźwięki. Tutaj, w chłodnej betonowej przestrzeni wypełnionej jedynie pustymi łózkami, niepodłączonym sprzętem medycznym i metalowymi stojakami kroplówek, *Cudowna łaska* niosła się głośno i wyraźnie.

– **śloooodki jesp** **pwóóój głoooos**...

Długość jej oddechu, chociaż skracająca go, by Peter mógł jej towarzyszyć, sprawiła, że pieśń ciągnęła się przez długi czas. Pod koniec był wyczerpany.

–**siękuję** – powiedziała Miłośniczka Piąta. – **Is** **juś**. **sawse** będę **pwoim**... **brapem**.

Nie było nowych wiadomości od Bei.

Skończyła z nim. Poddała się.

A może... może popełniła samobójstwo? Stan, w jakim znajdował się świat, śmierć Joshuy, utrata wiary, kłopoty z ich związkim... to były okropności, które ciężko jej było znieść. I może nie dała rady. Jako nastolatka miewała skłonności samobójcze. Prawie ją wtedy stracił, nawet nie wiedząc, że istnieje.

Postanowił napisać nową wiadomość. Musi wierzyć, że Bea ciągle żyje i nadal odbiera jego listy. Pusty ekran wydawał się olbrzymi, zbyt duży na słowa, które chciał na nim umieścić. Zastanowił się, czy nie zacytować lub sparafrazować fragmentu Drugiego Listu do Koryntian, gdzie opisany jest „dom, nie ręką uczyniony”<sup>51</sup>, który będzie na nas czekał, jeśli nasza ziemską siedziba zostanie zniszczona. Oczywiście był to biblijny cytat, ale trafnie odnosił się do spraw tego świata. Opisywał to samo co BG klepiący się po piersi – dom nie składa się z cegieł i wapna, dom może być wszędzie.

I znów usłyszał głos, głośny i wyraźny:

– Nie bądź głupi.

Wracam do domu, napisał. I na tym skończył.

Obiecał, że wróci, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Kliknął na ikonę zielonego skarabeusza i Sztos wyświetlił trzy opcje: Konserwacja (naprawy), Admin i Grainger. Nie tego szukał, ale najechał kursorem na Admin, otworzył nowe okno i napisał:

Przykro mi, ale muszę wracać do domu. Jak najszybciej. Nie jestem pewien, czy będę w stanie wrócić tu w przyszłości. Jeśli tak, to tylko z moją żoną. Nie chcę was szantażować, piszę tylko, co wchodziłoby w rachubę. Proszę o odpowiedź i informację, kiedy będę mógł wyjechać. Z poważaniem, Peter Leigh (pastor).

Przeczytał to ponownie i wykasował wszystko od „Nie jestem pewien” do „co wchodziłoby w rachubę”. Za dużo słów, za dużo wyjaśnień. Zasadnicza wiadomość, która wymagała odpowiedzi, była prosta.

Wstał i przeciągnął się. Ostre ukłucie w łydce przypomniało mu o ranie. Goiła się dobrze, ale ciało nadal było obolałe. Blizna zostanie na zawsze i ból będzie mu się od czasu do czasu dawać we znaki. Organizm potrafił się cudownie regenerować, ale wszystko ma swoje granice.

Diszdasza rozwieszona na sznurze wyschła. Atramentowy krucyfiks wyblakł i przybrał jasnofioletowy odcień. Tkanina na brzegach była w strzępach; wyglądała, jakby zrobiono ją tak celowo, bo zbite końcówki poszarpanych nitek przypominały puszyste frędzle.

– Nie myślisz chyba, że tylko kobieta może to włożyć? – zapytała Bea, kiedy po raz pierwszy rozpakowali szatę z folii. Przypomnił sobie nie tylko te słowa, lecz także dźwięk jej głosu, wyraz oczu, światło na koniuszku jej nosa. Wszystko. A potem dodała: – Możesz być nagi pod spodem, jeśli chcesz.

Była jego żoną, kochał ją. Gdzieś we wszechświecie – biorąc pod uwagę względność czasu i przestrzeni – musiało istnieć miejsce, w którym ciągle mogli być razem.

– Wyobraź sobie, że znajdujesz się na maleńkim niezatopialnym pontonie,



gdzieś pośrodku oceanu – poprosiła Ella Reinman podczas jednego z przesłuchań na dziesiątym piętrze eleganckiego hotelu. – Nagle spostrzegasz statek, jest bardzo daleko. Nie jesteś w stanie stwierdzić, czy płynie w twoją stronę. Wiesz, że gdy staniesz i zaczniesz machać, ponton przewróci się do góry dnem, ale jeśli nie zaryzykujesz, nikt cię nie zobaczy i nie zostaniesz uratowany. Co zrobisz?

- Nie ruszę się z miejsca.
- Jesteś pewien? A co, jeśli statek płynie w przeciwnym kierunku?
- Będę musiał się z tym pogodzić.
- I nic nie zrobisz?
- Będę się modlił.
- A jeśli modlitwy nie zostaną wysłuchane?
- Bóg zawsze słucha naszych modlitw.

Jego opanowanie zrobiło na nich wrażenie. Niechęć do impulsywnych, szalonych reakcji pomogła mu zdać ten egzamin na Ziemi i ten na Oazie. Poznał spokój bezdomnych i spokój **SLM**. Gdyby tego nie potrafił, na zawsze pozostałby honorowym gościem, Obcym.

Teraz chodził po swojej kwaterze jak zwierzę w klatce. Chciał być już w domu. Ruszyć w drogę, od razu, natychmiast. Igła w żyle, kobieta, która mówi „poczujesz ukłucie”, a potem ciemność. Tak! Byle szybciej. Każda minuta opóźnienia była męczarnią. Chodząc w kółko, o mało nie nadepnął na walający się po podłodze but. Wziął go do ręki i cisnął w kąt. Może Grainger w swoim pokoju miota się tak samo jak on, może powinni razem napić się burbona. Naprawdę miał ochotę na drinka.

Sprawdził Sztos. Nic. Zresztą kto i kiedy miałby przeczytać jego wiadomość? Jakiś inżynier albo pomocnik kucharza po godzinach pracy? Co to, kurwa, za organizacja, w której nikt nie dowodzi? Nie ma biur, do którego można wpaść i schwycić kogoś za gardło. Znowu przeszedł kilka razy wzdłuż pokoju, sapiąc głośno. Podłoga, sufit, okno, meble, łóżko. Nic tu nie pasuje, wszystko jest złe. Pomyślał o Tusce i jego gadce o Legii Cudzoziemskiej, o słabeuszach, którzy wariowali i gryźli ściany, błagając, by odesłano ich do domu. W uszach dźwięczał mu sarkastyczny głos Tuski. Zadowolony z siebie sukinsyn!

Osiemnaście minut później Sztos wyświetlił odpowiedź admina.

Cześć. Przesłałem Twoją prośbę do kwatery głównej USIC. Zwykle odpowiadają po 24 godzinach (nawet wielkie szychy czasem muszą się przespać), ale mam przeczucie, że się zgodzą. Byłoby sprytniej, gdybyś wspomniał, że zamierzasz wrócić i dokończyć swoją misję, ale to nie moja sprawa. Nie będę Ci radzić, jak się zdobywa sympatię i przyjaciół. W najbliższym miesiącu nie miałem w planach kolejnego lotu, ale co tam, zrobię, co się da. Może kupię sobie nowe trampki, zjem lody i wpadnę na stek. Albo na dziwki! Żartuję. Jestem prawym pielgrzymem, znasz mnie. Bądź w pogotowiu, dam Ci znać, kiedy ruszamy. *Au revoir*,

Tuska.

Skończywszy czytać, Peter zerwał się na nogi, przewracając krzesło. Przepętniony radością podskoczył wysoko, zaciskając pięści jak skazany na porażkę sportowiec, który odniósł niespodziewane zwycięstwo. Wykrzyknąłby też „Alleluja!”, gdyby nie dopadł go potworny skurcz w zranionej nodze. Płakał z bólu i śmiał się z radości, wił się na podłodze jak robak, jak złodziej, który połamał nogi w kostkach, jak mąż, który zamiast ścisnąć kurczowo łydkę, czule przytula swoją żonę.

– Dziękuję – wyszeptał. – Dziękuję...

Komu dziękował? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że komuś należy podziękować.

## Zostań tam, gdzie jesteś

Nazywał się Peter Leigh. Był synem Jamesa i Kate (z domu Woolfolk) Leigh, wnukiem George'a i June. Urodził się w Horns Mill, na przedmieściach Hertford w hrabstwie Hertfordshire. Imiona jego kotów w porządku chronologicznym to: Mokkie, Silky, Cleo, Sam, Titus i Joshua. Kiedy wróci do domu, będzie miał kolejnego, ze schroniska dla zwierząt, jeśli te miejsca nadal istnieją. Swoje dziecko nazwie takim imieniem, jakie wybierze Bea. Może Kate? Uzgodnią to, gdy nadejdzie czas. Może zaczekają, aż przyjdzie na świat, i zobaczą, jaki ma charakter. Indywidualność człowieka objawia się już w dniu narodzin.

Stanął wyprostowany w swoim pokoju, który wysysał z niego duszę, i przejrzał się w lustrze. Był trzydziestotrzyletnim Anglikiem, mocno opalonym, jakby wrócił z długich wakacji w Alicante lub innym śródziemnomorskim kurorcie. Jednak nie wyglądał zdrowo. Podbródek i obojczyki rysowały się zbyt ostro, był wychudzony nieodpowiednią dietą, diszdasza wisiała na nim jak na wieszaku, a w normalnym ubraniu wyglądał jeszcze gorzej. Na twarzy miał kilka szram, niektóre pochodziły z czasów, gdy nadużywał alkoholu, inne były świeże, pokryte strupami. W przekrwionych oczach czaiły się strach i smutek. „Wiesz, czego ci trzeba? – powiedział mu pewien kloszard, kiedy razem moknąc na deszczu, czekali na otwarcie schroniska dla bezdomnych. – Żony”. Kiedy Peter spytał go, czy opiera się na własnym doświadczeniu, tamten uśmiechnął się i potrząsnął siwą głową.

Korytarze w bazie USIC, które kiedyś brał za labirynt, teraz wydawały się swojskie. Zbyt swojskie, jak dobrze znane więzienie. Oprawione plakaty wisiały na swoich miejscach, odmierzając drogę, którą pokonywał, idąc w stronę garaży. Ze ścian spoglądali na niego niewidzącym wzrokiem Rudolf Valentino, spawaczka Rosie, pies w koszyku z kaczkami, uśmiechnięci uczestnicy pikniku Renoira. Flip i Flap zastygli przy budowie domu, którego nigdy nie będą w stanie dokończyć, a ci robotnicy z lat trzydziestych zawieszani wysoko nad Nowym Jorkiem... będą tam wisieć przez wieczność, nigdy nie skończą lunchu, nie spadną z dźwigara, nie zestarzeją się.

Kiedy Peter przeszedł przez ostatnie drzwi, powitał go zapach smaru silnikowego. Swoją ostatnią, pożegnalną podróż do C-2, do osady **SLM**, chciał odbyć samodzielnie, nie jako pasażer w czyimś samochodzie. Rozejrzał się w poszukiwaniu osoby, która dzisiaj pełniła dyżur w garażu. Miał nadzieję, że będzie to ktoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkał, kto nic o nim nie wie, oprócz tego, że jest misjonarzem, VIP-em, któremu należy dostarczyć wszystkiego,

czego zażąda. Oczywiście w granicach rozsądku. Niestety, osoba pochylona nad dziupem, przesłonięta częściowo przez uniesioną maskę, miała tyłek, który Peter rozpoznawał. Znowu Craig.

– Cześć – powiedziała. Była zajęta smarowaniem silnika i ledwie raczyła zwrócić na niego uwagę.

Negocjacje trwały krótko. Nie mógł jej winić, że odmawia wydania samochodu, zważywszy na to, co się stało ostatnim razem. Może spotkała ją krytyka ze strony kolegów, bo pozwoliła – kiedy najwyraźniej mu odbiło – by odjechał nocą kombi Kurtzberga. Nie dość, że trzeba go było ratować, to musieli jeszcze odholować samochód z powrotem do bazy. Craig była miła i uśmiechnięta, ale zachowywała rezerwę, jakby chciała powiedzieć: „Jesteś jak wrzód na tyłku”.

– Za dwie godziny wyrusza kolejna dostawa lekarstw – powiedziała, wycierając dłonie w szmatę. – Dlaczego nie zabierzesz się z nimi?

– Bo jadę tam ostatni raz. Chcę się pożegnać z **SLM**.

– Pożegnać z czym?

– Z Oazjanami. Miejscowymi. – „Odmieńcami z Miasta Dziwolągów, ty gruba idiotko”, pomyślał.

Zdziwiła się.

– Potrzebny ci własny samochód, żeby się pożegnać?

Zrezygnowany zwiesił głowę.

– Jeśli będę tam w towarzystwie ludzi zUSIC, to pomyślą, że potrzebuję... ochroniarzy. Lub wsparcia emocjonalnego, rozumiesz? – Podniósł wzrok i popatrzył jej prosto w oczy. Była lekko zdezorientowana i chyba jednak nie rozumiała. – To by wyglądało, jakbym się bał stanąć z nimi twarzą w twarz.

– Okej. – Craig podrapała się po wytatuowanym wężu. Mijały sekundy i stało się jasne, że jej „okej” nie oznaczało „w takim razie dam ci samochód” ani nawet „rozumiem, że to może cię martwić”. Znaczyło po prostu „aha”.

– Zresztą nie jestem pewien, czy Grainger wybiera się dziś do osady.

– To nie ona tam jedzie – powiedziała spokojnie Craig, zaglądając do grafiku. – Grainger nie będzie mieć dyżurów przez... – Zaczęła kartkować spis w poszukiwaniu jej nazwiska. – Przez dłuższy czas. – Skończyła przeglądać listę i spojrzała jeszcze raz na stronę z rozpiską na dzisiejszy dzień. – Dziś jadą Tuska i Flores.

Peter popatrzył na rząd pojazdów, którymi mógłby wyjechać z tego miejsca, gdyby tylko Craig nie stała mu na drodze.

– Sam zdecyduj. – Uśmiechnęła się i zrozumiał, że czasami nie ma wyboru.

– Widzę, jak stoisz na brzegu ogromnego jeziora – powiedziała Bea, kiedy po raz ostatni trzymał ją w ramionach. – Jest noc, na niebie pełno gwiazd. – Opowiedziała mu swoją wizję, w której Peter nauczał grono niewidzialnych postaci unoszących się na morzu w rybackich łodziach. Oboje wiedzieli, że to

tylko fantazja, że nic takiego naprawdę się nie zdarzy. Był kolejny słoneczny, ospały oazjański dzień. Krajowcy drzemali, przygotowywali jedzenie dla swoich dziwnych gości, prali ubrania lub bawili się z dziećmi i mieli nadzieję, że ich ciała przetrwają nienaruszone do zachodu słońca, kiedy znów będą mogli spocząć w swoich łóżkach kokonach. A może się modlili.

Peter miał trochę czasu przed wyznaczoną godziną odjazdu. Zastanawiał się, co może zabrać ze sobą do osady. Na stole obok kłębków wełny leżał stos niedokończonych broszur. Wziął do ręki ten z parafrazą rozdziału dwudziestego pierwszego z Objawienia świętego Jana. Zredukował liczbę „s” i „z” i zostawił tylko jedno „t”. Lepiej nie potrafił.

„I oglądałem niebo nowe i ląd nowy, bo dawne niebo i dawny ląd uciekły. I mówił głos z nieba: Bóg z wami w jednym domu. Wy jego ludem, a on Bogiem dla was. Nie ma więcej umierania, płaczu i bólu. Bo Bóg mówił: nowe tylko będzie”.

Aby uniknąć zbędnych wyjaśnień, które mogłyby go zaprowadzić na manowce, pominął Jeruzalem, morze, przybytek, apostoła Jana, oblubienicę i męża i jeszcze wiele innych rzeczy. Bóg z tej broszury nie ocierał łez z oczu, bo te wyrazy były trudne, ale przede wszystkim dlatego, że Peter ciągle nie wiedział, czy **SLM** mieli oczy i płakali. Przypomniawszy sobie, ile czasu spędził nad rozważaniami, czym mógłby zastąpić tyle skomplikowanych, niezrozumiałych słów. Na co zdał się ten trud? Teraz mógł tylko powiedzieć: przepraszam i żegnajcie.

– Piękny dzień – powiedział Tuska. Miał rację. Pogoda, jakby pragnąc uczcić ten doniosły moment, urządziła prawdziwy spektakl. Dwie wielkie kolumny (jedna z zachodu, druga ze wschodu) zbliżyły się do siebie i połączyły wierzchołkami, tworząc błyszczący łuk. Byli od niego jeszcze daleko, ale odnosili wrażenie, jakby zaraz mieli przejechać przez gigantyczną bramę utworzoną z kropel wody.

– Niczego sobie widoczek – dodał Tuska. – W skali dziesięciopunktowej dałbym dziewięć.

– Mam nadzieję, że tylne okna są zamknięte – powiedziała Flores. – Nie chciałabym, żeby lekarstwa zamokły.

– Są zamknięte – potwierdził Peter.

Tuska i Flores siedzieli z przodu i odkąd dżip wyruszył z bazy, prawie się nie odzywali. Peter na tylnym siedzeniu czuł się jak dziecko, które zabrano z domu, bo nie było go z kim zostawić. Właściwie nie miał tu nic do roboty i zależało mu tylko na tym, żeby rodzice nie zaczęli się kłócić.

Tuska, w przeciwieństwie do Grainger, nie przekształcił kabiny samochodu w hermetyczną kapsułę. Spuścił boczną szybę i powietrze swobodnie wpadało do wnętrza. Pęd pojazdu wzmacniał falowanie ocieślałych lepkich strumieni.

– Co się dzieje z Grainger? – zapytał Peter.

– Relaksuje się – odparł Tuska. Peter widział tylko jego jeden bark i rękę trzymającą kierownicę.

– Jest pijana i nie nadaje się do niczego – wyjaśniła Flores całkowicie zasłonięta oparciem fotela.

– Przez tyle lat była świetną farmaceutką – rzucił Tuska.

– Nie jest jedyną farmaceutką na świecie – zauważyła Flores.

– Poczekajmy, aż Święty Mikołaj przyniesie nam nową, dobrze? – odparł Tuska i siostra Flores się zamknęła.

Wspaniały łuk widoczny na niebie nie przybliżał się, więc Peter wyjrzał przez boczną szybę. Krajobraz, który zdążył już pokochać, był nadal ascetycznie piękny, jednak dziś Peter inaczej odbierał jego prostotę. Potrafił sobie wyobrazić, jak wychowana na farmie dziewczyna, taka jak Grainger, wpatruje się w tę pustkę, na próżno szukając śladów zwierząt, roślin, jakichkolwiek oznak życia, które mogłyby przypomnieć jej widoki znane z dzieciństwa.

– Grainger powinna wrócić do domu – odezwał się bezwiednie. Nie zdążył się zastanowić, nim wypowiedział na głos te słowa.

– Jasne – zgodził się Tuska. – Powinna.

– I to wkrótce – dodał Peter. Przypomniał sobie, po raz pierwszy od lat, że *Wkrótce* to tytuł broszury biblijnej, którą razem z Beą przygotowali kiedyś dla chrześcijańskiego zgromadzenia z Arunaćal Pradeś. Przed oczami mignął mu obraz dłoni swoich i Bei składających na kuchennym blacie stronie folderu. Zaginali kartki, tak by na wierzchu widoczny był tytuł. Potem Bea wkładała je do kopert zaadresowanych do jakiegoś Adiwasi o trudnym do wypowiedzenia nazwisku. Kartony wypełnione broszurami wysyłano co sześć miesięcy. Koszty były duże i w czasach poczty elektronicznej mogły się wydawać bezsensowne, ale nie każdy na świecie ma komputer. No i było w tym coś wyjątkowego – możliwość trzymania we własnych rękach wydrukowanych słów Pisma Świętego.

Kiedy to było, gdy ujmował w dłonie broszurę *Wkrótce* i podawał ją Bei?

– Przesłałem też jej podanie – powiedział Tuska. – Myślę, że polecicie razem. – Ziewnął. – Parka ptaszków zwolniona za kaucją z naszego małego rajku! Czy odkryliście tu jakąś tajemnicę? Zresztą nic mi nie mówcie, chyba wolę niczego nie wiedzieć.

– Nie ma nic złego w tym miejscu – powiedział Peter, znów spoglądając przez okno. – Przykro mi, że sprawiłem wam zawód.

– Niektórzy potrafią to znieść, inni nie – beztrósco zauważył Tuska. – Nie można powtórnie użyć FCG.

– Słucham?

– Wyzwalanego materiałem wybuchowym generatora z kompresją strumieniową.

Po tych słowach, podobnie dziwnych i niezrozumiałych dla Petera jak nieprzeniknione było Pismo Święte dla pracowników bazy, zapadła długa cisza.

Rozwiała się nadzieja na to, że wkrótce przejadą pod wielkim świetlistym łukiem. Dwie kolumny wody oddaliły się od siebie i każda przybrała nieregularny, amorficzny kształt. Deszcz, którego zadziwiający rytm determinowały prawa nieznanego człowiekowi fizyki, uderzył o dach i szyby. Ulewa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła, i wycieraczki z piskiem przesuwają się po suchym już szkle. Tuska wyłączył je, gdy przed samochodem pojawiły się karmelowe fasady budynków osady. Peter dostrzegł niewielką postać stojącą w miejscu, gdzie zwykle odbywała się wymiana towarów.

– Kiedy tam dojedziemy – poprosił z tylnego siedzenia – chcę porozmawiać z nim przez chwilę sam na sam.

– W porządku – powiedział Tuska. – Tylko nie całujcie się z jęczyczem.

Miłośnik Jezusa Pierwszy czekał przed budynkiem z białą gwiazdą. Kiedy zauważył Petera, drgnął ze zdziwienia, ale zdołał się opanować, zanim pastor wysiadł z dżipa.

– **py syjes** – powiedział.

– Mam nadzieję – odpowiedział Peter i natychmiast tego pożałował. **SLM** nie znali ironii ani nonszalancji i takie słowa mogły tylko pogłębić konsternację Miłośnika, i tak już zdumionego widokiem cudownie uzdrowionego Petera.

– Inni wie**są se** umar**les** – powiedział. – Ja wie**syłem, se syjes**, ja jeden.

Peter usiłował znaleźć najlepszą odpowiedź na jego wyznanie. Uścisk nie wchodził w grę.

– Dziękuję – powiedział.

Za zasłonami z paciorków w drzwiach budynków widać było cienie wielu postaci.

– **zK OL** – zawołał jakiś głos. Peter znał już na tyle ich język, by zrozumieć, że oznaczało to „praca ciągle śpi”, czyli „szybciej, pośpieszcie się”.

Miłośnik Pierwszy otrząsnął się z osłupienia i wszedł w swoją oficjalną rolę. Zwrócił się w stronę samochodu, chcąc pozdrowić wysłanniczkę USIC, owiniętą chustą Grainger, dla której on i jemu podobni byli wstrętmi.

Z samochodu wysiadła siostra Flores. Kiedy podeszła do Oazjanina, okazało się, że nie ma pomiędzy nimi wielkiej różnicy wzrostu. Przypadek zrzucił, że ich stroje – jej kitel i jego szata – były w tym samym kolorze.

Miłośnik Pierwszy był najwyraźniej zaskoczony tym niespodziewanym podobieństwem. Oglądał Flores trochę dłużej, niż nakazywała grzeczność, ale pielęgniarzka nie wydawała się speszona.

– **py i ja pierwsy ras** – powiedział Miłośnik Pierwszy. Zbliżył się i delikatnie dotknął przegubu jej dłoni palcami w rękawiczce.

– Mówi: Cześć, nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy – wyjaśnił Peter.

– Miło mi – powiedziała Flores. To zapewnienie było być może przedwczesne, ale w przeciwieństwie do Grainger zachowywała się swobodnie i naturalnie.

– Macie lekar**sp**wa? – zapytał Miłośnik Pierwszy.

– Oczywiście – odpowiedziała Flores i ruszyła do bagażnika samochodu. Z budynku wyszło kilku Oazjan, a po chwili dołączyła do nich kolejna grupa. To było niezwykle, zazwyczaj przy dostawie pojawiała się najwyżej trzech mieszkańców osady.

Flores wróciła z pudełkiem w zyłastych ramionach. Wyglądało na większe niż ostatnim razem, ale może tylko pielęgniarka była mniejsza od Grainger. Niosła je jednak bez wysiłku i podała je jednemu z Oazjan pewnym, zdecydowanym ruchem.

– Komu mam wyjaśnić, co przywiozłam? – zapytała.

– Ja ro**s**umiem lepiej – powiedział Miłośnik Pierwszy.

– W porządku. – Flores starała się zachowywać przyjacielsko i rzeczowo.

Pudło jak zwykle zawierało różnorodne lekarstwa w firmowych i zastępczych opakowaniach. Flores wyciągała po kolei plastikowe buteleczki, kartonowe pudełeczka oraz tubki i prezentowała je jak licytator na aukcji. Omawiała ich działanie i z powrotem wkładała do pudła.

– Nie jestem farmaceutką – mówiła – ale wszystko opisane jest na opakowaniach i w ulotkach. Powinniście nam powiedzieć, co działa, a co nie. Przepraszam, że to mówię, ale na razie mamy zbyt mało danych. Uporajmy się z tym i spróbujmy podejść do tych spraw w sposób bardziej naukowy. Myślicie, że dacie radę?

Miłośnik Pierwszy milczał przez chwilę, przypatrując się nieznanemu istocie stojącej naprzeciwko niego.

– D**s**iękujemy za lekar**sp**wa – powiedział w końcu.

– Proszę – powiedziała spokojnie Flores. – Posłuchajcie, tu jest opakowanie sumycinu. To antybiotyk. Można nim wyleczyć zapalenie dróg moczowych lub jelit, ale jeśli wcześniej zażywaliście już dużo tego lekarstwa, może nie zadziałać. Wtedy lepiej wziąć coś innego. Tu macie amoksycylinę. Te dwa opakowania są zamiennikami...

– Jedna na**s**wa, wiele lekar**sp**w – powiedział Miłośnik Jezusa Pierwszy.

– Właśnie. Amoksycylina jest dobra, jeśli nigdy dotąd jej nie używaliście, ale jeśli wasz organizm uodporni się na jej działanie, lepiej zażyć te czerwone tabletki. To augmentin, zawiera dodatkowe składniki, które przeciwdziałają uodpornieniu. – Flores odłożyła augmentin na miejsce i podrapała się po nosie suchym, kościstym palcem. – Posłuchajcie, możemy stać tu cały dzień i omawiać działanie każdego antybiotyku. Ale tak naprawdę trzeba skojarzyć odpowiedni lek z konkretną chorobą. Na przykład ty, dolega ci coś?

– D**s**ięki Bogu nie.

– To przyprowadź kogoś, kto jest chory. Porozmawiam z nim.

Zapadła chwila milczenia.

– D**s**iękujemy za lekar**sp**wa – powiedział Miłośnik Pierwszy. – Mamy dla was **s** jesenie. – Jego głos był spokojny, ale brzmiał w nim pewien upór, a nawet groźba.



– Świetnie, zaraz się tym zajmiemy. – Flores nie dawała za wygraną. – Najpierw chciałabym się zobaczyć z kimś, kto uważa, że potrzebuje antybiotyków. Jak powiedziałam, nie jestem farmaceutką. Nie jestem też lekarzem, ale chcę was lepiej poznać.

Coraz więcej Oazjan wychodziło z domów. Peter zrozumiał, że zawsze obserwowali wymianę, ale brakowało im odwagi, by wyjść na zewnątrz. Co takiego miała w sobie Flores? Może chodziło o jej zapach? Peter spojrzał na Tuskę, który puścił do niego oko.

– Lepiej słuchać potężnej Flores – powiedział cierpko. – Bo może być źle.

Kiedy stało się jasne, że wymiana zajmie jeszcze sporo czasu, Peter ruszył w stronę kościoła. Dzień był wietrzny i podmuchy owijały mu diszdaszę wokół kostek, ale zarazem przynosiły ulgę. Zmniejszyły uciążliwe odczucie wilgoci i zwiększały zawartość tlenu w powietrzu. Mimo to stopy w sandałach miał już zupełnie mokre. Spojrzał na nie i przypomniał sobie, jak kiedyś szedł po skrzypiącym śniegu w butach na grubej podeszwie. Był zimny styczniowy ranek w Richmond Park, obok niego, zaciągając się papierosem, kroczył ojciec, który niedawno rozwiódł się z matką. Obraz przemknął przez głowę Petera i zniknął.

Kiedy szedł teraz przez równinę w kierunku świątyni, którą zbudował razem ze swoją trzódką, odwracał się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy Miłośnik Pierwszy idzie za nim. Ale Miłośnika nie było za jego plecami. Postaci obok samochodu robiły się coraz mniejsze i coraz bardziej niewyraźne, przesłonięte mgiełką nakładających się na siebie prądów powietrznych.

Doszedł do kościoła i szeroko otworzył drzwi. Spodziewał się, że świątynia będzie pusta, tymczasem w środku zastał usadowionych w ławkach około sześćdziesięciu jaskrawo ubranych wiernych. Zgromadziła się tu tylko ich część, ale biorąc pod uwagę nieobecność pastora, frekwencja i tak była spora. Wielu z nich pracowało na polu białych kwiatów w dniu klęski Petera i było świadkami jego okaleczenia; widzieli, jak zęby małych stworów poraniły mu ciało, i uznali, że nie uratuje go nawet Technika Jezusa. Być może właśnie teraz odprawiano nabożeństwo żałobne za Ojca Pepera, a on zjawił się jak nieproszony gość.

Wśród tłumu rozszedł się szmer niedowierzania. Narastał powoli, aż przemienił się w ogólną euforię. Gdyby emocje mogły się zmaterializować, rozsunęłyby ściany i uniosły sufit. W tej chwili mógłby z nimi zrobić wszystko, zaprowadzić ich, gdziekolwiek by chciał. Byli jego.

Tu i tam rozległy się powitalne okrzyki.

– Niech Bóg błogosławi **spopkanie**, Ojce **Peper**. – Pojedyncze głosy połączyły się w zgodny chór, a każdy, kto przyłączał się do tego unisono, pogłębiał rozpacz Petera. Ich wiara sięgnęła niebios, a on musiał ich zawieść.

Drzwi pchnięte podmuchem wiatru zamknęły się z hukiem. Rzęsiste światło wdzierало się przez okna, oświetlając zakapturzone głowy Miłośników Jezusa,

którzy w promieniach słońca wyglądali jak płomienie wotywnych świec. Kroczył pomiędzy ławkami pod surrealistyczną instalacją z obrazów przytwierdzonych pod sklepieniem. Jasnorożowy Jezus Miłośnika Dwunastego idący obok srebrzyście połyskującego Łazarza, narodziny Chrystusa przedstawione przez Miłośnika Czternastego w żółciach i błękitach, Maria Magdalena Miłośniczki Dwudziestej wypływająca z siebie diabelskie kłęby ektoplazmy, wąpiący Tomasz Miłośnika Sześćdziesiątego Trzeciego... i oczywiście dzieło Miłośniczki Piątej. Po wypadku, który ją okaleczył, obraz został przytwierdzony ponownie. Zmartwychwstały Chrystus w otoczeniu kobiet, wychudzony mężczyzna w przepasce biodrowej, tak różniący się od chrześcijańskiej tradycji, nagle wydał się Peterowi przerażający. Promieniowanie olśniewającego światła w miejscu głowy i dłonie jak rozgwiazdy z otworami w kształcie oczu kiedyś uznał za dowód, że wyobrażenia Boga nie można ograniczać do ikonografii jednej rasy. Teraz stały się symbolem bezdennej przepaści.

Zajął swoje miejsce na kazalnicy. Zauważył, że **SLM** uporządkowali jego łóżko, uprali i wysuszyli pościel, wyczyścili buty, które uszyła dla niego Miłośniczka Piąta, i umieścili znaleziony gdzieś ołówek na poduszce, jak świętą relikwię dla następnych pokoleń. Teraz poczuli, że spływa na nich błogosławieństwo jego powrotu. Siedzieli w zachwyceniu i skupieniu, trzymali swe biblijne broszury i czekali na znak, by zaśpiewać pierwszy hymn. Według zwyczaju powinni zacząć od *W ogrodzie* lub *Bogu niech będzie chwała*. Peter odchrząknął. Liczył, chyba bezpodstawnie, że tak jak zwykle spłynie na niego dar wymowy.

– **sBLYtd** – zaczęła. – **BssLY. sBL df sLdpt koLól dfphs hdssfphL..**

Niektórym wiernym zatrzęsły się ramiona, co zawsze brał za oznakę śmiechu. Miał nadzieję, że tak jest i tym razem, że wybuch wesołości spowodowała jego niezdarna wymowa, ale tak naprawdę nie był pewien, co oznaczała ich reakcja.

– **sBssLY ptL sssBd sB** Jezus **Blytds** – ciągnął. Widział, że są rozbawieni jego nieudolną, dziecinną mową, zupełnie niepotrzebną, bo pragnęli usłyszeć święty język wersji Króla Jakuba. Ale przynajmniej raz chciał zwrócić się do nich w taki sposób, by w pełni go zrozumieli. Był im to winien; w imię ich godności poświęcał swoją.

– **tdss** Jezus **spt sLm sB sB Bl.**

Podświadomie policzył zebranych. Pięćdziesięcioro dwoje. Nigdy się nie dowie, ilu pozostało jeszcze w osadzie, ilu nie udało mu się przyłączyć do wspólnoty Chrystusa. Ale wiedział, że pośród zgromadzonych w kościele rozpoznaje każdego, i to nie tylko po kolorze szaty.

– **p Blytdss sLdB LurL sL** – powiedział – **Lytdss sLhLdB** Księga Dziwnych Nowych Rzeczy. – Wyciągnął z torby Biblię Króla Jakuba i zamiast przerzucić zniszczone kartki i odnaleźć odpowiedni fragment, podszedł do pierwszego rzędu ławek. Bardzo delikatnie – nie ze względu na szacunek do

Biblii, ale z uwagi na kruchość siedzących przed nim postaci – podał ją Miłośniczce Jezusa Siedemnastej, która położyła ją sobie na kolanach.

Wrócił na ambonę.

– **sL sp p sl** – powiedział – **dB Bssl ssssp** Bóg. **sL** Bóg **Bd sB Blytdss dfp tdss hfph**.

Przez jego trzódkę przeszedł dreszcz trwogi. Przekrzywiali głowy, załamywali ręce. Miłośnik Piętnasty krzyknął.

– **Bisl ysBss tdss d** Bóg **df Bly phl tdss** – mówił dalej Peter. – **dB tsl p pdB sl pds l sldB Bssly** Miłośniczka Jezusa Piąta... – głos mu się załamał. By opanować drżenie ciała, musiał przytrzymać się pulpitu. – Miłośniczka Jezusa Piąta **slm sl tdl pl slmb spt phl. Bd sB slp hfph** USIC. – Zaczerpnął głęboko tchu. – **slpttsp spy Bpltd p slpt lurl. BI By phl tsply sB** Bea. **ptl sB dss**.

I to było wszystko. Nie mógł kontynuować, bo brakowało mu najistotniejszego słowa, którego nie znał w ich języku. Pochylił głowę i przywołał na pomoc własną, obcą tutaj mowę.

– Darujcie.

Opuścił ambonę, zabrał swoje kanarkowe buty i ruszył chwiejnym krokiem w stronę wyjścia pomiędzy rzędami ławek. Przez pierwsze kilka sekund, które wydawały mu się wiecznością, szedł sam we wszechogarniającej ciszy. Po chwili Miłośnicy Jezusa podnieśli się ze swoich miejsc i otoczyli go. Dotykali delikatnie jego ramion, pleców, brzucha, pośladków, ud, czego zdołali dosięgnąć, i wypowiadali jedno słowo czystymi, wyraźnymi głosami.

– Darujemy.

– Darujemy.

– Darujemy.

– Darujemy.

– Darujemy – mówił każdy po kolei, aż Peter doszedł do drzwi i wyszedł na oślepiające słońce.

Szedł do osady, a pusta pomarszczona torba obijała mu się o biodro. Kilka razy oglądał się za siebie i patrzył na sylwetkę kościoła rysującą się na tle olśniewającego nieba. Nikt za nim nie wyszedł. Ludzie nie porzucali tak łatwo wiary. **slm** chętnie podążali za nim w stronę Królestwa Niebieskiego, ale nie chcieli towarzyszyć mu w drodze zwątpienia. Wiedział, że pewnego dnia, może już niedługo, otrzymają nowego pastora. Wzięli od Petera to, czego pożąдали, i będą nadal poszukiwać zbawienia, kiedy on odejdzie. Mieli zarliwe dusze, pragnęli długiego życia i nie chcieli, aby świadomość tak łatwo opuszczała ich ciała. Nie było w tym nic dziwnego, przecież byli tylko ludźmi.

Wymiana handlowa przy dziapie przebiegała sprawnie. Miłośnika Pierwszego nigdzie nie było widać, ale lekarstwa zostały już przekazane, a jedzenie

właśnie ładowano do bagażnika. Pracowało przy tym więcej **slm** niż zwykle, podawali worki i pudła Tusce i Flores. Peter zauważył, że podchodzili najpierw do pielęgniarki, a do Tuski dopiero wtedy, gdy Flores miała już pełne ręce pakunków. Najwyraźniej ją polubili. Kto by pomyślał? Naprawdę ją polubili.

– Ja to wezmę – powiedział Tuska, kiedy wręczyli Flores wyjątkowo ciężki worek z surowym ciastem z białych kwiatów.

– Poradzę sobie – odparła. Zlepione potem włosy jeszcze bardziej podkreślały niewielkie rozmiary jej czaszki. Z wysiłku nabrzmiały jej na skroniach niebieskie żyłki, była cała mokra, ale chyba świetnie się bawiła.

Trochę później, kiedy siedzieli już we trójkę w samochodzie i jechali do bazy, powiedziała:

– Pękną, zobaczysz.

– Pękną? – nie zrozumiał Tuska.

– Dowiemy się, co za choróbka ich nęka.

– Naprawdę? – Tuska najwyraźniej nie był zainteresowany jej planami.

– Tak. A potem, z Bożą pomocą, wyleczymy ich.

Peter zdziwił się, słysząc takie słowa z ust pracownicy USIC. Nagle twarz Flores pojawiła się w przerwie pomiędzy przednimi siedzeniami i spojrzała na usadowionego z tyłu pastora. Była jak głowa gargulca wystająca ze ściany gotyckiej katedry.

– To tylko figura retoryczna – powiedziała. – Chodziło mi o szczęście. – Twarz zniknęła, ale pielęgniarka nie skończyła jeszcze mówić. – Ty pewnie nie wierzysz, że istnieje coś takiego jak szczęście, co?

Peter odwrócił głowę i spojrzał w okno. Tuska jechał bardzo szybko i przy tej prędkości ciemną ziemię można było wziąć za asfalt, a migające kępy białych kwiatów za pasy namalowane na jezdni. Gdyby Peter się postarał, mógłby nawet wyobrazić sobie, że widzi znaki na autostradzie M25 wskazujące odległość do Londynu.

– Mam nadzieję, że istnieje – odpowiedział trochę za późno. Był pewien, że pojęcie szczęścia, jako czegoś, czym rządzi przypadek, jest obce Biblii, ale to wcale nie znaczyło, że coś takiego nie istnieje. Grainger nazywała go szczęściarzem. I był nim, przez tę część swojego życia, którą spędził z Beą.

Kiedy wrócił do swojej kwatery, wreszcie dostał od niej odpowiedź.

Peter, kocham Cię, ale proszę, nie wracaj do domu. Błagam Cię. Zostań tam, gdzie jesteś.

# 28

## Amen

– I to właśnie mi się tutaj podoba – powiedziała Moro, poruszając się szybko na orbitreku. – Każdego dnia jest odrobinę inaczej, a jednocześnie tak samo.

Ona, BG i Peter ćwiczyli razem w ogrodowej altanie. Był to ich kolejny zwykły dzień na Oazie, przewidziana w planie przerwa w pracy, kilka godzin relaksu pomiędzy bataliami o urzeczywistnienie wielkiego projektu. Markiza chroniła ich częściowo przed słońcem, ale wczesnym popołudniem światło było tak intensywne, że przenikało przez płótno i otaczało ich ciała żółtawym blaskiem.

Moro zdążyła się już solidnie zmęczyć. Szarawary kleiły się do jej ud, a nagi brzuch lśnił od potu. Zapowiedziała, że zrobi trzysta kroków, i była już w połowie ćwiczenia, ale nie zwalniała tempa. Mocno zaciskała dłonie na rączkach orbitreku, jakby trzymała kierownicę pędzącego motocykla.

– Powinnaś pracować samymi nogami, bez trzymanki – poradził jej BG, odpoczywając pomiędzy seriami pompek. – W ten sposób lepiej wyrobisz sobie mięśnie czworogłowe, piszczelowe i w ogóle całe nogi.

– To także dobre ćwiczenie na ręce – powiedziała Moro. – Ludzie, którzy stracili palce, często są niezdarni. Postanowiłam, że ja sobie z tym poradzę.

Peter podnosił wypchany worek na linie na krążku. A przynajmniej usiłował. Jego ramiona wzmocniły się przy pracy na polach białych kwiatów, ale teraz chyba używał innych grup mięśni.

– Nie wypruwaj z siebie flaków w ten sposób, to nie tylko podciąganie – doradził mu BG. – Opuszczanie jest równie ważne. Rób to powoli, najwolniej, jak potrafisz.

– To jest dla mnie za ciężkie – powiedział Peter. – Co jest w tym worku? Chyba nie piasek? – Nie wyobrażał sobie, żeby USIC zgodził się przysłać tu worek wypełniony piaskiem. Tyle samo kosztowałby transport skrzyni cukru albo jednej osoby.

– Ziemia – odparł BG, wskazując na pustą przestrzeń rozciągającą się wokół altany. Ściągnął podkoszulek i wyjął go w dłoniach. Kiedy naprężył ramiona, na lewym barku pojawił się szereg pomarszczonych blizn zachodzących aż na mięsień piersiowy. Znów włożył koszulkę.

– Może mógłbym jej trochę wysypać? – zapytał Peter.

– Raczej nie, brachu – powiedział BG. Twarz miał poważną, ale był rozbawiony.

W istotach ludzkich, kiedy lepiej się je poznało, można było czytać jak w otwartych książkach. Wszystko kryło się w tonie głosu, kadencji wypowiedzianych zdań, błysku oczu i wielu innych szczegółach, które wymykały

się naukowemu opisowi. Jeśli tylko chciałeś, mogłeś zbudować na tej wiedzy prawdziwą przyjaźń.

Peter znów spróbował unieść worek. Tym razem ledwo zdołał podciągnąć go na wysokość kolan. Okropnie bolały go bicepsy.

– Sęk w tym, że musisz zacząć inaczej. – BG podszedł do niego, zdjął worek z liny, podniósł go bez wysiłku i przycisnął do piersi jedną ręką. – Najważniejszym mięśniem jest twój mózg. Musisz przygotowywać się stopniowo do zwiększania wysiłku. Planować go. Znajdź ćwiczenie, które doprowadzi cię na skraj wyczerpania, ale nie będzie ponad twoje siły. Proponuję spacer z tym woreczkiem.

– Słucham?

BG zbliżył się jeszcze bardziej i umieścił worek w ramionach Petera. Zrobił to bardzo ostrożnie, jakby podawał mu śpiące dziecko.

– Obejmij go ramionami, przyciśnij do piersi i idź. Od jednego końca altany do drugiego i z powrotem. Tyle razy, ile zdołasz. A potem połóż go powoli na ziemi.

Peter zrobił, co mu kazano. BG obserwował go razem z Moro, która skończyła swoje ćwiczenia i piła z butelki jasnozielony płyn. Może była to deszczówka, a może kosztujący fortunę nasycony węglowodanami napój energetyczny wyprodukowany gdzieś daleko przez międzynarodową korporację. Peter z workiem w ramionach przemierzał prowizoryczną salkę gimnastyczną tam i z powrotem. Z noszeniem radził sobie całkiem nieźle, ale kiedy zabrakło mu sił, niezdarnie upuścił ciężar.

– Muszę więcej ćwiczyć – wydyszał.

– No cóż – westchnął BG – chyba nie będziesz miał okazji, co? – Była to pierwsza aluzja do bliskiego wyjazdu pastora.

– Niekoniecznie. – Peter usiadł na niskim drewnianym podeście. Nie miał pojęcia, do czego służył. – Mogę nosić worki z piaskiem, kiedy wrócę do domu. Może nawet będę musiał, jak będzie powódź. Ostatnio często się to zdarza.

– Powinni przemyśleć kilka spraw. Ich gospodarka wodna jest na żalnym poziomie – mruknął BG.

Moro wstała i obciągnęła ubranie. Przerwa dobiegła końca i czekała ją praca.

– Może powinieneś załatwić swoje sprawy i szybko wrócić – powiedziała.

– Tylko z żoną.

– Może też będzie mogła tu przylecieć.

–USIC najwyraźniej miał odmienne zdanie.

Moro wzruszyła ramionami. Jej beznamiętną twarz ożywił na moment gniewny grymas.

–USIC to banda debili. Za kogo się uważają? To my jesteśmyUSIC. My tutaj. Chyba już czas, żeby wyluzowali trochę z tymi testami przydatnościowymi.

– Tak, ciężko je przejść – zgodził się BG. Powiedział to z lekką melancholią, był dumny, że udało mu się je zaliczyć, ale jednocześnie żał mu było braci i

sióstr, którym się nie powiodło. – Prawdziwe ucho igielne. To z Biblii, prawda?

W pierwszej chwili Peter chciał odpowiedzieć wymijająco, ale nagle zdał sobie sprawę, że już nie musi się silić na dyplomatyczne riposty.

– Tak, BG. Z Ewangelii świętego Mateusza, rozdział dziewiętnasty, wers dwudziesty czwarty.

– Zapamiętam to – powiedział BG. Uśmiechnął się szeroko, dając do zrozumienia, że żartuje.

– Zespół składający się z męża i żony – zastanowiła się Moro, wkładając butelkę do torby. – To byłoby nawet romantyczne. – Wypowiedziała to słowo, jakby było czymś dziwnym i egzotycznym, określającym zjawisko, które można zaobserwować jedynie wśród stada małą lub gęsi śnieżnych, ale nie wśród ludzi.

Peter przymknął oczy. Ostatnia wiadomość od Bei wyryła mu się w pamięci jak najbardziej znane wersety Pisma.

Peter, kocham Cię, napisała, ale nie wracaj do domu, błagam Cię. Zostań tam, gdzie jesteś. Tam jest bezpieczniej, a ja nie chcę, żeby coś Ci groziło.

To ostatnia wiadomość, jaką będę mogła Ci przesłać. Nie mogę zostać w tym domu. Zamieszkam z pewnymi ludźmi, nie znasz ich. Nie wiem dokładnie gdzie, pewnie będziemy się przenosić w różne miejsca. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale uwierz mi, że to będzie dla mnie najlepsze. Tu już nic nie jest takie jak wtedy, kiedy wyjeżdżałeś. Wszystko zmienia się tak szybko. To nieodpowiedzialne, że chcę sprowadzić dziecko na ten okropny świat, ale alternatywą jest zabicie go, a na to nie mam odwagi. Spodziewam się, że i tak wszystko skończy się fatalnie, i nie chcę, żebyś to oglądał. Jeśli mnie kochasz, nie pozwól, bym patrzyła, jak cierpisz.

Zabawne, kiedy poznaliśmy się przed laty, ostrzegano mnie, że jesteś zatwardziałym, podstępny, samolubnym oszustem. Oskarżano Cię, że manipulujesz ludźmi, ale ja wiedziałam, że w głębi serca jesteś małym niewinnym chłopcem. Ta planeta jest teraz dla Ciebie zbyt okrutnym miejscem. Jeśli znajdziesz się gdzieś, gdzie jest bezpiecznie, z szansą na szczęśliwsze życie, doda mi to otuchy.

Beatrice

Odpisał natychmiast i bez wahania.

Nieważne, czy będę bezpieczny czy nie, szczęśliwy czy pogrążony w rozpacz, moje miejsce jest przy Tobie. Nie poddawaj się, odnajdę Cię.

– Uważaj na siebie, dobra? – powiedział BG. – Lecisz w naprawdę paskudne miejsce. Nie daj się, skup się na tym, co ważne, obiecujesz?

Peter się uśmiechnął.

– Obiecuję.

Uścisnęli sobie ręce oficjalnie i dostojnie jak dyplomaci. Nie objęli się, nie przybili piątki. BG miał wycucie i wiedział, jak powinien się zachować w takiej sytuacji. Odwrócił się i odszedł razem z Moro.

Peter patrzył na ich sylwetki malejące i znikające za drzwiami brzydkiego budynku bazy. Potem usiadł na huśtawce, przycisnął do siebie łańcuchy, na których była zawieszona, i rozplakał się. Nie był to głośny, spazmatyczny szloch, jaki Miłośniczka Piąta mogłaby wziąć za długą pieśń. Po jego policzkach spłynęło zaledwie kilka łez, które oazjańskie powietrze osuszyło, nim zdążyły spaść na ziemię.

Po kilku chwilach wrócił do worka i uklęknął przy nim. Bez większych trudności podźwignął go i umieścił na swoich kolanach. Potem objął go ramionami i przycisnął do piersi. Worek wydawał się cięższy niż Bea, ale Peter nie był pewien; chyba łatwiej podnieść żywą, w pełni świadomą osobę. To dziwne, ponieważ podlegają tej samej sile ciężenia, ale dźwigał kiedyś nieprzytomnego człowieka i podnosił Beę; różnica była spora. A dziecko... dziecko byłoby jeszcze lżejsze, dużo lżejsze.

Obejmował worek, dopóki nie rozboleły go kolana i nie zdętwiały ramiona. Kiedy upuścił go na ziemię, zorientował się, że obok stoi Grainger. Jak długo go obserwowała?

– Myślałem, że się na mnie gniewasz – powiedział.

– I dlatego uciekłeś?

– Chciałem, żebyś miała spokój.

Roześmiała się.

– Mam go aż za dużo.

Obrzucił ją dyskretnym spojrzeniem. Wyglądała na trzeźwą, była normalnie ubrana, gotowa do pracy.

– Ty też wracasz do domu, prawda?

– Tak – powiedziała.

– Polecimy razem.

To zapewnienie nie zrobiło na niej wrażenia.

– Będziemy na tym samym statku, ale nie będziemy tego świadomi.

– Ale na końcu obudzimy się razem – powiedział.

Popatrzyła w bok. Zmierzali w całkiem innych kierunkach i oboje dobrze o tym wiedzieli.

– Czy jest... – urwał. – Czy choć trochę żałujesz, że wyjeżdżasz?

Wzruszyła ramionami.

– Przyślą nową farmaceutkę. I nowego pastora. Każdego można zastąpić.

– Tak. I każdy jest niezastąpiony.

Dźwięk silnika rozproszył ich uwagę. Z bazy wyjechał samochód i skierował się w stronę Wielkiego Biustonosza. Było to to samo kombi, którego kiedyś używał Kurtzberg. Mechanicy naprawili je, udowadniając, że maszynę zawsze



da się przywrócić do życia, nawet po uderzeniu pioruna. Nie będzie już nigdy fabrycznie nowa, ale dzięki fachowcom nie wyląduje na złomowisku. Tył samochodu wylądowany był różnego rodzaju rurami. Wystawały spod niedomkniętej klapy i były związane liną. Usunięto legowisko, które wcześniej się tam znajdowało. Teraz, kiedy pracownicy USIC wiedzieli, że kaznodzieja nie żyje, nie musieli utrzymywać samochodu w poprzednim stanie i trzymać go w boksie oznaczonym tabliczką z napisem PASTOR. Przeznaczyci go do innych zadań. Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie. Przecież Kurtzberg zdołał nawet sam się pochować, nie sprawił niepotrzebnego zamieszania i nie umarł w bazie. Co za gość.

– Ciągłe modlisz się za mojego tatę? – zapytała Grainger.

– Teraz za nikogo nie jestem w stanie się modlić – powiedział. Delikatnie zdjął jasnozielonego owada ze swojego rękawa i wypuścił go w powietrze. – Ale powiedz mi, jak zamierzasz go odnaleźć?

– Coś wymyślę – powiedziała. – Muszę tylko wrócić. Wtedy będę wiedziała, co robić.

– Masz kogoś, kto może ci pomóc?

– Możliwe. – Z jej tonu trudno było wywnioskować, czy liczy na pomoc tybetańskiej drużyny piłki nożnej, stada gadających bizonów, czy gromady aniołów.

– Nigdy nie wyszłaś za mąż.

– Skąd wiesz?

– Ciągłe nazywasz się Grainger.

– Mnóstwo kobiet nie zmienia nazwiska po ślubie. – Okazja do słownej utarczki najwyraźniej ją ożywiła.

– Moja żona zmieniła – powiedział. – Beatrice Leigh. – Uśmiechnął się ironicznie. – Brzmi śmiesznie, wiem. Ale nienawidziła swojego ojca.

Grainger potrząsnęła głową.

– Nikt nie nienawidzi swojego ojca. Nie w głębi duszy. Nie da się. To on powołał cię do życia.

– Nie wchodźmy w to – poprosił Peter. – Skończymy, rozmawiając o religii.

Samochód Kurtzberga był już tylko drobnym punkcikiem na horyzoncie. Migocząca konstelacja deszczu wisiała tuż nad nim.

– Jak nazwiecie swoje dziecko? – zapytała Grainger.

– Nie wiem. To wszystko... Jeszcze trudno mi sobie to wszystko wyobrazić. Trochę mnie to przeraża. Mówią, że takie doświadczenie odmienia ludzi na zawsze. To nie znaczy, że nie chcę się zmienić, ale... Wiemy, co się dzieje na świecie, widzimy, do czego to wszystko zmierza. Decyzja, żeby narazić dziecko, żeby wystawić niewinną istotę na Bóg wie... na nie wiadomo co... – Głos mu się załamał i umilkł.

Grainger zdawała się go nie słuchać. Wskoczyła na orbitrek i zakołysała biodrami jak tancerka. Chciała przestawić maszynę do przodu. Szarpnęła jeszcze raz i orbitrek przesunął się o kilka centymetrów.

– Dla twojego dzieciaka nasza planeta będzie czymś zupełnie naturalnym – powiedziała. – Nie będzie myślał o tych wszystkich rzeczach, które my straciliśmy, miejscach, które poszły w cholerę, ludziach, którzy umarli. To wszystko będzie dla niego prehistorią, jak dinozaury, coś, co miało miejsce przed początkiem czasu. Liczy się tylko to, co będzie. I tylko dzisiejszy dzień. – Uśmiechnęła się. – Na przykład śniadanie.

Roześmiał się.

– Spakowałaś się już?

– Jasne. Nie zabrałam tu wielu rzeczy. I wrócę bez zbędnego bagażu.

– Ja też się spakowałem. – Zajęło mu to trzy minuty, jego plecak był prawie pusty. Paszport, klucze do domu, w którym pewnie zmieniono już zamek, ogryzki ołówków, żółte buty uszyte przez Miłośniczkę Piątą tak starannie i z taką uwagą, by uniknąć skaleczenia dłoni, spodnie, które spadały mu z bioder, kilka podkoszulków, tak obszernych, że będzie w nich wyglądał jak uchodźca zaopatrzony w ubranie przez organizację charytatywną. Coś jeszcze? Chyba nie. Reszta ciuchów, które z sobą przywiózł, spleśniała lub przeznaczył je na szmaty potrzebne przy budowie kościoła. Wiedział, że kiedy wróci do domu, będzie zimno i nie będzie mógł paradować w diszdaszy bez niczego pod spodem, ale to był problem, którym na razie się nie przejmował.

I co najdziwniejsze, nie spakował swojej Biblii. Miał ją od chwili, kiedy się nawrócił, radził się jej, znajdował w niej inspirację i pocieszenie przez tyle lat. Przewertował ją tysiące razy. Papier z dodatkiem włókien bawełny musiał zawierać tyle komórek jego skóry, że dałoby się wyhodować nowego Petera z zawartego w nich DNA. „Beś ciebie – powiedziała mu kiedyś Miłośniczka Jezusa Siedemnasta – my słabi. Obok ciebie my mocni”. Miał nadzieję, że ona i reszta Miłośników Jezusa będą czerpać siłę z jego ukochanej wersji Króla Jakuba, teraz ich własnej Księgi Dziwnych Nowych Rzeczy.

Zresztą wszystko miał w pamięci. Słowa, które były ważne, fragmenty, które mogły mu się przydać. Nawet teraz był pewien, że potrafi wyrecytować Ewangelię Mateusza, pełne dwadzieścia osiem rozdziałów, oprócz pierwszych wersów poświęconych genealogii, tych wszystkich Ezechiaszy i Jechoniaszy. Pomyślał o Bei. Kiedyś w sypialni malutkiego mieszkanka, w którym pierwszy raz byli ze sobą naprawdę blisko, czytała mu rozdział szósty. Jej miękki głos nabierał żaru, kiedy mówiła o niebiańskim sanktuarium, gdzie nikt nie będzie w stanie zniszczyć najcenniejszych skarbów: „Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”<sup>52</sup>. I myślał o ostatnich słowach Mateusza, ich znaczeniu dla dwojga ludzi, którzy się kochali:

„Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata. Amen”.

# Podziękowania

W miarę jak ta książka powstawała, wiele osób czytało jej poszczególne części i dużo zawdzięczam ich cennym uwagom. Oto lista osób, którym chciałbym podziękować: Francis Bickmore, Jamie Byng, Jo Dingley, Victor Janiš, Mary Ellen Kappler, David Kappler-Burch, Lorraine McCann, Paul Owens, Ann Patty, Angela Richardson, Anya Serota, Iris Tupholme, Zahary Wagman. Moja żona Eva była jak zawsze najbliższą i najbardziej wnikliwą współpracowniczką.

Ostateczną wersję powieści napisałem w dość trudnej sytuacji, na poddaszu Lucindy i w piwnicy księgarni Primrose Hill, którą bez ograniczeń udostępnił mi Jessica i Marek. Dziękuję.

Chciałbym też wyrazić uznanie dla zespołu pisarzy i rysowników, którzy pracowali dla Marvel Comics w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Dostarczali mi mnóstwo radości, od czasu, gdy byłem dzieckiem, aż po dzisiejsze dni. Wszystkie nazwiska, które występują w *Księdze Dziwnych Nowych Rzeczy*, są inspirowane ich postaciami; w niektórych przypadkach zostały nieco zmienione, w innych nie. Wybór konkretnych nazwisk był podyktowany kwestiami narracji; nie kierowałem się przy tym swoimi osobistymi sympatiami do konkretnych twórców komiksów, bez względu na to, czy wykorzystałem ich nazwiska, czy nie. Wszelkie podobieństwa między współpracownikami zespołu Marvela a postaciami w powieści są przypadkowe, z wyjątkiem oczywistych aluzji do pioniera nowych światów Jakoba Kurtzberga (Jacka Kirby'ego).

---

<sup>1</sup> 2 Tm 4,5, *Biblia Tysiąclecia*, wydanie trzecie poprawione, Poznań – Warszawa 1990. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z tego wydania. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Łk 23,46.

<sup>3</sup> Flp 1,2.

<sup>4</sup> Mt 6,25.

<sup>5</sup> Tt 1,15.

<sup>6</sup> Łk 14,2.

<sup>7</sup> Hbr 13,2.

<sup>8</sup> Kol 4,5.

<sup>9</sup> Ps 139,17–18.

<sup>10</sup> Napój alkoholowy z dodatkiem środka usypiającego.

<sup>11</sup> J 4,34.

<sup>12</sup> 1J 2,15–17.

<sup>13</sup> Słowa protestanckiej pieśni religijnej *Amazing Grace* autorstwa Johna Newtona.

<sup>14</sup> J 3,16.

<sup>15</sup> Rdz 5,2.

<sup>16</sup> Mt 18,20.

<sup>17</sup> Mt 11,30.

<sup>18</sup> Ef 2,19–22.

<sup>19</sup> 1 Kor 15,54–55.

<sup>20</sup> Słowa z Biblii w przekładzie Jakuba Wujka, Warszawa 1998.

<sup>21</sup> Syr 4,20.

<sup>22</sup> Syr 5,15.

<sup>23</sup> Est 1,22.

<sup>24</sup> Łk 24,4.

<sup>25</sup> Kor 3,23.

<sup>26</sup> Chóry specjalizujące się w wykonywaniu tradycyjnych pieśni angielskich.

<sup>27</sup> Łuk 3,16.

<sup>28</sup> Mt 7,20.

<sup>29</sup> Za 3,4.

<sup>30</sup> Ga 6,5.

<sup>31</sup> 2 Tm 4,5.

<sup>32</sup> 2 Tm 3,14–15.

<sup>33</sup> Modlitwa o pogodę ducha przypisywana czasem Markowi Aureliuszowi. Używana przez grupy anonimowych alkoholików. Tłumaczenie za: „Mityng”, biuletyn AA wydawany przez Region Warszawa.

<sup>34</sup> Reinhold Niebuhr (1892–1971), amerykański teolog.

<sup>35</sup> Flp 4,6.

<sup>36</sup> Niedokładny cytat z Ps 91,2–4.

<sup>37</sup> J 14,2.

<sup>38</sup> Mt 6,29.

<sup>39</sup> Ps 14,1.

[40](#) Ps 91,5–7.

[41](#) Ps 23,1.

[42](#) Pieśń autorstwa Marcina Lutera, nieformalny hymn reformacji.

[43](#) Ps 29,11, trawestacja.

[44](#) Łk 9,11, trawestacja.

[45](#) Łk 10,19.

[46](#) Iz 43,2.

[47](#) Ps 103,3.

[48](#) Łk 1,37.

[49](#) Tytuł powieści Thomasa Wolfe'a (*You Can't Go Home Again*) w przekładzie Marii Skibniewskiej.

[50](#) Łk 15,4.

[51](#) 2 Kor 5,1.

[52](#) Mt 6,21.

Przekład: Tomasz Kłoszewski  
Redakcja: Maria Wirchanowska  
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Skwark

Projekt okładki: © Yehrin Tong  
Adaptacja projektu oryginalnego: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-2337-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow